

DANIELLE STEEL

GRA Z FORTUNĄ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Było czwartkowe popołudnie, 11 grudnia 1941 roku. Cały kraj trwał jeszcze w stanie oszołomienia. Lista ofiar zapełniała się, podano do wiadomości nazwiska zabitych. Od kilku dni nasze serca zaczynała wypełniać żądza zemsty. W prawie każdej amerykańskiej piersi budził się nie znany, drzemiący dotąd duch walki. Widmo wojny nieoczekiwanie wtargnęło do naszych domów. Nie chodziło tylko o deklarację Kongresu o przystąpieniu do wojny. To było znacznie więcej, o wiele więcej. Dotyczyło to całego społeczeństwa, które opanowała panika, gniew, nagły strach, że to samo może przydarzyć się nam, tutaj. Japońskie bombowce mogły pojawić się nad naszymi domami o każdej porze dnia i nocy i niespodziewanie zrównać z ziemią takie miasta, jak Chicago i Los Angeles, Omaha... Boston... Nowy Jork... to była przerażająca myśl. Wojna nie toczyła się gdzieś tam, nie dotyczyła już tylko „ich”; stała się naszą rzeczywistością.

Na dworze hulał porywisty wiatr. Andrew Roberts, wtulając głowę w podniesiony kołnierz płaszcza zmierzał szybkim krokiem ku wschodniej części miasta, do domu. Zastanawiał się, jak to przyjmie Jean. Kiedy dwa dni temu wpisywał na listę swoje nazwisko, zrobił to bez wahania, lecz teraz, gdy miał jej o tym powiedzieć, słowa więzły mu w gardle. Nie ma wyboru. Musi to zrobić dziś wieczorem. Po prostu musi. Wyjeżdża do San Diego za trzy dni.

Gdy wchodził na stopnie wąskiego budynku z piaskowca, gdzieś nad nim przejechał z łoskotem pociąg kolejki naziemnej Third Avenue El. Mieszkali w tym domu niecały rok. Już prawie nie słyszeli hałasu przejeżdżających regularnie pociągów. Na początku nieustanny stukot przetaczających się wagonów i drżenie szyb były naprawdę nie do zniesienia. Często, nie mogąc zasnąć, przytulali się do siebie, chichocząc beztrąsko. Teraz w ogóle nie zwracali już na to uwagi. Andy polubił nawet ich ciasne mieszkanie, utrzymywane przez Jean w nieskazitelnej czystości. Czasem wstawała o piątej rano, żeby przygotować mu ciasteczka z jagodami i doprowadzić wszystko do idealnego porządku przed wyjściem do pracy. Okazało się, że jest jeszcze wspanialsza, niż przypuszczał, pomyślał uśmiechając się do siebie i przekręcając klucz w zamku. W korytarzu gwizdał wiatr, kołysząc dawno przepalonymi żarówkami, ale w momencie,

kiedy przekraczał próg mieszkania, wszystko stało się jasne i radosne. Wykrochmalone, białe zasłony z muślinu, uszyte przez Jean, śliczny, niebieski dywanik, obicia foteli zrobione na wieczorowym kursie, i wreszcie meble, które kupili z drugiej ręki - wszystko to lśniło nienaganną czystością dzięki jej ogromnej pracowitości. Rozejrzył się dokoła i nagle, po raz pierwszy od kiedy się zaciągnął, ogarnął go wielki żal. Kiedy pomyślał, jak powie jej o tym, że opuszcza Nowy Jork za trzy dni, odczuł niemal fizyczny ból. Łzy zakręciły mu się w oczach, gdy zdał sobie sprawę, że nie wiadomo kiedy wróci... jeśli... a nawet czy w ogóle.... Do diabła, to nie w tym rzecz, pomyślał. Jeśli on nie pojedzie, żeby rozprawić się z Japońcami, to kto? A jeśli nie zrobi się z nimi porządku teraz, to któregoś dnia te dranie przylecą tu i obrócą w pył Nowy Jork... i jego dom... Jean.

Usiadł w fotelu, który Jean własnoręcznie obciągnęła miłym, zielonym materiałem, i zatopił się w rozmyślaniach... San Diego... Japonia... Święta... Jean. Nie wiedział, jak długo to trwało, gdy nagle ocknął się gwałtownie. W zamku zazgrzytał klucz. W otwartych drzwiach stanęła Jean, taszcząc brązowe torby pełne zakupów z A&P. Początkowo go nie zauważyła. Dopiero gdy zapaliła światło, drgnęła zaskoczona na widok jego roześmianej twarzy. Jasna czupryna swobodnie opadała mu na czoło, a zielone oczy utkwione były w nią. Nadal był tak samo przystojny, jak sześć lat temu, gdy spotkali się po raz pierwszy. Miał wtedy siedemnaście lat, a ona piętnaście.... Teraz był młodym, atrakcyjnym, dwudziestotrzyletnim mężczyzną.

- Cześć, kochanie, co tu robisz?

- Przyjechałem do domu, żeby zobaczyć się z tobą.

Odebrał od niej ciężkie pakunki, a ona popatrzyła na niego dużymi, ciemnymi oczyma z takim samym uwielbieniem, jak zawsze. Zaimponował jej w chwili, kiedy się poznali i nadal była pod jego urokiem. Przez dwa lata chodził do wieczorowego college'u; w szkole należał do drużyny lekkoatletycznej, dopóki nie uszkodził sobie kolana, przez parę miesięcy grał w futbol, poza tym, jeszcze na początku ich znajomości, był gwiazdą koszykówki w ostatniej klasie. Z upływem lat wcale nie wydawał się jej mniej doskonały. Jej podziw dla niego rósł z czasem, kiedy dostał dobrą pracę u największego dealera buicków w Nowym Jorku, co dawało mu szansę, że kiedyś zostanie tam szefem...

kiedyś.... A może wróci jeszcze do szkoły? Rozmawiali już o tym. Ale na razie przynosił do domu czek na całkiem przyzwoitą sumę, który w połączeniu z jej zarobkami zapewniał im godziwe życie. Lepiej niż ktokolwiek inny potrafiła zagospodarować każdego dolara. Była do tego przyzwyczajona. Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy miała osiemnaście lat, i od tej chwili musiała sama o siebie zadbać. Na szczęście kończyła właśnie szkołę dla sekretarek, a że była bystrą dziewczyną znalazła szybko dobrą posadę w firmie prawniczej. Niedługo miną już trzy lata, odkąd zaczęła tam pracować. Wyglądała naprawdę efektownie, idąc co rano do pracy we własnoręcznie uszytych, doskonale dopasowanych garsonkach. Kapelusze i rękawiczki dobierała zawsze bardzo starannie, musiały być w najmodniejszym stylu. Każdy szczegół swojego ubioru omawiała z Andym, żeby mieć pewność, że dokonała słusznego wyboru. Znowu uśmiechał się do niej, patrząc jak zsuwa rękawiczki i odrzuca czarny kapelusz na duży zielony fotel.

- Jak minął dzień, moja słodka?

Często po powrocie z pracy przekomarzał się z nią, podszczypywał, ustami muskał jej szyję, a zaraz potem porywał ją w ramiona, by wreszcie osiąść. Z trudem poddawała się miłosnym igraszkom, po całym dniu spędzonym w sztywnej atmosferze biura.

Kiedy któregoś dnia zajrzał do niej w czasie pracy, zaskoczyła go swoim chłodem i powagą. Zresztą, odkąd ją pamiętał, zawsze trzymała wszystkich na dystans. Zauważył jednak, że od kiedy się pobrali stała się bardziej swobodna i naturalna. Pocałował ją delikatnie w kark, a ona poczuła dreszcz rozkoszy przebiegający jej po plecach.

- Zaczekaj, odłożę tylko zakupy... - uśmiechnęła się tajemniczo i spróbowała odebrać mu jedną z toreb, ale on nie pozwolił na to i pocałował ją w usta.

- Po co czekać?

- Andy... daj spokój... - Jego ręce zaczęły przesuwać się po jej ciele, uwolniły ją od ciężkiego palta, rozpięły czarne guziki żakietu. Torby z zakupami odfrunęły w kąt, podczas gdy ich rozpalone usta i ciała zwały się w namiętym uścisku. Jean wymknęła mu się na chwilę, by zaczerpnąć powietrza; zachichotała, ale to nie ostudziło jego

pożądania.

- Andy... co w ciebie dziś wstąpiło...? Uśmiechnął się do niej figlarnie, nie chcąc jej zrazić jakimś niewłaściwym słowem.

- Nie pytaj.

Zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem, jednym ruchem ręki pozbywając się palta, zakietu i bluzki. W chwilę później na podłogę zsunęła się spódnica, odsłaniając biały, koronkowy pas, z takimi samymi majteczkami, jedwabne pończochy ze szwem i parę absolutnie oszałamiających nóg. Przesunął rękami po jej gładkiej skórze i znowu przyciągnął ją mocno do siebie. Nie oponowała, gdy delikatnie ułożył ją na kanapie. Wręcz przeciwnie, zerwała z niego ubranie. Nagle usłyszeli łoskot przejeżdżającego pociągu i oboje zaczęli się śmiać.

- Do diabła z nim... - zamruczał, jedną ręką rozpinając jej biustonosz.

Uśmiechnęła się.

- Wiesz, nawet polubiłam już ten dźwięk.....

Tym razem to Jean go pocałowała i chwilę później ich ciała znów splotły się ciasno. Wydawało się, że upłynęły całe godziny, zanim jedno z nich przerwało ciszę, panującą w pokoju. W kuchni nadal paliło się światło, przy drzwiach wejściowych także, tylko w saloniku, gdzie leżeli i w małej sypialni obok panowała ciemność. Ale nawet po ciemku czuł, że Jean przygląda mu się.

- Coś jest nie tak, prawda? - Przez cały tydzień czuła jakiś niewytłumaczalny ucisk w żołądku. Zbyt dobrze знаła swojego męża.

- Andy...?

On nadal nie wiedział, jak jej to powiedzieć. Wcale nie było mu łatwiej niż dwa dni temu. Im bliżej końca tygodnia, tym będzie trudniej. Ale kiedyś musi to zrobić. Gdyby mógł odłożyć to na później. Po raz pierwszy od trzech dni, zaczął nagle zastanawiać się, czy podjął właściwą decyzję.

- Naprawdę nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Ale ona już wiedziała, co Andy ma na myśli. Gdy patrzyła na niego w ciemności, czuła jakby jej serce przestawało bić. Miała oczy szeroko otwarte i, jak często przed laty,

zmartwiony wyraz twarzy. Tak bardzo różniła się od niego. Jego oczy roziskrzane były śmiechem, a myśli wesole i jasne. Miał radosne spojrzenie, a w zanadrzu zawsze jakiś żart czy dowcipną uwagę. Życie obchodziło się z nim łagodnie. Jean nie miała tyle szczęścia. Cechowało ją to samo nerwowe napięcie, jakie pojawia się u dzieci ciężko doświadczonych przez los. Urodziła się w rodzinie alkoholików. Jej siostra, cierpiąca na epilepsję, umarła leżąc w łóżku obok Jean. Miała wtedy trzynaście lat, Jean dziewięć. Osierocona w wieku osiemnastu lat, niemal od urodzenia walczyła o przetrwanie. I mimo to był w niej jakiś specjalny, wrodzony urok, któremu nie pozwolono rozkwitnąć, jednak Andy wiedział, że to nastąpi we właściwym czasie. Trzeba go tylko dobrze pielęgnować. Ale teraz nie mógł już nic zrobić i to dawne, smutne spojrzenie, które pamiętał z czasów, kiedy się poznali, znowu pojawiło się w jej oczach.

- Jedziesz, prawda?

Potwierdził kiwnięciem głowy, a jej głębokie, ciemne oczy wypełniły się łzami. Jean położyła się na kanapie, na której kochali się jeszcze przed chwilą.

- Kochanie, proszę, nie patrz tak na mnie...

Poczuł się w tej chwili zwyczajnym sukinsynem. Nie mogąc znieść jej bólu, nagle wstał i odszedł w głąb pokoju, by wyjąć paczkę Cameli z kieszeni palta. Wyciągnął nerwowo papierosa, zapalił go i usiadł w zielonym fotelu, naprzeciwko kanapy. Teraz płakała już otwarcie, lecz gdy spojrzała na niego, nie dostrzegł w jej oczach zaskoczenia.

- Wiedziałam, że pojedziesz.

- Muszę, kochana.

Pokiwała głową. Miał wrażenie, że go rozumie, ale wiedział jednocześnie, że przez to jej ból nie zmniejszał się. Wydawało się, że upłynęły całe godziny, zanim zdobyła się na odwagę, żeby zapytać o to, co interesowało ją teraz najbardziej.

- Kiedy?

Andy Roberts poczuł, jak głos więźnie mu w gardle. To były najtrudniejsze słowa, jakie kiedykolwiek musiał wypowiedzieć.

- Za trzy dni.

Zadrżała i znów zamknęła oczy, kiwając głową, a łzy spływały po jej policzkach.

W ciągu następnych trzech dni już nic nie toczyło się normalnie. Przestała chodzić do pracy, zachowywała się jak w transie. Robiła dla niego wszystko, co tylko udało jej się wymyśleć; prała bieliznę, zwiјаła skarpetki, piekła ciasteczka na drogę. Przez cały czas krzątała się, jakby mogła w ten sposób powstrzymać to, co było nieuniknione. Ale to już nie miało sensu. W sobotę wieczorem zmusił ją wreszcie, by się uspokoiła, przestała pakować rzeczy, których nie potrzebował, zostawiła ciasteczka, których i tak nie zje, i skarpetki, którymi sam mógł się zająć. Gdy wziął ją w ramiona, Jean załamała się zupełnie.

- O Boże, Andy... nie mogę... co ja bez ciebie zrobię...? Gdy spojrzał jej w oczy i zrozumiał, jak bardzo ją skrzywdził, poczuł nagle rozdzierającą pustkę. Ale nie miał wyboru... już za późno... był mężczyzną... musiał walczyć... potrzebowała go ojczyzna....

Pomimo żalu i dręczących go wyrzutów sumienia odczuwał także dziwny, dotąd nie znany dreszcz emocji. Wyprawa na wojnę była dla niego jakąś niepowtarzalną szansą, niemal mistycznym rytuałem, dzięki któremu miał się stać prawdziwym mężczyzną. I właśnie w sobotni wieczór ośwładnęły nim te sprzeczne uczucia. Był rozdarty między miłością do Jean, a obowiązkiem, który miał spełnić. Wiele by dał, żeby być już w pociągu, w drodze na zachód i mieć to wszystko za sobą. Już niedługo. O piątej rano miał zameldować się na Grand Central Station. Kiedy obudził się rano i wstał, by się ubrać - spojrzał na Jean. Wydawała się spokojniejsza. Chociaż łzy jej już obeschły, miała czerwone, opuchnięte oczy i zrezygnowany wyraz twarzy. Czuła się tak, jakby po raz drugi traciła siostrę albo rodziców. Andy był dla niej wszystkim. Wolałaby umrzeć, niż go utracić. I nagle on też ją opuszczał.

- Poradzisz sobie, prawda kochanie? - Usiadł na brzegu łóżka. Patrzył na nią, szukając potwierdzenia. Uśmiechnęła się smutno i wyciągnęła do niego rękę.

- Chyba będę musiała? Wiesz, czego bym chciała? Oboje wiedzieli, że chciała, by nie jechał na wojnę. Czytała w jego myślach całując koniuszki jego palców.

- Poza tym... Myślę, że w tym tygodniu mogłam zająć w ciążę...

Emocje ostatnich dni sprawiły, że zapomnieli o jakichkolwiek środkach ostrożności. Zdawał sobie z tego sprawę, ale tyle wydarzyło się w tym tygodniu. Liczył na

to, że był to dla niej ten bezpieczny okres. Ale po tym, co powiedziała, zaczął mieć wątpliwości. Przez cały czas byli bardzo ostrożni, bo ustalili już dawno, że nie będą mieli dzieci przez kilka pierwszych lat po ślubie. Chcieli najpierw znaleźć lepszą pracę. Andy miał nadzieję, że uda mu się wrócić jeszcze na dwa lata do college'u. Nie spieszyli się, byli oboje tacy młodzi, ale teraz... w tym ostatnim tygodniu wszystkie ich życiowe plany legły w gruzach.

- Właśnie miałem wątpliwości w tym tygodniu.... Czy myślisz, że mogłaś...? -

Przyglądał się jej trochę spłoszony. Nie, tego by nie chciał. Zostawić ją samą w ciąży. A on, Bóg wie gdzie, w wojennej zawierusze.

Wzruszyła ramionami. - Może... - Uśmiechnęła się i usiadła. - Dam ci znać.

- Świetnie. Właśnie tego nam teraz trzeba. - Zasepił się i nerwowo spojrzął na zegar przy łóżku. Było dziesięć po czwartej. Musiał już iść.

- Może właśnie tego. - Nagle zaczęła szybko mówić, jakby chciała zdążyć przed jego odjazdem. - To znaczy, wiesz Andy, ja bardzo chciałabym, żeby to była prawda.

- Właśnie teraz? - Spojrzął na nią z niedowierzaniem. W ciszy ciasnego pokoiku usłyszał jej szept.

- Tak.

ROZDZIAŁ DRUGI

Za oknem przemknął z łoskotem pociąg, dając odrobinę przewiewu w powietrzu, jakby zastygłym w bezruchu i upale. Jean już od kilku dni siadywała bezczynnie przed otwartym oknem. Sierpniowy żar był tak dokuczliwy, że wydawało się jakby dom miał za chwilę stanąć w płomieniach ognia. Fale gorąca unosiły się z chodników, przyklejając się do rozpalonych ścian piaskowca. Czasem w nocy wstawała z łóżka, by choć przez chwilę nacieszyć się tchnieniem wiatru, który unosił za sobą przejeżdżający pociąg. Innym razem siadała w łazience owinięta mokrym ręcznikiem, ale tak naprawdę to nic nie pomagało; cały czas było za gorąco. Dziecko tylko pogarszało sytuację. Czuła, że za chwilę jej ciało eksploduje. Ruchy dziecka były ostatnio silniejsze, jakby ono też się dusiło od tego upału. Jean uśmiechnęła się myśląc o nim. Nie mogła się doczekać, żeby je zobaczyć... zostały już tylko cztery tygodnie... za cztery tygodnie będzie mogła wziąć swoje maleństwo na ręce... miała nadzieję, że będzie podobne do Andy'ego. Był teraz gdzieś na Pacyfiku i robił dokładnie to, czego chciał - walczył z Japońcami. Pisał o tym w listach, a jego słowa jakoś zawsze sprawiały jej ból. Jedną z dziewcząt z biura, w którym pracowała, była Japonką i zareagowała tak miło, gdy dowiedziała się, że Jean jest w ciąży. Nawet zastępowała ją na początku, gdy Jean miała takie mdłości, że nie mogła wytrzymać w pracy. Bywało, że kiedy dowlokła się do biura, gapiała się bezmyślnie w maszynę do pisania i modliła, by udało się jej zdążyć do łazienki. Pozwolili jej pracować w firmie jeszcze sześć miesięcy. Podobno to i tak dosyć długo w porównaniu z innymi pracodawcami. Uważali widocznie, że jest to ich patriotyczny obowiązek, skoro jej mąż, Andy jest na wojnie. Napisała mu o tym. Pisała do niego prawie codziennie, ale listy od niego przychodziły nie częściej niż raz na miesiąc. Zwykle był zbyt zmęczony, żeby pisać, a przy tym korespondencja docierała do niej z bardzo dużym opóźnieniem. Walka na froncie, jak pisał, wcale nie przypominała handlu buickami w Nowym Jorku. Rozśmieszał ją opowieściami o kiepskim żarciu i dowcipami o kumplach z wojska. Starał się, żeby wszystko, co opisywał, nie wyglądało tak strasznie jak w rzeczywistości. Ale ona, czytając te listy, bała się jak nigdy w życiu. Zwłaszcza wtedy, gdy nie czuła się najlepiej. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, była pełna sprzecznych uczuć. W ciągu tych

kilku dni przed jego wyjazdem myśl o dziecku cieszyła ją, ale gdy podejrzenia potwierdziły się, nie była przekonana, czy da sobie radę. Musiała przecież rzucić pracę, a poza tym była sama. Dręczyły ją wątpliwości, czy uda jej się utrzymać siebie i dziecko? Nie była też pewna jego reakcji. Na szczęście, kiedy wreszcie dostała list, wyglądało na to, że jest zachwycony i cieszy się razem z nią. Była wtedy w piątym miesiącu i nie bała się już tak bardzo jak na początku.

Przez kilka ostatnich miesięcy miała dość czasu, żeby zamienić ich sypialnię w pokój dla niemowlęcia. Wszystko uszyła sama z białej tkaniny i wykończyła żółtymi kokardkami. Szyk i robiła na drutach maleńkie czapeczki, buciczki i sweterki. Namalowała śliczne obrazki na ścianach wokół kąca dla dziecka i chmurki na suficie. Jeden z sąsiadów skrzyczał ją nawet, gdy dowiedział się, że malowała sama, stojąc na drabinie. Ale teraz, kiedy nie pracowała, nie miała nic lepszego do roboty. Oszczędzała każdy grosz. Nie chodziła do kina, żeby jak najwięcej odłożyć. Poza tym dostawała część żołądka Andy'ego. Będzie potrzebowała tych pieniędzy dla dziecka. Kilka pierwszych miesięcy spędzi w domu z maleństwem, jeśli będzie to możliwe, a potem poszuka opiekunki i wróci do pracy. Miała nadzieję, że leciwa pani Weissman z czwartego piętra zgodzi się zaopiekować jej dzieckiem. Starsza pani była typem babci o anielskiej dobroci. Mieszkała tu od lat i ucieszyła się na wiadomość o dziecku Jean. Zaglądała do niej codziennie. Czasami, gdy widziała światło sączące się spod drzwi, odwiedzała ją nawet późnym wieczorem.

Ale dziś Jean nie zapalała światła. Siedziała w ciemnościach, z trudem oddychając w duszącym upale. Wsluchiwała się w stukot przejeżdżających pociągów, aż do nocnej przerwy. A potem przed świtem, słyszała jak zaczynały jeździć od nowa. Oglądając wschód słońca zastanawiała się, czy będzie jeszcze kiedyś normalnie oddychać albo leżeć, nie czując potwornego skwaru. Niektóre dni były tak wyczerpujące, że nic nie pomagało, nawet lekkie powiewy wiatru wywołanego przez przejeżdżające pociągi. Była prawie ósma rano, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Pomyślała, że to pewnie pani Weissman. Narzuciła na siebie różowy szlafrok i z ciężkim westchnieniem poczłapała boso do drzwi. Bogu dzięki, że zostały tylko cztery tygodnie. Nie mogłaby już

dłużej tego wytrzymać.

- Dzień dobry... - Ze zmęczonym uśmiechem na twarzy otworzyła szeroko drzwi, spodziewając się zobaczyć sąsiadkę. Zaczerwieniła się, widząc przed sobą obcego mężczyznę. Był w brązowym mundurze i wojskowej czapce na głowie. W ręku trzymał żółtą kopertę. Patrzyła na niego, nie rozumiejąc, a raczej nie chcąc zrozumieć, bo wiedziała zbyt dobrze, jaką wiadomość miał do przekazania. Mężczyzna przyglądał się jej z zainteresowaniem. Widziała jego twarz jak przez mgłę. Gdy ocknęła się z szoku i gorąca, sięgnęła po kopertę i otworzyła ją bez słowa. To był ten moment, którego obawiała się najbardziej. Jeszcze raz spojrzała nieprzytomnie na doręczyciela tragicznej wiadomości, nie odrywając wzroku od jego munduru. Z jej ust wydobył się przeraźliwy krzyk. Cicho osunęła się na podłogę, prosto pod jego nogi. On przyglądał się temu w niemym przerażeniu, aż wreszcie zaczął wołać o pomoc. Miał dopiero szesnaście lat i jeszcze nigdy nie widział z tak bliska ciężarnej kobiety. Dwoje drzwi otworzyło się po drugiej stronie korytarza, a w chwilę później z góry rozległo się człapanie po schodach. Pani Weissman natychmiast zaczęła przykładać Jean zimne kompresy na głowę. Młodzieniec powoli wycofał się, by wreszcie pospiesznie zbiec schodami na dół. Chciał jak najszybciej wydostać się z tego małego, dusznego domu. Jean jęknęła, a pani

Weissman i dwie inne sąsiadki przeniosły ją na kanapę, gdzie ostatnio sypiała. To ta sama kanapa, na której zostało poczęte jej dziecko, na której ona i Andy... Andy... Andy...

Z przykrością zawiadamiamy panią... że mąż pani poległ w służbie dla ojczyzny... zabity podczas akcji na Guadalcanal... podczas akcji... akcji... - jej głowa chwiała się. Nie potrafiła rozpoznać pochylonych nad nią twarzy.

Jean...? Jean... - Wołały ją po imieniu. Na czole czuła coś zimnego. Kobiety patrzyły to na nią, to znów na siebie. Helen Weissman przeczytała telegram i szybko pokazała go pozostałym dwóm.

Jean powoli dochodziła do siebie, z trudem oddychając. Pomogły jej usiąść i zmusiły do wypicia kilku łyków wody. Spojrzała pytającym wzrokiem na panią Weissman i nagle tragiczna wiadomość ponownie ugodziła w nią jak grom. Szloch dusił ją teraz

bardziej niż upał, nie mogła już złapać oddechu. Przyłgnąwszy kurczowo do starszej kobiety, łkała... on nie żył... tak jak wszyscy... jak Mama i Tata, i Ruthie... już go nie ma... opuścił ją... już go nigdy nie zobaczy... - kwiliła jak małe dziecko. Jej serce przeszył ból, jakiego dotąd nie doznała, nawet po śmierci najbliższej rodziny. - Już dobrze kochanie, już wszystko dobrze... - uspokajały ją, wiedząc że to, co mówią, nie jest prawdą. Nigdy już nie będzie dobrze, teraz, gdy została sama...

Sąsiadki wróciły do swoich mieszkań, a pani Weissman została z Jean. Niepokoił ją szklisty wyraz oczu dziewczyny. Obawiała się o nią, widząc że nie może znaleźć sobie miejsca i zaczyna znowu gwałtownie szlochać. Gdy zostawiła ją na jakiś czas samą, ciągle słyszała przeraźliwy płacz dochodzący z jej mieszkania. W ciągu dnia i nocy wiele razy wracała do Jean, by sprawdzić, w jakim jest stanie. Zadzwoiła nawet do lekarza prowadzącego ciążę Jean, który prosił, by pani Weissman przekazała jej wyrazy współczucia. Jednocześnie ostrzegł, że dziewczyna może zacząć rodzić wcześniej z powodu szoku, jaki przeżyła.

Pierwsze skurcze pojawiły się późnym wieczorem. Jean zaciskając z bólu pięści spacerowała bez przerwy po ciasnym mieszkanku, jakby nagle w ciągu kilku godzin zrobiło się dla niej zbyt małe. Cały jej świat nagle runął w gruzy, nie wiedziała, dokąd pójść i co robić. Nie było nawet ciała, które mogłaby pochować... pozostała tylko pamięć o wysokim, przystojnym, jasnowłosym chłopcu... i dziecko, które nosiła w swoim łonie.

- Dobrze się czujesz? - Na dźwięk głosu sąsiadki, Jean uśmiechnęła się. Helen Weissman mieszkała w tym kraju czterdzieści lat, a nadal mówiła z silnym niemieckim akcentem. Była mądrą i dobroduszną kobietą. Lubiły się z Jean. Sama straciła męża trzydzieści lat temu i nigdy nie wyszła powtórnie za mąż. Miała troje dzieci w Nowym Jorku, które wpadały do niej od czasu do czasu, głównie po to, żeby zostawić wnuki pod jej opieką. Syn mieszkał w Chicago i dobrze mu się powodziło.

- Czujesz bóle? - Dziewczyna przecząco potrząsnęła głową. Jej ciało było odrętwiałe po całym dniu cierpienia i płaczu. Nie wiedziała już, co czuje, po prostu ból, upał i zmęczenie. Wyprostowała plecy, jakby chciała się przeciągnąć.

- Już wszystko dobrze. Niech pani pójdzie się przespać, pani Weissman. - Jej głos

był zachrypnięty po całodziennym szlochaniu.

Spojrzała na zegar w kuchni i uświadomiła sobie, że upłynęło już piętnaście godzin, od kiedy dostała telegram z wiadomością o śmierci Andy'ego.... Piętnaście godzin, a czuła się jakby minęło piętnaście lat... tysiąc lat...

Znowu chodziła po pokoju, a Helen Weissman przyglądała się jej z niepokojem.

- Chcesz pójść na spacer?

Za oknem przetoczył się pociąg, a Jean zaprzeczyła ruchem głowy. Nawet o jedenastej w nocy było zbyt gorąco, żeby spacerować. Nagle zrobiło jej się potwornie duszno.

- Chyba napiję się czegoś zimnego.

Nalała sobie szklankę lemoniady, którą trzymała w ochłodzonym dzbanku. Przez chwilę czuła przyjemny chłód, ale żołądek odmówił jej posłuszeństwa. Zaraz potem pobiegła do łazienki, gdzie długo wymiotowała i krztusiła się. Wreszcie wróciła do pokoju.

- Powinnaś się położyć - doradziła Helen.

Jean zupełnie osłabiona ułożyła się na kanapie. Leżąc, czuła się jeszcze gorzej. Spróbowała więc usadowić się w wygodnym, zielonym fotelu, ale po kilku minutach stwierdziła, że to nic nie pomaga. Dokuczały jej bóle w dole kręgosłupa i nieprzyjemne skurcze w okolicy żołądka. Helen Weissman zostawiła ją samą około północy. Jean obiecała, że wezwie ją, gdy poczuje się gorzej. Była jednak przekonana, że to nie będzie konieczne. Zgasła światło i w ciszy pustego pokoju rozmyślała o mężu, o Andym.... O jego dużych, zielonych oczach i prostych, jasnych włosach... Gwiazda lekkoatletyki... bohater futbolu... jej pierwsza i jedyna miłość. Chłopiec, którego pokochała w chwili, gdy ujrziała go po raz pierwszy.

Gdy myślała o nim, chwytaly ją przejmujące bóle, promieniujące od brzucha do kręgosłupa. Powtarzały się tak często, że z trudem łapała oddech. Wstała niepewnie, czując ogarniające ją mdłości. Chciała dotrzeć za wszelką cenę do łazienki, gdzie wymiotowała przez blisko godzinę, podczas gdy jej ciało cały czas przeszywały bóle. Powracające torsje wyrywały jej wnętrzności. Zupełnie osłabiona zaczęła wzywać Andy'ego.

Tak właśnie zastała ją Helen Weissman o pierwszej trzydzieści nad ranem. Postanowiła, że przed snem sprawdzi jeszcze, jak się czuje Jean. Tej nocy było zbyt gorąco żeby spać, dlatego tak długo była jeszcze na nogach. Gdy zobaczyła Jean, dziękowała Bogu za swoją bezsenność. Poszła do swego mieszkania tylko na krótką chwilę, aby zadzwonić do doktora i na policję, która obiecała natychmiast wysłać karetkę. Prędko narzuciła bawełniany szlafroczek, chwyciła portfel i w samych sandałach pospieszyła do Jean.

Dziesięć minut później usłyszały syreny. To znaczy, usłyszała je Helen, bo Jean półprzytomna zanosila się od spazmów. Helen Weissman próbowała ją uspokoić. W drodze do New York Hospital Jean wyła z bólu i przywoływała imię Andy'ego.

Wkrótce po przyjeździe do szpitala dziecko przyszło na świat. Pielęgniarki błyskawicznie przewiozły Jean na salę porodową i nie zdążyły jej nawet nic podać, gdy świat powitała gromkim płaczem ponad pięcioletnia dziewczynka, o kruczoczarnych włosach i mocno zaciśniętych piąstkach. Helen Weissman zobaczyła je godzinę później. Jean po zażyciu leków była wreszcie spokojna, a dziecko błogo drzemało.

Wracając tej nocy do swego mieszkania, Helen Weissman myślała o trudnych latach, jakie czekały Jean Roberts - młodą wdowę, w wieku lat dwudziestu dwóch, samotnie wychowującą dziecko. Dochodząc do domu Helen osuszyła łzy spływające po policzkach. Naziemna kolejka przemknęła z hałasem o czwartej trzydzieści nad ranem. Starsza kobieta zdawała sobie sprawę, jak ogromnego poświęcenia wymaga samodzielne wychowywanie dziecka. Potrzeba było bezgranicznego oddania, ogromnej pasji, by zrobić wszystko dla dziecka, które nigdy nie pozna własnego ojca.

Jean przyjrzała się swemu maleństwu następnego ranka, gdy pielęgniarka przyniosła je po raz pierwszy do karmienia. Patrzyła na maleńką buzię, ciemne, jedwabne włoski, które wytrą się niebawem, jak mówiły pielęgniarki. Czula instynktownie, że będzie musiała poświęcić wszystko dla tego maleństwa. Nie przerażało jej to jednak. Tego właśnie chciała. Dziecka Andy'ego. To był ostatni prezent od niego. Będzie troszczyła się o nie i zrobi wszystko, by mu zapewnić to, co w życiu najlepsze. Będzie żyła, oddychała, pracowała tylko dla niej. Gotowa jest oddać temu dziecku całą swą

duszę.

Podczas gdy usteczka jak pączek róży, ssały pierś Jean, ona uśmiechała się na myśl o tym nie znanym dotąd uczuciu. Trudno jej było uwierzyć, że upłynęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd dowiedziała się o śmierci Andy'ego. Do pokoju weszła pielęgniarka, żeby zobaczyć, jak przebiega karmienie. Obie radziły sobie jednak doskonale. Dziecko było stosunkowo duże, biorąc pod uwagę fakt, że urodziło się o cztery tygodnie za wcześnie.

- Wygląda na to, że ma świetny apetyt. - Kobieta w wykrochmalonym, białym fartuchu i czepku na głowie, przyglądała się matce i niemowlęciu.

- Czy tatuś już ją widział?

Nie mogła przecież wiedzieć... nikt nie wiedział... nikt poza Jean i Helen Weissman. Oczy Jean wypełniły się łzami i pokręciła przecząco głową. Pielęgniarka poklepała ją po ramieniu, nic nie rozumiejąc. Nie, tatuś jej nie widział i nigdy nie zobaczy.

- Jak będzie miała na imię?

Zastanawiali się nad tym w listach i wreszcie wybrali imię dla dziewczynki, mimo że oboje mieli nadzieję, że to będzie chłopiec. To zabawne, ale po chwili zaskoczenia i niemal rozczarowania dziewczynką, teraz Jean uważała, że to najwspanialsze, co mogło ją spotkać. Tak jakby od początku dokonała takiego właśnie wyboru. Widać natura wiedziała, co dla niej najlepsze. Gdyby urodził się chłopiec, dostałby imię po ojcu. Ale Jean już miała imię dla dziewczynki, które jej się podobało i nadeszła właśnie chwila, kiedy miała wypowiedzieć je po raz pierwszy. Jej oczy błyszczały dumą, tuląc niemowlę odparła:

- Nazywa się Tana Andrea Roberts. - Tana.... Uwielbiała melodię tego imienia i doskonale pasowało ono do jej córeczki.

Pielęgniarka uśmiechała się, odbierając małe zawiniątko po zakończonym karmieniu. Zgrabnym ruchem poprawiła pościel i spojrzała na Jean.

Proszę teraz odpocząć, pani Roberts. Przyniosę pani Tanę, gdy będzie gotowa.

Drzwi zamknęły się za nimi, a Jean leżała z głową opartą na poduszkach, starając się nie myśleć o Andym, tylko o dziecku.... Nie chciała myśleć o tym, jak zginął, o tym, co

mu zrobili... czy wzywał ją w obliczu śmierci... Wydała z siebie cichy jęk obracając się, by poleżeć na brzuchu, po raz pierwszy od miesiący. Wtuliła twarz w poduszkę i jęczała tak długo, aż wreszcie zapadła w sen. Śniła o jasnowłosym chłopcu, którego kochała... i dziecku, które jej pozostawił... Tana... Tana...

ROZDZIAŁ TRZECI

Jean Roberts podniosła słuchawkę telefonu od razu po pierwszym dzwonku. W ciągu kilkunastu lat intensywnej pracy nauczyła się wykonywać swoje obowiązki bardzo sprawnie i z dużą dozą profesjonalizmu. Zaczęła tu pracować dwanaście lat temu. Miała wtedy dwadzieścia osiem lat, Tana sześć. Jean nie mogła już znieść myśli o nudnej pracy sekretarki w kolejnym biurze adwokackim. W ciągu sześciu lat zmieniła trzy miejsca pracy i każde następne zajęcie wydawało się jej jeszcze mniej ciekawe. Ponieważ jednak dostawała niezłą pensję, nie szukała innej posady ze względu na Tanę. Ona zawsze stała na pierwszym miejscu. Była oczkiem w głowie Jean.

- Na litość boską, daj dzieciakowi odetchnąć... - powiedziała kiedyś jedna z jej koleżanek z pracy.

Od tej pory Jean traktowała ją ozięble. Wiedziała dokładnie, co ma robić. Zabierała Tanę do teatru, na balet, do muzeów, bibliotek, galerii sztuki i na koncerty. Starła się, by dziewczynka mogła uczestniczyć we wszelkich wydarzeniach kulturalnych, na jakie Jean było stać. Niemal wszystkie pieniądze wydawała na edukację i rozrywki córki. Całą rentę po Andym udawało jej się odkładać. Tana nie była jednak zepsuta. Jean chciała, by jej córka zaznała tego, co w życiu najlepsze i czego tak bardzo jej samej brakowało.

To było bardzo ważne. Trudno teraz ocenić, czy tak samo wyglądałoby ich życie, gdyby był z nimi Andy. Najprawdopodobniej wynająłby łódź i zabrałby je na Long Island Sound. Od małego uczyłby Tanę pływać, zbierać mięczaki, biegałby z nią po parku, jeździliby na wycieczki rowerowe... rozpieszczałby swoją śliczną, jasnowłosą córeczkę, która wyglądała dokładnie tak samo jak on. Szczupła, zgrabna, zielonooka blondynka, z tym samym co ojciec figlarnym uśmiechem na twarzy. Pielęgniarki w szpitalu miały rację. Jedwabiste, czarne włoski wytarły się wkrótce po urodzeniu i zastąpiła je burza bladozłotych kędziorków. Potem zaczęły bardziej przypominać złociste, proste łany zboża. Wyrosła na śliczną dziewczynkę i Jean była z niej bardzo dumna.

Gdy Tana miała dziewięć lat, Jean udało się przenieść ją ze szkoły publicznej do szkoły Panny Lawson. Miało to dla niej wielkie znaczenie, a dla dziewczynki była to

wspaniała szansa na lepszą przyszłość. Artur Durning okazał się bardzo pomocny w tej sprawie, mimo że nazywał to tylko drobną przysługą. Wiedział, jak istotną kwestią było umieszczenie dziecka w dobrej szkole. Sam miał dwoje dzieci, które chodziły do ekskluzywnych szkół: Cathedral i Williams w Greenwich. Były starsze od Tany; jedno o dwa, a drugie o cztery lata.

Jean dostała tę posadę przez przypadek. Artur Durning kilkakrotnie przychodził do biura, w którym pracowała. Odbywał długie konferencje z jednym z właścicieli, Martinem Pope. Pracowała dla Pope'a, Madisona i Watsona już dwa lata i umierała z nudów. Ponieważ jednak płacili jej nieźle, nie mogła pozwolić sobie na to, żeby się zwolnić i szukać jakiejś pracy „dla przyjemności”. Musiała pamiętać o Tanie. Myślała o niej w dzień i w nocy. Celem jej życia było wychowanie córki. To właśnie powiedziała Arturowi, kiedy zaprosił ją na drinka po dwóch miesiącach przypadkowych spotkań w biurze Martina Pope'a.

Artur i Marie żyli wtedy w separacji - Marie przebywała w „prywatnej klinice” w Anglii. On niechętnie o tym mówił, a Jean nie naciskała. Miała dosyć swoich własnych problemów i obowiązków. Nigdy nie użalała się przed nikim na swój los. Nie skarżyła się z powodu śmierci męża. Nie narzekała na samotność, mimo że sama wychowywała dziecko. Nie opowiadała o swoich problemach i obawach. Wiedziała dokładnie, jakiego życia pragnęła dla Tany. Chciała zapewnić jej odpowiednie wykształcenie, przyjaciół na poziomie i poczucie bezpieczeństwa. Wszystko to, czego jej samej brakowało. I mimo że nie mówiła o tym, wydawało się, że Artur Durning ją rozumiał. Był szefem jednego z największych w kraju konsorcjów w branży plastiku, szkła i opakowań do artykułów spożywczych. Konsorcjum posiadało też ogromne udziały w wydobywaniu ropy na Środkowym Wschodzie. Dysponował nieograniczonymi funduszami. Jean podobał się jego zrównoważony charakter i bezpośredni stosunek do niej.

Właściwie było więcej cech, które w nim cenila. Do tego stopnia, że wkrótce po pierwszym zaproszeniu na drinka pozwoliła zabrać się na kolację. Potem nastąpiły kolejne spotkania i tak oto po miesiącu ich znajomość przerodziła się w romans. Był najwspanialszym mężczyzną, jakiego Jean Roberts spotkała do tej pory. Roztaczał wokół

siebie atmosferę siły i zdecydowania w działaniu. Oprócz tego cechowała go jednak nadzwyczajna wrażliwość - Jean dobrze wiedziała, jak bardzo cierpiał z powodu żony. Kiedyś opowiedział jej o tym. Marie zaczęła pić zaraz po urodzeniu drugiego dziecka. Jean zbyt dobrze pamiętała ból, jakiego doznawała patrząc jak jej rodzice zapijają się na śmierć. Z przykrością wspominała tę tragiczną chwilę, gdy oboje zginęli w wypadku samochodowym. Wpadli w poślizg na oblodzonej szosie w noc sylwestrową. Oczywiście byli wtedy pijani. Marie także rozbiła samochód wioząc pewnego wieczora córkę z koleżankami. Ann i jej przyjaciółki miały po dziesięć lat i jedno z dzieci, które były wtedy w samochodzie, ledwie uszło z życiem. Marie Durning obiecała wtedy, że zerwie z nałogiem, ale Artur nie robił sobie nadziei. Miała trzydzieści pięć lat i od dziesięciu lat była nałogową alkoholiczką. Artur był rozpaczliwie zmęczony takim życiem. Dlatego właśnie tak bardzo pociągała go świeżość i atrakcyjność Jean. Spotkania z nią dodawały mu sił i chęci do życia. Podobała mu się swego rodzaju duma, która emanowała z tej młodej, dwudziestoosmioletniej dziewczyny. Ujęła go. także miłym i łagodnym wyrazem oczu. Zachowywała się tak, jakby wszystko, co robiła, było dla niej bardzo ważne, zwłaszcza jeśli dotyczyło to jej córki. Roztaczała wokół siebie jakieś ciepło i tego właśnie potrzebował najbardziej. Na początku czuł się trochę zagubiony i zaskoczony rodzącym się między nimi uczuciem. Szesnaście lat temu poślubił Marie i miał już czterdzieści dwa lata. Nie wiedział, jak poradzić sobie z dziećmi, co zrobić z domem... ze swoim życiem... z Marie. Tego roku zdarzyło się wiele spraw nieoczekiwanie, a on nie lubił niespodzianek. Na początku nie zapraszał Jean do domu. Nie chciał, aby dzieci nabrały podejrzeń i poczuły się zagrożone. Ale po jakimś czasie spotykali się już co wieczór i stopniowo Jean przejęła załatwianie spraw, na które nie mógł znaleźć czasu. Zatrudniła do jego rezydencji dwie gosposie i ogrodnika. Organizowała małe służbowe kolacje, które lubił wydawać, i przyjęcia dla dzieci z okazji Gwiazdki. Pomogła mu wybrać nowy samochód. Wzięła nawet parę dni urlopu, żeby towarzyszyć mu w kilku służbowych wyjazdach. Nagle okazało się, że życie bez niej jest zupełnie niemożliwe. Nie mógł się bez niej obejść. Jean zaczęła jednak zastanawiać się coraz częściej, co ich łączy i w głębi serca знаła już odpowiedź. Kochali się, to było pewne. Gdy tylko Marie wyzdrowieje, on

rozwiedzie się z nią i ożeni się z Jean...

Zamiast małżeństwa sześć miesięcy później zaproponował jej pracę. Nie bardzo wiedziała, jak ma na to zareagować. Tak naprawdę to nie chciała dla niego pracować. Kochała go, a on był dla niej taki dobry. Zakres obowiązków, jaki jej proponował, przekraczał jej najśmielsze marzenia. Miałyby robić dokładnie to, co robiła dla niego jako przyjaciółka już od sześciu miesięcy. Organizacja przyjęć, zatrudnianie personelu pomocniczego, dopilnowywanie, by dzieci miały odpowiednie ubrania, przyjaciół, opiekunki. Uważał, że ma doskonały gust, a nie wiedział przecież, że wszystkie ubrania dla siebie i Tany szyła własnoręcznie. Nawet obicia na meble w ich skromnym mieszkanku zrobiła sama. Nadal mieszkali w tym samym wąskim piaskowcu przy Third Avenue El, a Helen Weissman opiekowała się Taną, kiedy Jean była w pracy. Gdyby przyjęła ofertę Artura, mogłaby posłać Tanę do przyzwoitej szkoły. Na pewno pomógłby jej to załatwić. Przeprowadziłyby się do większego mieszkania. Artur był właścicielem jednego z budynków przy Upper East Side. Co prawda to nie to samo co Park Avenue, mówił z uśmiechem, ale i tak było tam znacznie przyjemniej niż tu, gdzie mieszkali teraz. Kiedy powiedział jej, jakie proponuje wynagrodzenie, o mało nie zemdląła z wrażenia. I w dodatku ta praca to czysta przyjemność.

Gdyby nie robiła wszystkiego dla Tany, prawdopodobnie nie zgodziłaby się. Z jednej strony nie chciała być jego dłużniczką, a z drugiej była to wspaniała okazja, by spędzać z nim więcej czasu, mieć go ciągle przy sobie... a gdy Marie wyzdrowieje... Miał już co prawda swoją asystentkę w Durning International, ale na zapleczu sali konferencyjnej sąsiadującej z jego eleganckim, wyłożonym drewnem gabinetem, był mały, zaciszny pokoik, jakby stworzony dla niej. Widywałyby go codziennie, miałyby go w zasięgu ręki. Stałaby się nieodłączną częścią jego życia, mogłaby go od siebie uzależnić.

- Będzie prawie tak samo jak do tej pory, tylko jeszcze lepiej.

Przekonywał ją i prosił, by się zgodziła, proponował jeszcze więcej przywilejów i wyższą pensję. Był do niej bardzo przywiązany, potrzebował jej. Wiedział także, że potrzebna jest również jego dzieciom, chociaż do tej pory nie miały okazji, by ją poznać. Nareszcie spotkał bliską osobę, na którą mógł zawsze liczyć. Dotychczas wszyscy

oczekiwali pomocy od niego, a tu nagle pojawił się ktoś, komu on mógł zaufać i mieć pewność, że nigdy go nie zawiedzie. Przemyślał to bardzo dokładnie i stwierdził, że chce mieć ją zawsze przy sobie. Wyznał jej to tej nocy, kiedy leżąc w łóżku błagał ją znowu, by przyjęła jego ofertę pracy.

Mimo wewnętrznej walki nie mogła mu odmówić. Korzyści były zbyt oczywiste. Od tej chwili jej życie zmieniło się zupełnie, było jak sen na jawie. Teraz z radością chodziła do pracy, często po spędzonej z nim nocy. Jego dzieci przywykły już do tego, że kilka nocy w tygodniu spędzał poza domem. Od kiedy Jean zatrudniła dodatkową pomoc, w jego domu zapanował porządek. Nie musiał już tak bardzo martwić się o dzieci, chociaż na początku Ann i Billy tęsknili za Marie. Teraz byli jednak spokojniejsi. Gdy wreszcie poznali Jean, traktowali ją tak, jakby od lat była ich przyjaciółką. Często zabierała jego dzieci i Tanę do kina, kupowała im zabawki i ubrania, wozila je na zajęcia. Kiedy Artur wyjeżdżał, chodziła do ich szkół na zebrania i występy teatralne. O niego dbała jeszcze bardziej. Któregoś wieczora, gdy siedzieli u niej przy kominku, pomyślała, że przypomina jej dobrze nakarmionego kocura, który wyleguje się i poleruje swoje błyszczące futerko w ciepłe domowego ogniska. Nowe mieszkanie, które jej kupił, nie było nadzwyczaj eleganckie, ale Tanie i Jean wydawało się wspaniałe i duże: dwie sypialnie, salon, jadalnia, przestronna kuchnia. Mieszkały teraz w nowoczesnym, czystym i solidnie zbudowanym domu. Z okien salonu rozciągał się widok na East River. Wszystko było tu o niebo lepsze od hałasu kolejki naziemnej w starym mieszkaniu Jean.

- Wiesz - spojrzała na niego uśmiechnięta - jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa.

- Ja także.

W niedługim czasie Marie Durning usiłowała popełnić samobójstwo, ponieważ dowiedziała się, że Artur ma romans. Nie powiedziano jej jednak, kim jest kochanka jej męża. Od tej pory stosunki między nimi znacznie się pogorszyły. Po sześciu miesiącach lekarze zdecydowali, że Marie będzie mogła wkrótce wrócić do domu. Jean pracowała już od ponad roku dla Artura Durninga. Tana bardzo polubiła nową szkołę, nowy dom, nowe życie. Jean także. I nagle wszystko miało się skończyć. Artur po powrocie od Marie

wszedł do domu ponury i zgnębiony.

- Co powiedziała? - Jean przyglądała mu się zaniepokojona. Miała już trzydzieści lat. Pragnęła stabilizacji i spokojnego, bezpiecznego życia, a nie potajemnych spotkań. Ale nigdy nie czyniła mu wyrzutów, bo wiedziała, jak trudna była jego sytuacja i jak bardzo się tym martwił. I pomyśleć, że jeszcze tydzień temu rozmawiali o małżeństwie. Teraz patrzył na nią tak smutno, jak nigdy dotąd. Jakby nie było już dla nich nawet cienia nadziei. Ich marzenia rozplynęły się we mgle.

- Powiedziała, że jeśli nie pozwolę jej wrócić do domu, zabije się.

- Ale ona nie może tego robić. Nie może cię szantażować do końca życia.

Jean miała ochotę płakać. A najgorsze było to, że Marie naprawdę mogła mu grozić samobójstwem i robiła to. Trzy miesiące później wróciła do domu, ale bardzo krótko wytrwała w stanie abstynencji. Już na Święta Bożego Narodzenia była z powrotem w szpitalu. Wiosną znowu wróciła do domu i tym razem udało jej się wytrzymać aż do jesieni. Zaczęła jednak popijać z przyjaciółmi podczas spotkań brydżowych w czasie lunchu. I taka sytuacja trwała ponad siedem lat.

Kiedy po raz pierwszy przyjechała do domu, Artur był tak przygnębiony, że poprosił Jean, żeby spróbowała jej pomóc.

- Ona jest taka bezbronna, nie rozumiesz tego... nie jest tak twarda jak ty. Nie potrafi współpracować... z trudem może myśleć.

I Jean, w imię miłości do Artura, zgodziła się być jego kochanką i opiekunką żony w jednej osobie. Spędzała w Greenwich dwa lub trzy dni w tygodniu, pomagając Marie w prowadzeniu domu. Marie bardzo bała się zatrudnionych w domu służących; wszyscy wiedzieli przecież, że była alkoholiczką. Dzieci także.

Domownicy na początku chcieli jej pomóc. Pilnowali jej na każdym kroku, ale niebawem okazywana jej życzliwość zaczęła się przeradzać w pogardę. Najbardziej nienawidziła jej Ann. Billy płakał, gdy się zataczała. To był koszmar; po kilku miesiącach Jean znalazła się w takiej samej pułapce jak Artur. Nie mogła jej zostawić, opuścić... to tak jakby miała uciec od własnych rodziców. Wydawało jej się czasem, że to, co robi dla Marie, przyniesie jakieś efekty. Ale mimo wszystkich starań Marie skończyła prawie tak

samo jak rodzice Jean. Pewnego wieczoru miała się spotkać z Arturem w mieście, a potem zamierzali obejrzeć balet. Jean mogłaby przysiąc, że Marie, gdy wyjeżdżała z domu, była trzeźwa, przynajmniej takie robiła wrażenie. Widocznie zabrała butelkę ze sobą. Wpadła w poślizg na Merrit Parkway, w połowie drogi do Nowego Jorku, i zginęła na miejscu.

To dobrze, że Marie nigdy nie dowiedziała się, co ich łączyło. Najgorsze jednak było to, że Jean polubiła ją naprawdę. Na pogrzebie płakała bardziej niż jej własne dzieci. Upłynęło wiele tygodni, zanim zdecydowała się spędzić noc z Arturem. Ich związek trwał już od ośmiu lat i Artur zaczął się obawiać, co powiedzą na to dzieci.

- I tak musimy poczekać z decyzją przynajmniej rok - powiedział.

Nie mogła zaprzeczyć, że miał trochę racji. Poza tym i tak spędzał z nią większość swego czasu. Troszczył się o nią i zawsze o wszystkim pamiętał. Nie mogła mu nic zarzucić. Podczas ich długoletniego związku Jean starała się, żeby Tana niczego nie zauważyła, ale w rok po śmierci Marie dziewczyna zaskoczyła matkę swoją dojrzałością.

Mamo, nie jestem aż taka naiwna. Przecież widzę, co tu jest grane.

Stała przed nią wysoka i szczupła, zupełnie jak Andy; z tą samą iskierką w oku, jakby w każdej chwili mogła wybuchnąć śmiechem. Ale teraz nie było jej do śmiechu. Zbyt długo cierpiała znając ich tajemnicę. Jej oczy zaszyły łzami, gdy patrzyła na Jean.

- On traktuje cię jak przedmiot, teraz i przez wszystkie te lata. Dlaczego się z tobą nie ożeni, zamiast zakradać się tu i znikać w środku nocy?

Jean uderzyła ją wtedy w twarz, ale Tana nie przejęła się tym. To trwało już za długo. Te wszystkie Święta Dziękczynienia, Gwiazdki, które spędzały samotnie, rozpakowując kolorowe, błyszczące pudełka z kosztownymi drobiazgami, które Artur kupował dla nich w eleganckich sklepach. Zawsze było tak samo. On jeździł z przyjaciółmi do klubu za miastem, a one zostawały same w domu. W tym roku nawet Ann i Billy wyjechali na święta z dziadkami.

- Nigdy go nie ma przy nas, kiedy go potrzebujemy! Czy ty tego nie widzisz? -
Ogromne łzy potoczyły się po jej policzkach i gdy zaczęła szlochać, Jean nie mogła już

wytrzymać. Czują, że zaschło jej w gardle, ale musiała coś odpowiedzieć na zarzuty córki.

- Nie masz racji.

- Oczywiście, że mam. Ciągłe zostawia cię samą. Traktuje cię jak gosposię.

Prowadzisz mu dom, opiekujesz się jego dziećmi. A on daje ci za to zegarki wysadzane diamentami, złote bransoletki, eleganckie torebki, portfele i perfumy, i co z tego? A gdzie w tym wszystkim jest on? Chyba liczy się człowiek, a nie prezenty?

Cóż mogła odpowiedzieć? Czy ma zaprzeczyć, choć dobrze wie, że jej dziecko mówi prawdę? Załamała się, gdy nagle usłyszała to wszystko z ust Tany.

- Artur robi, co może...

- Nie. On robi dokładnie to, czego chce.

To było bardzo poważne stwierdzenie jak na piętnastolatkę.

- Wszystkich swoich przyjaciół zaprasza do Greenwich, każdego lata wybiera się do Bal Harbour, a zimą do Palm Beach. A kiedy jedzie w podróż służbową do Dallas, wtedy łaskawie zabiera cię ze sobą. Ciekawe, dlaczego nigdy nie zaprosi cię do Palm Beach? Czy on w ogóle nas do siebie zaprasza? Czy kiedykolwiek powiedział Ann i Billy'emu, jak wiele dla niego znaczysz? Nie. On woli zakradać się tu w nocy, żebym nie domyśliła się, co jest między wami, ale nie jestem... nie jestem taka głupia.

Cała trzęsła się ze złości. Zbyt często w ciągu tych lat widziała cierpienie w oczach matki i tym razem była bardzo bliska prawdy. Rzeczywiście, związek z Jean był dla Artura bardzo wygodny. Nie miał odwagi, by wyjaśnić wszystko dzieciom. Obawiał się, że nie zaakceptują tego. W pracy rekin biznesu, w domu nie potrafił wygrywać nawet drobnych potyczek. Nigdy nie odważył się przerwać szantażu Marie i po prostu odejść. Wolał poddawać się jej alkoholicznym zachciankom i trwał w tym aż do nieuchronnego końca. Teraz tak samo zachowywał się wobec dzieci. Ale Jean miała swoje własne domowe problemy. Nie podobało jej się to, co usłyszała od Tany, i próbowała porozmawiać o tym z Arturem. Zbył ją jednak zmęczonym uśmiechem. Miał dziś trudny dzień, a tu jeszcze Ann przysporzyła mu kłopotów.

- One wszystkie mają w tym wieku swoje własne zdanie na każdy temat. Do

diabła, popatrz, co się dzieje z moimi dziećmiakami.

Billy miał siedemnaście lat i już dwa razy w tym roku został zatrzymany za prowadzenie samochodu po pijanemu. Ann kończyła dziewiętnaście i właśnie wyrzucono ją z drugiego roku studiów w Wellesley. Chciała pojechać z przyjaciółmi do Europy, podczas gdy Artur namawiał ją, by spędziła trochę czasu w domu. Jean próbowała zabrać Ann na lunch, żeby ją nakłonić do ugody z ojcem, ale ona zignorowała te starania i powiedziała, że i tak przekona go do swoich planów jeszcze przed końcem tego roku.

I, mówiąc szczerze, udało jej się tego dokonać. Następne lato spędziła na południu Francji. Poderwała trzydziestosiedmioletniego francuskiego playboya i wkrótce pobrali się w Rzymie. Zaszła w ciążę, straciła dziecko i wróciła do Nowego Jorku z podkrążonymi oczami i skłonnością do nadużywania tabletek. Jej małżeństwo wywołało burzę w międzynarodowej prasie. Artur z obrzydzeniem przygotowywał się na spotkanie z „młodym” zięciem. Wydał fortunę, aby ten żigolak zgodził się wreszcie zostawić jego córkę w spokoju. Wysłał Ann do Palm Beach, żeby „doszła do siebie”, ale jak zwykle wpadła tam w tarapaty, zabawiając się przez całe noce z chłopcami w swoim wieku, a jeśli nadarzała się okazja, to z ich tatusiami także. Jean nie pochwałała trybu życia Ann, ale dziewczyna miała już dwadzieścia jeden lat i Artur niewiele mógł zdziałać. Odziedziczone po matce nieruchomości dawały jej ogromne dochody i miała dosyć pieniędzy, by dobrze się bawić. Zanim skończyła dwadzieścia dwa lata poleciała do Europy i znowu było o niej głośno. Jediną pociechą dla Artura było to, że Billy'emu udało się nie wylecieć z Princeton, mimo że już kilka razy naprawdę niewiele brakowało.

- Trzeba przyznać, że nie masz z nimi łatwego życia, prawda kochanie?

Spędzali teraz razem spokojne wieczory w Greenwich, ale prawie zawsze nalegała, aby na noc odwoził ją do domu. Bez względu na późną porę. Co prawda jego dzieci wyjechały, ale Jean miała przecież Tanę i nie pozwoliłaby sobie na spędzanie nocy poza domem, chyba wtedy, gdy Tana nocowała u przyjaciółki lub wyjeżdżała na weekend na narty. Jean przestrzegała pewnych stałych reguł i Artur ceniał ją za to.

- Przecież wiesz, że w końcu i tak zrobią, co zechcą, Jean. Bez względu na to, jaki im dajesz przykład.

W pewnym sensie miał rację, ale z drugiej strony nigdy nie starał się im przeciwstawić. Przyzwyczał się do samotnych nocy i gdy czasem budząc się rano znajdował Jean przy sobie, traktował to jak nadzwyczajne święto. Niewiele pozostało już z tego gorącego uczucia, jakie kiedyś ich łączyło, ale nadal był to wygodny układ dla obojga, a zwłaszcza dla niego. Nigdy nie prosiła o więcej, niż mógł jej dać. Wiedział, jak bardzo jest mu wdzięczna za wszystko, co zrobił w ciągu tych lat, które spędzili razem. Gwarantował jej bezpieczne życie, jakie bez niego nie byłoby możliwe, wspaniałą pracę, dobrą szkołę dla Tany i różne drobne przyjemności: wyjazdy, biżuterię, futra. Dla niego to były niewielkie wydatki, a Jean, mimo że nadal chętnie siadywała z igłą i nitką w rękach, sama nie zajmowała się już szyciem pokrowców na meble czy ubrań dla siebie i córki. Dwa razy w tygodniu przychodziła do niej sprzątaczką.

Jean prowadziła teraz zupełnie inny tryb życia. Przecież to jemu zawdzięczała to komfortowe mieszkanie. Artur wiedział, że go kochała. On też ją kochał, ale przyzwyczał się do tej wygodnej sytuacji i nie wspominał o małżeństwie już od lat. Teraz nie było już po temu powodu. Ich dzieci były prawie dorosłe, on miał pięćdziesiąt cztery lata, interesy rozwijały się wspaniale. Jean była nadal atrakcyjna i dosyć młoda, choć w ciągu ostatnich kilku lat straciła swój młodzieńczy wygląd i stała się dojrzałą kobietą. Podobała mu się taka, ale trudno było mu uwierzyć, że upłynęło już dwanaście lat. Właśnie tej wiosny skończyła czterdzieści lat. Zabrał ją z tej okazji na tydzień do Paryża. Ta podróż była jak wycieczka do raju. Przywiozła stamtąd tuzin drobiazgów dla Tany i opowiadała jej po powrocie niezliczone historyjki, włącznie z opisem urodzinowej kolacji u Maxima. Powroty do domu były zawsze przygnębiające. W nocy miała ochotę przytulić się do Artura, szukała go po omacku przez sen. Rano budziła się w pustym łóżku, nie znajdując obok nikogo. Ale żyła w ten sposób od wielu lat i nie przeszkadzało jej to tak bardzo albo przynajmniej udawała, że nie przeszkadza. Tana, po awanturze przed trzema laty nie wracała już więcej do tej sprawy. Wstydziała się tamtej kłótni. Matka była dla niej zawsze taka dobra.

- Chcę dla ciebie jak najlepiej, mamó... to wszystko... chcę, żebyś była szczęśliwa... żebyś nie była samotna...

- Nie jestem, kochanie - oczy Jean wypełniały się łzami. - Mam ciebie.

- To nie to samo.

Przytuliła się do matki i ten zakazany temat już nigdy nie powrócił. Artur i Tana nie żywili do siebie zbyt przyjaznych uczuć i to martwiło Jean. Gdyby poprosił ją o rękę, byłaby w trudnej sytuacji ze względu na Tanę. Dziewczyna uważała, że wykorzystywał jej matkę przez ostatnie dwanaście lat i nie dawał nic w zamian.

- Jak możesz tak mówić? Tak wiele mu zawdzięczamy!

Pamiętała ciasne mieszkanko przy stacji kolejki naziemnej. Tana była wtedy malutka. Skromna pensja Jean nie wystarczała czasem na to, by zapewnić dziecku codzienny mięsny posiłek. Kupowała dla małej kotlety jagnięce albo małe steki, a dla siebie makaron, który jadła przez kolejne trzy lub cztery dni.

Co takiego wielkiego mu zawdzięczamy? To mieszkanie? No i co z tego? Pracujesz przecież, mogłaś bez jego pomocy wynająć takie mieszkanie, mamo.

Ale Jean nie była tego taka pewna. Nie miałyby odwagi odejść od niego właśnie teraz, nie chciałyby stracić pracy w Durning International. Ceniła sobie to, że jest jego „prawą ręką”. Lubiła to mieszkanie, pracę i poczucie bezpieczeństwa, jakie stwarzał... i wreszcie samochód, który wymieniał jej co dwa lata. Dzięki temu z łatwością dojeżdżała do Greenwich. Na początku kupował jej kombi, żeby mogła dowozić i odbierać jego dzieci. Ostatnie dwa były mniejsze, śliczne, małe limuzyny mercedesa. Nie zależało jej tak bardzo na tych prezentach, chodziło o coś więcej, znacznie więcej. Ważne było to, że Artur istniał, był w zasięgu ręki, gdy go potrzebowała. Bałyby się, gdyby to się zmieniło po tylu latach spokojnego życia. Bez względu na to, co mówiła Tana, nie zerwie z nim.

- A co się stanie jak on umrze? - któregoś dnia Tana znowu stała się natarcywa. - Zostaniesz sama, bez pracy, bez niczego. Jeśli cię kocha, dlaczego nie chce się z tobą ożenić, mamo?

- Myślę, że jesteśmy zadowoleni z tego co mamy. Oczy Tany przybrały kolor zimnej zieleni, tak jak oczy Andy'ego, kiedy się ze sobą sprzeczała.

- To nie wystarczy. On zawdzięcza ci o wiele więcej, mamusiu. Dla niego to taki łatwy i wygodny układ.

- Dla mnie też, Tan - nie miała już siły, żeby się z nią kłócić tego wieczora. - Nie muszę znosić niczych kaprysów i przyzwyczajzeń. Robię to, na co mam ochotę. Po prostu żyję po swojemu. A kiedy zechcę, zabiera mnie do Paryża, Londynu czy L.A. Nie jest tak źle, jak myślisz.

Obie wiedziały, że to stwierdzenie nie było całkiem prawdziwe, ale na zmiany byłoby już za późno. Obie wierzyły w swoje racje.

Gdy układała papiery na biurku, wyczuła w pobliżu jego obecność. Zawsze wiedziała kiedy się zbliżał, tak jakby miała w sercu radar, który ją o tym uprzedzał. Wszedł po cichu do pokoju i przyglądał się jej, a ona uniosła głowę i zobaczyła go stojącego przy drzwiach.

- Cześć, kochanie - uśmiechnęła się do niego. To był specjalny uśmiech, jaki wymieniali między sobą od dwunastu lat. Serce jej topniało, gdy patrzył na nią tak ciepło.

- Jak minął dzień?

- Teraz już lepiej.

Nie widział jej od południa, co zdarzało się raczej rzadko. Zwykle widywali się z sześć razy po południu, przedtem spotykali się na porannej kawie, często też wychodzili razem na lunch. Od lat krążyły na ich temat plotki, zwłaszcza po śmierci Marie Durning. Potem trochę ucichło i ustalono, że albo są przyjaciółmi, albo bardzo dyskretnymi kochankami i w końcu przestano się nimi interesować. Usiadł w swoim ulubionym fotelu naprzeciwko niej i zapalił fajkę. Pokój wypełnił aromat tytoniu. Przyzwyczaiła się już do niego i nawet polubiła, tak jak wszystko, co wiązało się z jego osobą. Zapachem fajki przesiąknięte były jego pokoje, a nawet jej sypialnia.

- Zróbmy sobie jutro wagary i przyjedź do mnie do Greenwich, spędzimy razem cały dzień. My też możemy zabawić się w nastolatków. Co ty na to, Jean?

Rzadko mu się to zdarzało, ale od siedmiu tygodni bardzo ciężko pracował nad fuzją firm i zasłużył sobie na wolny dzień. Chciałaby, żeby robił to częściej. Uśmiechnęła się przeproszająco.

- Przykro mi, ale nie mogę. Jutro jest nasz wielki dzień.

Często zapominał o takich sprawach. Nie spodziewała się zresztą, że będzie

pamiętał o dniu tak ważnym dla niej i dla Tany, w którym miała się odbyć uroczystość ukończenia przez nią szkoły średniej. Patrzył nic nie rozumiejąc, a ona uśmiechnęła i powiedziała tylko jedno słowo. - Tana.

- Ach, oczywiście - machnął ręką, w której trzymał fajkę, i zachnął się ze śmiechem - ale ze mnie gapa. Dobrze, że nie musisz na mnie polegać, tak jak ja na tobie, bo często byłabyś rozczarowana.

- Nie sądzę.

Uśmiechnęła się do niego z czułością i w tej chwili poczuli się sobie bardzo bliscy. Nie potrzebowali słów, aby tę wzajemną serdeczność i zrozumienie wyrazić. I niezależnie od tego, co usłyszała kiedyś od Tany, Jean Roberts naprawdę miała to, czego potrzebowała najbardziej. Patrząc na niego poczuła, że jest w pełni zadowolona z tego, co ich łączy.

Czy Tana bardzo przeżywa dzień ukończenia szkoły?

Przyglądał się Jean z uśmiechem. Na swój sposób była bardzo atrakcyjną kobietą. Z przyjemnością patrzył na jej włosy, lekko przyprószone siwizną, duże, piękne, ciemne oczy. Była delikatna i jednocześnie pełna wdzięku. Tana była od niej wyższa, zgrabniejsza i miała chłopięcą sylwetkę. Za kilka lat jej uroda niewątpliwie wzbudzi pożądanie wielu mężczyzn. Postanowiła, że będzie studiować w Green Hill College, w samym sercu Południa. Stała się ostatnio bardzo niezależna. Artur uważał to za dosyć dziwaczny wybór dla dziewczyny z Północy, zwłaszcza że większość uczniów w tej szkole to byli południowcy. Ale z drugiej strony college ten słynął z najlepszych kursów językowych, miał wspaniałe laboratoria i wydział sztuk pięknych na bardzo wysokim poziomie. Tana sama podjęła tę decyzję i, gdy przyznano jej pełne stypendium za bardzo dobre oceny, była już gotowa do wyjazdu. Znalazła pracę na obozie letnim w Nowej Anglii, a od jesieni miała zacząć studia w Green Hill. Jutro był jej wielki dzień - zakończenie szkoły.

- Jeśli siła decybeli adapteru jest miernikiem jej uczuć - powiedziała Jean ze śmiechem - to od miesiąca jest w hysterii.

- Och, nie przypominaj mi o tym... Billy i czwórka jego przyjaciół przyjeżdżają do

domu w przyszłym tygodniu. Zapomniałem ci o tym powiedzieć. Chcą mieszkać w domku kąpielowym przy basenie i pewnie zdemolują go zupełnie. Dzwonił wczoraj wieczorem. Bogu dzięki, że będą tu tylko dwa tygodnie.

Billy Durning był szalonym dwudziestolatkiem, który miał wiele zwariowanych pomysłów sądząc po listach, jakie przysyłano z jego szkoły. Jean uważała, że zachowanie chłopca prawdopodobnie nadal stanowi reakcję na śmierć matki. Cała rodzina bardzo silnie przeżyła tę tragedię. Billy miał wtedy tylko szesnaście lat, a to był trudny wiek. Teraz sprawy trochę się już ułożyły.

- Chce wydać przyjęcie w przyszłym tygodniu. W sobotę wieczorem, jak mi oświadczył. I prosił, żebym ci to przekazał. Uśmiechnęła się.

- Zanotuję to sobie. Czy są jakieś specjalne życzenia? Artur uśmiechnął się szeroko. Znała ich potrzeby zbyt dobrze.

- Chciałby wynająć zespół muzyczny i, jak powiedział, mamy się przygotować na jakieś dwieście do trzystu osób. A, i przy okazji powiedz o tym Tane. Może będzie miała ochotę się zabawić. Jeden z przyjaciół Billy'ego może po nią przyjechać.

- Powiem jej. Na pewno spodoba jej się ten pomysł.

Ale Jean dobrze wiedziała, że będzie dokładnie odwrotnie. Tana od dziecka nienawidziła Billy'ego Durninga i Jean musiała prosić ją wielokrotnie, żeby zachowywała się wobec niego grzecznie. Teraz znowu jej o tym przypomniał. Jej córka zachowa się jak należy i w końcu pójdzie na przyjęcie do Billy'ego, skoro została zaproszona. Powinna pamiętać o tym wszystkim, co zawdzięczają jego ojcu. Jean będzie o tym zawsze pamiętać.

- ... Nie pójdę.

Powtarzała z uporem Tana patrząc twardo na Jean i przekrzykując muzykę dobiegającą z pokoju. Paul Anka wył „Put Your Head on My Shoulder”. Siódmy raz z kolei słuchała tej piosenki, a Jean już nie mogła tego znieść.

- Skoro był tak miły i zaprosił cię, mogłabyś pokazać się chociaż na chwilę.

Takie kłótnie odbywały się już wielokrotnie, ale tym razem Jean postanowiła postawić na swoim. Nie chciała, żeby Tanę posądzono o brak dobrego wychowania.

- Jak mogę pójść tam na chwilę? Przecież tam się jedzie ponad godzinę i tyle samo wraca. Więc mam tam pojechać i co... postać dziesięć minut i zaraz wrócić?

Odrzuciła do tyłu długie włosy spływające po jej ramionach. Na twarzy widać było determinację. Wiedziała, że matka była bardzo wrażliwa na punkcie wszystkiego, co dotyczyło rodziny Durningów.

- Daj spokój, mamo, nie jestem już dzieckiem. Dlaczego muszę tam iść, skoro tego nie chcę? Dlaczego uważasz, że jeśli nie pójdę, to będzie to nietaktem? Czy nie mogę mieć innych planów? Za dwa tygodnie i tak wyjeżdżam i chcę się pożegnać z przyjaciółmi. Już ich pewnie nigdy nie zobaczę...

Była taka przygnębiona, że matka popatrzyła na nią z rozczuleniem.

- Porozmawiamy jeszcze o tym, Tano.

Ale Tana doskonale wiedziała, jak zwykle kończą się takie rozmowy. Chciało jej się płakać. Matka uparła się, żeby wysłać ją na to przyjęcie do Billy'ego Durninga, a on był beznadziejnym głupkiem, przynajmniej takie było jej zdanie. Ann była jeszcze gorsza. Zarozumiała snobka, która leci na wszystkich facetów. W stosunku do Tany zawsze zachowywała się bardzo układnie. Ale ona i tak wiedziała, że to zwykła dziwka. Na poprzednich przyjęciach u Billy'ego dużo piła i zwracała się do Jean tak lekceważąco, że Tana miała ochotę dać jej w twarz. Zdawała sobie sprawę, że jakiegokolwiek napomknięcie o tym wystarczy, aby zraniona matka wywołała kolejną burzę. To już zdarzało się wcześniej wiele razy, a Tana nie była dziś w odpowiednim nastroju do takich rozmów.

- Chcę tylko mamo, żebyś zrozumiała, jak ja się teraz czuję.

Nie pójdę tam.

- To dopiero za tydzień. Dlaczego musisz o tym decydować dzisiaj?

- Tylko ci mówię...

Zielone oczy były wzburzone i patrzyły na nią złowieszczo. Jean już wiedziała, że nie powinna dłużej dolewać oliwy do ognia.

- Co rozmroziłaś dziś na obiad?

Tana знаła metody matki. Unikanie odpowiedzi na pytania było jej specjalnością, ale ona postanowiła, że to jeszcze nie koniec. Poszła z Jean do kuchni.

- Wyjęłam stek dla ciebie.

Spojrzała na matkę nieśmiało. Chciała się usamodzielnić i mieć własne życie, ale nie lubiła zostawiać jej samej. Wiedziała, ile zawdzięcza Jean, ile poświęcenia kosztowało ją wychowanie córki. Tana rozumiała to bardzo dobrze. Wszystko co najlepsze dostała od matki, a nie od Artura Durninga ani jego zarozumiałych, rozpuszczonych i zepsutych dzieciaków.

- Nie będzie ci przykro, mamo? Nie muszę wychodzić, jeśli nie chcesz.

Jej głos był teraz czuły i łagodny. Wyglądała na więcej niż osiemnaście lat. Łączyło je bardzo głębokie uczucie, jakaś niewidzialna więź. Miały za sobą wiele lat spędzonych razem, mogły zawsze liczyć na siebie, na dobre i na złe. Tana była wrażliwym i troskliwym dzieckiem.

Jean uśmiechnęła się do niej.

- Chcę, żebyś poszła dziś wieczór na to spotkanie z przyjaciółmi, kochanie. Jutro jest twój wielki dzień.

Wybierały się z tej okazji na kolację do „21”. Jean bywała tam tylko z Arturem, ale matura Tany była nadzwyczajną okazją, a poza tym nie musiała już teraz tak bardzo oszczędzać. W Durning International zarabiała świetnie zwłaszcza w porównaniu z dochodami, jakie osiągała w dwunastoletnim okresie sekretarzowania w biurach prawniczych. Ale zawsze była bardzo rozsądna, jeśli chodziło o wydawanie pieniędzy i nie miała skłonności do rozrzutności. Przez te osiemnaście lat od śmierci Andy'ego prowadziła skromny tryb życia, ciągle obawiając się o przyszłość Tany. Czasami mówiła jej, że to właśnie dzięki temu teraz tak dobrze im się powodzi. Jean „dmuchała na zimne” - była bardzo przezorna, zupełnie odwrotnie niż Andy Roberts i Tana, która odziedziczyła po ojcu charakter. Było w niej więcej radości niż w matce, więcej skłonności do żartów, figli, uśmiechu. Miała inne niż matka podejście do życia, była trochę lekkomyślna, traktowała wszystko mniej serio, ale też i życie jej było łatwiejsze dzięki Jean, która ją bardzo kochała i zawsze chroniła przed wszelkimi troskami. Tana uśmiechała się patrząc jak Jean wyjmując patelnię, by usmażyć stek.

- Nie mogę się już doczekać jutrzejszego wieczoru. Wzruszyła się, gdy Jean

powiedziała, że spędzą go w „21”.

- Ja też. A dokąd idziesz dzisiaj?

- Do Yillage na pizzę.

- Uważaj na siebie. - Jean westchnęła.

Zawsze się o nią martwiła, bez względu na to, dokąd szła.

- Zawsze to robię.

- Czy będą tam jacyś chłopcy, żeby się wami zaopiekować?

Uśmiechnęła się. Czasem trudno było ocenić, czy ci chłopcy byli opiekunami, czy raczej zagrożeniem, a często jednym i drugim. Czytając w jej myślach Tana zaśmiała się i pokiwała głową.

- Będą. Czy teraz będziesz się jeszcze bardziej martwiła?

- Oczywiście.

- Jesteś niemądra, ale i tak cię kocham.

Objęła ją za szyję i pocałowała, po czym zniknęła za drzwiami swojego pokoju i po chwili Jean usłyszała jeszcze głośniejsze dźwięki muzyki. Tana śpiewała razem z Paulem Anką. Jean przyzwyczaiła się do głośnej muzyki, wiecznie rozbrzmiewającej z pokoju córki. Po jakimś czasie Tana wyłączyła wreszcie adapter i stanęła przed Jean w białej sukience w czarne kropki, przewiązanej czarnym, skórzanym paskiem. Na nogach miała czarno-białe, eleganckie pantofle. Jean z przyjemnością rozkoszowała się ciszą. I nagle zdała sobie sprawę, jak cicho i pusto będzie w mieszkaniu, gdy Tana wyjedzie, prawie jak w grobowcu.

- Baw się dobrze.

Dzięki. Postaram się wrócić wcześniej.

- Nie liczyłabym na to.

Matka uśmiechnęła się. Tana nie musiała już wracać do domu o wyznaczonej godzinie, miała przecież osiemnaście lat. Poza tym Jean przekonała się, że najczęściej jednak była z powrotem o przyzwoitej porze. Tego wieczoru usłyszała ją około jedenastej trzydzięci. Dziewczyna zapukała cichutko do drzwi Jean i szepnęła:

- Już jestem.

Tana poszła do swojego pokoju, a Jean przewróciła się na bok i spokojnie zasnęła.

Następny dzień należał do tych, które Jean Roberts będzie długo pamiętać. Młode, niewinnie wyglądające dziewczęta w długim rzędzie, połączone girlandami stokrotek, a za nimi chłopcy. Wszyscy razem śpiewali chórem hymn pożegnalny. Wysokie, młodzieńcze głosy rozbrzmiewały wesoło. Były silne, pełne życia. Wydawało się jakby właśnie w tej chwili ta młodzież wkraczała rażnym krokiem, z pieśnią na ustach w wielki świat. W świat pełen polityki i niebezpieczeństw, oszustw i rozczarowań. Wszystko to czekało tam, by ich skrzywdzić. Jean wiedziała, że życie nie będzie już dla nich tak proste jak dotąd. Łzy potoczyły się powoli po jej policzkach, ze wzruszeniem patrzyła, jak śpiewając ostatnią zwrotkę opuszczali audytorium. Zawstydzila się, kiedy wyrwało jej się głośniejsze westchnienie, ale nie była odosobniona. Płakali ojcowie i matki. Nagle cała impreza przeistoczyła się w istne piekło: absolwenci pokrzykiwali do siebie, zaśmiewali się stojąc na korytarzu, całowali się i poklepywali na pożegnanie, składając obietnice, których prawdopodobnie nie spełnią, że kiedyś wrócą, wybiorą się gdzieś razem, nigdy nie zapomną... że zawsze... na zawsze... w przyszłym roku... kiedyś...

Jean poruszona do głębi, przyglądała się im, a zwłaszcza Tanie. Jej twarz była taka jasna, oczy zielone jak szmaragdy, a wszyscy wokół niej tacy radośni, szczęśliwi, niewinni.

Podczas wspólnego wieczoru w „21” Tana przez cały czas była podekscytowana, czuła w głowie miły szum wywołany wrażeniami mijającego dnia. Zjadły pyszną kolację, a Jean ku zaskoczeniu córki zamówiła szampana. Na ogół nie pozwalała Tanie pić alkoholu. Po jej dramatycznych doświadczeniach z rodzicami i Marie Durning była przewrażliwiona na tym punkcie, zwłaszcza jeśli chodzi o młodzież. Ale dzień ukończenia szkoły był wyjątkową okazją. Po toaście Jean wręczyła Tanie małe pudełeczko od Artura. Oczywiście to ona wybrała ten prezent, tak jak wszystkie prezenty nawet dla jego własnych dzieci. W środku Tana znalazła piękną, złotą bransoletkę, którą z nie ukrywaną przyjemnością wsunęła na rękę.

- To bardzo miłe z jego strony, mamó.

Ale nie była za bardzo przejęta gestem Artura. Obie wiedziały, dlaczego nie porusza tego tematu. Nie chciała martwić matki. Poza tym, pod koniec tygodnia Tana przegrała z nią poważną potyczkę. Miała już dość wysłuchiwanie argumentów Jean i w końcu zgodziła się pójść na przyjęcie do Billy'ego Durninga.

- Ale obiecaj mi, że to już ostatni raz idę na te ich zabawy, dobrze mamó?

- Dlaczego jesteś taka uparta? To ładnie z ich strony, że cię zaprosili.

- Dlaczego?

Oczy Tany rozbłysły groźnie, a ostry język był zbyt szybki, by mogła kontrolować to, co mówi.

- Dlatego, że jestem córką pracownicy? Czy to dlatego wielmożni Durningowie czynią mi tę przysługę? Tak jakby zapraszali służącą?

Oczy Jean wypełniły się łzami, a Tana uciekła do swojego pokoju, wściekła, że straciła panowanie nad sobą. Nie mogła już znieść sposobu, w jaki matka odnosiła się do Durningów, nie tylko do Artura, ale także do Ann i Billy'ego. Mdlilo ją, gdy każde uprzejme słowo czy gest odbierała jak wielki zaszczyt, za który powinny być wdzięczne do końca życia. Tana dobrze wiedziała, jak wyglądają przyjęcia u Billy'ego. Już kilka razy musiała znosić te imprezy, kiedy alkohol lał się strugami, było dużo obmacywania i panowała ogólnie atmosfera nieprzyzwoitości. Nienawidziła ich. I dziś wieczorem miało być znowu tak samo.

Przyjaciół Billy'ego, który mieszkał w pobliżu Tany, przyjechał po nią czerwoną corvetta. Dostał ją od ojca. Jechał do Greenwich osiemdziesiąt mil na godzinę, chcąc jej zaimponować, ale nie udało mu się i na przyjęcie wkroczyła tak samo wściekła jak wtedy, gdy wychodziła z domu. Miała na sobie białą, jedwabną sukienkę i białe pantofle na płaskim obcasie. Jej długie, zgrabne nogi wyglądały bardzo ponętnie, gdy z gracją wysiadła z samochodu, odrzucając do tyłu włosy. Rozejrzała się, z góry wiedząc, że nikogo tu nie zna. Nienawidziła tych imprez już od dziecka, ale wtedy było jeszcze gorzej, bo zwykle dzieci pokazywały ją sobie palcami. Teraz było trochę lepiej. Trzej chłopcy w marynarkach z madrasu torowali jej drogę, proponując gin z tonikiem, lub coś

innego na co miałyby ochotę. Uznała, że najlepiej będzie nie rzucać się w oczy i niepostrzeżenie zginąć w tłumie. Miała ochotę zabić chłopaka, który ją tu przywiózł. Prawie pół godziny wałęsała się po ogrodzie, przeklinając, że musiała tu przyjść. Patrzyła na grupki chichoczących dziewcząt, popijających piwo i gin z tonikiem, a z drugiej strony na pożerających je wzrokiem chłopców. Chwilę później zaczęła grać muzyka i goście łączyli się w pary. Pół godziny później światła przygasły, a ciała pląsały splecione w uścisku. Niektóre pary wymykały się dyskretnie. Wtedy zobaczyła Billy'ego Durninga. Nie zauważyła go przedtem. Zbliżał się do niej oceniając ją chłodnym spojrzeniem. Często się spotykali, ale zawsze taksował ją wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy ma ją kupić. Doprowadzało ją to do szału i dzisiaj było tak samo.

- Cześć, Billy.

- Cześć. O rany, ale jesteś wysoka.

Nie było to zbyt przyjemne powitanie, zwłaszcza, że był od niej dużo wyższy, więc po co to wszystko. Zauważyła, że teraz przeniósł wzrok na jej pełny biust i miała szczerą ochotę skopać go i na koniec wybić mu zęby. Ale postanowiła, że zmrozi go spokojem i mając na względzie dobro matki popisze się dobrymi manierami.

- Dziękuję za zaproszenie na dzisiejszy wieczór. Jej oczy zdawały się mówić zupełnie co innego.

- Przyda nam się więcej panienek.

Mówił jakby to dotyczyło bydła. Tyle i tyle głów., tyle cycków... nóg... tyłków...

- Dzięki.

Zaśmiał się i skinął w jej kierunku.

- Chcesz się przejść?

Odruchowo chciała odmówić, ale pomyślała, dlaczego nie? Był dwa lata starszy od Tany, jednak zwykle zachowywał się jakby miał dziesięć lat. Z tą różnicą, że był to pijący dziesięciolatek. Wziął ją za rękę i przeprowadził przez tłum obcych ludzi, aż dotarli do ogrodu Durningów, potem do basenu, gdzie znajdował się domek kąpielowy, który zajmował wraz z przyjaciółmi. Poprzedniej nocy zniszczyli stół i dwa krzesła i Billy powiedział im, żeby się uspokoiili, bo ojciec ich zabije. Artur przezornie przeprowadził się

na cały ten tydzień do klubu na wsi.

- Powinnaś zobaczyć, jaki mamy bajzel.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, machając w stronę domku przy basenie. Tana była zdenerwowana, myśląc wyłącznie o tym, że to jej matka będzie musiała zorganizować sprzątanie po ich wyczynach. Każę odkupić to, co oni zniszczą, i będzie uspokajać Artura, który się wścieknie, kiedy to wszystko zobaczy.

- Dlaczego musicie zachowywać się jak bydło?

Spojrzała na niego niewinnie, ze słodkim uśmiechem na twarzy. Przez moment Billy był zaszokowany, w jego oczach pojawiły się złowieszcze iskry.

- Co to za głupie gadki? Ale ty zawsze byłaś głupia. Gdyby mój stary nie płacił za twoją szkołę w Nowym Jorku, wylądowałabyś w jakiejś publicznej budzie na West Side i pewnie rznąłabyś się teraz ze swoim nauczycielem?

Zatkało ją na moment, przestała oddychać i popatrzyła na niego. Po czym bez słowa odwróciła się na pięcie i odeszła, słysząc za plecami jego szyderczy śmiech. Co za cholerny sukinsyn, pomyślała. Weszła z powrotem do domu. Tłum gości powiększył się w ciągu ostatnich trzydziestu minut i zauważyła, że prawie wszyscy byli od niej znacznie starsi, zwłaszcza dziewczęta.

Po chwili zobaczyła chłopaka, który ją tu przywiózł. Miał rozwiązany krawat, rozchełstaną koszulę, zaczerwienione oczy i przyklejoną do siebie dziewczynę, z którą sączył whisky prosto z opróżnionej do połowy butelki. Tana patrząc na nich zdała sobie sprawę, że właśnie straciła szansę na transport do domu. Nigdy nie wsiadłaby do samochodu z pijanym kierowcą. Pozostawał jej tylko pociąg albo znalezienie w tym tłumie kogoś trzeźwego, co wydawało się raczej niemożliwe.

- Chcesz zatańczyć?

Odwróciła się i zobaczyła Billy'ego. Jego oczy były jeszcze bardziej przekrwione... Stał przed nią i wysuniętym językiem poruszał po ustach, wbijając poządlivy wzrok w jej biust, jakby tylko to go interesowało. Gdy wreszcie przeniósł spojrzenie na jej twarz, zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, dzięki.

- Domek kąpielowy jest pełen golasów. Pieprzą się, aż iskry lecą. Chcesz zobaczyć?

Zemdliło ją na myśl o tym. Gdyby nie był tak obleśny, roześmiałyby się. To wprost nie do uwierzenia, jak ślepa była jej matka ze swoim uwielbieniem i szacunkiem dla Świętych Durningów.

- Nie, dzięki.

- Co jest z tobą? Ciągłe jeszcze jesteś dziewicą?

Spojrzał na nią z pogardą, ale ona nagle postanowiła, że nie da mu za wygraną. Niech raczej pomyśli, że go nie cierpi. To zresztą prawda.

- Nie bawi mnie podglądanie.

- A dlaczego nie, do cholery? To świetna zabawa.

Odeszła usiłując zginać w tłumie, ale on ciągle kręcił się w pobliżu. Miała już tego serdecznie dosyć. Rozejrzała się jeszcze raz i z zadowoleniem stwierdziła, że wreszcie go zgubiła. Pewnie przyłączył się do swoich przyjaciół w domku przy basenie. Pomyślała, że już wystarczająco dużo czasu tu straciła. Teraz musiała tylko zadzwonić po taksówkę, dojechać nią do stacji kolejowej i stamtąd wrócić pociągiem do domu. Niezbyt to przyjemna perspektywa, ale jedyna możliwość, żeby się stąd wydostać. Obejrzała się znowu i gdy upewniła się, że nikt za nią nie idzie, znalazła boczne schody, którymi dyskretnie weszła na górę i odszukała telefon. Teraz już tylko zadzwoniła do informacji, dostała numer i zamówiła taksówkę. Obiecali przyjechać w ciągu piętnastu minut. Do ostatniego pociągu miała jeszcze dużo czasu. Po raz pierwszy tego wieczora poczuła ulgę, wiedząc, że jest daleko od tej pijanej hołoty. Szła wolno korytarzem, wyłożonym miękkim dywanem. Po drodze oglądała wiszące na ścianach zdjęcia Artura i Marie oraz Ann i Billy'ego z okresu dzieciństwa. Brakowało na tych zdjęciach tylko Jean. Przecież należała prawie do ich rodziny. Tyle jej zawdzięczali. To niesprawiedliwe, że pominięto ją na fotografiach. Nagle zupełnie nieświadomie Tana otworzyła jakieś drzwi. Wiedziała, że to pokój rodzinny, który Jean czasem traktowała jako swoje biuro. Tutaj także wisiały zdjęcia, ale dziś wieczór Tana nie zwracała na nie uwagi. Kiedy drzwi uchylały się powoli, usłyszała zdenerwowany głos.

- Hej, co jest do cholery!

Ujrzała dwie nagie postacie, które na dźwięk otwieranych drzwi odskoczyły od siebie. Z pokoju dobiegło nerwowe szuranie przyłapanych na gorącym uczynku. Tana szybko zamknęła drzwi i przerażona chciała jak najszybciej uciec z tego miejsca. Nagle za plecami usłyszała śmiech.

- Ach! - wyrwało jej się. To Billy wyśmiewał się z niej.

- Ale mnie przestraszyłeś... Myślała, że był na dole, z gośćmi.

- Mówiłaś, że nie interesuje cię podglądanie, Panno Cnotko.

- Właśnie kręciłam się tutaj trochę i przypadkiem natrafiłam... Zaczerwieniła się po same uszy, a on śmiał się z niej szyderczo.

- Akurat... a po co przyszedłeś na górę, Tan?

Wiedział, że matka tak ją nazywa, ale nie chciała słyszeć tego od niego. Tak mogli mówić do niej tylko przyjaciele, a on z pewnością do nich nie należał. Nigdy.

- Moja mama zwykle pracuje w tym pokoju.

- Nie, wcale nie w tym.

Pokręcił głową, jakby zaskoczony jej pomyłką.

- Oczywiście, że w tym.

Tana była tego pewna. Spojrzała na zegarek. Nie chciałyby, żeby taksówka na nią czekała. Nie słyszała żadnego klaksonu, więc chyba jeszcze nie przyjechała po nią.

- Jeśli chcesz, mogę ci pokazać, który to pokój.

Szedł korytarzem w przeciwnym kierunku, a Tana nie bardzo wiedziała, czy ma za nim iść. Nie chciała tracić czasu na sprzeczki, ale dobrze wiedziała, że biuro matki było w pokoju obok. Ale to w końcu jego dom i czuła się nieswojo stojąc pod drzwiami, zza których dobiegały jęki i sapanie zaskoczonej przez nią pary. Miała jeszcze parę minut do przyjazdu taksówki, więc równie dobrze mogła zobaczyć to, co chciał jej pokazać Billy. Otworzył drzwi do jakiegoś innego pokoju.

To tu.

Tana najpierw stanęła w progu, potem weszła rozglądając się wokół. Nie, to nie było biuro Jean. W tym pokoju najbardziej przyciągało wzrok ogromne łóżko, pokryte

szarym aksamitem, z jedwabną pościelą i szarym kocem z oposa. Na wierzchu leżała rozciągnięta narzuta z futra szynszyli. Dywan był także szary, a wszystkie tkaniny miały przepiękne wzory. Tana spojrzała na niego wściekła.

- Bardzo śmieszne. To przecież sypialnia twojego ojca?

- Tak. I tu właśnie pracuje twoja stara. Odwała tu kawał dobrej roboty. Poczciwa Jean.

W tym momencie Tana miała ochotę złapać go za włosy i skopać mu tyłek, ale zmusiła się do przemilczenia jego słów i miała właśnie zamiar wyjść z pokoju, gdy on złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Pchnął drzwi, a one zamknęły się cicho.

- Puść mnie, ty gówniarzu!

Tana rozpaczliwie próbowała się uwolnić z jego uścisku, ale z przerażeniem stwierdziła, że jest od niej znacznie silniejszy. Złapał ją za obie ręce i przycisnął do ściany. Z trudem oddychała.

- Chcesz mi pokazać, jak pracuje twoja mamusia, ty mała dziwko!

Na chwilę złapała oddech. Bolało ją, gdy krępował jej ręce. Oczy zaszczyły jej łzami, bardziej ze złości niż ze strachu przed nim.

- Już dość, wychodzę stąd.

Spróbowała się jeszcze raz uwolnić, ale ponownie pchnął ją brutalnie, aż uderzyła głową o ścianę. Gdy spojrzała na niego, w jego oczach znalazła jedynie chciwe, obleśne pożądanie. Teraz przeraziła się już naprawdę. On śmiał się.

- Nie wygłupiaj się.

Głos Tany drżał, wyczuwała narastającą w nim wściekłość i brutalność.

Oczy Billy'ego rzucały dzikie spojrzenie. Z siłą, jakiej się nie spodziewała, ścisnął jedną ręką jej dłoń. Drugą ręką otworzył rozporek, eksponując swoją męskość. Chwycił jej dłoń i rozkazał:

- Weź go, ty mała suko.

Teraz była już śmiertelnie przerażona. Zbladła i próbowała odsunąć się od niego. Przyciskał ją do ściany, a Tana z całej siły starała się go odepchnąć, jak najdalej od siebie. Ale to nic nie pomagało, a on śmiał się z niej tylko. I nagle zobaczyła, że jego

sflaczały penis, którego wyjął ze spodni, zaczyna pęcznieć i prężyć się w jej kierunku. Sterczał jak obrzydliwy diabelski kikut, a Billy bez przerwy popychał ją na ścianę. Wtedy zdała sobie sprawę, że horror dopiero się zaczyna. Nagle jednym szarpnięciem rozerwał jej sukienkę wzdłuż całej długości, wściekle podarł ją na kawałki, by ujrzeć wreszcie jej ciało. Jego ręce osaczały ją ze wszystkich stron, przesuwały się po brzuchu, piersiach, udach. Napierał na nią całym ciałem, zgniatał ją, ślinił językiem jej twarz. Czowała na sobie obmierzłą woń alkoholu. A on dotykał jej, obmacywał, ciągnął, jakby chciał ją rozerwać. I nagle brutalnie wcisnął między jej nogi swoje palce. Tana krzyknęła i walnęła go z całej siły w szyję, ale on nie zareagował. Okręcił jej blond włosy wokół dłoni jakby miał zamiar je wyrwać i z impetem uderzył ją w twarz. Rzuciła się na niego, próbując walczyć, kopiąc nogami. Brakowało jej tchu, walczyła bardziej o własne życie niż o cnotę. Płakała ze złości, piszczała, z trudem chwytając powietrze. Nagle poczuła, że traci równowagę. Pchnął ją tak mocno, że przewróciła się na miękki dywan. Zdarł z niej resztki sukienki, rozszarpał majtki z białej koronki i oto leżała przed nim piękna, bezbronna i naga, błagając go, płacząc, zgrzytając z wściekłości zębami. Szlochała histerycznie, gdy zsunął spodnie i rzucił w kąt pokoju. Przygniótł ją całym swoim ciężarem, po to tylko by zmiażdżyć jej ciało, zbezczeszczyć je centymetr po centymetrze. Penetrował je swoimi brutalnymi rękami, szarpał je i wysysał, a ona broniła się i próbowała za wszelką cenę uwolnić. Jednak za każdym razem powalał ją znowu na ziemię. Była prawie nieprzytomna, gdy nagle z całej siły wbił się w nią, a po chwili dywan zalała kałuża krwi. Używał sobie na niej, aż do orgastycznego spełnienia. Dziewczyna leżała jak nieżywa, ledwie oddychała, oczy miała czerwone i spuchnięte od łez. Z ust i nosa sączyła się krew. Billy Durning podniósł się zadowolony. Zaczął zakładać spodnie, ale ona nadal się nie ruszała. Gdy spojrzął na nią, wyglądała jakby była martwa.

- Dzięki.

Drzwi pokoju otworzyły się i stanął w nich jeden z przyjaciół

Billy'ego.

Chryste, co ty jej zrobiłeś?

Tana nadal się nie poruszyła, mimo że gdzieś z bardzo daleka słyszała głosy.

Nie ma sprawy - Billy wzruszył ramionami. - Jej matka jest płatną dziwką mojego starego.

Chłopak zaśmiał się.

Wygląda na to, że przynajmniej jedno z was dobrze się bawiło.

Nie można było nie zauważyć kałuży krwi na dywanie, w której leżało ciało Tany.

- Ma okres?

- Chyba tak.

Billy'ego to nie obchodziło. Zapinał spodnie, podczas gdy ona leżała z rozrzuconymi nogami, jak gumowa lalka. Jego przyjaciel przyglądał się temu z zainteresowaniem. Billy pochylił się i klepnął ją w policzek.

- No, dobra Tan, wstawaj.

Nie poruszyła się jednak. On poszedł do łazienki, zmoczył ręcznik i rzucił go na nią. Uważał, że powinna wiedzieć co ma z nim zrobić. Upłynęło jeszcze z dziesięć minut, zanim z trudem poruszyła się, pomału zwinęła w kłębek i zaczęła wymiotować. Na oczach kolegi podniósł ją za włosy i krzyknął:

- O, cholera, nie rób tego tutaj, ty mała świnió.

Silnym szarpnięciem zmusił ją, żeby wstała i zawlókł do łazienki. Pochyliła się nad miską i słabym kopnięciem zatrzaskała drzwi. Wydawało się, że upłynęły godziny, zanim doszła do siebie, ale w gardle nadal czuła pieczenie nadszarpniętych strun głosowych. Dawno już przegapiła zamówioną taksówkę. Odjechał też ostatni Pociąg, ale to było nieistotne w porównaniu z tym odrażającym doświadczeniem, jakie ją spotkało. Nigdy tego nie zapomni. Została zgwałcona. Nadal dygotała, ciągle jeszcze trzęsła się z przerażenia, szczękając zębami. Zaschło jej w ustach, głowa bolała, nie miała siły, by zastanawiać się, w jaki sposób dostanie się do domu. Sukienka była w strzępach, pantofle wymazane krwią, a ona sama siedziała w kucki w łazience, skulona i przestraszona. Otworzyły się drzwi i Billy rzucił w nią jakimiś ciuchami. To była sukienka i pantofle po Ann. Billy popatrzył na nią obojętnie, widać było po nim, że ciągle jeszcze był bardzo pijany.

- Ubieraj się. Zawiozę cię do domu.

- I co dalej? - Nagle zaczęła na niego krzyżeć. - A jak wytłumaczysz to swojemu ojcu?

Wrzeszczała histerycznie, wskazując wewnątrz pokoju za jego plecami.

- Chodzi ci o te plamy na dywanie?

Wyglądał na zdenerwowanego, a ona rozkleiła się zupełnie.

- Chodzi o to, co mi zrobiłeś!

- To nie moja wina, ty mała kokietko.

Jego bezczelność przyprawiła ją o mdłości i chciała już tylko uciec stąd jak najdalej, choćby miała wrócić do Nowego Jorku na piechotę. Nagle odepchnęła go i ściskając ubranie, które jej rzucił, wtargnęła do pokoju, gdzie ją zgwałcił. Jej oczy kipiały wściekłością, włosy były matowe i zmierzwione, twarz opuchnięta i czerwona od płaczu. Z impetem przemierzyła nago pokój i zderzyła się z przyjacielem Billy'ego, który zaśmiał się nerwowo.

- No jak tam, dobrze się bawiliście z Billym?

Ominęła go obojętnie, ignorując jego kpiący śmiech. Schowała się w łazience po przeciwnej stronie. Włożyła szybko ubranie i pobiegła schodami w dół. Było za późno na pociąg, nie chciała już wzywać taksówki. Na dole było prawie pusto, nawet zespół muzyczny już odjechał. Pobiegła wzdłuż szosy, nie myśląc już o podartej sukience i pozostawionej torebce. Było jej wszystko jedno. Chciała się znaleźć jak najdalej od tego miejsca. Może złapie okazję albo zatrzyma wóz policyjny... cokolwiek... Łzy krzepły jej na twarzy, biegła przed siebie ciężko oddychając. Nagle z tyłu dostrzegła zbliżające się długie światła nadjeżdżającego samochodu. Przyspieszyła, czując instynktownie, że to on jedzie za nią. Usłyszała skrzypienie kół na żwirowej drodze i zaczęła uciekać od drzewa do drzewa, cicho szlochając, a łzy zasychały na jej włosach. Billy zatraził i krzyknął do niej:

- No, chodź, zawiozę cię do domu.

Nie odpowiedziała. Po prostu dalej biegła, jak najszybciej mogła, ale on nie ustąpił. Jechał za nią opustoszałą szosą, od krawężnika do krawężnika, aż wreszcie nie wytrzymała i odwróciła się do niego krzyżąc z całych sił:

Zostaw mnie w spokoju!

Stała zmęczona, bez tchu, pochyliła się bezsilnie, ciągle łkając. On powoli wysiadł z samochodu i zbliżał się do niej. Chłodne powietrze nocy otrzeźwiło go trochę. Wyglądał teraz inaczej, w jego spojrzeniu nie było już szaleństwa. Był blady i ponury. Zabrał ze sobą przyjaciela, który obserwował ich z tylnego siedzenia długiej, lśniącej, ciemnozielonej limuzyny XKE, która należała do Billy'ego.

- Odwiozę cię do domu.

Stał na drodze, z szeroko rozstawionymi nogami, w świetle lamp samochodowych.

- No, chodź już, Tan.

- Nie nazywaj mnie tak.

Wyglądała jak mała, wystraszona dziewczynka. Nigdy nie był jej przyjacielem, a teraz jeszcze to... teraz... ilekroć pomyślała o tym, chciała krzyżeć. Ale nie miała już na to siły, nie mogła nawet od niego uciec. Bolało ją całe ciało, dudniło jej w głowie, na twarzy i udach zasychała krew. Patrzyła na niego pustym wzrokiem, stojąc na drodze, ale gdy spróbował się zbliżyć i wziąć ją za rękę, zaczęła krzyżeć i uciekać. Postął przez chwilę i popatrzył za nią, po czym wrócił do samochodu i odjechał. Zaproponował jej odwiezienie do domu, ale jak nie chce, to nie. Do diabła z nią. Tana zatrzymała się zmęczona, bolały ją wszystkie mięśnie. Nie upłynęło dwadzieścia minut, gdy był z powrotem. Wyprzedził ją i zahamował, wysiadł, chwycił za rękę. Zobaczyła, że w samochodzie nie było już drugiego chłopaka, i pomyślała, że pewnie znowu chce ją zgwałcić. Ogarnęła ją nowa fala przerażenia. Gdy ciągnął ją do samochodu, spróbowała się uwolnić z silnego uścisku. Ale tym razem szarpnął ją mocno i krzyknął na nią. Poczula jego nieświeży oddech cuchnący whisky.

- Do diabła, powiedziałem, że odwiozę cię do domu. Wsiadaj do tego cholernego samochodu!

Niemalże rzucił ją na siedzenie i zrozumiała, że nie ma sensu spierać się z nim dłużej. Byli sami i mógł z nią zrobić, co zechciał. Wiedziała już, na co go stać. Wsiadła do jego XKE, po czym samochód ruszył przed siebie w otchłań nocy. Spodziewała się, że

zawiezie ją w jakieś inne miejsce, by tam znowu ją zgwałcić. Jej sytuacja była beznadziejna. Ale on wcisnął tylko gaz do dechy i ruszył naprzód autostradą. Powiew świeżego powietrza ocucił ich oboje. Spojrzał na nią kilka razy i wskazał na pudełko z chusteczkami na podłodze.

- Lepiej się trochę wytrzymaj, zanim dojedziemy.

- Dlaczego?

Patrzyła prosto przed siebie na pustą drogę. Było już po drugiej w nocy, jej oczy skierowane były w jeden punkt. Minęło ich tylko kilka ciężarówek.

- Nie możesz pokazać się w domu w takim stanie.

Nie odpowiedziała i nawet nie spojrzała w jego stronę. Nadal obawiała się, że może zatrzymać się po drodze i dobierać się do niej. Ale teraz, kiedy była na to przygotowana, postanowiła, że będzie uciekać ze wszystkich sił w nogach wzdłuż szosy i może uda jej się zatrzymać którąś z przejeżdżających ciężarówek. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co jej zrobił. Zastanawiała się, czy nie było w tym jej winy, może za słabo się opierała albo zrobiła coś, żeby go do tego zachęcić...? Dręczyły ją ponure myśli, gdy nagle zauważyła, że sportowy wóz, którym jechali zjeżdża na lewo, potem znów na prawo. Spojrzała na Billy'ego i zrozumiała, że drzemał za kierownicą. Szarpnęła go za rękaw, a on ocknął się i popatrzył na nią pytająco.

- Zasypiałeś. Jesteś pijany.

- Taak? I co z tego?

Miał zmęczony głos, całe szczęście, że nie był wściekły. Wyglądało na to, że ocknął się, ale za chwilę znowu zauważyła, że samochód zjeżdża na bok. Nie zdążyła go jednak ostrzec, gdy zahaczyła o nich ogromna ciężarówka przejeżdżająca z dużą szybkością. Sportowy samochód gwałtownie zjechał na prawo. Usłyszała przeraźliwy pisk hamulców, po czym ciężarówka złożyła się w szczyryk i zaczęła „dachować”. Jakimś cudem XKE, którym jechali śmignął obok szoferki ciężarówki i zatrzymał się na jakiejś przeszkodzie. Tana uderzyła mocno głową, gdy samochód z hukiem wpadł na drzewo. Siedziała patrząc przed siebie nieprzytomnym wzrokiem, gdy nagle usłyszała ciche pojękiwanie gdzieś obok. Jego twarz była cała we krwi, ale ona nie poruszyła się.

Zachowywała się

• jakby była zahipnotyzowana, gdy nagle otworzyły się drzwi i poczuła, jak wyciągają się po nią silne ręce. Zaczęła krzyczeć z całych sił. W jednej chwili wszystkie wydarzenia wieczoru Zkumulowały się i wywołały niespodziewaną reakcję. Straciła kontrolę nad sobą i wybiegła z samochodu z piskiem. Histerycznie płacząc rzuciła się przed siebie, próbując uciec stamtąd. Kierowcy z dwóch ciężarówek, które zatrzymały się na miejscu wypadku, starali się ją uspokoić do przyjazdu policji, ale spojrzenie jej oczu było nadal dzikie i nieprzytomne. Próbowali też pomóc Billy'emu, powstrzymując krwawienie spowodowane urazami głowy. Szczególnie głęboką ranę miał nad okiem. Wkrótce nadjechała policja i karetka. Trzy ofiary wypadku przewieziono do pobliskiego Centrum Medycznego New Rochelle Hospital. Kierowca ciężarówki został niemal od razu wypuszczony do domu. Jakimś cudem jego samochód odniósł więcej obrażeń niż on sam. Billy'emu zszywano rany na głowie. Stwierdzono, że prowadził pod wpływem alkoholu, a ponieważ już trzeci raz został zatrzymany w tych okolicznościach, stracił na rok prawo jazdy. Zmartwiło go to bardziej niż wszystkie obrażenia. Całe ciało Tany było we krwi, ale personel szpitala stwierdził ze zdziwieniem, że większość krwi już zaschła. Nie mogli jej jednak nakłonić do żadnych wyjaśnień. Ilekroć próbowała coś powiedzieć, zachłystywała się powietrzem. Miła, młoda pielęgniarka delikatnie ją umyła. Tana leżała na stole do badań i płakała. Podano jej środki uspokajające i gdy około czwartej nad ranem przyjechała jej matka, była pod wpływem ich działania.

- Co się stało...? O Boże!

Spojrzała na bandaż na głowie Billy'ego.

- Billy, czy wszystko jest w porządku?

- Chyba tak.

Uśmiechnął się przestraszony. Patrząc na niego, pomyślała, że jest bardzo przystojnym chłopcem, mimo że bardziej przypominał Marię niż ojca. Nagle jego twarz spochmurniała i wyglądał na przerażonego.

- Dzwoniłaś do Taty? Jean Roberts zaprzeczyła.

- Nie chciałam go martwić. Powiedziano mi, że nic ci nie będzie i pomyślałam, że

sama się wami zaopiekuję.

- Dzięki.

Popatrzył na drzemiącą Tanę i wzdrygnął się nerwowo.

- Przykro mi, że... że rozbiłem... że rozbiliśmy samochód.

- Najważniejsze, że żadnemu z was nic się nie stało.

Zmarszczyła czoło, gdy przyjrzała się potarganym włosom Tany, ale nigdzie nie było już śladów krwi, a pielęgniarka próbowała opowiedzieć, że dziewczyna, kiedy ją przywieziono, była w kompletnym szoku i hysterii.

- Dostała środki uspokajające. Przez jakiś czas będzie spała Jean Roberts zasępiła się.

- Czy była pijana?

Wiedziała, że Billy pił, ale gdyby okazało się, że ona także - musiałaby za to zapłacić. Młoda pielęgniarka zaprzeczyła.

- Nie sądzę. Jest raczej bardzo przestraszona. Mocno uderzyła się w głowę, ale na szczęście nic poza tym. Nie ma podejrzenia wstrząsu mózgu ani uszkodzenia kręgow szyjnych.

Tana obudziła się. Spojrzała na matkę, jakby widziała ją po raz pierwszy, i zaczęła cicho płakać. Jean wzięła ją w ramiona i uciszała łagodnie.

- Już wszystko dobrze kochanie... już dobrze.... Tana gwałtownie zaprzeczyła ruchem głowy i z trudem złapała oddech.

- Nie, wcale nie... nie jest... on...

Ale Billy stanął nad nią i patrzył tak groźnie, że zabrakło jej odwagi, by dokończyć. Wyglądał jakby chciał ją znowu uderzyć. Odwróciła głowę i zaczęła kasłać, ciągle czując na sobie jego spojrzenie. Nie mogła na niego patrzeć... nie widziała go... już nigdy nie chce go widzieć...

Leżała na tylnym siedzeniu mercedesa, gdy matka wiozła Billy'ego do domu. Jean weszła z nim do środka i długo jej nie było. Wyrzucili ostatnich gości, z pół tuzina wyciągnęli z basenu, dwie pary znaleźli w łóżku Ann i kazali uspokoić się grupie młodzieży, która rozrabiała w domku przy basenie. Jean wróciła do samochodu, w

którym czekała na nią córka. Wiedziała już, że po tej imprezie będzie miała roboty na co najmniej tydzień. Zniszczyli połowę mebli, spalili niektóre rośliny, wymazali obicia, na dywanach było pełno plam, a w basenie pływało wszystko: od plastikowych szklanek do całych ananasów. Nie chciała, żeby Artur zobaczył to miejsce w takim stanie, zanim ona nie doprowadzi go do porządku. Usiadła ciężkim westchnieniem za kierownicą i spojrzała na nadzwyczaj spokojną Tanę. Jej córka była naprawdę podejrzanie spokojna. Te środki uspokajające zrobiły swoje.

- Dzięki Bogu, że nie wchodzili do pokoju Artura.

Samochód ruszył, a Tana pokręciła przecząco głową, ale słowa nie mogły przejść jej przez gardło.

Dobrze się czujesz?

Tylko to się liczyło. Mogli się przecież zabić. Cudem udało im się wykaraskać. Gdy telefon zadzwonił koło trzeciej nad ranem, tylko to ją interesowało. Już od kilku godzin Jean była bardzo zdenerwowana i, kiedy usłyszała dzwonek, instynktownie wyczuła, że coś się stało i natychmiast podniosła słuchawkę.

- Jak się czujesz?

Patrzyła na matkę bezmyślnie i pokręciła głową.

- Chcę do domu.

Łzy potoczyły się po jej policzkach, a Jean zastanawiała się, czy na pewno nie była pijana. To była zwariowana impreza i w końcu Tana też brała w niej udział. Zauważyła, że nie miała na sobie tej sukienki, w której wyszła z domu.

- Pływałaś?

Siedziała za nią bez słowa, zaprzeczyła ruchem głowy. Patrząc na jej twarz w lusterku Jean zauważyła dziwny wyraz jej oczu.

- Co się stało z twoją sukienką?

Odpowiedziała głosem, którego Jean nigdy nie słyszała - zimnym, twardym, zachrypniętym.

- Billy ją podał.

- Co zrobił?

Wyglądała na zaskoczoną, ale uśmiechnęła się.

- Wrzucił cię do basenu?

Tylko to jej przychodziło do głowy, nawet jeśli trochę za dużo wypił, był przecież zupełnie niegroźny. Całe szczęście, że nie uderzył w tę ciężarówkę. Oboje dostali dobrą nauczkę na przyszłość.

- Mam nadzieję, że rozumiesz swój błąd i wyciągniesz wnioski z dzisiejszych wydarzeń, Tan.

Zaczęła pochlipywać na dźwięk swojego imienia, którego Billy także użył tej nocy. Jean nie wytrzymała i zatrzymała samochód.

- Co się z tobą dzieje? Jesteś pijana? Brałaś narkotyki?

Patrzyła na nią podejrzliwie, zupełnie inaczej niż wtedy, gdy odwoziła Billy'ego do domu. Jakże życie jest niesprawiedliwe pomyślała Tana. Ale matka po prostu nie wiedziała, co jej zrobił Drogocenny, Niewinny Billy Durning. Popatrzyła jej prosto w oczy

- Billy zgwałcił mnie w pokoju ojca.

- Tana! - Jean Roberts była przerażona. - Jak możesz mówić coś takiego? On nigdy by tego nie zrobił!

Całą złość skupiła na własnej córce, zamiast mieć pretensje do syna swojego kochanka. Nie mogła uwierzyć, że Billy był zdolny do czegoś takiego. Miała to wypisane na twarzy, gdy patrzyła na swoje jedyne dziecko.

- To straszne, co mówisz.

Straszne było to, co on zrobił. Ale Jean tylko patrzyła na nią.

Dwie samotne łzy stoczyły się po policzkach Tany.

- To prawda.

Jej twarz przebiegł bolesny grymas na wspomnienie o tym.

- Przysięgam...

Znowu zaczęła pograżać się w hysterii. Jean odwróciła się i uruchomiła silnik, nie oglądając się na tylne siedzenie.

- Nigdy więcej nie chcę słyszeć takich rzeczy, o nikim.

Zwłaszcza o kimś, kogo znała... bezbronnym chłopcu, którego znała od dziecka...

nawet nie zastanawiała się, dlaczego Tana to powiedziała... może zazdrościła Billy'emu i Ann, i Arturowi...

- Nigdy nie chcę o tym słyszeć. Zrozumiałas?

Z tylnego siedzenia nie było odpowiedzi. Tana siedziała sparaliżowana reakcją matki. Już nigdy nic nie powie. O nikim. W tym momencie w jej sercu coś umarło na zawsze.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lato upłynęło bardzo szybko. Tana odpoczywała przez dwa tygodnie w Nowym Jorku, podczas gdy jej matka codziennie chodziła do pracy. Jean mimo wszystko martwiła się o nią. Niby nic jej nie dolegało, ale czasem siedziała wpatrzona w martwy punkt, nasłuchując czegoś w ciszy, nie zauważając nikogo. Nie odbierała telefonów, gdy Jean lub ktokolwiek inny próbował do niej zadzwonić. Jean wspomniała o tym Arturowi pod koniec tygodnia. Prawie udało jej się wreszcie doprowadzić dom w Greenwich do porządku. Billy z przyjaciółmi udali się na Malibu, by odwiedzić kolejnych znajomych. Zrujnowali niemal doszczętnie domek przy basenie, ale najbardziej był zniszczony dywan w sypialni Artura. Ktoś wyciął nożem kawał wykładziny w jego pokoju. Artur nie szczędził synowi cierpkich słów.

- Czy wy jesteście jakimiś barbarzyńcami czy dzikusami? Powinienem być wysłać cię do West Point, a nie do Princeton. Tam nauczyliby cię trochę moresu. Mój Boże, kiedy byłem w twoim wieku, nawet nie słyszałem, żeby ktoś się tak zachowywał. Widziałeś dywan? Jest kompletnie zniszczony.

Billy robił wrażenie zmartwionego i skruszonego.

- Przykro mi, tato. Rzeczywiście sprawy trochę wymknęły mi się spod kontroli.

- Trochę? To cud, że ty i mała Roberts uszliście z życiem. Billy był w całkiem niezłej formie po wypadku. Gdy opuszczał szpital bolało go oko, ale szwy znad brwi miał już zdjęte. Przed wyjazdem do Malibu co wieczór wychodził z przyjaciółmi.

- Przekłęte, zwariowane dzieciaki... - Artur ciągle pomstował. - A jak się czuje Tana?

Jean wspominała Arturowi, jak dziwnie zachowuje się córka od tamtej pory. Zastanawiała się, czy uraz głowy, jakiego doznała, nie był jednak poważniejszy, niż wydawało się lekarzom.

- Wiesz, tej nocy zachowywała się jakby była nieprzytomna i bredziła... powiedziała nawet...

Pamiętała tę idiotyczną bajeczkę o Billym, którą Tana próbowała jej sprzedać. Wyglądało na to, że jednak nie jest z nią za dobrze i Artur także się tym martwił.

- Każ ją jeszcze raz przebadać.

Ale kiedy chciała to zrobić, Tana kategorycznie odmówiła. Jean zaczęła nawet zastanawiać się, czy jej córka powinna w takim stanie jechać do Nowej Anglii do wakacyjnej pracy. Jednak w przeddzień terminu wyjazdu Tana po cichu spakowała swoje torby i następnego poranka spotkały się przy śniadaniu. Dziewczyna miała bladą i zmęczoną twarz, ale gdy Jean podała jej szklankę soku pomarańczowego, po raz pierwszy od dwóch tygodni uśmiechnęła się, a matka ze wzruszenia nieomal się rozplakała. Od wypadku w domu panowała atmosfera jak w grobowcu. Żadnych dźwięków, żadnej muzyki, śmiechu, chichotu przez telefon, żadnych głosów - wszędzie tylko martwa cisza. I martwe oczy Tany.

- Tęskniłam za tobą, Tan.

Na dźwięk tak wymawianego imienia, oczy Tany wypełniły się łzami. Pokiwała głową nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Nie miała już nic do powiedzenia. Nikomu. Miała wrażenie, że jej życie się skończyło. Przysięgła sobie, że już nigdy nie dotknie jej żaden mężczyzna, i wiedziała, że dotrzyma słowa. Nie pozwoli, żeby ktoś zrobił jej coś takiego, jak Billy Durning. Największą tragedią było to, że Jean nie umiała stawić czoła prawdzie, nie chciała słuchać ani pogodzić się z tym, co mówiła córka. W jej mniemaniu było to niemożliwe, co oznaczało, że po prostu wydarzenie nie miało miejsca. Najgorsze, że to się jednak stało.

- Naprawdę zdecydowałaś się pojechać na ten obóz?

Tana sama zastanawiała się nad tym. Wiedziała, że to poważna decyzja. Mogła tu pozostać i ukrywać się przez resztę życia, jak ofiara, czy ułomna, ktoś skrzywdzony, załamany i skończony, albo mogła próbować zacząć wszystko od nowa, ruszyć w życie własną drogą.

- Tak, wszystko będzie w porządku.

- Jesteś pewna?

Była taka wyciszona, skruszona i nagle taka dorosła. Tak jakby uraz głowy podczas tego wypadku gwałtownie zakończył jej młodość. Może było to spowodowane strachem. Jean nie widziała nigdy nikogo, kto tak by się zmienił w tak krótkim czasie.

Artur opowiadał, że Billy czuł się już dobrze, był skruszony, ale jednocześnie wrócił do swojej dawnej formy, zanim jeszcze zaczęły się wakacje. W przypadku Tany było zupełnie inaczej.

- Słuchaj, kochanie, jeśli nie czujesz się na siłach, by tam jechać, po prostu zostań w domu. Musisz nabrać sił przed jesiennym wyjazdem na uczelnię.

- Wszystko będzie dobrze.

To było prawie wszystko, co powiedziała, zanim opuściła dom, ściskając kurczowo swoją jedyną torbę. Do Yermont pojechała autobusem, tak jak poprzednio. Tana bardzo lubiła wakacyjną pracę, ale tym razem była jakaś inna i wszyscy to zauważyli. Taka cicha, zamknięta w sobie, prawie wcale się nie śmiała, a jeśli w ogóle z kimś rozmawiała to byli to wyłącznie uczestnicy obozu. Zmartwiło to innych kolegów, których znała od dawna.

- Może ma jakieś kłopoty w domu...

- A może jest chora...?

- O rany, zachowuje się jak ktoś zupełnie obcy...

Wszyscy to dostrzegli, ale nikt nie znał przyczyny takiego jej zachowania. Gdy obozy się skończyły, wsiadła do autobusu i pojechała do domu. Nie nawiązała żadnych przyjaźni tego roku, chyba że z młodszymi dziećmi, ale nawet wśród nich nie była tak popularna, jak poprzednio. Bardzo wyładniała od zeszłego sezonu, ale mimo to dzieci zgodnie stwierdzały, że „Tana Roberts jest dziwna”. I Tana wiedziała, że to prawda.

Spędziła dwa dni w domu z Jean. Unikala starych przyjaciół, spakowała torby do szkoły i, wsiadając do pociągu, poczuła wreszcie ulgę. Nagle miała ochotę pojechać, daleko, daleko stąd... jak najdalej od domu... od Artura... od Jean... od Billy'ego... od nich wszystkich... nawet od szkolnych przyjaciół. Nie była już tą samą beztroską dziewczyną, która skończyła szkołę trzy miesiące temu. Była kimś zupełnie innym, czuła się zraniona i zdradzona, jej dusza krwawiła. Gdy usiadła w pociągu i ruszyła na południe, powoli zaczynała się czuć jak ludzka istota. Wiedziała, że musi odjechać bardzo daleko, uciec od ich oszustw i kłamstw, od rzeczy, których nie potrafili dostrzec, w które nie chcieli uwierzyć, od ich brudnych gier... tak jakby od momentu, gdy Billy Durning ją

skrzywdził, nikt inny nie powinien jej oglądać. Nie istniała, ponieważ grzech Billy'ego nie został ujawniony... ale to sprawa Jean, powiedziała sobie. Kto jej pozostawał? Jeśli własna matka jej nie uwierzyła... nie chciała już o tym myśleć. Nie chciała myśleć o niczym. Wyjedzie stąd gdzieś bardzo daleko i może nie wróci już nigdy do domu.

Niestety, wiedziała, że to też było kłamstwo. Matka zapytała ją przed wyjazdem:

- Przyjedziesz do domu na Święto Dziękczynienia, prawda, córeczko?

Upewniała się, jakby dopiero teraz zaczęła się o nią martwić. Jakby wyczytała coś z oczu córki, coś, czemu nie potrafiła stawić czoła. Zobaczyła otwartą, krwawiącą ranę jej duszy, ale nie umiała jej pomóc, nie mogła sobie z tym poradzić. Tana nie chciała przyjeżdżać do domu na Święto Dziękczynienia, wołałaby w ogóle tu nie wracać. Uciekała od tego poniżającego, taniego stylu życia... hipokryzji... Billy'ego i jego barbarzyńskich przyjaciół... Artura i tych lat w czasie których wykorzystywał jej matkę... żony, którą oszukiwał... kłamstw, które Jean sobie wmawiała... Nagle Tana nie mogła znieść tego wszystkiego i musiała stamtąd uciec. Może już nigdy nie wróci... nigdy.

Przyjemność sprawiał jej miarowy stukot kół pociągu i było jej żal, gdy dojechała do Yolan. Green Hill College znajdował się dwie mile od stacji i wysłano po nią rozklekotane, stare kombi ze starym, czarnym kierowcą o siwych włosach. Powitał ją ciepłym uśmiechem, ale ona spojrzała na niego podejrzliwie, gdy pomagał jej ładować bagaże.

- Długa była podróż pociągiem, panienko?

- Trzydzieści godzin.

Prawie nie odzywała się do niego w czasie krótkiej podróży do szkoły i, gdyby przyszło mu do głowy zatrzymać samochód, pewnie zaczęłaby uciekać w panice. Wyczuwał dystans, jaki stwarzała, i nie próbował być przesadnie miły. Przez część drogi pogwizdywał, a gdy zmęczył się tym, śpiewał piosenki z głębokiego Południa, jakich nigdy przedtem nie słyszała. Kiedy dojechali na miejsce, uśmiechnęła się do niego.

Dzięki za przejażdżkę.

Jestem do usług, panienko. Proszę pytać w biurze o Sama, a zawiozę panienkę, gdziekolwiek panienka sobie życzy.

A potem zaśmiał się trochę rubasznie, ale ciepło.

- Ale tu nie ma za wiele miejsc, które warto odwiedzić.

Miał akcent z głębokiego Południa. Od chwili, gdy Tana wysiadła z pociągu, zachwycało ją wszystko, na co padał jej wzrok. Wysokie, majestatyczne drzewa, wszędzie bajecznie kolorowe kwiaty, soczysta, bujna trawa i powietrze bezwietrzne, ciężkie i ciepłe. Nabierało się nieprzepartej chęci, by spacerować i napawać się pięknem Południa. Gdy po raz pierwszy zobaczyła college, stanęła i uśmiechnęła się do siebie. To było to, o czym marzyła, tak właśnie go sobie wyobrażała. Miała zamiar przyjechać i obejrzeć to wszystko ostatniej zimy, ale nie było na to czasu. Zamiast tego wypytała o wszelkie drobiazgi przedstawiciela college'u, który przyjechał do nich na Pomoc, i spodobało jej się bardzo to, co zobaczyła i przeczytała w broszurkach. Szkoła prezentowała bardzo wysoki poziom, ale ona chciała czegoś więcej - podobała jej się reputacja uczelni, legendy, które krążyły na temat jej historii. Wiedziała, że obowiązywały tu dosyć konserwatywne metody, i to ją właśnie pociągało. Oglądała zgrabne, białe budowle, świetnie utrzymane, z wysokimi kolumnami i pięknymi oknami we francuskim stylu, z widokiem na małe jezioro, i nieomal czuła się tak, jakby dopiero teraz znalazła się w domu.

Zameldowała się w recepcji, wypełniła formularze, wpisała się na długą listę nazwisk, sprawdziła, do którego budynku ją przydzielono, i chwilę później Sam pomagał jej załadować bagaż na stary wózek. Przyjazd tutaj był jak podróż do miejsca cofniętego w czasie. Po raz pierwszy od miesiący poczuła wewnętrzny spokój. Nie musiała spotykać się z matką, tłumaczyć jej, jak się czuje, nie słyszała znienawidzonego nazwiska Durningów, nie musiała oglądać skrywanego bólu, jaki malował się na twarzy jej matki z powodu

Artura.... Nie musiała słuchać o Billym... Przebywanie w tym samym mieście, co oni, przygnębiało ją i paraliżowało. Przez pierwsze dwa miesiące od dokonanego na niej gwałtu, myślała wyłącznie o ucieczce. Wiele wysiłku i odwagi kosztowała ją decyzja o wyjeździe na obóz letni, a każdy następny dzień był bitwą. Wpadała w panikę, kiedy ktoś starał się do niej zbliżyć czy zaprzyjaźnić. Zwłaszcza, jeśli byli to mężczyźni albo nawet

młodzi chłopcy. Tutaj nie musiała się przynajmniej o to martwić. To była żeńska uczelnia i nikt jej nie zmuszał, by chodziła na tańce czy studenckie bale, albo na mecze futbolowe lokalnej drużyny. Życie towarzyskie miało dla niej znaczenie, kiedy starała się o przyjęcie na tę uczelnię, ale teraz zupełnie nie dbała o to. Nie utrzymywała żadnych kontaktów z dawnymi przyjaciółmi już od trzech miesięcy... ale nieoczekiwanie... raptownie... doznała wrażenia, że tutaj nawet powietrze pachniało inaczej, jakoś tak przyjemnie. Uśmiechnęła się na widok Sama ciągnącego wózek z jej bagażem, a on w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko do niej.

- Daleko stąd do Nowego Jorku.

W jego oczach zamigotały wesołe iskielki, a poskręcane, siwe włosy układały się tak miękko.

- To prawda. Ale tutaj jest tak pięknie.

Jeszcze raz popatrzyła na jezioro, a potem na szereg zabudowań wokół niego. Rozmieszczenie budynków: wyższe w tyle, a niższe z przodu, nadawało temu miejscu charakter zabudowań pałacowych i wyglądało to bardzo dostojnie. Podobno rzeczywiście była to kiedyś czyjaś rezydencja. Nadal była wspaniale utrzymana, nienaruszona upływem czasu. Tana pożałowała, że jej matka nie może tego zobaczyć, ale może kiedyś...

- Kiedyś była tu plantacja.

Mówił to samo setkom dziewcząt każdego roku. Uwielbiał opowiadać młodzieży swoje historyjki. Przechwalał się, że jego dziadek był tu niewolnikiem, a one słuchały z szeroko otwartymi oczami. Były takie młode i wspaniałe, prawie tak samo jak jego córka, tylko, że ona jest już kobietą i ma swoje własne dzieci. One też niedługo zostaną żonami i matkami. Pamiętał, że co roku, wiosną, zewsząd zjeżdżały się młode dziewczęta, aby wyjść za mąż w ślicznym kościółku na terenie studenckiego osiedla. Po uroczystości wręczenia dyplomów zawsze znajdowało się co tuzin takich, które chciały to zrobić jak najszybciej. Przyglądał się Tanie, gdy szła koło niego i zastanawiał się, jak długo zdoła wytrwać w stanie panieństwa. Była jedną z najpiękniejszych dziewcząt jakie dotąd widział, z długimi, zgrabnymi nogami, miłą twarzą, okoloną burzą złotych włosów i tymi

ogromnymi, zielonymi oczami. Gdyby znał ją trochę dłużej, zażartowałby sobie, że wygląda jak gwiazda filmowa, ale ona utrzymywała większy dystans niż pozostałe studentki. Zauważył też, że była nadzwyczaj nieśmiała.

- Byłaś tu już kiedyś?

Zaprzeczyła ruchem głowy i spojrzała na budynek, przed którym zatrzymał wózek.

- To jest najpiękniejszy dom, jaki mamy. Nazywa się Jaśminowy Dom.

Przyprowadziłem tu dzisiaj już pięć nowych dziewcząt. Razem będzie tu mieszkało około dwudziestu pięciu osób i gospodyni, która dba o porządek i dyscyplinę - rozpromienił się nagle - ale jestem pewien, że żadna z was nie będzie wymagała specjalnej opieki.

Roześmiał się dźwięcznie swoim głębokim i radosnym głosem, aż zabrzmiało to jak muzyka. Tana pomagała mu przy dźwiganiu toreb, także z uśmiechem na ustach. Weszła za nim do środka i znalazła się w przytulnym, świetnie wyposażonym salonie. Meble były w większości antyczne, angielskie i wczesnoamerykańskie, obite kwiecistymi, kolorowymi materiałami. Na stołach i biurku stały w wielkich wazonach olbrzymie bukiety kwiatów. Panowała tu naprawdę domowa atmosfera, pomyślała Tana wchodząc i rozglądając się wokół. Czuło się tu kobiecą rękę. Wszystko było na swoim miejscu, utrzymane w nieskazitelnej czystości, tak jakby należało się tu poruszać w sterylnym ubraniu i białych rękawiczkach. Tana spojrzała niepewnie na swoją spódnicę w szkocką kratę, mokasyny i podkolanówki na nogach witając uśmiechem zbliżającą się kobietę. Była to siwa pani z niebieskimi oczami, ubrana w skromną, szarą garsonkę. Przedstawiła się jako opiekunka Jaśminowego Domu. Pełniła tę funkcję już od ponad dwudziestu lat. Mówiła bardzo melodyjnie, z łagodnym południowym akcentem. Gdy pochyliła się i na chwilę rozchyliły się poły jej żakietu, Tana zobaczyła, że na jej szyi wisi pojedynczy sznur pereł. Wyglądała jak dobra ciocia. W kącikach oczu miała siateczki zmarszczek, od ciągłego uśmiechu na twarzy.

- Witaj w Jaśminowym Domu, moja droga. Na naszym kampusie jest jedenaście takich domów, ale lubimy mówić, że ten jest najlepszy.

Roześmiała się do Tany i zaproponowała filiżankę herbaty. Sam w tym czasie zaniósł na górę jej bagaże. Tana podniosła do ust filiżankę, malowaną ręcznie w kwiaty i

srebrną łyżeczkę, podziękowała za apetycznie wyglądające ciasteczka. Siedziała podziwiając widok na jezioro i rozmyślała, jak dziwne jest życie. Czuła się tak, jakby wylądowała na innej planecie. Wszystko wokół było takie inne niż w Nowym Jorku... Nagle znalazła się w tym wspaniałym miejscu, z daleka od wszelkich kłopotów, i popijała herbatkę, rozmawiając z tą miłą kobietą, o niebieskich oczach, ze sznurem pereł na szyi...

Upłynęły tylko trzy miesiące od dnia, w którym leżała na podłodze w sypialni Artura Durninga, zgwałcona i pobita przez jego syna.

- ... nie sądzisz moja droga?

Tana ocknęła się i nic nie rozumiejąc spojrzała nagle na opiekunkę. Na chwilę zatopiła się w swoich myślach i zgubiła wątek rozmowy. Skwapliwie pokiwała głową i ogarnęło ją ogromne zmęczenie. Miała ostatnio zbyt wiele wrażeń.

- Tak... - odparła - myślę, że tak.

Nie była pewna, na co się zgadza, myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju. Wreszcie skończyły herbatę i umyły filiżanki. Tanę ubawiła myśl o tym, ile filiżanek herbaty musiała dzisiaj wypić ta biedna kobieta. Opiekunka, jakby wyczuła jej pragnienia, zaprowadziła Tanę do pokoju na górze, dokąd prowadziły dwie serpentyny krętych schodów. Szły długim korytarzem, którego ściany zawieszono były rycinami kwiatów na przemian z fotografiami absolwentek. Jej pokój znajdował się na samym końcu. Ściany były ciemnoróżowe, w oknach wisiały perkalowe zasłony i taka sama była narzuta na łóżku. Stały tu dwa wąskie łóżka, dwie bardzo stare szafki, dwa krzesła i niewielka umywalka w rogu. To był pokój utrzymany w staroświeckim stylu, z nisko zawieszonym sufitem. opiekunka czekała na reakcję Tany i z zadowoleniem pokiwała gdy dziewczyna odwróciła się z uśmiechem.

- Bardzo tu miło.

Cały Jaśminowy Dom jest taki.

Zostawiła Tanę samą, a dziewczyna usiadła przyglądając się bezmyślnie swoim bagażom i nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Wreszcie wyciągnęła się na łóżku i patrzyła na drzewa za oknem. Zastanawiała się, czy nie powinna zaczekać na

współlokatorkę zanim zajmie któreś z łóżek i połowę miejsca w szafie. Poza tym i tak nie miała ochoty się rozpakowywać. Pomyślała, że chętnie poszłaby na spacer wzdłuż jeziora, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Kiedy otworzyły się, stanął w nich stary Sam. Szybko usiadła na łóżku, a on wniósł do pokoju dwie torby, z dziwną miną na twarzy. Spojrzał na Tanę, wzruszył ramionami i powiedział:

- No, tego jeszcze nie było.

O co mu chodzi? Tana patrzyła na niego zupełnie zdezorientowana, a on pokręcił z niedowierzaniem głową i zniknął za drzwiami. Przyjrzała się bagażom, które przyniósł. Nie było w nich nic nadzwyczajnego, dwie duże granatowe torby w kratę, z wiszącymi znaczkami podróźnymi, kosmetyczka, i okrągłe pudło na kapelusze, dokładnie takie jak Tany. Spacerowała po pokoju, zastanawiając się, jak będzie wyglądała właścicielka tego bagażu. Spodziewała się długiego oczekiwania, zwłaszcza z powodu tej rytualnej herbatki, ale za chwilę usłyszała pukanie opiekunki. Kobieta rzuciła na Tanę źle wróżące spojrzenie, jakby miała do przekazania złe wiadomości. Stanęła z boku, a do pokoju po prostu wfrunęła Sharon Blake. Wydała się Tanie najpiękniejszą dziewczyną, jaką dotąd spotkała. Strumienie czarnych loczków zebrane z tyłu głowy, błyszczące oczy w kolorze onyksu, zęby bielsze od kości słoniowej - wszystko to na pięknej twarzy koloru jasnokakaowego, tak perfekcyjnie wyrzeźbionej, że wydawała się nierealna. Jej zniwelająca uroda, pełne wdzięku ruchy, wyrefinowany styl, na chwilę odebrały Tanie głos. Dziewczyna zdjęła z siebie czerwony płaszcz i mały kapelusik rzucając je na jedno z krzeseł. Ubrana była w szarą, wełnianą, wąską sukienkę i do tego pantofelki w idealnie dobranym kolorze. Wyglądała bardziej na modelkę niż na studentkę. Tana z ciężkim westchnieniem pomyślała o strojach, które zabrała ze sobą- Same luźne bluzy i stare, wełniane spódnice, kupowała bez większego zastanowienia. Dużo zwykłych bawełnianych koszulek, swetry w serek i dwie sukienki, które matka kupiła jej przed wyjazdem u Saksa.

- Tano - głos opiekunki zabrzmiał bardzo poważnie - jest Sharon Blake. Ona także pochodzi z Północy. Ale nie aż tak dalekiej jak ty, przyjechała z Waszyngtonu.

- Cześć.

Tana popatrzyła na nią nieśmiało, a Sharon posłała jej jeden swoich oszalamiających uśmiechów i podała jej rękę.

- Jak się masz.

- Pozwolicie, że zostawię was teraz.

Popatrzyła jeszcze raz na Sharon z wyrazem niemalże bólu na twarzy i na Tanę z niewymownym współczuciem. Co zrobić, ktoś musi przecież spać z tą dziewczyną, a Tana powinna pamiętać o tym, że otrzymuje stypendium. To było jedyne wyjście. I tak powinna być wdzięczna za to, co ma. A dzięki temu inne dziewczęta nie będą narażone na takie towarzystwo. Delikatnie zamknęła za sobą drzwi i zdecydowanym krokiem zeszła schodami na dół. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy w Jaśminowym Domu i w ogóle na całym kampusie Green Hill. Julia Jones poczuła, że potrzeba jej czegoś mocniejszego od herbaty, w końcu to był bardzo stresujący dzień.

W ich pokoju na górze Sharon usiadła ze śmiechem na jednym z twardych krzeseł i przyjrzała się lśniącom blond włosom Tany. Tworzyły we dwie interesująco kontrastową parę. Jedna taka płowa, a druga zupełnie czarna. Oglądały się wzajemnie z zaciekawieniem, a Tana uśmiechała się myśląc o tym, co ona tu właściwie robi. Mogła równie dobrze pojechać na jakąś uczelnię na Północy. Ale nie знаła jeszcze Sharon Blake. Dziewczyna była piękna i miała na sobie kosztowne ubrania. Tana zwróciła na to uwagę, gdy Sharon zrzuciła z nóg pantofle.

- No więc - delikatna, ciemna buzia zwróciła się do niej z uśmiechem - co myślisz o Jaśminowym Domu?

- Jest piękny, a ty, jak sądzisz?

Tana była nadal onieśmiewiona, ale nowo przybyła miała w sobie coś przyciągającego oprócz urody. Z jej subtelnej twarzy emanowała surowość, śmiałość i odwaga.

- Wiesz, że dali nam najgorszy pokój.

Tanę zaszokowała ta informacja. - Skąd o tym wiesz?

- Widziałam inne, jak szliśmy korytarzem. - Westchnęła i ostrożnie zdjęła kapelusz. - Spodziewałam się tego. - Spojrzała taksujące. - A ty za jakie grzechy zostałeś

przydzielona do pokoju ze mną

Sharon uśmiechnęła się do niej łagodnie. Wiedziała dobrze, dlaczego ona sama znalazła się tutaj. Była jedyną Murzynką, której udało się dostać do Green Hill, ale nie była też zwyczajną czarną dziewczyną. Jej ojciec był znanym pisarzem, otrzymał nagrodę Pulitzera i National Book Award. Matka była adwokatem, pracowała dla rządu. Ona sama też miała zamiar zrobić karierę. Przynajmniej tego od niej oczekiwano... nie można oczywiście być tego pewnym... Ale oczywiście Miriam Blake dała swojemu najstarszemu dziecku możliwość wyboru, zanim posłała ją do Green Hill. Mogła przecież uczyć się na jednej z uczelni na Północy, na przykład na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Miała wystarczająco dobre oceny. Mogła też zdawać do Georgetown, wtedy byłaby blisko domu. Jeśli poważnie myślała o aktorstwie, UCIA stała dla niej otworem... lub jeśli chciałaby zrobić coś, co kiedyś będzie miało znaczenie dla innych czarnych dziewcząt... mówiła jej matka. Była nieustępliwa, ciągnąc dalej:

- Mogłabyś pojechać do Green Hill.

- Na Południe? - Sharon była bardzo zaskoczona. - Przecież mnie tam nie przyjmą.

Matka przyglądała się jej z powagą.

- Nie rozumiesz, kochanie? Twój ojciec nazywa się Freeman Blake. Pisze książki, które czytają ludzie na całym świecie. Czy naprawdę myślisz, że odważą się odrzucić twoje podanie?

Sharon zachichotała nerwowo.

- No, pewnie. Mamo, przecież oni „powloką mnie smołą i oblepią piórami”, zanim zdążę się rozpakować.

Ta myśl przeraziła ją naprawdę. Wiedziała, co zdarzyło się trzy lata temu w Little Rock. Czytała gazety. Potrzeba było aż czołgów Gwardii Narodowej, żeby czarne dzieci mogły pozostać w szkole dla białych. A nie rozmawiały przecież o byle jakiej szkole. To było Green Hill. Najbardziej ekskluzywny żeński college na Południu, do którego chodziły córki kongresmanów i senatorów, gubernatorów Teksasu, Południowej Karoliny i Georgii. Dziewczęta miały za zadanie łyknąć trochę mądrości, zanim połączą się w pary z

chłopcami z towarzystwa.

Mamo, ale to szaleństwo.

- Jeśli każda czarna dziewczyna w tym kraju myśli tak samo jak ty, Sharon Blake, to znaczy, że za sto lat od dziś będziemy sypiać w „czarnych” hotelach, jeździć na końcu autobusu i pić wodę z fontanny, do której sikają biali chłopcy.

Oczy matki błyszczały groźnie, gdy Sharon spojrzała na nią. Miriam Blake zawsze miała swoje zdanie na ten temat. Sama studiowała w Radcliffe, korzystając tam ze stypendium, potem w Akademii Prawa w Boalt na uniwersytecie Columbia i odtąd zawsze walczyła o swoje przekonania, o prawa pokonanych, o los zwykłego człowieka. Teraz walczyła o ludzi takich jak one. Nawet mąż podziwiał jej siłę. Miała więcej odwagi niż wszyscy faceci, których znał. Nie miał zamiaru jej zniechęcać. Ale Sharon czasami obawiała się tego. Nawet bardzo. Ten sam lęk czuła składając podanie do Green Hill.

- A co będzie, jak mnie przyjmą? - Ta myśl przerażała ją i podzieliła się tym z ojcem. - Ja nie jestem taka jak ona, tatusiu... Nie chcę niczego dowieść... ani udowodnić, że mogę się tam dostać... Chcę mieć przyjaciół, dobrze się bawić... ona oczekuje ode mnie zbyt wiele...

Jej oczy wypełniły się łzami. Ojciec rozumiał ją dobrze. Ale nie mógł zmienić żadnej z nich, ani Miriam i jej wymagań wobec wszystkich ani beztroskiej, radosnej, pięknej córki, która bardziej przypominała jego samego niż matkę. Sharon chciałaby kiedyś zostać aktorką na Broadwayu i studiować w UCLA.

- Możesz się tam przenieść na ostatnie dwa lata, Shar - powiedziała matka - jak już spełnisz swój obowiązek.

- Dlaczego muszę spełniać jakiś obowiązek? - krzychała. - Dlaczego muszę poświęcić dwa lata życia dla jakiejś idei?

- Dlatego, że mieszkasz w domu swojego ojca, na ekskluzywnym przedmieściu Waszyngtonu i dzięki nam możesz spać w miłym, ciepłym łóżku i nigdy w życiu nie zaznałaś bólu.

- Więc zbij mnie. Traktuj mnie jak niewolnicę, ale pozwól mi robić to, co chcę.

- W porządku. - Oczy matki ciskały złowrogie błyskawice. - Rób, co chcesz. Ale

nigdy nie będziesz mogła chodzić z podniesioną głową, jeśli potrafisz myśleć wyłącznie o sobie. Myślisz, że tak właśnie postępowali ci z Little Rock? Przeszli każdy krok tej ciernistej drogi, z bronią przyłożoną do skroni. Członkowie Klanu łamali sobie zęby na ich głowy. I wiesz dla kogo to robili? Dla ciebie dziewczyno, dla ciebie. A ty, dla kogo to zrobisz, Sharon

Blake?

- Dla siebie! - wrzasnęła i pobiegła do swojego pokoju na górę trzasnąwszy drzwiami. Ale słowa matki nie dawały jej spokoju. Tak było zawsze. Nie było z nią łatwo żyć ani ją kochać. Nigdy nie zgadzała się na tanie kompromisy. Ale na dłuższą metę robiła zawsze to, co trzeba. Wszyscy jej coś zawdzięczali.

Freeman Blake próbował porozmawiać z żoną tej nocy. Wiedział co czuje Sharon i jak bardzo chce zdawać do szkoły na Zachodnim Wybrzeżu.

Dlaczego nie pozwolisz jej zrobić tego, co chce?

- Bo ciąży na niej odpowiedzialność. I na tobie także.

- Czy ty kiedykolwiek myślisz o czym innym? Ona jest jeszcze taka młoda. Daj jej szansę. Może nie chce spłonąć dla idei. Może ty robisz już dosyć za nas wszystkich.

Ale oboje wiedzieli, że to nie do końca jest prawdą. Brat Sharon miał tylko piętnaście lat, ale był dokładnie taki jak Miriam, i miał takie same przekonania, tylko zachowywał się jeszcze bardziej agresywnie i radykalnie. Nikomu nie pozwolił się nigdy znieważać czy zdeptać i Freeman był z tego dumny. Z drugiej strony rozumiał, że Sharon jest po prostu inna.

- Pozwól jej być sobą.

I tak się stało, ale w rezultacie zwyciężyło poczucie winy, jak zwierzyła się potem Tanie.

- I oto jestem tutaj.

Zjadły kolację w głównej jadalni i wróciły do pokoju. Sharon włożyła różową, nylonową koszulę nocną, którą dostała w pożegnalnym prezencie od najlepszej przyjaciółki, a Tana niebieską, flanelową. Związała włosy w długi, lśniący kucyk, słuchając z zapartym tchem opowieści nowej koleżanki.

- Przenieść się chyba do UCLA dopiero wtedy, kiedy skończę naukę tutaj. -
Westchnęła i popatrzyła na różowy lakier, którym właśnie pomalowała paznokcie. - Do diabła, matka za wiele ode mnie oczekuje.

Ona sama chciałaby być tylko piękna i mądra i zostać kiedyś wielką aktorką. To jej wystarczy. Ale to nie dosyć dla Miriam Blake.

Tana uśmiechnęła się.

- Moja matka też pokłada we mnie wielkie nadzieje. Poświęciła mojemu wychowaniu całe swoje życie, zawsze robiła wszystko co mogła dla mnie. Teraz chciałaby, żebym postudiowała tu rok czy dwa i wróciła by wyjść za mąż, za jakiegoś „młodego, miłego człowieka”.

Zrobiła przy tym minę, która miała wyrazić, co Tana myśli na ten temat. Sharon roześmiała się.

- Wszystkie matki myślą o tym, moja też. W duchu pragnie mego małżeństwa, oczywiście pod warunkiem, że będę brała czynny udział w jej krucjacie nawet po ślubie. A co na to twój ojciec? Całe szczęście, że mój mnie rozumie i często ratuje w trudnych sytuacjach. On także uważa, że cała ta walka o prawa to bzdury.

- Mój ojciec zmarł, zanim się urodziłam. Dlatego matka jest taka przewrażliwiona na moim punkcie. Zawsze jej się wydaje, że stanie mi się coś złego, więc wymyśla różne środki zapobiegawcze i ode mnie oczekuje tego samego.

Spojrzała dziwnie na Sharon.

- Wiesz, właściwie mi to coś przypomina. Skąd ja to znam?

Dziewczęta zachichotały. Upłynęły jeszcze dwie godziny zanim zgasiły światło. Jeszcze przed końcem pierwszego tygodnia w Green Hill, zostały najlepszymi przyjaciółkami. Miały podobny rozkład dnia, jadły razem lunch, chodziły do biblioteki, na długie spacery wzdłuż jeziora. Rozmawiały o życiu, o chłopcach, o rodzicach i przyjaciółach. Tana opowiedziała Sharon o związku jej matki z Arturem Durningiem, nawet o tym, że zaczęło się to, kiedy był jeszcze mężem Marie Durning i co Tana o tym myślała. Krytykowała hipokryzję, wąskie horyzonty i stereotyp życia w Greenwich. Dzieci nadużywające alkoholu, znajomych i przyjaciół domu, w którym wszystko było na pokaz.

I jej matka wplątana w to wszystko, pracująca jak niewolnica dzień i noc, gotowa na każde wezwanie, czekająca na telefon. Po dwunastu latach niczego się nie dorobiła.

- Mówię ci, Shar, tak mnie to wkurzało, że już nie mogłam tego wytrzymać. I wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? - W jej oczach zabłyszczały ogniki emocji. - Najgorsze, że ona się na to zgadza. Uważa, że wszystko jest w najlepszym porządku. Nigdy mu nic nie powie, nigdy nie prosi go o nic więcej. Będzie po prostu tak wegetowała u jego boku do końca życia, wdzięczna, że może mu służyć. Jakby zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że on dla niej nie robi zupełnie nic. Matka ciągle powtarza, że zawdzięcza mu wszystko. Co to jest wszystko? Przez całe życie pracowała jak dziki osioł, żeby do czegoś dojść, a on traktuje ją jak przedmiot... płatna dziwka... Słowa Billy'ego powracały jak bumerang, a ona wyrzucała je ze swoich myśli, chyba już po raz dziesięcioletni.

- Sama nie wiem... ona po prostu tego nie widzi, nie czuje.

A mnie doprowadza to do szału. Nie mam zamiaru do końca życia całować go w tyłek. Owszem, matce zawdzięczam bardzo wiele, ale wobec Artura Durninga nie mam żadnych długów. I ona także, ale to do niej nie dociera. Ciągłe jest taka przerażona... Ciekawe, czy była taka sama, kiedy mój ojciec jeszcze żył...

Matka często powtarzała, że córka jest taka podobna do ojca. Tana była z tego dumna.

- Ja lubię bardziej tatę niż mamę.

Sharon zawsze była bardzo szczera, gdy rozmawiała z Taną o swoich uczuciach. W ciągu pierwszego miesiąca podzieliły się najskrytszymi sekretami, ale Tana nie wyjawiała swojej najgłębszej tajemnicy - jak została zgwałcona. Jakoś nigdy nie mogło jej to przejść przez gardło i wmawiała sobie, że tamta sprawa nie ma już dla niej znaczenia. Kilka dni przed pierwszą potańcówką z okazji Halloween Sharon zaczęła zastanawiać się, w co ma się przebrać. Zostali przecież zaproszeni chłopcy z pobliskiej szkoły męskiej. Leżąc na łóżku, stroiła miny:

- No i co teraz? Co ja mam zrobić? Przebrać się za czarną panterę, czy raczej owinąć się białym prześcieradłem i udawać członka Klanu?

Dziewczęta mogły przyjść bez osób towarzyszących, ponieważ i tak impreza

odbywała się w Green Hill. To było dobre rozwiązanie dla Sharon i Tany - obie nie miały nikogo do pary. Nikt się z nimi nie przyjaźnił. Inne dziewczęta trzymały się z daleka od Sharon. Były grzeczne wobec niej i już nawet przestały się na nią gapić, a wszyscy nauczyciele zwracali się do niej taktownie, ale w taki sposób, jakby jej w ogóle nie było. Uważali, że gdy będą ją ignorować, prędzej czy później zniknie stąd. Jediną jej przyjaciółką była Tana, która chodziła z nią wszędzie i w rezultacie Sharon stała się również jedyną przyjaciółką Tany. Jej także zaczęto unikać. Jeśli chciała zadawać się z czaruchami, to tym samym wybrała samotność. Sharon nieraz jej to wykrzyczała.

- Dlaczego, do diabła, nie idziesz do swoich! Starła się wtedy, aby zabrzmiało to groźnie, ale Tana potrafiła wyczuć zasadzkę.

- Wypchaj się.

- Jesteś głupia jak but.

- W porządku. To jest nas już dwie. Dlatego tak nam ze sobą dobrze.

- Nie - Sharon uśmiechnęła się od ucha do ucha - dobrze nam, bo ubierasz się jak śmieciarz i gdybyś nie mogła pożyczać moich ciuchów i korzystać z moich nieocenionych porad, wyglądałabyś jak pajac.

- Taa - teraz Tana uśmiechnęła się od ucha do ucha - masz rację. Ale nauczysz mnie jeszcze tańczyć?

Dziewczęta wiły się ze śmiechu na łóżkach i niemal codziennie było je słyhać, aż do późnego wieczora. Sharon rozpierała energią, odwagą i ogniem, które przywróciły Tanę do normalnego życia. Czasami po prostu siedziały razem, opowiadały sobie dowcipy i pękały ze śmiechu, aż łzy płynęły im po policzkach. Sharon miała poza tym niezwykle wyczucie stylu i najpiękniejsze ciuchy, jakie Tana widziała w życiu. Obie były prawie tego samego wzrostu i po jakimś czasie trzymały wszystkie ubrania we wspólnych szufladach i zakładały to, co akurat było pod ręką.

- No więc... Tan, w co się przebierasz na Halloween?

Sharon malowała właśnie paznokcie jaskrawym, pomarańczowym lakierem, który wyglądał obłędnie przy jej brązowej skórze. Przyjrzała się świeżo pomalowanym paznokciom, a potem spojrzała na przyjaciółkę, ale twarz Tany była nieprzenikniona.

- Nie wiem... jeszcze zobaczymy...

- Co to ma znaczyć?

Od razu wyczuła coś dziwnego w głosie Tany, coś czego przedtem chyba nigdy nie słyszała. Sharon podejrzewała, że Tana coś przed nią ukrywa, ale nie wiedziała, jak do tego dotrzeć.

- Przecież pójdziesz tam, prawda?

Tana wstała, przeciągnęła się i odwróciła wzrok.

- Nie, nie idę.

- Na miłość boską, dlaczego?

Wyglądała na zaszokowaną tą odpowiedzią. Tana zawsze lubiła dobrze się bawić. Miała wspaniałe poczucie humoru, była śliczną dziewczyną, świetnym kumplem i nie była głupia.

- Nie lubisz Halloween?

- Nie, Halloween jest w porządku... dla dzieci...

Po raz pierwszy Sharon widziała ją w takim stanie i była bardzo zaskoczona.

- Chyba nie stchórzysz przed przyjęciem, Tan. Daj spokój, wymyślę ci jakiś kostium.

Zaczęła przekopywać ich szafę, wyciągać ciuchy i wyrzucać je na łóżko, ale Tana wcale nie wyglądała na rozbawioną. Tego wieczora, gdy światła były już zgaszone, Sharon raz jeszcze próbowała wrócić do tej sprawy.

- Dlaczego właściwie nie chcesz pójść na tańce z okazji Halloween?

Wiedziała, że nie ma chłopaka, ale Sharon nie miała go także. Poza tym sytuacja jedynej w szkole czarnej dziewczyny była znacznie gorsza, ale pogodziła się z tym w momencie podjęcia decyzji o zdawaniu do Green Hill. Do tej pory nie poznały jeszcze nikogo. Tylko kilka dziewcząt chodziło już na randki, ale na pewno na tańcach będą całe tabuny chłopców i Sharon nie mogła już doczekać się tego wieczoru.

- Masz chłopaka w Nowym Jorku, takiego na stałe?

Nic o tym do tej pory nie wspominała. Sharon raczej wątpiła, żeby trzymała to w tajemnicy, mimo że były jeszcze rzeczy, o których nie rozmawiały. Unikały tematu

dziewictwa lub jego braku, co było w Jaśminowym Domu raczej niespotykane. Wszystkie dziewczęta nie mogły się oprzeć pasjonującym dyskusjom na ten temat, tylko że, jak Sharon słusznie wyczuwała, Tana nie miała na to ochoty, a i jej także nie bawiły takie rozmowy. Ale teraz przy świetle księżycy Sharon oparła głowę na łokciu i popatrzyła na Tanę.

- Tan...?

- Nie, nic z tych rzeczy... Po prostu nie mam ochoty nigdzie wychodzić.

- Masz jakiś konkretny powód? Masz alergię na mężczyzn?... kręci ci się w głowie na wysokich obcasach?... czy po północy zamieniasz się w wampira?... chociaż właściwie - zachichotała złośliwie - to byłby świetny numer na Halloween.

Usłyszała śmiech dochodzący z łóżka Tany.

- Nie świruj. Po prostu nie mam ochoty wychodzić. To nic takiego. Ty idź. Idź i zakochaj się w jakimś białym chłopcu i wykończ swoich starych.

Obie zaśmiały się na samą myśl o tym.

- Chryste, chyba wyrzuciliby mnie ze szkoły. Gdyby to zależało od pani Jones, najchętniej wyswatałaby mnie ze starym Samem.

Opiekunka wielokrotnie patrzyła protekcjonalnie na Sharon, a zaraz potem na Sama, jakby mieli ze sobą coś wspólnego.

- Czy ona wie, kim jest twój ojciec?

Freeman Blake całkiem niedawno znowu dostał nagrodę Pulitzera i każdy Amerykanin znał jego nazwisko, bez względu na to, czy czytał jego książki czy nie.

- Nie jestem pewna, czy ona potrafi czytać.

- Daj jej w prezencie książkę z dedykacją, jak następnym razem wrócisz z wakacji.

Tana śmiała się teraz od ucha do ucha, a Sharon wyła z radości

- Ona by umarła...

Ale problem potańcówki z okazji Halloween pozostawał nie rozwiązany. W końcu Sharon poszła przebrana za oszalamiająco seksownego, czarnego kota. W czarnym, obcisłym kostiumie, jej kakaowa twarz i wielkie oczy wyglądały pięknie. Niezwykle długie

nogi przyciągały zaciekawione spojrzenia. Po chwili niezręcznego milczenia, ktoś poprosił ją do tańca i w ten oto sposób przetańczyła całą noc. Bawiła się świetnie, mimo że żadna z dziewcząt nie odezwała się do niej. Gdy po pierwszej nad ranem wróciła do domu, Tana spała snem sprawiedliwego.

- Tan?... Tana?... Tan...?

Przyjaciółka z trudem podniosła głowę, półprzytomna, uchyliła odrobinę jedno oko.

- Dobrze się bawiłaś?

- Było cudownie. Przetańczyłam całą noc! Była gotowa opowiadać jej o tej cudownej nocy aż do białego rana, ale Tana przewróciła się tylko na drugi bok i mruknęła:

- To świetnie... dobranoc...

Sharon patrzyła na plecy przyjaciółki i znowu zaczęła się zastanawiać, dlaczego Tana nie poszła razem z nią. Ale gdy następnego dnia próbowała z nią porozmawiać, stało się oczywiste,

- ona nie ma na to ochoty. Wszystkie dziewczęta zaczęły umawiać się teraz na randki z nowo poznanymi chłopcami. Tylko jeden z nich zadzwonił do Sharon Blake. Umówili się nawet i mieli pójść do kina, ale bileter przy drzwiach wejściowych nie pozwolił im wejść do środka.

To nie Chicago, przyjaciele - popatrzył na nich przeciągle, aż chłopak towarzyszący Sharon zaczerwienił się po uszy - jesteście na Południu. A ty, młody człowieku, - zwrócił się do chłopca - idź do domu i znajdź sobie przyzwoitą dziewczynę.

Opuścili to miejsce, a Sharon zapewniała go, że wcale nie miała ochoty iść do kina.

- Naprawdę wcale nie chciało mi się iść do kina, Tom. Nie przejmuj się.

Cisza, która zapadła, kiedy odwoził ją do Jaśminowego Domu była przerażająca. Gdy wreszcie przyjechali na miejsce, odezwała się do niego. Jej głos był łagodny, czy spokojny, a dłoń, którą go dotknęła, aksamitna jak jedwab.

- Naprawdę wszystko jest w porządku, Tom. Ja to rozumiem. Jestem do tego

przyzwyczajona. - Wzięła głęboki oddech.- Dlatego przyjechałam do Green Hill.

To, co powiedziała, wydało mu się bardzo dziwne i spojrzał na nią pytająco. Po raz pierwszy umówił się z czarną dziewczyną i okazała się najbardziej egzotyczną istotą, jaką spotkał w swoim życiu.

- Przyjechałaś tu, na głęboką prowincję, po to, żeby jakiś dupek w lokalnym kinie ubliżał ci?

Jeszcze kipiał ze złości i bezsilności, mimo że ona była zupełnie spokojna.

- Nie - mówiła cicho, wspominając słowa matki - przyjechałam, żeby to zmienić. Tak jest zawsze na początku i trwa to dosyć długo, a po jakimś czasie ludzie przestają zwracać uwagę na kolor skóry: czarne dziewczyny, biali chłopcy, wszyscy mogą chodzić do kina, rozbijać się samochodami, spacerować, jeść razem hamburgery, robić to, na co mają ochotę. Tak właśnie jest w Nowym Jorku. Dlaczego tutaj miałyby się to nie zmienić? Ludzie mogą ci się przyglądać, ale przynajmniej nie wyrzucają. Ale, żeby do tego dojść, trzeba małymi kroczkami zmierzać do celu, tak jak dziś wieczór.

Chłopiec przyglądał się jej, słuchając w zamyśleniu. Nigdy nie myślał o tych sprawach w ten sposób. Sharon Blake była naprawdę wyjątkowa, poza tym słyszał o jej ojcu. Zrobiła na nim naprawdę duże wrażenie. Zaimponowała mu tym, co powiedziała. Trochę wytrąciło go to wszystko z równowagi, ale na pewno było wiele prawdy w jej słowach.

- Przykro mi, że nie udało nam się wejść do środka. Może my spróbujemy w przyszłym tygodniu? Roześmiała się.

- Nie chodziło mi o to, żeby zmienić wszystko od razu.

Ale spodobała jej się odwaga tego chłopaka. Zrozumiał, o co jej chodzi. Może więc matka miała trochę racji. Może trzeba jednak poświęcić się trochę dla idei.

- Dlaczego nie? Prędzej czy później znudzi im się wyrzucanie nas. Do diabła, możemy iść do kawiarni... do restauracji...

Możliwości było wiele, a Sharon śmiała się z jego szalonych pomysłów, kiedy odprowadzał ją do Jaśminowego Domu. Zaproponowała mu filiżankę herbaty i mieli zamiar posiedzieć w dużym pokoju na dole, ale pary, które tam siedziały patrzyły na nich

w taki sposób, że po chwili Sharon wstała. Powoli odprowadziła go do drzwi i posmutniała. I pomyśleć, że w Columbia UCLA wszystko byłoby takie proste... gdziekolwiek na Północy... wszędzie, tylko nie tu... Tom szybko wyczuł jej zmieniający się nastrój i wyszeptał stojąc w otwartych drzwiach.

- Pamiętaj... to się nie zmieni w ciągu jednej nocy.

Pogłaskał ją po policzku i już go nie było, patrzyła jak odjeżdża... oczywiście miał rację... to się nie zmieni w ciągu jednej nocy.

Gdy wchodziła na górę, zdecydowała, że to nie był jednak zmarnowany wieczór. Polubiła Toma i zastanawiała się, czy jeszcze do niej zadzwoni. Był fajnym kumplem.

- No i? Oświadczył ci się?

Tana uśmiechała się do niej z łóżka, gdy weszła do pokoju.

- Taa. Dwa razy.

- To miło. A jak tam film?

Sharon uśmiechnęła się. - Zapytaj kogoś innego.

- Nie poszłście? - Była zaskoczona.

- Nie wpuścili nas do kina... no, wiesz... biały chłopak.. czarna dziewczyna...

„Znajdź sobie porządną dziewczynę, synu-”

Udawała, że ją to bawi, ale Tana wyczuwała jej ból i zmarszczyła brwi.

Sukinsyny. A co na to Tom?

- Był miły. Po powrocie usiedliśmy na chwilę na dole, ale to było jeszcze gorsze.

Siedziało tam chyba z siedem księżniczek razem ze swoimi rycerzami i przez cały czas nie mogli od nas oderwać wzroku.

Westchnęła ciężko i usiadła, patrząc smutno na przyjaciółkę.

- Cholera... moja matka i te jej pomysły... przez jedną chwilę, tam przed kinem, wyobrażałam sobie, że jestem szlachetna, odważna i taka czysta, ale kiedy już dotarliśmy do domu stwierdziłam, że to był jednak potężny kopniak w tyłek. Do diabła, nie możemy pójść nawet na hamburgera. Mogłabym umrzeć z głodu w tym mieście.

- Na pewno nie umrzesz, jak wyjdiesz do miasta ze mną.

Jeszcze nie jadły razem na mieście. Tu, na miejscu było im zbyt wygodnie, żeby

gdziekolwiek się stąd ruszać. Poza tym jedzenie w szkole było bardzo smaczne. Obie przytyły po trzy do pięciu funtów, ku zmartwieniu Sharon.

- Nie bądź taka pewna, Tan. Założę się, że będą się tak samo awantuować jak pójde gdziekolwiek z tobą. Czarny to czarny, a biały to biały, nie ważne czy ci w tym do twarzy.

- Ale może warto spróbować?

Tanę pociągał ten pomysł i następnego wieczoru postanowiły wyjść razem. Wolno spacerowały po mieście, po czym wstąpiły na hamburgera. Kelnerka obrzuciła je lekceważącym spojrzeniem, zmierzyła wzrokiem od stóp do głów i odeszła, nie mając zamiaru ich obsłużyć. Tana patrzyła na nią wstrząśnięta. Jeszcze raz spróbowała ją wezwać, ale tamta jakby tego nie zauważała. Wreszcie Tana podeszła do niej i zapytała, czy zechciałaby przyjąć ich zamówienie, a kelnerka spojrzała na nią ze smutkiem.

Mówiła cicho, tak żeby Sharon nie usłyszała jej.

- Przykro mi, kochanie. Nie mogę obsłużyć twojej koleżanki. Miałam nadzieję, że same na to wpadniecie.

-- A dlaczego nie? Ona jest z Waszyngtonu - mówiła, jakby to miało jakieś znaczenie -... jej matka jest adwokatem, a ojciec został dwa razy wyróżniony nagrodą Pulitzera... . Tutaj to nie ma żadnego znaczenia. To nie Waszyngton. To jest Yolan.

Yolan, w stanie Carolina, i to jest Green Hill.

- Czy jest jakieś miejsce w mieście, gdzie możemy zjeść? Kelnerka spojrzała zdenerwowana na wysoką, zielonooką blondynkę, której zachrypnięty i twardy głos trochę ją wystraszył.

- Jest takie miejsce, gdzie ona może pójść, tam na końcu ulicy... a ty możesz zostać tutaj.

- Powiedziałam, że chcemy zjeść razem - spojrzenie Tany było zimne jak stal i po raz pierwszy poczuła, jak jej mięśnie napinają się jakby miała zamiar stoczyć walkę. Naprawdę miała ochotę uderzyć kogoś. Tego uczucia nie znała dotąd, ogarnęła ją bezsensowna, bezsilna wściekłość.

- Czy możemy w tym mieście zjeść gdzieś razem, bez wyjeżdżania w tym celu do

Nowego Jorku?

Tana patrzyła na nią wyczekująco, a kelnerka powoli zaprzeczyła ruchem głowy. Dziewczyna nie poruszyła się ani o centymetr.

- Wobec tego proszę o dwa cheeseburgery i dwie cole.

- Nic z tego.

Z kuchni wyszedł mężczyzna.

- Wracajcie do tej cholерnej, ekstrawaganckiej szkoły, której chodzicie...

Były łatwo rozpoznawalne w Yolan. Zwłaszcza ubrania Sharon przyciągały spojrzenia wszystkich. Teraz miała na sobie spódnice i sweter, które matka kupiła jej w Bonwit Teller w Nowym Jorku.

- ... i tam jedzcie sobie, co chcecie. Nie wiem, co im odbiło, tam w Green Hill, że zaczęli przyjmować czarnuchów, ale to ich sprawa. Jak ich przyjęli, to niech ich karmią, my nie musimy ich tu znosić.

Patrzył groźnie najpierw na Tanę, potem na Sharon, która siedziała przy stoliku i w jednej chwili w pomieszczeniu zaczęło narastać jakieś nieznośne napięcie, tak jakby ten facet miał zamiar za chwilę wyrzucić je siłą. Tanę ogarnęło takie przerażenie i wściekłość, jak tego wieczora kiedy została zgwałcona.

I nagle, bardzo cicho i jak zwykle, z wdziękiem i gracją prawdziwej damy, wstała długonoga Sharon.

- Tan, chodźmy stąd.

Głos Sharon zabrzmiał jak seksowne mruczenie; przez chwilę widać było, że mężczyzna pożera ją wzrokiem. Tana miała ochotę uderzyć go w twarz. Przypomniało jej to chwile, o których chciała zapomnieć na zawsze. Wreszcie wyszły na zewnątrz.

Sukinsyn...

Tana kipiała złością, gdy wracały powoli do szkoły. Sharon milczała. Ogarnęły ją te same uczucia co wczoraj, gdy nie wpuścili

• jej z Tomem do kina. Najpierw chwila satysfakcji, poczucia siły pełniejszego zrozumienia jej misji. Potem tylko depresja. Dziś przygnębienie jeszcze do niej nie dotarło.

- Życie jest takie dziwne. Gdyby to było w Nowym Jorku, Los Angeles, czy gdziekolwiek indziej, nikt by nie zwracał na mnie uwagi. Ale tutaj to, że jestem czarna, jest jedyną rzeczą, która się liczy. Może moja matka ma rację. Może nadszedł już czas krucjaty. To dziwne, ale zawsze uważałam, że jeśli mnie jest dobrze, to nieważne, co się dzieje z innymi. A tu nagle ten ktoś inny - to ja.

Nagle zrozumiała, dlaczego matka upierała się, żeby Sharon tu przyjechała. Po raz pierwszy zaczęła zastanawiać się poważnie, kto miał rację. Może tu właśnie było jej miejsce. Może miała jednak dług wobec innych za te wszystkie lata wygodnego życia.

- ... nie wiem co o tym myśleć, Tan...

- Ani ja...

Szły wolno, ramię przy ramieniu.

- Chyba nigdy nie byłam taka bezsilna i wściekła... - nagle przez myśl przemknęła jej twarz Billy'ego Durninga - no... może raz...

Nagle obie poczuły jak bardzo są sobie bliskie. Tana miała ochotę objąć przyjaciółkę ramieniem, żeby ochronić ją przed ranami, jakie zadawali jej ludzie. Sharon popatrzyła na nią z łagodnym, zachęcającym uśmiechem.

- Kiedy to było, Tan?

- Och, już dawno temu... - spróbowała się uśmiechnąć - ... chyba z pięć miesięcy...

- No tak... rzeczywiście, to bardzo dawno...

Wymieniły uśmiechy. Minął je przejeżdżający samochód, ale nikt ich nie zaczepiał, więc Tana była spokojna. Już nikt nigdy nie skrzywdzi jej tak, jak Billy Durning. A gdyby chciał, to prędzej go zabije. Gdy Sharon spojrzała na nią znowu, w jej oczach zobaczyła chęć zemsty.

To musiało być coś straszego.. Rzeczywiście, było. Chcesz o tym porozmawiać?

Głos Sharon był tak łagodny, jak ten ciepły, szarzejący wieczór. Przez dłuższą chwilę szły w ciszy. Tana zastanawiała się nad odpowiedzią. Od czasu, gdy nie udało jej się opowiedzieć o tym matce, postanowiła, że nie będzie o tym z nikim rozmawiać.

- Nie wiem.

Sharon pokiwała ze zrozumieniem głową. Każdy miał w zanadru coś, co chciał zatrzymać dla siebie. Sama też miała taki sekret.

- Nie ma sprawy, Tan.

Ale ledwie zdążyła to powiedzieć, Tana zaczęła gorączkowo wyrzucać z siebie lawinę bezładnych słów.

- Właściwie chcę... Nie wiem, jak o czymś takim się rozmawia...

Przyspieszyła kroku, jakby chciała uciec, a Sharon szła za nią doganiając ją z łatwością. Tana bezwiednie, nerwowo próbowała coś zrobić z rękami, wkładała je we włosy, zgarniając je do tyłu, odwróciła głowę i zaczęła oddychać szybciej.

- Nie ma wiele do opowiadania... W czerwcu, kiedy skończyłam szkołę, poszłam na pewne przyjęcie... do domu szefa mojej matki... on ma takiego beznadziejnie głupiego syna... mówiłam matce, że nie chcę tam iść...

Tana z trudem łapała oddech. Sharon zauważyła to i widziała także, że ten ciężar na sercu bardzo jej dokucza, więc może poczuje się lepiej, gdy go zrzuci.

- W każdym razie powiedziała, że muszę tam pójść... ona zawsze tak mówi... taki ma stosunek do Artura Durninga i jego dzieci... jest zaślepiona i nie wie, jacy są naprawdę, i...

Potok słów zatrzymał się na chwilę. Szła coraz szybciej, jakby chciała uciec od tych złych wspomnień. Sharon podążała za nią, przyglądając się, jak zmaga się z przeszłością.

- ... no i ten jego kumpel idiota przyjechał po mnie i pojechaliśmy tam... to znaczy na to przyjęcie... i wszyscy byli kompletnie pijani... ten, co mnie przywiózł, też się upił i gdzieś zniknął, więc szwendałam się po domu... i Billy... syn Artura... zapytał mnie, czy chcę zobaczyć pokój, w którym pracuje moja matka, a ja wiedziałam, który to pokój...

Po jej policzkach spływały łzy, ale nie czuła ich idąc pod wiatr Sharon milczała.

- ... i zaprowadził mnie do sypialni Artura i wszystko było

. szare... szary aksamit i atlas... szare futro... nawet dywan na podłodze był szary.

Wszystko, co zapamiętała, to bezgraniczna szarość i plama na szarym dywanie.

Twarz Billy'ego i ten wypadek. Nie mogła spokojnie oddychać. Postawiła kołnierz koszuli

i zaczęła biec przed siebie, łykając lzy. Sharon cały czas była przy niej- Nie była sama miała przyjaciółkę, która razem z nią brnęła znowu przez ten koszmar. Wyczuwając to, mówiła dalej. i Billy zaczął mnie popychać, przewrócił mnie... a ja starałam się...

Pamiętała dobrze swoją bezsilność i desperację, i nagle wieczorną ciszę przerwał jej przeraźliwy krzyk. Ukryła twarz w dłoniach.

... i nie mogłam zrobić nic, żeby przestał... nie mogłam...

Cała trzęsła się teraz, a Sharon wzięła ją w ramiona i przytuliła do siebie.

- ... i zgwałcił mnie... porzucił w kałuży krwi... moje nogi i twarz... wymiotowałam... a potem jechał za mną i zmusił, żebym wsiadła do samochodu, potem prawie zderzył się z ciężarówką - wyrzucała z siebie bez końca mnóstwo słów, a Sharon nie wytrzymała i płakała razem z nią -jego samochód uderzył w drzewo, on sobie rozciął głowę i był cały we krwi, zabrali nas do szpitala, a potem przyjechała moja matka...

Znowu niespodziewanie przerwała. Jej twarz była teraz pełna bólu i cierpienia, które starała się ukrywać przez pięć miesięcy. Podniosła zapłakane oczy na Sharon i mówiła dalej.

- ... i próbowałam jej powiedzieć, co się stało, a ona nie uwierzyła w ani jedno moje słowo... powiedziała, że Billy Durning nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Łkała teraz głośno i z głębi serca, a Sharon trzymała ją mocno.

- Ja ci wierzę, Tana.

Tana pokiwała głową, wyglądała teraz jak mała, osierocona dziewczynka.

- Nie pozwolę, żeby mnie ktoś kiedykolwiek dotknął. Wiedziała dobrze, jak czuje się Tana, mimo że nie miała takich doświadczeń. Nie została nigdy zgwałcona. Oddała się chłopcu, którego kochała.

Matka nigdy nie uwierzyła w ani jedno moje słowo. I pewnie nigdy mi nie uwierzy. Durningowie są dla niej jakimiś cholernymi bóstwami.

- Najważniejsze, że nic ci się nie stało, Tana.

Sharon pociągnęła ją w kierunku pniaka po ściętym drzewie Usiadły razem. Zaproponowała jej papierosa i Tana po raz pierwszy zaciągnęła się dymem.

- Wiesz, ty jesteś w porządku. Jesteś fajniejsza, niż myślisz. Uśmiechnęła się

delikatnie do przyjaciółki, głęboko poruszona jej zaufaniem, otarła łzy z policzków. Tana oddała jej uśmiech.

- Naprawdę, nie uważasz, że jestem beznadziejna po tym wszystkim, co usłyszałaś?

- Co za głupie pytanie. To nie ma żadnego znaczenia, Tan.

- No, nie wiem..., czasami, gdy o tym myślę... wydaje mi się, że gdybym bardziej walczyła, to może udałoby mi się go powstrzymać.

Jak dobrze było wyrzucić z siebie to, co od miesiący ciążyło jej na sercu.

- Naprawdę w to wierzysz, Tan? Naprawdę myślisz, że mogłaś go powstrzymać?

Powiedz prawdę.

Myślała przez dłuższą chwilę, po czym pokręciła głową.

- Nie.

- Więc przestań się zadręczać. Stało się. To było straszne. Nawet jeszcze gorsze. To pewnie było najstraszniejsze doświadczenie w całym twoim życiu, ale nie powtórzy się już więcej. Tak naprawdę, to on nie dotykał ciebie. Nie mógłby nigdy dotknąć prawdziwej ciebie, Tan, nawet gdyby się bardzo starał. Po prostu zamknij ten rozdział. Przestań o tym myśleć. I idź naprzód.

- Łatwo ci powiedzieć - Tana uśmiechnęła się smutno - ale trudniej zrobić. Jak można o czymś takim w ogóle zapomnieć?

- To zależy tylko od ciebie. Nie pozwól zniszczyć swojego „ja”. Taki facet może odnieść „zwycięstwo” tylko w taki sposób. On jest chory. A ty nie. Nie zadręczaj się tym, co ci zrobił. To było straszne, ale wyrzuć to z pamięci i idź przed siebie.

- Och, Sharon...

Westchnęła ciężko i wstała. Popatrzyła z góry na przyjaciółkę.

- Skąd taka młoda dziewczyna, jak ty, bierze taką mądrość. Sharon uśmiechnęła się, ale jej oczy były dzisiaj bardzo poważne. niemal smutne. ja także mam swoje sekrety.

- Na przykład?

Tana była teraz tak spokojna jak nigdy w życiu. Jakby Sharon tłumila siedzące w

niej jakieś dzikie, wściekłe demony i wypuściła je^o na wolność. Duszę Tany ogarnęło wreszcie ukojenie. Nie udało się to matce pięć miesięcy temu a Sharon naprawdę to zrobiła. Tana wiedziała, że bez względu na to, co się stanie, będą przyjaciółkami na zawsze.

- Co ci się przydarzyło?

Tana patrzyła jej prosto w oczy, szukając w nich odpowiedzi. Wiedziała, że czai się w nich historia Sharon, która nie zwierzała się nikomu. Chowala tę tajemnicę w sobie, ale ciągle o tym myślała. Rozmawiała z ojcem tego wieczora, zanim wyjechała do Green Hill. Powiedział jej to samo, co ona przed chwilą mówiła Tanie, że nie wolno marnować sobie życia. Stało się. I było już po wszystkim. I musi się z tym pogodzić, iść naprzód. Nie była jednak pewna, czy kiedykolwiek jej się to uda.

- W tym roku miałam dziecko.

Przez chwilę Tana przestała oddychać i patrzyła na nią zszokowana.

- Naprawdę?

- Tak. Chodziłam z tym samym chłopcem odkąd skończyłam piętnaście lat. Kiedy miałam szesnaście, dał mi pierścionek... no wiesz, Tan... to było takie miłe... On wygląda jak afrykański bożek, jest taki mądry i tak cudownie tańczy...

Wyglądała pięknie i tak młodziutko, gdy myślała o nim.

- Studiuje teraz na Harvardzie - jej oczy posmutniały - ale nie widziałam go ani nie rozmawiałam z nim prawie już od roku. Kiedy się dowiedział, że zaszłam w ciążę chyba się przestraszył. Chciał, żebym ją usunęła u lekarza, którego polecił jego kuzyn, a ja się na to nie zgodziłam... do diabła, słyszałam przecież o dziewczętach, które umierały z tego powodu.

Jej oczy wypełniły się łzami na samą myśl o tym. Zapomniała, że jest przy niej Tana i patrzy na nią.

- Chciałam powiedzieć mamie, ale... po prostu nie mogłam... powiedziałam w końcu ojcu... a on powiedział matce... i okropnie się zdenerwowali... zadzwonili do jego rodziców i wszyscy na siebie krzyczeli i płakali, moja matka nazwała go czarnuchem... jego ojciec nazwał mnie kocmołuchem... to była najgorsza noc w życiu, i kiedy w końcu

burza trochę ucichła, rodzice kazali mi wybierać. Mogłam ją usunąć u lekarza, którego znalazła mama albo urodzić i oddać je do adopcji.

Wzięła głęboki oddech tak, jakby teraz miała nastąpić najgorsza część opowiadania.

- Powiedzieli, że nie mogę zatrzymać dziecka... to by zrujnowało całe moje życie...
- drżała na całym ciele -... jestem jeszcze za młoda mam dopiero siedemnaście lat... Nie wiem dlaczego, ale zdecydowałam się jednak urodzić. Chyba liczyłam na to, że Danny zmieni zdanie., albo, że moi rodzice... miałam nadzieję, że zdarzy się jakiś cud... ale nic takiego się nie stało. Przez pięć miesięcy siedziałam w specjalnym pensjonacie i sama przerabiałam materiał z ostatniej klasy, a dziewiętnastego kwietnia urodziło się dziecko... malutki chłopczyk...

Trzęsła się, a Tana bez słowa ścisnęła jej dłoń.

- Miałam go nie zobaczyć... ale raz go widziałam... był taki maleńki... rodziłam dziewiętnaście godzin, to było straszne, on ważył tylko sześć funtów...

Jej oczy zapatrzone były gdzieś w dal, myślami była przy malutkim chłopczyku, którego nigdy więcej nie zobaczy. Skierowała teraz spojrzenie na Tanę.

- Już go nie ma, Tan.

Zakwiliła prawie jak małe dziecko. Płakały teraz obie.

- Trzy tygodnie temu podpisałam oficjalne papiery o zrzeczeniu się praw. Matka je przygotowała... adoptowali go jacyś ludzie w Nowym Jorku...

Nie mogła powstrzymać szlochów i opuściła głowę.

- O Boże, Tan, mam nadzieję, że są dla niego dobrzy... nie powinnam go oddawać... i po co było to wszystko? Popatrzyła na przyjaciółkę ze złością.

- W imię czego to zrobiłam? Po to, żeby przyjechać do tej sztywnej szkoły i udowodnić, że kolorowe dziewczęta też mogą się tu uczyć? No i co z tego?

- To nie ma z tym nic wspólnego. Chcieli, żebyś zaczęła wszystko od początku, z mężem i rodziną we właściwym czasie.

- Nie mieli racji i ja także nie miałam. Nie masz pojęcia, jakie to okropne uczucie... ta pustka, kiedy wróciłam do domu z pustymi rękami... bez niego... nic już tego nie

zastąpi.

Wzięła głęboki oddech.

Nie widziałam Danny'ego, odkąd zamieszkałam w tym Maryland... i nigdy nie dowiem się, gdzie jest moje dziecko... Skończyłam szkołę razem z moją klasą... ale nikt nie wiedział, co wtedy czułam...

Tana kręciła głową patrząc na przyjaciółkę. Obie były już kobietami. Trudna była droga, która je wyprowadziła na prostą, ale jednego teraz mogły być pewne: każda z nich miała przyjaciółkę. Tana Wyciągnęła Sharon i obie padły sobie w ramiona, ich łzy zmieszały się na policzkach i czuły wzajemnie swoje cierpienia i wspólny ból.

- Kocham cię, Shar.

Tana patrzyła na nią z delikatnym uśmiechem, a Sharon ocierała łzy z policzków.

- Ja... ja ciebie też...

I wróciły do domu, ramię w ramię, w ciszy nocy. Przebrały się i położyły do łóżek, każda zatopiona we własnych myślach.

- Tan?

To był głos Sharon w ciemnościach pokoju.

- Tak?

- Dzięki.

- Za co? Za wysłuchanie? Po to są właśnie przyjaciele... ja też ciebie potrzebuję.

- Mój ojciec miał rację. Trzeba iść śmiało naprzód.

- Chyba tak. Ale jak to zrobić.

- Czy miał na myśli jakieś konkretne sposoby, żeby o tym wszystkim zapomnieć?

Sharon zaśmiała się.

- Muszę go o to zapytać. I nagle wpadła na pomysł.

- Może zapytasz go sama? Jedź ze mną do domu na Święto Dziękczynienia!

Tana kręciła się w łóżku, lekko się uśmiechając. Spodobała jej się ta propozycja.

Nie wiem, co powie na to matka.

Ale nagle zdała sobie sprawę, że wcale jej nie zależy na opinii _ W ciągu sześciu miesięcy wiele się zmieniło. Może nadszedł czas żebym rozwinęła skrzydła i zaczęła

robić to, na co mam ochotę.

- Zadzwoń do niej jutro wieczorem.

- Dobra.

Sharon uśmiechnęła się sennie i przewróciła się na drugi bok tyłem do przyjaciółki.

- Dobranoc, Tan...

I w chwilę później obie już spały. Po raz pierwszy od miesiący było im obu lżej na duszy. Teraz mogły spać spokojnie. Dłonie Tany rozłożone wokół jasnych włosów, jak u małego dziecka, i Sharon skulona w czarny, mruczący kłębuszek. Nawet jej długie nogi zniknęły zwinięte w kuleczkę, a ona sama wyglądała jak smacznie śpiące kociątko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jean Roberts była bardzo rozczarowana, gdy jej córka zadzwoniła, by ją zawiadomić, że nie przyjedzie na Święto Dziękczynienia.

- Jesteś pewna, że będzie ci tam dobrze? - Nie chciała nalegać, ale wolałaby, żeby Tana przyjechała do niej. - Nie znasz tej dziewczyny zbyt dobrze...

- Mamo, ja z nią mieszkam w jednym pokoju. Znam ją lepiej niż kogokolwiek w całym moim życiu.

- Czy na pewno jej rodzice nie mają nic przeciwko temu?

- Dzwoniła do nich dziś po południu. Przygotowali dla mnie pokój i są bardzo szczęśliwi, że Sharon przywozi do domu koleżankę.

Oczywiście, że byli zadowoleni. Miriam wynioskowała z wiadomości od Sharon, że potwierdziła się jej hipoteza. Sharon może spokojnie studiować w Green Hill, mimo że jest tam jedyną czarną dziewczyną. A teraz w dodatku przywiezie do domu jedną z „nich” i udowodni, że można ją tam zaakceptować. Nie wiedzieli tylko, że Tana była jedyną przyjaciółką Sharon. Że w całym Yolan nie ma miejsca, gdzie mogłaby coś zjeść. Od kiedy tam pojechała ani razu nie dostała się do kina. Nawet w szkolnej kafeterii dziewczęta jej unikały. Ale Sharon była przekonana, że gdyby Miriam знаła całą Prawdę, byłby to tylko dowód na to, jak bardzo jej córka jest tam potrzebna. „Oni” musieli wreszcie zaakceptować czarnych i ten dzień właśnie nadszedł. Dla Sharon miało to być wyzwaniem, które powstrzyma ją przed użalaniem się nad sobą po wydarzeniach ubiegłego roku. Miriam Blake uważała, że dzięki temu Sharon przestanie o tym wszystkim myśleć.

- Naprawdę, mamo, powiedzieli, że bardzo się cieszą z naszej wizyty.

- Dobrze, ale pamiętaj, żebyś ją zaprosiła do nas na ferie zimowe - Jean uśmiechnęła się do słuchawki - właściwie mam dla ciebie małą niespodziankę. Mieliśmy zamiar razem z Arturem powiedzieć ci o tym przy okazji Święta Dziękczynienia...

Serce Tany przestało bić. Czyżby wreszcie miał się z nią ożenić? Zaparło jej dech z wrażenia, podczas gdy jej matka ciągnęła dalej.

- Artur załatwił specjalnie dla ciebie zaproszenie na wielkie przyjęcie dla „świeżo

upieczonych studentów” z towarzystwa W końcu chodziłaś przecież do Miss Lawson, i... będziesz na pewno znakomitą studentką, kochanie. Czy to nie wspaniale?

Przez moment Tanie zabrakło słów. To wcale nie brzmiało wspaniale. Poza tym jej matka znowu będzie na klęczkach dziękować Arturowi Durningowi... przez chwilę myślała o ich ślubie... to śmieszne. Jak to w ogóle możliwe, że coś takiego przyszło jej do głowy... impreza „dla świeżo upieczonych studentów”... cholera...

- Może zaprosisz do nas z tej okazji swoją nową przyjaciółkę? Tana omal się nie zakrztusiła. Moja nowa przyjaciółka jest czarna, mamusiu.

- Zapytam ją, ale wydaje mi się, że wyjeżdża w tym czasie na wakacje.

Cholera. Świeżo upieczona studentka. A kto ma być jej partnerem? Może Billy Durning, ten sukinsyn.

- Nie słyszę, żebyś była tym zachwycona, kochanie.

W głosie Jean Roberts brzmiała nuta rozczarowania. Po pierwsze dlatego, że Tana nie przyjeżdża do domu, a po drugie nie ucieszyła się z zaproszenia na przyjęcie, które załatwił dla niej Artur. On wiedział, ile to znaczyło dla Jean. Cztery lata temu Ann brała udział w takim balu na międzynarodową skalę. Ale mimo że impreza Tany miała mieć bardzo kameralny charakter, Jean była pewna, że będzie to wspaniałe przeżycie dla jej córki. Przynajmniej tak jej się wydawało mamie. Chyba jestem po prostu zaskoczona. ___ To cudowna niespodzianka, prawda? Nie Naprawdę nie zależało jej na tym zupełnie. Takie rzeczy w ogóle jej nie interesowały. Nigdy jej nie obchodziły te bzdurne konwenanse, którymi podporządkowywali się Durningowie i jej własna matka. Odkąd Jean zakochała się w Durningu, to wszystko nabrało dla niej ogromnego znaczenia.

- Będziesz musiała pomyśleć o partnerze na tę potańcówkę. Miałam nadzieję, że Billy będzie mógł - serce Tany dudniło bardzo głośno i szybko - ale wyjeżdża w tym czasie z przyjaciółmi na narty do Europy. Zdaje się, że jedzie do Saint Moritz, szczęściarz z niego...Szczęściarz... mamie, on mnie zgwałcił... miała ochotę jej przerwać.

- Więc musisz pomyśleć o kimś innym. Oczywiście o kimś odpowiednim.

No, jasne. Czy znamy jeszcze jakichś gwałcicieli?

- Szkoda, że nie mogę iść sama.

Głos Tany brzmiał martwo po drugiej stronie słuchawki.

- A cóż to za głupstwa opowiadasz? - Jean zdenerwowała się. - No, w każdym razie nie zapomnij zaprosić tej koleżanki, do której jedziesz na Święto Dziękczynienia.

- Dobrze.

Tana uśmiechnęła się. Gdyby Jean Roberts wiedziała, chybaby zwariowała z rozpaczy, ujrawszy na wielkim przyjęciu Artura Durainga jej czarną przyjaciółkę. Prawie ją ubawiła ta myśl, ale wiedziała, że nigdy nie narazi Sharon na taki afront. Oni wszyscy byli bandą pruderyjnych pętałów. Wiedziała, że nawet jej matka nie była przygotowana na taką nowinę.

- A co będziesz robiła w Święto Dziękczynienia, mamó? Czy wszystko jest u ciebie w porządku?

- O, tak. Artur zaprosił nas na ten dzień do Greenwich.

- Skoro mnie już tam nie będzie, to będziesz mogła u niego spędzić też noc.

Po drugiej stronie zapadła nieprzyjemna cisza i Tana w tym momencie pożałowała tych słów.

- Nie miałam tego na myśli, mamó.

- A jednak miałaś.

- Co to za różnica? Mam już osiemnaście lat. To nie żadna tajemnica... - Tanie zrobiło się słabo na wspomnienie pokoju spowitego w szarość... - Przepraszam, mamó.

- Dbaj o siebie.

Jean otrząsnęła się. W końcu nie zobaczy jej w Święto Dziękczynienia. Ma teraz tyle roboty. A Tana i tak za miesiąc przyjedzie do domu.

- I nie zapomnij podziękować przyjaciółce za zaproszenie. Tana uśmiechnęła się do siebie i poczuła się jakby znowu miała siedem lat. A może zawsze tak będzie.

- Tak zrobię, mamó. I wszystkiego dobrego z okazji Święta Dziękczynienia.

- Dziękuję kochanie. I podziękuję w twoim imieniu Arturowi. Jean powiedziała te słowa bardzo dobitnie, a Tana zastygła niemo po drugiej stronie.

- Za co?

- Ten bal, Tano, bal... Nie wiem, czy to do ciebie dotarło, ale to bardzo ważne dla młodej dziewczyny, i nie mogłabym zapewnić ci udziału w takiej imprezie bez pomocy Artura.

Ważny...? Ważny dla kogo?

- Nie masz pojęcia, jakie to ma znaczenie.

Oczy Jean Roberts wypełniły łzy. W pewnym sensie jej marzenia spełniły się. Mała dziewczynka Andy'ego i Jean Roberts, dziecko, którego Andy nigdy nie zobaczył, została zaproszona na wielką imprezę nowojorskiej śmietanki. I mimo że to przyjęcie było tylko dla lokalnej elity, to i tak uważała to za bardzo istotne wydarzenie dla nich obu... a zwłaszcza dla Tany... to najważniejsza chwila w jej życiu. Pamiętała przygotowania do wielkiego balu Ann. Zaplanowała wtedy każdy najmniejszy drobiazg nie przypuszczając, że to samo spotka kiedykolwiek Tanę.

- Przykro mi, mamo.

- Mam nadzieję. I myślę, że powinnaś napisać do Artura kilka miłych słów podziękowania. Napisz, jakie to ma dla ciebie znaczenie.

Miała ochotę zawyć z wściekłości prosto do słuchawki. dla niej, do cholery, znaczenie? Że może kiedyś znajdzie bogatego męża i to będzie dobrze wyglądało w jej rodowodzie? A kogo to obchodzi? Co to znowu za wyczyn złożyć dworski ukłon na głupawym balu i znosić natrętne spojrzenia podpitych ważniaków? Nie wiedziała nawet, kogo mogłaby zaprosić i w tym momencie wzdrygnęła się na myśl o tym. Podczas dwóch ostatnich lat w szkole umawiała się chyba z pół tuzinem chłopców, ale z żadnym na poważnie. Poza tym, po czerwcowym wydarzeniu w Greenwich nie miała zamiaru z nikim nigdzie chodzić.

- Muszę już kończyć, mamo.

Nagle poczuła, że musi natychmiast przerwać tę rozmowę. Kiedy wróciła do pokoju, Sharon zauważyła, że jest w złym nastroju. Znowu była w trakcie malowania paznokci. To było ich nieustanne zajęcie. Ostatnio obie gustowały w beżach, „Słomiany Kapeluszy” Faberge był ich ulubionym kolorem.

- Nie zgodziła się?

- Zgodziła.

- No, więc? Wyglądasz jakby ktoś wypuścił z ciebie powietrze.

- Coś w tym rodzaju.

Tana usiadła z impetem na łóżku.

- Cholera. Namówiła swojego cholernego przyjaciela, żeby zapisał mnie na bal dla lokalnej śmietanki. Jezu Chryste, Shar, czuję się jak kompletny głupek.

Sharon popatrzyła na nią i zaczęła się śmiać.

- Chcesz powiedzieć, że będziesz na tej imprezie dla debutantów, Tan?

- Mniej więcej.

Tana popatrzyła na przyjaciółkę zdruzgotana i zaczęła rozpaczać:

- Jak ona mogła mi coś takiego zrobić?

- Może być przecież fajnie?

- Dla kogo? I po co, do diabła, po co to wszystko? Będę się tam czuła jak na targu bydłem. Pokazują cię na wystawie wystrojoną w białą sukienkę bandzie pijanych dupków i masz za zadanie znaleźć sobie wśród nich męża. Brzmi zachęcająco, co?

Na samą myśl o tym robiło się jej niedobrze. Sharon odłożyła

Lakier.

Z kim masz zamiar tam pójść?

- Nie pytaj. Ona zaproponowała Billy'ego Durninga na mojego partnera, ale dzięki Bogu nie będzie go w mieście.

- Masz szczęście.

Sharon popatrzyła na nią wymownie.

- To prawda. Ale ta cała historia z balem to jedna wielka farsa

- Nie jedyna w życiu.

- Nie bądź taka cyniczna, Shar.

- Nie bądź taka dziecinna, Tan. To ci dobrze zrobi.

- Kto to mówi?

- Ja.

Sharon przyciskała ją do muru, przyglądając się jej bacznie.

- Żyjesz tu jak jakaś zakonnica.

- Ty też. I co z tego?

- Ja nie mam żadnego wyboru.

Tom przestał do niej dzwonić. To było ponad jego siły. Sharon wiedziała o tym i rozumiała go. Nie oczekiwała od niego niczego więcej. W tej sytuacji jej życie w Green Hill nie było specjalnie interesujące.

- A ty masz.

- To nie ma znaczenia.

- Musisz zacząć wychodzić.

- Nie, nic nie muszę. - Tana patrzyła jej prosto w oczy. - Nie muszę robić niczego, na co nie mam ochoty. Do diabła, skończyłam osiemnaście lat i jestem wolna jak ptak.

- Kulawy kaczor. - Sharon przyglądała jej się z góry. - Otrząśnij się wreszcie i otwórz oczy, Tan.

Tana milczała. Weszła do łazienki, dzielonej z mieszkankami sąsiedniego pokoju, zamknęła drzwi na klucz, puściła wodę do wanny i nie wychodziła przez godzinę.

- Naprawdę tak uważam.

Głos Sharon zachrypiał w ciemnościach pokoju, gdy już obie leżały w łóżkach.

- Co?

- Że powinnaś zacząć się znowu umawiać.

- Ty też.

- Kiedyś pewnie zacznę. - Sharon westchnęła. - w czasie wakacji, jak będę w domu. Tutaj nie mam z kim się umawiać. - Roześmiała się. - Do diabła, Tan, po co ja się nad sobą użalam. Przecież mam w końcu ciebie.

Tana uśmiechnęła się do niej, pogadały jeszcze chwilę i odpłynęły w krainę snu.

Tydzień później Tana pojechała z nią do Waszyngtonu. Na stacji kolejowej czekał na nie ojciec Sharon, Freeman Blake. Tana zachwyciła się jego postawną sylwetką i przyciągającą urodą. Miał szlachetne rysy, dumną, pięknie wyrzeźbioną, niemal mahoniową twarzą, szerokie ramiona i, tak jak Sharon, bardzo długie nogi. Jego twarz promieniała teraz ciepłym uśmiechem, ukazującym błyszczące, białe zęby. Gwałtownym

ruchem objął córkę i przytulił ją mocno do siebie. Dobrze wiedział, przez co przeszła w ciągu ostatniego roku. Przebrnęła przez to wszystko wspaniale. Pokazała, co potrafi, a on był z niej naprawdę bardzo dumny.

- Cześć kochanie, jak tam w szkole?

Zmrużyła oczy i odwróciła się szybko w kierunku przyjaciółki.

- Tano, to jest mój tata, Freeman Blake. Tato, to jest Tana Roberts, moja współlokatorka w Green Hill.

Uścisnął dłoń Tany. Przez całą drogę do domu siedziała zahipnotyzowana jego spojrzeniem i dźwiękiem jego głosu. Zdawał Sharon relację ze wszystkich nowinek w rodzinie i sąsiedztwie: opowiadał o nowym planie matki, wielkim romansie brata Dicka, przemeblowaniu w domu, nowym dziecku sąsiadów, swojej nowej książce. To było takie ciepłe, przyjazne gadulstwo, które bardzo się Tanie spodobało. Pozazdrościła Sharon wspaniałego życia. Tego wieczoru to uczucie nasiliło się jeszcze, kiedy weszła na kolację do dostojnej, utrzymanej w stylu kolonialnym jadalni. Mieszkali w pięknym domu z ogromnym trawnikiem i ogrodem na tyłach. W garażu stały trzy samochody. Freeman jeździł cadillakiem, nie przejmując się uszczypliwymi komentarzami zazdrosnych i złośliwych znajomych. Zawsze chciał mieć cadillaca, z którego można zrobić kabriolet, i wreszcie go ma. Cała czwórka była do siebie bardzo przywiązana. Tana stwierdziła, że osobowość Miriam może jednak wprawić niejednego w zakłopotanie. Była taka inteligentna i bezpośrednia, że zatykało z wrażenia. Tego samego oczekiwała od każdego z kim się spotkała. Nikogo nie ominęły jej pytania, żądania i przenikliwe spojrzenia.

Wiesz już, o co mi chodziło? - powiedziała Sharon, gdy wchodziły na górę. - Nawet podczas kolacji z nią czujesz się jakbyś siedziała na ławie oskarżonych.

Chciała wiedzieć wszystko o tym, co Sharon robiła w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Była zainteresowana incydentem z Tomem w kinie i w kawiarni, do której wybrała się z Taną.

- Ona po prostu wszystkim za bardzo się przejmuje, Shar wszystkim!

- Wiem. Doprowadza mnie to do szału. Tata jest tak samo inteligentny jak ona, do

diabła, a jednak może być taki delikatny.

Rzeczywiście miał niezwykle zdolności: opowiadał wspaniale historyjki doprowadzające wszystkich do śmiechu. W jego towarzystwie każdy czuł się bezpiecznie, sprawiał, że wytwarzała się między nimi niewidzialna więź. Tana obserwowała go przez cały wieczór i uważała, że jest najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała w życiu.

- On jest niesamowity, Shar.

- Wiem.

- W zeszłym roku przeczytałam jedną z jego książek. Jak wrócimy, to przeczytam je wszystkie.

- Dam ci je.

- Tylko jeśli dostanę komplet z autografem. Roześmiały się obie. Za chwilę do drzwi zapukała Miriam, żeby sprawdzić, czy u nich wszystko w porządku.

- Czy masz wszystko, czego potrzebujesz? Tana uśmiechnęła się nieśmiało.

- Tak, oczywiście, pani Blake. Dziękuję bardzo.

- Nie ma za co. Bardzo chcieliśmy cię poznać

Jej uśmiech był jeszcze bardziej olśniewający niż uśmiech

Shar, a oczy przenikliwe, wszechwiedzące i przesywające, aż do bólu.

- Jak ci się podoba w Green Hill?

- Podoba mi się. Bardzo. Profesorowie są bardzo interesujący Miriam momentalnie wyczuła brak entuzjazmu w tym, mówiła.

- Ale?

Tana uśmiechnęła się. Była taka bystra. Niesamowita.

- Atmosfera nie jest tak miła, jak się spodziewałam.

A to dlaczego?

Nie wiem. Dziewczęta podzieliły się na kliki.

A wy dwie?

- A my jesteśmy prawie cały czas razem.

Sharon spojrzała na Tanę i uśmiechnęła się. Miriam nie była z tego powodu

niezadowolona. Uważała, że Tana jest bystrą dziewczyną i kryje w sobie wiele możliwości. Więcej, niż sama spodziewała się odnaleźć. Była szybka, bystra, dowcipna, ale jednocześnie jakaś zastraszone, zamknięta w sobie. Kiedyś na pewno się otworzy i kto wie, co tam znajdzie.

Może to jest wasz problem, dziewczęta. Tana, ile masz innych przyjaciółek w Green Hill?

- Tylko Shar. Chodzimy na te same zajęcia, dzielimy jeden pokój.

- I pewnie jesteś za to ukarana. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Jeśli twoja przyjaciółka jest jedyną w szkole czarną dziewczyną, zostajesz odsunięta od reszty.

- Dlaczego?

- Nie bądź naiwna.

- A ty nie bądź taka cyniczna, mamó. - Sharon nagle zdenerwowała się.

- Może już czas, żebyście obie dorosły.

- A co to ma, do diabła, znaczyć? - Sharon odparła atak.- O Boże, jestem w domu dopiero od dziewięciu godzin, a ty już zaczynasz mi ciosać kolki na głowie swoimi przemówieniami i kruczajami.

- To nie są żadne przemówienia. To tylko fakty.

Popatrzyła na nie obie: - nie uciekniecie przed prawdą, dziewczęta. Nie jest łatwo być czarnym w dzisiejszych czasach... •i Przyjaciółką czarnej dziewczyny... obie musicie sobie z tego zdawać sprawę. Zapłacicie wysoką cenę, jeśli ta przyjaźń ma przetrwać.

- Czy możesz zrobić coś bez obracania wszystkiego w polityczną kruczaję, mamó?

Miriam popatrzyła na nią i na jej przyjaciółkę.

Chciałabym, żebyście zrobiły coś dla mnie, zanim nas opuścicie w niedzielę wieczorem. W niedzielę będzie przemawiał w Waszyngtonie pewien mężczyzna. Jest najbardziej niesamowitym facetem, jakiego znam. Nazywa się Martin Luther King. Chciała bym, żebyście poszły ze mną go posłuchać.

- Dlaczego?

Sharon nadal przyglądała się jej.

- Bo będzie to dla was przeżycie, którego nigdy nie zapomnicie. I rzeczywiście, niedzielnego wieczoru, przez całą drogę powrotną do Południowej Karoliny, Tana ciągle o nim rozmyślała. Miriam Blake miała rację. Był to najbardziej wizjonerski człowiek, jakiego Tana miała okazję do tej pory słuchać. Po jego przemówieniu każdy czuł się tak, jakby do tej pory był głupi i ślepy. Upłynęły długie godziny, zanim mogła wydobyć z siebie jakiś głos. Proste słowa o losie czarnych i ich przyjaciół, o prawach obywatelskich, równouprawnieniu zapadły jej głęboko w serce. Na koniec zebrani zaśpiewali pieśń, kołysząc się w jej rytmie, spleceni ramionami, trzymając się za ręce. Po godzinie od wyjazdu z Waszyngtonu spojrzała na Sharon.

- Był niesamowity, prawda?

Sharon pokiwała głową, ciągle jeszcze myśląc o tym, co powiedział.

- Wiesz, to tak głupio po prostu wrócić do szkoły. Czuje, że powinnam coś zrobić.

Odchyliła głowę na oparcie fotela i zamknęła oczy. Tana patrzyła na zapadający mrok przez okno pociągu, który wiozł je z powrotem na Południe. Słowa tego człowieka wydawały się teraz bardziej istotne, niż były naprawdę. Jechały tam, gdzie to wszystko działo się naprawdę, gdzie ludzie byli krzywdzeni, ignorowani i prześladowani. Podczas gdy tego rodzaju myśli całkowicie zaprzętały jej głowę, nagle przypomniały jej się słowa matki o wielkim przyjęciu, na które została zaproszona. To było wręcz nieprawdopodobne, żeby dwie tak diametralnie różne myśli mogły znaleźć się w jednej głowie, w tej samej chwili. To niemożliwe.

Gdy Sharon znowu otworzyła oczy, Tana przyglądała jej się z uwagą.

- Co masz zamiar zrobić?

Po tym, co usłyszała, nie mogła już usiedzieć spokojnie. Nie miała wyboru. Nawet Freeman Blake był tego zdania.

- Jeszcze nie wiem.

Sharon wyglądała na zmęczoną. Ale przez całą drogę z Waszyngtonu rozmyślała o tym, co mogłaby zrobić, żeby pomóc... w Green Hill...

- A ty?

Nie wiem. - Tana westchnęła. - Chyba wszystko to, co mogłoby pomóc. Ale powiem ci, że po tym, co usłyszałam od doktora Kinga, wiem jedno... to przyjęcie, na którym tak zależy mojej matce, jest najgłupszym pomysłem, o jakim słyszałam.

Sharon uśmiechnęła się. Nie mogła temu zaprzeczyć, ale była też inna strona medalu. Na mniejszą skalę, o wymiarze ludzkim.

- Dobrze ci to zrobi.

- Wątpię.

Dziewczęta uśmiechnęły się do siebie i podążyły przed siebie, na południe, aż do Yolana, skąd wzięły taksówkę do Green Hill.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dwudziestego pierwszego grudnia, po południu, kilka minut po drugiej, na stacji Pennsylvania zatrzymał się pociąg. Tana patrzyła przez okno na padający śnieg. Wszystko wyglądało tak świątecznie, niemal jak w bajce. Pozbierała swoje bagaże, precyzyjnie się przemieszczała przez tłumy na peronie i dotarła do postoju taksówek. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo przygnębia ją powrót do domu. Czuła się winna, wiedziała, że nie jest w porządku wobec Jean. Z przyjemnością wyjechałaby zupełnie gdzie indziej, jak najdalej od tej głupawej imprezy. Wiedziała jednak, że matka jest tym bardzo przejęta. W ciągu ostatnich kilku tygodni Jean dzwoniła niemal co wieczór. Opowiadała o gościach, kwiatkach, dekoracji stołów, jej partnerze i sukience. Sama wybrała strój dla Tany na tę okazję. Była to elegancka, biała, jedwabna sukienka z białą, satynową przepaską i drobnymi, maleńkimi perełkami, ozdobionymi wokół wzorkami roślinnymi. Wydała na nią majątek, ale Artur kazał obciążyć tym wydatkiem swoje konto u Saksa.

- Jest dla nas taki dobry, kochanie... Jadąc taksówką do domu, Tana zamknęła oczy i wyobraziła sobie twarz matki mówiącą te słowa... dlaczego, dlaczego jest wiecznie taka wdzięczna? Co on takiego dla niej zrobił, za wyjątkiem że pozwala jej pracować od świtu do nocy i czekać na siebie w nieskończoność. Nawet teraz, mimo że od śmierci Marie upłynęło dużo czasu, Jean zawsze była na ostatnim miejscu. Jeśli ją tak bardzo kochał, to dlaczego, do diabła, się z nią nie ożenił? Tana pograżała się coraz bardziej w depresji. Wszystko było taką cholerną farsą jej matka i Artur, to jacy „dobrzy” byli dla nich Durningowie, tak, zwłaszcza Billy był dla niej dobry... i to przyjęcie, na które musiała pójść następnego wieczora. Zaprosiła chłopca, którego znała od lat i nigdy nie lubiła. Ale nadawał się na taką okazję, Chandler George III. Już parę razy była z nim na tańcach, zanudził ją wtedy na śmierć. Matka ucieszy się, gdy jej o tym powie. Tana wiedziała, że tym razem będzie tak samo nudno, ale nie mogła nic na to poradzić. Najważniejsze, że on jej nie skrzywdzi, jest grzeczny, nie robi nic niestosownego.

Gdy dojechała, w mieszkaniu było zupełnie ciemno. Jean była jeszcze w pracy. Wszystko wydawało się jakby mniejsze i bardziej posępne niż pamiętała. Była jednak

chyba trochę niesprawiedliwa. Wiedziała przecież, że matka tak bardzo się stara, żeby obie miały przytulny dom. Tak było zawsze. Jednak Tana czuła, że wiele się zmieniło, ona sama także i dlatego nie pasowała już do tego otoczenia. Przyłapała się na tym, że wspomina komfortowy dom Blake'ów w Waszyngtonie. Bardzo jej się tam podobało. Nie był taki pretensjonalny jak dom Durningów, za to ciepły, piękny i prawdziwy. Tęskniła za Blake'ami, zwłaszcza za Sharon. Kiedy odprowadzała ją do pociągu, czuła się tak, jakby traciła najlepszą przyjaciółkę. Sharon odwróciła się i uśmiechnęła do niej, po czym zniknęła, a pociąg ruszył na Północ. I tak oto znalazła się tutaj, czując, że za chwilę się rozplacze. Postawiła torby w swoim pokoju.

- Czy to moja mała dziewczynka?

Trzasnęły frontowe drzwi i rozległ się głos Jean. Tana przestraszona odwróciła się gwałtownie. A co będzie, jeśli matka odczyta jej myśli i zorientuje się, że jej własna córka czuje się źle w rodzinnym domu? Ale Jean nic takiego nie zauważyła. Zobaczyła wyłącznie swoje ukochane dziecko, które przycisnęła mocno, a potem cofnęła się o krok do tyłu.

O rany, świetnie wyglądasz!

-Jean także doskonale się trzymała. Policzki miała zaróżowione od zimna na dworzu, śnieżynki we włosach. W jej wielkich, ciemnych oczach malowało się takie podniecenie, że nawet nie zdjęła płaszcza, tylko pobiegła do pokoju i przyniosła natychmiast sukienkę Tany. Wyglądała naprawdę cudownie wisząc na zabytkowym, satynowym wieszaku, na którym dostarczyli ją ze sklepu. Była prawie tak wspaniała jak suknia ślubna. Tana uśmiechnęła się

- A gdzie jest welon?

Matka odwzajemniła się uśmiechem.

- Nigdy nie wiadomo. To będzie następny krok. Tana roześmiała się i pokręciła głową na myśl o tym.

- Bez przesady, nie śpieszmy się tak bardzo, mam dopiero osiemnaście lat.

- To nic nie znaczy kochanie. Nawet jutro wieczorem możesz spotkać mężczyznę swojego życia, nigdy nie wiadomo. Kto wie, jak to się skończy?

Tana patrzyła na nią z niedowierzaniem. Coś w spojrzeniu Jean świadczyło o tym, że nie żartuje.

- Mówisz poważnie, mamó?

Jean Roberts uśmiechnęła się znowu. Tak cudownie było widzieć ją znowu. I teraz, gdy Tana przyłożyła do siebie tę suknię, Jean była już pewna, że będzie wyglądała cudownie. Zwycięstwo na wszystkich frontach.

- Jesteś piękną dziewczyną, Tano. I jakiś mężczyzna będzie bardzo szczęśliwy, mogąc cię wziąć za żonę.

- Ale nie będziesz rozczarowana, jeśli nie poznam go teraz?

- Dlaczego?

Ona tego zwyczajnie nie rozumiała. Tana była zdruzgotana.

- Mam dopiero osiemnaście lat. Nie chcesz, żebym nadal chodziła do college'u i osiągnęła coś w życiu?

- Właśnie to robisz.

- To dopiero początek, mamó. Kiedy skończę te dwa lata studiów w Green Hill, chciałabym robić coś dalej. Jean otrząsnęła się.

- Nie ma nic złego w tym, że ludzie się pobierają i mają dzieci

- Czy tylko to się liczy?

Nagle Tana poczuła, że zaczyna ją mdlić.

- Ten cholerny bal... to jak aukcja niewolników, co? Jean Roberts wyglądała na zaszokowaną.

- Tana, to, co mówisz, jest straszne.

Ale to czysta prawda. Te wszystkie młode dziewczęta one w rzędzie, robiące z siebie idiotki, i garść mężczyzn przyglądających im się jak towarowi na sprzedaż. -

Zmrużyła oczy mówiąc coś tak jakby te dziewczęta stały właśnie Przed nią. - zobaczmy-

Ja wezmę tę naprzeciwno. - Znowu otworzyła szeroko oczy i wyglądała na bardzo

zdenerwowaną. - Do diabła, przecież w życiu chodzi o coś więcej.

W twoim wydaniu to rzeczywiście brzmi idiotycznie, ale tak nie jest. To wspaniała tradycja, która dla wszystkich ma ogromne znaczenie.

Nie, mamó, nie dla wszystkich, a na pewno nie dla mnie... tylko dla ciebie... ale nie mogła wykrztusić z siebie tych słów. Jean wyglądała tak żałośnie.

- Dlaczego tak to utrudniasz? Ann Durning była na takiej imprezie cztery lata temu i świetnie się bawiła.

- To wspaniale. Ale ja nie jestem Ann.

Ann uciekła także z włoskim żigolakiem, który musiał zostać nieźle przekupiony, żeby ją zostawił w spokoju, jeśli Tana dobrze sobie przypomina.

Jean westchnęła i usiadła. Przyglądała się Tanie, siedząc na krześle. Nie widziała jej od trzech miesięcy i wyczuwała dziwne napięcie, jakie narastało między nimi.

- Po prostu zrelaksuj się i odpocznij, Tano. Kto wie, może akurat spotkasz tam kogoś, kto ci się spodoba.

- Nie chcę spotkać kogoś, kto mi się spodoba. Ja wcale nie chcę tam iść, mamó. Oczy Jean wypełniły się łzami.

- Ja tylko chciałam żebyś... chciałam żebyś... Tana wzruszyła się i przycisnęła ją do siebie.

- Przepraszam, mamó. Przepraszam... Wiem, że będzie tam wspaniale.

Jean uśmiechnęła się przez łzy i pocałowała Tanę w policzek.

- Jedno jest pewne, kochanie. Będziesz wyglądała cudownie.

- Będę musiała założyć tę sukienkę. Wydałaś na nią chyba fortunę.

Była trochę przerażona, że matka wydała tyle pieniędzy na taki kosztowny strój. Wolałaby założyć coś z ciuchów, które nosiła w szkole. Ciągle pożyczala coś od Sharon.

Jean uśmiechała się do niej.

- To prezent od Artura, kochanie. Tana poczuła, jak jej żołądek zawiązał się na supeł. I znowu mam być mu wdzięczna. Była już zmęczona Arturem i jego prezentami.

- Nie powinien był tego robić.

Tana nie ukrywała, że nie jest tym zachwycona. Jean nie mogła tego zrozumieć, tłumaczyła sobie, że córka jest zazdrosna o Artura.

- Chciał, żebyś miała piękną suknię.

I rzeczywiście. Kiedy następnego wieczora stanęła przed lustrem miała lekko

stapirowane włosy, a ich końce uniesione były do góry - matka podejrzwała tę fryzurę u Jackie Kennedy, na stronach Yogue. W przepięknej, jedwabnej sukni wyglądała jak królowa z bajki. Jej płowe, błyszczące włosy wspaniale komponowały się z zielonym kolorem dużych, wyrazistych oczu. W oczach Jean zakręciła się łza na widok córki tak dzisiaj pięknej. W chwilę później przyjechał po nią Chandler George. Jean pojechała z nimi Artur zapewniał, że postara się wpaść, ale nie był pewien, czy mi się uda. Musiał pójść na kolację z pewnymi ludźmi, ale obiecał, że zrobi wszystko, by zdążyć. Tana nie komentowała tego później, gdy jechali taksówką. Znała już te teksty na pamięć i wiedziała, że dla niego to nic nie znaczy. To samo mówił od lat we wszystkie Święta Bożego Narodzenia, Dziękczynienia i urodziny Jean. Zwykle, gdy mówił, że „zrobi wszystko”, po prostu nie przyjeżdżał, tylko przysyłał bukiet kwiatów, telegram albo liścik. Dobrze pamiętali rozczarowanie matki przy takich okazjach, ale dzisiaj było inaczej Jean była zbyt podniecona, żeby przejmować się Arturem. Kręcili się jak matka kwoka, przyłączając się do grupy innych matek po jednej stronie długiego baru. Ojcowie też skupili się w jednym miejscu, poza tym była grupa osób towarzyszących i przyjaciół rodziny. Większość stanowiła jednak młodzież w wieku Tany dziewczęta w różowych sukienkach, czasem z czerwonej satyny albo w kolorze żywej zieleni. Tylko z tuzin panien miało na sobie białe suknie, kupione specjalnie na tę okazję. Chłopcy i dziewczyny tworzyli różnokolorowy tłumek, o puciołowatych na ogół twarzach i zaokrąglonych sylwetkach. Miną całe lata, zanim te młodzieńcze rysy trochę się wyostrzą, a figury nabiorą smukłości. Dziewczyny w tym wieku były do siebie podobne, nie wyróżniały się. Wyjątek stanowiła Tana, szczupła i wysoka, z dumnie podniesioną głową patrzyła na nią z nie ukrywaną dumą, stojąc w drugim sali Wreszcie nadeszła wielka chwila, zabrzmiały bębny dziewcząt, wsparta na ramieniu ojca została przedstawiona IKM. Łzy szczęścia popłynęły z oczu Jean. Liczyła trochę na to, że Artur Durning zdąży przyjechać i poprowadzi Tanę tego dnia ale nie oczywiście nie udało mu się. Zresztą i tak zrobił dla nich wystarczająco dużo, nie powinna oczekiwać więcej. Kiedy zła popatrzyła na Tanę wyglądała na zdenerwowaną i zarumienioną. Poprowadził ją Chandler George. Ukłoniła się z wdziękiem, spuściła skromnie oczy, po czym zniknęła

w tłumie młodzieży. Wkrótce potem znowu zagrała muzyka. Stało się, już było po wszystkim. Tana została oficjalnie przedstawiona w „towarzystwie”. Rozglądała się potem nerwowo po sali, czując się jak kompletny głupek. Nie było w niej ani radości, ani podniecenia, nie uległa nawet romantycznemu nastrojowi. Przyszła tu, bo tego chciała jej matka, i na szczęście było już po wszystkim. Cieszyła się, że wkrótce po prezentacji powstało ogólne zamieszanie, w którym mogła zgubić się w tłumie. Chandler wyglądał, jakby zakochał się bez pamięci w pulchnej, rudowłosej dziewczynie, o słodkim uśmiechu, ubranej w wyszukaną, białą, welurową suknię. Tana zniknęła dyskretnie, umożliwiając mu w ten sposób zdobycie swej wybranki. Schowała się w alkowie, opadła ciężko na fotel. Odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy i westchnęła, wdzięczna że udało jej się wymknąć. Nareszcie była z dala od tej muzyki, ludzi, Chandlera, którego nie znosiła, i wreszcie umknęła przed pełnym dumy spojrzeniem matki samotnie stojącej przy ścianie. Tana westchnęła znowu na samą myśl o tym i nagle podskoczyła przerażona nieoczekiwanym dźwiękiem czyjegoś głosu.

- Nie może być chyba aż tak źle.

Otworzyła oczy, by ujrzeć dobrze zbudowanego, ciemnowłosego młodego człowieka, o oczach tak zielonych jak jej własne. Było w nim coś zawadiackiego, nawet jego czarny krawat, poza tym ten swobodny sposób, w jaki stanął nad nią, ze szklanką w dłoni uśmiechał się cynicznie. Pukiel ciemnych włosów opadł mu na jedno oko.

- Nudzisz się, królowno?

Starał się być jednocześnie uszczypliwy i wesoły. Tana z pewnym zaskoczeniem i zawstydzeniem powoli kiwnęła głową, po czym roześmiała się.

- Przyłapałeś mnie.

Popatrzyła mu prosto w oczy i uśmiechnęła się. Wydawało się jej, że gdzieś już go widziała, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

- Cóż mam powiedzieć? To kompletne nudy.

- To prawda. Wiejskie widowisko. Co roku w tym uczestniczę. Nie wyglądało na to, żeby mógł z racji swego wieku bywać od dawna na tego rodzaju imprezach. Mimo że wyglądał na bywalca, nie był chyba od niej dużo starszy.

- Od jak dawna chadzasz na te bale? Zachichotał jak mały chłopczyk.

- Jestem tu drugi raz. Właściwie powinienem być tu po raz pierwszy, ale w zeszłym roku zaprosili mnie na Bal Kotyliionowy przez pomyłkę. I na tę całą resztę przyjąć także.

Zmrużył oczy z diabelskim uśmieszkiem na twarzy.

- To zawracanie głowy, ta cała impreza. Popatrzył na nią z dużą przyjemnością i łyknął szkocką ze swojej szklanki.

- A jak ty się tutaj dostałaś?

- Taksówką.

Uśmiechnęła się do niego słodko, on także się roześmiał.

- Masz wspaniałego partnera. - Jego słowa znowu ociekały sarkazmem.

Roześmiała się. - Jesteście już zaręczeni?

- Nie, dziękuję.

- To wskazuje przynajmniej na odrobinę dobrego gustu z twojej strony.

Mówił wolno, lakonicznie, urywając końcówki, i ciągle ze śmiechem na ustach.

Tana świetnie się bawiła, słuchając go. Było w nim coś, co kontrastowało z poprawnym zachowaniem i strojem, jaki miał na sobie. Rozmawiał z nią z pełną luzu nonszalancją, co bardzo jej odpowiadało w tym momencie.

- Znasz Chandlera?

Młody człowiek uśmiechnął się znowu.

- Przez dwa lata mieszkaliśmy razem w tym samym internacie; Świetnie gra w squasha, beznadziejnie w brydża, nieźle sobie radził na korcie tenisowym, oblewał matkę, historię i biologię, no i poza tym słoń nadepnął mu na ucho.

Tana roześmiała się wbrew swoim zamiarom. I tak go nie lubiła, ten opis, który przed chwilą usłyszała był niesamowicie szczegółowy i nadzwyczaj wierny prawdzie, mimo że niezbyt pochlebny.

To brzmi bardzo wiarygodnie. Nie za bardzo to miłe, ale chyba prawdziwe.

- Nikt mi nie płaci, żebym był miły.

Zrobił tajemniczą minę i znowu pociągnął łyk drinka ze szklanki. Z uznaniem

spojrzał na jej biust i wąską talię.

- A czy w ogóle płacą ci za cokolwiek? Na razie jeszcze nie. - Popatrzył na nią życzliwie. - I jeśli szczęście mi dopisze, to nigdy nie będą mi płacić.

- Do jakiej chodzisz szkoły?

Wzdrygnął się, jakby nagle o czymś zapomniał i spojrzął na nią niemo.

- Wiesz... chyba nie pamiętam.

Uśmiechnął się, podczas gdy ona zastanawiała się, o co tu idzie. Może on w ogóle nie chodził do college'u, ale na takiego również nie wyglądał.

- A ty?

- Uczę się w Green Hill.

Na jego twarzy pojawił się teraz szelmowski uśmiezek, uniósł brew jednego oka.

- No proszę, co za dama. W czym się specjalizujesz? W południowych plantacjach czy nalewaniu herbaty?

- W jednym i drugim. - Zachichotała i wstała. - Przynajmniej chodzę do szkoły.

- Ale tylko dwa lata. A co potem księżniczko? Może to właśnie dzisiejszy bal ma zdecydować o twoim losie? Wielkie Polowanie na Męża Numer Jeden. - Zaczął udawać, że mówi do megafonu. - A teraz wszyscy kandydaci ustawiają się pod ścianą, sami zdrowi, młodzi osobnicy płci męskiej z rodowodem... ojcowie niech przygotowują świadectwa urodzenia, poza tym proszę przygotować informacje na temat wykształcenia, grupy krwi, prawa jazdy, wysokości majątku osobistego i okresu, w jakim do niego doszliście...

Kontynuował, a ona zaśmiewała się. Zniżył głos.

- Wpadł ci już któryś w oko, czy też jesteś po uszy zakochana w Chandlerze George'u?

- Z pewnością.

Powoli zmierzała w kierunku sali balowej, a on szedł za nią. W pewnej chwili zobaczyli oboje Chandlera całującego puciołowatą rudowłosą po drugiej stronie sali.

Wysoki, ciemnowłosy młodzieniec zwrócił się do Tany ze smutkiem w głosie.

- Mam dla ciebie złe wieści. Obawiam się, że właśnie zostałeś porzucona, księżniczko.

Wzruszyła ramionami i ich niesamowicie zielone oczy spotkały się na chwilę.

- Krzyżyk na drogę.

W jej oczach widać było zadowolenie. Miała w nosie Chandlera George'a.

- Zatańczysz?

- Jasne.

Poprowadził ją z perfekcyjnym wyczuciem rytmu. Był pełen fantazji, ale znać w nim było światowe obycie, nie pasujące do jego młodego wieku. Tana odnosiła wrażenie, że był w towarzystwie, chociaż nie miała pojęcia, w jakim. Nie wiedziała nawet, kim on jest, ale w chwilę później on nadrobił to niedopatrzenie.

- A tak przy okazji, księżniczko, jak się nazywasz?

- Tana Roberts.

- A ja nazywam się Harry.

Popatrzył na nią i zachichotał jak mały chłopczyk i nagle wyrzucił z siebie.

- Harrison Winslow Czwarty, jeśli chodzi o ścisłość. Ale Harry wystarczy.

- Czy mam być tym wstrząśnięta?

I rzeczywiście była, ale nie miała zamiaru się z tym zdradzić.

- Tylko, jeśli regularnie czytujesz rubryki towarzyskie. Harrison Winslow Trzeci zwykle robi z siebie durnia we wszystkich większych miastach świata... najczęściej w Paryżu i Londynie, jeśli ma trochę czasu - w Rzymie... Gstaad, Saint Moritz... Monachium i Berlinie. Jeżeli już nie ma wyboru, to w Nowym Jorku, gdzie walczy ze współspadkobiercami majątku, jaki pozostawiła pod jego opieką moja babka. Nie lubi przebywać w Stanach ani ze mną.

Mówił to tak monotennie i bez wyrazu. Tana zastanawiała się, co tak naprawdę dzieje się w jego sercu. Nie miała pojęcia jak się zachować.

Moja matka umarła, kiedy miałem cztery lata. W ogóle jej nie pamiętam, tylko czasem przychodzi do mnie w aurze zapachu... powiewu jej perfum... albo jakiegoś dźwięku, śmiechu na schodach, jakby mieli zamiar z ojcem gdzieś wyjść... lub sukienki, która mi ją przypomina. Ale to raczej niemożliwe. Popelniła samobójstwo. Bardzo kruche - jak mawiała o niej moja babka - ale piękne cacuszko. I od tej pory biedny ojciec nie

może wyleczyć ran... Zapomniałem wspomnieć o Monako i Cap d'Antibes. Tam też próbuje zapomnieć. Oczywiście w towarzystwie. Ma stałe towarzystwo w Londynie, gdzie rezyduje przez większość roku, natomiast bardzo piękny egzemplarz jest w Paryżu... lubi z nią jeździć na narty... i ma też Chinkę w Hongkongu. Kiedyś, jak byłem w szkole zwykle zabierał mnie ze sobą, ale stałem się tak niemożliwy, że przestał. To... -jego brwi zmarszczyły się w grymasie -... i inne sprawy. W każdym razie - oczy zwęziły się w cynicznym uśmiechu - tak oto wygląda Harrison Winslow lub co najmniej jeden z nich.

- A ty?

Jej głos był taki łagodny, a jego oczy bardzo smutne. Powiedział jej więcej, niż miał zamiar. Ale wypił już cztery szkockie. Na szczęście nie plątały mu się nogi, tylko najwyżej trochę rozwiązał mu się język, ale nie zależało mu na tym. Każdy w Nowym Jorku wiedział kim jest Harry Winslow, ojciec i syn.

- Jesteś taki jak on?

Wątpiła w to. Przede wszystkim, nie miał tyle czasu, żeby przejąć wszystkie cechy ojca. Nie mógł być od niej dużo starszy. Wzruszył ramionami bez cienia uczuć.

- Pracuję nad tym. - Uśmiechnął się znowu. - Strzeż się, ślicznotko! Strzeż się!

I z tymi słowami znów porwał ją w ramiona i pociągnął na parkiet. Zauważyła, że obserwuje ich jej matka. Już od dłuższej chwili na nich patrzyła i dowiedziała się nawet od kogoś, kim on jest. Nie wyglądała na niezadowoloną.

- Często widzisz się z ojcem?

Cały czas zastanawiała się nad tym, co powiedział jej w czasie To musiało być samotne życie... szkoły z internatami... matka popełniła samobójstwo, kiedy miał cztery lata... ojciec większość czasu spędzał gdzieś w świecie i w dodatku był rozpustnikiem

- Raczej nie. Nie ma na to czasu.

Przez chwilę zabrzmiało to jak wyznanie małego chłopca. Zrobiło jej się go żal, ale on szybko odwrócił jej uwagę od swojej osoby.

- A ty? Jaka jest twoja historia, Tano Roberts, poza tym, że masz żaloszny gust, jeśli chodzi o mężczyzn?

Spojrzał w stronę Chandlera George'a przyciskającego do siebie małą rudowłosą.

Roześmieli się oboje.

- Jestem wolna, mam osiemnaście lat i chodzę do Green Hill.

- Jezu. Jakie to nudne. Co jeszcze? Jakieś miłostki, romanse? Jej twarz zmieniła swój wyraz, zamknęła się w sobie. Zauważył to od razu.

- Nie.

- Odpręż się. Oczywiście, poza Chandlerem. - Uspokoila się trochę. - Chociaż, muszę przyznać, jest bezkonkurencyjny.

Swoją drogą, biedny facet. Byli wstrętnei, mówiąc to wszystko o nim, ale naprawdę był najgłupszym chłopakiem, jakiego znała, i często stawał się ofiarą dowcipów.

- Zobaczymy, co jeszcze? Rodzice? Nielegalne dzieci? Psy? Przyjaciele? Hobby? Czekał - sprawdzał swoje kieszenie, jakby zapomniał o czymś. - Powinienem gdzieś mieć ten formularz... - Roześmieli się oboje. - Zakreślić wszystko co powyżej...? czy też nic z tych rzeczy...!

- Jedna matka, psów brak, dzieci brak. Zasmucił się.

- Jestem tobą rozczarowany. Myślałem, że lepiej się spiszesz. Muzyka przycichła i Harry rozejrzał się dookoła.

- Co za banda nudziarzy. Chcesz wyskoczyć gdzieś na hamburgera albo na drinka?

Uśmiechnęła się. - Bardzo chętnie, ale zabierzemy ze sobą Chandlera? -

Roześmiała się głośno, a on skinął głową.

- Zostaw to mnie. - Zniknął i wrócił za chwilę z tajemniczym uśmiechem na twarzy.

- O Boże. Co ty zrobiłeś?

- Powiedziałem mu, że bardzo zdenerwowałaś się jego zachowaniem dzisiejszego wieczoru z tą rudowłosą kokotą i odwożę cię do twojego psychiatry.

Nie zrobiłeś tego?

- Zrobiłem.

Przybrał niewinny wyraz twarzy i roześmieli się oboje.

- Właściwie powiedziałem mu, że doznałaś olśnienia i wybrałaś mnie.

Pogratulował ci dobrego gustu i uciekł ze swoją pulchną przyjaciółką.

Cokolwiek Harry mu powiedział, Chandler machał do nich zadowolony i wychodził ze swoją wybranką. Z pewnością nie wyglądał na skrzywdzonego.

Muszę powiedzieć coś matce, zanim stąd wyjdziemy. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie, skądże. Chociaż właściwie tak, ale z drugiej strony nie mam wyboru.

Kiedy Tana przedstawiała go Jean, zachowywał się poprawnie. Wyglądał bardzo dystyngowanie i przypadł Jean do gustu. W drodze do domu żałowała, że Artur nie widział tego wszystkiego. To był wspaniały wieczór i było jasne, że Tana także doskonale się bawiła. I w dodatku wyszła z Harrym Winslowem IV. Jean wiedziała, kim on jest, to znaczy przynajmniej знаła jego nazwisko.

- A co z twoim ojcem?

Wyciągnął się wygodnie w taksówce, podając kierowcy adres „21”. Zawsze tam chodził, jeśli był akurat w mieście. Tana była jednak pod wrażeniem. Na pewno bawiła się znacznie lepiej, niż z Chandlerem Georgem. Tak dawno już nie była na żadnej randce, że zapomniała jakie to uczucie. Poza tym żaden z jej znajomych nie zachowywał się w ten sposób. Zwykle całą grupą chodzili na pizzę, do którejś z knajpek przy Drugiej Alei. To było jeszcze przed maturą... przed Billym Durningiem.

- Ojciec zginął na wojnie, zanim się urodziłam.

- To bardzo sprytne z jego strony. Zawsze mniej wzajemnej szarpaniny, kiedy kręcą się przy nas przez te parę lat.

Tana zastanawiała się, dlaczego jego matka popełniła samobójstwo, ale nie śmiała zapytać.

Czy twoja matka wyszła za mąż po raz drugi? Nie. - Niepewnie zaprzeczyła ruchem głowy, po czym dodała.- Ma przyjaciela.

Był kimś, komu mogła o tym powiedzieć. Miał coś takiego w oczach, coś, co pozwalało jej obdarzyć go zaufaniem.

Znowu podniósł wyżej jedną brew. - Czy jej przyjaciel jest żonaty?

Trzeba przyznać, że był bystry.

Zaczerwieniła się jak burak, ale on nie mógł tego zauważyć.

- Dlaczego pytasz?

- Chyba jestem po prostu bystry.

Był niemożliwy. Gdyby nie jego chłopięca niewinność i ujmujące podejście, chętnie dałaby mu w twarz. Jego bezpośredniość była tak beztroska, że nie sposób było mu się oprzeć.

- Zgadłem?

Nigdy nie przyznałaby racji komuś innemu, ale tym razem zrobiła to. - Tak. To znaczy był żonaty przez długi czas. Od czterech lat jest wdowcem i nadal się z nią nie ożenił. To naprawdę kawał zarozumiałego sukinsyna. - Były to najmocniejsze słowa, jakich do tej pory użyła na jego temat publicznie. Nie mówiła tak nawet w szkole, do Sharon.

Harry nie wyglądał na zgorzzonego.

- Większość mężczyzn jest taka. Szkoda, że nie znasz mojego starego. Porzuca je krwawiące przy drodze ze cztery razy w tygodniu, tylko po to, żeby się zabawić.

- Brzmi nieźle.

- On jest zły. - Oczywiście Harry'ego stężyła. - Jest zainteresowany tylko jednym. Sobą. Nic dziwnego, że się zabiła.

Nigdy nie wybaczył tego ojcu i serce Tany nagle zabiło mocniej z żalu i współczucia dla niego. Taksówka zatrzymała się przed drzwiami „21”. Harry zapłacił i weszli do środka. Chwilę później zanurzyli się w podniecającej atmosferze ekskluzywnej restauracji. Tana była tutaj tylko raz, czy dwa. Na przykład z okazji matury. Podobały jej się ozdóbki zwisające nad barem, świetnie ubrani ludzie stłoczeni w środku. Rozpoznała wśród nich dwie gwiazdy filmowe, a kelner, zauważywszy Harry'ego, natychmiast przybiegł uszczęśliwiony do nich, ciesząc się, że znowu go widzi. Chyba rzeczywiście było to ulubione miejsce Harry'ego, dokąd często zaglądał. Spędzili chwilę przy barze, po czym usiedli przy stoliku Harry zamówił stek, a Tana jajka po benedyktyńsku. Gdy popijał to szampanem Lour Roederer, Harry zauważył, że jej twarz nagle stężyła. Patrzyła na grupę ludzi przy stoliku na drugim końcu sali Wyglądało na to, że dobrze się bawili, jej wzrok przykuwał zwłaszcza starszy mężczyzna. Obejmował znacznie młodszą od niego

dziewczynę. Harry patrzył na jej twarz, potem na wyraz jej oczu, wreszcie dotknął jej dłoni.

- Niech zgadnę... dawna miłość?

Był zaskoczony, że umawiała się ze starszymi facetami. Nie pasowało to do niej.

W każdym razie nie moja.

Od razu się zorientował.

Przyjaciół twojej matki?

_ Powiedział, że ma dziś wieczór służbową kolację.

- Może to właśnie jest służbowa kolacja.

- Nie wydaje mi się.

Jej spojrzenie było twarde i znowu zwróciła się do Harry'ego.

- Najbardziej irytuje mnie to, że w jej oczach wszystko, co on robi, jest idealne.

Zawsze go usprawiedliwia. Ciągłe siedzi i czeka na niego. Jest bez przerwy taka wdzięczna.

- Jak długo są już ze sobą?

- Dwanaście lat.

Skrzywił się. - Jezu, to strasznie długo.

- Tak. - Popatrzyła znowu z niechęcią w stronę Artura. - I wygląda na to, że to nie przeszkadza takiemu stylowi życia.

Na jego widok powróciły myśli o Billym. Odwróciła głowę, jakby chciała ich uniknąć, ale Harry zauważył nagły cień bólu w jej oczach.

- Nie martw się tak bardzo, księżniczko. - Jego głos brzmiał łagodnie w jej uszach i odwróciła się w jego stronę.

- To jej życie, nie moje.

- To prawda. I nie zapominaj o tym. Ty możesz sama planować swoje życie. -

Uśmiechnął się, - To mi przypomina, że nie odpowiedziałas jeszcze na moje wszystkie niegrzeczne pytania. Co masz zamiar zrobić po Green Hill?

- Nie mam pojęcia. Może Columbia. Nie jestem pewna. Chcę się dalej uczyć.

A nie wyjść za mąż i urodzić czwórkę dzieciaków?

Roześmieli się oboje.

Nie, na razie nie, chociaż to najskrytsze marzenie mojej mamy. Popatrzyła na niego przenikliwie.

- No, a ty, do jakiej szkoły chodzisz? Westchnął i odstawił swój kieliszek szampana.

- Harvard. Brzmi okropnie, prawda? To dlatego nie powiedział jej od razu.

- Naprawdę?

- Niestety, tak. - Zachichotał. - Ale jest nadzieja. Może mnie wyleją jeszcze przed końcem roku. Pracuję nad tym.

- Nie możesz być taki zły, bo nie dostałbyś się do Harvardu

- Winslow by się nie dostał? Chyba żartujesz, moja droga. My się zawsze dostajemy. Praktycznie zbudowaliśmy tę budę.

- Och... - Wyglądała na poruszoną. - Rozumiem. A ty nie chcesz tam studiować?

- Nie za bardzo. Miałem ochotę wyjechać gdzieś na zachód. Myślałem o Stanford albo UC, ale ojciec podjął taką właśnie decyzję i walka z nim nie miała sensu... i tak oto jestem tam, grając im na nerwach. Teraz żałują pewnie, że mnie przyjęli.

- Muszą się rzeczywiście cieszyć z takiego nabytku. - Tana roześmiała się i jednocześnie zauważyła, że Artur Durning ze swoją grupą opuszcza restaurację. Nie widział jej, ale nie była pewna czy to dobrze, czy źle.

- Musisz przyjechać do mnie kiedyś, może podczas ferii wiosennych.

Roześmiała się i pokręciła głową. - Wątpię.

- Nie masz do mnie zaufania? - Wyglądał na rozbawionego i był naprawdę bardzo szarmancki jak na osiemnastoletniego chłopca.

- Rzeczywiście, nie mam.

Wypiła łyk szampana i śmiali się razem. Czowała się teraz zupełnie beztrosko i naprawdę dobrze się z nim bawiła. Był pierwszym chłopcem, którego polubiła po bardzo długiej przerwie. Lubiała go jak przyjaciela. Miał poczucie humoru, a poza tym mogła powiedzieć mu rzeczy, o których nie rozmawiała z nikim innym, poza Shar. Nagle wpadła na pomysł.

- Mogłabym cię odwiedzić, jeśli mogę przyjechać z przyjaciółką.

- Przyjaciółką? - zapytał podejrzliwie.

- Mieszkam z nią w jednym pokoju w Green Hill. - opowiedziała mu o Sharon Blake, wyglądał na zaintrygowanego-

Córka Freemana Blake'a? To co innego. Czy jest naprawdę taka wspaniała, jak opowiadasz?

_ Nawet wspanialsza.

Opowiadała mu o tym, jak nie zostały obsłużone w kawiarni Yolani i o wykładzie Martina Luthera Kinga. Był tym wszystkim bardzo zainteresowany.

- Chciałbym się z nią kiedyś spotkać. Czy naprawdę uważasz, że mogłybyście przyjechać do Cambridge podczas ferii wiosennych?

- Może. Musiałabym z nią porozmawiać.

A co jest z wami, jesteście siostrami syjamskimi, czy co?

Patrzył na Tanę z dużą przyjemnością. Była jedną z piękniejszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek spotkał. Warto było przemęczyć się z jakąś jej koleżanką, żeby móc ją jeszcze kiedyś zobaczyć.

- Coś w tym rodzaju. Byłam u niej w domu w Święto Dziękczynienia i chciałabym tam jeszcze kiedyś wrócić.

- Dlaczego nie przywiozłaś jej tutaj?

Po chwili dłuższej ciszy Tana spojrzała na niego.

- Moja matka dostałaby ataku serca, gdyby dowiedziała się, że Sharon jest czarna. Powiedziałam jej o niej wszystko z wyjątkiem tego.

- Świetnie. - Harry uśmiechnął się. - Wspominałem ci, że moja babka jest czarna, prawda?

Przez moment wyglądał tak niewinnie, że prawie mu uwierzyła. Ale za chwilę zaczął się śmiać, a ona zrobiła wymowną minę.

- Głupek... muszę powiedzieć o tobie mojej matce.

- Proszę bardzo.

I zrobiła to, kiedy zadzwonił do niej następnego dnia, żeby umówić się z nią na

lunch po Świętach Bożego Narodzenia, które trzeba było spędzić z rodziną.

- Czy to nie ten chłopiec, którego poznałaś wczoraj? Był sobotni poranek i Jean odpoczywała, czytając książkę. Artur nie odezwał się do niej od przedwczoraj. Nie mogła się doczekać, żeby mu opowiedzieć o balu, ale nie chciała mu przeszkadzać. Zwykle czekała, aż on zadzwoni. To był zwyczaj, którego Przestrzegali od czasów kiedy jeszcze żyła Marie. No i w końcu było° Przecież Boże Narodzenie. Spędzał je z Billym i Ann.

- Tak, ten sam. - Tana wspomniała matce o telefonie Harry'ego.

- Wygląda sympatycznie.

- Taki też jest.

Ale prawdziwy Harry nie podobałby się Jean. Nie lubiła takiego stylu bycia. Był złośliwy i nieobliczalny, za dużo pił i był z pewnością zepsuty. Ale kiedy odprowadzał ją do domu, zachowywał się « należycie. Powiedział grzecznie dobranoc i nie przypominał w niczym chłopaka, którego poznała tego wieczora. Trochę się denerwowała, czy nie wyrwie się przy matce z jakimś dowcipem niepotrzebnie. Kiedy pojawił się dwa dni później, żeby zabrać ją na lunch miał na sobie blezer i krawat, do tego szare spodnie. Ale jak tylko zeszli na dół założył wrotki i zwariowany kapelusz i zaczął zachowywać się jak kompletny wariat. I tak było przez całą drogę do śródmieścia. Tana zaśmiewała się.

- Harry Winslow, jesteś zupełnym czubkiem, czy wiesz o tym?

- Tak jest, proszę pani.

Harry uśmiechnął się i nalegał, by wejść we wrotkach do Oi Room, gdzie mieli zjeść lunch. Kierownik sali nie był zachwycony tym pomysłem, ale wiedział, kim jest jego gość, i nie odważył się go wyprosić. Harry zamówił szampana Roederer i wydudnił pierwszy kieliszek od razu po otwarciu butelki. Odstawił pusty kieliszek i powiedział do Tany z uśmiechem: - Chyba jestem uzależniony od tego szlachetnego trunku.

- Chodzi ci o to, że jesteś pijakiem.

- Dokładnie.

Powiedział to z dumą, po czym zamówił lunch dla obojga. Po jedzeniu poszli na spacer do Central Parku. Zatrzymali się w Wollman Rink, żeby popatrzeć na łyżwiarzy. Stali tam przez ponad godzinę rozmawiając o życiu. Wyczuł, że Tana stawia wokół siebie

niewidzialny mur. Nie miała zamiaru angażować się w jakiś uczuciowy związek, ważyła każde słowo, była zamknięta w sobie. Jednocześnie emanowała z niej inteligencja i wewnętrzne ciepło. Obchodzili ją inni ludzie, ich losy i sprawy. Zachowywała jednak dystans. Wiedział, że ma w niej nową koleżankę, ale nic nie wie o niej. Zadbana o to, żeby to dokładnie zrozumiał, korzystając z różnych okazji, co jeszcze większe wzbudziło w nim zainteresowanie jej osobą.

- Masz chłopaka w Green Hill? Zaprzeczyła. Ich spojrzenia spotkały się. Nic z tych rzeczy. Nie chcę się z nikim na razie wiązać. Zaskoczyła go szczerością odpowiedzi. No i oczywiście było to dla niego wyzwanie. Wyzwanie, któremu nie mógł się oprzeć. Dlaczego nie? Obawiasz się, że ktoś może cię skrzywdzić, tak jak twoją matkę?

Nigdy nie pomyślała o tym w ten sposób. Powiedział, że nie zamierza mieć dzieci. Pewnie nie chce skrzywdzić nikogo, tak jak sam został skrzywdzony. Opowiedziała mu, jak Artur znowu potraktował matkę w Święta Bożego Narodzenia.

Nie wiem. Może. To też, ale są jeszcze inne powody.

- Jakie?

- Nie chciałabym o tym rozmawiać.

Odwróciła się, a on starał się wyobrazić sobie dlaczego zachowuje się, jakby była w jakiś sposób napiętnowana. Cały czas utrzymywała bezpieczny dystans. Nawet kiedy śmiali się i żartowali, ciągle nadawała ukrytą wiadomość „nie zbliżaj się do mnie za bardzo”. Miał nadzieję, że przyczyną nie były jakieś dewiacje seksualne. Nie sądził, żeby taka była przyczyna jej chłodu. Ona po prostu chowała się w swojej bezpiecznej skorupce, a on nie wiedział, dlaczego. Ktoś ją do tego zmusił... zastanawiał się, kto to mógł być.

- Czy był w twoim życiu ktoś, na kim ci zależało?

- Nie. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Nie chcę o tym mówić.

Jej spojrzenie kazało mu się wycofać. Była w nim złość i ból, i coś jeszcze, czego nie potrafił określić. Siła jej wzroku powaliła go, a zwykle niełatwo było go przestraszyć. Tym razem dotarło to do niego. Nic dziwnego, ślepy by zrozumiał.

- Przepraszam.

Zmieniili szybko temat i zaczęli rozmawiać na bardziej neutralne tematy. Tana bardzo mu się podobała, spotkali się jeszcze kilka razy w czasie ferii świątecznych. Byli na kolacji i lunchu, poszli na łyżwy, do kina. Raz nawet zaprosiła go do domu na kolację. Ale to był zły wybór zorientowała się od razu. Jean nadskakiwała mu, jakby był kandydatem na męża. Pytała go o plany na przyszłość, o rodziców, o Jego karierę, stopnie w szkole. Tana nie mogła doczekać się końca tych męczarni, a kiedy wreszcie wyszedł, zaczęła krzyczeć na Jean.

] Dlaczego tak się zachowywałaś? Przyszedł zjeść z nami a nie prosić o moją rękę. tan Masz osiemnaście lat, musisz zacząć myśleć o sprawach.

- Dlaczego? - Tana kipiała złością. - Jest tylko moim znajomym, do diabła. Nie zachowuj się tak, jakbym musiała wyjść za mąż przed końcem tygodnia.

- No więc kiedy właściwie masz zamiar wyjść za mąż, Tano?

- Nigdy, do cholery! Dlaczego do diabła w ogóle musze wychodzić za mąż?

- A co zamierzasz robić przez resztę życia? Oczy matki ściagały ją, przygważdżały i przenikały na wylot Denerwowało ją to.

- Nie wiem, co będę robić. Czy muszę zdecydować się już? W tej chwili? Dziś wieczór? A może w tym tygodniu? Cholera?

- Nie rozmawiaj ze mną w ten sposób! - Teraz matka zdenerwowała się także.

- Dlaczego nie? Co ty chcesz ze mnie zrobić?

- Chcę zadbać o to, żebyś miała spokojne, bezpieczne życie, Tano. Nie chcę, żebyś urządziła się tak jak ja, kiedy stuknie ci czterdziestka. Zaslugujesz na coś więcej!

- Ty także. Czy kiedykolwiek pomyślałaś o tym? Mierzi mnie to, gdy widzę, jak ciągle czekasz na Artura, jak jego niewolnica. Właśnie tak to wyglądało, przez te wszystkie lata, mamó. Konkubina Artura Durninga.

Miała ochotę powiedzieć jej, że spotkała go w „21” z inną kobietą, ale nie mogła tego zrobić własnej matce. Nie chciała jej sprawić bólu, a to na pewno zraniłoby jej uczucia. Tana powstrzymała dalszy potok słów, jaki cisnął się jej na usta, ale Jean i tak była poirytowana.

- To niesprawiedliwe, a poza tym to nieprawda.

- Więc dlaczego nie chcesz, żeby spotkało mnie to, co ciebie?

Jean odwróciła się od niej, żeby nie zobaczyła łez, które wypełniły jej oczy. Nagle zwróciła się do Tany i dziewczyna ujrzała wyraźnie dwanaście lat cierpień i urazów doświadczanych przez matkę w całym jej życiu. Miała to nagle wypisane na twarzy.

- Chcę, żebyś miała wszystko to, czego ja nie miałam. Czy wymagam tak bardzo dużo?

Serce Tany w jednej chwili stopniało i wycofała się z ofensywy. Jej głos był już łagodniejszy, gdy odezwała się znowu.

A może ja nie chcę tego samego, co ty?

- A czego możesz nie chcieć? Męża, bezpieczeństwa, domu, jest co w tym złego?

- Wyglądała na zaskoczoną.

- Nic. Ale jestem jeszcze za młoda, żeby o tym myśleć. A może mam ochotę zrobić karierę? Jean Roberts była zaszokowana. - Jakiego rodzaju karierę? nie wiem. Mówię tylko teoretycznie.

- Wybierasz samotność w życiu, Tano. - Martwiła się o nią. - Byłoby lepiej, gdybyś się ustabilizowała.

Ale dla Tany to brzmiało jak porażka. Myślała o tym jadąc pociągiem z powrotem na Południe. Dyskutowały o tym z Sharon już pierwszej nocy po powrocie do Jaśminowego Domu, jak tylko zgasły światła.

- Jezu, Tan, twoja matka jest dokładnie taka jak moja... oczywiście na swój własny sposób. One wszystkie dają nam to, czego same chciałyby dla siebie. Bez względu na to kim my jesteśmy, jak bardzo różnimy się od nich, co czujemy i czego pragniemy. Mój ojciec to rozumie, ale mama... ciągle słyszę o szkole prawniczej, manifestacjach, odpowiedzialności i o tym, że jestem czarna. Jestem już tak zmęczona tą odpowiedzialnością, że chce mi się wyć. Przecież tylko dlatego znalazłam się w Green Hill. Ja chciałam pójść do szkoły, w której będzie więcej czarnych studentów. Do diabła, tutaj nie mogę się nawet z nikim umówić, a ona mi tłumaczy, że mam na to jeszcze mnóstwo czasu. Kiedy? Chcę chodzić na randki właśnie teraz, dobrze się bawić, chodzić do restauracji, do kina i na mecze futbolowe.

To przypomniało Tanie o czymś, co sprawiło, że uśmiechnęła się w ciemnościach.

- Chcesz pojechać ze mną do Harvardu w czasie ferii wiosennych?

- Jak to?

Sharon uniosła się na łokciu i popatrzyła na nią z zainteresowaniem. Tana opowiedziała jej o Harrym Winslowie.

- To musi być niezły facet. Zadurzyłaś się w nim?

- Nie.

- Dlaczego nie? po drugiej stronie zapadła cisza. Obie знаły jej przyczynę.

- Wiesz, dlaczego.

- Nie możesz się tym katować do końca życia, Tan.

- Teraz mówisz jak moja matka. Ona chce, żebym się zaręczyła jak najszybciej, jeśli tylko on chce się ze mną ożenić, kupić mi dom i zrobić dzieci.

- To brzmi trochę lepiej niż chodzenie na antyrasistowskie spotkania i liczenie siwych włosów na głowie. Czy to ci się podoba?

- Nie za bardzo. - Tana uśmiechnęła się.

- Twój kolega z Harvardu może być naprawdę fajny.

- Jest. - Przez jej twarz przemknął znowu uśmiech. - Bardzo go lubię, jak przyjaciela. Jest najbardziej szczerym i bezpośrednim chłopakiem, jakiego do tej pory spotkałam.

W zeszłym tygodniu dzwonił do niej i bardzo ją ubawił swoim dowcipem. Dzwoniąc udawał, że jest właścicielem laboratorium w Yolan i szuka młodych dziewcząt do pewnego eksperymentu.

- Staramy się znaleźć młode dziewczęta, które są tak inteligentne jak mężczyźni - mówił, zmieniając głos. - Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że to niemożliwe, ale... - i gdy prawie już doprowadził ją do wściekłości, rozpoznała go.

- Ty bezczelny oszuście!

- Cześć, mała. Co słyhać na Dalekim Południu?

- Nieźle.

Oddała słuchawkę Sharon, żeby mogli się poznać i w rezultacie obie dziewczyny

stały przy telefonie, przekazując sobie co chwilę słuchawkę. W końcu Sharon poszła na górę, a Tana rozmawiała z nim jeszcze przez godzinę. To nie był romans, traktowała go bardziej jak brata. Po dwóch miesiącach rozmów przez telefon zyskała drugiego przyjaciela, zaraz po Sharon. Miał nadzieję, że Tana odwiedzi go podczas przerwy wiosennej. Próbowwała namówić Sharon, żeby z nią pojechała, ale na razie bezskutecznie. Zdecydowała się wystawić na próbę swoją matkę i zaprosić Sharon do domu, ale Miriam Blake nie dawała spokoju swojej córce niemal co wieczór. Powiedziała, że w wielkanocny weekend szykuje się w Waszyngtonie olbrzymia czarna demonstracja. Miał to być protest w sprawie przestrzegania praw obywatelskich. Miriam uważała, że to bardzo ważne wydarzenie w ich życiu i nie ma czasu na świąteczne eskapady. Sharon była tym bardzo przygnębiona, kiedy wyjeżdżały z Green Hill.

- Wystarczyło tylko powiedzieć „nie”, Shar.

Tana patrzyła na nią, kręcąc głową z dezaprobatą. Dostrzegła złowrogi błysk w pięknych, czarnych oczach.

- To właśnie powiedziałaś w sprawie tego słynnego balu, prawda Tan?

Zapadła cisza i Tana powoli pokiwała głową. Przyjaciółka była bliska prawdy. Trudno było z nimi ciągle walczyć. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się nieśmiało.

- No dobra, wygrałaś. Przepraszam. Będzie nam ciebie brakowało w Nowym Jorku.

- Ja też będę za tobą tęsknić.

Posłała jej ciepły uśmiech; przez resztę wspólnej podróży pociągiem grały w karty i paplały jak najęte o wszystkim. Sharon wysiadła w Waszyngtonie, a Tana pojechała dalej do Nowego Jorku. Kiedy wyszła z pociągu, było ciepło i przyjemnie. Złapała taksówkę, która zawiozła ją do domu, wyglądającego tak samo jak zawsze. Powrót do mieszkania matki przygnębił ją. Nic się tu nie zmieniło, z kątów wiało smutkiem. Nic nie przybyło, wszystko stało na swoim miejscu. Żadnych nowych zasłon ani roślin, pięknych kwiatów, nic przyciągającego uwagę. To samo miejsce, to samo życie, wytarta kanapa, wyblakłe kwiaty, stojące od lat w jednym miejscu. Nie przeszkadzało jej to, kiedy mieszkała tu na co dzień, ale teraz kiedy wyjechała i wróciła, spojrzała na to innym

wzrokiem. Wszystko wydawało się jakieś podniszczone i całe mieszkanie jakby skurczyło się. Matka była jeszcze w pracy, Tana zdążyła rzucić swoje torby, gdy usłyszała telefon. Wróciła do salonu, by go odebrać. Jednocześnie rozejrzała się wokół. - Halo?

- Tu Winslow. Jak leci, maleńka?

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Ten głos był jak powiew świeżego powietrza w tym dusznym, zatęchłym mieszkaniu.

- Cześć.

- Kiedy przyjechałaś?

- Jakież cztery sekundy temu. A ty?

- Przyjechałem wczoraj wieczorem razem z kumplami. I, - przeciągnął leniwym spojrzeniem po apartamencie ojca w hotelu Pierre - i oto jestem. Znowu w tym samym starym domu noclegowym, w tym samym, starym mieście.

Robił wrażenie małego chłopczyka, uśmiechającego się po drugiej stronie telefonu. Tana była podniecona perspektywą spotkania się z nim ponownie. Tak wiele dowiedzieli się o sobie przez te kilka miesięcy rozmów telefonicznych. Byli teraz starymi przyjaciółmi.

- Wpadniesz na drinka?

- Z przyjemnością. Gdzie jesteś?

- W Pierre.

Zabrzmiało to bardzo obojętnie, mimo że hotel, w którym mieszkał, był niesłychanie ekskluzywny. Tana zaśmiała się: - Nieźle.

- Nie za bardzo. Ojciec zlecił dekoratorowi wewnątrz w zeszłym roku przeróbkę apartamentu. Wygląda teraz jak garsoniera jakiegoś pedała, ale przynajmniej mam się gdzie zatrzymać, kiedy jestem w Nowym Jorku.

- Czy jest tam twój ojciec? - Była ciekawa tego, ale on zaśmiał się ironicznie.

- Chyba żartujesz. Myślę, że w tym tygodniu jest gdzieś w Monachium. Lubi tam również spędzać Wielkanoc. Niemcy bardzo emocjonalnie podchodzą do chrześcijańskich tradycji. A poza tym lubi Oktoberfest. Zresztą nieważne. Przyjeżdżaj i doprowadzimy służbę hotelową do szaleństwa. Na co masz ochotę? Zamówię coś już

teraz i akurat potrwa to ze dwie godziny, zanim tu dotrze.

Była pod wrażeniem. - Nie wiem... może hamburgera i colę? Czy to brzmi dobrze?

To wszystko robiło na niej duże wrażenie, ale Harry traktował to nonszalancko.

Kiedy przyjechała, leżał na kanapie w dżinsach, z gołymi stopami, oglądając piłkę nożną w TV. Poderwał ją do góry, po czym objął w niedźwiedzim uścisku. Było jasne, że bardzo się cieszy, że ją znowu widzi, bardziej niż przypuszczała. Lekko zadrżał całując po przyjacielsku jej policzek. Przez moment byli trochę zakłopotani, jak ludzie, którzy zaprzyjaźnili się ze sobą przez telefon, a teraz ich zażyłość musiała utrzymać się w bezpośrednim zetknięciu. Ale już pod koniec popołudnia byli znowu starymi przyjaciółmi i Tana wcale nie miała ochoty wracać do domu.

- To zostań. Włożę tylko jakieś buty i wybierzemy się do „21”.

- W tym stroju?

Spojrzała w dół na swoją spódnicę w szkocką kratę, mokasyny i wełniane skarpety. Potrząsnęła głową z dezaprobatą.

- Nie, i tak muszę wracać do domu. Nie widziałam się z matką od czterech miesięcy.

- Czasem zapominam, że istnieją jeszcze takie rytuały.

Jego głos był apatyczny, jakby pozbawiony uczuć. Wyglądał jeszcze bardziej pociągająco niż poprzednio. Ale serce Tany nie drgnęło na jego widok, pogłębiała się tylko ich przyjaźń, nic więcej. Była pewna, że on także żywi do niej jedynie platoniczne uczucia.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć, i podniosła z krzesła płaszcz przeciwdeszczowy.

- Czy ty nigdy nie widzisz się z ojcem, Harry?

Jej głos był łagodny, a oczy pełne troski. Wiedziała, że był bardzo samotny. Spędzał wakacje sam i mówił, że zawsze tak było. Albo przebywał z przyjaciółmi, albo w pustych domach czy hotelach. O ojcu wspominał tylko w kontekście złośliwych dowcipów na temat jego kobiet i przyjaciół albo wałęsania się tu i tam po całym świecie.

- Widuję go od czasu do czasu. Wpadamy na siebie jakieś raz czy dwa razy do

roku. Zwykle tutaj, albo na południu Francji.

Trochę było w jego głosie pozy, ale Tana łatwo wyczuła, jak bardzo jest samotny. To dlatego tak otworzył się przed nią. Drzemało w nim ogromne pragnienie miłości. Ona także tego potrzebowała. Częściowo rekompensowało jej to uczucie Jean, ale ona pragnęła czegoś więcej, ojca, sióstr i braci, rodziny... czegoś więcej niż jej matka, która spędziła życie w samotności czekając na mężczyznę, który jej nie doceniał. Harry nie miał nawet tego. Tana nienawidziła jego ojca, mimo że znała go tylko z opowiadań.

- Jaki on jest?

Harry wzruszył ramionami.

- Podobno przystojny. Przynajmniej tak mówią kobiety... inteligentny... zimny... - Spojrzał Tanie prosto w oczy. - Zabił moją matkę, więc jaki może być?

Była wstrząśnięta. Nie wiedziała, co powiedzieć. Żałowała, że zadała to pytanie. Harry objął ją ramieniem i odprowadził do drzwi.

- Nie martw się tym, Tan. To się stało dawno temu.

Posmutniała. Jego samotność była przygnębiająca, mimo że był taki zabawny, szczerzy i miły. To niesprawiedliwe... Był także zepsuty, złośliwy i często samolubny. Kiedy podszedł do nich pierwszy kelner, udawał brytyjski akcent, przy drugim naśladował Francuza; razem z Tana pękali ze śmiechu. Zastanawiała się, czy zawsze się tak zachowywał i pomyślała, że chyba tak. Kiedy wsiadała do autobusu jadącego z powrotem na przedmieścia, już nie przygnębiała jej myśl o smutnym, wyleniałym mieszkaniu, które dzieliła z Jean. Lepsze już to niż bogate, ale zimne wyposażenie apartamentu Winslowa w hotelu Pierre. Pokoje były ogromne, wszystko wykończony było chromem, szkłem i raziło oczy przeraźliwą bielą. Na podłodze leżały wspaniałe, białe, włochate dywany, na ścianach wisiały bezcenne obrazy, wszędzie było pełno dzieł sztuki i cudownych, wartościowych przedmiotów. Ale to było wszystko, co można było tu znaleźć. Ani żywej duszy, kiedy przyjechał ze szkoły, nikt nie pojawił się, by go spotkać ani teraz, ani później. Był sam, ze skrzynką z lodem wypełnioną butelkami i colą oraz garderobą pełną drogich ubrań i telewizorem.

- Cześć... wróciłam...!

Zawołała, jak tylko przekroczyła próg domu, a Jean wybiegła na jej spotkanie i uściskała ją radośnie.

- Och, kochanie, jak wspaniale wyglądasz!

Znowu pomyślała o Harrym, o tym, czego mu brakowało, mimo całego majątku, domów i szacownego nazwiska... Nie zaznał tego uczucia, którym mogła cieszyć się w tej chwili. W jakiś sposób Tana chciała mu to wynagrodzić. Jean patrzyła na nią z zachwytem i nie ukrywaną radością. Powrót do domu okazał się całkiem przyjemny.

- Widziałam twoje torby. Gdzie poszłaś?

- Pojechałam do miasta zobaczyć się ze znajomym. Myślałam, że będziesz jeszcze przez jakiś czas w pracy.

- Wyszłam dzisiaj wcześniej, żeby cię przywitać.

- Przepraszam, mammo.

- Z kim się spotkałaś?

Jean zawsze lubiła wiedzieć, z kim się umawiała i co robiła. Ale Tana odzwyczaiła się już od takich pytań i upłynęła chwila milczenia, zanim odpowiedziała z uśmiechem.

- Z Harrym Winslowem w Pierre. Nie wiem czy go jeszcze pamiętasz.

- Oczywiście, że pamiętam. - Oczy Jean ożywiły się. - Więc jest w mieście.

- Tak, ma tu mieszkanie.

Głos Tany był bardzo cichy. Jean ogarnęły mieszane uczucia. Z jednej strony był wystarczająco dojrzały, dobrze sytuowany, miał własne mieszkanie, ale z drugiej tkwiło w tym niebezpieczeństwo.

- Byłaś z nim sama?

Jean była zaniepokojona.

Tym razem Tana roześmiała się.

- Pewnie. Jedliśmy hamburgera i oglądaliśmy telewizję. Nie było żadnego niebezpieczeństwa, mammo.

- Mimo wszystko... uważam, że nie powinnaś. Tana zmieniła się na twarzy, kiedy matka na nią spojrzała badawczo.

- Mammo, on jest moim przyjacielem.

- Jest także młodym mężczyzną i nigdy nie wiadomo, co się w takiej sytuacji może wydarzyć.

- Wiem.

Jej oczy były zimne jak lód. Znała taką sytuację aż za dobrze. Tylko że to miało miejsce w domu drogiego Billy'ego Durninga, w sypialni jego ojca, z setką innych pętek piętro niżej.

- Wiem, komu mogę zaufać.

- Jesteś zbyt młoda, żeby móc oceniać takie sprawy, Tan.

- Nie, nie jestem.

Twarz Tany była teraz jak skała. Billy Durning zmienił jej całe życie. Wiedziała wszystko o niebezpieczeństwie. Jeśli obawiała się Harry'ego, nigdy nie pojechałaby do niego do hotelu i nie siedziałaby tam razem z nim. Instynktownie wyczuwała, że jest jej przyjacielem i nie skrzywdzi jej, w przeciwieństwie do syna kochanka jej matki.

- Harry i ja jesteśmy przyjaciółmi.

- Jesteś naiwna. Nie istnieje coś takiego między dziewczyną a chłopakiem, Tan. Kobiety i mężczyźni nie mogą być przyjaciółmi.

Oczy Tany otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Nie mogła uwierzyć, że słyszy te słowa od własnej matki.

- Jak możesz coś takiego mówić, mammo?

- Wiem, że to prawda. I jeśli zaprasza cię do hotelu, ma na pewno coś innego na myśli, bez względu na to, czy to dostrzegasz czy nie. Być może po prostu czeka na odpowiednią chwilę.

Uśmiechnęła się.

- Czy nie sądzisz, że ma wobec ciebie poważne zamiary, Tan?

- Poważne? - Tana zrobiła taką minę, jakby za chwilę miała eksplodować. - Poważne? Powiedziałam ci przed chwilą, że jesteśmy przyjaciółmi.

- A ja ci mówię, że w to nie wierzę. - W jej uśmiechu było coś aluzyjnego. - Wiesz Tan, niejeden mężczyzna chciałby być twoim wybrankiem.

Ale Tana nie mogła już dłużej tego znieść. Wstała gwałtownie i spojrzała na matkę

z góry z wściekłością.

- Mówisz o nim tak, jakby był rybą. Do diabła, nie mam zamiaru złapać go na przynętę. Nie chcę wyjść za męża. Nie chcę iść z nikim do łóżka. Chcę tylko mieć przyjaciół i chodzić do szkoły. Czy możesz to zrozumieć?

Oczy jednej i drugiej pełne były łez.

- Dlaczego robisz się taka agresywna? Nigdy taka nie byłaś, Tan.

Głos Jean był tak smutny, że rozdzierał serce Tany, ale nie mogła już cofnąć tego, co powiedziała.

- A ty nigdy mnie tak nie przyciskałaś do muru.

- Czy ja cię przyciskam do muru? - Była zaskoczona. - Nawet cię nie widuję.

Przyjechałaś dwa razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Czy to tak dużo?

- To świąteczne przyjęcie było wymuszone. To, co powiedziałaś przed chwilą o Harrym, o łapaniu na przynętę, ustabilizowaniu się, wyjściu za męża jest wywieraniem nacisku. Na miłość boską, mam, mam dopiero osiemnaście lat!

- Masz prawie dziewiętnaście. I co dalej? Kiedy masz zamiar o tym mówić, Tan?

- Nie wiem, mam. Może nigdy. I co z tego? A może w ogóle nie wyjdę za męża.

Dlaczego nie? Jeśli będę z tym szczęśliwa, to czego mi więcej trzeba? Kogo to obchodzi?

- Mnie obchodzi. Chcę zobaczyć cię szczęśliwą u boku przyzwoitego mężczyzny, z gromadką miłych dzieci w waszym własnym domu...

Jean płakała już otwarcie. To było to, czego zawsze sama pragnęła..., a teraz, była samotna..., kilka nocy w tygodniu spędzanych z mężczyzną, którego kochała, córka, której już prawie nie widywała... Pochyliła głowę i pociągnęła nosem. Tana podeszła i objęła ją.

- Mam, przestań już... Wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej... ale pozwól mi samej wybrać to, co dla mnie dobre. Poczula na sobie spojrzenie wielkich, smutnych oczu matki.

- Czy zdajesz sobie sprawę, kim jest Harry Winslow?

Głos Tany był teraz łagodny. - Tak. Jest moim przyjacielem.

- Jego ojciec jest jednym z najbogatszych ludzi w Stanach Zjednoczonych. Przy nim nawet Artur Durning jest biedakiem. Artur Durning. Miarka do wszystkiego w życiu Jean.

- I co z tego?

- Czy wiesz, jakie mogłabyś ułożyć sobie z nim życie?

Tana spojrzała na nią z ubolewaniem. Ubolewała także nad sobą. Matka nie rozumiała jej, inaczej pojmowała życie. Ale z drugiej strony tyle jej zawdzięcza. Jean poświęciła dla niej wszystko. Mimo to, podczas dwóch tygodni pobytu w Nowym Jorku Tana nie widywała matki zbyt często. Spotykała się za to z Harrym prawie codziennie, nie przyznając się jej do tego. Nadal kipiała ze złości wspominając słowa Jean. „Czy zdajesz sobie sprawę, kim on jest?” Tak jakby to miało jakieś zasadnicze znaczenie. Zastanawiała się, ilu jeszcze ludzi myślało o nim w ten sposób. To było przerażające, że można być ocenianym wyłącznie ze względu na słynne nazwisko.

Któregoś dnia, kiedy wybrała się z Harrym na piknik do Central Parku, zapytała go o to.

- Czy to cię wkurza Harry? Czy ludzie często chcą cię poznać z powodu twojego nazwiska?

Ta myśl nadal ją przerażała, ale on tylko wzruszył ramionami i gryzł dalej swoje jabłko, leżąc na trawie.

- Tacy chyba są po prostu ludzie. To im daje dreszczyk emocji. Zawsze tak było z moim ojcem.

- Czy on to zauważa?

- Myślę, że nie dba o to. - Harry uśmiechnął się do niej. - On jest niewrażliwy. Myślę, że w ogóle nie zna słowa „uczucie”. Tana patrzyła Harry'emu prosto w oczy.

- Czy naprawdę jest aż tak zły?

- Jeszcze gorszy.

- Więc dlaczego ty jesteś taki miły?

Roześmiał się. - Miałem po prostu szczęście. Albo może mam więcej genów matki.

- Pamiętasz ją jeszcze? - Po raz pierwszy zapytała go o to. Patrzył gdzieś daleko w przestrzeń.

- Czasami... jakieś fragmenty... Nie wiem, Tan. - Spojrzał teraz na nią. - Kiedy byłem mały, udawałem przed innymi dziećmi, że ona żyje. Mówiłem, że pojechała na zakupy albo jeszcze gdzieś indziej. Nie chciałem być inny niż wszyscy. Ale one zawsze dowiadywały się prawdy od swoich matek. Uważały mnie za dziwaka, ale ja miałem to gdzieś. Miło było, choć przez parę godzin, czuć się jak każdy inny normalny dzieciak. Mówić o niej, jakby wyszła gdzieś na chwilę... czy była na górze...

Tan zobaczyła w jego oczach łzy, a wtedy on spojrzał na nią z jakąś złośliwością.

- Ale to głupota, rozczulać się nad matką, której nigdy nie znałem, prawda?

Tana przemówiła do niego całym swoim sercem, ciepłym, łagodnym głosem.

- Na twoim miejscu zachowywałabym się dokładnie tak samo. Wzruszył ramionami i odwrócił spojrzenie. Później poszli na spacer i rozmawiali o różnych innych sprawach, Freemanie Blake'u, Sharon, zajęciach Tany w Green Hill. Nagle ni stąd, ni zowąd Harry wziął ją za rękę.

- Dziękuję ci za to, co powiedziałaś wtedy. Wiedziała od razu, o co mu chodzi. Rozumieli się niemal bez słów od momentu, kiedy się poznali.

- Nie ma sprawy.

Uścisnęła jego dłoń i spacerowali dalej. Z zaskoczeniem odkryła, że w jego towarzystwie czuje się wspaniale. Do niczego jej nie zmuszał, nie pytał już więcej, dlaczego nie umawia się z chłopakami. Zaakceptował ją taką, jaka była, i za to była mu wdzięczna. Lubiła jego poczucie humoru i sposób, w jaki patrzył na życie. Doskonale czuła się w jego towarzystwie. To było wspaniale móc się podzielić z kimś swoimi myślami.

Okazało się, że łączy ich bardzo wiele, takie same uczucia i opinie na mnóstwo tematów. Doceniła jego brak, kiedy wróciła do Green Hill. Gdy spotkała się znowu z Sharon, przyjaciółka zachowywała się zupełnie inaczej. Jakby była zupełnie inną osobą. Wszystkie jej umiarkowane polityczne opinie gdzieś zniknęły. Podczas ferii chodziła z matką na różne demonstracje i pochody protestacyjne, seminaria, wykłady; stała się taką

samą maniaczką, jak Miriam Blake. Tana nie mogła uwierzyć w tę przemianę i wreszcie, po dwóch dniach, kiedy musiała wysłuchiwać bez przerwy jej wynurzeń, nie wytrzymała. Zwróciła się do Sharon prawie krzyżąc na nią.

- Na miłość boską, Sharon, co się z tobą stało? Od kiedy wróciliśmy tutaj, nasz pokój rozbrzmiewa protestacyjnymi hasłami i sloganami. Czuję się jak w ulu. Zejdź już z mównicy. Co się z tobą, do diabła, dzieje?

Sharon siedziała i patrzyła na nią bez ruchu, nagle z jej oczu potoczyły się łzy, pochyliła głowę i załkała. Jej ciałem wstrząsała rozpacz i tragedia. Upłynęło co najmniej pół godziny, zanim zdołała wykrzesać z siebie jakieś słowo. Tana patrzyła na nią przerażona. Stało się coś strasznego, ktoś skrzywdził jej przyjaciółkę, ale nie sposób było wydobyć z niej prawdę w tej chwili. Objęła ją i kołysała, starała się ją jakoś uspokoić. Wreszcie po dłuższej chwili Sharon zaczęła mówić, a Tana zamarła z niepokoju.

- W przeddzień Wielkiej Nocy zabili Dicka, Tan... zamordowali go... miał tylko piętnaście lat... powiesili go...

Tanie zrobiło się słabo. To niemożliwe. To nie mogło się przydarzyć komuś, kogo znała... czarnym... nikomu nie powinno... ale kiedy widziała twarz Sharon, musiała w to uwierzyć. Zadzwoiła tego wieczoru do Harry'ego i wyłakała mu się przez telefon.

- O, mój Boże... Słyszałem w szkole, że zabito syna jakiegoś ważnego czarnego, ale nie załapałem, że... o, cholera... Był bratem Sharon i w dodatku jeszcze dzieckiem.

- Tak.- Serce ciążyło jej jakby było z ołowiu. Kiedy kilka dni później zadzwoniła do niej matka, nadal była jeszcze przygnębiona.

- Co się stało, kochanie? Czy pokłóciłaś się z Harrym?

Matka próbowała nowej taktyki. Udawała, że Tana i Harry mają romans i miała nadzieję, że to chwyci. Tana jednak nie miała tym razem do niej cierpliwości i od razu odparowała.

- Brat mojej przyjaciółki, z którą mieszkam nie żyje.

- Och, to straszne... - Jean zmartwiła się. - Czy zginął w wypadku?

Zapadła dłuższa cisza, a Tana ważyła w myśli słowa... Nie, mamó, został powieszony, bo widzisz, on był czarny...

- Coś w tym rodzaju. - Odpowiedziała z wysiłkiem. Śmierć chyba zawsze była wypadkiem. Czy ktokolwiek jej oczekuje?

- Przekaż jej ode mnie wyrazy współczucia. Czy to ta rodzina, z którą spędziłaś Święto Dziękczynienia?

- Tak. - Głos Tany był obojętny i jakby martwy.

- To straszne.

Tana nie mogła już z nią rozmawiać. - Muszę już kończyć mamó.

- Zadzwoń do mnie za kilka dni.

- Postaram się.

Rozłączyła się i odłożyła słuchawkę. Nie chciała z nikim o tym rozmawiać, ale z Sharon gadały znowu do późna w nocy. Nagle całe życie Sharon zmieniło się. Skontaktowała się nawet z miejscowym kościołem dla czarnych i przez całą wiosnę pomagała organizować weekendowe spotkania.

- Czy uważasz, że to twój obowiązek, Shar? Sharon była zdenerwowana.

- Czy jest jakiś inny wybór? Nie wydaje mi się.

Została zraniona do głębi i narastało w niej uczucie wściekłości. Tego pożaru nie mogła opanować żadna miłość. Zabili małego chłopca, z którym się wychowywała... zawsze był taki w gorącej wodzie kapany... Którejś nocy, kiedy rozmawiały o nim, Sharon śmiała się przez łzy.

- Był dokładnie taki jak matka, a teraz... teraz...

Połykała gorące łzy i łkała w poduszkę. Tana usiadła na brzegu jej łóżka. I tak to wyglądało co wieczór. Opowiadała o demonstracjach gdzieś na Południu, o kościelnych spotkaniach, doktorze Martinie Lutherze Kingu. Była jak w transie i zachowywała się, jakby sprawy uczelni w ogóle jej nie dotyczyły. Pod koniec semestru nagle poczuła się zagrożona. Przecież przez cały ten czas w ogóle się nie uczyła. Była bystrą dziewczyną, ale tym razem naprawdę obawiała się, że może oblać. Tana pomagała jej, kiedy tylko mogła. Dzieliła się notatkami, podkreślała jej w książkach najważniejsze informacje, ale nie miała wielkich nadziei, bo Sharon myślami błądziła gdzieś na kolejnym spotkaniu kościelnym w Yolan, zaplanowanym na przyszły tydzień. Ludzie z miasteczka już

dwukrotnie skarżyli się na nią dziekanowi Green Hill, ale ze względu na jej ojca, wezwano ją tylko na rozmowę i skończyło się tylko na upomnieniu. Rozumieli, jak się czuje po niefortunnym „wypadku” brata, ale powinna się zachowywać rozsądnie, i nie życzyli sobie, żeby zakłócała spokój miasta.

- Lepiej daj sobie spokój, Shar. Jeśli nie przestaniesz, wyrzucą cię z budy.

Tana ostrzegała ją wielokrotnie, ale nie mogła nic zmienić.

Sharon dokonała już wyboru. To była jej misja. W przeddzień kolejnego spotkania w kościele w Yolán, przyjaciółka zwróciła się do Tany na chwilę przed zaśnięciem. W jej oczach było ogromne zdeterminowanie. Tana niemal przestraszyła się, patrząc na nią.

- Czy coś jest nie w porządku?

- Mam ogromną prośbę, ale jeśli odmówisz, nie będę miała do ciebie żalu.

Obiecuję. Zrobisz, jak uważasz. Rozumiemy się?

- W porządku. O co chodzi? - Tana modliła się, żeby nie kazała jej oszukiwać na teście egzaminacyjnym.

- Rozmawiałam dzisiaj z księdzem Clarkiem i stwierdziliśmy, że byłoby świetnie, gdyby na jutrzejszym spotkaniu w mieście byli również biali. Mamy zamiar wejść do kościoła dla białych.

- Do diabła. - Tana zaniemówiła z wrażenia, a Sharon zachichotała.

- No, właśnie. - Dziewczęta uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo. - Doktor Clarke powiedział, że rozejrzy się, kogo mógłby zaprosić,... a ja... no, nie wiem... może to błąd, ale chciałam poprosić ciebie. Jeśli nie chcesz, to naprawdę nie musisz.

- Ale przecież moja obecność w kościele dla białych wcale ich nie zaskoczy ani nie zdenerwuje. Jestem biała.

- Jeśli wejdiesz razem z nami, to nie będzie takie proste. Zostaniesz białym śmieciem albo czymś jeszcze gorszym. Jeśli staniesz między mną a księdzem Clarkiem albo jakimś innym czarnym i będziemy trzymać się za ręce... to zupełnie co innego, Tan.

- Tak - poczuła suchość w gardle, a serce zaczęło jej walić w popłochu. Chciała pomóc przyjaciółce. - Chyba mogę to sobie wyobrazić.

- I co o tym myślisz? - Sharon patrzyła jej prosto w oczy i Tana odwzajemniła jej

spojrzenie.

- Szczerze? Jestem przerażona.

- Ja też. Zawsze jestem. - Dodała łagodniej - Dick również był. Ale poszedł. I ja też pójdę. Będę robiła wszystko, co konieczne, do końca życia, albo przynajmniej do chwili, kiedy coś się wreszcie zmieni. To moja wojna, Tano, nie twoja. Jeśli przyłączysz się do nas, to tylko jako moja przyjaciółka. Jeżeli tego nie zrobisz, to i tak cię będę kochała.

- Dzięki. Czy mogę to sobie przemyśleć dziś wieczór? Wiedziała, że nie obędzie się bez konsekwencji w szkole, a nie chciałyby stracić stypendium na przyszły rok. Zadzwoiła do Harry'ego późno w nocy, ale nie zastała go. Obudziła się następnego dnia o świcie i myślała o tym, jak chodziła w dzieciństwie do kościoła i matka tłumaczyła jej, że w oczach Boga wszyscy ludzie są równi, biedni i bogaci, biali i czarni. Pomyślała też o Dicku, bracie Sharon, piętnastoletnim chłopcu, którego powieszono. Tana czekała już, aż Sharon zacznie się budzić nad ranem.

- Dobrze spałaś?

- Mniej więcej. - Usiadła na brzegu łóżka i przeciągnęła się.

- Wstajesz? - W oczach Sharon było pytanie, Tana uśmiechnęła się.

- Tak. Idziemy przecież dzisiaj do kościoła, pamiętasz? Sharon uśmiechnęła się szeroko. Wskoczyła z łóżka, uściskała ją i ucałowała ze zwycięskim uśmiechem na ustach.

- Tak się cieszę, Tan.

- Ja nie wiem, czy się cieszę, ale myślę, że to, co chcesz zrobić, jest słuszne.

- Wiem o tym.

Czekała ich długa, krwawa walka i Sharon była zdecydowana ją podjąć, a Tana tym razem będzie przy niej. Włożyła na siebie prostą, bawełnianą sukienkę, w błękitnym kolorze nieba, włosy związała w kucyk i wsunęła pantofle. Dotarły do miasta razem, ramię w ramię.

- Idziecie do kościoła, dziewczęta? - zapytała opiekunka domu z uśmiechem, a one obie odpowiedziały twierdząco. Wiedziały, że ma na myśli różne kościoły, ale Tana poszła do czarnego kościoła razem z Sharon. Tam spotkały doktora Clarka i niewielki

tłumek dziewięćdziesięciu pięciu czarnych i jedenastu białych. Powiedziano im, że mają być cicho i zachowywać się spokojnie, uśmiechać się, jeśli będzie ku temu odpowiednia chwila, ale nie w taki sposób, żeby kogoś sprowokować. Przede wszystkim jednak mają się nie odzywać, bez względu na to, co usłyszą. Mieli trzymać się za ręce i wejść do kościoła spokojnie i z szacunkiem, w pięcioosobowych grupach. Sharon i Tana miały trzymać się razem. Była z nimi jeszcze jedna biała dziewczyna i dwóch czarnych mężczyzn. Obaj byli krzepcy i dobrze zbudowani. Po drodze do kościoła mówili, że pracują w młynie. Byli niewiele starsi od dziewcząt, ale obaj już żonaci, jeden z nich miał troje dzieci, a drugi czworo. Nie pytali Tany, dlaczego jest z nimi. Nazywali ją Siostrą. Przed wejściem do kościoła cała piątka wymieniła nerwowe uśmiechy. Po cichu weszli do środka. Był to mały kościół prezbiteriański, położony w mieszkalnej części miasta, wypełniony wiernymi w każdą niedzielę. W niedzielnej szkółce także było pełno. Kiedy zaczęło przybywać coraz więcej czarnych twarzy, wszystkie głowy zwróciły się w ich kierunku. Wszyscy byli kompletnie zaszokowani, organista przestał grać, jakaś kobieta zemdląła, inna zaczęła piszczeć. W jednej chwili rozpętało się piekło, ksiądz odprawiający mszę krzychał, ktoś pobiegł wezwać policję, i tylko doktor Clarke i jego ochotnicy pozostawali niewzruszeni, stali bezgłośnie jak czarna ściana, nikomu nie przeszkadzając. Ludzie nerwowo przestępowali z nogi na nogę, zaniepokojeni rzucali w ich stronę przekleństwa, mimo że byli przecież w kościele. Zaraz potem pojawił się niewielki oddział lokalnej policji. Ostatnio przeszkolono ich na wypadek niedzielnych zamieszek, które miały miejsce w mieście. Byli to głównie policjanci z patrolu drogowego. Zaczęli ich popychać i odsuwać, odciągając opierające się czarne ciała, które zachowywały się jakby nie potrafiły chodzić i pozwalały się ciągnąć. Nagle Tana zdała sobie sprawę, że to dzieje się naprawdę. Ona w tym uczestniczyła, to nie odbywało się gdzieś tam, nie była biernym obserwatorem, stała w samym środku wydarzeń, kiedy nagle dwóch ogromnych policjantów wyciągnęło po nią łapy i złapało ją pod ramiona, wymachując jej przed nosem pałkami.

- Powinnaś się wstydzić..., biała szmata!

Jej oczy były ogromne z przerażenia, kiedy ją ciągnęli i całe jej ciało chciało bić,

gryźć i kopać, myślała o Richardzie Blake'u i o tym, jak go zabito. Nie miała jednak odwagi się przeciwstawić. Wrzucili ją na ciężarówkę, tak jak większość ludzi z grupy doktora Clarka. Pół godziny później zdjęto jej odciski palców i wyładowała w więzieniu. Przez cały dzień siedziała w celi razem z piętnastoma innymi dziewczętami, wszystkie były czarne. Naprzeciwko widziała Sharon. Każdej z nich pozwolono na wykonanie jednego telefonu, a przynajmniej każdej białej. Czarni byli nadal „obrabiani” przez gliniarzy, a Sharon krzyknęła, żeby zadzwoniła do jej matki, i tak też zrobiła. Miriam przyjechała do Yolan o pomocy, uwolniła Sharon i Tanę, składając im gratulacje. Tana zauważyła, że wyglądała poważniej i było w niej jeszcze więcej zawziętości niż sześć miesięcy temu, ale była zadowolona z tego, co zrobili. Nie zmartwiła jej nawet wiadomość, którą Sharon przekazała jej następnego dnia. Została wyrzucona ze szkoły ze skutkiem natychmiastowym. Jej rzeczy były już spakowane przez opiekunkę Jaśminowego Domu. Poproszono ją, by opuściła kampus do południa. Tana była w szoku i wiedziała już, czego się spodziewać, kiedy wezwano ją do biura dziekana. Było dokładnie tak, jak myślała. Polecono jej, by opuściła szkołę. Nie dostanie stypendium na przyszły rok. Właściwie nie będzie w ogóle następnego roku. Tak jak w przypadku Sharon było już po wszystkim. Jediną różnicą było to, że mogła ewentualnie zostać na okres próbny od końca roku, co znaczyło, że mogłaby przynajmniej zdać końcowe egzaminy i zdawać do innej szkoły. Ale do jakiej? Po wyjeździe Sharon siedziała w swoim pokoju w stanie szoku. Sharon pojechała z matką do Waszyngtonu i zaczęły już rozmawiać o tym, że spędzi trochę czasu pracując jako ochotniczka dla doktora Kinga.

- Wiem, że tata będzie zły, że nie chodzę do szkoły, ale mówiąc szczerze, Tan, mam potąd szkoły po tym wszystkim. - Patrzyła z troską na Tanę. - Ale co będzie z tobą?

Była przerażona konsekwencjami, jakie poniosła jej przyjaciółka. Nigdy przedtem nie była aresztowana, mimo że padały takie groźby podczas poprzednich wystąpień w miasteczku. Nie przypuszczała jednak, że naprawdę do tego dojdzie.

- Może to wyjdzie mi tylko na dobre.

Tana starała się ją pocieszyć. Cały czas była zaskoczona rozwojem wypadków i siedziała samotnie w pustym pokoju. Okres próbny oznaczał dla niej samotne posiłki w

Jaśminowym Domu, samotne noce w pustym pokoju, unikanie imprez towarzyskich, włącznie z „otrzęsinami” studentów pierwszego roku. Była swego rodzaju pariasem, ale z drugiej strony wiedziała, że do końca roku szkolnego zostały tylko trzy tygodnie.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że, tak jak obiecali, zawiadomili Jean.

Zadzwoiła, cała rozhisteryzowana jeszcze tej samej nocy, łkając do słuchawki.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ta mała dziwka była czarna?

- Czy to ma znaczenie, jaki kto ma kolor? Jest moją najlepszą przyjaciółką.

Oczy Tany wypełniły się łzami i emocje ostatnich dni dały znać o sobie. Wszyscy w szkole patrzyli na nią tak, jakby kogoś zabiła. A Sharon była już tak daleko. Tana nie wiedziała, do jakiej szkoły ma pójść w przyszłym roku, a matka krzyczała na nią tak, jakby miała pięć lat, i powtarzała jej, że jest bardzo niegrzeczną dziewczynką, tylko nie wiadomo, dlaczego.

- To nazywasz przyjaźnią? - Jej matka zaśmiała się sarkastycznie przez łzy. - Kosztowało cię to stypendium i wyrzucenie ze szkoły. I myślisz, że po tym wszystkim przyjmą cię gdziekolwiek indziej?

- Oczywiście, że tak, ty mały wariacie. - Harry zapewniał ją, pomiędzy jednym jej chlipnięciem, a drugim. - Do diabła, na uniwersytecie w Bostonie studiują całe tryliony radykałów.

- Ale ja nie jestem radykałem. - Rozpłakała się jeszcze bardziej.

- Wiem. Poszłaś tylko na jedno małe spotkanie, na litość boską. To twoja wina, że wybrałaś tę konserwatywną, pruderyjną budę. Tak naprawdę, ty nawet nie żyjesz w prawdziwym, cywilizowanym świecie. Dlaczego, do diabła, nie przyjedziesz do szkoły tutaj?

- Myślisz, że naprawdę miałabym szansę się dostać?

- Chyba żartujesz, z twoimi ocenami? Poproszą cię, żebyś u nas wykladała.

- Mówisz tak tylko, żeby poprawić mi nastrój. - Znowu zaczęła płakać.

- Strasznie przynudzasz, Tan. Wyślij mi po prostu swoje podanie i zobaczymy, co będzie dalej, dobrze?

I stało się. Ku swojemu własnemu zaskoczeniu i rozczarowaniu matki, została

przyjęta.

- Uniwersytet w Bostonie? Co to za uczelnia?

- Jedna z najlepszych w kraju; dali mi stypendium.

Harry osobiście złożył jej podanie i wstawił się za nią, co było trochę zwariowanym pomysłem, ale wzruszył ją swoim zaangażowaniem. Do pierwszego lipca wszystko było załatwione. Jesienią zaczynała studia na uniwersytecie w Bostonie.

Ciągle była w jakimś odrętwieniu spowodowanym wydarzeniami sprzed dwóch miesięcy, a matka nadal próbowała walczyć z nią o jej przyszłość.

- Myślę, że powinnaś znaleźć sobie prace, Tan. Nie możesz całego życia spędzić w szkole.

Tana spojrzała na nią przerażona. - Może jeszcze chociaż trzy lata, zanim dostanę dyplom?

- I co potem? Co zrobisz potem, Tano? Co takiego zrobisz po skończeniu szkoły, czego nie mogłabyś zrobić teraz?

- Znajdę dobrą pracę.

- Mogłabyś już teraz zacząć pracować w Durning International. Rozmawiałam w zeszłym tygodniu z Arturem...

Stało się już prawie zwyczajem, że na koniec takiej rozmowy Tana krzyczała na matkę, ale ona nie mogła jej zupełnie zrozumieć.

- Na litość boską, mamo, czy masz zamiar potępiać mnie do końca życia?

- Potępiać! Potępiać ciebie! Jak śmiesz mówić coś takiego? Zostałaś aresztowana, wyrzucili cię ze szkoły i ty mi mówisz, że masz prawo do swojego życia. Masz szczęście, że ktoś taki, jak Artur Durning w ogóle zechciałby cię zatrudnić.

- To on ma szczęście, że nie pozwalałam do sądu jego syna w zeszłym roku! - Te słowa wyrwały się z ust Tany, zanim zdołała je powstrzymać, i Jean Roberts spojrzała na nią twardo.

- Jak śmiesz tak mówić?

Jej głos był teraz cichy i smutny. - To prawda, mamo. Odwróciła się tyłem do Tany, uciekając przed jej spojrzeniem, nie chcąc tego słyszeć.

- Nie chcę słyszeć tych kłamstw.

Tana cicho wyszła z pokoju. Kilka dni później wyjechała.

Pojechała do Harry'ego, by spędzić z nim trochę czasu w rezydencji ojca w Cape Cod. Grali tam w tenisa, żeglowali, pływali. Odwiedzali jego przyjaciół i ani przez chwilę nie czuła się przez niego napastowana. Ich związek był całkowicie platoniczny, przynajmniej z jej strony, i bardzo jej to odpowiadało. Harry traktował to trochę inaczej, ale trzymał swoje uczucia w sekrecie. Napisała kilka listów do Sharon, ale w odpowiedzi dostała, krótkie, nabazgrane w pośpiechu kartki. Sharon pisała, że jeszcze nigdy w życiu nie była tak zajęta i szczęśliwa. Jej matka miała rację. Praca dla doktora Kinga była wspaniała. To niesamowite, jak bardzo ich losy zmieniły się w ciągu jednego krótkiego roku.

Kiedy Tana rozpoczęła nowy rok akademicki na uniwersytecie bostońskim, nie mogła się nadziwić, jak bardzo różnił się od Green Hill- Był taki otwarty, interesujący i awangardowy. Podobało jej się, że w klasie byli także chłopcy. Ciągłe poruszano jakieś ciekawe problemy. Miała też bardzo dobre wyniki w nauce.

Jean w głębi duszy była z niej bardzo dumna, mimo że skończyły się czasy, kiedy mogły znaleźć ze sobą wspólny język. Pocieszała się, że to minie. Przed zakończeniem pierwszego roku studiów Tan na uniwersytecie w Bostonie Ann Durning miała ponownie wyjść za mąż. W kościele chrześcijańsko-episkopalnym w Greenwich, w Connecticut miał odbyć się uroczysty ślub, a huczne wesele, zorganizowane przez Jean, miano wyprawić w domu Durningów. W biurze Jean biurko było zavalone listami, zdjęciami, wykazami dostawców, a Ann dzwoniła co najmniej czternaście razy dziennie. Jeane żyła w takim podnieceniu, jakby to jej własna córka wychodziła za mąż; po czternastu latach, w czasie których była kochanką i prawą ręką Artura Durninga, traktowała jego dzieci jak swoje własne. Pan młody był wspaniałym, trzydziestodwuletnim mężczyzną; rozwodnik i współwłaściciel firmy adwokackiej w Nowym Jorku, spółki Sherman i Sterling. Z tego, co słyszała Jean, jego kariera adwokacka zapowiadała się obiecująco. Miał też mnóstwo pieniędzy. Artur był także zadowolony z tego związku i podarował Jean piękną, złotą bransoletę od Cartiera w dowód wdzięczności za całą jej pracę przy organizowaniu

wspaniałego wesela córki.

- Wiesz, jesteś naprawdę cudowną kobietą.

Siedział w jej salonie, popijając szkocką. Przyglądał się jej, rozmyślając, dlaczego nigdy się z nią nie ożenił. Przez moment miał nawet na to ochotę, ale właściwie był całkiem zadowolony z takiego układu. Przyzwyczyił się do tego.

- Dziękuję Arturze.

Podawała mu małą tackę z przystawkami, które lubił najbardziej, łososia z Nowej Szkocji na cienkich plasterkach norweskiego pumpernikla, małe kuleczki z tatarą na białych tostach, tłuczone orzechy, które zawsze trzymała w domu, na wszelki wypadek, gdyby miał ochotę do niej wpaść. Miała też w zapasie jego ulubioną szkocką, ulubione ciasteczka... mydło... wodę kolońską... wszystko to, co lubił. Teraz kiedy Tana wyjechała, było jej łatwiej być zawsze w gotowości na jego wizytę. Z jednej strony to lepiej wpływało na ich związek, a z drugiej - wręcz przeciwnie. Miała teraz więcej czasu, mogła się z nim częściej spotykać, czekać na jego przypadkowe wizyty. Ale kiedy nie było Tany, bardziej doskwierała jej samotność i częściej go potrzebowała. Tęskniła za nim, była spragniona jego towarzystwa, zwłaszcza gdy często musiała czekać dwa tygodnie, żeby go znaleźć w swoim łóżku. Wiedziała, że powinna być mu wdzięczna za to, że w ogóle do niej przychodzi. Bardzo ułatwiał jej życie, ale ona pragnęła o wiele więcej, zawsze chciała czegoś więcej, odkąd się poznali.

- Tana przyjedzie na wesele, prawda?

Miał usta pełne tatarą. Ona starała się nie dać po sobie poznać zakłopotania. Dzwoniła do Tany w tej sprawie kilka dni temu. Nie odpowiedziała na zaproszenie Ann i Jean upominała ją, mówiąc że to niegrzeczne z jej strony. Powiedziała, że maniery, których nabrała na tym bostońskim uniwersytecie, nie są widać zbyt dobre, co oczywiście nie poprawiło nastawienia Tany.

- Odpowiem na nie, jak tylko będę miała trochę czasu, mam. Teraz mam ważne egzaminy. Dostałam to zaproszenie dopiero w zeszłym tygodniu, więc mam jeszcze czas.

- Odpowiedź zajmie ci najwyżej minutę. Jej ton denerwował Tan jak zwykle, więc

odpowiedziała zimno. - Dobrze. Więc odpowiedz jej „nie”.

- Nic takiego nie zrobię. Sama odpowiesz na to zaproszenie. I uważam, że powinnaś przyjechać na ten ślub.

- Twoja opinia na ten temat nie jest dla mnie specjalną niespodzianką. Jeszcze jedno zadanie wykonane na rozkaz klanu Durningów. Kiedy wreszcie odpowiemy im „nie”? - Do tej pory na wspomnienie twarzy Billy'ego dostawała drgawek. - Zresztą i tak nie mam na to czasu.

- Mogłabyś postarać się, choćby ze względu na mnie.

- Powiedz im, że nie masz nade mną kontroli. Że jestem niemożliwa i właśnie udało mi się na wspinaczkę na Mount Everest. Powiedz im, do diabła, co chcesz!

- Więc naprawdę nie przyjedziesz? - Jean zapytała z niedowierzaniem, jakby to nie mogło być prawdą.

- Nie zastanawiałam się nad tym do tej pory, ale skoro już o to pytasz, to raczej nie.

Wiedziałam.

O, Jezu... słuchaj, nie lubię ani Ann, ani Billy'ego. Zapamiętaj to sobie. Nie lubię Ann i nienawidzę Billy'ego. Artur jest twoim kochankiem, wybacznój język. Dlaczego musisz mnie w to wciągać? Jestem już dorosła, oni także. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

To jej ślub i chciałyby cię na nim zobaczyć.

- Bzdura. Zaprasza, pewnie wszystkich, których zna, a mnie zaprasza ze względu na ciebie.

- To nieprawda.

Obie wiedziały, że taka jest prawda. A opór Tany z upływem czasu stawał się coraz silniejszy. Częściowo był to niewątpliwie wpływ Harry'ego. Miał określone poglądy na pewne sprawy i często odkrywała, że zgadzają się one z jej opinią. Dzięki niemu zaczęła zastanawiać się nad swoimi uczuciami i spojrzeniem na różne sprawy. Stali się sobie tak bliscy jak nigdy dotąd. Miał też rację, jeśli chodzi o BU. Przeprowadzka do Bostonu dobrze jej zrobiła. Czuła się tu znacznie lepiej niż w Green Hill. I w dziwny sposób podczas ostatniego roku dojrzała znacznie szybciej niż w poprzednich latach.

Miała już prawie dwadzieścia lat.

- Tano, nie mogę po prostu zrozumieć, dlaczego tak się zachowujesz. - Znowu rozmawiały o tym ślubie, matka doprowadzała ją do szału.

- Mamo, czy nie możemy mówić o czymś innym? Jak się czujesz?

- Czuję się dobrze, ale chciałabym, żebyś się nad tym jeszcze zastanowiła...

- Dobrze! - Wrzasnęła na koniec do telefonu. - Zastanowię się. Czy mogę zaprosić osobę towarzyszącą? - Może w towarzystwie Harry'ego byłoby jej łatwiej to znieść.

- Spodziewałam się tego. Może byście wzięli przykład z Ann Johna i wreszcie się zaręczyli?

- Nie, nie zrobimy tego, ponieważ się nie kochamy. To jest najważniejszy powód.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Fakty bywają dziwniejsze niż fikcja, mamo. - Rozmowy z matką denerwowały ją, próbowała to wyjaśnić Harry'emu następnego dnia. - To tak, jakby cały dzień planowała, co ma mi powiedzieć, żeby wyprowadzić mnie z równowagi. Zawsze trafia w dziesiątkę. Za każdym razem wbija mi szpilę prosto w serce.

- Mój ojciec też jest w tym mistrzem. To jest podstawowy warunek.

- Czego?

- Zostania rodzicem. Musisz zdać egzamin. Jeśli nie jesteś wystarczająco irytujący, ćwiczysz tak długo, aż ci się uda. Potem kiedy urodzi się dziecko, rodzice co kilka lat powtarzają egzamin by po piętnastu, czy dwudziestu latach zostać mistrzem nękania dzieci.

Tana patrzyła na niego rozbawiona tym pomysłem. Był teraz nawet przystojniejszy niż wtedy, kiedy się poznali. Dziewczęta szalały za nim. Ciągłe kręciło się przy nim z pół tuzina chętnych, ale on zawsze znajdował dla niej czas. Ona była na pierwszym miejscu. Była jego przyjaciółką, a właściwie kimś znacznie ważniejszym, ale Tana tego nie rozumiała.

- Ty będziesz przy mnie jeszcze bardzo długo, a ich nie będzie już za tydzień.

Nie traktował tych dziewcząt poważnie, bez względu na to, co one myślały o nim. Nikogo nie oszukiwał, starał się żadnej z nich nie skrzywdzić, bardzo zwracał uwagę na

antykoncepcję.

- Żadnych niespodzianek, o nie dziękuję. Nie ze mną Tan. Życie jest zbyt krótkie i dosyć w nim krzywdy i bez mojego udziału.

Nie robił nikomu poważnych propozycji. Harry Winslow chciał się dobrze bawić i nic więcej. Żadnych miłosnych wyznań, obrączek ślubnych, maślanych oczu. Tylko trochę śmiechu, mnóstwo piwa i zabawa, jeśli się uda, także w łóżku. Jego serce było już zajęte, trzymał to jednak w tajemnicy. Pozostałe interesujące części ciała były jak najbardziej do dyspozycji.

- Czy one nie chciałyby czegoś więcej?

- Oczywiście, że tak. Mają takie same matki jak twoja. Tylko, że one są im znacznie bardziej posłuszne. Pragną jak najszybciej wyjść za mąż i rzucić wreszcie szkołę. Ale ja mówię otwarcie, żeby na mnie nie liczyły. Jeśli nawet nie wierzą, to wkrótce same się o tym przekonują.

Zachichotał wesoło, a Tana roześmiała się także. Wiedziała, że dziewczęta padają jak muchy pod jego spojrzeniem. Nie rozstawała się z Harrym już od roku i wszystkie koleżanki strasznie jej tego zazdrościły. Nie wierzyły, że nic między nimi nie było. Były zaintrygowane tym związkiem tak samo jak jej matka. Jednak ich przyjaźń pozostawała czysta i platoniczna. Harry rozumiał ją i nie śmiałyby przekroczyć ściany, jaką zbudowała wokół spraw seksu. Raz czy dwa próbował wyswatać ją z którymś ze swoich znajomych, tylko na zasadzie podwójnej randki, ale nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Jego współlokator zapytał go nawet, czy ona nie jest przypadkiem lesbijką, ale zapewnił go, że tak nie jest. Domyślał się, że przeszła w przeszłości jakiś koszmar i nie chce o tym mówić. Zgadzał się na to. Umawiała się z Harrym, ze znajomymi z BU albo wychodziła sama, ale w jej życiu nie było mężczyzny, nie w sensie uczuciowym. Nigdy. Był tego pewien.

- Do diabła, marnujesz się mała. - Starał się porozmawiać z nią o tym, nawet w formie żartu, ale zawsze go zbywała.

- Ty za to wyrabiasz normę za mnie i za siebie.

- Ale ty nie masz z tego żadnej przyjemności. Śmiała się. - Zostawiam to sobie na

noc poślubną.

- Cóż za szlachetny cel.

Złożył przed nią niski ukłon i oboje się śmiali z tego. Studenci z Harvardu i BU przyzwyczaili się już do widoku tej dziwnej pary. Byli wielokrotnie świadkami ich kłótni, wygłupów, dowcipów, jakie robili sobie i innym znajomym. Harry kupił rower tandem na wyprzedzaży garażowej i jeździli nim po całym Cambridge. Zimą Harry paradował w wielkiej czapie z futra szopa, a kiedy było ciepło, w słomkowym kapeluszu.

- Chcesz pojechać ze mną na ślub Ann Durning? Dzień po nieprzyjemnej rozmowie z matką, kręcili się po parku wokół Harvardu.

- Niespecjalnie. Czy zanosisz się na niezłą zabawę?

- Wręcz przeciwnie. - Tana uśmiechnęła się niewinnie. - Moja matka uważa, że powinnam tam pojechać.

- Na pewno spodziewałaś się tego.

- Uważa także, że powinniśmy się zaręczyć. Popieram to.

Dobrze. Więc połączmy te dwie uroczystości. Ale tak na serio, chciałbyś pojechać?

- Dlaczego?

W jej oczach był jakiś lęk i zastanawiał się, o co tu mogło chodzić. Znał ją dobrze, ale od czasu do czasu czuł, że ukrywała coś przed nim i niezbyt dobrze jej to wychodziło.

- Nie chcę jechać sama. Nie lubię żadnego z nich. Ann jest zupełnie zepsuta i rozpuszczoną małą dziewczynką. To już drugie jej małżeństwo, ale tym razem tatusiowi bardzo na tym zależy. Chyba wreszcie dobrze wybrała.

- Co to znaczy?

- A jak myślisz? To znaczy, że ten facet, za którego wychodzi, ma kasę.

- Och, ile w tym uczucia. - Harry uśmiechnął się do niej niewinnie i Tana roześmiała się.

- Dobrze wiedzieć, jakie ludzie mają w życiu wartości, prawda? W każdym razie, ślub jest zaraz po zakończeniu roku szkolnego, w Connecticut.

- Wybierałem się akurat w tym samym tygodniu do południowej Francji, Tan, ale

jeśli ci na tym zależy, to opóźnię wyjazd o kilka dni.

- To nie będzie dla ciebie zbyt duży kłopot, prawda?

- Będzie. - Uśmiechnął się do niej szczerze. - Ale dla ciebie zrobię wszystko. -

Uklonił się nisko, a ona śmiała się, więc klepnął ją po przyjacielsku i wsiedli znowu na rower. Odwiózł ją do bramy BU. Tego wieczoru miał ważną randkę. Zainwestował w tę dziewczynę już cztery kolacje i liczył na to, że wreszcie dostanie coś w zamian.

- Jak możesz tak mówić! - Tana skarciła go ze śmiechem, kiedy stali u wejścia do jej uczelni.

- Nie mogę jej ciągle dokarmiać, na litość boską, bez żadnej przyjemności w zamian. Poza tym zajada te ogromne steki z odwołkiem homara. Moje dochody topnieją w jej przepastnym żołądku, ale... - uśmiechnął się myśląc o jej piersiach. - -Opowiem ci, jak mi się powiodło.

- Nie bardzo mnie to interesuje.

- Rzeczywiście... te dziewicze uszy... och, naprawdę... Pomachał jej uciekając na rowerze.

Tego wieczoru napisała list do Sharon i umyła włosy. Następnego dnia spotkała się z Harrym, żeby coś razem przekąsić w ciągu dnia. Nie udało mu się z tą dziewczyną. „Żarłok” jak ją nazywał, wtrząchnęła nie tylko swój stek, ale pożarła także obydwa homary, po czym oświadczyła, że nie czuje się najlepiej i chciałaby wrócić do domu, bo musi się uczyć. Nie zyskał nic poza ogromnym rachunkiem w restauracji i spokojnym, długim snem w pustym łóżku.

To już koniec, jeśli chodzi o nią. Chryste, jakie ciężkie nastały czasy. Tyle się człowiek musi napracować, żeby się z kimś przespać.

Ale Tana wiedziała, że najczęściej dopina swego i dokuczała mu na ten temat przez całą drogę do Nowego Jorku. Podrzucił ją do mieszkania matki, a sam pojechał do hotelu Pierre. Kiedy przyjechał po nią następnego dnia, by razem udać się na ten ślub, musiała przyznać, że wyglądał szalowo. Miał na sobie białe, flanelowe spodnie, błękitny kaszmirowy żakiet, kremową, jedwabną koszulę, którą jego ojciec zamówił dla niego rok temu w Londynie, i do tego granatowo-czerwony krawat Hermesa.

- Chryste, Harry, jak panna młoda cię zobaczy, to kopnie pana młodego i zwieje z tobą.

- Nie potrzebny mi taki ból głowy. Ty zresztą też nieźle wyglądasz, Tan. - Miała na sobie zieloną, jedwabną sukienkę w prawie takim samym kolorze jak jej oczy, rozpuszczone włosy wyszczotkowała tak, że błyszczały tak samo jak oczy. Przymknęła je na chwilę, spoglądając zalotnie w jego stronę.

- Dzięki, że przyjechałeś ze mną. Wiem, że zanudzisz się na śmierć, ale jestem ci naprawdę wdzięczna.

- Nie wygłupiaj się. I tak nie miałem nic lepszego do roboty. Wyjeżdżam do Nicei dopiero jutro wieczorem.

A stamtąd jechał do Monako. Tam ojciec miał zabrać go na jacht przyjaciela. Harry miał zamiar spędzić z nim dwa tygodnie. Potem ojciec wyjeżdżał z przyjaciółmi, a Harry'ego zostawiał samego w domu na Cap Ferrat.

- Nie wyobrażam sobie gorszej doli, Tan.

Robił aluzje na temat tej strasznej wizji podrywania tabunów dziewcząt na południu Francji i mieszkania w pustym domu, ale dla niego to oznaczało po prostu samotność. Przez większość czasu nie będzie miał z kim porozmawiać, nikomu na nim tak naprawdę nie zależało. Tana miała spędzić wakacje w ciepłym domowym ognisku, u boku zagłaskującej ją na śmierć Jean. W chwili słabości, kiedy czuła się winna, że wywalczyła sobie niezależność tak dużym kosztem, zgodziła się przyjąć pracę wakacyjną w Durning International. Matka była zachwycona.

- Ilekroć o tym myślę, mam ochotę się zabić. - Zwierała się Harry'emu, kiedy zeszli na ten temat. - Chyba miałam nie po kolei w głowie. Czasami mi jej szkoda. Jest taka samotna, teraz kiedy mnie nie ma. Pomyślałam, że zrobię jej tym przyjemność, ale na litość boską, Harry... co ja właściwie zrobiłam?

- Nie będzie tak źle, Tan.

- Chcesz się założyć?

Otrzymała stypendium na przyszły rok, a dzięki pracy w lecie mogłaby trochę zarobić. To niewielkie kieszonkowe podreperowałoby jej budżet. Ale przygnębiała ją wizja

spędzenia całego lata w Nowym Jorku, mieszkania z Jean i patrzenia, jak liże stopy Artura Durninga każdego ranka. Na myśl o tym robiło się jej niedobrze.

- Pojedziemy razem do Cape na tydzień, kiedy wrócę.

- Dzięki Bogu chociaż za to.

Wymienili uśmiechy. Byli w drodze do Connecticut i chwilę później stali razem w chrześcijańsko-episkopalnym kościele, w okropnym upale rozgrzanego czerwcowego powietrza. Na szczęście uroczystość nie trwała długo i wkrótce wypuszczono ich na zewnątrz. Pojechali teraz do domu Duraingów, mijając ogromną bramę. Harry obserwował jej twarz. Po raz pierwszy od dwóch lat znajdowała się znowu na miejscu koszmaru, który tu przeżyła. Minęły dokładnie dwa lata. Na wspomnienie o tym, nad górną wargą pojawiły się kropelki potu.

- Chyba naprawdę nie lubisz tu przyjeżdżać, Tan?

- Nie za bardzo.

Patrzyła przez okno i miała nieprzenikniony wyraz twarzy. Przyglądał się jej, wyczuwając jakiś narastający niepokój, który pogłębił się jeszcze bardziej, kiedy zaparkowali i wysiedli. Przedfilowali wzdłuż powitalnej grupy, mówiąc to, co należy w takich sytuacjach. Tana przedstawiła Harry'ego Arturowi i państwu młodym. Zamawiając drinka zobaczyła Billy'ego przyglądającego się jej z daleka. Patrzył na nią znacząco, a Harry obserwował go przechadzając się w pobliżu. Tana poczuła się jak sparaliżowana pod wpływem tego spojrzenia. Tańczyła z Harrym i innymi gośćmi, których nie знаła. Pogadała z matką raz czy dwa i nagle w przerwie, stanęła oko w oko z Billym.

- Cześć. Zastanawiałem się czy przyjdiesz.

Miała ogromną chęć przyłożyć mu w twarz, ale zamiast tego odwróciła się na pięcie. Nie mogła złapać oddechu nawet tylko patrząc na niego. Nie widziała go od tamtej nocy. Wyglądał tak samo odpychająco jak wtedy. Ten sam słaby, diabelski i zepsuty facet. Pamiętała, jak ją bił, i wtedy...

- Nie zbliżaj się do mnie - powiedziała prawie bezgłośnie.

- Nie bądź taka wrażliwa. Do diabła, to w końcu ślub mojej siostry. Bardzo romantyczne wydarzenie.

Widziała, że był nieco podпиты. Słyszała, że ukończył kilka dni temu Princeton i pewnie od tej pory bez przerwy pił. Miał pracować w rodzinnej firmie, żeby łatwo znajdować towar do łóżka i podrywać sekretarki. Miała ochotę go zapytać, kogo ostatnio zgwałcił, ale zamiast tego po prostu odwróciła się i odeszła od niego. Złapał ją za ramię.

- To było bardzo niegrzeczne.

Spojrzała na niego z zaciśniętymi zębami. Jej oczy ciskały piorunami.

- Zabierz ręce albo wyleję ci tego drinka prosto w twarz.

Zasyczała jak wąż i wtedy, niespodziewanie u jej boku pojawił się Harry. Obserwował ją, zobaczył coś, czego jeszcze nigdy nie widział. Zauważył także spojrzenie Billy'ego.

Billy Durning wyszeptał z dzikim wyrazem w oczach jedno słowo, „dziwka”. Harry jednym szybkim ruchem chwycił go za rękę i wykręcił ją mocno, aż Billy zawył z bólu. Próbował walczyć. Nie chciał jednak robić sceny. Harry szeptał mu coś do ucha, podczas gdy Billy wolną ręką udawał, że poprawia krawat.

- Masz dosyć, kochasiu? To dobrze, więc bądź miły i spływaj stąd.

Billy wyprostował uwolnioną rękę i bez słowa odszedł. Harry spojrzał na Tanę. Była strzępkiem nerwów.

- Dobrze się czujesz?

Kiwnęła twierdząco głową, ale on nie był o tym przekonany. Była blada jak śmierć, cała drżała mimo gorąca.

- O co tu chodziło? Stary przyjaciel?

- Ukochany synek pana Durninga.

- Spotkaliście się już kiedyś, jak sądzę. Pokiwała głową.

- W nieprzyjemnych okolicznościach.

Zostali jeszcze jakiś czas, ale było jasne, że Tana nie mogła się już doczekać, żeby stamtąd zniknąć, więc Harry pierwszy to zaproponował. W drodze powrotnej nie odzywali się do siebie, ale zauważył, że w miarę oddalania się od domu Durningów, zaczęła odczuwać ulgę. Musiał ją o to zapytać. W powietrzu wisiało coś o ogromnym znaczeniu, martwił się o nią.

- O co w tym wszystkim chodziło, Tan?

- O nic ważnego. Stare zatargi, nic więcej.

- Na jaki temat?

- On jest głupim kutasem i tyle. - To były mocne słowa w jej ustach i Harry był zaskoczony. W jej głosie nie było cienia żartu. - Pieprzony sukinsyn.

Jej oczy wypełniły się łzami i trzęsącymi się rękami zapaliła papierosa, co nie zdarzało się prawie nigdy.

- Zauważyłem, że chyba nie byliście najlepszymi przyjaciółmi, Harry uśmiechnął się, ale nie odpowiedziała.

- Co on ci zrobił, że tak bardzo go nienawidzisz, Tan? Coś mówiło mu, że musi się tego dowiedzieć. Dla dobra Tany i swojego własnego.

- To już nie ważne.

- To jest ważne.

- Nie, nie jest!

Krzyczała na niego, a po jej policzkach popłynęły łzy. Nic takiego nie zdarzyło się w ciągu ostatnich dwóch lat. Nie pozwalała sobie na takie sytuacje. Nie powiedziała o tym nikomu oprócz Sharon. Nie zakochiwała się, nie umawiała się na randki.

- To nie ma znaczenia. Czekał, aż ucichnie.

- Starasz się przekonać mnie czy siebie? Podał jej chusteczkę. Wyczyściła nos, a łzy dalej płynęły po policzkach.

- Przepraszam, Harry.

- Nie trzeba. Pamiętasz mnie? Jestem twoim przyjacielem.

Uśmiechnęła się przez łzy i klepnęła go w policzek, ale nagle wróciła jakaś okropna myśl i wykrzywiła jej twarz.

Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego miałam w życiu.

- Chcę, żebyś mi opowiedziała, co się stało.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się. - Żebym mógł tam wrócić i zabić go, jeśli zechcesz.

Dobra. Zrób to. - Roześmiała się po raz pierwszy od kilku godzin.

Poważnie, myślę, że powinnaś zrzucić ten ciężar.

- Nie, nic z tego. - Przerażało ją to jeszcze bardziej niż życie z tymi wspomnieniami. Nie chciała o tym mówić.

- Zdradził cię?

- Coś w tym rodzaju. - Znowu patrzyła przez okno.

- Tana... rozmawiaj ze mną...

Odwróciła się do niego z chłodnym uśmiechem. - Dlaczego?

- Dlatego, że mnie to obchodzi.

Zatrzymał samochód, wyłączył silnik i popatrzył na nią. Nagle zdał sobie sprawę, że ma zamiar otworzyć drzwi, które zablokowała. Wiedział, że musi to zrobić dla jej dobra.

- Powiedz mi, co on ci zrobił.

Jej oczy patrzące na Harry'ego były bez żadnego wyrazu. Chciała pokręcić głową, ale Harry nie dawał za wygraną i delikatnie wziął w ręce jej dłoń, kiedy zaczęła mówić.

- Zgwałcił mnie dwa lata temu. Dokładnie jutrzejszej nocy miną dwa lata.

Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy. Harry'emu zrobiło się niedobrze.

- Jak to cię zgwałcił? Umówiłaś się z nim?

Zaprzeczyła. - Nie. - Jej głos na początku był zaledwie szeptem. - Matka nalegała, żebym pojechała na przyjęcie do ich domu w Greenwich. Na jego przyjęcie. Pojechałam z jednym z jego Przyjaciół, który się upił i zniknął, a Billy znalazł mnie, kiedy szwendałam się po domu. Zapytał, czy chcę zobaczyć pokój, w którym pracuje moja matka. A ja, jak kompletna idiotka Powiedziałam tak i w chwilę potem zaciągnął mnie do sypialni swojego ojca, rzucił mnie na podłogę i pobił. Gwałcił mnie i bił, a potem, gdy odwoził mnie do domu, rozbił - Powoli zaczynała łkać, krztusząc się własnymi słowami, czując ból podczas wyrzucania ich z siebie. - v szpitalu dostałam hysterii... przyjechała policja... potem moja matka, mi nie uwierzyła. Myślała, że jestem pijana... uważała, że mały Bili nigdy by czegoś takiego nie zrobił... starałam się jej o tym powiedzieć jeszcze innym razem.

Ukryła twarz w dłoniach, a Harry przytulił ją do siebie Przemawiał do niej tak, jak

nikt nigdy nie przemawiał do niego. To co usłyszał niemal złamało mu serce. To dlatego nigdy z nikim się nie umówiła, nawet z nim. Dlatego była tak zamknięta w sobie i wystraszona.

- Biedne dziecko... biedna Tan...

Zawiózł ją do miasta i poszli na kolację do zacisznej knajpki, a potem wrócili i jeszcze parę godzin rozmawiali siedząc w hotelu Pierre. Wiedziała, że matka zostanie znowu na noc w Greenwich. Mieszkała tam przez cały ten tydzień, czuwając, by wszystko wypadło jak najlepiej. Harry, odwożąc ją, zastanawiał się, czy coś zmieni się w życiu Tany po tym wszystkim albo czy zmieni się coś między nimi. Była najwspanialszą dziewczyną, jaką udało mu się spotkać, i gdyby mógł sobie na to pozwolić, zakochałby się w niej po uszy. Ale wiele się nauczył podczas tych dwóch lat i ciągle przypominał sobie o tym. Nie chciał zniszczyć tego, co było między nimi. Tylko dla łóżka? Tego mu nie brakowało, a ona znaczyła dla niego znacznie więcej. Na pewno upłynie jeszcze dużo czasu, zanim ochłonie po tym wszystkim, i wtedy znacznie bardziej będzie potrzebowała jego pomocy jako przyjaciela niż terapii łóżkowej.

Zadzwoił do niej następnego dnia przed wyjazdem na południe Francji i wysłał jej kwiaty z kartką o takiej treści „Chrzań przeszłość. Teraz jest wszystko w porządku. Całusy. H.”. Dzwonił do niej z Europy kiedy tylko o tym pomyślał i miał czas. Jego lato było o wiele bardziej interesujące od jej. Dzielili się swoimi wrażeniami, kiedy spotkali się znowu na tydzień przed Świętem Pracy. Tana skończyła już pracę i oboje pojechali razem do Cape Cod. Ulżyło jej, kiedy w końcu mogła zniknąć z Durning International. To był błąd, ale wytrzymała do końca.

- Jakieś wielkie romanse, kiedy byłem daleko?

- Nic z tego. Czy jeszcze mnie pamiętasz? Oszczędzam przyjemności na noc poślubną.

Teraz oboje wiedzieli dlaczego. Nadal miała uraz na tym tle • musiała to z czasem zwalczyć. Po rozmowie, jaką odbyli przed jego wyjazdem, jej ból jakby się trochę zmniejszył. Chyba wreszcie zaczynała oddychać trochę swobodniej.

- Nie będzie żadnej nocy poślubnej, jeśli nigdy w życiu się z nikim nie umówisz,

głuptasie.

- Mówisz teraz jak moja matka. - Uśmiechnęła się. Cieszyła się, że znowu są razem. Co słyhać u twojej matki?

Nic nowego. Oddana niewolnica Artura Durninga. Mdlu mnie od tego. Nigdy nie chciałabym być z kimś na takich zasadach.

Strzelił palcami z wyrazem rozczarowania na twarzy. - O cholera... a ja miałem nadzieję, że... - Oboje roześmieli się. A tydzień na Cape Cod upłynął w okamgnieniu. Jak zwykle, kiedy było im razem tak dobrze. A było naprawdę wspaniale. Mimo skrywanego uczucia Harry'ego ich związek pozostawał na tym samym etapie. Oboje wrócili do swoich szkół, by rozpocząć rok juniora, który przeleciał błyskawicznie. Następnego lata Tana została w Bostonie, by pracować, a Harry znowu wyjechał do Europy. Kiedy wrócił, pojechali na Cape Cod, ale ich łatwe i przyjemne życie dobiegało już końca. Został im tylko rok, żeby ułożyć sobie przyszłość. Każde z nich na swój sposób starało się oddalić od siebie tę nadchodzącą rzeczywistość.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała go melancholijnie, któregoś wieczoru. Wreszcie zgodziła się umówić z jednym z jego przyjaciół, ale sprawy toczyły się bardzo wolno i tak naprawdę Tana nie była nim zainteresowana. Harry w duchu był zadowolony. Pomyślał, że kilka pozornych randek dobrze jej zrobi.

- On nie jest w moim typie.

- A co ty o tym możesz wiedzieć? Nie umawiałaś się z nikim od trzech lat.

- Z tego, co widzę, nic nie straciłam.

- Małpa. - Zachichotał.

- Mówię poważnie. Co masz zamiar zrobić w przyszłym roku? Czy myślałeś o studiach podyplomowych?

O, Boże, nie! Tylko tego mi trzeba. Mam już dosyć tego miejsca do końca życia. Spadam stąd.

- I co masz zamiar ze sobą zrobić? - Ta myśl dręczyła ją już od dwóch miesięcy.

- Nie wiem. Chyba zamieszkać przez jakiś czas w Londynie Ojciec ostatnio buszuje w Południowej Afryce, więc nie będę mu przeszkadzał. A może w Paryżu...

Rzymie, a potem wróce tutaj Chcę się trochę zabawić, Tan. - Uciekał przed czymś, czego bardzo pragnął, ale wiedział, że nie może tego dostać. Na razie.

- Nie chcesz pracować? - Była zaszokowana, a on ryknął śmiechem.

- A po co?

- To obrzydliwe!

- A co w tym obrzydliwego? Mężczyźni w mojej rodzinie nie pracowali od lat. Jak mógłbym zepsuć tak wspaniałą tradycję? To byłoby świętokradztwo.

- Jak możesz się do tego przyznawać?

- Bo to prawda. Moja rodzina to banda bogatych, leniwych, zblazowanych dupków. Na czele z moim ojcem. - Ale miał im znacznie więcej do zarzucenia, a zwłaszcza jednemu z nich. Dużo więcej.

- Czy chcesz, żeby twoje dzieci właśnie w ten sposób o tobie mówiły?

- Jasne, jeśli będę takim dupkiem, żeby je w ogóle mieć, w co bardzo wątpię.

- Jakbym słyszała siebie.

- Broń cię Boże. - Uśmiechnęli się oboje.

- Ale tak serio, nie masz zamiaru nawet udawać, że pracujesz?

- Po co?

- Przestań to powtarzać.

- Komu zależy na tym, żebym pracował, Tan? Tobie? Mnie? Mojemu staremu?

Dziennikarzom?

- To po co chodziłeś do szkoły?

- Nie miałem co ze sobą zrobić, a na Harvardzie było zabawnie.

- Gówno prawda. Przed egzaminami uczyłeś się jak szalony. - Odrzuciła złotą burzę włosów z czoła. - Byłeś dobrym studentem. Po co?

- Dla siebie. A co z tobą? Po co to robiłaś?

- Też dla siebie. Ale teraz nie wiem, co dalej.

Dwa tygodnie przed Świętami Bożego Narodzenia dokonano za nią

• wyboru. Sharon Blake zadzwoniła i zapytała czy nie przyłączyła by się do marszu doktora Kinga. Tana myślała o tym całą noc dała odpowiedź Sharon następnego

dnia. Powiedziała ze zmęczonym uśmiechem: - Znowu ci się udało, mała. Hurraa!
Wiedziała, że się zgodzisz! - Zapoznała Tanę ze wszystkimi szczegółami. To miało być na trzy dni przed świętami, w Alabamie i raczej nie groziło żadnym ryzykiem.

Zapowiadało się interesująco, a poza tym znowu będą mogły pogadać ze sobą jak za dawnych czasów. Sharon nie wróciła już do szkoły, ku zmartwieniu ojca. Kochała się teraz w młodym, czarnym adwokacie. Mówiło się o ich ślubie na wiosnę. Tana była pod wrażeniem tych wszystkich wiadomości i następnego dnia powiedziała o marszu Harry'emu.

- Twoja matka dostanie zawału.

- Przecież nie muszę, na litość boską, mówić jej o tym. Nie musi wiedzieć o wszystkim, co robię.

- Dowie się, jeśli cię znowu aresztują.

- Zadzwoń do ciebie, wpłacisz za mnie kaucję i uwolnisz mnie. - Mówiła serio, a on pokręcił głową.

- Nie mogę. Będę wtedy w Gstaad.

- O, cholera.

- Nie powinnaś tam jechać.

- Nie pytałam cię o zdanie.

Ale kiedy nadszedł dzień wyjazdu, leżała w łóżku z gorączką i wirusową grypą. Poprzedniego wieczoru próbowała wstać i spakować się, ale czuła się okropnie i zadzwoniła do Sharon, do Waszyngtonu. Telefon odebrał Freeman Blake.

- Słyszałaś już wiadomości, więc... - Jego głos wydobywał się jakby z dna studni i był bardzo smutny.

- Jakie wiadomości?

Nie mógł mówić. Po prostu się rozplakał, a Tana nie wiedząc dlaczego płakała razem z nim. - Ona nie żyje... zabili ją ostatniej nocy... zastrzelili ją... moje maleństwo... moja mała dziewczynka...

Był kompletnie zdruzgotany. Tana chlipała razem z nim. Bała się i trzęsła od płaczu, aż wreszcie do telefonu podeszła Miriam. ona także mówiła niezbyt przytomnie,

ale zachowywała się trochę spokojniej od męża. Powiedziała Tanie, kiedy będzie pogrzeb. I Tana poleciała do Waszyngtonu, z gorączką i wszystkimi dolegliwościami w wigilijny poranek. Długo trwało, zanim sprowadzono ciało do domu, a Martin Luther King miał przemawiać na jej pożegnanie.

Na pogrzebie była telewizja, reporterzy przepychali się, by wejść do kościoła, błyskały flesze aparatów. Freeman Blake był zupełnie nieprzytomny. Stracił dwoje dzieci z tej samej przyczyny. Tana spędziła z nimi trochę czasu, w gronie rodziny i przyjaciół.

- Zrób coś pożytecznego w swoim życiu, moje dziecko. - Freeman Blake patrzył na nią ponuro. - Wyjdź za mąż, wychowuj dzieci. Nie idź śladem Sharon. - Zaczął znowu płakać, w końcu doktor King i ktoś z przyjaciół zaprowadzili go na górę. Teraz Miriam przyszła posiedzieć z Tana. Wszyscy cały dzień płakali, tak jak zresztą przez kilka poprzednich dni. Tana była wykończona emocjami i grypą.

- Przykro mi, pani Blake.

- Mnie także... - Jej oczy wyglądały jak rzeka bólu. Dotknęła ją tragedia, ale i tak zawsze będzie dążyła do celu, jaki sobie postawiła. Tana podziwiała ją za to.

- Co masz zamiar teraz robić, Tano? Nie była pewna, co Miriam miała na myśli.

- Chyba pojedę do domu.

Miała zamiar złapać wieczorny samolot i spędzić święta z Jean. Artur jak zwykle wyjechał z przyjaciółmi, a Jean miała być sama.

- Mam na myśli, co będziesz robić teraz, kiedy skończysz szkołę.

- Nie wiem.

- Czy myślałaś o pracy w instytucjach rządowych? Ten kraj potrzebuje takich jak ty.

Tana uśmiechnęła się. Tak jakby słyszała Sharon. Jej córka dopiero co umarła, a ona już była gotowa do krucjaty. Trochę obawiała się tego, ale z drugiej strony podziwiała ją.

- Mogłabyś zająć się prawem. Miałabyś wpływ na stan rzeczy, Tano. Nadajesz się do tego.

- Nie wydaje mi się.

- Naprawdę. Masz siłę przebicia. Sharon także ją miała, ale nie miała twojego charakteru. Na swój sposób jesteś podobna do mnie.

Tanę wystraszyła trochę ta uwaga, bo zawsze uważała panią Blake za zimną kobietę i wcale nie chciała być taka, jak ona.

- Naprawdę? - Wyglądała na zaskoczoną.

- Wiesz, czego chcesz i osiągasz to. Tana uśmiechnęła się. - Czasami.

- Nie straciłaś ani chwili, kiedy wyrzucili cię z Green Hill.

- Miałam szczęście, że przyjaciel mi podpowiedział, żebym zdawała na BU.

- Nawet gdybyś tam nie zdawała, to i tak stanęłabyś na równe nogi. - Wstała z westchnieniem. - W każdym razie przemyśl to sobie. Brakuje nam takich prawników jak ty, Tan. Ten kraj cię potrzebuje.

To było mocne stwierdzenie, biorąc pod uwagę, że Tana miała dopiero dwadzieścia jeden lat. Kiedy wracała samolotem do domu, te słowa rozbrzmiewały echem w jej głowie. Przed oczami miała twarz Freemana, słyszała jego płacz... wspominała słowa Sharon, kiedy jeszcze były w Green Hill... czasy, kiedy poszły do Yolan... Pod wpływem tych wspomnień jej oczy znowu były pełne łez. Ciągłe osuszała policzki i nie mogła pozbyć się myśli o dziecku, które Sharon musiała oddać cztery lata temu. Zastanawiała się, co się z nim stało. Ciekawe, czy rodzina Freemanów także o nim myślała. Nikt im już teraz nie pozostał.

Myślała także o tym, co powiedziała Miriam. Ten kraj cię potrzebuje... Powtórzyła te słowa matce, zanim wróciła do szkoły. Jean była przerażona.

- Studia prawnicze? Czy jeszcze nie masz dość szkoły? Chcesz się uczyć przez całe swoje życie?

- Jeśli to ma się do czegoś przydać.

- Dlaczego nie pójdziesz do jakiejś pracy? Możesz w ten sposób kogoś poznać.

- O, Chryste, dajmy już temu spokój... - Zawsze myślała tylko o jednym... kogoś poznać... ustabilizować się... wyjść za mąż... urodzić dzieci... - Harry nie zapalił się też do tego pomysłu, kiedy mu się zwierzyła ze swego zamiaru w następnym tygodniu.

- Jezu Chryste, po co?

- Dlaczego nie? To może być interesujące i mogę być w tym całkiem niezła.

Coraz bardziej podobała jej się ta myśl i nagle wydało jej się, że to właśnie będzie właściwy wybór. To było bardzo rozsądne i nadawało sens jej życiu.

- Będę zdawała do Boalt, na UC Berkeley. Już się zdecydowała. Były jeszcze dwie inne uczelnie, na które mogła się dostać, ale wybrała Boalt.

Harry patrzył na nią. - Mówisz poważnie?

- Tak.

- Myślę, że zwariowałam.

- A może się przyłączysz?

- O nie, do diabła! - Zachichotał. - Powiedziałem ci. Mam zamiar się zabawiać... ile wlezie.

- To strata czasu.

- Już nie mogę się tego doczekać.

Ona także. W maju nadeszły wyniki. Została przyjęta do Boalt. Dostała częściowe stypendium, a brakującą resztę zdążyła już zaoszczędzić.

- Taka już jestem. - Powiedziała ze śmiechem, kiedy razem siedzieli na trawniku, przed jej bursą.

- Tan, czy jesteś pewna?

- Nigdy nie byłam tak pewna w swoim życiu.

Wymienili uśmiechy. Ich drogi wkrótce się rozejdą. Pojechała w czerwcu na uroczyste wręczenie dyplomu Harry'ego na Harvardzie. Płakała nad jego losem, nad losem swoim i Sharon, której już nie było. Żałowała Johna F. Kennedy'ego, którego zabito siedem miesięcy temu; tych, których oboje poznali i tych, których nie znali. Dla nich obojga zakończył się pewien etap w życiu. Płakała też na swoim rozdaniu dyplomów. Jean Roberts także. Przyjechał z nią Artur Durning. Harry siedział w rzędzie z tyłu udając, że robi rozeznanie wśród nowych nabytków uczelni.

Ale jego oczy były utkwione w Tanie, a serce przepełniała duma. Było mu smutno na myśl o tym, że ich drogi się rozchodzą. Był pewien, że kiedyś znowu się spotkają. Już on się o to postara. Ona nie była wciąż jeszcze gotowa. Całym sercem życzył jej

powodzenia i miał nadzieję, że będzie bezpieczna tam, w Kalifornii. Denerwował się jednak, że będą tak daleko od siebie. Ale musiał pozwolić jej teraz odejść... na razie... jego oczy wypełniły się łzami, kiedy patrzył, jak schodzi z podium z dyplomem w ręku. Wyglądała tak świeżo i młodo. Te duże, zielone oczy, jasne, lśniące włosy... usta, o których marzył już od czterech lat... te same usta musnęły jego policzek, kiedy jej gratulował. Przez moment, dosłownie chwilę poczuł, że uścisnęła go mocno, aż zakręciło mu się w głowie.

- Dzięki, Harry. - Jej oczy były pełne łez.

- Za co? - Teraz on musiał walczyć ze łzami.

- Za wszystko. - Później przyłączyli się do nich wszyscy pozostali i urok tej chwili prysnął jak bańka mydlana. Nadszedł dzień, kiedy mieli rozpocząć samodzielne życie, i Harry czuł jakby ktoś siłą odrywał ją od niego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tym razem podróż na lotnisko ciągnęła się w nieskończoność. Tana wzięła taksówkę. Jean nalegała, żeby z nią pojechać. Długa cisza przerywana była potokiem słów, wyrzucanych jak serie z karabinu maszynowego w kierunku nieznanego nieprzyjaciela. Wreszcie dojechały na miejsce. Jean uparła się, żeby zapłacić za taksówkę, tak jakby to była ostatnia szansa, żeby coś jeszcze zrobić dla swojej małej córeczki. Nie udało jej się ukryć łez, z którymi walczyła patrząc, jak Tana oddaje torby na bagaż.

- Czy to już wszystko, co miałaś, kochanie? - Zwróciła się nerwowo do Tany, a ona pokiwała głową z uśmiechem. Dla niej to także był trudny poranek. Skończyła już z udawaniem. Nie wróci do domu, a przynajmniej bardzo, bardzo długo jej tu nie będzie. Może wpadnie kiedyś na kilka dni albo tydzień. Jeśli uda jej się zaczepić w Boalt, prawdopodobnie już nigdy nie będzie mieszkała w domu. Nie myślała w ten sposób wyjeżdżając do Green Hill czy BU, ale teraz była już gotowa. Widziała, jak bardzo Jean jest tym przerażona. To był ten sam wyraz twarzy, jaki miała dwadzieścia trzy lata temu, kiedy Andy Roberts wyjeżdżał na wojnę. To spojrzenie mówiło samo za siebie. Nic od tej pory nie będzie już takie samo.

- Nie zapomnij dziś wieczorem zadzwonić do mnie, jak tylko dojedziesz na miejsce, dobrze, kochanie?

- Nie zapomnę, mamó. Ale później nic nie mogę ci obiecać. - Tana uśmiechnęła się. - Jeśli to, co mówią, jest prawdą, przez pierwsze sześć miesięcy nie będę miała czasu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Ostrzegła ją od razu, że nie przyjedzie do domu na Święta Bożego Narodzenia. Sama podróż byłaby zbyt kosztowna, Jean musiała się z tym pogodzić. Miała nadzieję, że może Artur kupi jej bilet, ale wtedy nie miałyby szans na spędzenie świąt z nim. Życie czasami nie jest łatwe. Dla niektórych nigdy nie jest.

Wypiły filiżankę herbaty i obserwowały odlatujące samoloty. Tana czekała, kiedy zapowiedzą odlot jej samolotu. Zauważyła, że matka ciągle się jej przygląda. Upływały właśnie dwadzieścia dwa lata opieki nad nią i dla nich obu był to trudny moment. Nagle

Jean wzięła jej dłoń i popatrzyła jej prosto w oczy. - Czy naprawdę tego właśnie chcesz, Tan?

Tana odpowiedziała cicho. - Tak, mam, chcę tego.

- Jesteś pewna?

Tana uśmiechnęła się. - Jestem. Wiem, że dla ciebie to brzmi dziwnie, ale tego właśnie chcę. Niczego w życiu nie byłam tak pewna, bez względu na to, jak ciężko będę musiała na to zapracować.

Jean skrzywiła się i wolno pokręciła głową z dezaprobatą, zanim znowu popatrzyła na Tanę. To była dziwna chwila na takie rozmowy, kilka minut przed odlotem, w dziwnym miejscu, z tysiącem ludzi wokół, ale były właśnie tutaj i Jean musiała zrzucić ten ciężar z serca, patrząc córce prosto w oczy.

- To kariera bardziej odpowiednia dla mężczyzny. Nigdy nie przypuszczałam...

- Wiem. - Tana wyglądała na zasmuconą. - Chciałaś, żebym była taka jak Ann.

Mieszkała w Greenwich, koło tatusia i właśnie urodziła pierwsze dziecko. Jej mąż został już pełnym partnerem w firmie Sherman i Sterling. Jeździł porsche, a ona mercedesem. To było marzeniem każdej matki.

- Ja taka po prostu nie jestem. I nigdy nie byłam, mam.

- Ale dlaczego nie? - Nie mogła zrozumieć. Może postąpiła niewłaściwie w którymś momencie. Może to była jej wina. Ale Tana kręciła głową przecząco.

- Może trzeba mi czegoś więcej. Może w tym przypadku to ja odniosę sukces, a nie mój mąż. Nie wiem, ale wydaje mi się, że inaczej nie mogłabym być szczęśliwa.

- Myślę, że Harry Winslow jest w tobie zakochany, Tan. Jej głos był łagodny, ale Tana nie chciała słyszeć jej słów.

- Mylisz się, mam.

Znowu wróciły do punktu wyjścia.

- Lubimy się bardzo, jak przyjaciele, ale on mnie nie kocha, a ja nie kocham jego.

To nie było to, czego chciała. Potrzebowała go jak brata, przyjaciela. Jean pokiwała głową i nie powiedziała nic. Ogłosili, że samolot Tany jest gotowy do odlotu. Matka próbowała do ostatniej chwili zmienić decyzję Tany, ale nie dawała jej nic w

zamian, żadnej interesującej propozycji na przyszłość, żadnego wzoru godnego naśladowania. Poza tym i tak nic by to nie zmieniło. Tana spojrzała głęboko w oczy matki, a potem przytuliła się do niej mocno i szepnęła do ucha.

- Mamo, ja naprawdę właśnie tego chcę. Jestem pewna. Przysięgam.

Gdy żegnały się, obie miały wrażenie jakby Tana wyjeżdżała gdzieś do Afryki. Jakby wybierała się w inny świat, inne życie. I w pewnym sensie to była prawda. Matka była tak pogrążona w rozpacz, że Tanie ten widok łamał serce. Po policzkach Jean toczyły się łzy. Machała do niej, wchodząc po schodkach na pokład samolotu.

- Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem! - zawołała na pożegnanie.

- Ale to już nigdy nie będzie to samo. - Jean szepnęła do siebie, patrząc, jak drzwi zamykają się, schodki odjeżdżają, a gigantyczny ptak rozpędza się na pasie startowym i wreszcie unosi się w górę. Stała tak i patrzyła, aż wreszcie samolot był już tylko maleńką kropką na niebie. Czowała się teraz bardzo, bardzo maleńka. Wyszła na zewnątrz, złapała taksówkę i wróciła do biura, gdzie potrzebował jej Artur Durning. Przynajmniej jeszcze w ogóle ktoś jej potrzebował. Nie miała ochoty wracać dziś wieczorem do domu. I tak już pozostało przez wszystkie kolejne lata.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Samolot wylądował na lotnisku w Oakland. Kiedy Tana wysiadła, miasteczko wydało jej się małe i sympatyczne. Mniejsze niż Boston czy Nowy Jork, ale znacznie większe od Yolan, które w ogóle nie miało lotniska. Wzięła taksówkę do kampusu Berkeley, wprowadziła się do pokoju, który jej wynajęto w ramach stypendium, rozpakowała torby i postanowiła się trochę rozejrzeć. Wszystko wyglądało tu inaczej, jakoś dziwnie i obco. Był piękny, ciepły i słoneczny dzień, ludzie wyglądali na wypoczętych, począwszy od tych w dzinsach do tych w powłóczystych sukniach. Spotkała parę wschodnich kaftanów, mnóstwo szortów i podkoszulek, sandałów, adidasów, mokasynów i gołych stóp. Było tu zupełnie inaczej niż na uniwersytecie w Bostonie. Nie widziało się tu żydowskich księżniczek z Nowego Jorku w drogich wełnach i kaszmirach od Bergdorfa. Tutaj wszyscy wyznawali zasadę „chodź, w czym chcesz” i to było fantastyczne i podniecające. Rozglądając się wokół czuła radość, która trwała nawet wtedy, kiedy rozpoczęły się zajęcia na uczelni i gdy po całym dniu wykładów biegła do domu, by uczyć się dalej po południu i przez całą noc. Jedynym miejscem, które odwiedzała, była biblioteka. Jadała zwykle w swoim pokoju albo gdzieś po drodze. Już w pierwszym miesiącu straciła na wadze sześć funtów, które wcale nie były zbędne. Jedyną zaletą tego wszystkiego był fakt, że nie miała czasu tęsknić za Harrym, a bardzo się tego obawiała. Przez ostatnie trzy lata byli niemalże nierozłączni, mimo że chodzili do różnych szkół, a teraz nagle nie było go przy niej. Dzwonił do niej w wolnych chwilach. Piątego października była w swoim pokoju, kiedy ktoś zapukał do drzwi, by powiedzieć jej, że jest do niej telefon. Pomyślała, że to pewnie matka, i nie miała ochoty schodzić na dół. Następnego dnia miała napisać test na temat prawa kontraktowego, a poza tym musiała napisać jeszcze pracę z innego przedmiotu.

- Sprawdź, proszę, kto to jest i czy mogę zadzwonić później.

- Dobra, zaczekaj chwilę. - Za parę minut wróciła. - To telefon z Nowego Jorku.

Znowu matka.

- Powiedz, że zadzwonię później.

- On mówi, że nie możesz. - On? Harry? Tana uśmiechnęła się. Dla niego

przerwie nawet naukę.

- Za chwilę będę na dole. - Sięgnęła po pogniecione džinsy, które wisiały na krześle, i wciągała je na siebie, biegnąc do telefonu.

- Halo?

- Co ty, do diabła, wyrabiasz? Robisz to z jakimś facetem na czternastym piętrze? Wiszę tu już od godziny, Tan. - Był niezadowolony i chyba trochę wstawiony. Miała już wprawione ucho. Znała go dobrze.

- Przepraszam, uczyłam się w pokoju i myślałam, że to mama.

- Nic z tego. - Mówił to jakoś poważnie.

- Jesteś w Nowym Jorku? - Uśmiechała się, szczęśliwa że znowu go słyszy.

- Tak.

- Myślałam, że wracasz dopiero w przyszłym miesiącu.

- Tak miało być. Ale przyjechałem zobaczyć się z wujem. Konkretnie, to on uważa, że może potrzebować mojej pomocy.

- Jakim wujem? - Tana była zupełnie zdezorientowana. Harry nigdy nie mówił o żadnym wuju.

- Z wujem Samem. Pamiętasz go, ten facet z plakatu w idiotycznym czerwono-niebieskim garniturze z długą białą brodą?

Naprawdę musiał być pijany i zaczęła się nawet z niego śmiać, kiedy nagle uśmiech zastygł jej na ustach. On mówił poważnie. O mój Boże....

- Co ty, do diabła, chcesz powiedzieć?

- Zaciągnąłem się, Tan.

- O, cholera. - Zamknęła oczy. Tylko o tym się mówiło. Wietnam... Wietnam... Wietnam... każdy miał coś do powiedzenia na ten temat... załatwcie ich... trzymaj się od tego z daleka... pamiętasz, co się stało z Francuzami... zaciągnij się... zostań w domu... akcja policyjna... wojna... nie sposób było zorientować się, o co w tym wszystkim chodzi, ale na pewno nie działo się nic dobrego.

- Po cholere wracałeś? Dlaczego nie posiedziałeś tam dłużej?

- Nie chciałem. Ojciec zaproponował mi nawet, że mnie wykupi, ale wątpię, żeby

mu się udało. Są pewne sprawy, których pieniądze Winslowów nie są w stanie załatwić. Poza tym to nie w moim stylu, Tan. Nie wiem, może gdzieś w podświadomości chciałem tam pojechać i czuć się potrzebny.

- Masz nie po kolei w głowie. Mój Boże... Jesteś jeszcze gorszy niż myślałam. Mogą cię przecież zabić. Zdajesz sobie z tego sprawę? Harry, wracaj do Francji.

Krzyczała na niego, stojąc w otwartym korytarzu. Krzyczała na Harry'ego, który był w Nowym Jorku.

- Dlaczego do diabła nie pojedziesz do Kanady albo nie postrzelisz się w stopę... zrób coś, wykręć się z tego. To jest rok 1964, a nie 1941. Nie bądź taki szlachetny, bo nie ma powodu, dupku. Wracaj.

Nagle jej oczy wypełniły się łzami i bała się zapytać o to, co chciała wiedzieć. Ale musiała. Musiała wiedzieć. - Dokąd cię posyłają?

- Do San Francisco. - Jej serce podskoczyło. - Na początek. Dokładnie na pięć godzin. Zobaczysz się ze mną na lotnisku, Tan? Moglibyśmy zjeść razem lunch. Potem do dziesiątej tego wieczoru muszę dotrzeć do miejsca, które nazywa się Fort Ord, a w San Francisco ląduję o trzeciej. Ktoś powiedział mi, że jazda do tego miejsca zajmie mi około dwóch godzin... - Jego słowa zawisły w powietrzu i oboje pomyśleli o tym samym.

- A co potem? - Jej głos zmienił się nagle, był chropowaty.

- Chyba Wietnam. Nieźle, co?

Wkurzyła się. - Nie, wcale mi się to nie podoba, ty dumny sukinsynu. Powinieneś być studiować razem ze mną prawo. Wolałeś się zabawiać i pieprzyć z dziwkami we Francji, a teraz widzisz, co narobiłeś, jedziesz do Wietnamu, żeby odstrzelili ci jaja...

Łzy spływały po jej twarzy, nikt nie ośmielał się przejść obok niej korytarzem.

- Twoja wersja jest bardzo intrygująca.

- Jesteś czubkiem.

- No, a co tam u ciebie nowego? Zakochałaś się wreszcie?

- Nie mam czasu, ciągle się uczę. O której ląduje twój samolot?

- Jutro, o trzeciej po południu.

- Przyjadę.

- Dzięki.

Jego głos zabrzmiał znowu tak młodo, ale kiedy zobaczyła go następnego dnia, pomyślała, że jest jakiś blady i zmęczony. Nie wyglądał tak dobrze jak ostatnio, kiedy spotkali się w czerwcu. Teraz ich spotkanie było nerwowe i nie zachowywali się naturalnie. Nie wiedziała, co ma z nim zrobić. Pięć godzin to niezbyt długo. Zabrała go do swojego pokoju w Berkeley. Potem kiedy włączyli się trochę tu, trochę tam, by wreszcie pojechać na lunch do Chinatown, Harry ciągle spoglądał na zegarek. Musiał złapać autobus. Zdecydował, że nie będzie wynajmował samochodu, żeby dojechać do Fort Ord, ale to skróciło czas, który spędzali ze sobą. Nie śmiali się tyle co zwykle i przez całe popołudnie nastrój był raczej smutny.

- Harry, po co to robisz? Mogłeś się przecież z tego wykręcić.

- To nie w moim stylu, Tan. Powinnaś to wiedzieć, jeśli znasz mnie choć trochę. A może, tak naprawdę w głębi duszy uważam, że to, co robię jest słuszne. Może obudziły się we mnie uczucia patriotyczne, o których istnieniu nie miałem pojęcia.

Tana poczuła, jak jej serce krwawi.

- O czym ty mówisz? To nie jest żaden patriotyzm. To nie jest nasza wojna.

Przeraził ją fakt, że mając taką możliwość nie wykorzystał szansy uniknięcia poboru. Nigdy go o to nie podejrzewała. Szalony Harry dorósł i nagle stał przed nią mężczyzna, którego zupełnie nie знаła. Był uparty i silny, i mimo że obawiał się trochę skutków swojej decyzji, było jasne, że właśnie tego pragnął.

- Myślę, że to będzie nasza wojna, Tan.

- Ale dlaczego ty? - Przez dłuższy czas siedzieli w ciszy i dzień zleciał im zbyt szybko. Kiedy żegnali się, uścisnęła go mocno, a on obiecał, że będzie dzwonił, jak tylko będzie mógł. Ale odezwał się dopiero po sześciu tygodniach i wtedy miał już za sobą podstawowe przeszkolenie. Miał nadzieję, że wyślą go do San Francisco i zobaczy się z nią, ale zamiast na północ, jechał na południe.

- Dziś wieczorem wyjeżdżam do San Diego. - Była sobota. - A na początku przyszłego tygodnia do Honolulu.

Była w trakcie semestralnych egzaminów, więc nie mogła po prostu rzucić

wszystkiego i pojechać na parę dni do San Diego.

- Cholera. Czy zostaniesz w Honolulu przez jakiś czas?

- Niestety, nie. - Wyczuwała, że nie chciał jej powiedzieć czegoś ważnego.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że w przyszłym tygodniu wysyłają mnie do Sajgonu.

Jego głos był zimny i twardy jak stal i zupełnie nie przypominał dawnego Harry'ego. Zastanawiała się, co się z nim stało. On zadawał sobie to pytanie przez całą sześć tygodni szkolenia.

- Chyba mam po prostu szczęście-mówił żartem do kolegów, ale nie było mu do śmiechu. Kiedy rozdawano przydziały do jednostek, atmosfera była tak napięta, że można było ciąć ją nożem. Nikt nie odważył się skomentować przydziałów ani jednym słowem, a zwłaszcza ci, którym się powiodło. Harry nie należał do tych szczęśliwców.

- Życie to cholerna ruletka, Tan i trzeba się z tym pogodzić.

- Czy twój ojciec wie już o tym?

- Dzwoniłem do niego wczoraj wieczorem. Nikt nie wie, gdzie można go znaleźć.

W Paryżu mówią, że jest w Rzymie. Z Rzymu odsyłają mnie do Nowego Jorku.

Próbowałem też Afrykę Południową, ale w końcu pomyślałem, że chrzanię starego sukinsyna. Prędzej czy później dowie się, gdzie jestem.

Dlaczego u diabła ma ojca, którego nie można znaleźć? Nawet Tana mogłaby do niego zadzwonić, ale z opowieści Harry'ego był to człowiek, którego nie miała ochoty poznać.

- Napisałem do niego na londyński adres, zostawiłem też wiadomość w Pierre, w Nowym Jorku. To wszystko, co mogłem zrobić.

- Na więcej pewnie i tak nie zasługuje. Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić Harry?

- Pomódl się za mnie. - Zabrzmiało to bardzo poważnie.

Była bardzo zaskoczona. To niemożliwe. Harry był jej najlepszym przyjacielem, bratem, niemal bliźniakiem, a oni wysyłali go do Wietnamu. Ogarnęła ją potworna panika, której nigdy przedtem nie odczuwała. Niestety, nie mogła nic zrobić.

- Zadzwoń do mnie przed wyjazdem?... i z Honolulu...?

W jej oczach pojawiły się łzy... a co będzie, jeśli coś mu się stanie? Nie, nic się nie stanie, zacisnęła zęby, nie dopuści do siebie nawet takich myśli. Harry Winslow był niepokonany i należał do niej. Zabrał część jej serca. Przez kilka następnych dni czuła się zagubiona, czekając na telefon od niego. Dzwonił dwa razy z San Diego, zanim wyjechał.

- Przepraszam, że to tak długo trwało, ale byłem zajęty przygodami łóżkowymi i chyba złapałem trypra. A co tam, do diabła, warto było.

Prawie ciągle pił, a na Hawajach było jeszcze gorzej. Dzwonił stamtąd jeszcze dwa razy, a potem nagle zapadła cisza i zniknął w dżunglach Wietnamu. Bez przerwy wyobrażała sobie, że jest w niebezpieczeństwie, potem jednak zaczęła dostawać od niego wariackie listy opisujące życie w Sajgonie, dziwki, narkotyki, niegdyś piękne hotele, świetne dziewczyny. Pisał też, że bardzo mu pomaga znajomość francuskiego. To ją trochę uspokoiło. Dobry, stary Harry, nic się nie zmienił. Czy to w Cambridge, czy w Sajgonie, zawsze taki sam. Udało jej się przebrnąć przez egzaminy, Święto Dziękczynienia i pierwsze dwa dni ferii świątecznych, które spędziła w swoim pokoju z półmetrowym stosem książek. Ktoś zapukał do jej drzwi o siódmej wieczorem.

- Telefon do ciebie. - Matka dzwoniła do niej bardzo często. Tana wiedziała, dlaczego, mimo że żadna z nich nie chciała się do tego przyznać. Wolne dni były trudne do zniesienia dla Jean. Artur nigdy nie poświęcał jej zbyt wiele czasu, a ona stale miała nadzieję, że to się zmieni. Ciągle były jakieś wymówki, wyjaśnienia i usprawiedliwienia, przyjęcia, na które z jakichś powodów nie mógł jej ze sobą zabrać. Tana podejrzewała, że w grę wchodziły jakieś inne kobiety, poza tym teraz miał na karku Ann z mężem i dzieckiem, może także Billy'ego, a Jean nie należała po prostu do rodziny, bez względu na to ile lat byli już ze sobą.

- Już schodzę. - Tana krzyknęła, zarzuciła na siebie szlafrok i poszła do telefonu. W korytarzu było zimno, wiedziała że na zewnątrz panowała mgła. Rzadko, ale czasem się to zdarzało na tak dalekim zachodzie, zwłaszcza podczas dżdżystych nocy.

- Halo? - Spodziewała się usłyszeć głos matki i zaniemówiła, kiedy po drugiej stronie odezwał się Harry. Głos miał zachrypnięty i chyba był zmęczony, tak jakby nie

spął całą noc, co było zrozumiałe, jeśli wrócił do miasta. Głos docierał tak wyraźnie, jakby Harry był gdzieś bardzo blisko.

- Harry?...- Jej oczy natychmiast napełniły się łzami. - Harry! Czy to ty?

- Pewnie, że ja, Tan. - Niemalże warknął na nią i ona prawie czuła przy sobie jego nieogoloną brodę.

- Gdzie jesteś?

Na moment zapadła zupełna cisza. - Tutaj. W San Francisco.

- Kiedy przyjechałeś? Chryste, przecież mogłam po ciebie wyjechać. - Co za wspaniały prezent na święta, Harry wrócił!

- Dopiero co przyjechałem. - To było kłamstwo, ale łatwiej było skłamać, niż wyjaśniać, dlaczego tak długo do niej nie dzwonił.

- Na szczęście nie trzymali cię tam długo, dzięki Bogu.

Była taka szczęśliwa, że słyszy jego głos. Nie mogła powstrzymać łez. Śmiała się i płakała, on także. Nie miał już nadziei, że usłyszy jeszcze kiedyś jej głos, a teraz kochał ją jeszcze bardziej, jak nigdy dotąd. Nie był nawet pewien, czy uda mu się nadal utrzymać to uczucie w tajemnicy. Ale będzie musiał, dla własnego i jej dobra.

- Dlaczego tak szybko cię wypuścili?

- Chyba dałem im popalić. Jedzenie śmierdziało, dziewczyny zarażały wszami. Dwa razy złapałem wszy na jajach, a potem miałem chyba najgorszą odmianę trypra, jaka może się przytrafić... - Próbował się roześmiać, ale to bardzo bolało.

- Ty łajdaku. Czy ty nigdy nie masz zamiaru się uspokoić?

- Nie, jeśli będę miał wybór.

- No, więc, gdzie teraz jesteś?

Znowu zapadła krótka chwila ciszy. - Doprowadzają mnie do porządku u Lettermana.

- W szpitalu?

- Tak.

- Leczysz się na trypra? - Powiedziała to trochę za głośno i dwie dziewczyny idące korytarzem odwróciły się i zaczęły się śmiać. - Wiesz, ty jesteś niemożliwy. Jesteś

najgorszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam, Harry Winslowie Czwarty albo kimkolwiek jesteś. Czy mogę odwiedzić cię w szpitalu, czy od razu się zarażę? - Śmiała się, a jego głos ciągle brzmiał jakoś chropowato, jakby Harry był bardzo zmęczony.

- Wystarczy, że nie będziesz używała mojej deski klozetowej.

- Nie martw się, nie będę. Nie uścisknę nawet twojej ręki, dopóki nie będzie wygotowana. Bóg tylko wie, gdzie ją wkładałeś.

Uśmiechnął się. Tak pioruńsko dobrze było ją znowu słyszeć. Popatrzyła na zegarek.

- Czy mogę przyjechać do ciebie teraz?

- Nie masz nic lepszego do roboty w sobotni wieczór?

- Miałam właśnie zamiar kochać się ze stertą książek prawniczych.

- Widzę, że masz takie samo poczucie humoru, jak zawsze.

- Jasne, bo mam więcej oleju w głowie od ciebie, dupku, i nie daję się wysłać do Wietnamu.

Zapadła dziwna chwila ciszy, a Harry odpowiedział poważnie:

- I dzięki Bogu, Tan.

Poczuła się dziwnie słysząc jego głos i przez jej ciało przebiegł nieprzyjemny dreszcz.

- Naprawdę chcesz przyjechać dziś wieczorem?

- No, jasne, a myślałeś że nie przyjadę? Nie chcę tylko złapać tego trypra, to wszystko.

Uśmiechnął się. - Nie martw się, będę grzeczny.

Ale musiał jej to powiedzieć... zanim przyjedzie... to byłoby niesprawiedliwe. -

Tan... - Głos uwiązł mu w gardle. Nikomu jeszcze o tym nie mówił. Nie rozmawiał nawet z ojcem. Nie mogli go odszukać, a Harry wiedział, że do końca tygodnia powinien pojawić się w Gstaad. Zawsze spędzał tam Święta Bożego Narodzenia, z Harrym albo bez niego. Szwajcaria była dla niego symbolem Bożego Narodzenia. - Tan... to jest trochę więcej niż tryper...

Skóra na niej ścierpła, zamknęła oczy.

- Tak, dupku? Co to takiego? - Specjalnie używała takich słów, żeby go rozśmieszyć, na wypadek gdyby nie był w najlepszej formie, ale było już za późno... nie mogła zmienić ani prawdy, ani słów...

- Trochę mnie postrzelili...

Usłyszała, że jego głos załamał się i poczuła ból w piersi, starając się powstrzymać łkanie.

- O, czyżby? No i po co było tam jechać? - Walczyła ze łzami, on także.

- Nie miałem chyba nic lepszego do roboty. Dziewczęta były naprawdę do kitu... - Jego głos był coraz smutniejszy i bardzo łagodny... - w porównaniu z tobą, Tan.

- Jezu, musieli cię chyba postrzelić w mózg. - Usiłowali obracać to w żart, ale kiedy tak stała boso przy telefonie, całe jej ciało zamieniało się pomału w sople lodu. - Lettennan, tak?

- Tak.

- Będę tam za pół godziny.

- Nie musisz się spieszyć. Nigdzie się nie wybieram.

I rzeczywiście, nie miał na to szans. Ale Tana nie wiedziała o tym. Szybko założyła dżinsy, wsunęła bose stopy w buty, nie patrząc które, wciągnęła na siebie czarny kołnierz golfowy, przeczesła włosy i chwyciła z łóżka groszkowy żakiet. Musiała do niego natychmiast pojechać i przekonać się, co się z nim dzieje... Trochę mnie postrzelili... Przez całą drogę do szpitala Lettennan te słowa nie dawały jej spokoju. Myślała o tym wsiadając do autobusu i potem łapiąc w Presidio taksówkę. Zabrało jej to dwa razy więcej czasu, niż mu powiedziała, ale spieszyła się jak diabli i pięćdziesiąt pięć minut po ich rozmowie trafiła wreszcie do szpitala i zapytała w recepcji o pokój Harry'ego. Kobieta w recepcji zapytała Tanę, na jakim oddziale leży, a ona przez chwilę miała ogromną ochotę odpowiedzieć „na oddziale, na którym leczy się trypra”, ale czuła się tu dziwnie, i było jeszcze gorzej, kiedy biegła korytarzem oddziału neurochirurgii, modląc się, by wszystko było z nim w porządku. Jej twarz była tak blada, że aż prawie szara, ale jego była taka sama, kiedy weszła do pokoju. Obok niego ustawiono respirator, a on sam leżał płasko na łóżku. Nad nim wisiało lustro. Wokół stały jakieś stojaki z rurkami, cały czas

czuwała przy nim pielęgniarka. W pierwszej chwili pomyślała, że jest sparaliżowany. Nie poruszał żadną kończyną, a kiedy wreszcie uniósł rękę, jej oczy wypełniły się łzami. Okazało się, że nie pomyliła się tak bardzo. Był sparaliżowany od pasa w dół. Jeszcze tego samego wieczora tłumaczył jej ze łzami w oczach, że został postrzelony w kręgosłup.

Wreszcie mógł z nią rozmawiać, wypłakać się, powiedzieć jej, co czuje. - Czuł się beznadziejnie. Chciał umrzeć. Od kiedy wrócił, myślał wyłącznie o śmierci.

- I tak to właśnie wygląda... - Mówił z dużym wysiłkiem, łzy spływały po jego policzkach i tworzyły mokre ślady na pościeli. - Już zawsze będę uwięziony w wózku inwalidzkim...

Teraz nie ukrywał już swojej rozpacz. Myślał, że już jej nigdy nie zobaczy, i nagle stanęła przed nim, tak piękna i dobra, i taka płowa... taka sama jak zawsze. Tutaj wszystko było jak dawniej, nic się nie zmieniło. Nikt tu nie słyszał o Wietnamie, o Sajgonie czy Da Nang, albo Yietcongu, którego nikt nawet nie widział na oczy. Żołci strzelali po prostu w tyłek zaczajeni w zaroślach, albo gdzieś na drzewie. Mieli może po dziewięć lat, albo przynajmniej na tyle wyglądali. Ale nikogo tutaj to nie obchodziło.

Tana patrzyła na niego, starając się powstrzymać łzy. Była wdzięczna, że Harry w ogóle żyje. Opowiedział jej straszne historie o tym, jak leżał z twarzą zanurzoną w błocie, w szalejących wichurach i ulewach, jak spędził pięć dni w dżungli. To, że przeżył to wszystko, graniczyło z cudem. No i co z tego, że nie będzie chodził? Był żywy i tylko to się liczyło. To, co kiedyś powiedziała o niej Miriam Blake, właśnie teraz zaczynało w niej naprawdę dojrzewać.

- To nauczka za to, że pieprzyłeś się z tanimi dziwkami, ty dupku. Teraz możesz sobie jeszcze trochę poleżeć, ale musisz wiedzieć, że ja nie dopuszczę do tego, żebyś zbyt długo leniuchował. Zrozumiano?

Stała nad nim, oboje nie mogli powstrzymać łez, wzięła go za rękę, a on mocno ją uściskał.

- Ruszysz tyłkiem i zrobisz ze sobą coś pożytecznego. Jasne? Przyglądał się jej z niedowierzaniem, a najdziwniejsze było to, że mówiła to wszystko poważnie.

- Jasne? - Jej głos się załamywał, tak samo jak jej serce.

- Wiesz co, ty naprawdę jesteś zupełnie zwariowana. Wiesz o tym, Tan?

- A ty jesteś leniwym sukinsynem i nie przyzwyczajaj się za bardzo do tego wylegiwania się, bo to nie potrwa długo. Zrozumiałeś, dupku?

- Tak jest. - Zasalutował jej, a kilka minut później Tana patrzyła, jak po zastrzyku, który zaaplikowała mu pielęgniarka, zapada w sen. Trzymając go za rękę, nie mogła już powstrzymać spływających po policzkach łez i szeptem modliła się, dziękując Bogu za jego cudowne ocalenie. Patrzyła na niego godzinami, cały czas ściskając jego dłoń. W końcu pocałowała go w policzek, ucałowała jego oczy i wyszła. Było już po północy, kiedy wracała autobusem do Berkeley. Przez całą drogę powtarzała tylko jedno: „Dzięki ci Boże”. Dzięki ci Boże, że żył. Dzięki ci Boże, że nie zabili go w jakiejś dżungli na końcu świata, albo gdziekolwiek to było. Wietnam nabrał dla niej teraz nowego znaczenia. To było miejsce, do którego ludzie jechali, by zginąć. Nie można było poczytać o tym w książkach ani porozmawiać na przerwie z profesorami czy przyjaciółmi. Teraz Wietnam był dla niej czymś bardzo realnym. Dokładnie wiedziała, co oznacza, to słowo. To znaczyło to, że Harry Winslow już nigdy nie będzie chodził. Kiedy tej nocy wysiadła z autobusu w Berkeley, z jej oczu nadal płynęły łzy. Idąc do swojego wynajętego pokoju, wcisnęła ręce do kieszeni i pomyślała, że odtąd żadne z nich nie będzie już takie samo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tana czuwała przy nim prawie bez przerwy przez następne dwa dni. Wychodziła tylko na krótko, żeby wpaść do domu, złapać kilka godzin snu, wykapać się, zmienić ubranie i znowu wrócić. Trzymała go za rękę i jeśli akurat nie spał, rozmawiali o latach, kiedy on studiował na Harvardzie, a ona w Bostonie, o ich tandemie i wakacjach razem spędzonych na Cape Cod. Przeważnie był pod wpływem środków oszłamiających, ale czasem był tak załamany swoim stanem, że bolało ją serce, kiedy musiała patrzeć na jego cierpienia. Zdawała sobie sprawę z tego, jakiego rodzaju myśli krążyły mu po głowie. Nie chciał do końca życia leżeć sparalizowany. Chciał umrzeć, ciągle powtarzał to w rozmowach z Taną. A ona krzyczała na niego i nazywała go sukinsynem. Ale bała się zostawiać go samego na noc, obawiała się, że może zrobić sobie coś złego. Powiedziała o swoich wątpliwościach pielęgniarkom, ale nie zrobiło to na nich wielkiego wrażenia. Były przyzwyczajone do takiego zachowania. Nie spuszczały z niego oka, ale miały także dużo roboty z innymi pacjentami, którzy byli w znacznie gorszym stanie. Na przykład ten chłopak w końcu korytarza stracił obie ręce i miał zupełnie zmasakrowaną twarz, po tym jak sześciolatek włożył mu do ręki granat.

Rano, w Wigilię Bożego Narodzenia, zanim wyszła do szpitala zadzwoniła do niej matka. W Nowym Jorku była dziesiąta rano. Jean poszła do pracy na kilka godzin i pomyślała, że zadzwoni do Tany, żeby dowiedzieć się, co u niej słychać. Miała nadzieję, że może w ostatniej chwili jej córka zmieni zdanie i przyjedzie do domu, by spędzić z nią święta. Tana już od miesięcy uprzedzała ją, że nie ma szans, żeby to się udało. Miała mnóstwo nauki i książek do przeczytania. Nie było też sensu, żeby Jean przyjeżdżała do niej. Były to bardzo przygnębiające perspektywy spędzenia świąt, zwłaszcza że Jean również była sama. Artur wyjechał na rodzinne święta do Palm Beach z Ann i Billym, zięciem i wnukiem. Jean nie została zaproszona. Rozumiała oczywiście, że nie pasowałaby do rodzinnego grona.

- Co u ciebie słychać, kochanie? - Jean nie dzwoniła do niej od dwóch tygodni. Była zbyt przygnębiona, żeby telefonować i nie chciała, żeby Tana domyśliła się, że jest jej smutno. Kiedy Artur spędzał święta w Nowym Jorku, miała przynajmniej nadzieję, że

może wpadnie do niej na kilka godzin, ale w tym roku nawet takiej szansy nie było, a Tana przebywała tak daleko...

- Masz tyle nauki, ile przewidywałaś?

- Tak... I... nie...

Była na wpół przytomna. Siedziała u Harry'ego do czwartej nad ranem. Ostatniej nocy gorączka wzmogła się i bała się zostawić go samego, aż wreszcie o czwartej pielęgniarki zmusiły ją, żeby poszła do domu i przespała się trochę. Przed nim była jeszcze długa i ciężka droga i jeśli Tana już teraz, na samym początku wykończy się ciągłym czuwaniem, nie będzie mogła mu pomóc wtedy, kiedy będzie potrzebował jej najbardziej.

- Nie, nie uczyłam się ostatnio. To znaczy w ciągu ostatnich trzech dni. - Ziewała ze zmęczenia, siedząc na twardym krześle przy telefonie. - Harry wrócił z Wietnamu. - Jej oczy zamglily się na wspomnienie o tym. Po raz pierwszy mówiła o nim głośno. Do tej pory, na samą myśl o tym robiło się jej niedobrze.

- Spotykasz się z nim? - Jean była zdenerwowana. - Myślałam, że masz dużo nauki. Gdybym wiedziała, że znajdziesz czas na rozrywki, Tano, nie siedziałabym sama w Święta Bożego Narodzenia... Jeśli masz czas dla niego, mogłabyś przynajmniej...

- Przestań! - Tana prawie ryknęła w pustym korytarzu. - Przestań! On jest w Lettermanie. Na miłość boską, to nie jest żadna rozrywka.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Jean nigdy nie słyszała córki mówiącej takim tonem. W jej głosie była jakaś histeryczna desperacja i lęk.

- Co to jest Letterman? - Wyobrażała sobie, że to jakiś hotel, ale coś jej mówiło, że się myli.

- To wojskowy szpital. Został postrzelony w kręgosłup...

Chwytała gwałtownie powietrze, żeby się tylko nie rozplakać, ale to nie pomagało. Nic nie pomagało. Kiedy nie siedziała przy nim, ciągle płakała. Skurczyła się na krześle, jak małe dziecko.

- On jest sparaliżowany, mammo... nie wiadomo, czy będzie żył... wczorajszej nocy miał taką strasznie wysoką gorączkę...

Siedziała tam, przy telefonie i płakała, kołysząc się w górę i w dół, nie mogąc przestać, ale musiała to z siebie wyrzucić. Jean patrzyła na przeciwległą ścianę swojego biura w zupełnym osłupieniu. Myślała o tym chłopcu, którego widywała tyle razy. Był taki pewny siebie, niemal dobroduszny, co wcale nie pasowało do jego wieku. Ciągłe się śmiał, był zabawny, bystry i inteligentny. Drażnił ją często i teraz dziękowała Bogu, że Tana za niego nie wyszła... wyobrażała sobie, jakie miałyby z nim życie.

- Och, kochanie... tak mi przykro...

- Mnie także. - Jej głos brzmiał zupełnie tak jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką i zginął jej piesek. - I nic nie mogę zrobić, żeby mu pomóc. Mogę tylko przy nim siedzieć i czuwać.

- Nie powinnaś tego robić. To dla ciebie za duży stres.

- Muszę przy nim być. Nie rozumiesz tego? - Jej głos był teraz szorstki. - Ma tylko mnie.

- A co z jego rodziną?

- Jego ojciec jeszcze się nie pokazał i pewnie się w ogóle nie pojawi, sukinsyn, a Harry tam po prostu leży i ledwie się trzyma.

- Nic na to nie poradzisz. I nie wydaje mi się, że powinnaś tak się angażować w coś takiego, Tan.

- Czyżby? - Była teraz wojowniczo nastawiona. - To co powinnam robić? Chodzić na przyjęcia na East Side, spędzać wieczory w Greenwich z klanem Durningów? To najgorsze bzdury, jakie kiedykolwiek słyszałam. Mój najlepszy przyjaciel został ranny w Wietnamie, a ty uważasz, że nie powinnam przy nim być. Co według ciebie powinnam zrobić, mamó? Wykreślić go z listy znajomych, bo nie będzie już tańczył?

- Nie bądź cyniczna, Tano. - Jean Roberts była twarda.

- A dlaczego nie, do diabła? W jakim my świecie żyjemy? Co się ze wszystkimi dzieje? Czy nikt nie widzi, w co się pakujemy w Wietnamie?

Nie wspominając Sharon i Richarda Blake'ów, Johna Kennedy'ego, i całego zła na świecie.

- Ani ty, ani ja nic tu nie zmienimy.

- Dlaczego nikogo nie obchodzi, co ja na ten temat myślę...? Co myślę ja... co myśli Harry... Dlaczego nikt go o to nie zapytał, zanim go tam wysłali? - Znowu rozplakała się i już nie mogła dłużej mówić.

- Opanuj się. - Jean odczekała chwilę i powiedziała, - Myślę, że powinnaś przyjechać na ferie do domu, Tan, zwłaszcza że święta masz zamiar spędzić w szpitalu, przy tym chłopcu.

- Nie mogę teraz przyjechać do domu. - Jej głos był ostry.

- Dlaczego nie możesz? - W oczach Jean pojawiły się łzy, poczuła się jak skrzywdzone dziecko.

- Nie zostawię teraz Harry'ego.

- Dlaczego on dla ciebie tyle znaczy...? Więcej niż ja...

- Po prostu jest tak, a nie inaczej. Czy święta spędzasz z Arturem albo chociaż częściowo? - Tana wyczyściła nos i wytarła oczy, ale Jean po drugiej stronie potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, w tym roku nie, Tan. Jedzie z dziećmi do Palm Beach.

- I nie zaprosił ciebie? - Tana była wstrząśnięta. On był naprawdę samolubnym, obrzydliwym sukinsynem. Postawiłaby go zaraz na drugim miejscu po ojcu Harry'ego.

- To by było dla niego kłopotliwe.

- Dlaczego? Jego żona nie żyje od ośmiu lat, a ty nie ukrywasz się przecież.

Dlaczego nie mógł cię zaprosić?

- To nie ma znaczenia. I tak mam mnóstwo pracy.

- Tak - obrzydzeniem napelniała ją ta służalczość i poświęcenie matki, „praca dla niego”. - Dlaczego nie powiesz mu wreszcie, żeby spadał, mamó? Masz już czterdzieści pięć lat i mogłabyś sobie znaleźć kogoś innego, nikt nie będzie cię traktował gorzej od niego.

- Tana, to nieprawda! - Zdenerwowała się gwałtownie.

- Nie? To dlaczego spędzasz Święta Bożego Narodzenia sama? Odpowiedzi Jean była ostra i szybka. - Bo moja córka nie przyjedzie na święta do domu.

Tana miała ochotę rzucić słuchawką. - Nie zwalaj tego na mnie, mamó.

- Nie mów do mnie w ten sposób. A może to nieprawda, co? Chcesz go mieć przy sobie, żeby znaleźć sobie wymówkę. Ale to ci się nie uda. Możesz nie przyjeżdżać do domu, ale nie udawaj, że to jest słuszne.

- Jestem studentką prawa, mam. Mam dwadzieścia dwa lata. Jestem dorosła. Nie mogę ciągle być przy tobie, tak jak kiedyś.

- On także nie może. A jego obowiązki są znacznie ważniejsze od twoich.

Płakała cicho, a Tana kręciła głową, nie mogąc już tego znieść. Jej głos był teraz spokojny.

- To do niego powinnaś mieć pretensje, mam, a nie do mnie. Przykro mi, że nie mogę być przy tobie, ale po prostu nie mam wyjścia.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. I ubolewam nad tym.

Jean westchnęła do słuchawki. - Chyba już nic nie mogę zrobić. I pewnie postępujesz słusznie. - Westchnęła, - Ale proszę cię, kochanie, nie siedź przez cały czas w szpitalu. To dla ciebie zbyt przygnębiające, a to i tak nic temu chłopcu nie pomoże. Sam się z tego podźwignie.

Jej stosunek do tej sprawy był obrzydliwy, ale Tana nie miała już ochoty kontynuować tej rozmowy.

- Tak, na pewno.

Miały odmienne poglądy i żadna z nich nie zamierzała ich zmienić. I tak już miało pozostać. Ich drogi rozeszły się i Jean zdawała sobie z tego sprawę. Myślała o tym, jakim szczęściarzem był Artur. Jego dzieci tak długo były przy nim. Ann potrzebowała jego pomocy finansowej i nie tylko, a jej mąż praktycznie całował ślady jego stóp. Nawet Billy mieszkał razem z nim. Kiedy odkładała słuchawkę, zazdrościła mu z całego serca. Ale dla niej nie miał czasu prawie wcale. Zawsze były jakieś zobowiązania, interesy, starzy przyjaciele, którzy byli bardzo blisko z Marie i nie mogli zaakceptować Jean, przynajmniej on tak mówił. A ponadto jeszcze Billy i Ann. Dla niej nie starczało już czasu. Ale mimo wszystko łączyło ich jakieś specjalne uczucie i ona wiedziała, że tak będzie zawsze.

Dlatego warto było na niego czekać, nawet kosztem wielu godzin spędzonych w samotności. Przynajmniej tak sobie wmawiała, sprząając z biurka i wracając do pustego mieszkania. W domu patrzyła ze smutkiem na pokój Tany. Poczowała ból, widząc, jaki jest czysty i pusty. Wyglądał zupełnie inaczej niż jej pokój w Berkeley, gdzie wszystko leżało porzucane na podłodze. Zwykle w pośpiechu wyciągała rzeczy, spiesząc się z powrotem do Harry'ego. Po rozmowie z matką zadzwoniła do szpitala i powiedzieli jej, że temperatura znowu się podniosła. Spał i właśnie przed chwilą dostał zastrzyk. Chciała wrócić do niego, zanim znowu się obudzi. Rozczesując włosy i wciągając na siebie dzinsy myślała o tym, co powiedziała jej matka. To było takie niesprawiedliwe, że Jean spędza święta sama. Jakim prawem uważała, że obowiązkiem Tany było być ciągle przy niej? W ten sposób chciała oczyścić Artura z winy. Przez szesnaście lat szukała dla niego wytłumaczenia, w oczach Tany, swoich własnych, przyjaciół, dziewcząt z pracy. Jak długo można usprawiedliwiać tego faceta?

Tana ściągnęła kurtkę z wieszaka i zbiegła na dół. Przejazd autobusem przez Bay Bridge zajął jej pół godziny, kolejne dwadzieścia minut upłynęło, zanim dotarła do Lettermana, położonego w zaciszu Presidio. Na mieście był ruch znacznie większy niż w ciągu ostatnich kilku dni, ale był to przecież poranek wigilijny, więc mogła się tego spodziewać. Wychodząc z autobusu starała się nie myśleć o matce. Ona mogła sama o siebie zadbać, Harry natomiast - nie. Myślała ciągle o tym, kiedy dotarła na trzecie piętro i cicho weszła do pokoju. Nadal spał, zasłony w pokoju były zaciągnięte. Na zewnątrz był słoneczny, zimowy poranek, ale tu nie dochodziło ani jasne światło, ani radość. Wszystko spowijała ciemność, cisza i smutek. Osunęła się bezgłośnie na krzesło koło jego łóżka i przyglądała się jego twarzy. Był pogrążony w głębokim, narkotycznym śnie i leżał nieruchomo przez następne dwie godziny. Tana w końcu odczuła potrzebę jakiegoś ruchu. Zaczęła więc spacerować po korytarzu, tam i z powrotem, nie zaglądając do innych sal, omijając wzrokiem te wszystkie urządzenia, zrozpaczone twarze rodziców odwiedzających swoich synów, albo to, co z nich pozostało, nie patrząc na bandaże, pokiereszowane twarze, ułomne kończyny. Z trudem mogła to wytrzymać i kiedy doszła do końca korytarza i zaczerpnęła trochę powietrza, nagle ujrzała przed sobą kogoś, czyj

widok oszołomił ją zupełnie. Był to najwyższy i najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego spotkała w życiu. Wysoki, ciemnowłosy, z błyszczącymi, niebieskimi oczyma, pięknie opalony, o szerokich ramionach, długich nogach, niemal sięgających nieba, w nieskazitelnie skrojonym ciemnoniebieskim garniturze, z przerzuconym przez ramię płaszczem z wielbłądziej wełny. Jego koszula była tak nienagannie kremowa, że wyglądał jak model z reklamy. Wszystko było w nim piękne, perfekcyjne i doskonale dopasowane. Na palcu lewej ręki nosił sygnet. Rozglądał się smutno i przez chwilę zatrzymał na niej wzrok, kiedy tak mu się przyglądała.

- Czy nie wiesz, gdzie tu jest neurochirurgia? Pokiwała głową czując się głupio, jak małe dziecko, i wreszcie nieśmiało uśmiechnęła się do niego.

- Jest tam, na końcu korytarza. - Wskazała mu kierunek, a on uśmiechnął się, ale tylko ustami, jego oczy były nadal smutne. Było w tym mężczyźnie coś nadzwyczaj żalosego, tak jakby właśnie stracił kogoś, na kim mu bardzo zależało, i tak też było albo prawie tak.

Tana złapała się na tym, że zastanawia się, po co on tu przyjechał. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, mimo że trzymał się świetnie i na pewno był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Jego ciemne, włosy przyprószone siwizną, dodawały mu uroku, pomyślała, kiedy tak przeszedł koło niej idąc do końca korytarza. Tana, nie myśląc co robi, powoli szła w tym kierunku, skąd przyszła. Zobaczyła, że skręcił w lewo, gdzie znajdował się pokój pielęgniarek, które zajmowały się oddziałem. Jej myśli wróciły teraz do Harry'ego i postanowiła, że lepiej będzie, jak już zajrzy do jego pokoju. Co prawda niedawno stamtąd wyszła, ale może już się obudził, a tyle chciała mu powiedzieć, o tylu sprawach myślała tej nocy, miała mnóstwo pomysłów, które mogli wykorzystać. Naprawdę miała zamiar je zrealizować, nie pozwoli mu tak po prostu leżeć i zamartwiać się. Całe życie jest przed nim. Dwie pielęgniarki uśmiechnęły się do niej, gdy je mijala. Na palcach weszła do pokoju Harry'ego, nadal pogrążonego w ciemnościach. Na zewnątrz i tak już zachodziło słońce. Od razu zobaczyła, że Harry się obudził. Wyglądał na trochę otumanionego, rozpoznał ją jednak, ale nie uśmiechnął się.

Ich spojrzenia spotkały się i zatrzymały na sobie, poczuła wyraźnie, już wchodząc

do pokoju, że coś tu jest nie w porządku, coś się pogorszyło, jeśli to w ogóle było jeszcze możliwe. Omiotła spojrzeniem pokój, szukając rozwiązania i wreszcie znalazła go tam, w rogu pomieszczenia. To był ten poważny, przystojny, ciemnowłosy mężczyzna, w ciemnoniebieskim garniturze. Niemal podskoczyła z wrażenia. Nigdy by na to nie wpadła... a teraz nagle już wiedziała... Harrison Winslow III... ojciec Harry'ego... Nareszcie się pojawił.

- Cześć, Tan. - Harry wyglądał na nieszczęśliwego i niezadowolonego z niezręcznej sytuacji. Teraz musiał znosić także jego obecność i rozgoryczenie. Z Taną było znacznie łatwiej, ona zawsze rozumiała, co czuje. Ojcu nigdy się to nie zdarzało.

- Jak się czujesz? - Przez moment oboje ignorowali obecność starszego pana, tak jakby czerpali od siebie nawzajem siłę. Tana nie bardzo wiedziała, co mogłaby mu powiedzieć.

- Nieźle. - Ale nie wyglądał dobrze. Przeniósł wzrok na elegancko ubranego mężczyznę. - Ojczy, to jest Tana Roberts, moja przyjaciółka. - Starszy Winslow nie powiedział zbyt wiele, ale wyciągnął do niej rękę. Wyglądało na to, że Tana jest tu intruzem. Chciał wiedzieć, jak to się stało, że Harry tu wylądował. Wczoraj przyleciał z południowej Afryki do Londynu i odebrał telegramy, które na niego czekały. Natychmiast przyleciał do San Francisco, ale nie znał właściwie żadnych szczegółów. Wciąż jeszcze próbował dojść do siebie po przeżytych szoku. Zanim Tana weszła do pokoju, Harry właśnie zdążył mu powiedzieć, że do końca życia będzie przywiązany do wózka inwalidzkiego. Nie marnował czasu, powiedział mu to bez ogródek, nie ubierając niczego w piękne słówka. Harry uważał, że nie musi być delikatny, ojciec nie zasługuje na to. Poza tym chodziło tu o jego nogi, i jeśli one odmówią mu posłuszeństwa, to będzie jego własny problem i mógł o tym mówić w taki sposób, jaki mu się podobał. Nie przebierał w słowach.

- Tan, to jest mój ojciec, Harrison Winslow - i sarkastycznie dodał: - Trzeci.

Nic nie zmieniło się między nimi. Nawet w takiej chwili. Jego ojciec był zdruzgotany.

- Czy chcielibyście zostać sami? - Tana przeniosła spojrzenie z jednego

mężczyzny na drugiego i z łatwością odczytała odpowiedź. Harry wolałby, żeby została, ale jego ojciec chciał porozmawiać z nim w cztery oczy. - Przyniosę trochę herbaty. - Popatrzyła na jego ojca z uwagą. - Czy pan także miałby ochotę się napić?

Z pewnym zakłopotaniem pokiwał głową. - Tak, poproszę. I dziękuję bardzo.

Uśmiechnął się i nie sposób było nie zauważyć, jakim był oszałamiająco przystojnym mężczyzną, nawet tutaj, w szpitalu, w pokoju syna, słuchając złych wieści. Miał niezwykle, ciemnoniebieskie oczy, w jego pięknie wyrzeźbionej twarzy była jakaś siła, jego dłonie były jednocześnie delikatne i zdecydowane. Trudno było wyobrazić go sobie jako łajdaka, którego opisywał Harry, ale musiała uwierzyć mu na słowo. Szła do kafeterii powoli, nie spiesząc się, zaczęła jednak mieć wątpliwości. Wróciła po prawie półgodzinie, zastanawiając się, czy powinna zaraz wyjść i wrócić jutro czy później, wieczorem. I tak musiała się jeszcze pouczyć, ale kiedy weszła do pokoju, w oczach Harry'ego było błagalne spojrzenie, jakby prosił ją, żeby uwolniła go od obecności ojca. Zauważyła to także pielęgniarka, która właśnie przyszła i, nie wiedząc skąd pochodzi zmiana nastroju Harry'ego, poprosiła ich oboje, żeby wyszli. Tana pochyliła się nad Harrym, by pocałować go na do widzenia, a on szepnął jej do ucha.

- Wróc dziś wieczorem... jeśli możesz...

- Dobrze. - Pocałowała go w policzek i zapamiętała sobie, żeby przede wszystkim zadzwonić do pielęgniarek. W końcu była Wigilia Bożego Narodzenia, więc może po prostu nie chciał spędzać jej sam. Zastanawiała się, czy zdążył pokłócić się z ojcem. Ojciec odwrócił się przez ramię w jego stronę i westchnął ciężko, kiedy oboje wychodzili z pokoju i szli wzdłuż korytarza. Pochylił nisko głowę i wbił wzrok w swoje nieskazitelnie wyczyszczone buty; Tana bała się odezwać. Czowała się niezręcznie w zniszczonych mokasynach i wytartych džinsach, ale nie myślała, że kogoś może spotkać, a już na pewno nie legendarnego Harrisona Winslowa DI. Była strasznie przejęta, kiedy nagle odezwał się do niej.

- Co o tym sądzisz?

Tana odetchnęła głęboko. - Na razie trudno powiedzieć... jest jeszcze za wcześnie, żeby oceniać jego stan... nadal jest w szoku. Harrison Winslow pokiwał głową.

On także był w szoku. Zanim wszedł na górę, rozmawiał z doktorem i dowiedział się, że nie mogli już nic zrobić. Rdzeń kręgowy został tak poważnie uszkodzony, jak tłumaczył neurochirurg, że Harry już nigdy nie będzie mógł chodzić. Połatali go trochę, a następna operacja czekała go za sześć miesięcy. Ale występowały też pewne objawy, z których lekarz był zadowolony. Powiedzieli o tym wszystkim Harry'emu, ale było jeszcze za wcześnie, żeby dokładnie ocenić sytuację. Najlepszą wiadomością był fakt, że będzie mógł kontynuować swoje bogate życie seksualne. Ośrodek systemu nerwowego odpowiedzialny za te rejony nadal funkcjonował, przynajmniej do pewnego stopnia i mimo, że Harry nie reagował w pełni i z powodu paraliżu nie mógł całkowicie kontrolować sytuacji, z pewnością będzie mógł zażywać przyjemności.

- Myślę, że będzie nawet mógł mieć potomstwo - doktor powiedział ojcu.

Ale było tyle rzeczy, których na pewno nie był w stanie zrobić, chodzić, czy tańczyć, biegać, jeździć na nartach... oczy ojca wypełniły łzy na myśl o tym. Przypomniał sobie nagle dziewczynę, która szła obok niego korytarzem. Była śliczna, zauważył ją, jak tylko wszedł na górę. Zwrócił uwagę na jej piękną twarz, duże, zielone oczy, wdzięk, z jakim się poruszała. Był zaskoczony, gdy ujrzał ją w pokoju Harry'ego.

- Rozumiem, że jesteś bliską przyjaciółką Harry'ego? To dziwne, ale Harry nigdy o niej nie wspominał. Właściwie nigdy mu się nie zwierzał.

- Tak, to prawda. Przyjaźnimy się od czterech lat.

Nie chciał jej przesłuchiwać w recepcji szpitala. Ale z drugiej strony chętnie by się dowiedział, jak to wszystko naprawdę wygląda i może to była właściwa chwila. Ciekawe, co naprawdę łączyło tę dziewczynę z Harrym. Jeszcze jedna przelotna miłość czy skrywana miłość, albo może jest jego żoną, o której ojciec nic nie wie? Musiał mieć na uwadze finansową sytuację Harry'ego, nawet jeśli chłopak był wystarczająco rozsądny, żeby o siebie zadbać.

- Czy jesteś w nim zakochana? - Jego oczy przenikały ją na wylot. Tana stanęła jak wryta.

- Ja... nie... Ja., to znaczy - nie była pewna, dlaczego o to pyta. - Ja go bardzo kocham... ale nie... to znaczy, to nie jest miłość fizyczna, jeśli rozumie pan, o co mi

chodzi. - Zaczerwieniła się po same uszy, próbując mu to wytłumaczyć, a on uśmiechnął się przeprasząc.

- Przepraszam, że pytam cię o takie rzeczy, ale jeśli znasz Harry'ego dobrze, to wiesz, jaki jest. Nigdy nie wiem, co się z nim dzieje i, jak przypuszczam, któregoś pięknego dnia przyjadę i dowiem się nagle, że ma żonę i troje dzieci.

Tana roześmiała się. To mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Raczej trzy kochanki. Nagle zdała sobie sprawę, że nie potrafi odczuwać niechęci do tego mężczyzny, tak jak życzyłby sobie tego Harry, a wręcz przeciwnie, rodziła się w niej sympatia do niego.

Z pewnością było w nim wiele siły, nie obawiał się zapytać o to, co chciał wiedzieć. Patrzył na nią teraz, spojrział na zegarek i na limuzynę, która stała na zewnątrz.

- Czy nie wybrałabyś się ze mną gdzieś na kawę? Może do mojego hotelu? Zatrzymałem się w Stanford Court, ale kierowca mógłby cię potem odwiedzić dokądkolwiek sobie życzysz. Co na to powiesz?

Tak naprawdę zabrzmiało to trochę podstępnie, ale nie wiedziała co ma odpowiedzieć. Żal jej go było, tyle przeszedł i przebył taką długą drogę, żeby tu dotrzeć.

- Ja... właściwie to powinnam już wracać... mam mnóstwo nauki...

Zaczerwieniła się, a on posmutniał. Nagle obudziło się w niej współczucie. Mimo całej jego elegancji i oszałamiającej prezencji, wydał się jej taki wrażliwy.

- Przepraszam, nie chciałam, żeby to zabrzmiało niegrzecznie. Po prostu...

- Wiem. - Spojrział na nią z takim smutnym uśmiechem, że jej serce dosłownie topniało. - Powiedział ci, jakim jestem sukinsynem. Ale jest przecież Wigilia Bożego Narodzenia. Myślę, że nam obojgu dobrze zrobi rozmowa. Przeżyłem straszny szok i pewnie ty także.

Pokiwała smutno głową i poszła za nim do samochodu. Kierowca otworzył przed nią drzwi. Harrison Winslow usiadł przy niej na welwetowym siedzeniu. Był taki zamyślony, kiedy za oknem przesuwały się ulice miasta. Wydawało się, że upłynęła tylko krótka chwila, gdy dotarli do Nob Hill, skąd skręcili na wschód i znaleźli się na podjeździe do Stanford Court.

- Harry i ja przeżyliśmy wiele trudnych chwil w ciągu tych wszystkich lat. Jakoś nigdy nie mogliśmy sobie z tym poradzić... - zachowywał się tak jakby mówił do siebie. Wcale nie wyglądał na takiego podłego, jak Harry go przedstawiał. Właściwie było wręcz odwrotnie. Robił wrażenie samotnego i był bardzo smutny. Popatrzył na nią wymownie.

- Jesteś piękną dziewczyną... i to nie tylko dlatego, że masz piękną twarz i figurę. Harry ma szczęście, że zostałaś jego przyjaciółką.

Najdziwniejsze było coś, o czym Harry nie mógł wiedzieć. Była tak bardzo podobna do jego matki, kiedy była w jej wieku. Harrison obserwował ją z zaskoczeniem, kiedy z wdziękiem wysiadła z samochodu, a on szedł za nią do hotelu. Poszli do restauracji Potpourri i usiedli w kąciuku. Nie odrywał od niej wzroku, jakby próbując zrozumieć, kim była w życiu jego syna. Trudno mu było uwierzyć, że była tylko „przyjaciółką”, jak twierdziła i podkreślała to w rozmowie. Nie miała jednak powodu, żeby kłamać.

Tana z uśmiechem popatrzyła mu w oczy. - Moja matka mówi to samo co pan, panie Winslow. Powtarza mi ciągle „nie ma przyjaźni między chłopcem a dziewczyną”, a ja twierdzę, że nie ma racji. Bo właśnie ja i Harry jesteśmy najlepszym tego przykładem... on jest moim najlepszym przyjacielem na całym świecie... jest moim bratem... Jej oczy wypełniły łzy i odwróciła wzrok myśląc o tym, co się stało. - ... Zrobię wszystko, żeby pomóc mu wrócić do normalnego życia. - Spojrzała wojowniczo na Harrisona Winslowa, ale bez złości. Była wściekła na los, który zgotował mu takie życie. - Widzi pan, ja nie pozwolę... nie pozwolę, żeby tak leżał na tyłku i zamartwiał się - zaczerwieniła się, ale ciągnęła dalej - przywrócę go życiu i sprawię, żeby znowu był pełen wigoru. - Popatrzyła na niego dziwnie. - Mam pewien pomysł, ale najpierw muszę porozmawiać o tym z Harrym.

Był zaintrygowany. Może jednak ma jakieś plany wobec niego, ale chyba nie było tak źle. Oprócz tego, że była śliczna, z pewnością nie brakowało jej inteligencji i energii. Kiedy zaczęła mówić, w jej oczach zapaliły się ogniki i wiedział, że to, o czym mówi, ma dla niej ogromne znaczenie.

- Jaki to pomysł? - Zaintrygowała go i gdyby nie martwił się tak bardzo o syna,

byłoby to nawet zabawne.

Nie miała odwagi. Pomyśli pewnie, że zwariowała, zwłaszcza jeśli jest zupełnie bez ambicji, tak jak Harry.

- No, nie wiem... to zabrzmiało pewnie zupełnie bez sensu, ale pomyślałam... naprawdę nie wiem... - Zawstydziała się, nie mogła przełamać oporów. - Pomyślałam, że może uda mi się namówić go, żeby studiował razem ze mną prawo. Nawet jeśli nie będzie później praktykował, na pewno mu się to przyda, zwłaszcza w takiej sytuacji.

- Mówisz poważnie? - Wokół oczu Harrisona Winslowa pojawiły się zmarszczki wywołane uśmiechem. - Mój syn? Studentem prawa? - Poklepał jej dłoń z uśmiechem. Była niezwykłą dziewczyną, pełną energii, nie mógł powiedzieć o niej złego słowa. - Jeśli uda ci się go przekonać, zwłaszcza teraz - jego twarz momentalnie stężała - będziesz jeszcze bardziej niezwykła, niż mi się wydajesz.

- Mam zamiar spróbować, jak na tyle dojdzie do siebie, aby mógł mnie wysłuchać.

- Obawiam się, że to jeszcze trochę potrwa.

Oboje smutno pokiwali głowami. Ciszę przerwały odgłosy śpiewanych gdzieś na zewnątrz kolęd. Nagle Tana popatrzyła na niego i zapytała.

- Dlaczego tak rzadko się pan z nim widuje?

Musiała go o to zapytać. Nie miała nic do stracenia, a jeśli będzie na nią zły, to zawsze może po prostu wyjść. Nic nie może jej zrobić. Nie wyglądał jednak na niezadowolonego i spojrzał jej prosto w oczy.

- Szczerze? Dlatego, że Harry i ja to już stracona sprawa. Próbowałem bardzo długo, ale niczego nie osiągnąłem. Znienawidził mnie kiedy jeszcze był małym chłopcem, a z upływem lat sytuacja jeszcze bardziej się pogarszała. Po jakimś czasie nie było sensu, żeby być razem i zadawać sobie rany. Świat jest wielki, ja mam mnóstwo zajęć, a on ma swoje własne życie - jego oczy były pełne łez, patrzył przed siebie - ... przynajmniej miał je do tej pory...

Wyciągnęła do niego rękę i pogłaskała jego dłoń.

- I znowu je będzie miał. Obiecuję... jeśli przeżyje... o Boże... jeśli przeżyje... błagam cię, Boże, nie pozwól mu umrzeć.

Z jej oczu potoczyły się łzy, otarła je z twarzy. - On jest taki wspaniały, panie Winslow. Jest najlepszym przyjacielem, jakiego miałam w życiu.

- Chciałbym móc powiedzieć to samo. - Posmutniał.

- Teraz jesteśmy dla siebie zupełnie obcy. Dzisiaj w jego pokoju czułem się jak intruz.

- Może dlatego, że ja tam byłam. Powinna być zostawić was samych.

- To nie miało żadnego znaczenia. To już zaszło za daleko. Jesteśmy dla siebie obcy.

- Tak nie musi być.

Rozmawiała z nim jakby go dobrze знаła, i już nie robił na niej tak wielkiego wrażenia, bez względu na to, jakim był światowcem, jak bardzo był przystojny i szarmancki. Tak naprawdę był teraz tylko istotą ludzką z ogromnym problemem, bardzo chorym synem.

- Właśnie teraz moglibyście się zaprzyjaźnić.

Harrison Winslow pokręcił głową z powątpiewaniem i po chwili uśmiechnął się do niej. Pomyślał, że Tana jest niesamowicie piękną dziewczyną i nagle zaczął się znowu zastanawiać, na czym naprawdę polega to, co istnieje między nią a Harrym. Jego syn był zbyt wielkim libertynem, żeby przepuścić taką szansę, chyba że zależało mu na niej znacznie bardziej, niż jej się wydawało... a może to była... może Harry był w niej zakochany... tak, to musi być to. Niemożliwe, żeby ona miała rację.

- Na to już za późno, moja droga. Grubo za późno. W jego oczach moje grzechy są niewybaczalne. - Westchnął ciężko. - Pewnie na jego miejscu czułbym się tak samo. - Popatrzył na nią twardo. - Wiesz, on uważa, że zabiłem jego matkę. Popelniła samobójstwo, kiedy miał cztery lata.

Niemal zakrztusiła się z wrażenia, usłyszawszy to wyznanie.

- Wiem.

Jego spojrzenie było przerażająco smutne, jego dusza wypełniona po brzegi bólem. Miłość do niej nigdy nie umarła, tak samo jak miłość do syna.

- Umierała na raka i nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział. Wiedziała, że w

końcowym etapie choroby będzie zmieniona i okropnie zdeformowana. Nie chciała do tego dopuścić. Zanim umarła przeszła przez dwie operacje... i... - przerwał, by za chwilę kontynuować - ... to było dla niej straszne... dla nas wszystkich... Harry wiedział wtedy, że jest chora, ale teraz tego nie pamięta. To i tak nie ma już znaczenia. Operacje nie przedłużyły jej życia, bardzo cierpiała. Nie mogłem patrzeć na jej ból. To, co zrobiła, było straszne, ale zawsze to rozumiałem. Była taka młoda i taka piękna. Tak naprawdę była bardzo podobna do ciebie, sama była wtedy prawie dzieckiem...

- Nie wstydził się łez, a Tana patrzyła na niego sparaliżowana.

- Dlaczego Harry o tym nie wie?

- Obiecałem jej, że nigdy mu o tym nie powiem.

Ciężko opadł na oparcie fotela, jakby pod wpływem ciosu. Uczucie rozpaczki spowodowane jej śmiercią nigdy go nie opuściło. Próbował uwolnić się od niego w ciągu tych lat, najpierw zajmując się Harrym, potem kobietami, czymkolwiek, i w końcu pozostał sam. Miał pięćdziesiąt dwa lata i odkrył właśnie, że dotarł do takiego punktu w życiu, z którego nie było już wyjścia. Nie wiedział, co zrobić. Ciężko mu na sercu wspomnienia, smutek, uczucie straty... a teraz jeszcze może stracić Harry'ego na zawsze... nie mógł znieść tej myśli patrząc na tę piękną, młodą dziewczynę, tak pełną życia, przepelnioną nadzieją. Nie potrafił jej wytłumaczyć tego wszystkiego do końca, korzenie sięgały tak daleko.

- Ludzie wtedy zupełnie inaczej odnosili się do raka... to było coś, czego należało się wstydzić. Nie chciałem się na to zgodzić, ale tak szaleńczo nalegała, żeby Harry o niczym nie wiedział. Zostawiła mi bardzo długi list. Kiedy pojechałem do Bostonu, żeby odwiedzić moją ciotkę, przedawkowała pigułki. Chciała, by Harry zapamiętał ją zwierną, piękną, romantyczną, a nie wycieńczoną przez chorobę. I tak się stało... w jego oczach pozostała boginią. To było straszne, że umarła w ten sposób, ale gdyby musiała długo cierpieć, to byłoby jeszcze gorzej. Nigdy nie miałem do niej pretensji o to, co zrobiła.

- A pan pozwala mu myśleć, że to pana wina.

Była przerażona. Jej zielone oczy były jeszcze większe niż zwykle.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że tak to się potoczy, a kiedy to sobie

uświadomiłem, było już za późno. Dużo wyjeżdżałem, kiedy był mały, tak jakbym mógł uciec przed ogromnym bólem, jaki sprawiła mi jej utrata. Ale to nie pomaga. To idzie za tobą krok w krok, jak wygłodzony pies. Zawsze czeka na ciebie za drzwiami, aż się obudzisz. Skrobie w drzwi, łasi się do stóp, bez względu na to, jak oszalamiająco wyglądasz czy jak bardzo jesteś zajęty. Nawet jeśli masz wokół mnóstwo przyjaciół, zawsze jest z tobą, depta ci po piętach, dzwoniąc kajdanami... tak właśnie było... ale kiedy Harry skończył osiem czy dziewięć lat, doszedł do własnych wniosków na mój temat i zapalał do mnie taką nienawiścią, że umieściłem go w szkole z internatem. Zdecydował się tam zostać. Nie pozostało mi już nic więcej, wyjeżdżałem jeszcze częściej... i - dodał filozoficznie - umarła prawie dwadzieścia lat temu, i prawie w rocznicę jej śmierci... to było w styczniu...

Jego oczy zapatrzyły się w przestrzeń, by za chwilę przenieść spojrzenie na Tanę, ale to nie pomagało. Była za bardzo do niej podobna, patrząc na nią czuł się jakby wracał do przeszłości.

- A teraz po latach Harry jest w takim strasznym stanie... życie jest okrutne i dziwne, prawda?

Pokiwała głową, nie mogąc powiedzieć nic więcej. To, co usłyszała, dawało jej wiele do myślenia.

- Myślę, że powinien mu pan coś powiedzieć.

- O czym?

- O tym, jak umarła jego matka.

- Nie mógłbym tego zrobić. Obiecałem jej przecież... obiecałem sobie... gdybym teraz mu powiedział, to byłoby egoistyczne...

- Więc dlaczego mnie pan o tym powiedział?

Była w szoku, ta złość w jego głosie, świadomość, ile ludzie tracą w życiu, rezygnując z ważnych chwil, kiedy mogliby kochać się wzajemnie jak ojciec i syn. Stracili już tyle lat, które mogli spędzić razem. A Harry tak bardzo go teraz potrzebował. Potrzebował wszystkiego i wszystkich.

Harrison popatrzył na nią przepaszająco.

- Chyba nie powinienem być mówić ci o tym. Ale musiałem z kimś porozmawiać... a ty jesteś... jesteś mu tak bliska. - Spojrzał na nią jakby jej nie widząc. - Chciałbym, żebyś wiedziała, że kocham mojego syna.

Poczuła w gardle kulę wielkości pięści, ale nie mogła się zdecydować, czy ma go uderzyć, czy pocałować, a może jedno i drugie. Nigdy nie doznała takiego uczucia w stosunku do mężczyzny.

- Dlaczego, do diabła, sam mu pan tego nie powie?

- To nic nie pomoże.

- Nie wiadomo. Może nadszedł już czas.

Spojrzał na nią zamyślony, potem popatrzył na swoje dłonie i w końcu prosto w jej zielone oczy. - Być może. Nie znam go, ale... Nie wiedziałbym, od czego zacząć...

- Tak po prostu, panie Winslow. Tak samo, jak powiedział pan to mnie.

Uśmiechnął się do niej i nagle wydał się jej bardzo zmęczony.

- Skąd u ciebie tyle mądrości, dziecko drogie?

Odpowiedziała mu uśmiechem i poczuła emanujące od niego cudowne ciepło. Chwilami bardzo przypominał Harry'ego. Nagle zdumiona zdała sobie sprawę, że bardzo jej się podoba. Czowała jakby po latach odrętwienia wszystkie jej zmysły, które zamarły w niej po tym strasznym gwałcie, nagle odżyły.

- O czym teraz myślisz? Zaczzerwieniła się i pokręciła głową.

- O czymś, co nie ma z tym wszystkim nic wspólnego... Przepraszam... Jestem zmęczona... Od kilku dni w ogóle nie spałam...

- Odwiozę cię do domu, żebyś trochę odpoczęła.

Dał znak, że prosi o rachunek, a kiedy go otrzymał, popatrzył na nią z łagodnym uśmiechem, a ona zatęskniła za ojcem, którego nigdy nie miała ani nawet nie знаła. Chciałaby, żeby taki właśnie był Andy Roberts, a nie taki, jak Artur Durning, który wpadał i wypadał z życia jej matki, kiedy mu było wygodnie. Mężczyzna, który przed nią siedział, wcale nie był takim egoistą, jak to próbował jej wmówić Harry i sobie wmawiał także. Harry za bardzo pograżył się w nienawiści do ojca przez te lata i Tana widziała teraz wyraźnie, że nie miał racji. Bardzo się mylił. Zastanawiała się, czy Harrison miał

słuszność, że rzeczywiście było już za późno. - Dziękuję, że ze mną porozmawiałaś, Tano. Harry ma szczęście, mając takiego przyjaciela jak ty.

- To ja mam szczęście.

Włożył pod czek dwudziestodolarowy banknot i spojrzał na nią znowu.

- Czy jesteś jedynaczką?

Tak przypuszczał, a ona z uśmiechem przytaknęła kiwnięciem głowy.

- Tak. Nigdy nie znałam ojca, zginął na wojnie, zanim się urodziłam.

Opowiadała już o tym tysiące razy, ale teraz nabrało to jakiegoś nowego znaczenia. Wszystko znaczyło więcej. Nie rozumiała tego, nie wiedziała, dlaczego. Kiedy siedziała w towarzystwie tego mężczyzny, czuła że dzieje się z nią coś dziwnego. Kładła to na karb zmęczenia. Pozwoliła mu odprowadzić się do samochodu i była bardzo zaskoczona, kiedy się zorientowała, że zamiast zlecić to kierowcy, sam odwiezie ją do domu.

- Pojadę z tobą.

- Naprawdę, nie musi pan tego robić.

- Nie mam nic lepszego do roboty. Przyjechałem zobaczyć się z Harrym, ale chyba będzie lepiej, jeśli odpocznie trochę przez następnych kilka godzin.

Uważała, że ma rację. Jadąc przez most rozmawiali. Powiedział jej, że nigdy przedtem nie był w San Francisco. Podobało mu się tutaj, ale im dłużej jechali, tym bardziej wydawał się zamyślony. Podejrzewała, że myślał o synu, ale w rzeczywistości myślał wyłącznie o niej. Kiedy dotarli do celu, uściśnął jej dłoń.

- Do zobaczenia w szpitalu. Jeśli nie masz czym dojechać do szpitala, zadzwoń po prostu do mnie, do hotelu, ale przyślę po ciebie samochód.

Wspominała, że jeździ w obie strony autobusem, co go zmartwiło. Była taka młoda i piękna, nie chciał, żeby przydarzyło się jej coś złego.

- Dziękuję za wszystko, panie Winslow.

- Harrison. - Uśmiechnął się do niej i w tym momencie był bardzo podobny do Harry'ego. Jego uśmiech był trochę tajemniczy, ale nie tak szatański, jak czasami zdarzało się to jego synowi.

- Do zobaczenia wkrótce. Teraz odpocznij trochę!

Pomachał jej ręką, limuzyna ruszyła. Tana powoli wspięła się po schodach na górę, myśląc o wszystkim, co powiedział. Życie było czasem takie niesprawiedliwe. Zасыpiając rozmyślała o Harrisonie... Harrym... Wietnamie... i o kobiecie, która popełniła samobójstwo. We śnie Tany nie miała twarzy. Kiedy obudziła się, było już ciemno. Usiadła gwałtownie nie mogąc złapać oddechu. Spojrzała na zegar. Była dziewiąta wieczór. Chciała się dowiedzieć jak się czuje Harry. Poszła do automatu telefonicznego, zadzwoniła i uzyskała wiadomość, że gorączka trochę opadła. Harry nie spał przez jakiś czas, teraz drzemał, ale napewno jeszcze się obudzi. Na razie nie mieli zamiaru dawać mu tabletek nasennych.

Nagle Tana słysząc dobiegające z zewnątrz dźwięki kolęd zdała sobie sprawę, że jest Wigilia i że Harry jej potrzebuje. Włożyła białą sukienkę z pięknym, wplecionym w materiał wzorem, pantofle na obcasie, do tego czerwony płaszcz i apaszkę, której nie nosiła od czasu zimy w Nowym Jorku. Nie przypuszczała, że kiedyś jeszcze ją włoży. Wszystko wokół wyglądało tak jakoś świątecznie, więc pomyślała, że dla niego ten dzień powinien też być trochę inny. Uperfumowała się, wyszczotkowała włosy i wsiadła w autobus jadący do miasta. Znowu myślała o jego ojcu. Kiedy dotarła do Lettermana, była dziesiąta trzydzieści. Na zewnątrz był świąteczny, nieco senny wieczór. Małe drzewka jarzyły się migającymi światełkami, tu i tam wyglądały plastikowe figurki Świętych Mikołajów. Ale tutaj, w szpitalu, nikt nie był w specjalnie świątecznym nastroju. Zbyt wiele poważnych rzeczy działo się wokół. Stała przed drzwiami do jego pokoju, zapukała delikatnie i otworzyła cicho drzwi. Podejrzewała, że jeszcze śpi, ale on leżał, patrząc w ścianę, ze łzami w oczach. Drgnął, kiedy ją zobaczył, ale nie uśmiechnął się nawet.

- Ja umieram, prawda?

Zamarła, kiedy usłyszała te słowa. Zobaczyła martwe spojrzenie jego oczu. Nagle otrząsnęła się i podeszła do łóżka.

- Jeśli nie chcesz, to na pewno nie umrzesz. - Wiedziała, że musi z nim rozmawiać szczerze, a nawet trochę brutalnie. - Wszystko zależy od ciebie. - Stała bardzo blisko i patrzyła mu prosto w oczy, ale nie sięgnęła po jej rękę.

- Pleciesz bzdury. Przecież to nie był mój pomysł, żeby strzelili mi w tyłek.
- Pewnie, że twój. - To zabrzmiało prawie beztrąsko i to go rozwścieczyło.
- Co to ma znaczyć, do diabła?
- To, że mogłeś jeszcze chodzić do szkoły. Ale wolałeś się zabawić. I oszukałeś się. Zaryzykowałeś i straciłeś.

- Tak. Tylko, że nie straciłem kilku dolarów, ale moje nogi. To nie są tylko kawałki mięsa.

- Przecież one są na swoim miejscu. - Spojrzała w dół na jego bezużyteczne kończyny, a on niemal rzucił się na nią.

- Nie gadaj głupstw. Do czego one mi teraz?

- Jeśli je masz i ciągle jeszcze jesteś żywy, to jest mnóstwo do zrobienia. Z tego, co mówią pielęgniarki, zawsze możesz spróbować się podnieść.

Jeszcze nigdy nie rozmawiała z nim tak bezpośrednio i Wigilia nie była może najbardziej właściwym dniem do wygłaszania kazania, ale wiedziała, że nadszedł już czas, żeby go przycisnąć do muru, zwłaszcza teraz, kiedy ogarniały go myśli samobójcze.

- Słuchaj, spójrz na jasne strony. Masz jeszcze szansę go uruchomić i nawet złapać trypra.

- Niedobrze mi się robi, jak cię słucham. - Odwrócił się od niej, a ona niewiele myśląc złapała go za ramię, tak że musiał odwrócić się do niej znowu.

- Słuchaj, to ty mnie denerwujesz. Połowa twojego plutonu zginęła, a ty żyjesz, więc nie leż tu i nie rozpaczaj nad tym, co straciłeś. Pomyśl o tym, co masz. Twoje życie się jeszcze nie skończyło, chyba że sam tego chcesz, ale ja na to nie pozwolę. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Chcę, żebyś skończył z tym wylegiwaniem się. Jeśli będę musiała, to przez najbliższe dziesięć lat będę cię ciągnęła za włosy, żebyś ruszył tyłek i znowu zaczął żyć. Jasne? - Po twarzy sływały jej łzy. - Nie pozwolę ci się poddać. Nigdy! Rozumiesz? - I powoli, powoli... ujrzała w jego oczach cień uśmiechu.

- Jesteś zupełnie szalona, wiesz, Tan?

- Tak, może i jestem, ale dowiesz się, jak bardzo jestem szalona, dopiero wtedy,

kiedy zrobisz w swoim życiu coś pożytecznego. Zrób to dla mnie i przede wszystkim dla siebie. - Otarła lzy z policzków.

Uśmiechnął się do niej i w tej chwili po raz pierwszy od wielu dni, wyglądał tak jak dawny Harry, którego znała.

- Wiesz, co to jest?

- Co? - Była zdezorientowana. To był jeden z najważniejszych dni w jej życiu, nigdy jeszcze nie była tak podekscytowana.

- To wszystko przez tę energię seksualną, która gromadzi się w tobie od lat i dlatego masz w sobie tyle wigoru. Czasami naprawdę potrafisz człowiekowi dopiec.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. - Uśmiechnął się i na minutę zamknął oczy. Otworzył je znowu. - Czemu się tak wystroiłaś? Wybierasz się gdzieś?

- Tak. Tutaj się wybrałam. Do ciebie. Dzisiaj jest Wigilia. - Jej oczy złagodniały i uśmiechnęła się do niego. - Witaj z powrotem w świecie ludzkich istot.

- Podobało mi się to, co powiedziałaś przedtem.

Nadal się uśmiechał. Tana zauważyła, że jego napięcie i stres minęły- Jeśli jego wola przeżycia będzie wystarczająco silna, wszystko się jakoś ułoży. W pewnym sensie. Tak powiedział neurochirurg.

- A co ja powiedziałam...? masz na myśli ten kawałek o ruszeniu tyłkiem i zrobieniu czegoś pożytecznego... już najwyższy czas. - Była zadowolona.

- Nie, ten o uruchomieniu go i złapaniu trypra.

- Idź do diabła. - Rzuciła mu spojrzenie pełne pogardy. W tym momencie do pokoju weszła jedna z pielęgniarek i zaczęli się śmiać. Przez chwilę było tak wesoło jak w dawnych czasach. Do pokoju wszedł ojciec Harry'ego. Oboje wyglądali teraz tak, jakby ich przyłapano na gorącym uczynku. Śmiech urwał się gwałtownie. Harrison Winslow uśmiechnął się. Bardzo chciałby zaprzyjaźnić się z synem, zwłaszcza teraz, kiedy wiedział, jak Harry lubił tę dziewczynę.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi, nie miałem zamiaru popsuć wam zabawy. Z czego się tak śmialiście? Tana oblała się rumieńcem.

- Twój syn był bezczelny jak zwykle.

- To nic nowego. - Harrison usiadł na jednym z dwóch krzeseł i popatrzył na nich. -
Chociaż, można by pomyśleć, że z okazji Wigilii Bożego Narodzenia mógłby się zdobyć
na więcej uprzejmości.

- Właściwie mówił o pielęgniarkach i...

Harry zaczerwienił się i zaczął zaprzeczać. Tana śmiała się i nagle Harrison także
przyłączył się do nich. W pokoju zapanowało nagle jakieś nieme porozumienie, ale też
nie można było powiedzieć, aby wszyscy czuli się swobodnie. Rozmawiali razem przez
pół godziny. Potem Harry zaczął wyglądać na zmęczonego i Tana wstała.

- Przyjechałam, żeby dać ci świątecznego całusa. Nie wiedziałam nawet, czy nie
będziesz spał.

- Ani ja. - Harrison Winslow także się podniósł.

- Odwiedzimy cię jutro, synu.

Obserwował, w jaki sposób Harry patrzył na Tanę i chyba już zrozumiał. To nie
była jej wina, że Harry się w niej zakochał, a on z jakiegoś powodu trzymał to przed nią w
tajemnicy. Harrison nie mógł zrozumieć, dlaczego. Coś się za tym wszystkim kryło, ale
nie miał pojęcia, co. Znowu spojrzał na swojego syna.

- Czy nie potrzebujesz czegoś jeszcze, zanim wyjdziemy?

Harry posmutniał i zaprzeczył ruchem głowy. Potrzebował czegoś, ale oni nie
mogli mu tego dać. Chciałby odzyskać swoje nogi. Ojciec to rozumiał i delikatnie położył
dłoń na jego ramieniu.

- Do zobaczenia jutro, synu.

- Dobranoc. - Pożegnanie Harry'ego z ojcem nie było zbyt wylewne, ale jego oczy
rozbłysły, kiedy przeniósł spojrzenie na tę piękną jasnowłosą dziewczynę.

- Zachowuj się, Tan.

- A niby dlaczego? Ty tego nie robisz. - Śmiejąc się ucałowała go i szepnęła: -
Wesołych Świąt, dupku.

Zaśmiał się, a ona wyszła na korytarz zaraz za jego ojcem.

- Wydaje mi się, że wyglądał lepiej, nie sądzisz? Nieszczęście jego syna

zaczynało ich zbliżać do siebie.

- Tak. Myślę, że najgorsze ma już za sobą. Teraz czeka go powolna wspinaczka na wysoką górę.

Harrison pokiwał głową i wsiedli razem do windy, by zjechać na dół. Wydało im się jakby to stało się ich zwyczajem, a przecież robili to tylko raz. Wspólny spacer tego popołudnia rzeczywiście zbliżył ich do siebie. Harrison otworzył przed nią drzwi do samochodu. To była ta sama srebrna limuzyna.

- Chciałabyś coś zjeść?

Miała zamiar odmówić, ale uświadomiła sobie, że nie jadła w ogóle kolacji. Wybierała się na nocną Pasterkę, ale nie chciało jej się iść samej. Spojrzała na niego, zastanawiając się, jak on by na tę propozycję zareagował, zwłaszcza teraz.

- Być może. Czy miałbyś ochotę wybrać się potem o północy na Pasterkę?

Spoważniał i kiwnął głową. Tana ponownie znalazła się pod jego urokiem. Poszli szybko zjeść hamburgera, rozmawiając o Harrym, wspominając czasy Cambridge. Opowiedziała mu parę zwariowanych historyjek, które przeżyła z Harrym, a on śmiał się razem z nią, nadal jednak nie mogąc zrozumieć do końca, podobnie jak Jean, co właściwie ich ze sobą łączyło, jakie naprawdę żywili do siebie uczucia. Potem wybrali się na Pasterkę. Kiedy zaczęli śpiewać

Cicha Noc, po twarzy Tany płynęły łzy. Myślała o Sharon, swej ukochanej przyjaciółce i Harrym. O tym, jakie miał szczęście, że przeżył. Kiedy spojrzała na jego ojca, stojącego przy niej, tak dystyngowanego i dumnego, spostrzegła, że on także płacze. Kiedy usiedli, dyskretnie wytarł nos. Gdy odwoził ją do Berkeley po mszy, pomyślała że czuje się wspaniale w jego towarzystwie. Prawie drzemała po drodze do domu. Była bardzo zmęczona.

- Co robisz jutro?

- Chyba odwiedzę Harry'ego. I w końcu któregoś dnia muszę zająć się nauką. Mam mnóstwo zaległości. - Ostatnio w ogóle się nie uczyła.

- Czy mógłbym zaprosić cię na lunch, zanim pójdziesz do szpitala?

Była wzruszona, że o tym pomyślał, i przyjęła zaproszenie. Wysiadając z

samochodu od razu zaczęła się martwić, co na siebie włoży. Ale kiedy wróciła do pokoju, nie miała już czasu, aby się tym przejmować. Była wykończona. Zrzuciła z siebie ubranie, pozostawiając je na podłodze, wskoczyła do łóżka i momentalnie zasnęła. Tymczasem w Nowym Jorku, jej matka nie mogła zasnąć i siedziała samotnie w fotelu, płacząc przez całą noc. Tana nie zadzwoniła, Artur także się nie odezwał z Palm Beach. Spędziła cały wieczór i noc rozmyślając o czymś, czego nie dopuszczała nawet do siebie, o tej mrocznej stronie swego życia.

Była na Pasterce, tak jak kiedyś zwykły to robić z Taną, i o wpół do drugiej wróciła do domu. Oglądała telewizję.

Okolo drugiej ogarnęło ją przemożne uczucie samotności. Przyłgnęła do oparcia, nie mogąc się ruszyć, niemal nie mogąc oddychać. I po raz pierwszy w życiu zastanawiała się nad popełnieniem samobójstwa. Koło trzeciej nie mogła już wytrzymać tego napięcia. Pół godziny później poszła do łazienki i wyjęła buteleczkę tabletek nasennych, których nigdy nie używała. Drżąc na całym ciele zmusiła się, by je odłożyć. Chciała za wszelką cenę je połknąć, ale jednak nie mogła się na to zdobyć. Wolalaby, żeby ktoś ją powstrzymał, żeby jej powiedział, że wszystko będzie dobrze. Ale kto to zrobi? Tana była daleko i pewnie już nigdy z nią nie zamieszka, a Artur miał swoje własne życie. Odwiedzał ją, kiedy miał na to ochotę, ale nigdy wtedy, gdy go potrzebowała. Tana miała rację, ale Jean bała się do tego przyznać. To za bardzo boleło. Zamiast tego, zawsze brała w obronę jego i stawała po stronie tych jego egoistycznych, zepsutych dzieci, tej dziwki Ann, która zawsze zachowywała się wobec niej bezczelnie, i Billy'ego, niegdyś słodkiego chłopczyka, ale teraz... prawie ciągle był pijany. Jean zaczynała się zastanawiać, czy Tana mówiła wtedy prawdę. Jeśli nie był tym spokojnym, młodym człowiekiem, za jakiego go uważała, i jeśli to się zdarzyło... Wspomnienie wydarzenia, o którym mówiła Tana cztery lata temu, załamało ją zupełnie. A jeśli to była prawda...? Jeśli on... A ona w to nie uwierzyła... to było ponad jej siły... czuła jakby całe jej życie runęło tej nocy w gruzy i nie mogła już tego znieść, siedząc w fotelu i patrząc na pigułki, które trzymała w dłoni. To było jedyne rozwiązanie, jakie jej pozostało. Zastanawiała się, co pomyśli Tana, kiedy zadzwonią do Kalifornii, żeby przekazać jej wiadomość. Ciekawe,

kto znajdzie jej ciało... może dozorca... albo któraś z koleżanek z pracy... gdyby chciała czekać na Artura, to nastąpiłoby to za kilka tygodni. To, że nie było nawet kogoś, kto wkrótce znalazłby jej ciało, załamało ją jeszcze bardziej. Pomyślała, że napisze do Tany list, ale wydawało jej się to zbyt melodramatyczne, a poza tym nie miała już nic do powiedzenia, z wyjątkiem tego, jak bardzo kochała swoje dziecko i jak bardzo się starała, żeby być dobrą matką. Płakała myśląc o latach, kiedy Tana dorastała, wspominała ich ciasne mieszkanko, spotkanie z Arturem, nadzieje na małżeństwo... całe życie przewijało się przed jej oczami, kiedy ścisnęła w dłoni tabletki nasenne.

Nie wiedziała, która mogła być godzina, kiedy zadzwonił telefon. Z zaskoczeniem spojrzęła na zegar, była piąta rano. Pomyślała, że to może Tana, może jej przyjaciel nie żyje... Drżącą dłonią podniosła słuchawkę i w pierwszej chwili nie rozpoznała kogoś, kto przedstawił się jako John.

- John?

- John York. Mąż Anny. Jesteśmy w Palm Beach.

- Och. Tak, oczywiście. - Nadal była zupełnie odrętwiała, emocje nocy nie opadły z niej jeszcze. Odstawiła buteleczkę z tabletkami i zaczęła słuchać uważniej. Nie mogła zrozumieć, dlaczego dzwoniли do niej, ale John York szybko jej to wyjaśnił.

- Chodzi o Artura. Ann uważała, że powinienem do pani zadzwonić. On miał atak serca.

- O, mój Boże. - Poczula, że serce wali jej jak młot i nagle zaczęła płakać do telefonu. - Jak on się czuje? Czy on... czy...

- Teraz czuje się lepiej. Ale przez chwilę nie było z nim za dobrze. To się stało kilka godzin temu i nadal jego stan jest krytyczny, dlatego Ann uważała, że powinienem zadzwonić.

- O, mój Boże... o, Boże...

Ona próbowała sobie właśnie odebrać życie, podczas gdy Artur omal nie umarł. Co by było, gdyby... zadrżała na myśl o tym.

- Gdzie on teraz jest?

- W szpitalu Mercy. Ann pomyślała, że może zechce pani przyjechać.

- Tak, oczywiście.

Skoczyła na równe nogi, nadal trzymając słuchawkę. Sięgając po ołówek, straciła butelkę z tabletkami. Potoczyła się po podłodze. Stała patrząc na nią. Znowu była sobą. To, co chciała zrobić, było nie do pomyślenia. On jej potrzebował. Dzięki Bogu, że tego nie zrobiła.

- Podaj mi szczegóły, John. Złapię najbliższy samolot.

Zapisała nazwę i adres szpitala, numer pokoju, w którym leżał, zapytała czy czegoś potrzebują. W chwilę później odłożyła słuchawkę i zamknęła oczy, myśląc o nim. Kiedy je otworzyła, po policzkach spływały już łzy. Myślała o Arturze i o tym, jak to mogło się skończyć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego dnia w południe Harrison Winslow wysłał po Tanę samochód, po czym razem poszli na lunch do Trader Vic's. Panowała tam cudowna atmosfera, jedzenie było znakomite. Doradzono mu to miejsce w hotelu. Czuł się wspaniale w jej towarzystwie, nawet aż za dobrze. Gawędzili o Harrym i innych sprawach. Duże wrażenie zrobiła na nim jej inteligencja. Opowiedziała mu o Freemanie Blake'u i przyjaciółce, która umarła, o Miriam, której wpływowi zawdzięcza to, że zaczęła studiować prawo.

- Mam nadzieję, że mi się uda. Jest jeszcze trudniej, niż się spodziewałam. -

Uśmiechnęła się.

- I naprawdę uważasz, że Harry mógłby coś takiego robić?

- On może robić wszystko, na co ma ochotę. Kłopot w tym, że wolałby raczej się bawić. - Zaczerwieniła się, a on roześmiał się.

- Masz rację. On lubi się zabawiać. Uważa, że to jest dziedziczne. W rzeczywistości, kiedy miałem tyle lat co on, byłem znacznie poważniejszy. Dla mojego ojca edukacja miała bardzo istotne znaczenie. Napisał nawet dwie książki z zakresu filozofii.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas. Były to najprzyjemniejsze chwile, jakie Tana spędziła od bardzo długiego czasu. Wreszcie spojrzała z poczuciem winy na zegarek i w pośpiechu udali się do szpitala. Zanieśli Harry'emu torebkę ciasteczek szczęścia. Tana nalegała, żeby zanieść mu drinka. Przynieśli więc ogromnego „Skorpiona” z pływającą na wierzchu gardenią. Pociągnął dużego łyka i zachichotał.

- Ja też wam życzę Wesołych Świąt.

Ale Tana wyczuwała, że nie jest specjalnie zadowolony, że tak łatwo zaprzyjaźniła się z jego ojcem. Kiedy wreszcie ojciec wyszedł z pokoju i zszedł na dół, by gdzieś zadzwonić, popatrzył na nią.

- Iz czego jesteś taka zadowolona?

To dobrze, że był wściekły, nie miała nic przeciwko temu. Dzięki temu szybciej wróci do życia.

- Wiesz, co o nim myślę. Nie daj mu się zwieść.

- On wcale taki nie jest. Nie byłoby go tutaj, gdyby mu na tobie nie zależało. Nie bądź taki uparty i daj mu szansę.

- O, Chryste. - Gdyby mógł, wyszedłby z pokoju i trzasnął drzwiami. - Co to za kompletne bzdury. I taki kit ci wciska?

Nie mogła mu powiedzieć wszystkiego, czego dowiedziała się od Harrisona, nie miała do tego prawa. Ale zdawała sobie sprawę, co on czuje do swojego syna, i była przekonana o jego szczerości. Syn stawał mu się coraz bliższy, zwłaszcza teraz; marzył, by Harry postarał się być wobec niego trochę bardziej szczery.

- To równy facet. Daj mu szansę.

- To stary sukinsyn, nienawidzę jego pewności siebie.

Gdy mówił te słowa, do pokoju wszedł Harrison Winslow, w samą porę by usłyszeć to zdanie. Tana zbladła. Cała trójka wymieniła między sobą spojrzenia. Harrison szybko ją uspokoił.

- Nie po raz pierwszy to słyszę. I z pewnością nie po raz ostatni. Harry odwrócił się, by warknąć na niego.

- Dlaczego, do diabła, nie pukasz?

- Przeszkadza ci to, że słyszałem? I co z tego? Mówiłeś mi to już przedtem, prosto w twarz. Czy teraz wolisz to robić dyskretniej? A może zabrakło ci odwagi?

Głos starszego mężczyzny zabrzmiał ostro, a oczy Harry'ego rozblęły nieprzyjaznym ogniem.

- Wiesz, co o tobie myślę. Nie było cię przy mnie nigdy, kiedy cię potrzebowałem. Zawsze jakimś cudem okazywało się, że jesteś z panienką, w jakimś kurorcie albo na szczycie góry, czy z przyjaciółmi... - Odwrócił się do niego tyłem. - Nie chcę o tym rozmawiać.

- A jednak chcesz. - Przyniósł sobie krzesło i usiadł. - I ja także chcę. Masz rację, nie było mnie przy tobie, ale ciebie nie było także. Woląłeś życie w szkolnych internatach, ilekroć próbowałem się do ciebie zbliżyć, zachowywałeś się jak cholerny, rozpuszczony smarkacz.

- A dlaczego miałem nim nie być?

- To była twoja decyzja. Od czasu śmierci twojej matki nigdy nie dałeś mi szansy. Kiedy skończyłeś sześć lat, wiedziałem już, jak bardzo mnie nienawidzisz. Mogłem to wtedy zrozumieć. Ale wiesz Harry, myślę, że w twoim wieku powinieneś być trochę mądrzejszy, a przynajmniej mieć więcej litości. Nie jestem naprawdę taki zły, jak uważasz.

Tana miała ochotę rozpląnąć się w powietrzu, czuła się niezręcznie, ale wyglądała na to, że żaden z nich nie zwraca na nią uwagi. Słuchając ich, zdała sobie nagle sprawę, że znowu zapomniała zatelefonować do matki. Postanowiła sobie, że zadzwoni, jak tylko wyjdą ze szpitala, a może skorzysta nawet z jednego z telefonów na dole. Nie mogła teraz wyjść z pokoju, teraz kiedy wybuchła Trzecia Wojna Światowa.

Harry patrzył na ojca wściekły. - Po co tu, do diabła, w ogóle przyjechałeś?

- Ponieważ jesteś moim synem. Jedynym, jakiego mam. Czy chcesz, żebym wyjechał? - Harrison Winslow wstał, jego głos był teraz wyciszony. - Wyjadę natychmiast, jeśli tego sobie życzysz. Nie mam zamiaru ci się narzucać, ale nie pozwolę także, żebyś nadal wmawiał sobie, że nic mnie nie obchodzisz. To całkiem niezła bajeczka. Biedny, bogaty chłopczyk i cała ta reszta, ale używając słów twojej przyjaciółki, to kit. Tak się składa, że bardzo cię kocham. Jego głos załamał się, ale ciągnął dalej, walcząc z głębokim wzruszeniem. Serce Tany było całkowicie po jego stronie.

- Naprawdę bardzo cię kocham, Harry. Zawsze tak było i będzie.

Podszedł do niego, pochylił się i pocałował go delikatnie w czubek głowy, po czym wyszedł z pokoju, a Harry patrzył w przestrzeń. Zamknął oczy, a gdy je otworzył, zobaczył stojącą przed nim Tanę, zalaną łzami, wzruszoną tym, co tu usłyszała.

- Wynoś się stąd.

Pokiwała głową i cicho wyszła. Zamykając delikatnie drzwi usłyszała łkanie dochodzące z łóżka Harry'ego. Teraz chciał być sam. Rozumiała to, płacz dobrze mu robi.

Harrison czekał na nią na zewnątrz, wyglądał teraz spokojniej i był jakby uwolniony od jakiegoś ciężaru. Uśmiechnął się do niej.

- Czy wszystko z nim w porządku?
- Teraz już będzie w porządku. Powinien był to od ciebie usłyszeć.
- Bardzo chciałem, żeby to wiedział. Teraz czuję się trochę lepiej.

Z tymi słowami ujął jej ramię i zeszli razem na dół. Czuli się tak, jakby byli przyjaciółmi od lat. Spojrzał na nią z uśmiechem na twarzy. - A teraz dokąd, młoda damo?

- Chyba do domu. Mam jeszcze mnóstwo pracy.

- Nie wciskaj mi kitu. - Próbował ją naśladować, roześmieli się oboje. - A może urwiesz się na wagary i wybierzesz się ze starszym panem do kina? Mój syn właśnie wyrzucił mnie z pokoju, nie znam w tym mieście żywej duszy, a w końcu są Święta Bożego Narodzenia. No, i co ty na to, Tan?

Nazywał ją tak samo jak Harry, uśmiechnęła się. Chciała mu powiedzieć, że musi wracać do domu, ale nie mogła jakoś tego zrobić, chciała być z nim.

- Naprawdę powinnam wrócić do domu. Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco ani dla niej, ani dla niego. Był w wyśmienitym nastroju, kiedy wsiadali do limuzyny.

- Dobrze. Jedno już mamy z głowy, więc dokąd się wybierzemy?

Przekomarzała się jak mała dziewczynka, a on powiedział kierowcy, żeby ich obwioził po mieście. W końcu kupili gazetę, wybrali film, który oboje mieli ochotę obejrzeć. Zjedli tyle prażonej kukurydzy, ile mogło im się zmieścić, a potem wybrali się do L'Etoile na lekką kolację i drinka przy barze. Czowała się rozpieszczana i psuta przez samo przebywanie w jego towarzystwie. Starła się pamiętać, jakim, według opinii Harry'ego, miał być chamem, ale jakoś nie mogła w to uwierzyć. Kiedy odwoził ją do Berkeley, była tak szczęśliwa jak nigdy dotąd w swoim życiu. Objął ją po drodze i całował tak naturalnie, jakby oboje czekali na ten moment przez całe życie. Potem przyglądał się jej, dotykając koniuszkiem palca jej warg, zastanawiając się, czy nie powinien żałować tego, co zrobił, ale w tej chwili czuł się taki młody i szczęśliwy jak przed laty.

- Tano, kochanie, nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego jak ty. - Przytulił ją mocniej.

Poczuła, że ogarnia ją ciepło, czuła się z nim tak bezpiecznie, jak jeszcze nigdy

przedtem. Znowu zaczął ją całować. Chciał, by została z nim na zawsze, a jednocześnie myślał, że chyba postradał zmysły. Była przyjaciółką Harry'ego... jego dziewczyną... mimo że oboje twierdzili, że jest inaczej. On czuł, że Harry ją kocha. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Powiedz mi prawdę, Tan. Czy jesteś zakochana w moim synu?

Wolno pokręciła przecząco głową. Kierowca limuzyny jakby zniknął. Tak naprawdę, wyszedł z samochodu na dyskretny spacer. Zaparkowali przed domem Tany.

- Nie. Nigdy nie kochałam nikogo... do tej pory...

Te słowa wymagały od niej dużej odwagi, ale zdecydowała się od razu powiedzieć mu prawdę. On był z nią od początku szczerzy.

- Cztery i pół roku temu zostałam zgwałcona. Po tym wszystko coś się we mnie zablokowało. Jakby mój zegar emocjonalny przestał chodzić i tak było do tej pory. Przez pierwsze dwa lata college'u nie umawiałam się z nikim, a potem Harry zmusił mnie do wyjścia na randki z nim i parą jego przyjaciół, kilka razy. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Tutaj też nie umawiam się z nikim, cały mój czas zajmuje nauka.

Uśmiechnęła się do niego czule. Zakochała się właśnie po uszy w ojcu swojego najlepszego przyjaciela.

- Czy Harry wie o tym?

- Że mnie zgwałcono? Kiwnął głową.

- Tak. Powiedziałam mu w końcu. Uważał, że byłam dziwna, więc musiałam mu wyjaśnić, dlaczego. Tak naprawdę, to spotkaliśmy tego człowieka na przyjęciu i sam się domyślił.

- Czy to był ktoś, kogo znałaś? - Harrison był zaszokowany.

- Syn szefa mojej matki. Właściwie kochanka i szefa w jednej osobie. To było straszne... nie - pokręciła głową - to było dużo, dużo gorsze.

Wziął ją znowu w ramiona, teraz wszystko rozumiał lepiej. Zastanawiał się, czy właśnie dlatego Harry nie pozwalał sobie wobec niej na nic więcej niż przyjaźń. Czuł instynktownie, że w Harrym drzemało głębokie uczucie, nawet jeśli Tana nie zdawała sobie z tego sprawy. Wiedział także, co on sam czuje do tej dziewczyny. Nie czuł czegoś

takiego do żadnej kobiety, odkąd umarła jego żona, dwadzieścia sześć lat temu. Potem zaczął zastanawiać się nad różnicą wieku, jaka ich dzieli. Ciekawe, czy to by jej przeszkadzało. Był od niej starszy dokładnie o trzydzieści lat i na pewno znalazłoby się wielu takich, którzy mieliby zastrzeżenia. Ale najważniejsze, czy jej przeszkadzałoby to także?

- No i co z tego? - Odparła, kiedy podzielił się z nią swoimi wątpliwościami. - A kogo oni wszyscy obchodzą?

Teraz ona go pocałowała i poczuła, że obudziło się w niej coś, czego nigdy dotąd nie знаła, pasja i pożądanie, które tylko on mógł zaspokoić.

Przewracała się i kręciła w łóżku przez całą noc, myśląc ciągle o nim, tak samo zresztą jak on. Zadzwoiła do niego następnego dnia o siódmej rano, nie spał już i trochę był zaskoczony jej telefonem. Ale pewnie zaskoczyłoby go jeszcze bardziej, gdyby dowiedział się, co do niego czuła.

- Czemu się tak wczesnie obudziłaś, maleńka?

- Myślałam o tobie.

Pochlebiali mu to, był poruszony i zachwycony, zawróciła mu w głowie zupełnie. Ale to nie było takie proste. Tana zaufała mu, tak jak żadnemu mężczyźnie do tej pory, nawet jego synowi. Znajdowała w nim wszystko, czego pragnęła, łącznie z ojcem, którego nigdy nie znała. Według niej skupiał w sobie wszystkie cechy idealnego mężczyzny. Gdyby Harrison wiedział o tym, pewnie obawiałby się, że zbyt wiele się po nim spodziewa.

Odwiedzili Harry'ego, zjedli razem lunch, potem kolację. Miał ogromną ochotę kochać się z nią, ale coś mu mówiło, że nie powinien tego robić, że to zbyt niebezpieczne. Mogłoby stworzyć długotrwałą więź między nimi, a to byłby błąd. Przez następne dwa tygodnie, spotykali się, spacerowali, całowali i przytulali się do siebie. Uczucie i pragnienie spełnienia rosło w nich obojgu. Odwiedzali Harry'ego osobno, obawiając się, że wszystkiego się domyśli. Wreszcie któregoś dnia Harrison usiadł obok swojego syna. Musiał to w końcu wyjaśnić, bo sprawy posuwają się za daleko, a on nie chciałby skrzywdzić tej dziewczyny. Co więcej, chciał zaproponować jej coś, czego nie

proponował nikomu od lat: swoje serce i życie. Chciał ją poślubić, ale najpierw musiał wiedzieć, co czuje wobec niej Harry, teraz kiedy jeszcze nie jest za późno, zanim ktoś zostanie skrzywdzony, zwłaszcza osoba mu najbliższa, jego własny syn.

- Chciałbym cię o coś zapytać, Harry. I proszę, żebyś odpowiedział mi szczerze.

Od dwóch tygodni panował między nimi pokój. Był jeszcze bardzo delikatny i kruchy; należało ten stan jak najbardziej podtrzymywać. A wszystko dzięki wysiłkom Tany. Harrison cieszył się z takiego obrotu sytuacji.

- O co ci chodzi? - Harry spojrzał na niego podejrzliwie.

- Co jest między tobą a tym cudownym dzieckiem? - Z trudem walczył ze sobą, żeby zachować zimną krew i spokojny wyraz oczu, tak żeby syn niczego się nie domyślił. Zwłaszcza tego, jak bardzo kocha tę dziewczynę, chociaż nie wyobrażał sobie, że można tego nie zauważyć. Czuł się tak, jakby miał to wypisane na twarzy.

- Masz na myśli Tanę? - Harry wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci, proszę, żebyś mi odpowiedział. Od tego zależało całe jego życie, i jej także.

- Dlaczego? Co to cię obchodzi? - Harry był zmęczony, przez cały dzień bolała go szyja. - Mówiłem ci, że jest moją przyjaciółką.

- Znam cię lepiej, niż myślisz, czy ci się to podoba czy nie.

- No i co z tego? To wszystko. Nie spałem z nią nigdy. Ale to on już wiedział.

- To nic nie znaczy. Dla niej mogłoby coś znaczyć, ale nie dla ciebie. - W jego słowach i spojrzeniu nie było żartu. To nie było śmieszne, ale Harry roześmiał się i przyznał mu rację.

- To prawda. - I nagle leżąc na poduszkach i patrząc w sufit poczuł, że ojciec jest mu teraz dziwnie bliski, jak nigdy dotąd. - Nie wiem, tato... Kiedy się poznaliśmy, zwariowałem na jej punkcie, ale ona była taka zamknięta w sobie... i nadal taka jest.

Opowiedział mu o gwałcie, Harrison udawał, że słyszy to po raz pierwszy.

- Nigdy dotąd nie znałem kogoś takiego jak ona. Chyba zawsze wiedziałem, że ją kocham, ale bałem się coś zepsuć i nie mówiłem jej o tym. W ten sposób nie ucieknie ode mnie. Gdyby wiedziała, mogłoby się to tak skończyć. - Nagle jego oczy wypełniły się

łzami. - Nie zniósłbym jej utraty. Bardzo jej potrzebuję.

Harrison poczuł ogromny ciężar w sercu, ale uświadomił sobie, że teraz musi myśleć o swoim synu. W tej chwili najbardziej zależało mu na nim. Wreszcie się odnaleźli i nie miał zamiaru stracić go ponownie. Nie pozwoli na to, mimo ogromnej miłości do Tany. Słowa Harry'ego parzyły go jak rozpalone węgle.

- Tak bardzo jest mi potrzebna...

Co śmieszniejsze, starszy Winslow także jej bardzo potrzebował, ale nie tak bardzo jak jego syn i nie mógłby mu jej odebrać, nie teraz...

- Któregoś dnia może powinieneś zebrać się wreszcie na odwagę i powiedzieć jej o tym. Może ona także ciebie potrzebuje. - Harrison wiedział, jakie samotne i odizolowane życie wiodła Tana, ale nawet Harry nie mógł zapełnić tej pustki.

- A co będzie, jeśli ją stracę?

- Nie możesz żyć w ten sposób, synu. Nie możesz obawiać się, że ją stracisz, obawiać się żyć czy umrzeć. W ten sposób nigdy nie wygrasz. Ona wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny. To jest lekcja, której możesz się od niej nauczyć. - Było ich znacznie więcej. Lekcje, z których musiał zrezygnować.

- Ona ma tyle pewności siebie, siły życia, więcej niż ktokolwiek, kogo znam... z wyjątkiem jej stosunku do mężczyzn. - Harry pokręcił głową. - Jeśli chodzi o to, przeraża mnie zupełnie.

- Daj jej trochę czasu. Dużo czasu. - Starał się, by jego głos zabrzmiał mocno. Nie mógł pozwolić, żeby Harry domyślił się. - I dużo miłości.

Harry nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Patrzył uważnie na ojca. Podczas ostatnich dwóch i pół tygodnia zaczynali się obaj odnajdować, byli ze sobą bliżej niż kiedykolwiek do tej pory. - Czy sądzisz, że może mnie kiedyś pokochać?

- Być może. - Serce Harrisona było rozdarte. - Teraz jest mnóstwo innych rzeczy, o których powinieneś pomyśleć. Ale kiedy już będziesz miał więcej sił - obawiał się powiedzieć „kiedy staniesz na nogi” - i wyniesiesz się stąd, wtedy możesz pomyśleć o takich rzeczach.

Obaj wiedzieli, że nadal był sprawny seksualnie, przynajmniej częściowo. Jak

mówili lekarze, przy odrobinie „wyobraźni” Harry może cieszyć się prawie normalnym życiem seksualnym. Kiedyś jeśli tak zdecyduje, będzie mógł nawet mieć dzieci. Harry nie był tą wizją specjalnie zachwycony, przynajmniej nie teraz, ale Harrison wiedział, że pewnego dnia będzie to mogło dla niego znaczyć bardzo wiele. Bardzo chciałby mieć z Taną dziecko. Ta myśl przyprawiła go niemal o łzy.

Chwilę jeszcze gawędzili i w końcu Harrison wyszedł. Był umówiony z Taną na kolację, ale zadzwonił i odwołał to spotkanie. Wytłumaczył jej, że otrzymał mnóstwo korespondencji i musi wiele z tych spraw natychmiast załatwić. Umówili się następnego dnia na lunch. Harrison powiedział jej wszystko. To był dla niego najgorszy dzień w życiu, poza tym dniem, w którym umarła jego żona. Miał smutne spojrzenie i przygnębiony wyraz twarzy. Jak tylko zobaczyła go w restauracji, wiedziała, że nie ma dobrych wieści; serce jej zamarło, kiedy zaczął mówić. Podejrzewała, że powie jej coś, czego nie chciałyby usłyszeć.

- Rozmawiałem wczoraj z Harrym. -Walczył ze wzruszeniem, które utrudniało mu mówienie. - Musiałem, dla naszego dobra.

- O nas? - Była zupełnie zaskoczona. Było jeszcze zbyt wcześnie. Nic się jeszcze nie wydarzyło. To niewinny romans... ale Harrison zaprzeczył.

- O nim i o jego uczuciach do ciebie. Musiałem się dowiedzieć, zanim zajdziemy za daleko. - Schował jej dłoń w swojej i popatrzył jej w oczy. Poczowała wyraźny ucisk w sercu.

- Tano, chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham. Kochałem w ten sposób tylko jedną kobietę w życiu, moją żonę. Ale kocham także syna i nie mógłbym go skrzywdzić za nic w świecie, bez względu na to, za jakiego sukinsyna on mnie uważa. Chciałbym się z tobą ożenić... ale nie mógłbym wiedząc, co czuje Harry. - Nie owijał dalej w bawełnę. - On ciebie kocha, Tano.

- Co? - Była w kompletnym szoku. - To nieprawda!

- To jest prawda. On po prostu śmiertelnie się boi ci o tym powiedzieć, żeby cię nie wystraszyć. Powiedział mi o gwałcie, o tym, że nie chciałaś umawiać się z mężczyznami. Od lat ukrywa to przed tobą, czekając na właściwy moment, ale nie ma

wątpliwości, że taka jest prawda. Przez te wszystkie lata był w tobie zakochany. Sam mi to wyznał. - Oczy Harrisona były teraz bardzo smutne.

O, mój Boże. - Wyglądała na zaskoczoną. - Ale ja nie jestem... ja nie... Nie sądzę, żebym kiedyś mogła...

Też tak przypuszczałem. Ale to jest wasza sprawa. Jeśli kiedyś odważy się w końcu to wyznać, będziesz musiała to sama załatwić. Ja chciałem wiedzieć, jakie są jego uczucia wobec ciebie. Wiem, jak ty się teraz czujesz. Wiedziałem o tym, zanim go nawet zapytałem.

Z jej oczu popłynęły łzy i nagle on także zapłakał. Uścisnął mocniej jej dłoń.

- Najdroższa, kocham cię bardziej niż życie, ale gdybym teraz odszedł z tobą, jeśli byś się zgodziła, to zabiłbym własnego syna. Pękłoby mu serce i zniszczyłbym coś, co jest mu teraz najbardziej potrzebne. Nie mogę mu tego zrobić. I ty także nie możesz. Naprawdę, myślę, że nie potrafiłabyś tego zrobić.

Plakała otwarcie, wziął ją w ramiona, jego oczy ciągle były pełne łez. Nie mieli nic do ukrycia ani tu, ani gdziekolwiek indziej. Ukrywali się tylko przed Harrym. To był najokrutniejszy figiel, jaki spletało jej życie. Pierwszy mężczyzna, którego pokochała naprawdę, nie mógł jej kochać, ze względu na syna... który był jej najlepszym przyjacielem, którego kochała, ale nie w ten sposób. Nie chciała zrobić czegoś, co skrzywdziłoby Harry'ego, ale tak bardzo kochała Harrisona... To był koszmarne wieczór, pełen łez i żalu. Pragnęła mimo wszystko pójść z nim do łóżka, ale on nie pozwolił jej zrobić sobie takiej krzywdy.

- Ten pierwszy raz, po tym co ci się przydarzyło, powinien być z właściwym mężczyzną.

Był delikatny i kochający, obejmował ją kiedy plakała, przez chwilę prawie płakał razem z nią. Następny tydzień przyniósł jej wiele bólu. W końcu on znowu wyjechał do Londynu, a ona poczuła się zupełnie opuszczona. Była samotna, pozostawiała jej tylko nauka i Harry. Codziennie zabierała książki i chodziła do szpitala. Wyglądała na zmęczoną, była blada i przygnębiona.

- Kurcze, aż przyjemnie na ciebie popatrzeć. Co się z tobą, do diabła, dzieje?

Jesteś chora?

Chorowała na miłość do Harrisona, ale wiedziała, że miał rację, bez względu na to, jak bardzo było to bolesne. Oboje postąpili dla kogoś, kogo oboje kochali.

Teraz była dla niego bezlitosna, zmuszając Harry'ego, by robił to, co zalecały pielęgniarki, popędzając go, przeklinając, przymilając się, zachęcając, kiedy tego potrzebował. Była niezmordowana. Jej poświęcenie przekraczało wszelkie granice. Kiedy Harrison dzwonił czasem z drugiego końca świata i rozmawiała z nim, jej serce przez chwilę znowu zaczynało bić szybciej, ale on nie zmienił swojej decyzji. To była ofiara, jaką złożył swojemu synowi, a Tana musiała się z tym pogodzić. Nie dał jej żadnego wyboru. Sobie również, chociaż wiedział, że nigdy nie wyleczy się z tego, co do niej czuje. Miał nadzieję, że jej się to uda. Miała przed sobą całe życie i powinna spotkać odpowiedniego mężczyznę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Do pokoju, w którym leżał, zaglądały przez okno promienie słońca. Próbował czytać książkę. Miał już dziś za sobą godzinę spędzoną na pływalni i dwie godziny terapii. Nienawidził tych wszystkich zajęć. Ciągłe to samo - nuda, której nie mógł już znieść. Spojrzał na zegarek. Niedługo przyjdzie Tana. Leżał w Lettermanie już ponad cztery miesiące, a ona przychodziła do niego codziennie, przynosząc ze sobą całe stosy papierów, notatek i ogromne ilości książek. Niemal w tej samej chwili, kiedy o niej pomyślał, otworzyły się drzwi i weszła do pokoju. W ciągu ostatnich miesięcy bardzo schudła. Bardzo dużo się uczyła i w kółko krążyła między Berkeley a szpitalem. Jego ojciec zaproponował, że kupi jej samochód, ale ona kategorycznie odmówiła. Nie dopuszczała nawet do siebie takiej myśli.

- Cześć, mały, co u ciebie, wszystko na swoim miejscu? Czy to zbyt bezczelne pytanie? - Zachichotała i on także musiał się roześmiać.

- Jesteś obrzydliwa, Tan. - Przynajmniej nie był już taki przewrażliwiony. Pięć tygodni temu kochał się z praktykantką, używając nieco „wyobraźni”, jak powiedział swemu terapeutce. Wyszło im to całkiem nieźle i oboje byli zadowoleni. Miał to gdzieś, ona była zaręczona. Prawdziwa miłość nie wchodziła w rachubę, a nie miał zamiaru eksperymentować na Tan. Zbyt wiele dla niego znaczyła, jak powiedział ojcu, a poza tym miała wystarczająco dużo swoich własnych problemów.

- Co masz dzisiaj w planie?

Westchnęła i usiadła uśmiechając się smutno,

- To co zwykle. A co ja innego robię? Uczę się całymi nocami, przerzucam masy papieru, zdaję egzaminy. Chryste, chyba nie wytrzymam jeszcze dwóch lat takiego życia.

- Na pewno wytrzymasz. - Uśmiechnął się. Była światłem jego życia, bez jej codziennych wizyt czułby się kompletnie zagubiony.

- Skąd ta pewność? - Czasem wątpiła w siebie, ale jakimś cudem szła ciągle naprzód. Zawsze. Już nie mogła się zatrzymać. Nie mogła zawieść Harry'ego ani zawalić studiów.

- Masz więcej siły i odwagi, niż ktokolwiek, kogo znam. Uda ci się, Tan.

Wzajemnie dodawali sobie odwagi i wiary. Kiedy on wpadał w depresję, stawała nad nim i wrzeszczała tak, że prawie płakał, i kazała mu robić wszystko, co mu zalecano. Kiedy wydawało się jej, że nie przeżyje już ani dnia dłużej w Boalt, przepytывał ją przed egzaminem, budził ją, gdy podsypiała, podkreślał w książkach najważniejsze fragmenty. Nagle uśmiechnął się do niej szeroko.

- Poza tym studia prawnicze nie są takie trudne. Czytałem niektóre kawałki z tego, co tu zostawiałaś.

Uśmiechnęła się. O to jej właśnie chodziło. Odwracając się do niego zrobiła obojętną minę. - Och, czyżby? To dlaczego sam nie spróbujesz?

- Po co mam pogłębiać swoją chandrę?

- A co masz innego do roboty? Leżysz tu tylko brzuchem do góry i podszczypujesz salowe. Jak długo ma to jeszcze trwać? Wykopią cię stąd w czerwcu.

- To jeszcze nie jest takie pewne. - Zdenerwował się tą myślą. Nie był przekonany, czy jest już gotowy, żeby wrócić do domu. I do jakiego domu? Jego ojciec ciągle podróżował. Poza tym już nie mógłby z nim mieszkać, nawet jeśli ojciec chciałby tego. Oczywiście zawsze miał do dyspozycji apartament w hotelu Pierre, w Nowym Jorku, ale byłby tam zupełnie samotny.

- Nie cieszysz się za bardzo, że wkrótce będziesz w domu.

Tana przyglądała mu się. Harrison zadzwonił do niej kilka dni temu z Genewy i rozmawiali o tej sprawie. Telefonował do niej co najmniej raz w tygodniu, żeby dowiedzieć się, jak się czuje Harry. Zdawała sobie sprawę, że wciąż nie jest mu obojętna. Ona także nie potrafiła o nim zapomnieć. Ale oboje podjęli już decyzję i nie było od niej odwrotu. Harrison Winslow nie zdradzi własnego syna. Tana pogodziła się z tą myślą.

- Ja nie mam domu, Tan.

Myślała o tym przedtem, ale niezbyt poważnie. Miała jednak pewien pomysł, którym może powinna się z nim podzielić.

- A może zamieszkałbyś ze mną?

- W tym twoim ponurym pokoju? - Roześmiał się, ale miał jednocześnie

przerażoną minę. - Wystarczy, że jestem uwięziony w ciasnym wózku. Gdybym musiał zamieszkać w tej twojej noclegowni, chyba wolałbym się zabić. A poza tym, gdzie miałbym spać? Na podłodze?

- Nie, ty wariacie. - Śmiała się z niego i zrobiła tajemniczą minę. - Moglibyśmy sobie coś wspólnie wynająć, pod warunkiem, że będzie miało rozsądną cenę, żeby było mnie stać na zapłacenie połowy czynszu.

- Gdzie to miałyby być? - Jeszcze nie zdążył się zastanowić nad tą propozycją, ale z pewnością była ona do rozważenia.

- Nie wiem., może Haight-Ashbury?

W tej okolicy mieszkali głównie hipisi. Ostatnio przejeżdżała tamtędy. Ale teraz tylko przekomarzała się z nim. Nie wytrzymałoby tam, chyba że zaczęliby nosić długie koszule i bez przerwy ćpać LSD.

- Ale tak serio, to moglibyśmy na pewno znaleźć coś odpowiedniego.

- Musiałoby to być na parterze. - Popatrzył zadumany na stojący przy łóżku wózek inwalidzki.

- Wiem. Mam jeszcze jeden pomysł. - Zdecydowała, że trzeba kuć żelazo, póki gorące.

- Co znowu? - Leżał na poduszkach i patrzył na nią z radością. Mimo, że ostatnie miesiące były bardzo trudne, zrodziły jednak między nimi specjalną więź. Byli ze sobą tak blisko, jak tylko to możliwe między dwiema istotami ludzkimi.

- Wiesz, ty nie dajesz mi ani chwili spokoju. Zawsze masz jakiś cholerny plan albo pomysł. Wykańczasz mnie, Tan. -Ale nie miał do niej o to pretensji i oboje o tym wiedzieli.

- To wszystko dla twojego dobra. Wiesz o tym. Oczywiście, że wiedział, ale nie miał najmniejszego zamiaru przyznać jej racji.

- No więc, co znowu wymyśliłaś?

- A może byś złożył papiery do Boalt? - wstrzymała oddech a on spojrzał na nią zaszokowany.

- Ja? Chyba zwariowałaś? A co ja, do diabła, miałbym tam robić?

- Pewnie próbowałbyś się migać, ale to nie takie proste; mógłbyś też uczyć się po

nocach, tak jak ja teraz. Przynajmniej miałbyś jakieś zajęcie, zamiast zadzierać tylko nos do góry.

- Proponujesz mi doprawdy czarującą wizję przyszłości, moja droga. - Przesłał jej ukłon z łóżka. Roześmiała się.

- Dlaczego na miłość boską miałbym się torturować studiami prawniczymi? Nie muszę zajmować się takim nudziarstwem.

- Byłbyś w tym dobry - spojrzała na niego wzrokiem pełnym nadziei.

Miał ochotę się z nią wyklócać, ale najgorsze było to, że tak naprawdę podobał mu się ten pomysł.

- Chcesz zrujnować moje życie.

- Tak. - Zachichotała. - Złożysz papiery?

- Pewnie się nie dostanę. Moje stopnie nigdy nie były tak dobre jak twoje.

- Już pytałam, możesz się starać jako weteran. Mogą nawet zrobić dla ciebie wyjątek... - Próbowała powiedzieć mu to jakoś delikatnie, ale i tak się zdenerwował.

- Nieważne. Jeśli ty się dostałaś, to ja też mogę.

I najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że nagle bardzo tego zapragnął. Zaczął się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie myślał już o tym od dawna. Patrząc na to, ile czasu Tana poświęca nauce, czuł się jakby odstawiono go na boczny tor. On nie robił nic, z wyjątkiem leżenia w łóżku i przypatrywania się kolejnym pielęgniarkom.

Następnego dnia po południu przyniosła mu formularze. Wypełniali je razem, sprawdzając wielokrotnie, i wreszcie wysłali na uczelnię

Tana zaczęła rozglądać się za mieszkaniem. Należało szukać przede wszystkim takiego, które byłoby odpowiednie dla niego.

Któregoś majowego popołudnia, kiedy właśnie obejrzała dwa ładne mieszkania, zadzwoniła matka. Tana zazwyczaj nie bywała w domu o tej porze, ale miała kilka spraw do załatwienia, a poza tym wiedziała, że o Harry'ego może być spokojna. Jedna z dziewcząt z końca korytarza zapukała do jej drzwi. Myślała, że to dzwoni Harry, żeby dowiedzieć się o mieszkania, które oglądała. Jedno było w Piedmont i wiedząc jakim był snobem, stwierdziła, że na pewno podobałoby mu się najbardziej, ale musiała znaleźć

coś, na co i ją byłoby stać. Nie miała takich dochodów jak on, mimo że znalazła sobie wakacyjną pracę. Może kiedyś...

Halo? - Usłyszała szum rozmowy międzymiastowej i serce zamarło w niej na chwilę. Myślała, że to znowu dzwoni do niej Harrison. Harry nigdy się nie domyślił, co zaszło między nimi, i co ważniejsze, jakie mogło mieć skutki. Nie wiedział też, jaką ofiarę musieli dla niego złożyć.

- Halo?

- Tana? - To była Jean.

- Och. Cześć, mammo.

- Czy coś nie w porządku? - Na początku zabrzmiała dziwnie.

- Nie. Tylko najpierw myślałam, że to ktoś inny. Czy coś się stało?

Matka nigdy przedtem nie dzwoniła do niej o tej porze. Może Artur miał znowu atak serca. Poprzednim razem przeniósł się z Jean na trzy miesiące do Palm Beach. Ann z Johnem i Billym wrócili do Nowego Jorku, a Jean została, żeby opiekować się nim po wyjściu ze szpitala. Przyjechali z powrotem do Nowego Jorku dopiero dwa miesiące temu, ale widocznie miała pełne ręce roboty, bo do Tany dzwoniła ostatnio bardzo rzadko.

- Nie byłam pewna, czy będziesz w domu o tej porze. - Jej głos był niespokojny, tak jakby nie była pewna tego, co chce powiedzieć.

- Zwykle jestem o tej porze w szpitalu, ale dzisiaj mam coś do zrobienia w domu.

- Jak się czuje twój przyjaciel?

- Lepiej. Za niecały miesiąc wychodzi ze szpitala. Właśnie próbowałam znaleźć dla niego jakieś mieszkanie.

Nie powiedziała jej jeszcze, że myślą o tym, by zamieszkać razem. Uważała, że to był dobry pomysł, ale nie wiadomo, co na to powie Jean.

- Czy on może zamieszkać sam? - Była zaskoczona.

- Pewnie tak, jeśli nie będzie miał innego wyjścia, ale nie sądzę żeby do tego doszło.

- To rozsądne. - Jean nie zrozumiała, co się za tym kryje, ale w tej chwili co

innego zaprzętało jej myśli. - Chciałam ci coś powiedzieć, kochanie.

- Co takiego?

Nie była pewna, jak na to zareaguje Tana, ale dalsze ukrywanie tego nie miało sensu.

- Artur i ja pobieramy się. - Powiedziawszy to, wstrzymała oddech.

Tana, zupełnie zaskoczona patrzyła przed siebie tępym wzrokiem.

- Co robicie?

- Pobieramy się... Ja... on uważa, że starzejemy się.... tak głupio, że tak długo z tym zwlekaliśmy... - Pomięła milczeniem, co usłyszała od niego zaledwie kilka dni temu. Zdenerwowała się na samo wspomnienie tych słów. Jednocześnie w napięciu czekała na reakcję Tany. Wiedziała, że już od dziecka nie lubiła Artura, ale może teraz...

- To nie tobie powinno być głupio, mamó. To jego wina. Powinien był się z tobą ożenić co najmniej piętnaście lat temu. - Zdenerwowała się jeszcze bardziej, rozważając to, co usłyszała przed chwilą od matki. - Czy jesteś pewna, że tego chcesz mamó? On nie jest już młody, choruje..., teraz jesteś mu naprawdę potrzebna, dopiero na te najgorsze lata.

To było bolesne, ale jakże prawdziwe. Gdyby nie atak serca, pewnie wcale nie miałby zamiaru się z nią ożenić. W ogóle o tym nie myślał przez te wszystkie lata. Dokładnie od czasu, kiedy jego żona wróciła ze szpitala, szesnaście lat temu. Nagle, kiedy wszystko zmieniło się, zrozumiał, że jest tylko zwykłym śmiertelnikiem.

- Jesteś pewna?

- Tak, Tano, jestem pewna. - Głos matki brzmiał jakoś dziwnie spokojnie. Czekala na to prawie dwadzieścia lat i nie zrezygnuje za nic w świecie, nawet dla jedyne go dziecka. Tana miała swoje własne życie, a jej nie pozostało nic poza Arturem. Była mu wdzięczna, że wreszcie się z nią ożeni. Będą wiedli teraz wygodne, łatwe życie, będzie mogła się rozluźnić. Te wszystkie lata samotności i zamartwiania się, czy on się pokaże czy do niej wpadnie, czy powinna umyć włosy, a może tak na wszelki wypadek... a on potrafił nie pokazywać się przez dwa tygodnie, aż nagle, właśnie tego wieczoru, kiedy Tana miała grypę, a Jean była przeziębiona... zresztą teraz to już nie miało znaczenia,

prawdziwe życie dopiero przed nią. Nareszcie. Zasłużyła na każdą jego minutę i miała zamiar cieszyć się najmniejszą chwilką.

- Jestem zupełnie pewna.

- Jak uważasz. - Ale Tana nie była zachwycona tą wiadomością. - Chyba powinnam ci pogratulować albo coś w tym rodzaju.

Jakoś nie mogła tego zrobić. To był tak typowy przykład burżuazyjnego stereotypu życia. Woląaby zobaczyć po tych wszystkich latach czekania na niego, jak Jean mu mówi, żeby poszedł do diabła. Ale to było takie niedojrzałe z jej strony. Jean miała zupełnie inne zdanie na ten temat. - Kiedy ślub?

- W lipcu. Przyjedziesz, prawda kochanie?

W jej głosie wyczuwało się zdenerwowanie. Tana pokiwała głową. I tak miała zamiar pojechać na miesiąc do domu. Zaplanowała to razem z pracą wakacyjną. Pracowała teraz w firmie prawniczej w mieście. Miała nadzieję, że nie będą robili jej trudności.

- Postaram się przyjechać. - Nagle przyszedł jej do głowy pomysł. - Czy mogę zabrać Harry'ego?

- Na wózku?

Matka wystraszyła się. W oczach Tany pojawiły się złowrogie ogniki.

- Oczywiście. On raczej nie ma wyboru.

- No, nie wiem... Myślę, że to byłoby dla niego krępujące... No, wiesz, ci wszyscy ludzie, i... Muszę zapytać Artura, co o tym myśli...

- Daj sobie spokój. - Nozdrza Tany rozdymały się niebezpiecznie i czuła, że ma ochotę kogoś udusić, a najbardziej chyba Jean. - I tak nie będę mogła przyjechać.

W oczach Jean momentalnie pojawiły się łzy. Wiedziała, że zraniła Tanę, ale dlaczego ona robiła aż takie trudności? Zawsze była taka uparta.

- Tano, nie rób tego, proszę... chodzi o to, że... dlaczego musisz go ze sobą ciągnąć?

- Dlatego, że przez sześć miesięcy leżał w szpitalu i nie widywał nikogo oprócz mnie, i może to sprawiłoby mu przyjemność. Nie pomyślałaś o tym? Nie wspominając już

o tym, że nie potrafił go samochód, tylko walczył za ten śmierdzący kraj, do którego i tak nie mamy prawa, ale przynajmniej ludzie mogliby okazać mu trochę wdzięczności i szacunku...

Była zaślepiona wściekłością, a Jean przeraziło to wystąpienie.

- Oczywiście... rozumiem... właściwie nie ma powodu, żeby nie przyjeżdżał... - i nagle ni stąd ni zowąd dodała - wiesz, John i Ann mają znowu dzidziusia.

- A co to ma do rzeczy?

Tana była zdruzgotana. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Nigdy się nie dogadają. Tana poddała się już zupełnie.

- Mogłabyś kiedyś zastanowić się nad tym. Nie stajesz się z dnia na dzień młodsza, moja droga. Masz już prawie dwadzieścia trzy lata.

- Studiuję prawo, mam. Czy ty wiesz w ogóle, co to znaczy? Jak ciężko pracuję przez całe dnie i noce? Czy ty rozumiesz, że myślenie o małżeństwie i dzieciach w tej chwili byłoby kompletną głupotą?

- Zawsze tak będzie, jeśli cały swój czas będziesz nadal poświęcać jemu. - Znowu czepiała się Harry'ego, a na Tanę działało to jak płachta na byka.

- Nieprawda. - Jej oczy pały złością, ale matka tego nie widziała. - Prawdę mówiąc nie jest z nim tak źle. Nadal mu staję, no wiesz.

- Tana! - Jean była wstrząśnięta wulgarnością Tany. - To co mówisz jest obrzydliwe.

- Ale chciałaś to wiedzieć, prawda? No więc możesz odetchnąć mam, wszystko jest na swoim miejscu. Kilka dni temu słyszałam, że przeleciał pielęgniarkę. Mówiła, że był świetny. - Atakowała jak wielki pies, który nie chciał wypuścić swojej ofiary, a jej matka przyparta do muru, nie miała możliwości ucieczki. - Czujesz się teraz lepiej?

- Tano Roberts, z tobą dzieje się coś dziwnego.

Przez krótką chwilę Tana myślała o tych wszystkich godzinach poświęconych nauce, bezowocnej miłości do Harrisona, załamaniu po powrocie z Wietnamu sparaliżowanego Harry'ego... Matka miała rację. „Coś” się z nią działo. Właściwie nawet całkiem sporo.

- Myślę, że jestem już dorosła. A to nie zawsze jest przyjemne, prawda, mamó?

- To wcale cię nie upoważnia do tego, żebyś była niegrzeczna i wulgarna, chyba że takie obyczaje panują w Kalifornii. W tej twojej szkole musi być pełno brutalni i łobuzów.

Tana roześmiała się. Dzielilo je tak wiele.

- Pewnie rzeczywiście tacy jesteście. W każdym razie, gratulacje, mamó.

Nagle dotarło do niej, że ona i Billy staną się przyrodnim rodzeństwem. Zrobiło się jej niedobrze na samą myśl o tym. On pewnie przyjedzie na ten ślub i nie była pewna, czy będzie w stanie to znieść.

- Postaram się przyjechać na czas.

- Dobrze. - Jean westchnęła, rozmowa z córką była męcząca. - I zabierz ze sobą Harry'ego, jeśli musisz.

- Zobaczę, czy będzie miał ochotę. Muszę go najpierw wydostać z tego szpitala, a później się przeprowadzimy...

Skurczyła się ze strachu po strzeleniu tej gafy, a po drugiej stronie zapadła ogłuszająca cisza. Tego było już za dużo.

- Masz zamiar z nim zamieszkać?

Tana wzięła głęboki oddech. - Tak. On nie może mieszkać sam.

- Niech jego ojciec zatrudni pielęgniarkę. Czy będą ci za to płacić pensję? - Potrafiła być czasami tak uszczypliwa jak Tana, ale to nie odstraszyło jej córki.

- Nie, absolutnie. Będziemy płacić czynsz po połowie.

- Chyba zupełnie zwariowałaś. Mógłby się z tobą co najmniej ożenić, a zresztą i tak nie pozwoliłabym na to.

- Nie, nic byś nie zrobiła. - Tana była niebezpiecznie spokojna. - Nic byś nie zrobiła, gdybym chciała za niego wyjść, ale ja nie chcę. Więc uspokój się. Mamó... wiem, że to dla ciebie trudne, ale ja mam swój własny sposób na życie. Czy mogłabyś postarać się to zaakceptować? - Zapadła długa cisza, Tana uśmiechnęła się. - Wiem, że to nie jest łatwe.

I nagle usłyszała po drugiej stronie płacz Jean.

- Czy ty nie widzisz, że marnujesz sobie życie?

- Dlaczego? Dlatego, że pomagam przyjacielowi? Na czym polega ta moja krzywda?

- Na tym, że któregoś dnia obudzisz się i nagle okaże się, że masz czterdzieści lat i będzie już po wszystkim, Tan. Zmarnujesz swoją młodość, zupełnie tak jak ja, chociaż moja nie była stracona do końca, miałam przynajmniej ciebie.

- Być może ja też kiedyś będę miała dzieci. Ale na razie nie czas o tym myśleć. Studiuję prawo, mam swoje plany zawodowe i chcę robić w życiu coś pożytecznego. A potem pomyślę o innych sprawach. Tak jak Ann.

To była szpilka, ale już przyjazna i dotarła do Jean.

- Nie możesz mieć męża i kariery jednocześnie.

- Dlaczego nie? Kto tak powiedział?

- Taka jest prawda, to wszystko.

- To bzdury.

- Nie, nie masz racji. Jeśli będziesz ciągle niańczyła tego chłopaka od Winslowów, to w końcu się z tobą ożeni. A on jest teraz kaleką, nie potrzeba ci takiej kuli u nogi. Znajdź sobie kogoś innego, normalnego chłopca.

- Dlaczego? - Serce Tany krwawiło. - On też jest człowiekiem. Bardziej niż ktokolwiek inny.

- Nie znasz innych chłopców. Nigdy się z nikim nie umawiasz.

Dzięki twojemu najdroższemu pasierbowi, mamó. Tak naprawdę, ostatnio najważniejszym powodem były studia. Od czasu Harrisona zaczęła inaczej patrzeć na mężczyzn, nabrała do nich zaufania i była bardziej otwarta. Jednak do tej pory nikt nie mógł się z nim równać. Był dla niej taki dobry. Chciałaby kiedyś spotkać kogoś takiego jak on. Ale nigdy nie miała czasu, żeby się z kimś umówić. Regularnie jeździła do szpitala, ciągle uczyła się do jakichś egzaminów... wszyscy narzekali na nadmiar nauki. Studia prawnicze często niszczyły istniejące już związki, a rozpoczęcie czegoś od zera było niemal niemożliwe.

- Poczekaj parę lat, mamó. A potem, jak będę już prawnikiem, będziesz ze mnie dumna. Przynajmniej mam taką nadzieję. Ale żadna z nich nie była o tym przekonana.

- Chciałabym tylko, żebyś miała normalne życie.
- Co to znaczy normalne? Czy twoje życie było normalne, mammo?
- Zaczyna być. To nie moja wina, że twój ojciec zginął i wszystko się potem

zmieniło.

- Może nie, ale to twoja wina, że czekałaś prawie dwadzieścia lat, żeby Artur Durning wreszcie się z tobą ożenił.

Prawdą było, że gdyby nie atak serca, pewnie by się z nią nie ożenił.

- To był twój wybór. Ja mam także prawo do swojego wyboru.

- Być może, Tan.

Tak naprawdę nie rozumiała swojej córki. Przestała już nawet udawać, że ją rozumie. Ann Durning była o wiele bardziej normalna. Chciała tego samego, czego pragnie każda dziewczyna: męża, domu, dwójki dzieci, pięknych ciuchów. Jeśli nawet przedtem popełniała błędy, to widać, że dostała nauczkę od życia i zapewne w przyszłości będzie mądrzejsza. Ostatnio mąż kupił jej u Cartiera przepiękny pierścionek z szafirem. Tego właśnie chciała Jean dla swojego dziecka, ale Tanę to w ogóle nie obchodziło.

- Zadzwoń do ciebie niedługo, mammo. I pogratuluj ode mnie Arturowi. To on jest w tym związku szczęściarzem. Mam nadzieję, że ty także będziesz szczęśliwa.

- Oczywiście, że będę.

Nie wyglądała jednak na szczęśliwą, kiedy odłożyła słuchawkę. Tana bardzo ją zmartwiła i próbowała się tym podzielić z Arturem, ale on tylko powiedział, żeby się tak nie przejmowała. Życie było zbyt krótkie, żeby pozwolić zatruwać je przez dzieci. On nigdy tego nie robił. Poza tym mieli wiele innych spraw na głowie. Jean miała zamiar zmienić wystrój Greenwich. On chciał kupić domek w Palm Beach i jakieś niewielkie mieszkanie w mieście. Zamierzali sprzedać mieszkanie Jean, w którym obie przeżyły tyle lat. Tana była zaskoczona, kiedy o tym usłyszała.

- Do diabła, nie mam już nawet domu. - Była wstrząśnięta, mówiąc to Harry'emu, ale on wyglądał, jakby to nie zrobiło na nim wrażenia.

- Ja go nie mam już od lat.

- Powiedziała, że bez względu na to gdzie będą mieszkać, zawsze będzie tam pokój dla mnie. Czy wyobrażasz sobie, że spędzę choćby jedną noc w Greenwich po tym, co mnie tam spotkało? Wystarczy, że nadal mam koszmarne sny na ten temat. - Przygnębiło ją to bardziej, niż dała po sobie poznać. Wiedziała, że Jean zawsze chciała poślubić Artura, ale nie odebrała tego jako dobrej wiadomości. To wszystko było takie drobnomieszczańskie, takie nudne i pruderyjne. Najbardziej bolało ją to, że Jean nadal trzymała się Artura, mimo że tak źle ją traktował przez te wszystkie lata. Jednak kiedy powiedziała to Harry'emu, wściekł się na nią.

- Wiesz co, ty stajesz się zajadłym radykałem i to mnie zaczyna nudzić, Tan,

- A czy ty w ogóle zauważyłeś, że jesteś czymś więcej niż drobnym prawnicowcem? - Zaczynał ją denerwować.

- Może i jestem, ale nie ma w tym nic złego. Są pewne rzeczy, w które wierzę, Tan. Nie są to poglądy radykalne, nie są lewicowe ani rewolucyjne, ale myślę, że są słuszne.

- Myślę, że jesteś jak balon wypełniony gorącym powietrzem. - Powiedziała to z ogromną pasją. Ciągle nie zgadzali się ze sobą na temat Wietnamu. - Jak możesz bronić tych dupków po tym, co tam wyprawiali?

Skoczyła na równe nogi, a on przyglądał się jej. W pokoju zapanowała dziwna cisza.

- Ponieważ byłem jednym z nich. Właśnie dlatego.

- Nie byłeś. Byłeś tylko pionkiem. Czy ty tego nie widzisz, ty cholerny idioto?

Wykorzystali cię do walki w wojnie, która w ogóle nie powinna się rozpocząć.

Jego głos był cichy i śmiertelnie poważny, kiedy mówił patrząc jej prosto w oczy.

- A może ja uważam, że ta wojna jest słuszna.

- Jak możesz gadać takie bzdury? Zobacz, co się z tobą stało!

- O to właśnie chodzi. - Przesunął się na przód łóżka, wyglądał jakby chciał ją udusić. - Jeśli nie będę tego bronił... jeśli nie będę wierzył w to, co tam robiłem, to po co było to wszystko? - Nagle łzy napłynęły do jego oczu, ale ciągnął dalej - jakie to wszystko ma znaczenie, do diabła... po co oddałem im swoje nogi, jeśli mam w nich nie wierzyć?

Powiedz mi, Tan! - Jego krzyk słycać było w korytarzu. - Muszę w nich wierzyć, prawda? Bo jeśli nie, jeśli uwierzę w to, co mówisz, to znaczy, że to wszystko było farsą. Mogłem równie dobrze dać się przejechać pociągowi do Des Moines...

Odwrócił od niej twarz i zaczął płakać zupełnie otwarcie. Poczula się okropnie. Nagle zwrócił się do niej, ciągle jeszcze wściekły. - A teraz wynoś się z mojego pokoju, ty nieczuła, radykalna dziwko!

Płakała przez całą drogę do szkoły. Wiedziała, że w pewnym sensie on ma rację. Po tym wszystkim przez co przeszedł, nie mógł sobie pozwolić na przyjęcie jej stanowiska w tej kwestii. Od kiedy wrócił z Wietnamu, zaczęła narastać w niej jakaś wściekłość, której nigdy przedtem nie znała, rodzaj złości, której nic nie mogło ugasić i chyba nigdy nie zdoła. Rozmawiała o tym któregoś wieczoru przez telefon z Harrisonem, a on to zrzucił na karb jej młodości. Ona jednak wiedziała, że to nie tylko to. Chodziło o coś więcej. Miała do wszystkich pretensje o to, że Harry został okaleczony. Zwłaszcza, że chodziło tu o polityczne rozgrywki, walkę o wysokie stołki... Do diabła, półtora roku temu zabito prezydenta Stanów Zjednoczonych i jak to możliwe, że do tej pory ludzie nie widzą tego wszystkiego, co się wokół dzieje. Nadal nie zdają sobie sprawy z tego, co powinni zrobić... Tana nie chciała martwić Harry'ego jeszcze bardziej. Zadzwoiła do niego z przeprosinami, ale nie chciał z nią rozmawiać. I po raz pierwszy od sześciu miesięcy, które spędził w Lettermanie, nie przyszła go odwiedzić przez trzy dni z rzędu. A kiedy w końcu to zrobiła, wsunęła najpierw przez szparę w drzwiach jego pokoju gałązkę oliwną, dopiero potem weszła nieśmiało do środka.

- Czego chcesz? - Spojrzał na nią, a ona uśmiechnęła się wymownie.

- Tak właściwie, to przyszłam po czynsz.

Usiłował powstrzymać parsknięcie śmiechem. Nie był już na nią zły. Ale naprawdę zrobiła się z niej radykałka. I co z tego? Tak właśnie było w Berkeley. Wyrośnie z tego. Bardziej zaintrygowało go to, co przed chwilą usłyszał.

- Znalazłaś coś fajnego?

- No, jasne. - Zachichotała. - Na Channing Way, maleńki domek z dwiema sypialniami, salonem i kuchenką. Wszystko znajduje się na jednym piętrze, więc

będziesz musiał się przyzwoicie zachowywać i uprzedzić swoje przyjaciółki, żeby za głośno nie krzyczały.

Zaśmiali się oboje. Harry był podniecony nowiną.

- Zobaczysz, będziesz zachwycony.

Klasnęła w dłonie i opisała mu wszystko ze szczegółami. Lekarz pozwolił mu pojechać tam podczas najbliższego weekendu. Ostatnią operację przeprowadzono sześć tygodni temu; terapia przebiegała nieźle. Zrobili dla niego wszystko, co było możliwe. Nadszedł czas, by wrócił do domu. Harry i Tana podpisali umowę najmu domu od razu, jak tylko Harry go obejrzał. Właściciel nie miał nic przeciwko temu, że nosili różne nazwiska, żadne z nich zresztą nie miało zamiaru się tłumaczyć. Tana i Harry uścisnęli się i z radosnymi minami wracali z powrotem do Lettermana. Dwa tygodnie później wprowadzili się do domu. Harry musiał nadal dojeżdżać na zabiegi, ale Tana obiecała, że będzie go podwozić. Dwa tygodnie po egzaminach otrzymał list gratulacyjny, z zawiadomieniem o przyjęciu go do Boalt. Siedząc na wózkach, czekał niecierpliwie na jej powrót do domu. Jego policzki były mokre od łez.

- Przyjęli mnie Tan... to wszystko twoja wina... - Uściskali się i ucałowali. Nigdy przedtem nie kochał jej tak bardzo jak w tej chwili. Tana wiedziała tylko tyle, że jest jej najdroższym przyjacielem. Gotowała tego wieczora kolację, podczas gdy on otwierał butelkę szampana Dom Perignon.

- Skąd go wzięłeś? - Spojrzała mile zaskoczona.

- Przechowywałem go bardzo długo.

- Po co?

Odkładał go na inną okazję, ale stwierdził, że wydarzyło się tyle przyjemnych rzeczy jak na jeden dzień, że warto to uczcić.

- Dla ciebie, głuptasie.

Była tak cudownie nieświadoma jego uczuć. Ale to także w niej kochał. Tak pochłonęły ją studia i egzaminy, wakacyjna praca i wydarzenia polityczne, że nie zauważała tego, co dzieje się przed jej nosem. A przynajmniej na pewno nie wiedziała o jego zamiarach. Poza tym on nie był jeszcze gotowy. Nadal starał się zyskać na czasie,

obawiał się ją utracić.

- Niezły.

Pociągnęła łyk szampana i zaśmiała się, odrobinę wstawiona, szczęśliwa, rozluźniona. Oboje uwielbiali ten mały domek, był dla nich idealny, ale pamiętała, że miała go o coś zapytać. Miała zamiar zrobić to już wcześniej, ale przez to zamieszanie z przeprowadzką, kupowaniem mebli zapomniała o tym.

- Słuchaj, tak przy okazji, głupio mi cię o to prosić... wiem, że to będzie dla ciebie męka... ale...

- Jezu, o co ci znowu chodzi? Najpierw zmusza mnie do zdawania na prawo, a teraz Bóg wie, jakie jeszcze tortury wymyśliła... - Udawał, że jest wystraszony, ale Tana była naprawdę przygnębiona.

- Znacznie gorzej. Moja matka wychodzi za dwa tygodnie za męża. - Powiedziała mu o tym już dawno, ale nie zapytała, czy pojedzie z nią na ślub. - Pojedziesz ze mną?

- Na ślub twojej matki? - Wyglądał na zaskoczonego, gdy odstawił kieliszek. - Czy to wypada?

- Nie widzę problemu. - Przez chwilę zastanowiła się, po czym ciągnęła dalej. Jej oczy były jeszcze większe niż zwykle. - Jesteś mi tam potrzebny.

- Domyślam się, że będzie tam również twój czarujący przyrodni braciszek.

- Tak sądzę. Ta cała impreza to dla mnie trochę za wiele. Córeczka Artura, szczęśliwa mężatka z jednym dzieckiem, drugie w drodze i wreszcie on sam udający, że zakochał się w Jean w zeszłym tygodniu.

- Czy tak właśnie mówi? - Harry wyglądał na rozbawionego, ale Tana wzruszyła tylko ramionami.

- Pewnie tak. Nie wiem. Naprawdę, jak dla mnie to za wiele. Nie podoba mi się to wszystko.

Harry zastanawiał się, patrząc na swoje nogi. Do tej pory nie wyjeżdżał nigdzie, zastanawiał się jednak nad podróżą do Europy, do ojca. Mógłby zatrzymać się po drodze... popatrzył na nią. Nie mógł jej niczego odmówić po tym wszystkim, co dla niego zrobiła.

- Jasne, Tan, nie ma sprawy.

- Nie będzie to zbyt przykre dla ciebie? Patrzyła na niego z wyrazem psiej wdzięczności na twarzy. Roześmiał się.

- Oczywiście, że będzie, dokładnie tak samo jak dla ciebie. Przynajmniej pośmiejemy się razem.

- Cieszę się, że jest szczęśliwa... Ale po prostu... Po prostu nie dla mnie już te obłudne gierki.

- Tylko zachowuj się, jak już tam będziemy. Możemy polecieć razem, a potem, następnego dnia wyruszę dalej, do Europy. Pomyślałem, że pojedę do taty na południe Francji na jakiś czas.

Z przyjemnością słuchała jak znowu mówił o takich sprawach.

Ze zdziwieniem przypomniała sobie, że jeszcze rok temu miał zamiar całe życie poświęcić rozrywkom. Teraz, dzięki Bogu, miał przed sobą miesiąc lub dwa słodkiego lenistwa, zanim jesienią rozpocznie studia prawnicze.

- Nie wiem jak mnie do tego namówiłaś.

Ale w gruncie rzeczy oboje cieszyli się z tego. Wszystko układało się po ich myśli. Podzielili między sobą domowe obowiązki. Ona robiła rzeczy, których on nie mógł wykonywać. Nieprawdopodobne było to wszystko, co był w stanie zrobić: począwszy od mycia naczyń aż do ścielenia łóżek. Kiedy któregoś dnia odkurzał, zaczął się dusić i od tej pory ona przejęła ten obowiązek. Oboje byli bardzo zadowoleni. Zaraz po powrocie z Nowego Jorku miała zacząć wakacyjną pracę. Latem 1965 roku uważali, że życie jest naprawdę cudowne. W lipcu, podczas lotu do Nowego Jorku Harry poderwał dwie stewardesy. Tana siedziała obok niego, zaśmiewając się, rozkoszując się każdą minutą, dziękując Bogu, że Harry Winslow IV był wśród żywych.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ślub był skromny i świetnie zorganizowany. Jean ubrana była w bardzo piękną, sztyfonową suknię, a dla Tany na wszelki wypadek kupiła bladoniebieską. Obawiała się, że córka może nie mieć czasu na zakupy. Oczywiście Tana nigdy nie kupiłaby czegoś takiego, a kiedy spojrzała na metkę z ceną, przeraziła się naprawdę. Matka kupiła ją u Bergdorfa. Miał to być prezent od Artura, więc Tana nie mogła nawet zaprotestować.

Podczas ceremonii obecna była tylko rodzina, ale Tana uparła się, że przywiezie także Harry'ego. Nie był zachwycony tą imprezą od samego początku, od kiedy tylko przyjechali do Nowego Jorku. Tana zatrzymała się razem z nim w hotelu Pierre. Wmówiła matce, że nie może zostawić go samego. Ulżyło jej, kiedy dowiedziała się, że następnego dnia Artur i jej matka wyjeżdżają w podróż poślubną. Nie musiała więc zostawać w Nowym Jorku dłużej niż zaplanowała. I tak odmówiłaby, gdyby zaproponowano jej zatrzymanie się w Greenwich. Chciała wylecieć z Nowego Jorku tego samego dnia co Harry. Wybierał się do Nicei, by spotkać się z Harrisonem w Saint-Jean-Cap-Ferrat. Ona natomiast leciała do San Francisco, by zacząć wakacyjną pracę. Jean i Artur ku przerażeniu Tany zapowiedzieli, że chcą odwiedzić ją jesienią. Matka za każdym razem, kiedy o tym wspominała, wymownie spoglądała na Harry'ego, jak gdyby dawała mu do zrozumienia, że do tego czasu powinien zniknąć. Tana w końcu nie wytrzymała i roześmiała się.

- To straszne, prawda?

Ale najgorszy w tym wszystkim był Billy, któremu udało się wreszcie dopaść ją po południu. Oczywiście jak zwykle był pijany i rzucał jakieś obleśne komentarze na temat tego, że jej przyjaciel jest już do niczego i na pewno mu nie staje. Zaofiarował jej swoją pomoc w tym zakresie, gdyby miała ochotę, bo o ile pamiętał była całkiem niezłą dupą. Gdy właśnie miała zamiar przyłożyć mu pięścią w zęby, zobaczyła jak znacznie większa pięść ląduje z impetem na jego twarzy. Billy zatoczył się, po czym jak długi runął na trawnik. Tana odwróciła się i ujrzała za sobą Harry'ego, który zaśmiewał się siedząc na swoim wózku. Udało mu się odepchnąć i podskoczyć do góry, by jednym ciosem powalić Billy'ego na łopatki. Był z siebie bardzo zadowolony.

- Wiesz, chciałem to zrobić już rok temu.

Uśmiechnął się do niej, ale Jean była oburzona jego zachowaniem. Tana i Harry urwali się z tej imprezy, jak najszybciej się dało, wsiedli do limuzyny i wrócili do Nowego Jorku. Zanim jednak udało im się wymknąć, nastąpiło wylewne pożegnanie. Tana i Jean żegnały się. Jean płakała, a Tana była spięta. Artur pocałował ją w policzek i ogłosił, że jest teraz również jego córką, więc żadne stypendia nie będą jej już potrzebne. Ale ona oświadczyła, że w żadnym wypadku nie może przyjąć od niego takiego prezentu. Nie mogła już doczekać się, żeby od nich wszystkich uciec, zwłaszcza od widoku pękatej, ciężarnej Ann, obwieszanej ogromnymi diamentami, słuchania jej jęczącego głosu i nudnego męża, który przez całe popołudnie robił maślane oczy do jednej z zaproszonych mężatek.

- Jezu, jak oni mogą żyć w ten sposób? - wzdychała do Harry'ego po drodze do domu. Poklepał ją po kolanie.

- No, no uspokój się maleńka, któregoś dnia to samo stanie się z tobą.

- Och, odpieprz się.

Śmiał się z niej gdy razem wracali do Pierre. Zabrał ją tego wieczoru do „21”.

Wszyscy cieszyli się, że znowu go widzą, mimo że ze smutkiem patrzyli na jego inwalidzki wózek. Jak za dawnych czasów wypili trochę za dużo szampana i kiedy wrócili do pokoju byli lekko wstawieni. Wystarczająco pijani, żeby Harry zrobił coś, czego zgodnie z obietnicą, jaką sam sobie złożył, miał nie robić jeszcze przez rok lub dwa. Siedzieli przy drugiej butelce Roedera i właściwie biorąc pod uwagę wesele matki, pili już od rana. Spojrzał na nią łagodnie, dotknął jej policzka i niespodziewanie pocałował ją w usta.

- Czy wiedziałaś, że zawsze cię kochałem? W pierwszej chwili Tana była tak zaskoczona, że miała ochotę się rozplakać.

- Nie wyglupiaj się.

- Nie wyglupiam się.

Czyżby jej matka miała rację? A może Harrison?

- To idiotyczne. Ty nie jesteś we mnie zakochany. I nigdy nie byłeś. - Spojrzała na

niego nieprzytomnie.

- Ależ jestem. Zawsze byłem. Patrzyła na niego, a on wziął ją za rękę.

- Czy wyjdiesz za mnie Tan?

- Zwariowałeś. - Cofnęła rękę i wstała. Jej oczy były pełne łez. Nie chciała, żeby się w niej zakochał. Pragnęła, żeby zostali na zawsze przyjaciółmi, po prostu przyjaciółmi, to wszystko. A on chciał teraz to wszystko zepsuć.

Dlaczego to wszystko mówisz?

- Czy mogłabyś mnie pokochać, Tan? - Teraz patrzył na nią tak, jakby za chwilę miał się rozplakać, a ona nagle gwałtownie wytrzeźwiała.

- Nie chcę zniszczyć tego, co jest między nami... to dla mnie zbyt wiele znaczy. Za bardzo jesteś mi potrzebny.

- Ja także cię potrzebuję. Na tym to wszystko polega. Gdybyśmy się pobrali, wtedy moglibyśmy być zawsze razem.

Ale ona nie mogła wyjść za niego... nadal kochała Harrisona... to było jakieś szaleństwo... to wszystko... rzuciła się na łóżko i łkała przez całą noc. Harry także nie zmrużył oka. Czekał już na nią, kiedy następnego dnia rano wyszła z pokoju blada i zmęczona, z zapuchniętymi oczami. Chciał powrócić do dawnych stosunków między nimi, dopóki nie było jeszcze na to za późno. Dla niego to oznaczało wszystko. Musiał pogodzić się z tym, że nigdy nie będzie jego żoną, ale nie może jej utracić.

- Przepraszam za wczorajszy wieczór, Tan.

- Ja też cię przepraszam. - Usiadła obok niego w przestronnym salonie. - I co teraz będzie?

- Zwalimy to na karb upojonej nocy i nadmiaru szampana. To był ciężki dzień dla nas obojga... ślub twojej matki... moje pierwsze publiczne pojawienie się na wózku... nie ma sprawy. Możemy o tym zapomnieć. Jestem tego pewien.

Modlił się o to, żeby się zgodziła. Powoli pokręciła przecząco głową, jego serce zamierało z przerażenia.

- Co się z nami stało? Czy ty naprawdę byłeś... we mnie zakochany przez te wszystkie lata?

Popatrzył na nią z rozbrajającą szczerością. - Trochę tak. Ale nienawidzę twojego temperamentu.

Roześmieli się oboje i poczuła się niemal tak jak dawniej. Objęła go za szyję.

- Zawsze będę cię kochała Harry. Zawsze.

- I to tylko chciałem usłyszeć.

Miał ochotę się rozplakać, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Zamówili posiłek do pokoju, śmieli się, krzydzeli na siebie, przekomarzali, próbując rozpaczliwie przywrócić to, co było dawniej między nimi. Kiedy patrzyła po południu, jak jego samolot odlataje, miała łzy w oczach. Być może nigdy nie będzie już tak samo jak kiedyś, ale liczyła na to, że nadal pozostaną przyjaciółmi. Oboje postarają się o to. Zainwestowali zbyt wiele w to, co ich łączyło, by teraz nagle wszystko zniszczyć.

Kiedy Harry przyjechał w końcu do Cap Ferrat przywieziony przez kierowcę ojca, Harrison wybiegł mu naprzeciw przez środek trawnika. Chciał pomóc synowi wydostać się z samochodu na wózek. Chwycił go mocno w ramiona i przyjrzał mu się badawczo.

- Czy wszystko w porządku, synu?

W oczach Harry'ego było coś, co go zaniepokoiło.

- Mniej więcej.

Wyglądał na zmęczonego. To był długi lot, długie dwa dni i tym razem nie zabawiał się ze stewardesami. Lecąc do Francji myślał o Tanie. Ona na zawsze pozostanie jego pierwszą, wielką miłością, kobietą, której zawdzięcza powrót do życia. Takich uczuć nie można zaprzepaścić, a skoro nie chciała wyjść za niego... nie miał wyboru. Musiał się z tym pogodzić. Wyczytał w oczach Tany, że nie ma dla niego miejsca w jej sercu. Mimo że jego ból był dokuczliwy, zmuszał się, żeby zaakceptować taki stan rzeczy. To nie było proste. Tak długo zwlekał, zanim powiedział jej o swoich uczuciach. A teraz było już po wszystkim. Między nimi nic nigdy się nie wydarzy. Myśl o tym wycisnęła z jego oczu łzy, Harrison objął go silnymi rękami.

- Jak się miewa Tana? - Harrison zapytał szybko i przez ułamek sekundy zauważył, że Harry zwleka z odpowiedzią. Zrozumiał instynktownie, co zaszło między nimi. Harry spróbował i przegrał. Serce ojca otworzyło się ku synowi.

- Tana ma się dobrze - spróbował się uśmiechnąć - ale jest trudna.

Uśmiechnął się enigmatycznie, ale Harrison odgadł już wszystko. Spodziewał się, że kiedyś nadejdzie ta chwila.

- Ach tak... - Uśmiechnął się, widząc, że ładna dziewczyna, idąca do nich przez środek trawnika, na krótki moment odwróciła uwagę Harry'ego. Spojrzenia mężczyzn spotkały się. Harry uśmiechnął się nieśmiało.

- Zobaczysz, zapomnisz o tym, synu.

Przez chwilę Harry znowu poczuł, że coś go dławi w gardle, a potem z nerwowym śmiechem wyszeptał cicho, jakby do siebie.

- Spróbuję.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jesienią Harry wrócił z Europy pięknie opalony, szczęśliwy i wypoczęty. Jeździł z ojcem wszędzie: do Monako, do Włoch, na parę dni do Madrytu, Paryża, Nowego Jorku. Żył teraz znowu pełną piersią. Jako mały chłopiec czuł się tak bardzo odsunięty od ojca, a teraz nagle znalazło się tu miejsce także dla niego. Piękne kobiety, wspaniałe dziewczęta, gale, nie kończące się koncerty, przyjęcia i wiele innych imprez. Ale gdy wsiadał do samolotu w Nowym Jorku, by polecieć na Zachodnie Wybrzeże był już tym wszystkim zmęczony. Tana wyszła po niego na lotnisko w Oakland i jak zwykle uśmiechała się pokrzepiająco. Opaliła się i wyglądała zdrowo, jej płowe włosy fruwały na wietrze. Była zadowolona ze swojej wakacyjnej pracy. Spędziła parę dni w Malibu z przyjaciółmi, których poznała w pracy. Mówiła o tym, że chciałaby pojechać na wycieczkę do Meksyku. Kiedy zaczął się następny semestr, ciągle byli razem, a jednak osobno. Zostawiała go zwykle w bibliotece, często miała też inne zajęcia niż on. Wydawało się, że Tana zaczyna wreszcie zawierać nowe przyjaźnie. Harry nie leżał już w szpitalu, więc miała teraz więcej czasu. Grupa jej znajomych ze studiów, której udało się przetrwać koszmar pierwszego roku, trzymała się teraz razem. Nowy układ, który powstał między nią a Harrym był znacznie zdrowszy. Przed Świętami Bożego Narodzenia zaczęła widywać go na uczelni zawsze z tą samą dziewczyną. Była to śliczna, apetyczna blondynka z Australii o imieniu Averil. Chodziła za nim jak cień. Studiowała na ostatnim roku sztuk pięknych, ale wydawało się, że znacznie bardziej była zainteresowana podążaniem krok w krok za Harrym, a i jemu to nie przeszkadzało. Tana starała się nie zwracać na to uwagi. Jednak kiedy po raz pierwszy w sobotni poranek spotkała Averil wychodzącą z jego pokoju, wszyscy troje roześmieli się z zażenowaniem.

- Czy to znaczy, że mnie wyrzucacie? - Tana zażartowała nerwowo.

- Nie. Do diabła, nie, ty wariatko. Wystarczy tu miejsca dla nas trojga.

W efekcie zanim Harry skończył pierwszy rok, Averil mieszkała już razem z nimi. Była rzeczywiście czarująca. Pasowała do nich, wesola, miła, pomocna i taka słodka, że czasami denerwowała Tanę, zwłaszcza w czasie sesji, ale ogólnie wszystko grało jak trzeba. Tego lata poleciała z Harrym do Europy, żeby poznać Harrisona.

Tana znowu pracowała w tej samej firmie prawniczej. Obiecała matce, że przyjedzie na wschód, ale szukała jakiegokolwiek wymówki, żeby się z tego wywinąć. Artur zaoszczędził jej wymyślenia kłamstw swoim kolejnym atakiem serca, tym razem łagodniejszym. Matka zabrała go do Lake George, by tam wypoczął. Obiecała, że odwiedzi Tanę jesienią. Ale Tana już wiedziała, co to znaczy. Matka z Arturem złożyli jej wizytę rok temu i był to prawdziwy koszmar. Nie podobał jej się dom, który wynajmowali, zgorzzył ją fakt, że nadal mieszka z Harrym pod jednym dachem. Gdyby dowiedziała się jeszcze o trzeciej lokatorce... Tana uśmiechnęła się na myśl o tym. Nie było już nadziei na porozumienie z matką, jedyną pociechą był kolejny rozwód Ann, oczywiście nie z jej winy. To John miał dość tupetu, żeby porzucić ją i uwieść jej najlepszą przyjaciółkę, co wywołało głośny skandal. Wszyscy wokół mieli jakieś kłopoty... biedna Ann... Uśmiechnęła się pod nosem.

W tym roku Tana z przyjemnością spędziła lato samotnie. Kochała Harry'ego i Averil, ale po stresach związanych z nauką miło było od czasu do czasu побыć tylko z samą sobą. Poza tym ostatnio ciągle kłóciła się z Harrym na temat polityki. On nadal popierał wojnę w Wietnamie, ona wściekała się, jak tylko ktokolwiek poruszył ten temat. Averil próbowała za wszelką cenę przywrócić spokój w domu. Harry i Tana znali się jednak zbyt długo. Po sześciu latach znajomości nie wysilali się na kulturalną dyskusję i słowa, które padały między nimi, przerażały biedną Averil. Harry nigdy nie odezwałby się do niej w taki sposób ani ona do niego. Averil była znacznie spokojniejsza od Tany. Tana już od dawna była samodzielna. Silna i odważna dwudziestoczterolatka, mająca własne niezależne poglądy. Cechowała ją ciekawość tego, co działo się wokół, miała swoje zdanie na różne tematy i potrafiła je obronić. Czasami miała z tego powodu kłopoty, ale nie przejmowała się tym. Lubiła dyskusje, które rodziły się w naturalny sposób. Kiedy zapisała się na następny rok akademicki, dzięki Bogu już ostatni, wdała się w długą, gorącą dyskusję w kafeterii. Było tam co najmniej osiem czy dziewięć osób, z nienawiścią rozprawiających o Wietnamie. Szybko się do nich przyłączyła, jak zwykle zresztą. Oczywiście miało to związek z Harrym, bez względu na to, co on sam o tym sądził. Wierzyła w to, co myślała, a Harry'ego i tak akurat nie było w pobliżu. Pewnie

odwalał gdzieś szybki numer z Averil przed rozpoczęciem zajęć. Tana często podśmiewała się z niego. Harry i Averil spędzali większość życia w łóżku, wypróbując ciągle jego wyobraźnię i możliwości, z którymi nie było chyba większych problemów. Ale Tana w dzisiejszej dyskusji nie miała na myśli konkretnie Harry'ego, zajmowała się tylko ideologicznym podłożem wojny w Wietnamie i była bardzo zaskoczona spotkawszy kogoś znacznie bardziej radykalnego od niej. Jej rozmówca miał wzburzoną grzywę drobno skręconych czarnych sterczących na czubku głowy, jak u dzikusa, włosów. Ubrany był w sandały, niebieskie dżinsy i turkusową koszulkę. Miał dziwnie elektryzujące niebieskie oczy i uśmiech, który rozbudził w niej coś, o czym dawno zapomniała. Kiedy wstał, ujrzała jego wspaniale napięte mięśnie. Wszystko było w nim takie zmysłowe. Odczuwała nieprzepartą chęć, by wyciągnąć rękę i dotknąć jego ramienia, które było tak blisko.

- Mieszkasz gdzieś w pobliżu? Pokręciła przecząco głową.

- Tak mi się wydawało, nie widywałem cię tu przedtem.

- Zwykle przesiaduję w bibliotece. Trzeci rok prawa.

- O kurcze. - Był zaskoczony. - To jest coś.

- A ty?

Magisterski program z nauk politycznych, a cóż by innego?

Roześmieli się oboje. W każdym razie podjął słuszną decyzję i odprowadził ją do biblioteki, gdzie pożegnała go z nie ukrywaną przykrością. Podzielała jego poglądy, poza tym był nadzwyczaj przystojny. Od razu wiedziała, że nie spodobałby się Harry'emu. Ostatnio stawiał sobie takie zwyczajne, ludzkie cele, zwłaszcza od czasu kiedy była przy nim Averil. Tana wiedziała o tym, ale nie przeszkadzało jej to. Jeśli chodzi o Harry'ego to nawet, gdyby na głowie wyrosły mu paprocie, a potem rogi, to i tak by go kochała. Był przecież jej bratem, a Averil stanowiła jego część, więc akceptowała ich oboje. Zazwyczaj starała się nie dyskutować z nim o polityce. Tak było łatwiej.

Jej nowy znajomy zaintrygował ją jeszcze bardziej, gdy zobaczyła go kilka dni później, przemawiającego na kampusie na ten sam temat, który poruszali wcześniej w dyskusjach. To było błyskotliwe i ogniste wystąpienie. Powiedziała mu to, kiedy skończył.

Wiedziała już, że nazywał się Yael McBee. Nosił śmieszne nazwisko, ale on sam nie był śmiesznym facetem. Zafascynował ją, przemawiając z tak niezwykłą żarliwością. Jego wściekłość dotarła do wszystkich tych, których pragnął przekonać o słuszności swoich słów. Podziwiała jego umiejętność nawiązywania kontaktu z tłumem. Tej jesieni poszła jeszcze kilka razy, by go posłuchać, aż w końcu któregoś wieczora zaprosił ją na kolację. Zapłacili na spółkę, po czym poszli do niego jeszcze pogadać. Mieszkało tam oprócz niego jeszcze z tuzin innych ludzi. Część z nich spała na materacach. To mieszkanie nie miało w sobie nic z czystości i schludności małego domku, który Tana dzieliła z Harrym i Averil. Tak naprawdę wstydziłaby się zaprosić do niego Yaela. Ich domek był zbyt drobnomieszczański, za słodki, za bardzo mu obcy. Lubiła przychodzić do niego. Averil i Harry ciągle się kochali albo po prostu znikali w pokoju zamykając za sobą drzwi. Zastanawiała się nawet jak Harry'emu udawało się w ogóle uczyć, ale wiedziała, że jakoś to robił, bo jego stopnie były zadziwiająco dobre. W każdym razie zabawniej było z Yaelem i jego przyjaciółmi, więc kiedy Harry poleciał na Święta Bożego Narodzenia do Szwajcarii, a Averil do domu, Tana w końcu zdecydowała się zaprosić Yaela do siebie. Wyglądał dziwnie w małym, czyściutkim domku, bez swoich szalonych przyjaciół. Miał na sobie jaskrawo zielony golf i znoszone dżinsy. Na nogach wojskowe buty, mimo że wojsko odsiedział w więzieniu za odmowę służby w Wietnamie. Wysłali go do więzienia na Południowym Zachodzie i wypuścili po roku odsiadki

- To niesamowite.

Oczarowały ją jego przenikliwe, niczym u Rasputina oczy. Było w nim coś nadzwyczajnego, nie zaskoczył jej nawet fakt, że komunizm fascynował go już od dziecka. Wszystko, co go dotyczyło wydawało się jej intrygujące i niezwykle. Kiedy w Wigilię Bożego Narodzenia wziął ją w ramiona i zaczęli się kochać, to także okazało się niesamowite. Tylko raz udało jej się pozbyć myśli o Harrisonie Winslow. Na swój sposób to on ją do tego przygotował. Tylko że on nie miał nic wspólnego z Yaelem McBee. Yaelowi udało się otworzyć jej ciało w sposób, o jakim nawet nie marzyła, dotarł tak głęboko, sięgnął do tych wszystkich zmysłów, które do tej pory były uśpione, a ona długo udawała, że nie domyśla się nawet ich istnienia. Poruszył jej całą duszę, wydobył z niej

pasję i pożądanie, których dotąd nie знаła, wreszcie dał jej coś, czego nie spodziewała się po mężczyznach. Od tej pory uzależniła się od niego zupełnie. Była niemal jego niewolnicą, aż do powrotu Harry'ego i Averil. Potem większość nocy spędzała w mieszkaniu Yaela, śpiąc z nim na materacu, skulona i zimna do chwili, kiedy położył na niej dłoń. Wtedy nagle życie stawało się egzotyczne i tropikalne, a wokół było nagle mnóstwo kolorów. Nie mogła już bez niego żyć. Po kolacji siadywali wszyscy w dużym pokoju i rozmawiali o polityce paląc trawkę. Tana nagle czuła się jak prawdziwa kobieta w pełnym rozkwicie, żyjąc śmiało u stóp swego mężczyzny.

- Gdzie ty się, do diabła, podziewasz, Tan? Już w ogóle cię nie widzimy - zainteresował się Harry.

- Mam mnóstwo czytania w bibliotece do egzaminów.

Do egzaminów końcowych zostało jej pięć miesięcy, a potem trzeba było stawić czoła wysokiej poprzeczce. Trochę się bała, bo większość czasu spędzała z Yaelem, a do tej pory nie wspominała o nim Harry'emu i Averil. Nie wiedziała jak im to powiedzieć. Żyli w tak różnych światach, że nie mogła wyobrazić ich sobie w jednym miejscu, domu czy szkole.

- Czy ty masz jakiś romans, czy coś w tym rodzaju, Tan? Zaczął być wobec niej podejrzliwy. Przecież ciągle znikła z domu. Wyglądała jakoś dziwnie, niezbyt przytomnie, jakby wstąpiła do jakiejś sekty hinduistycznej albo często paliła trawkę, o co ją zresztą podejrzewał. Z Yaelem zobaczył ją po raz pierwszy dopiero na Wielkanoc i przeraził go ten widok. Zaczekał na Tanę po zajęciach i zbeształ jak zirytowany rodzic. - Co ty, do diabła, robisz z tym czubkiem? Czy ty wiesz, kim on jest?

Oczywiście, że wiem... znam go już od roku... - Wiedziała, że on tego nie zrozumie i powiedziała mu to.

Czy ty wiesz, jaką on ma reputację? Jest groźnym radykałem, komunistą i najgorszego gatunku podżegaczem. Widziałem, jak w zeszłym roku go aresztowali, i ktoś mi mówił, że on służył przedtem w więzieniu... na miłość boską, Tan, obudź się!

- Ty pieprzony dupku! - Wrzeszczała na niego przed główną biblioteką, aż ktoś się za nimi obejrzał, ale było im wszystko jedno. - Odsłużył wojsko w więzieniu, bo nie chciał

walczyć w Wietnamie, co uważasz pewnie za coś gorszego od morderstwa pierwszego stopnia, ale tak się składa, że ja mam inne zdanie na ten temat.

- Właśnie widzę. Radzę ci, lepiej uważaj na swój tyłek albo nie będziesz musiała przejmować się egzaminami w czerwcu. Ciebie wsadzą razem z nim i wywalą cię ze szkoły, zanim zdążysz oprzytomnieć.

- Nie wiem o czym mówisz!

Podczas ferii wielkanocnych w następnym tygodniu, Yael zorganizował ogromną demonstrację przed budynkami administracji i dwa tuziny studentów wylądowały za kratkami.

- Teraz już rozumiesz, o co mi chodzi?

Harry szybko jej to przypomniał, a ona znowu zniknęła z domu. Harry nic nie rozumiał. Przede wszystkim nie wiedział, ile znaczył dla niej Yael. Na szczęście jego nie aresztowano i mieszkała u niego przez cały następny tydzień. Wszystko co dotyczyło Yaela, fascynowało ją tak bardzo. Kiedy wchodził do pokoju, budziły się w niej jakieś uwięzione zmysły. Ostatnio w mieszkaniu działy się interesujące rzeczy. Wszyscy bardziej byli przejęci przygotowaniem demonstracji na zakończenie roku akademickiego niż nauką. Tana jednak była tak przerażona egzaminami, że musiała teraz częściej zostawać u siebie w domu, żeby się trochę pouczyć. I właśnie wtedy Harry postanowił ją przekonać, tym razem metodą godnej perswazji, żeby przestała się z nim spotykać. Umierał ze strachu na myśl o tym, że coś złego mogłoby się jej przydarzyć. Zrobiliby wszystko, żeby to przerwać, zanim będzie za późno.

- Proszę cię Tan, proszę posłuchaj mnie... przez niego wpędzisz się w kłopoty... czy ty go kochasz?

Wyglądał na załamane taką możliwością, nie dlatego, że nadal ją kochał, ale obawiał się, że może uwikłać się w jakąś okropną sytuację. Nienawidził tego faceta za to, że był bezczelnym, prostackim, prymitywnym i zarozumiałym pętakiem. Zbyt wiele o nim słyszał w szkole w czasie ostatnich sześciu miesięcy. Ten człowiek był niebezpieczny i prędzej czy później będzie przyczyną poważnych kłopotów. Harry nie chciał tylko, żeby pociągnął ze sobą na dno także Tanę. Uważał, że to jest bardzo prawdopodobne. Jeśli

ona mu na to pozwoli, a niestety wszystko na to wskazywało. Była zupełnie zaślepiona. Ekscytowały ją nawet jego przekonania polityczne, a Harry'emu na myśl o tym robiło się niedobrze.

Przekonywała go, że nie jest zakochana w Yaelu, ale on wiedział, że to nie było takie proste, zwłaszcza, że był pierwszym facetem, któremu oddała się z własnej woli. Pozostawała w cnocie tak długo, że jej wybór mógł okazać się mylny. Zdawał sobie sprawę, że w takiej sytuacji, bez względu na to, czy w jej życiu pojawi się odpowiedni mężczyzna czy też nie, wystarczy, aby obudził w niej zmysły, których istnienia nawet nie podejrzewała, i będzie mógł uczynić z niej swoją niewolnicę. Tak właśnie się stało. Była zupełnie zahipnotyzowana przez Yaela, jego niekonwencjonalny tryb życia i przyjaciół. Fascynowało ją coś, czego nigdy przedtem nie doświadczyła, a on bawił się jej ciałem jakby grał na skrzypcach. To był związek, z którym trudno było walczyć. I nagle przed samymi egzaminami, kiedy upłynęło już sześć miesięcy, odkąd byli ze sobą, Yael wziął sprawy w swoje ręce i postanowił ją sprawdzić.

- Potrzebuję cię w przyszłym tygodniu, Tan.

- Po co? - Spojrzała przez ramię z obłędem w oczach. Miała przeczytać tej nocy jeszcze dwieście stron.

- To coś w rodzaju takiego spotkania... - Był trochę rozkojarzony paląc już piątego jointa” tej nocy. Zwykle nie robiło to na nim wrażenia, ale ostatnio był zmęczony.

- Jakiego spotkania?

- Chcemy wyłożyć nasze racje przed „grubymi rybami”. Uśmiechnęła się do niego.

- To znaczy przed kim?

- Myślę, że nadeszła pora, żebyśmy skierowali się prosto do rządu. Idziemy do domu burmistrza.

- Chryste, przecież na pewno was przymkną. - Ale to jej specjalnie nie zaniepokoiło. Przyzwyczała się już do tej myśli, może dlatego, że należała do niewielu jego przyjaciół, którzy jeszcze nie wylądowali przez niego w więzieniu.

- No, więc? - Był nieugięty.

- Jeśli zdecyduję się i pójdę, nikt nie zapłaci za mnie kaucji i mogę nie zdążyć na

egzaminu.

- O rany, Tan, i co z tego? I kim ty masz zamiar zostać? Jakimś drobnym adwokacina, który będzie bronił obywateli, jeśli społeczeństwo jeszcze w ogóle będzie istniało? To jest gównem, daruj sobie, idź do pracy. Możesz zdawać egzaminu za rok. To jest ważniejsze.

Patrzyła na niego sparaliżowana tym, co przed chwilą usłyszała. Sądząc z tego co powiedział, on kompletnie jej nie rozumiał. Kim był ten facet?

- Czy wiesz, jak ciężko pracowałam, żeby to osiągnąć?

- A czy wiesz, jakie to mało ważne?

To była ich pierwsza kłótnia. Przekonywał ją jeszcze przez parę dni, ale w końcu nie poszła. Przeniosła się do siebie, żeby uczyć się do egzaminów, i kiedy tego wieczora oglądała wiadomości wieczorne, o mało nie zemdląca z wrażenia. W domu burmistrza podłożono bombę i dwoje jego dzieci cudem uniknęło śmierci. Jak się później okazało, czuły się dobrze, ale część domu burmistrza została zupełnie zniszczona, a jego żona doznała licznych poparzeń, ponieważ znajdowała się blisko miejsca eksplozji.

„Odpowiedzialna za to była radykalna grupa studentów z UC Berkeley”. Aresztowano siedem osób za próbę morderstwa, napad, użycie broni i parę innych rzeczy, a między nimi znalazł się Yael McBee... Gdyby go posłuchała, myślała powstrzymując z trudem drżenie kolan, to już byłoby po wszystkim... nie tylko studia prawnicze, ale przede wszystkim jej wolność została by poważnie ograniczona na wiele, wiele lat. Kiedy tak siedziała patrząc w telewizor, jej twarz była śmiertelnie blada. Harry przyglądał się z boku, ale nie powiedział nic, zupełnie nic. Po dłuższej chwili wstała spoglądając na niego z góry, wdzięczna za jego milczenie. W jednej sekundzie wszystko, co czuła do Yaela, eksplodowało w nicość, zupełnie jak jego bomby.

- Chciał, żebym tam z nim dzisiaj poszła, Harry... - Zaczęła płakać. - Miałeś rację.

Czuła się okropnie. Nieomal zniszczył całe jej życie, a ona słuchała go we wszystkim. I właściwie dlaczego? Dla łóżka? Czy ona była chora? Myśląc o tym robiło się jej niedobrze. Nagle dotarło do niej jak mocno wszyscy ludzie związani z Yaelem wierzyli w swoje ideały i przeraził ją fakt, że tak naprawdę w ogóle ich nie znała. Wystraszyła się,

że mogą ją wziąć na przesłuchania. I rzeczywiście tak się stało, ale nic z tego nie wynikło. Była studentką, która spała z Yaelem McBee. Nie jedyną zresztą. Zdała egzaminy. Została adwokatem. Dostała posadę prokuratora w okręgowym biurze adwokackim. Tak zaczęło się jej dorosłe życie. Dni spędzone wśród radykałów miała już za sobą, wraz ze studenckim życiem i mieszkaniem z Harrym i Averil w ich małym domku. Wynajęła mieszkanie w San Francisco i bez pośpiechu pakowała rzeczy. Wszystko nagle stało się takie smutne i bolesne, wszystko miała już za sobą, skończone.

- Wyglądasz jak obraz nieszczęścia. - Do pokoju wjechał na wózku Harry, podczas gdy ona wrzucała do pudła sterty prawniczych książek. - Chyba powinienem się do ciebie teraz zwracać per Pani Prokurator.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Nadal była w szoku po tym, co się stało z Yaelem McBee i, o mały włos, z nią samą. Przygnębiało ją uczucie, którym go darzyła. Teraz to wszystko wydawało się tak nierealne. Jego proces sądowy jeszcze się nie zaczął, ale ona już wiedziała, że zamkną go i jego przyjaciół na wiele długich lat.

- Czuję się jakbym uciekała z domu.

- Wiesz, że zawsze możesz wrócić, my tu nadal będziemy.

Nagle popatrzył na nią z podejrzaną wystraszoną miną. Tana roześmiała się i spojrzała na niego. Znali się już zbyt długo, żeby coś takiego mogło ująć jej uwagę.

- No, dobra, co przede mną ukrywasz? Co tam znowu wymyśliłeś?

- Ja? Nic.

- Harry... - zbliżała się do niego z groźną miną, a on uciekał na wózku śmiejąc się.

- Słowo daję, Tan... o cholera!

Uciekając uderzył w jej biurko, a ona splotła dłonie na jego szyi. Coraz bardziej upodabniał się do ojca. Często o nim myślała.

Romans z Harrisonem zrobiłby jej znacznie lepiej, niż ten z Yaelem McBee.

- No dobra... dobra... Ave i ja mamy zamiar się pobrać.

Przez chwilę Tana wyglądała na zaskoczoną. Ann Durning właśnie po raz trzeci wyszła za mąż, tym razem za wielkiego producenta filmowego z Los Angeles. W prezencie ślubnym podarował jej rolls-royce'a i dwudziestodwukaratowy pierścionek, o

którym Tana wiele słyszała od Jean. To było bardzo w stylu Ann Durning, ale jakoś nigdy nie wyobrażała sobie Harry'ego biorącego ślub.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się. - Pomyślałem, że tyle już upłynęło czasu... Ona jest wspaniałą dziewczyną, Tan...

- Wiem, baranie. - Tana zachichotała. - Też z nią mieszkałam. Po prostu to taka poważna i dorosła decyzja.

Wszyscy troje mieli po dwadzieścia pięć lat, a ona wciąż jeszcze nie dojrzała do małżeństwa i zastanawiała się, dlaczego z nimi było inaczej. Może dlatego, że uprawiali więcej seksu, zaśmiała się w duchu i rozpromieniona pochyliła się nad nim i pocałowała go w policzek.

- Gratulacje. Kiedy?

- Jak najszybciej.

Nagle Tana zauważyła w jego spojrzeniu coś dziwnego. Połączenie odrobiny zmieszania i dumy.

- Harry Winslow... chyba nie chcesz mi powiedzieć... nie zrobiłeś tego... - Śmiała się teraz już na dobre, a Harry zaczerwienił się, co nie zdarzało mu się nigdy przedtem.

- Tak, zrobiłem to. Załatwiłem ją.

- O, Chryste. - Nagle jej twarz spoważniała. - Nie musisz się z nią od razu żenić. Czy ona cię do tego zmusza?

Roześmiał się, a Tana pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała go tak szczęśliwym.

Nie, to ja ją zmusiłem. Powiedziałem, że zabiję się, jeśli je usunie. To nasze dziecko i ja go chcę, ona także.

- O, Boże - Tana usiadła ciężko na łóżku - małżeństwo i rodzina. Jezu, wy to naprawdę nie marnujecie czasu.

- To prawda. - Wyglądał jakby za chwilę miał pęknąć z dumy, podczas gdy jego narzeczona weszła właśnie do pokoju z niewinnym uśmiechem.

- Czy Harry powiedział ci, co o nim myślę?

Tana pokiwała głową patrząc im w oczy. Znalazła w nich spokój i zadowolenie. Zastanawiała się jak to jest, kiedy odczuwa się coś takiego, i przez moment pozazdrościła im.

- Jest takim okropnym pociuchem. - Ave pochyliła się i pocałowała go w usta, a on poklepał ją czule po pupie, a w chwilę później wyjechał na wózku z pokoju.

Ślub mieli wziąć w Australii, w rodzinnym mieście Averil. Tana była oczywiście zaproszona. Potem mieli wrócić do tego samego małego domku, ale później Harry chciał znaleźć dla nich jakieś wygodne lokum w Piedmont, gdzie mieszkaliby przez jakiś czas do ukończenia studiów. Nadeszła pora, aby uszczknąć nieco z majątku Winslowów. Pragnął, by Averil mieszkała teraz w godziwych warunkach. Wieczorem znów zwrócił się do Tany.

- Wiesz, gdyby nie ty, to w ogóle by mnie tutaj nie było. - Powtarzał to Averil jakieś dziesięć tysięcy razy w ciągu tego roku i wierzył w to całym sercem.

- To nieprawda, Harry, wiesz o tym dobrze. Sam do tego doszedłeś.

Chwycił ją za ramię. - Bez ciebie nie udałoby mi się. To wszystko twoja zasługa, Tan. Szpital, prawo, wszystko... Gdyby nie ty, nie spotkałbym nawet Averil...

Uśmiechała się łagodnie. Była naprawdę wzruszona. - A co z dzieckiem, czy to też moja zasługa?

- Och, ty wariatko...

Pociągnął ją za długie blond włosy i odjechał na wózku do swojej przyszłej żony, która spała już smacznie w łóżku, w którym poczęli swoje dziecko. Jego „wyobraźnia” najwyraźniej zaowocowała. Tana uśmiechała się, zasypiając tego wieczora. Cieszyła się jego szczęściem, szczęściem ich obojga. I nagle poczuła się taka samotna. Mieszkała z nim przez dwa lata, z Averil połowę tego czasu, trudno będzie jej o tym zapomnieć. Ale oni zaczną teraz własne życie... to wydawało się takie dziwne... dlaczego wszyscy myślą tylko o małżeństwie... Harry... jej matka... Ann... na czym polegała magia ślubu? Tana chciała tylko skończyć prawo, a kiedy niespodziewanie związała się z facetem, okazało się, że był to jakiś szalony czubek, który teraz spędzi w pudle resztę życia... takie mgliste myśli krążyły jej po głowie, zanim usnęła tej nocy. Na razie nie znalazła żadnych

odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Przeniosła się do przyjemnego mieszkania w Pacific Heights z widokiem na zatokę. Dojazd do ratusza używanym samochodem, który sobie kupiła, zabierał jej około piętnastu minut. Starła się jak najwięcej zaoszczędzić, żeby stać ją było na podróż do Australii na ślub Harry'ego i Averil, ale Harry uparł się, że da jej bilet w prezencie. Poleciała tam przed rozpoczęciem nowej pracy i mogła zostać u nich w Sydney tylko przez cztery dni. Averil wyglądała jak lalka, w białej atlasowej sukni. Na szczęście jeszcze nic nie było po niej widać. Jej rodzice nie mieli pojęcia, że dziecko jest w drodze, i nawet Tana o tym zapomniała. Zapomniała o wszystkim, kiedy ujrzała Harrisona Winslowa zmierzającego w jej kierunku.

- Cześć, Tan.

Kiedy pocałował ją delikatnie w policzek, ciało jej przeniknął dreszcz rozkoszy. Był jak zwykle czarujący, szarmancki i dystyngowany. Niestety, ich romans umarł wiele lat temu i tak już miało pozostać. Rozmawiali długo. Któregoś wieczora wybrali się na spacer. Musiał przyznać, że Tan zmieniła się, wydorosła, ale wiedział, że dla niego pozostanie przyjaciółką Harry'ego i, bez względu na wszystko, zawsze będzie należała do jego syna. Szanował ten układ.

Zawiózł ją na lotnisko, z którego miała odlecieć z powrotem do domu. Harry i Averil polecili już w podróż poślubną. Pocałował ją na pożegnanie tak jak dawniej. Odpowiedziała tym samym. Nadal była mu oddana całym sercem. Kiedy wsiadała do samolotu, z jej oczu płynęły łzy. Stewardesy zostawiły ją w spokoju, zastanawiając się, kim był ten przystojny mężczyzna, który ją odprowadzał. Ciekawe, czy ta wysoka, śliczna blondynka w prostym, beżowym, lnianym kostiumie, była jego dziewczyną czy też żoną. Przyglądały się z zainteresowaniem, jak poruszała się pewnie, głowę trzymała wysoko i dumnie. Nie wiedziały, że tak naprawdę była wystraszona i bardzo samotna. Wszystko, do czego wracała, było dla niej zupełnie nowe. Nowa praca, nowy dom i nikogo, z kim mogłaby go dzielić. Nagle zrozumiała dlaczego kobiety, takie jak Ann Durning i jej matka, wychodzą za mąż. To dawało im poczucie bezpieczeństwa, ucieczkę od samotności, która do tej pory nieustannie towarzyszyła Tanie. Wsiadając do samolotu nie wiedziała

jeszcze, jak potoczą się koleje jej losu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Z okien nowego mieszkania Tany rozciągał się piękny widok na zatokę. Na tyłach domu znajdował się mały ogródek. Mieszkanie składało się z niewielkiej sypialni, pokoju dziennego oraz kuchni ze ścianką z cegły i małym okienkiem w stylu francuskim wychodzącym na ogródek. Siadywała tam czasem, ciesząc się słońcem. Zupełnie bezwiednie szukała mieszkania na parterze, żeby Harry nie miał problemu z wózkiem, kiedy wpadnie do niej z wizytą. Żyła jej się tu wygodnie. Nie spodziewała się nawet, że tak szybko przywyknie do samotnego życia. Harry i Averil na początku odwiedzali ją często. Oni także za nią tęsknili. Tana była zaskoczona, że Averil tak szybko się zmieniła. Wyglądała teraz jak mały, śliczny balonik. To wszystko wydawało się Tanie takie dziwne i obce. Jej życie toczyło się w zupełnie innym świecie. Był to świat wyroków sądowych, świat morderstw, napadów i gwałtów. To właśnie tym żyła na co dzień i myśl o posiadaniu dziecka była od niej odległa o wiele milionów lat świetlnych. Matka zawiadomiła ją o kolejnej ciąży Ann Durning, tak jakby Tanę to w ogóle obchodziło. Ten temat był jej zupełnie obcy, wręcz egzotyczny. Opowieści o Durningach były jej najzupełniej obojętne. Matka musiała się w końcu poddać. Ostateczny wybuch nastąpił, kiedy Jean dowiedziała się, że Harry ożenił się z inną dziewczyną. Biedna Tana, opiekowała się nim przez te wszystkie lata, a on odszedł z inną.

- Co za świństwo z jego strony.

Tanę oburzyły jej słowa, a potem nagle zaczęła się śmiać. To było wręcz zabawne. Jej matka nigdy naprawdę nie uwierzyła, że-byli tylko przyjaciółmi.

- Nie masz racji. Oni są dla siebie stworzeni.

- Ale czy tobie to nie przeszkadza?

Co to za nowa moda? Co oni sobie myślą w tych nowych czasach? Tana ma już dwadzieścia pięć lat, kiedy wreszcie się ustatkuje? Jean nic nie rozumiała.

- Oczywiście że nie. Powiedziałam ci to już dawno temu, mamó, że Harry i ja jesteśmy przyjaciółmi. Najlepszymi przyjaciółmi. I jestem bardzo szczęśliwa, że oni się pobrali.

Po jakimś czasie dopiero, w czasie jednej z następnych rozmów telefonicznych,

powiedziała matce o dziecku, którego się spodziewali.

- A co będzie z tobą, Tan? Kiedy pomyślisz o założeniu rodziny?

Tana westchnęła. Cóż to za pomysł? - Czy ty się nigdy nie poddajesz, mamó?

- A ty, w twoim wieku? - Co za przygnębiająca myśl.

- Oczywiście, że nie. Ja jeszcze nie zaczęłam nawet o tym myśleć.

Związek z Yaelem McBee należał do przeszłości. Zresztą był ostatnim mężczyzną, z którym mogłaby założyć rodzinę. Od kiedy zaczęła nową pracę, nie miała czasu na romanse. Była zbyt zajęta zdobywaniem szlifów asystentki prokuratora okręgowego. Upłynęło sześć miesięcy, zanim znalazła czas na pierwszą randkę. Umówiła się ze starszym śledczym, ponieważ był interesującym facetem, ale tak naprawdę nie miała na niego najmniejszej ochoty. Potem spotkała się jeszcze z dwoma czy trzema adwokatami, ale myślami zawsze była w pracy. W lutym dostała swoją pierwszą poważną sprawę, która miała być komentowana w prasie. Wydawało jej się, że wszyscy na nią patrzą, starała się więc wypaść jak najlepiej. Chodziło o niezwykle okrutny gwałt i morderstwo. Piętnastoletnia dziewczyna została zwabiona do opuszczonego domu przez kochanka matki. Zgwałcił ją dziewięć albo dziesięć razy, jak stwierdzono w aktach sprawy, poważnie okaleczył jej ciało i wreszcie zamordował. Tana chciała, by skazano go na karę śmierci. To był przypadek, który poruszył jej czułą strunę, ale nikt o tym nie wiedział. Pracowała jak mrówka przygotowując wszystkie materiały do sprawy, przeglądając ciągle zeznania i czytając w nocy orzecznictwo karne. Oskarżony był przystojnym trzydziestopięcioletnim mężczyzną, wykształconym i dobrze ubranym. Obrona uzbroiła się po zęby wykorzystując każdy możliwy punkt zaczepienia. Tana pracowała do drugiej nad ranem. Czowała się znowu jak przed egzaminami końcowymi.

- Jak leci, Tan? - Harry zadzwonił do niej późno w nocy. Spojrzała na zegar zdziwiona, że jeszcze nie spał o tej porze. Była prawie trzecia rano.

- W porządku. Czy coś się stało? Czy Averil dobrze się czuje?

- Pewnie, że tak.

Wyczuwała rozpierającą go dumę.

- Właśnie urodził się nasz chłopczyk, Tan. Osiem funtów i jedna uncja. Averil jest

najdzielniejszą dziewczyną na świecie... Byłem przy tym Tan, to naprawdę wspaniale... jego maleńka główka po prostu wyskoczyła i oto nagle pojawił się na tym świecie, patrząc prosto na mnie. Najpierw mnie go podano...

Harry był taki podniecony, że zabrakło mu tchu. Wydawało się jakby śmiał się i płakał jednocześnie.

- Ave właśnie zasnęła, więc pomyślałem, że do ciebie zadzwonię. Nie spałaś jeszcze?

- No, pewno, że nie. Och, Harry tak się cieszę waszym szczęściem!

W jej oczach lśniły łzy. Zaprosiła go, żeby wpadł do niej na drinka. Pojawił się pięć minut później i wyglądał na zmęczonego, ale jednocześnie najszczęśliwszego na świecie. Patrzenie na niego, słuchanie tego, co mówił, wywołało w niej bardzo dziwne uczucia. Zachowywał się tak, jakby jego nowo narodzone maleństwo było pierwszym niemowlakiem, jaki pojawił się na świecie, a Averil była zupełnie wyjątkową matką. Prawie im zazdrościła, a jednocześnie czuła w głębi duszy straszliwą pustkę, tak jakby jakaś część po prostu w niej nie istniała. To tak, jakby słuchała kogoś, kto mówi w obcym języku i podziwiała kunszt jego mowy, nic nie rozumiejąc. Miała uczucie, że porusza się w kompletnej ciemności. Zdawała sobie jednak sprawę, że oni przeżywają teraz cudowne chwile.

Wyszedł od niej dopiero koło piątej nad ranem. Spała niecałe dwie godziny, po czym wstała, by pójść do sądu i stawić czoło swojej wielkiej sprawie. Proces ciągnął się jeszcze przez trzy tygodnie, po czym sąd przysięgłych, po pełnym ognia wystąpieniu Tany, przez dziewięć dni dyskutował nad wyrokiem. Kiedy wreszcie sędziowie zebrali się po raz ostatni, wyrok okazał się dla oskarżenia pomyślny, Tana wygrała. Oskarżonemu udowodniono wszystkie zarzucane przestępstwa i, mimo że sędzia nie zgodził się na karę najwyższą, morderca dostał dożywocie. Tana w głębi duszy była bardzo zadowolona. Chciała, żeby zapłacił za wszystko co zrobił, chociaż wsadzenie go do więzienia nie mogło przywrócić życia dziewczynie.

Gazety rozpisywały się o tym, jak przebojowo wygrała sprawę. Kiedy pojechała do Piedmont, żeby zobaczyć nowo narodzone dziecko, Harry przedrzeźniał ją nieustannie.

Nazywał ją Żelazną Damą i ciągle jej dokuczał.

- Dobra już, dobra, wystarczy. Zamiast się na mnie wyżywać, pokażcie mi ten cud świata, który wyprodukowaliście.

Była przygotowana na to, że będzie się nudzić i zaskoczyło ją bardzo, że dziecko okazało się tak cudownie słodkie. Wszystko miało takie malutkie, aż trochę się bała, kiedy Averil chciała dać jej go na rękę.

- O Boże... Obawiam się, że mogę je połamać...

- Nie wygłupiaj się. - Harry z łatwością wziął maleństwo z rąk żony i prawie rzucił je w ramiona Tany.

Usiadła patrząc na niemowlę, zupełnie oszołomiona swoimi uczuciami na widok czegoś tak cudownego. Gdy oddawała je rodzicom, poczuła jakby coś straciła. Popatrzyła na nich z taką zazdrością, że kiedy już wyszła, Harry powiedział ze zwycięską miną do Averil. - Myślę, że to do niej dotarło, Ave.

Rzeczywiście tej nocy dużo o tym myślała, ale już w następnym tygodniu pracowała nad kolejną dużą sprawą o gwałt, a zaraz potem miała na wokandzie dwa morderstwa. Wkrótce po tym zadzwonił do niej Harry pełen dumy i radości. Nie tylko udało mu się skończyć studia, ale dostał propozycję pracy i nie mógł się już doczekać jej podjęcia.

- Kto cię zatrudnił? - Tak bardzo się cieszyła razem z nim. Ciężko na to zapracował. A teraz śmiał się tak radośnie.

- Nie uwierzysz. Będę pracował w biurze publicznego adwokata.

- Naprawdę, w biurze publicznego adwokata? - Roześmiała się także. - Chcesz powiedzieć, że będę musiała występować w sądzie przeciwko tobie?

Umówili się na lunch, żeby to uczcić i rozmawiali wyłącznie o pracy. Założenie rodziny było ostatnią rzeczą, o której mogłaby pomyśleć. A z drugiej strony minął kolejny rok, następny postępował szybkimi krokami, a ona ciągle zmagala się w sądzie z morderstwami, gwałtami, napadami i wszelkimi innymi przestępstwami. Tylko raz czy dwa pracowała nad tą samą sprawą co Harry, ale spotykali się często na lunchu, jak tylko czas im na to pozwalał. Mijał już drugi rok jego pracy w biurze publicznego adwokata,

kiedy któregoś dnia powiedział jej, że Averil jest znowu w ciąży.

- Tak szybko?

Tana wyglądała na zaskoczoną. Wydawało się, że Harrison Winslow V urodził się przed chwilą. Harry uśmiechnął się.

- On skończy w przyszłym miesiącu dwa lata, Tan.

- O, mój Boże, czy to możliwe?

Nie widywała go zbyt często, ale mimo wszystko to chyba niemożliwe. Więc on kończył już dwa lata. To naprawdę niesamowite. Ona sama miała już dwadzieścia osiem lat, co nie było wcale takie nadzwyczajne, z wyjątkiem tego, że wszystko działo się zbyt szybko. Wydawało się, że wczoraj chodziła do Green Hill z Sharon Blake i wybierały się na długie spacery do Yolán. Jeszcze tak niedawno Sharon żyła, a Harry mógł tańczyć...

Averil tym razem urodziła dziewczynkę z maleńką różową buźką, o idealnych różowych usteczkach i olbrzymich oczach w kształcie migdałów. Była niesamowicie podobna do swojego dziadka. Tana poczuła dziwne klucie w sercu patrząc na dziecko, ale niestety wyglądało na to, że jeśli chodzi o nią samą, nic się nie zmieni. Powiedziała o tym Harry'emu, kiedy w następnym tygodniu spotkali się na lunchu.

- A dlaczego nie, do diabła? Masz dopiero dwadzieścia dziewięć lat albo będziesz je miała za trzy miesiące. - Patrzył na nią poważnie. - Nie rezygnuj Tan. Dla mnie wszystko, na czym mi naprawdę zależy... to moje dzieci i moja żona.

Zaszokował ją tym stwierdzeniem. Myślała, że kariera była dla niego ważniejsza, ale zaskoczył ją jeszcze bardziej, kiedy powiedział, że rozważa rezygnację z posady obrońcy z urzędu i planuje otwarcie własnej kancelarii.

- Mówisz poważnie? Dlaczego?

- Dlatego, że nie lubię pracować dla kogoś i nie mam już ochoty bronić tych włóczęgów. Oczywiście, popełnili wszystko to, czego się teraz wypierają, a przynajmniej większość z nich. Mam już tego serdecznie dosyć. Nadeszła pora na zmianę.

Zastanawiałem się nad spółką z jednym znajomym prawnikiem.

- Czy to nie będzie dla ciebie nudne? Zwyczajne prawo cywilne? - Powiedziała to z lekkim niesmakiem, ale on zaprzeczył ze śmiechem.

- Nie. Ja nie potrzebuję tylu wrażeń co ty, Tan. Nie mógłbym toczyć tylu krucjat dziennie. Nie wytrzymałbym ciągłej walki w sądzie, bez chwili wytchnienia. Podziwiam cię za to, ale ja będę bardzo szczęśliwy z niewielką, wygodną praktyką, z Averil i dziećmi u boku.

Nigdy nie sięgał zbyt wysoko, zadowalał się tym, co ma. Niemal była o to zazdrosna. W niej było coś głębszego, jakaś ambiga, która ciągle wypalała ją od środka. To właśnie wykryła w niej dziesięć lat temu Miriam Blake. Nadal w niej to tkwiło. Wciąż chciała stykać się z trudniejszymi przypadkami, wyrokami bez kompromisów. Potrzebowała tego jak powietrza, bez przerwy szukała nowego wyzwania. Pochlebilo jej bardzo, kiedy w następnym roku wybrano ją do grupy adwokatów, którzy spotkali się z gubernatorem, aby przedyskutować serię spraw, które stały się przyczyną procesów kryminalnych w całym stanie. Zaproszono sześciu prawników, samych mężczyzn z wyjątkiem Tany. Dwóch przyjechało z Los Angeles, dwóch z San Francisco, jeden z Sacramento i jeden z San Jose. To był najbardziej interesujący tydzień, jaki udało jej się ostatnio spędzić. Z dnia na dzień angażowała się coraz bardziej w omawiane tematy. Adwokaci, sędziowie oraz politycy konferowali do późna w nocy, a ona była tak podniecona wszystkim, o czym rozmawiano, że kiedy docierała do łóżka, nie mogła zasnąć jeszcze przez parę godzin. W głowie huczało jej od wszystkich wrażeń minionego dnia.

- Interesujące, prawda? - Adwokat, przy którym usiadła następnego dnia, pochylił się ku niej i mówił cicho. W tym samym czasie gubernator prowadził dyskusję w sprawie, o którą spierała się z kimś poprzedniego wieczoru. Ku jej zdziwieniu podzielał jej zdanie na ten temat. Miała wielką ochotę wstać i przyklasnąć mu.

- Tak, to bardzo ciekawe - szepnęła.

Był to jeden z prawników z Los Angeles. Wysoki, atrakcyjny mężczyzna o szpakowatych włosach. Następnego dnia posadzono ich koło siebie podczas lunchu i z dużym zdziwieniem odkryła, jakim był liberałem. Okazało się, że ten interesujący człowiek pochodził z Nowego Jorku, studiował prawo na Harvardzie, a potem przeniósł się do Los Angeles.

- Tak naprawdę przez ostatnich parę lat mieszkałem w Waszyngtonie, pracując dla rządu, ale znowu wróciłem na Zachodnie Wybrzeże i cieszę się z tego - uśmiechnął się.

Był taki bezpośredni, miał ciepły uśmiech i podobało jej się to, co mówił tego wieczoru. Jeszcze przed końcem konferencji wszyscy uczestnicy zaprzyjaźnili się ze sobą. Ostatnie dni wypełnione były owocną i fascynującą wymianą poglądów.

Zatrzymał się w Huntington. Zanim wyjechali, zaproponował jej drinka w L'Etoile. Spośród wszystkich, którzy tam byli, oni dwoje mieli najwięcej ze sobą wspólnego. Tana odkryła, że jest świetnym kompanem na różnych imprezach, w których brali udział. Pracował ciężko, był bez wątpienia profesjonalistą. A przy tym taki miły.

- Jak ci się podoba w biurze prokuratora okręgowego? - Bardzo go to interesowało. Najczęściej kobiety nie lubiły takiego rodzaju pracy, chętniej zajmowały się sprawami o charakterze rodzinnym lub parały się innymi dziedzinami prawa: kobieta prokurator należała do rzadkości, z oczywistych powodów. Był to naprawdę ciężki kawałek chleba i nie można tu było liczyć na żadne ulgi.

- Uwielbiam tę pracę. - Uśmiechnęła się. - Nie pozostawia mi w ogóle czasu dla siebie, ale nie dbam o to. - Z uśmiechem odgarnęła włosy. Nadal nosiła je długie i rozpuszczone, ale gdy szła do pracy związywała je w ciasny węzeł. Do sądu zakładała konwencjonalne kostiumy i bluzki, ale w domu chodziła w dżinsach.

Teraz miała na sobie szary flanelowy kostium i bladoszarą jedwabną koszulową bluzę.

- Jesteś mężatką? - Uniósł brew i spojrzał na jej dłonie. Uśmiechnęła się.

- Obawiam się, że na to też nie miałam czasu.

W ciągu kilku ostatnich lat spotykała się z paroma facetami, ale znajomość z żadnym nie trwała długo. Zapominała o nich, tygodniami przygotowując się do rozpraw i nigdy nie mając dosyć czasu. Nie zależało jej specjalnie na tych mężczyznach, choć Harry ciągle jej powtarzał, że któregoś dnia jeszcze tego pożałuje.

- Wtedy się będę o to martwić.

- Kiedy? Jak będziesz miała dziewięćdziesiąt pięć lat?

- Czym zajmowałeś się w rządzie, Drew?

Nazywał się Drew Lands i był posiadaczem najbardziej niebieskich oczu, jakie do tej pory widziała. Lubiła, kiedy się do niej uśmiechał, i złapała się na tym, że zastanawia się, ile on może mieć lat. Słusznie zgadła, że ma około czterdziestu pięciu.

- Miałem przez jakiś czas kontrakt w Departamencie Handlu. Ktoś umarł, a ja go zastępowałem, dopóki nie przyjęto nowego pracownika na stałe.

Kiedy uśmiechnął się do niej znowu, stwierdziła, że podobał się jej bardziej niż ktokolwiek inny od długiego czasu.

To była interesująca praca w tamtym czasie. W Waszyngtonie żyje się tak intensywnie. Wszystko koncentruje się wokół rządu i ludzi z nim związanych. Jeśli nie pracujesz dla rządu, jesteś nikim. Panuje tam wszechogarniająca atmosfera władzy. Tylko ona się liczy dla każdego. - Uśmiechnął się do niej i z łatwością można było zauważyć, że on sam był częścią systemu, o którym mówił.

- Chyba trudno się było z tym rozstać.

Zaintrygował ją. Sama parę razy zastanawiała się nad zaangażowaniem się w politykę, ale stwierdziła, że to nie pasowałoby do niej tak bardzo jak prawo.

- Był już najwyższy czas. Z radością wróciłem do Los Angeles. - Spojrzał na nią z uśmiechem i odstawił szklaneczkę szkockiej. - A ty, Tano? Gdzie jest twój dom? Czy jesteś dziewczyną z San Francisco?

Pokręciła głową. - Pochodzę z Nowego Jorku. Ale odkąd zaczęłam studiować w Boalt, mieszkam tutaj. - Upłynęło już osiem lat od czasu, gdy przyjechała tu w 1964 roku i było to zupełnie niesamowite. - Teraz nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej... Czy robienia czegoś innego...

Praca w biurze prokuratora okręgowego dawała jej dużo satysfakcji. Zawsze działało się tam coś fascynującego. Bardzo dojrzała podczas tych pięciu lat pracy. Pięć lat jako asystent prokuratora okręgowego... Trudno było uwierzyć co stało się z czasem, który tak szybko upłynął, podczas gdy ona bez przerwy pracowała. Nagle budzisz się i okazuje się, że dziesięć lat z twego życia odpłynęło w przeszłość... dziesięć lat... albo pięć... albo rok, potem to już nie miało znaczenia. Dziesięć lat to dla jednych oznaczało

prawie tyle co rok, a dla innych - wieczność.

- Wyglądałaś przez chwilę bardzo poważnie. - Przyglądał się jej przez moment, po czym uśmiechnęli się do siebie.

Westchnęła filozoficznie. - Właśnie myślałam o tym jak szybko upływa czas. Trudno uwierzyć, że jestem tu od tak dawna... i już od pięciu lat w biurze prokuratora okręgowego.

- To samo czułem w Waszyngtonie. Trzy lata minęły jak trzy tygodnie i nagle okazało się, że czas wracać do domu.

- Myślisz, że kiedyś tam znowu wrócisz? Uśmiechnął się. Było w nim coś, czego nie potrafiła dokładnie rozszyfrować.

- Na pewno będę tam jeździł. Nadal są tam moje dzieci. Nie chciałem zabierać ich ze szkoły w środku roku, a poza tym nie zdecydowaliśmy jeszcze z żoną, z kim będą mieszkały. Pewnie w rezultacie trochę czasu ze mną, trochę z nią. To jedyne sprawiedliwe rozwiązanie w naszym przypadku. Na początku będzie im trudno, ale dzieci łatwo się przyzwyczajają.

Uśmiechnął się do niej. Najwyraźniej niedawno się rozwiódł.

- W jakim są wieku?

- Trzydzieści i dziewięć lat. Dziewczynki są wspaniałe i tak bardzo przywiązane do Eileen, zresztą do mnie także. Tak naprawdę to lepiej się czują w L.A. niż w Waszyngtonie. Tam nie ma miejsca dla dzieci, a Eileen jest bardzo zajęta - powiedział jej szybko.

- Czym się zajmuje?

- Jest asystentką ambasadora OPA i sama ma w perspektywie stanowisko ambasadora. Wtedy nie będzie szans na to, żeby zabrała dzieci ze sobą, więc pewnie zamieszkają ze mną. Ale to wszystko jest jeszcze palcem na wodzie pisane. -

Uśmiechnął się teraz trochę nieśmiało.

- Jak dawno temu rozwiódłeś się?

- Właściwie dopiero teraz nad tym pracujemy. Zastanawialiśmy się nad tą decyzją, kiedy byliśmy w Waszyngtonie, ale teraz to zostało już definitywnie postanowione. Złożę

papiery jak tylko trochę się tutaj zadomowię. Jeszcze nie zdążyłem się nawet rozpakować.

Popatrzyła na niego z uśmiechem, myśląc o tym jak trudne musiało być to wszystko: rozłąka z dziećmi, separacja z żoną, długa podróż, trzy tysiące mil dzielące Waszyngton od Los Angeles. Na szczęście nie miało to żadnego wpływu na jego wystąpienia. Naprawdę świetnie zaprezentował się na konferencji. Spośród sześciu obecnych adwokatów on zrobił na niej najlepsze wrażenie. Zaskoczyło ją, jak sensowne były jego liberalne poglądy, które przedstawił w swoim wystąpieniu. Od czasów Yaela McBee ona sama stała się nieco bardziej powściągliwa. Pięć lat pracy w biurze prokuratora okręgowego też nie wpłynęło na złagodzenie jej radykalnych poglądów. Nagle stała się zwolenniczką surowszego prawa, ostrzejszych kontroli i wszystkie ideały, w które kiedyś wierzyła, straciły na znaczeniu. Jednak Drew Lands znowu je ożywił, jego wystąpienia były rozsądne i zawierały dużo racji. Mimo że nie miała zamiaru włączać się do aktywnej działalności, zaimponowało jej to, że Drew nikogo nie obrażał i nie napadał, przedstawiając swoje stanowisko w dyskutowanych sprawach.

- Wspaniale wypadłeś.

Był poruszony i zadowolony z siebie, wypili drinka, po czym odwiózł ją taksówką do domu, by potem pojechać na lotnisko i wsiąść w samolot do Los Angeles.

- Czy mógłbym do ciebie czasem zadzwonić? - zapytał nieśmiało, jakby przypuszczał, że może być w jej życiu ktoś ważny.

Ale w tej chwili z nikim się nie spotykała. W zeszłym roku przez parę miesięcy spędzała trochę czasu z pełnym inicjatywy dyrektorem agencji reklamowej, ale od tej pory nie było nikogo. Oboje byli tacy zajęci i zabiegani, że ich związek umarł śmiercią naturalną. Często żartowała, że jej mężem jest praca i nazywała siebie „drugą żoną” prokuratora okręgowego. Koledzy zaśmiewali się z tego. Drew patrzył na nią z nadzieją, a ona kiwnęła twierdząco z uśmiechem.

- Oczywiście, będzie mi bardzo miło.

Bóg wie, kiedy znowu tu zajrzy. Poza tym i tak była kompletnie zaabsorbowana sprawą morderstwa pierwszego stopnia, która zajmie jej co najmniej dwa miesiące.

Zaskoczył ją dzwoniąc zaraz następnego dnia. Siedziała właśnie w biurze popijając kawę, robiąc jednocześnie notatki i przygotowując strategię działania w sądzie. Miało pojawić się sporo dziennikarzy, więc nie chciała się wygłupić. Była całkowicie pochłonięta myślami o tym trudnym przypadku. Nagle zadzwonił telefon, podniosła słuchawkę i odezwała się oschłym głosem.

- Tak?

- Z panną Roberts proszę. - Nigdy go nie dziwił brak grzeczności u ludzi pracujących w biurze prokuratora okręgowego.

- To ja.

Jej ton zmienił się na nieco bardziej przyjemny. Była tak cholernie zmęczona, ale jednocześnie zadowolona. Wybiła już piąta, a ona do tej pory nie ruszyła się z biurka. Nawet na lunch. Nie jadła nic od kolacji poprzedniego wieczora, za to wypła parę litrów kawy.

- Nie byłem pewien, czy to ty - jego głos był niemal czuły, przez moment przestraszyła się, że to jakiś głupi żart.

- Kto mówi?

- Drew Lands.

- O, rany... przepraszam... Byłam kompletnie pochłonięta pracą i nie poznałam cię po głosie. Co słyhać?

- W porządku. Pomyślałem, że zadzwonię i, co ważniejsze, dowiem się, jak się miewasz.

- Przygotowuję dużą sprawę o morderstwo. Zaczyna się w przyszłym tygodniu.

- Brzmi nieźle. - Powiedział to z takim sarkazmem, że oboje roześmieli się. - A co robisz w wolnym czasie?

- Pracuję.

- To już odkryłem. Nie wiesz, że to szkodliwe dla zdrowia?

- Zacznę się tym martwić, jak przejdę na emeryturę. Na razie nie mam na to czasu.

- A co z weekendem? Mogłabyś zrobić sobie przerwę?

- Nie wiem... ja... - Zwykle pracowała w weekendy, a zwłaszcza teraz. A ta ostatnia konferencja i tak ukradła jej tydzień pracy. - Naprawdę powinnam...

- Daj spokój, możesz pozwolić sobie na parę godzin wolnego. Mam zamiar pożyczyć jacht od przyjaciela w Belvedere. Mogłabyś nawet zabrać ze sobą te swoje papieryska, mimo że to świętokradztwo.

Był już późny październik, idealna pora na spędzenie popołudnia na zatoce, ciepło i słonecznie. Niebo było cudownie błękitne. Miała wielką ochotę przyjąć to zaproszenie, ale bała się, że spowoduje opóźnienie w pracy.

- Naprawdę powinnam przygotować...

- A może zamiast tego kolacja...?... lunch...? Nagle oboje roześmieli się. Nikt od dawna nie był tak natarczywy i pochlebiało jej to.

- Naprawdę chciałabym, Drew.

- Więc zgódź się. Obiecuję, że nie zabiorę ci za dużo czasu. Która wersja jest dla ciebie najmniej kłopotliwa?

- Ta wycieczka po zatoce brzmi bardzo zachęcająco. Może rzeczywiście zrobię sobie jeden dzień wagarów.

Wizja zbierania papierów porywanych przez wiatr na łodzi nie bardzo jej się podobała, ale randka z Drew Landsem - owszem.

- Świetnie, przyjadę po ciebie. Czy niedziela ci odpowiada?

- Wspaniale.

- Wpadnę po ciebie o dziewiątej. Ubierz się ciepło, na wszelki wypadek gdyby było wietrznie.

- Tak jest. - Uśmiechnęła się, odłożyła słuchawkę i wróciła do pracy.

W niedzielę rano, punktualnie o dziewiątej pojawił się Drew Lands ubrany w białe dżinsy, adidas i jaskrawo czerwoną koszulkę. Pod pachą niósł żółtą parkę. Jego twarz była już opalona, włosy błyszcząły srebrem w promieniach słońca, a błękitne oczy promieniały radością. Poszła z nim do samochodu. Jeździł srebrnym porsche. Przyjechał nim z L.A. w piątek wieczorem, ale zgodnie z danym słowem nie zanudzał jej takimi szczegółami. Pojechali do Saint Francis Yacht Club, gdzie zacumowana była łódź, a pół

godziny później pływali już po zatoce. Był świetnym żeglarzem, a poza nimi na łodzi był jeszcze skipper. Tana wylegiwała się beztrosko na pokładzie, rozkoszując się słońcem, starając się nie myśleć o morderstwach. Była mu wdzięczna za to, że namówił ją na ten wolny dzień.

- Jak przyjemnie jest poleżeć na słońcu, prawda? - Jego głos był głęboki i ciepły, a kiedy otworzyła oczy okazało się, że siedzi tuż obok niej.

- Cudownie. Wszystko nagle staje się zupełnie nieważne. Wszystkie te sprawy wokół nas, o które tak zabiegamy, szczegóły, które mają monumentalne znaczenie, nagle bęc... i już ich nie ma. - Uśmiechnęła się do niego zastanawiając się, czy bardzo tęskni za dziećmi i w tym momencie okazało się, że czytała w jego myślach.

- Chciałbym, żebyś któregoś dnia poznała moje dziewczynki. Na pewno oszalałyby na twoim punkcie.

- Nie jestem tego pewna. - Ten pomysł nie wydał jej się najlepszy, uśmiechnęła się nieśmiało. - Obawiam się, że niewiele wiem o małych dziewczynkach.

Spojrzał na nią z zastanowieniem, ale nie podejrzliwie.

- Czy chciałaś kiedyś mieć swoje własne dzieci?

Był typem człowieka, z którym można było rozmawiać szczerze, więc potrząsnęła przecząco głową. - Nie, nigdy. Nigdy mnie to nie pociągało, a poza tym nie miałam czasu o tym myśleć - uśmiechnęła się szczerze - no i nie spotkałam w swoim życiu właściwego mężczyzny.

Roześmiał się. - To rzeczywiście wiele tłumaczy.

- Dokładnie. A co z tobą? - Czuła się przy nim beztrosko i była pełna energii. - Chcesz mieć więcej dzieci?

Potrząsnął przecząco głową, a ona pomyślała, że któregoś dnia chciałaby spotkać właśnie tego rodzaju mężczyznę. Miała trzydzieści lat i było już za późno na dzieci. Poza tym nie odczuwała takiej potrzeby.

- I tak już nie mogę ich mieć, a przynajmniej to nie byłoby takie proste. Kiedy urodziła się Julie, Eileen i ja postanowiliśmy, że nie będziemy mieli więcej dzieci. Zdecydowałem się poddać wasektomii.

Mówił o tym tak otwarcie, że była trochę zażenowana. Ale co złego mogło być w tym, że nie chciał mieć więcej dzieci? Ona nie chciała ich w ogóle mieć i nie miała.

- To w każdym razie rozwiązuje problem.

- Tak - uśmiechnął się porozumiewawczo - nawet więcej niż jeden. - Opowiedziała mu wtedy o Harrym, dwójce jego dzieci, Averil... o tym jak Harry wrócił z Wietnamu, o niesamowitym roku poświęconym walce o życie, o operacjach, przez które przeszedł, i jego odwadze.

- To w dużym stopniu wpłynęło na moje życie. Po tym wszystkim już nigdy nie byłam taka sama... - Spojrzała z zadumą na taflę wody, a on podziwiał jej złote włosy, w których odbijały się promienie słońca... - rzeczy nabrały innej wartości. Wszystko stało się takie ważne. Nic nie przychodziło mi łatwo. - Westchnęła i spojrzała na niego. - Już kiedyś się tak czułam.

- Kiedy to było? - Jego spojrzenie było łagodne i zastanawiała się, co poczułaby, gdyby ją pocałował.

- Jak umarła moja przyjaciółka, z którą mieszkalam w jednym pokoju. Razem uczyliśmy się w Green Hill, na Południu - wyjaśniła poważnie, a on uśmiechnął się.

- Wiem, gdzie to jest.

- Aha. - Odwzajemniła uśmiech. - Nazywała się Sharon Blake... córka Freemana Blake'a. Zginęła podczas demonstracji Martina Luthera Kinga, dziewięć lat temu... Ona i Harry zmienili moje życie bardziej niż ktokolwiek inny.

- Jesteś poważną osobą, prawda?

- Myślę, że tak. Raczej wrażliwą i za bardzo we wszystko zaangażowaną. Za ciężko pracuję, za dużo myślę i na ogół nie potrafię tego zmienić.

Zauważył to, ale nie miało to dla niego znaczenia. Jego żona była też taka, ale wcale mu to nie przeszkadzało. To nie on chciał się z nią rozstać. To ona. Miała romans ze swoim szefem w Waszyngtonie i potrzebowała „trochę czasu” -jak powiedziała. Dał go jej i wrócił do domu sam, ale nie chciał rozwodzić się teraz nad szczegółami.

- Czy byłaś z kimś naprawdę blisko? Mam na myśli związek romantyczny, a nie taki, jak z twoim przyjacielem, tym weteranem z Wietnamu. - Określenie Harry'ego w ten

sposób zabrzmiało jakoś dziwnie bezosobowo.

- Nie. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego.

- Na pewno by ci to odpowiadało. Bliskość bez zobowiązań.

- To brzmi nieźle.

- Mnie także się podoba. - Znowu patrzył przed siebie w zamyśleniu, a potem uśmiechnął się do niej jak mały chłopczyk. - Szkoda, że nie mieszkamy w tym samym mieście. - To było trochę dziwne, że mówi o tym już teraz, ale u niego wszystko działo się błyskawicznie. W końcu okazało się, że był tak samo wrażliwy jak ona.

Jeszcze w tym samym tygodniu przyjechał dwa razy, żeby pójść z nią na kolację. Latał z Los Angeles tam i z powrotem, a w następny weekend znowu zabrał ją na żagle, mimo że była niemal całkowicie pochłonięta sprawą morderstwa i bardzo jej zależało na tym, żeby dobrze wypaść. Działał na nią kojąco, poza tym dostosowywał się do niej i to wiele ułatwiało. Była tym zachwycona. Po drugiej wycieczce po zatoce, odwiózł ją do domu i kochali się w dużym pokoju przed kominkiem. Był czuły, romantyczny i porywający. Potem zrobił dla nich obojga kolację. Spędził z nią noc i o dziwo jego obecność wcale jej nie przeszkadzała. Wstał o szóstej rano, wziął prysznic, ubrał się i podał jej śniadanie do łóżka. O siódmej piętnaście był już w taksówce jadącej na lotnisko. Złapał samolot odlatujący o ósmej do Los Angeles i o dziewiątej dwadzieścia pięć dotarł do biura. Wyglądał świeżo i był jak zwykle pełen energii. W ciągu najbliższych tygodni ustalił już rutynowy sposób poruszania się na tej trasie, niemal jej o to nie pytając. Wszystko to wydawało się takie proste. Była teraz znacznie szczęśliwsza. Nagle poczuła, że całe jej życie wzbogaciło się o nowe wartości. Dwa razy zjawiał się nawet na sali sądowej, a jej udało się wygrać sprawę. Był przy niej, kiedy zapadł wyrok, i razem poszli to uczcić. Tego dnia podarował jej piękną, złotą bransoletkę kupioną u Tiffany'ego. W najbliższy weekend pojechała do niego z wizytą do Los Angeles. W piątek zjedli kolację w Bistro, w sobotę w Ma Maison, a dzień spędzili na zakupach na Rodeo Drive i leniuchowaniu przy jego basenie. W niedzielę wieczorem po spokojnej kolacji we dwoje, którą sam przyrządził na barbecue, wróciła do San Francisco.

Przez całą drogę myślała o nim, o tym, jak szybko się zaangażowała. Trochę

obawiała się tego tempa, ale jego zamiary wydawały się jej tak jasno sprecyzowane, tak bardzo chciał z nią być. Wiedziała też, że dokuczała mu samotność. Dom, w którym mieszkał, był naprawdę okazały, nowoczesny, otwarty, pełen cennych eksponatów sztuki współczesnej. Były tam także dwa puste pokoje dla dziewczynek. Mieszkał w nim sam i wydawało się, że chciał być z nią jak najczęściej. Wkrótce zbliżało się Święto Dziękczynienia, a ona przywykła już do tego, że połowę tygodnia spędzał z nią w San Francisco. Po dwóch miesiącach to już w ogóle przestało być dziwne. Tydzień przed Świętem Dziękczynienia nagle zwrócił się do niej.

- Co robisz w przyszłym tygodniu kochanie?

- W Święto Dziękczynienia? - Wyglądała na zaskoczoną. Tak naprawdę, to nie myślała jeszcze o tym. Miała jeszcze rozpoczęte trzy niewielkie sprawy, które chciała zamknąć, jeśli uda się jej doprowadzić do ugody z obrońcami. To bardzo ułatwiłoby jej życie, bo naprawdę żaden z tych przypadków nie był wart rozprawy.

- Nie wiem. Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym.

Od lat nie odwiedzała rodziny. Święta Dziękczynienia z Arturem i Jean zawsze były trudne do zniesienia. Ann rozwiodła się znowu parę lat temu i mieszkała teraz w Greenwich razem ze swoimi rozwydrzonymi dziećmi. Billy przyjeżdżał i wyjeżdżał, jeśli akurat nie miał nic lepszego do roboty. Nie ożenił się jeszcze. Artur z wiekiem stawał się coraz bardziej męczący, a jej matka była ciągle podenerwowana. Ostatnio stale narzekała, ubolewała zwłaszcza nad tym, że Tana do tej pory nie wyszła za mąż i pewnie w ogóle to nie nastąpi. Rozmowy na temat „zmarowanego życia” były główną treścią jej wizyt u matki, na co zwykle Tana odpowiadała „Dzięki, mamó”.

Alternatywą na Święto Dziękczynienia były odwiedziny Averil i Harry'ego, ale, mimo że bardzo ich kochała nie znosiła ich nudnych znajomych. Wszyscy przyjeżdżali dużymi samochodami kombi z gromadą dzieci. Tana zawsze czuła się w ich towarzystwie jakby trafiła w niewłaściwe miejsce i była za to głęboko wdzięczna swojemu losowi. Podziwiała Harry'ego za to, że mógł to wszystko wytrzymać. Któregoś roku śmiała się z tego razem z jego ojcem. Rozumiał Tanę, bo też nie mógł tego znieść i rzadko ich odwiedzał. Wiedział, że Harry jest szczęśliwy, ma zapewnioną dobrą opiekę i nie

potrzebuje go, więc trzymał się swojego stylu życia.

- Chciałabyś pojechać ze mną do Nowego Jorku? - Drew spojrział na nią z nadzieją.

- Mówisz poważnie? Po co? - Była zaskoczona. Co czekało na niego w Nowym Jorku? Jego rodzice nie żyli, a córki były w Waszyngtonie.

- No - przemyślał już to wszystko z góry - mogłabyś odwiedzić swoją rodzinę, a ja zajrzałbym do dziewczynek w Waszyngtonie, spotkalibyśmy się potem w Nowym Jorku i zabawili trochę. Może mógłbym zabrać je ze sobą? Co o tym myślisz?

Zastanowiła się przez chwilę i wolno pokiwała głową. Jej włosy rozsypały się wokół twarzy. - To możliwe. - Uśmiechnęła się. - Może nawet całkiem wykonalne, jeśli wyłączysz z tego tę część o mojej rodzinie. Święta z nimi mogą doprowadzić człowieka do samobójstwa.

Roześmiał się. - Nie bądź taka cyniczna, ty mała czarownico.

Delikatnie ujął pukiel jej włosów i pocałował ją w usta. Był tak cudownie czuły, że otwierała przed nim najbardziej niedostępne zakamarki swej duszy. Nigdy przedtem nie spotkała takiego mężczyzny jak on. Zaufanie, jakim go obdarzyła, zaskoczyło ją samą.

- A tak poważnie, mogłabyś się urwać?

- Tak naprawdę, to akurat teraz mogłabym. - W rzeczywistości prawie nigdy nie miała wolnego czasu, więc było to dla niej coś niezwykłego.

- Więc? - W jego oczach błyszczały iskierki, a ona zarzuciła mu ręce wokół szyi.

- Wygrałeś. Posunę się nawet do tego, że złożę wizytę matce, w ramach poświęcenia.

- Z pewnością pójdziesz za to prosto do nieba. Zajmę się wszystkim. Możemy oboje polecieć na Wschodnie Wybrzeże w następną środę wieczorem. Ty spędzisz czwartek w Connecticut i spotkamy się w Nowym Jorku w czwartek wieczorem, kiedy przyjadę z dziewczynkami. Zatrzymamy się w..., zastanówmy się. - Zamyślił się, a ona roześmiała się.

- Hotel Pierre? - Miała zamiar zapłacić za swoją część, ale on miał inny pomysł.

- Carlyle. Zawsze się tam zatrzymuję, jeśli tylko mogę, zwłaszcza z

dziewczynkami. Lubią tam mieszkać.

Zawsze jeździł tam z Eileen przez ostatnie dziewiętnaście miesięcy, ale tego nie powiedział Tanie. Zorganizował wszystko i w środę wieczorem wsiedli w dwa różne samoloty lecące na wschód. Zastanowiło ją przez moment jak łatwo pozwoliła mu robić za siebie plany. To była dla niej zupełna nowość, nikt tego do tej pory nie robił, a jemu przychodziło to z taką łatwością. Nie mogła mieć wobec niego żadnych zastrzeżeń. A on był do tego przyzwyczajony. Dopiero gdy doleciała do Nowego Jorku dotarło do niej wreszcie, że naprawdę tam jest. Było przejmująco zimno. Jadąc taksówką z lotniska Johna F. Kennedy'ego do Connecticut widziała na drodze pierwsze ślady śniegu. Myślała o Harrym i o tym, jak uderzył Billy'ego w twarz. Szkoda, że teraz nie było go przy niej. Naprawdę nie miała ochoty na spędzenie Święta Dziękczynienia z Durningami. Wolałaby polecieć z Drew do Waszyngtonu, ale nie chciała przeszkadzać w jego świątecznym spotkaniu z dziewczynkami po dwumiesięcznej rozłące. Harry zapraszał ją do Piedmont, jak co roku zresztą, ale wyjaśniła, że jedzie do Nowego Jorku.

- O Boże, ty musisz być chora - śmiał się.

- Jeszcze nie. Ale jak wrócę będę na pewno. Już teraz słyszę słowa matki...

zmarnowane życie...

- Jak już o tym mówimy, to chciałbym ci przedstawić w końcu mojego współnika.

Rzeczywiście, otworzył swoją własną kancelarię adwokacką, a Tana nie miała dotąd okazji poznania drugiego współwłaściciela spółki. Nigdy nie miała dość czasu, a oni także byli bardzo zajęci. Szło im nieźle, na niewielką, ale zadowalającą skalę. Obaj tego właśnie chcieli, a Harry zawsze opowiadał jej o pracy z wielkim entuzjazmem.

- Może kiedy wrócę.

- Zawsze tak mówisz. Chryste, ty nigdy go nie poznasz, Tan, a to taki fajny facet.

- Aha. To cuchnie randką w ciemno. Mam rację? Jeszcze jeden wygłodzony wilk... o nie! - Śmiała się teraz beztrąsko jak przed laty, a Harry jej wtórował.

- Ty podejrzliwa małpo. Co ty sobie wyobrażasz, że każdy chce się dobrać do twoich majtek?

- Nie, wcale nie. Po prostu znam ciebie. Jeśli facet ma mniej niż dziewięćdziesiąt

pięć lat i nie ma nic przeciwko małżeństwu, to ty od razu chcesz go ze mną wyswatać. Nie wiesz Winslow, że ze mnie twarda sztuka? Daj sobie spokój, na miłość boską. Jak chcesz to powiem matce, żeby zadzwoniła do ciebie z Nowego Jorku. Będziecie mogli sobie pogadać na ten temat.

- Bez przesady, ty wariatko. Ale nie wiesz, co tracisz. On jest wspaniały. Averil też tak uważa.

- Jestem pewna, że to prawda. Ożeń go z kimś innym.

- Dlaczego? Masz kogoś?

- Może. - Drażniła się z nim, ale jego czujne uszy momentalnie wyłowiły w jej głosie coś nowego. Natychmiast pożałowała swoich słów.

- Tak? Kto to?

- Frankenstein. Na litość boską, odczep się.

- Akurat nie mam zamiaru. Widujesz się z kimś, prawda?

- Nie... tak... to znaczy, nie. Cholera! Tak, ale to nic poważnego. Dobra? Czy to wystarczy?

- Nie, do diabła. Kim on jest, Tan? Czy to poważne?

- Nie. To tylko facet, z którym się spotykam, tak jak z innymi. To wszystko. Miły facet. Przyjemnie spędzamy czas. I tyle.

- Skąd jest?

- Z L.A.

- Co robi?

- Jest gwałtcielem. Spotkałam go w sądzie.

- Niezbyt śmieszne. Spróbuj jeszcze raz.

Czuła, jak ją osaczał, i w końcu zaczęło ją to denerwować.

- Jest prawnikiem, a teraz odczep się, do cholery. To nic ważnego.

- Coś mi mówi, że tak nie jest. - Znał ją dobrze. Drew był inny niż wszyscy, ale nie chciała się do tego przyznać, zwłaszcza przed sobą.

- No, dobra, to trzymaj się, dupku. Pozdrów ode mnie Averil i do zobaczenia po powrocie z Nowego Jorku.

- Co robisz w tym roku na Święta Bożego Narodzenia? - Było to oczywiście zaproszenie, ale zabrzmiało raczej jak błaganie. Miała ochotę już odłożyć słuchawkę.

- Jadę do Sugar Bowl, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Sama?

- Harry! - Oczywiście, że nie. Jechała z Drew. Już się umówili. Eileen zabiera dziewczynki do Yennont, więc będzie wolny. Święta będą dla niego na pewno trudnym okresem. Oboje spodziewali się tego. Tana nie miała zamiaru mówić o tym Harry'emu. - Do widzenia. Do zobaczenia wkrótce.

- Zaczekaj... chciałem ci powiedzieć więcej o...

- Nie! - Wreszcie odłożyła słuchawkę, a kiedy dotarła taksówką do Greenwich, uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając się, co by pomyślał o Drew. Chyba polubiliby się, mimo że Harry na pewno by go przeegzaminował. Właśnie dlatego zwlekała z przedstawieniem go. Rzadko się zdarzało, żeby Harry poznawał kogośkolwiek z jej mężczyzn. Tylko wtedy, kiedy już nie mieli dla niej znaczenia. Ale tym razem było inaczej...

Matka i Artur wypatrywali jej, kiedy nadjechała. Była zaskoczona widząc, jak bardzo Artur się postarzał. Jej matka miała tylko pięćdziesiąt dwa lata, Artur sześćdziesiąt sześć i starość nie dodawała mu uroku. Lata stresów z żoną alkoholizką wycisnęły na nim swoje piętno, tak samo jak harówka w Durning International. Wszystko to wyryte było na jego twarzy głębokimi bruzdami. Przeszedł kolejne ataki serca i niewielki wylew, wyglądał bardzo staro i słabowicie. Jean otaczała go nieustanną, troskliwą opieką, popadając coraz bardziej w nerwicę. Tana widziała w swojej matce jego łódź ratunkową dryfującą na sztormowych falach morza. Gdy Artur położył się spać, matka przysłała do jej pokoju i usiadła na brzegu łóżka. Tana po raz pierwszy nocowała w tym domu. Dostała do dyspozycji świeżo umeblowaną sypialnię, którą obiecywała jej Jean. Nocowanie w hotelu w mieście byłoby zbyt kłopotliwe, a poza tym matka poczułaby się urażona. I tak widywali ją bardzo rzadko. Artur nie ruszał się prawie z domu, poza wyjazdami do Palm Beach, do ich kondominium, a matka nie chciała zostawiać go samego, rezygnując z przyjazdu do San Francisco. Tanę mogli więc

widywać tylko wtedy, kiedy przyjeżdżała na Wschód, co zdarzało się coraz rzadziej.

- Czy wszystko u ciebie w porządku, kochanie?

- Najzupełniej. - Było nawet bardziej niż w porządku, ale nie chciała o tym rozmawiać z Jean.

- Cieszę się. -Zwykle oczekiwała jeden dzień, zanim zaczęła narzekać na temat jej „zmarnowanego życia”, ale tym razem nie miała zbyt wiele czasu, więc musiała szybciej przystąpić do ofensywy. Tana wiedziała o tym. - W pracy wszystko dobrze?

- Tak, jest wspaniale.

Uśmiechnęła się, ale Jean wyglądała na smutną. Zawsze przygnębiało ją to, że Tana tak bardzo lubiła swoją pracę. To znaczyło, że nie miała zamiaru z niej zrezygnować. Jean cały czas miała jednak nadzieje, że któregoś dnia Tana rzuci wszystko dla właściwego mężczyzny. Nie mogła pogodzić się z myślą, że jej córka mogłaby tego nie zrobić. Ale nie знаła jej przecież prawie wcale. Właściwie nigdy za dobrze jej nie rozumiała, a teraz coraz bardziej traciły kontakt.

- Jacyś nowi mężczyźni? - To była stereotypowa rozmowa, jaką zwykle odbywały, i Tana zawsze odpowiadała na to pytanie „nie”, ale tym razem pomyślała, że może uchyli przed matką rąbek tajemnicy, żeby sprawić jej przyjemność.

- Jeden.

Jean uniosła brew. - Coś poważnego?

- Na razie nie. - Tana roześmiała się. Zabawianie się z nią w ten sposób było niemal okrutne. - I nie spodziewaj się zbyt wiele, bo chyba nic z tego raczej nie będzie. To miły facet, jest nam ze sobą dobrze, ale najlepiej będzie jak wszystko pozostanie tak jak jest.

Jednak jakaś mała isierka w oczach Tany zdradziła, że kłamie i Jean zauważyła ją także.

- Od jak dawna się z nim widzisz?

- Od dwóch miesięcy.

- Dlaczego nie zabrałaś go ze sobą na Wschód?

Tana wzięła głęboki oddech, usiadła na tapczanie obejmując rękami podkurczone

kolana. Przyjrzała się Jean. - Jeśli chodzi o ścisłość to właśnie jest z wizytą u swoich córeczek w Waszyngtonie. Nie powiedziała jej, że ma się z nim spotkać następnego dnia w Nowym Jorku. Pozwoliła Jean wierzyć, że wraca z powrotem na Zachód. Zyskała w oczach matki tym, że przyjechała do domu specjalnie na ten jeden dzień i jednocześnie mogła swobodnie spędzać czas w Nowym Jorku, bez rodzinnych zobowiązań. Nie chciała przywozić Drew, żeby poznał jej rodzinę, zwłaszcza że był tu Artur i jego potomstwo.

- Od jak dawna jest rozwiedziony, Tano? - Głos matki był trochę zachrypnięty i nie patrzyła jej w oczy.

- Od jakiegoś czasu. -Kłamała, ale nagle oczy matki spojrzały na nią przenikliwie.

- Jak długo?

- Uspokój się mamo. Właściwie jest w trakcie. Złożyli papiery.

- Jak dawno?

- Parę miesięcy temu. Na miłość boską... uspokój się!

- To ty nie powinnaś być taka spokojna. - Wstała z łóżka Tany i nerwowo przemierzyła pokój zatrzymując się znowu przy niej. Patrzyła jej prosto w oczy. - A druga rzecz, której nie powinnaś robić, to spotykać się z nim

- Co to za bzdury. Przecież nawet go nie znasz.

- Nie muszę, Tano. - Jej głos był pełen goryczy. - Znam ten syndrom. Nieważne, jaki to mężczyzna. Jeśli nie jest rozwiedziony i nie ma papierów w ręku, unikaj go, a najlepiej o nim zapomnij.

- To najgłupsze stwierdzenie, jakie mogłam od ciebie usłyszeć. Ty nikomu nie ufasz, prawda mamo?

- Jestem po prostu od ciebie dużo starsza, Tan. I mimo że wydaje ci się, że pozjadałaś wszystkie rozumy, to ja znam życie lepiej od ciebie. Nawet jeśli on mówi, że chce rozwodu, nawet jeśli jest tego zupełnie pewien, to jeszcze nic nie znaczy. Może być tak głęboko przywiązany do dzieci, o czym ty może nie wiesz, że nie zdecyduje się na rozwód. Za pół roku może wrócić do żony, a ciebie zostawi, wtedy już zakochaną po uszy, bez wyjścia. Postanowisz sobie, że zostaniesz przy nim jeszcze dwa lata... pięć...

dziesięć..., a kiedy się obudzisz, nagle okaże się, że masz czterdzieści pięć lat i, jeśli będziesz miała szczęście - jej oczy były wilgotne od łez - on dostanie pierwszego zawału i wtedy dopiero zaczniesz cię naprawdę potrzebować... ale może jego żona nadal będzie żyła i wtedy nie będziesz miała żadnych szans. Są sprawy, których nie jesteś w stanie wygrać. I to właśnie jest jedna z nich. Tej więzi nikt nie może za niego zerwać. Jeśli on sam to zrobi, wtedy będę życzyć wam szczęścia, ale teraz, zanim on cię głęboko zrani, kochanie, chciałabym, żebyś przestała go widywać.

Jean była tak przygnębiona i smutna, że Tanie zrobiło się jej żal.

Życie jej nie rozpieszczało odkąd wyszła za Artura, ale w końcu po wielu długich, trudnych i samotnych latach, zdobyła go.

- Nie chcę kochanie, żeby spotkało cię to samo. Zasługujesz na coś lepszego. Spróbuj się z tego wycofać na jakiś czas i zobacz, jak on to rozegra.

- Życie jest na to zbyt krótkie, mamo. Nie mam czasu, żeby bawić się w gierki. Mam za dużo innych zajęć. A zresztą, co to za różnica? Nie mam zamiaru wychodzić za mąż.

Jean westchnęła i usiadła znowu. - Nie rozumiem, dlaczego. Co masz przeciwko małżeństwu, Tan?

- Nic. Pewnie ma ono sens, jeśli chce się mieć dzieci albo nie wybiera się intensywnej kariery zawodowej. Ale ja właśnie ją wybrałam i w moim życiu dzieje się tyle, że nie chcę uzależniać się od nikogo, a na dzieci jestem już za stara. Mam trzydzieści lat i na swój sposób już ułożyłam sobie życie. Nie mogłabym zburzyć tego wszystkiego dla kogoś.

Pomyślała o domu Harry'ego i Averil, który wyglądał jakby codziennie nawiedzało go trzęsienie ziemi.

- To po prostu nie dla mnie.

Jean nie mogła pozbyć się myśli, że może to jej wina, ale przyczyna była bardziej skomplikowana. Składały się na nią wszystkie złe wspomnienia. Powracająca wizja Artura, oszukującego Marie i przez tyle lat raniącego matkę. Tana nie chciała przeżyć czegoś takiego, pragnęła kariery zawodowej, wolności, niezależności, własnego życia.

Nie chciała męża i dzieci, tego była pewna. Już wiele lat temu tak postanowiła.

- Nie wiesz, ile tracisz. - Powiedziała smutno Jean. Co sprawiło, że jej dziecko takie właśnie miało podejście do życia?

- Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić. - Tana wpatrywała się w matkę, odnajdując w jej oczach coś, czego nie potrafiła zrozumieć.

- Jesteś jedyną osobą na świecie Tan, która tyle dla mnie znaczy.

Z trudem mogła w to uwierzyć, mimo że przez tyle lat matka poświęcała dla niej wszystko, przyjmując nawet z wdzięcznością prezenty, które łaskawie ofiarował jej Artur, żeby dać swemu dziecku jak najwięcej. Kiedy to sobie przypominała, czuła jak serce się jej rozdziera, a zwłaszcza kiedy myślała, jak bardzo powinna matce za wszystko dziękować. Objęła ją mocno, ciągle wspominając przeszłość.

- Kocham cię, mam. Jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

- Nie chcę wdzięczności. Chcę żebyś była szczęśliwa, kochanie. Jeśli ten człowiek jest dla ciebie dobry, to wspaniale, ale jeśli okłamuje cię, czy też siebie samego, to prędzej czy później złamie ci serce. Nie chcę żebyś cierpiała... nigdy...

- To nie jest to, co spotkało cię. - Tana była tego pewna, ale nie Jean.

- Skąd możesz o tym wiedzieć? Jak możesz być tego pewna?

- Po prostu jestem. Znam go dobrze.

- Po dwóch miesiącach? Nie żartuj. Nie wiesz o nim nic, a na pewno nie więcej niż ja dwadzieścia cztery lata temu. Artur nie okłamywał wtedy mnie, tylko siebie samego.

Czy tego właśnie chcesz, siedemnastu lat samotnych nocy, Tan? Nie rób tego.

- Nie zrobię. Mam swoją pracę.

- To nie może być środkiem zastępczym.

Ale w jej przypadku było. Praca zastępowała jej wszystko.

- Obiecuj mi, że przemyślisz to, co dziś ode mnie usłyszałaś.

- Obiecuję.

Uśmiechnęła się i obie kobiety jeszcze raz uściśniły się na dobranoc. Tana była wzruszona troską matki, ale miała pewność, że ona się myli co do Drew. Zasnęła z uśmiechem na twarzy, myśląc o nim i jego małych dziewczynkach. Zastanawiała się, co

teraz z nimi robił. Znała nazwę jego hotelu w Waszyngtonie, ale nie chciała im przeszkadzać.

Kolacja w Święto Dziękczynienia, która odbyła się następnego dnia w domu Durningów, była okropnie nudna, ale Jean cieszyła się, że Tana spędzała ten dzień z nimi. Artur był jakiś zamyślony i dwa razy tego wieczoru zdarzyło mu się usnąć w fotelu. Pokojówka trącała go dyskretnie, aż w końcu Jean zaprowadziła go na górę, do sypialni. Ann przyjechała ze swoimi trzema bachorami, które były jeszcze bardziej nieznośne niż ostatnim razem. Ann opowiadała o swoim małżeństwie z bogatym armatorem greckim. Tana starała się jej nie słuchać, ale było to niemożliwe. Prawdziwym szczęściem w tym dniu był fakt, że Billy pojechał z przyjaciółmi na Florydę, zamiast przyjechać do domu.

Od piątej Tana co chwila zerknęła na zegarek. Obiecała Drew, że będzie w Carlyle o dziewiątej. Przez cały dzień nie rozmawiali ze sobą przez telefon. Nie mogła już wytrzymać, ogarnęła ją przemożna chęć zobaczenia go, spojrzenia mu w oczy, dotknięcia twarzy, poczucia ciepła jego dłoni. Pragnęła już teraz rozbierać go, zrzucając także swoje ubranie. Poszła na górę, żeby spakować swoje rzeczy. Na jej twarzy błąkał się skrywany uśmiech. Matka weszła za nią do pokoju. Ich spojrzenia spotkały się w dużym lustrze nad komodą. Jean odezwała się pierwsza.

- Będziesz się z nim spotykać, prawda?

Mogła ją okłamać, ale miała przecież trzydzieści lat, więc po co?

- Tak, będę. - Odwróciła się teraz twarzą do matki.

- Przerażasz mnie.

- Za bardzo się wszystkim zamartwiasz. To nie jest powtórka z twojego życia mamo. To jest moje życie. Jest pewna różnica.

- Nie zawsze jest tak, jak myślimy.

- Tym razem się mylisz.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście się mylę.

Jean wyglądała na pogrążoną w smutku, kiedy Tana wzywała taksówkę. Do Nowego Jorku dotarła o ósmej. Nie mogła zapomnieć słów matki i kiedy znalazła się w hotelu, miała jej nawet to za złe. Dlaczego musiała w to mieszać swoje złe

doświadczenia, rozczarowania i ból? Jakie miała do tego prawo? To tak, jakby Tana musiała nosić przez całe życie żelazne kajdany na dowód tego, że była kochana przez matkę. Ona nie potrzebowała już tej miłości. Chciała, by pozostawiono ją sobie samej, aby mogła żyć swoim własnym życiem.

Hotel Carlyle był bardzo piękny. Schody wyłożone grubymi chodnikami, sięgającymi aż do marmurowej posadzki holu, perskie dywany, antyczne zegary, niezłe obrazy na ścianach i eleganccy dżentelmeni w surdutach za kontuarem recepcji. To wszystko było jakby z innego świata, pomyślała Tana uśmiechając się do siebie. To nie należało do życia matki, takie było jej własne życie. Teraz była już tego pewna. Podala nazwisko Drew i poszła na górę do pokoju. On jeszcze nie przyjechał, ale znali go tu dobrze. Pokój był okazały, tak jak obiecywano w recepcji, ze wspaniałym widokiem na Central Park i panoramę miasta mieniącą się nocą jak diamenty.

Apartament wyposażony był w antyki obleczone w ciemnoróżowy jedwab, a w oknach wisiały ciężkie satynowe zasłony. W wiaderku z lodem chłodziła się olbrzymia butelka szampana - prezent od kierownictwa. „Miłego pobytu” powiedział na pożegnanie chłopiec pokojowy. Tana usiadła na eleganckiej kanapie i zastanawiała się, czy ma wziąć kąpiel czy czekać. Nadal nie była pewna, czy przywiezie dziewczynki, ale pewnie tak. Nie chciała ich zaszokować negliżem, kiedy przyjadą. Minęła jednak dziewiąta, a ich nie było. Zadzwoił dopiero po dziesiątej.

- Tana.

- Nie, Sophia Loren.

Roześmiał się. -Jestem rozczarowany, wolałbym Tanę Roberts.

- Teraz już wiem na pewno, że jesteś szalony, Drew.

- Jestem. Na twoim punkcie.

- Gdzie jesteś?

Nastąpiła krótka pauza. - W Waszyngtonie. Julie jest strasznie przeziębiona i wydaje nam się, że Elizabeth też złapała gripę. Pomyślałem, że jeszcze chwilę posiedzę tutaj, żeby było im raźniej. Chyba nie zabiorę dziewczynek ze sobą. Przyjadę jutro, Tan. Dobrze?

- Jasne. - Rozumiała to, ale wylała także słówko „my”, które mu się wyrwało.
„Wydaje nam się, że Elizabeth”. To nie brzmiało .najlepiej. - Pokój jest cudowny.

- Czy oni nie są wspaniali? Czy byli dla ciebie mili?

- Oczywiście, że tak. - Ogarnęła pokój wzrokiem. - Ale bez ciebie to żadna frajda,
panie Lands. Miej to na uwadze.

- Będę jutro. Przysięgam.

- O której?

Pomyślał przez chwilę. - Zjem z dziewczynkami śniadanie... zobaczę, jak się
czują... powinienem wyrobić się z tym do dziesiątej. Gdybym złapał samolot w południe...
Będę w hotelu o drugiej, tym razem bez pudła.

To znaczyło pół dnia do tyłu, chciała to skomentować, ale stwierdziła, że mądrzej
będzie przemilczeć.

- W porządku. - Nie była tym zachwycona i kiedy odłożyła słuchawkę, z trudem
odsuwała od siebie wspomnienie słów matki. Wzięła gorącą kąpiel, oglądała telewizję,
zamówiła filiżankę gorącej czekolady i zastanawiała się, co on robi w Waszyngtonie.
Nagle poczuła się winna za to, co miała ochotę mu powiedzieć. To nie jego wina, że
dzieci rozchorowały się. Z pewnością było to dla nich przykre, ale to przecież niczyja
wina.

Podniosła słuchawkę i poprosiła o połączenie z numerem jego hotelu w
Waszyngtonie. W jego pokoju nikt nie odpowiadał. Zostawiła wiadomość, potem oglądała
do późna telewizję i zasnęła zostawiając włączony telewizor. Obudziła się następnego
dnia o dziewiątej rano i kiedy wyszła na zewnątrz, okazało się, że jest cudowny dzień.
Poszła na długi spacer Piątą Aleją i dotarła do Bloomingdale. Pomyszkowała trochę po
sklepach, kupiła parę rzeczy dla siebie, elegancki kaszmirowy sweter dla niego, prezenty
dla dziewczynek: lalkę dla Julie i śliczną bluzkę dla Elizabeth. Potem wróciła do Carlyle,
żeby na niego czekać. Tym razem zastała w recepcji wiadomość. Obie dziewczynki były
bardzo chore, „przyjeżdżam w piątek wieczorem”, czego zresztą nie zrobił. Julie miała
bardzo wysoką gorączkę. Tana spędziła kolejną samotną noc w Carlyle. W sobotę
wybrała się do Metropolitan, a o piątej po południu wreszcie pojawił się Drew. W samą

porę, żeby pójść z nią do łóżka i zamówić kolację do pokoju. Przepraszał ją przez całą noc, a następnego dnia wrócili razem do San Francisco.

I tak upłynął ich „cudowny” weekend w Nowym Jorku.

- Przypomnij mi, żebyśmy koniecznie powtórzyli to kiedyś - powiedziała sarkastycznie, kiedy kończyli kolację na pokładzie samolotu.

- Jesteś na mnie wściekła, Tan? - Od chwili, kiedy przyleciała do Nowego Jorku, przez cały czas wyglądał na przygnębionego. Zżerało go poczucie winy wobec niej, poza tym martwił się o dziewczynki. Mówił za dużo, za szybko i nie był sobą.

- Nie, jestem bardziej rozczarowana niż wściekła. A przy okazji, jak się miewa twoja eks-żona?

- Dobrze.

Nie miał ochoty o niej rozmawiać i Tana zaskoczyła go tym pytaniem. To nie był odpowiedni temat do rozmowy, ale ona gryzła się wciąż wspominając słowa matki.

- A dlaczego pytasz?

- Z ciekawości. - Wzięła do ust pełną łyżkę deseru, spoglądając na niego chłodno.

- Ciągle ją jeszcze kochasz?

- Oczywiście, że nie. To idiotyczne. Nie kocham jej już od lat. Wyglądał na szczerze rozczłuszczonego, a Tanę to ucieszyło. Matka się myliła. Jak zwykle.

- Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, Tan - powiedział niepewnie. Był blady - ale tak się składa, że kocham ciebie. - Popatrzył na nią przeciągle.

Ona przyglądała mu się z uwagą. Wreszcie uśmiechnęła się i nic nie mówiąc, pocałowała go w usta. Odłożyła widelec i w końcu zamknęła oczy, by się zdrzemnąć. Nie miała mu nic do powiedzenia, a on czuł się jakoś niepewnie. To był trudny weekend dla nich obojga.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Grudzień upłynął bardzo szybko, wypełniony kilkoma toczącymi się właśnie procesami i paroma przyjęciami, na które Tana wybrała się razem z Drew. Bywało, że przylatywał choćby na jedną noc, a czasami nawet tylko po to, by zjeść z nią kolację. Spędzali razem cudowne, pełne czułości chwile, ciche noce w domowej atmosferze. Byli sobie tak bliscy, połączeni uczuciem, którego Tana nigdy przedtem nie zaznała. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo samotna była przez tyle lat. Miała za sobą tylko ten zwariowany romans z Yaelem McBee i parę nieistotnych związków, które przemijały, pozbawione najmniejszego znaczenia. Ale z Drew Landsem wszystko wyglądało inaczej. Był taki wrażliwy, uczuciowy, troszczący się o każdy drobiazg, który dla niej był istotny. Zapewniał jej komfort psychiczny i bezpieczeństwo. Czowała, że dopiero teraz naprawdę żyje. Wiele się razem śmieli. Kiedy nadeszły ferie świąteczne, znowu nie mogła się doczekać poznania jego dziewczynki. Miały przyjechać z Waszyngtonu, żeby spędzić z nim Święta Bożego Narodzenia. Odwołał ich wspólny wyjazd na narty do Sugar Bowl.

- Czy przyjedziesz i spędzisz z nami trochę czasu, Tan? Uśmiechnęła się do niego; wiedziała, jakiego miał bzika na punkcie swoich dzieci.

- Spróbuję. - Miała przed sobą dużą sprawę, ale była pewna, że upłynie jeszcze dużo czasu, zanim dostanie się ona na wokandę. - Myślę, że powinno mi się udać.

- Postaraj się. Gdybyś przyjechała dwudziestego szóstego, moglibyśmy spędzić parę dni w Malibu.

Wynajmował tam mały domek weekendowy, o czym wiedziała, ale zaskoczyła ją data, którą wymienił... dwudziesty szósty... zrozumiała, że chciał być sam z dziewczynkami przez całe święta.

- Przyjedziesz, Tan?

Brzmiało to jak prośba małego dziecka. Śmiejąc się, przytuliła go do siebie mocno.

- Dobrze, dobrze przyjadę. Jak myślisz, co dziewczęta chciałyby dostać?

- Ciebie. - Wymienili uśmiech i pocałował ją znowu.

Przygotowanie wszystkiego na ich przyjazd do L.A. zajęło mu tydzień. Tana

starala się dokończyć zaczęte sprawy, żeby wziąć parę dni urlopu. Poza tym miała jeszcze wiele zakupów do zrobienia. Kupiła dla Drew zamszową koszulę, bardzo drogą aktówkę, którą kiedyś się zachwycał, jego ulubioną wodę kolońską i krawat w zwariowany wzór, który pewnie mu się spodoba. Dziewczętom kupiła po pięknej lalce w F.A.O. Schwarz, papier do zapakowania prezentów, wsuwki do włosów, śliczny dres dla Elizabeth, dokładnie taki sam, jaki kiedyś kupiła sobie, i królika zrobionego z prawdziwego futerka dla jego młodszej córki. Zapakowała to wszystko i włożyła do walizki, którą miała zabrać ze sobą do L.A. W tym roku nie zawracała sobie głowy choinką, nie miała na to czasu, a poza tym i tak nie miał jej kto oglądać.

Święta Bożego Narodzenia spędziła z Harrym, Averil i ich dziećmi i naprawdę udało jej się odpocząć. Harry wyglądał świetnie, a Averil z zadowoleniem patrzyła, jak mały Harrison biega, z niecierpliwością czekając na Świętego Mikołaja. Pokroili marchewkę dla renifera, wywiesili przed domem czekoladowe ciasteczka, wystawili dużą szklankę mleka i wreszcie zapakowali go do łóżka. Jego siostrzyczka już spała, a i on wkrótce zapadł w sen. Po jakimś czasie Averil z uśmiechem poszła na palcach do ich pokojów, żeby sprawdzić, czy śpią spokojnie. Harry odprowadził ją wzrokiem, a Tana przyglądała mu się uważnie. Sprawiało jej przyjemność, gdy widziała, że jest szczęśliwy i zadowolony z życia. Wszystko potoczyło się dobrze, mimo że pewnie kiedyś inaczej to sobie wyobrażał. Spojrzał na Tanę z uśmiechem i oboje zrozumieli się bez słów.

- To dziwne, Tan, jak życie czasem się układa.

- Tak, to prawda. - Uśmiechnęła się. Znali się od dwunastu lat. Niesamowite, prawie połowa ich życia.

- Kiedy spotkałem cię po raz pierwszy, byłem pewien, że nie później niż za dwa lata będziesz mężatką.

- A ja myślałam, że umrzesz jako kompletny degenerat... nie... - zadumała się na chwilę i dodała z rozbawieniem - ... playboy pijak...

Roześmiał się. - Pomyliłaś mnie z moim starym.

- Nie sądzę. - Nadal czuła słabość do Harrisona, ale Harry nie zdawał sobie z tego sprawy. Kiedyś zaczął coś podejrzewać, ale nigdy nie był tego pewien, a ojciec nie dał

nic po sobie poznać. Tana również.

Harry popatrzył na nią dziwnie. Nie spodziewał się, że w tym roku spędzi z nimi święta, zwłaszcza po tym, co mu raz czy dwa wspominała o Drew. Miał dziwne wrażenie, że dla niej to była poważna sprawa, mimo że nie chciała się do tego przyznać.

- A gdzie twój przyjaciel, Tan? Myślałem, że wybieraliście się do Sugar Bowl.

W pierwszej chwili spojrzała na niego nie rozumiejąc, ale oczywiście od razu wiedziała, kogo ma na myśli. Skrzywiła się.

- No dobra, daruj sobie tekst typu „a kogo masz na myśli?”. Znam cię zbyt dobrze.

Roześmiała się. - Dobrze, już dobrze. Jest w L.A. ze swoimi dziećmi. Odwołaliśmy Sugar Bowl z powodu dziewczynek. Dołączę do nich dwudziestego szóstego.

Harry'emu wydało się to trochę dziwne, ale nic nie powiedział.

- On dla ciebie dużo znaczy, prawda? Ostrożnie pokiwała głową, ale nie spojrzała mu w oczy. - Tak... bez względu na to, ile to jest warte.

- A ile to warte, Tan?

Westchnęła i odwróciła się plecami. - Bóg raczy wiedzieć. Przez chwilę Harry zastanawiał się nad czymś, aż w końcu zapytał: - dlaczego nie jesteś z nim dzisiaj?

- Nie chciałam im przeszkadzać. - To nie była prawda. Po prostu jej nie zaprosił.

- Jestem pewien, że dla niego nie możesz być intruzem. Czy poznałaś już jego dzieci? Pokręciła przecząco głową.

- Pojutrze zobaczę je po raz pierwszy. Harry uśmiechnął się. - Boisz się?

Zaśmiała się nerwowo. - Pewnie, że tak. A ty byś się nie bał? One są najważniejsze w jego życiu.

- Mam nadzieję, że ty także.

- Myślę, że tak.

Harry zmarszczył brwi. - On nie jest chyba nadal żonaty, Tan?

- Już ci mówiłam, że są w trakcie rozwodu.

- To dlaczego nie spędza świąt z tobą?

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć? - Miała już po uszy tych dociekliwych pytań i zaczęła się zastanawiać, gdzie podziała się Averil.

- Nie zapytałaś go?

- Nie. Nie przeszkadzało mi to - spojrzała na niego groźnie - aż do tej chwili.

- To jest właśnie twój problem, Tan. Tak przywykłaś do samotności, że nawet nie wiesz, że pewne sprawy można załatwić inaczej. Powinnaś spędzać te święta z nim. Chyba że...

Harry nie miał zamiaru zostawić jej w spokoju. - chyba, że spędza Święta Bożego Narodzenia z żoną.

- O, Chryste... co za idiotyczny pomysł. Jesteś najbardziej cynicznym i podejrzliwym sukinsynem, jakiego znam... a ja myślałam, że to ja jestem zła... - Była wściekła, a w jej spojrzeniu kryło się jeszcze coś więcej, jak gdyby poruszył jakąś czułą strunę. To naprawdę nie miało sensu.

- Może nie jesteś wystarczająco zła.

Wstała bez słowa. Rozejrzała się szukając torby. Kiedy Averil w końcu do nich dołączyła, natychmiast zauważyła, że coś między nimi zaszło. Jednak nie przejęła się tym. To zdarzało się już przedtem. Przywykła do ich kłótni. Łączyło ich coś specjalnego, czasem walczyli ze sobą jak pies z kotem, ale z pewnością nie mieli zamiaru się krzywdzić.

- A wy co tu wyrabiacie? Znowu chcecie się pobić? - uśmiechnęła się.

- Właśnie ręka mnie świerzbi - Tana spojrzała na nią zirytowana.

- Może to mu dobrze zrobi. - Cała trójka parsknęła śmiechem.

- Harry robi z siebie durnia, jak zwykle. Harry zarechotał. - Mówisz to tak, jakbym się co najmniej rozebrał.

Averil roześmiała się. - Czy zrobiłeś to, kochanie? W końcu i Tanie poprawił się nastrój.

- Wiesz co, jesteś chyba najbardziej upierdliwym facetem, jakiego znam. Masz za to u mnie Puchar Świata.

Uklonił się szarmancko z fotela, a Tana poszła po płaszcz. - Nie musisz wyjeżdżać, Tan. - Za każdym razem było mu przykro, kiedy go opuszczała, mimo że nie zawsze zgadzali się ze sobą. Łączyła ich ciągle bardzo silna więź. Jakby byli bliźniętami.

- Muszę wrócić do domu i wszystko przygotować. Zabrałam mnóstwo pracy do skończenia.

- Masz zamiar to robić w Święta Bożego Narodzenia? - Był przerażony, a ona uśmiechnęła się.

- Kiedyś muszę to zrobić.

- Może zamiast pracować, przyjedziesz do nas? - Zaprosili do siebie przyjaciół, jego partnera i tuzin innych osób, ale pokręciła przecząco głową. Nie miała nic przeciwko spędzeniu świąt w domu, w samotności, a przynajmniej tak im powiedziała.

- Jesteś dziwna, Tan. - Ale kiedy pocałował ją w policzek, jego spojrzenie pełne było szczerej miłości.

- Baw się dobrze w L.A. - Odprowadził ją na wózku do drzwi i spojrzał zaszępiiony. - I, Tan... trzymaj się... Może się myliłem... ale trochę przezorności nie zaszkodzi...

- Wiem. - Jej głos był znowu miękki, ucałowała ich oboje i wyszła. Jadąc samochodem do domu cały czas myślała o tym, co powiedział. Wiedziała, że nie mógł mieć racji. Drew nie spędzał Świąt Bożego Narodzenia z żoną... ale z drugiej strony rzeczywiście ona powinna być teraz razem z nim. Wmawiała sobie, że to nie ma znaczenia, ale przecież miało. I nagle przypomniała sobie te wszystkie samotne lata, kiedy tak współczuła Jean... czekanie na Artura, siedzenie przy telefonie, nadzieja, że zadzwoni... nigdy nie spędzali żadnych świąt razem, zwłaszcza kiedy żyła Marie, a i potem był to nie kończący się ciąg wymówek... jego teściowie, jego dzieci, jego klub, jego przyjaciele... i biedna Jean, z oczami pełnymi łez, nasłuchująca... wciąż czekająca na niego... Tana biła się z myślami. Z Drew nie było przecież tak samo. Nie było. Ona nie pozwoliłaby na to.

Następnego popołudnia, kiedy pracowała, pytania znowu zaczęły powracać. Drew zadzwonił raz, ale rozmawiali bardzo krótko. Wydawało się, że gdzieś się spieszył.

- Muszę wracać do dziewczynek - powiedział pospiesznie i odłożył słuchawkę.

Następnego dnia, kiedy wylądowała w Los Angeles, czekał na nią na lotnisku. Chwyił ją w ramiona i ścisnął tak mocno, że z trudem mogła oddychać.

- Mój Boże... poczekaj... stój! - Ale on miażdżył ją przyciskając do siebie.

Zaśmiewali się i całowali przez całą drogę na parking, gdzie żonglował jej torbami i paczkami, a ona była podniecona, że znowu są razem. Święta były jednak bardzo samotne bez niego. W głębi serca marzyła, że w tym roku będą one wyglądały zupełnie inaczej, że będą inne niż dotąd. Nie przyznawała się do tego nawet przed sobą, ale nagle uświadomiła sobie, że taka jest prawda. Jazda do miasta u jego boku była cudowna. Dziewczynki zostawił w domu z opiekunką, żeby spędzić z nią parę chwil tylko we dwoje, „... zanim doprowadzą nas do obłądu”. Popatrzył na nią i promieniał radością.

- Jak się czują dziewczynki?

- Wspaniale. Przysięgam, że w ciągu ostatnich czterech tygodni urosły podwójnie. Poczekaj, aż je poznasz, Tan.

I rzeczywiście była nimi zachwycona. Elizabeth była śliczna i taka dorosła, bardzo podobna do Drew, natomiast Julie jak mała, przytulna maskotka bez przerwy gramoliła się na kolana Tany. Były zachwycone prezentami, które od niej dostały. Wydawało się, że nie mają wobec niej oporów, mimo że Elizabeth kilka razy przyglądała się Tanie bardzo uważnie. Drew zorganizował wszystko doskonale. Ograniczył przytulanie i pieszczoty. Zachowywali się jak przyjaciele, którzy spędzają razem przyjemne popołudnie. Tana wiedziała, że tak właśnie będzie, to było dla niej oczywiste. Z jego zachowania wobec niej dziewczynki nie mogły się zorientować, co ich łączy. Tana zastanawiała się, czy zawsze był taki, kiedy one były w pobliżu.

- Czym się zajmujesz? - Elizabeth przyglądała się jej ciągle, a Julie obserwowała je obie. Tana uśmiechała się potrząsając masą jasnych włosów. Elizabeth patrzyła na nie z zazdrością, jak tylko ją zobaczyła.

- Jestem prawnikiem, jak twój tata. Właściwie w ten sposób się poznaliśmy.

- Moja mama też jest prawnikiem. - Szybko dodała Elizabeth. - Jest asystentką ambasadora OPA w Waszyngtonie i być może w przyszłym roku dadzą jej ambasadorstwo.

- Stanowisko ambasadora. - Poprawił ją Drew i popatrzył na wszystkie trzy „dziewczynki”.

- Ja nie chcę, żeby jej dali. - Dąsała się Julie. - Chcę, żeby wróciła tutaj i

zamieszkała z nami. I z tatusiem. - Wygięła usta w podkówkę, a Elizabeth szybko dodała. - Tata mógłby wyjeżdżać z nami wszędzie tam, gdzie wyślą mamę. To zależy od tego, gdzie by to było.

Tana poczuła się dziwnie i spojrzała na niego, ale akurat robił coś innego, a Elizabeth mówiła dalej. - Być może mama nawet wróci tutaj, jeśli nie dostanie takiej oferty, jakiej się spodziewa. Przynajmniej tak powiedziała.

- To bardzo interesujące. - Tanie zaschło w ustach i marzyła o tym, żeby Drew sprowadził tę rozmowę na właściwe tory, ale on nie powiedział nic. - Lubisz mieszkać w Waszyngtonie?

- Bardzo. - Elizabeth była do przesady grzeczna, a Julie wskoczyła znowu na kolana Tany i uśmiechała się oglądając z bliska jej twarz.

- Jesteś śliczna. Prawie tak śliczna jak nasza mama.

- Dziękuję.

Rozmowa z nimi zdecydowanie nie należała do łatwych. Tana nie miała do tej pory w ogóle kontaktu z dziećmi, z wyjątkiem pociech Harry'ego. Musiała się jednak postarać dla Drew.

- Co mamy w planie na dzisiejsze popołudnie? - Tana była już wykończona psychicznie, za wszelką cenę chciała zakończyć rozmowy na temat jego prawie eks-żony.

- Mama jedzie po zakupy na Rodeo Drive. - Powiedziała Julie z uśmiechem, a Tanie niemal odebrało mowę.

- Naprawdę? - Zwróciła zaskoczone spojrzenie na Drew, a potem na dziewczęta. - To miłe. No więc jak myślicie, może kino? Widziałyście „Sounder”?

Czuła się, jakby spadała z wysokiej góry, coraz szybciej i szybciej i nie docierała nigdzie... Rodeo Drive... to znaczy, że przyleciała do Los Angeles z dziewczynkami... i dlatego nie chciał, żeby Tana przyjechała wczoraj. Czy on rzeczywiście spędził z nią Święta Bożego Narodzenia? Następną godziną wlokła się w nieskończoność, Tana wciąż rozmawiała z dziewczynkami. Wreszcie wyszły pobawić się na podwórku, a Tana zwróciła się do niego. Jej wymowne spojrzenie powiedziało mu wiele, zanim jeszcze

zdażyła się odezwać.

- Jak rozumiem, twoja żona jest w Los Angeles. Wyglądała na twardą i nieugiętą, coś w głębi jej duszy zupełnie odrętwiało.

- Nie patrz tak na mnie. - Jego głos był miękki, a oczy unikały jej spojrzenia.

- Dlaczego nie? - Wstała i podeszła do niego. - Czy spędziłeś z nią święta, Drew?

Nie mógł już przed nią uciec, stała przed nim czekając na odpowiedź. Znała już prawdę. Kiedy podniósł głowę, żeby spojrzeć jej w twarz, wiedziała, że nie pomyliła się. Dziewczynki zdradziły go.

- Dlaczego mnie okłamałeś?

- Ja cię nie okłamałem. Nie przypuszczałem... o Chryste... - Jego spojrzenie było jakieś fałszywe. Przyparła go do muru.

- Nie planowałem tego w ten sposób, ale dziewczynki nigdy dotąd nie miały świąt bez któregoś z nas, Tan... to dla nich takie trudne...

- Czy jest to trudne właśnie teraz? - Jej oczy i głos były lodowate, zawarła w nich cały ból, jaki czuła w środku... ból, który spowodowały jego kłamstwa... - A kiedy właściwie pozwolił im do tego przywyknąć?

- Do diabła, myślisz, że lubię patrzeć na krzywdę moich własnych dzieci?

- Według mnie wyglądają znakomicie.

- Oczywiście, że tak. Dlatego, że Eileen i ja jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. To jest to minimum, które możemy dla nich zrobić. To nie ich wina, że nam nie wyszło.

Patrzył na Tanę przepaszająco, a ona walczyła ze sobą, żeby nie usiąść i nie rozplakać się. Nie nad nim i jego dziewczynkami, ale nad sobą.

- Jesteś pewien, że nie chcesz uratować tego, co było między tobą a Eileen?

- Nie bądź śmieszna.

- A gdzie ona spała? - Wyglądał jakby przeżył wstrząs elektryczny.

- Nie wypada, żebyś o to pytała i doskonale wiesz o tym.

- O mój Boże... - Znowu usiadła, nie wierząc, jak łatwo było go przejrzeć. - Spałeś z nią.

- Nie, nie spałem z nią.

- Spałeś, prawda? - Krzyczała już, a on biegał nerwowo po pokoju, by wreszcie wrócić do niej znowu.

- Spałem na kanapie.

- Kłamiesz. Przyznaj, że kłamiesz.

- Do diabła, Tano. Przestań mnie o to podejrzewać! To nie jest takie proste, jak myślisz. Byliśmy małżeństwem prawie dwadzieścia lat, na miłość boską... Nie mogę po prostu rzucić wszystkiego z dnia na dzień, zwłaszcza, jeśli chodzi o dziewczynki - popatrzył na nią ponuro, podszedł do niej wolno i usiadł obok. - Kocham cię, Tan... Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby sobie z tym wszystkim poradzić...

Odwróciła się do niego plecami i odeszła na drugi koniec pokoju.

- Już to kiedyś słyszałam. - Spojrzała mu w twarz, w jej oczach były łzy. - Moja matka słuchała takich bzdur przez siedemnaście lat, Drew.

- To nie są bzdury, Tan. Potrzebuję tylko czasu. To jest bardzo trudne dla nas wszystkich.

- Świetnie. - Wzięła swoją torbę i palto z krzesła. - Więc zadzwoń do mnie, jak już będziesz miał to za sobą. Wydaje mi się, że dopiero wtedy będę w stanie się tobą cieszyć.

Ale zanim dotarła do drzwi chwycił ją za ramię.

- Nie rób tego. Proszę...

- Dlaczego nie? Eileen jest w mieście. Zadzwoń do niej. Na pewno chętnie dotrzyma ci dziś w nocy towarzystwa. - Tana uśmiechnęła się sarkastycznie, starając się ukryć swój ból. - Możesz spać na kanapie... albo z nią, jeśli chcesz.

Otworzyła drzwi, a on wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozplakać.

- Kocham cię, Tan.

Gdy usłyszała te słowa, miała ochotę usiąść i płakać. Nagle odwróciła się do niego i, gdy spojrzała mu w oczy, cała jej siła gdzieś się ulotniła.

- Nie rób mi tego, Drew. To niesprawiedliwe. Nie jesteś wolny... nie masz prawa... Ale w tej chwili uchyliła drzwi do swego serca na tyle, że znowu udało mu się doń wśliznąć. Bez słowa przyciągnął ją do siebie, pocałował namiętnie, a ona poczuła, jak

mięknie i ulega mu. Kiedy ją puścił, spojrzała na niego.

- To niczego nie rozwiązuje.

- Nie. - Mówił już spokojniej. - Ale czas to rozwiąże. Daj mi tylko szansę.

Przysięgam, że nie będziesz żałować. - I wtedy powiedział to, co przerażało ją najbardziej. - Któregoś dnia chciałbym się z tobą ożenić, Tan.

Chciała go powstrzymać, cofnąć film do momentu zanim to powiedział, ale to już nie miało znaczenia, bo do domu wpadły śmiejąc się i krzycząc dziewczynki, gotowe do wspólnej zabawy. Popatrzył na nią ponad ich głowami i szepnął bezgłośnie.

- Proszę, zostań.

Wahała się przez chwilę. Wiedziała, że powinna wyjechać, i tego właśnie chciała. Tu nie było dla niej miejsca. Przecież spędził noc z kobietą, którą poślubił, i razem z dwójką swoich dzieci obchodzili Święta Bożego Narodzenia. Gdzie tu było miejsce dla Tany? Ale kiedy patrzyła na niego nie mogła odejść. Chciała być częścią tej rodziny, należeć do niego, do niego i dziewczynek, nawet jeśli się z nią nie ożeni. Nie pragnęła małżeństwa. Chciała tylko być z nim, tak jak wtedy, kiedy się poznali. Powoli odstawiła torbę i odłożyła palto. Spojrzała na niego, a on się uśmiechnął. Poczula, jak wszystko w niej znów poddaje się jego mocy. Julie objęła ją czule w pasie, Elizabeth zachichotała.

- Dokąd chciałaś iść, Tan? - Elizabeth była bardzo dociekliwa. Fascynowało ją wszystko, co Tana zrobiła czy powiedziała.

- Och, nigdzie. - Uśmiechnęła się do tego ślicznego, dorastającego dziecka. - No, a co chciałybyście teraz robić? - Dziewczynki śmiały się, żartowały, a Drew gonił je po pokoju. Nie widziała go nigdy tak szczęśliwym. Później tego popołudnia wybrali się do kina, jedli prażoną kukurydzę w rożkach, potem zabrał je do La Brea Tar Pits, wieczorem do Perino na kolację, a kiedy w końcu wrócili do domu, cała czwórka była już gotowa, żeby pójść do łóżka. Julie zasnęła w ramionach Drew, a Elizabeth udało się dotrzeć do łóżka o własnych siłach. Tana i Drew usiedli przed kominkiem w salonie i rozmawiali szeptem. Delikatnie dotknął jej złotych włosów, które tak uwielbiał.

- Cieszę się, że zostałam kochanie... Nie chciałem, żebyś odeszła...

- Ja też się cieszę, że zostałam. - Uśmiechnęła się do niego, czując swoją słabość

a jednocześnie przyplw młdzieńczej radości życia, niewłaściwy, jak sądziła, w jej wieku. Wyobrażała sobie, że z biegiem czasu będzie dojrzała, mniej wrażliwa i sentymentalna. Ale on działał na nią szczególnie, jak żaden mężczyzna do tej pory.

- Obiecaj mi, że to już się nigdy nie powtórzy... - Jej głos przechodził w szept.
- Obiecuję, kochana - popatrył na nią z czułym uśmiechem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tan i Drew spędzali wiosnę tego roku sielankowo i beztrosko, zupełnie jak w bajce. Drew przylatywał mniej więcej trzy razy w tygodniu, a ona jeździła do L.A. w każdy weekend. Chodzili na przyjęcia, żeglowali po zatoce, spotykali się z przyjaciółmi. Przedstawiła go wreszcie Harry'emu i Ave. Obaj panowie bardzo się polubili. Harry udzielił jej swojego błogosławieństwa, kiedy następnym razem spotkali się we dwoje.

- Wiesz co mała, myślę że w końcu dobrze wybrałaś. - Zrobił odpowiednią minę i roześmiał się. - Naprawdę. Pomyśl, z jakimi facetami zadawałaś się do tej pory.

Pamiętasz Yaela McBee?

- Harry!

Rzuciła w niego swoją serwetkę, kiedy siedzieli w restauracji. Roześmieli się oboje.

- Jak możesz porównywać go z Drew? Poza tym miałam wtedy dwadzieścia pięć lat. Teraz mam prawie trzydzieści jeden.

- To nie jest wystarczające usprawiedliwienie. Nie jesteś wcale mądrzejsza, niż byłaś.

- Jestem. Sam przed chwilą powiedziałeś.

- Nie ważne, co powiedziałem, głuptasie. Czy teraz uczynisz mi tę łaskę i zapewnisz trochę spokoju mej duszy? Wyjdiesz za niego za mąż?

- Nie. - Roześmiała się i powiedziała to za szybko, a Harry patrząc na nią, zauważył coś, czego nigdy przedtem u niej nie widział. Czekał na to latami i nagle pojawiło się. Dostrzegł to wyraźnie w jej dużych, zielonych oczach - wrażliwe, nieco nieśmiałe spojrzenie, które nadawało jej twarzy nowy wyraz.

- O kurcze, to poważne, prawda, Tan? Wyjdiesz za niego?

- Nie prosił mnie o to. - Zabrzmiało to tak skromnie i nieśmiało, że aż jęknął z wrażenia.

- O Boże, ty się zgodzisz! Och, ale się Ave zdziwi, jak jej powiem!

- Harry, uspokój się. - Klepnęła go w ramię. - On nie jest jeszcze rozwiedziony.

Ale nie martwiła się tym. Wiedziała, że cały czas nad tym pracuje. Opowiadał jej

ciągle o spotkaniach z prawnikiem, rozmowach z Eileen, które miały przyspieszyć bieg sprawy. Na Wielkanoc jechał na Wschód zobaczyć dziewczynki i miał nadzieję, że wtedy Eileen podpisze już papiery, jeśli będą już gotowe.

- Cały czas stara się to sfinalizować, prawda? - Harry przez chwilę był zaniepokojony, ale musiał przyznać, że polubił tego faceta. Nie sposób było nie lubić Drew Landsa. Był bezpośredni, inteligentny i łatwo było zauważyć, że bardzo kochał Tan.

- Oczywiście, że tak.

- Więc uspokój się, za sześć miesięcy będziesz mężatką, a po następnych dziewięciu będziesz tuliła w ramionach dzidziusia. Możesz na to liczyć. - Był zachwycony tą wizją, a Tana odsunęła się śmiejąc się z niego.

- O rany, ale masz wybujałą wyobraźnię, Winslow. Po pierwsze nie prosił, żebym za niego wyszła, przynajmniej nie na serio. Po drugie miał wasektomię.

- No to mu to odwrócą. Wielka mi rzecz. Znam mnóstwo facetów, którzy tak robili.

- Zdenerwowała się tym trochę.

- Czy ty tylko o tym potrafisz myśleć? Czy wszystkich swoich znajomych namawiasz do rozmnażania się?

- Nie - uśmiechnął się niewinnie - tylko moją żonę.

Roześmiała się i skończyli posiłek, po czym wrócili do swoich biur. Miała przed sobą ogromną sprawę, chyba największą w dotychczasowej karierze. Trzech oskarżonych, zamieszanych w nad zwyczaj okrutną serię morderstw, popełnionych na terenie stanu w ciągu kilku lat. W procesie uczestniczyło trzech obrońców i dwóch prokuratorów. Ona była przedstawicielem biura prokuratora okręgowego. Przebieg tej sprawy miało komentować wielu dziennikarzy i dlatego właśnie nie mogła wybrać się z Drew na Wschodnie Wybrzeże na Wielkanoc. Musiała starannie przygotować strategię działania. I tak pewnie nie pojechałaby z nim, bo Drew będzie zapewne wystarczająco zdenerwowany przy podpisywaniu papierów, a ona miała teraz tyle zajęć. Rozsądniejsze będzie pozostanie w domu i praca, niż wyjazd z nim po to tylko, żeby siedzieć w hotelu i czekać, aż się pojawi.

Zanim wyruszył na Wschód, przyjechał do San Francisco, żeby spędzić z nią

weekend. Ostatniej nocy leżeli długo na dywanie przed kominkiem, rozmawiając, głośno myśląc, mówiąc wszystko, co przychodziło im do głowy. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo była w nim zakochana.

- Czy myślałaś o małżeństwie, Tan? - Patrzył na nią badawczo, a ona uśmiechnęła się w blasku płomienia z kominka. Wyglądała cudownie na tle delikatnej łuny ognia. Jej łagodne rysy były jakby wycięte z delikatnego, różowego marmuru, oczy błyszczały jak szmaragdy.

- Do tej pory, nie. - Dotknęła jego warg opuszkami palców, a on całował jej dłonie, a potem usta.

- Czy myślisz, że mogłabyś być ze mną szczęśliwa, Tan?

- Czy to jest propozycja, proszę pana?

Krażył wokół tego tematu, a ona uśmiechała się do niego.

- Nie musisz się ze mną żenić, wiesz? I tak jestem szczęśliwa.

- Naprawdę jesteś? - Patrzył na nią dziwnie, a ona pokiwała głową.

- A ty nie?

- Niezupełnie.

Jego włosy były jeszcze bardziej srebrzyste, a oczy wyglądały jak świecące, błękitne topazy. Nie chciała nigdy pokochać żadnego innego mężczyzny. Kochała tylko jego.

- Chcę czegoś więcej, Tan... Pragnę cię mieć cały czas...

- Ja też tego pragnę... - wyszeptala do niego, a on wziął ją w ramiona i kochali się namiętnie przy kominku, a potem długo jeszcze leżeli przytuleni do siebie. Przyglądał się jej i kiedy w końcu odezwał się, jego usta nadal schowane były w jej włosach, a dłonie pieściły ciało, które kochał tak bardzo.

- Wyjdiesz za mnie, kiedy będę już wolny?

- Tak. - Wypowiedziała to słowo niemal na bezdechu. Nigdy przedtem nikomu tego nie mówiła, ale teraz naprawdę to czuła i rozumiała w tej chwili, jak czują się ludzie składając obietnicę... „na dobre i na złe... dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Już nie chciała żyć bez niego. Kiedy następnego dnia odwoziła go na lotnisko, nadal była przepełniona

nowymi dla siebie uczuciami. Spojrzała na niego pytająco - Czy wczoraj wieczorem mówiłeś poważnie, Drew?

- Jak możesz mnie w ogóle o to pytać? - Był tak oburzony, że natychmiast przycisnął ją mocno do siebie, kiedy żegnali się w sali odlotów. - Oczywiście, że poważnie.

Uśmiechnęła się do niego, wyglądając raczej jak jego trzynastoletnia córka niż asystent prokuratora okręgowego.

- To chyba znaczy, że jesteśmy zaręczeni, co o tym myślisz? I nagle on także się roześmiał. Popatrzył na nią, szczęśliwy w tym momencie jak mały chłopiec.

- No, pewnie. Muszę tylko rozejrzeć się w Waszyngtonie za jakimś pierścieniem.

- Nie zwracaj sobie tym głowy. Tylko wróć do mnie cały i zdrowy.

To będzie dziesięć najdłuższych dni oczekiwania na jego powrót. Tylko żmudna praca nad bardzo trudną sprawą pomoże jej znieść tę rozłąkę.

W ciągu pierwszych kilku dni dzwonił do niej dwa, trzy razy dziennie i opowiadał szczegółowo, co robił od rana do wieczora. Kiedy sprawy z Eileen zaczęły się komplikować, dzwonił tylko raz dziennie i słyszała jak bardzo był zdenerwowany. Ona natomiast była pochłonięta wyborem sędziego do jej sprawy. Ten problem zajmował ją bez reszty. Gdy Drew miał już wracać do Los Angeles, przypomniała sobie nagle, że nie rozmawiali ze sobą już co najmniej dwa dni. Został w Waszyngtonie dłużej, niż planował, ale to miało być „dla dobra sprawy” jak powiedział, więc nie protestowała i nie dopatrywała się w tym niczego podejrzanego. Denerwowała się natomiast z powodu sędziego, jakiego mogą jej przydzielić, taktyki obrony, materiałów, które właśnie ujawniono. Miała mnóstwo spraw na głowie, a w tym samym czasie Drew także pracował nad skomplikowanym procesem. Wszystkie materiały, które przygotował, poszły natychmiast do sądu. To się zdarzało bardzo rzadko w jego specjalności. Jednak z tego powodu nie widzieli się prawie cały następny tydzień i kiedy w końcu się spotkali, zachowywali się wobec siebie niemal obco. Żartował pytając, czy nie zakochała się w czasie jego nieobecności w kimś innym, a potem przez całą noc kochali się bez pamięci.

- Chcę, żebyś w sądzie miała zamglone spojrzenie, wszyscy będą się

zastanawiali, co też zdarzyło ci się ostatniej nocy.

Udało mu się. Była na wpół przytomna, nie przestawała o nim myśleć. W czasie rozprawy odczuwała wielką ochotę, aby znowu znaleźć się z nim w łóżku. Nigdy nie miała go dosyć. Sprawa była jednak zbyt ważna, żeby ją zawalić, więc pracowała nad nią ciągle bez wytchnienia. Tak wyglądało to do końca maja. Wreszcie na początku czerwca ogłoszono wyrok. Był dokładnie taki, jakiego by sobie życzyła. Jak zwykle prasa dawała jej bardzo wysokie oceny. Przez lata zyskała sobie reputację zimnej, twardej konserwatystki, bezlitosnej w sądzie i błyskotliwej w prowadzeniu spraw. To były pochlebne artykuły.

Harry często uśmiechał się, czytając to, co o niej pisano.

- Zupełnie nie rozpoznaję w tych recenzjach tej pełnej tolerancji kobiety, którą kiedyś znałem i kochałem, Tan. - Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Kiedyś trzeba wydorosnąć, prawda? Kończę w tym roku trzydzieści jeden lat.

- To nie jest wystarczające usprawiedliwienie. Nie musisz być taka twarda.

- Ja nie jestem twarda, Harry. Jestem dobra. - I to była prawda, on wiedział o tym także. - Ci ludzie zabili dziewięć kobiet i dziecko. Nie można puścić wolno kogoś, kto zrobił coś takiego. Całe nasze społeczeństwo się przez to kiedyś rozpadnie. Ktoś musi odwalać moją robotę.

- Cieszę się, że ty to robisz, a nie ja, Tan. - Poklepał jej dłoń. - Leżałbym w nocy nie mogąc zasnąć. Martwiłbym się, że kiedyś mnie za to dopadną. - Nienawidził nawet mówienia o tym, czasami niepokoił się o nią, ale jej to zupełnie nie przeszkadzało. - A przy okazji, jak się miewa Drew?

- Świetnie. W przyszłym tygodniu jedzie służbowo do Nowego Jorku i przywozi ze sobą dziewczynki.

- Kiedy się pobieracie?

- Spokojnie. - Uśmiechnęła się. - Jeszcze nie mieliśmy okazji o tym porozmawiać. Wszystko przez tę moją sprawę. Właściwie prawie wcale z nim nie rozmawiałam.

A kiedy opowiedziała Drew o swoim sukcesie, zanim jeszcze opublikowała go prasa, nie był zbyt wylewny.

- Gratuluję.

- Nie przejmuj się tym tak bardzo. Emocje mogą ci zaszkodzić. Roześmiał się. -

Dobrze już dobrze, przepraszam. Myślałem o czymś innym.

- O czym?

- O niczym ważnym. - Ale przez cały czas, aż do wyjazdu do Nowego Jorku, błądził daleko myślami i był zdenerwowany. Kiedy stamtąd dzwonił, było jeszcze gorzej, a jak wrócił do Los Angeles nie odezwał się do niej w ogóle. Zaczęła nawet zastanawiać się, czy nic mu się nie stało. Może powinna polecieć do niego, zrobić mu niespodziankę i wszystko by się wyjaśniło. Potrzebowali trochę czasu dla siebie. Powinni pobyć tylko we dwoje, żeby ułożyć swoje sprawy. Oboje bardzo dużo pracowali i teraz zaczynała to odczuwać. Spojrzała na zegarek, było późno w nocy. Wahała się przez chwilę, czy ma złapać ostatni samolot, ale w końcu postanowiła najpierw do niego zadzwonić. Zawsze mogła polecieć następnego dnia. Mieli dużo do nadrobienia po dwóch miesiącach szaleńczej pracy. Wykręciła jego numer. Znała go na pamięć. Odczekała trzy sygnały, uśmiechnęła się kiedy usłyszała, że podnosi słuchawkę. Jej radość nie trwała jednak długo. W słuchawce usłyszała kobiecy głos.

- Halo? - Serce Tany przestało na chwilę bić. Siedziała jak porażona, tępo patrząc w ciemność nocy. Szybko odłożyła słuchawkę.

Jej serce łomotało jak szalone, czuła się słabo, jakoś dziwnie. Była zdenerwowana i zagubiona. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Może wykręciła niewłaściwy numer. Tak, na pewno źle wybrała numer, wmawiała sobie, ale zanim doszła do siebie na tyle, żeby zadzwonić jeszcze raz, zadzwonił jej telefon. Usłyszała głos Drew i już wiedziała. Zorientował się, że to ona dzwoniła i wystraszył się. Czuła się, jakby jej życie runęło w gruzy.

- Kto to był? - Krzyknęła histerycznie. On także był zdenerwowany.

- Co?

- Kobieta, która odebrała telefon - starała się opanować, ale głos zupełnie wymykał się jej spod kontroli.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Drew!... odpowiedz mi...! Proszę... - krzyczała do niego przez łyzy.
- Musimy porozmawiać.
- O Boże... do diabła, co ty ze mną zrobiłeś?
- Na miłość boską, nie bądź taka melodramatyczna... Przerwała mu niemal

wrzeszcząc.

- Melodramatyczna? Dzwonię do ciebie o jedenastej w nocy, telefon odbiera kobieta i ty mi mówisz, że jestem melodramatyczna? Ciekawe, jak by ci się podobało, gdyby u mnie słuchawkę podniósł mężczyzna?

- Przestań, Tan. To była Eileen.
- Oczywiście. - Instynktownie wyczuła, że to ona.
- A gdzie są dziewczynki? - Nie wiedziała nawet, dlaczego o to pyta.
- W Malibu.
- W Malibu? To znaczy że jesteś z nią sam?
- Musimy porozmawiać. - Jego głos nagle stał się zimny.
- Sami o tej porze? Co to, u diabła znaczy? Czy ona podpisała te papiery

rozdowowe?

- Tak, nie... posłuchaj muszę się z tobą zobaczyć i porozmawiać.
 - O nie, rozmawiasz ze mną teraz.
- Była dla niego okrutna, a teraz już oboje zaczęli histeryzować.
- Co tam, do cholery się dzieje?

Po drugiej stronie panowała nie kończąca się cisza, której on nie potrafił wypełnić. Tana odłożyła słuchawkę i płakała przez całą noc. Następnego dnia przyjechał do San Francisco. Była sobota i zastał ją w domu. Otworzył drzwi swoim kluczem i odnalazł ją na pięterku. Siedziała ponuro wpatrując się bezmyślnie w zatokę. Nie odwróciła się nawet, kiedy usłyszała jak wchodził. Odezwała się, stojąc tyłem do niego.

- Po co tu w ogóle przyjeżdżałeś?
- Uklęknął przy niej i palcami dotknął jej szyi. - Ponieważ cię kocham, Tan.
- Nie, to nieprawda. - Zaprzeczyła ruchem głowy. - Kochasz ją. Zawsze ją

kochałeś.

- To nieprawda... -Ale oboje wiedzieli, że tak jest, a właściwie wszyscy troje. -
Prawda jest taka, że kocham was obie. To, co mówię, jest straszne, ale prawdziwe. Nie
wiem, jak przestać ją kochać, a jednocześnie jestem zakochany w tobie.

- To wszystko jest chorobliwe. - Dalej patrzyła na zatokę, myśląc, jak on osądza tę
sytuację. Przyciągnął ją za włosy, tak aby spojrzała na niego. Kiedy to zrobiła, zobaczył w
jej oczach łzy. Ten widok zupełnie złamał mu serce.

- Nie mogę nic poradzić na to, co czuję. I nie wiem co mam z tym zrobić. Elizabeth
tak się martwi tą sytuacją, że o mało nie wyleciała ze szkoły. Julie ma nocne koszmary.
Eileen rzuciła pracę w OPA i zrezygnowała z posady ambasadora, którą ją kusili. Wróciła
z dziewczynkami do domu...

- Mieszkają z tobą? - Kiedy pokiwał twierdząco głową, Tana poczuła się tak, jakby
w tym momencie wbił w jej serce sztylet. Nie chciał już dłużej jej okłamywać. - Kiedy to
się stało?

- Wiele o tym rozmawialiśmy w Waszyngtonie podczas wielkanocnego tygodnia...
ale nie chciałem cię martwić, miałaś tyle ważnej pracy, Tan...

Miała ochotę uderzyć go za to, co powiedział. Jak mógł trzymać coś takiego w
tajemnicy?

- I właściwie to nie było jeszcze nic pewnego. Ona zrobiła to bez porozumienia ze
mną, po prostu pojawiła się w zeszłym tygodniu. Co według ciebie miałem zrobić?
Wyrzucić je z domu?

- Tak. Nigdy więcej nie powinieneś być ich wpuszczając.

- Ale to moja żona i moje dzieci. - Wyglądał jakby za chwilę miał się rozplakać, ale
wtedy Tana wstała.

- Myślę, że to załatwia sprawę, prawda? - Wolno podeszła do drzwi, po czym
odwróciła się do niego. - Do widzenia, Drew.

- Nie wyjdę stąd w taki sposób. Kocham cię.

- To pozbadź się żony. To proste.

- Właśnie to nie jest takie proste, do diabła! - Teraz już krzyczał. Nie chciała
zrozumieć przez co on przeszedł - Nie wiesz, jak to jest... co ja czuję... to poczucie winy.,

te katusze...

Zaczął płakać, a jej robiło się niedobrze, kiedy na niego patrzyła. Odwróciła się tyłem i z trudem wyjąkała przez łzy.

- Proszę, wyjdź...

- Nie wyjdę.

Chwycił ją w ramiona, a ona starała się go odepchnąć. Nie pozwolił jej i nagle, wbrew swojej woli, uległa i zaczęli się gwałtownie kochać, szlochając, błagając, krzycząc, skarżąc się jedno na drugie i na los, a kiedy już było po wszystkim i leżeli przytuleni do siebie, popatrzyła na niego.

- I co my teraz zrobimy?

- Nie wiem. Daj mi trochę czasu.

Westchnęła z bólem. - Przysięgam, że nigdy więcej nie zrobię czegoś takiego...

Ale nie mogła znieść myśli o tym, że może go stracić, a on nie miał na tyle sił, aby ją porzucić. Przez następne dwa dni leżeli spleceni ramionami i płakali. Kiedy odlatywał z powrotem do Los Angeles, nic nadal nie było rozwiązane, oboje wiedzieli tylko, że to jeszcze nie koniec. Zgodziła się dać mu jeszcze trochę czasu, a on obiecał, że załatwi to jak najszybciej. Przez następne sześć miesięcy doprowadzali się wzajemnie do obłędu obietnicami i szantażami, stawianiem ultimatum i wybuchami hysterii. Tana dzwoniła do niego tysiące razy i, słysząc głos Eileen, rzucała słuchawkę. Drew błagał ją, żeby nie robiła niczego w pośpiechu. Dzieci nie miały pojęcia, w jakim okropnym stanie psychicznym był ojciec. Tana zaczęła wszystkich unikać, a zwłaszcza Harry'ego i Averil. Nie mogła znieść pytań, które widziała w jego oczach, słodczy jego żony i dzieci, które tylko przypominały jej o Drew. Sytuacja była dla wszystkich nie do wytrzymania, Eileen także zdawała sobie z tego sprawę, ale powiedziała, że nie ma zamiaru się nigdzie wyprowadzić. Czekala, aż on to rozwiąże, nie ruszając się z miejsca. Tana czuła się tak, jakby miała postradać zmysły. Urodziny, święta Czwartego Lipca i Dziękczynienia, jak można było przewidzieć, spędzała sama...

- Czego ty ode mnie oczekujesz, Tano? Mam od nich tak po prostu odejść?

- Może właśnie tego. Może właśnie tego od ciebie oczekuję. Dlaczego to ja mam

być ciągle sama? Naprawdę to ma dla mnie duże znaczenie...

- Ale ja mam dzieci...

- To spieprzaj.

Ale nie mówiła tego serio, dopóki nie musiała spędzić samotnie Świąt Bożego Narodzenia. Obiecywał, że przyjedzie i na święta, i w Sylwestra, a ona siedziała i czekała na niego całą noc. Nie pokazał się. Siedziała w wieczorowej sukni do dziewiątej rano w pierwszy dzień Nowego Roku, po czym wolno i nieodwołalnie zdjęła ją i wrzuciła do śmieci. Kupiła tę suknię specjalnie dla niego. Następnego dnia kazała wymienić zamki w drzwiach, spakowała wszystkie jego rzeczy, które nagromadziły się przez ostatnie półtora roku, i wysłała na jego adres w paczce bez nadawcy. Po tym wszystkim nadała telegram, który tłumaczył wszystko. „Żegnaj. Nie wracaj nigdy więcej”. I leżała tonąc we łzach. Mimo całej tej odwagi, ostateczna rozgrywka omal jej znowu nie złamała. Przyleciał natychmiast po otrzymaniu najpierw telegramu, potem przesyłki. Jej zachowanie nie pozostawiało wiele wątpliwości. Obawiał się, że tym razem Tana rzeczywiście odejdzie. Kiedy spróbował otworzyć drzwi swoim kluczem, wiedział już, że tak było naprawdę. Półprzytomny pojechał do jej biura i niemal siłą wtargnął do środka. Gdy ją wreszcie zobaczył, jej oczy były zimne i tak zielone, jak nigdy dotąd.

- Nie mam ci nic do powiedzenia, Drew.

Coś w niej umarło. Zabił ją nadziejami, których nigdy nie spełnił, kłamstwami, którymi mamił je obie, a najbardziej samego siebie. Zastanawiała się teraz, jak matka znosiła to wszystko przez tyle lat i nie popełniła samobójstwa. To była najgorsza tortura, przez jaką przeszła Tana, i nigdy więcej nie zrobiłaby tego, dla nikogo. A już na pewno nie dla niego.

- Tano, proszę...

- Żegnaj. - Wyszła ze swojego biura i poszła korytarzem, znikając w sali konferencyjnej. Wkrótce potem opuściła budynek, ale do domu wróciła dopiero po paru godzinach. Okazało się, że nadal czekał tam na nią, stał na zewnątrz w rześkim deszczu. Zwolniła, przejeżdżając obok domu, a kiedy go zobaczyła, odjechała natychmiast. Spędziła noc w motelu przy ulicy Lombard, a kiedy wróciła następnego

ranka, spał w samochodzie przed jej domem. Obudził się, słysząc jej kroki i wyskoczył, żeby z nią porozmawiać

- Jeśli nie zostawisz mnie w spokoju, wezwę policję. - Powiedziała twardo i groźnie.

Wyglądała na wściekłą, ale nie widział jak bardzo była załamana w środku, jak długo łkała, gdy odjechał, jak przygnębiała ją myśl o tym, że już nigdy go nie zobaczy. Myślała nawet o tym, żeby skoczyć z mostu, ale coś ją powstrzymało, nie bardzo wiedziała, co. Potem, jakimś cudem Harry wyczuł, że dzieje się coś złego, kiedy dzwonił do niej bez przerwy i nikt nie podnosił słuchawki. Tana myślała, że to Drew. Leżała na podłodze w salonie i łkając, wspominała jego wyznania i chwile, kiedy kochali się w tym miejscu. Nagle usłyszała walenie do drzwi i głos Harry'ego. Kiedy mu otworzyła, wyglądała jak wrak. Jej twarz tonęła we łzach, na spódnicy było pełno kłaków z dywanu, a wymiętoszony sweter sprawiał wrażenie jakby w nim spała od tygodnia.

- Mój Boże, co ci się stało?

Wyglądała jakby przez tydzień piła albo ktoś ją pobił, tak jakby wydarzyło się w jej życiu coś strasznego. Tylko ostatnie przypuszczenie było prawdziwe.

- Tano?

Patrzyła na niego oczami pełnymi łez, a on przytulił ją do siebie. Zawisła bezwładnie nad jego wózkem, on ją lekko odsunął i posadził na kanapie, by opowiedziała, co się stało.

- To już koniec... Już nigdy więcej go nie zobaczę...

- No, i bardzo dobrze. - Harry był przygnębiony. - Nie możesz godzić się na takie życie. Przez ostatnie sześć miesięcy byłaś kłębkim nerwów. To niesprawiedliwe.

- Wiem... ale może gdybym jeszcze poczekała... Może w końcu... - Była już słaba i rozhisteryzowana, nagle straciła całą swoją stanowczość i Harry wrzasnął na nią.

- Nie! Przestań! On nigdy nie opuści swojej żony, jeśli nie zrobił tego do tej pory. Wróciła do niego siedem miesięcy temu, do diabła, Tan, i nadal z nim jest. Gdyby chciał się stamtąd naprawdę wydostać, na pewno znalazłby sposób. Nie próbuj się oszukiwać.

- Robiłam to przez półtora roku.

- Tak się czasem zdarza. - Chciał, aby to zabrzmiało filozoficznie, ale tak naprawdę to miał ochotę zabić tego sukinsyna za to, co jej zrobił. - Musisz po prostu zebrać się do kupy i żyć dalej.

- Taak, pewnie... - Zaczęła znowu płakać, zapominając, z kim rozmawia - łatwo ci powiedzieć.

Popatrzył na nią długo i twardo. - Czy pamiętasz, jak siłą przywróciłaś mi chęć do życia, a potem w ten sam sposób wciągnęłaś mnie na uczelnię? Pamiętasz? Nie wciskaj mi teraz tych wszystkich bzdur dobrze, Tan? Jeśli mnie się udało, to i ty sobie poradzisz. Przeżyjesz to.

- Nigdy nikogo nie kochałam tak jak jego. - Żaliła się tak złamanym głosem, że serce mu się krajało, kiedy na niego spojrzała tymi ogromnymi, zielonymi oczami. Wyglądała teraz na kilkunastoletnią dziewczynkę. Zrobiłby wszystko, żeby było jej dobrze, ale nie mógł zmusić żony Drew, żeby zniknęła z jego życia, mimo że bardzo chciałby, żeby do tego doszło. Zrobiłby wszystko dla Tan, swojej najlepszej i najdroższej przyjaciółki.

- Pojawi się ktoś inny. Lepszy od niego.

- Nie chcę nikogo innego. Nie chcę w ogóle nikogo.

Harry był pełen najgorszych obaw.

I przez następny rok rzeczywiście była wierna temu postanowieniu. Nie spotykała się z nikim, z wyjątkiem kolegów z pracy. Nigdzie nie wychodziła, z nikim się nie widywała, a kiedy nadeszły Święta Bożego Narodzenia, nie przyjęła nawet zaproszenia Harry'ego i Averil. Samotnie obchodziła swoje trzydzieste drugie urodziny, równie samotnie spędzała noce. Indyka w Święto Dziękczynienia też pewnie jadłaby w samotności, gdyby w ogóle miała zamiar go upiec. Pracowała po godzinach i w święta. Ciągle siedziała przy biurku do dziesiątej czy jedenastej w nocy, przyjmując więcej spraw niż kiedykolwiek przedtem. Przez cały rok nie pozwalała sobie na żadne przyjemności. Prawie wcale się nie śmiała, do nikogo nie dzwoniła, z nikim się nie umawiała, na telefony Harry'ego nie odpowiadała tygodniami.

- Gratulacje.

W końcu zastał ją w lutym. Nosiła żałobę po Drew Landsie już przez ponad rok. Przypadkowo dowiedziała się przez wspólnych znajomych, że on i Eileen byli ciągle razem i właśnie kupili piękny dom w Beverly Hills.

- No dobra, wstrętne małpo. - Harry próbował ją rozśmieszyć. - Dlaczego nie odpowiadasz w ogóle na moje telefony?

- Byłam bardzo zajęta przez ostatnie parę tygodni. Nie czytujesz gazet? Czekam na werdykt.

- Mam to gdzieś. To nie to mnie martwi od trzynastu miesięcy. W ogóle do mnie nie dzwonisz. Zawsze ja do ciebie dzwonię. Czy to mój oddech, smród z moich stóp czy niski iloraz inteligencji ci nie odpowiada?

Roześmiała się. Harry nigdy się nie zmieniał.

- Wszystko razem.

- Głupia. Masz zamiar uważać się nad sobą do końca życia? Ten facet nie był tego wart, Tan. I ten cały rok był bez sensu.

- To nie miało z tym nic wspólnego.

Ale oboje wiedzieli, że to nieprawda. To wszystko miało związek z Drew i z tym, że nie opuścił swojej żony.

- A to coś nowego. Nigdy do tej pory mnie nie okłamywałaś.

- No, dobra już, dobra. Łatwiej było nie widywać się z nikim.

- Dlaczego? Powinnaś to uczcić! Mogłaś przecież robić tak jak twoja matka i przez piętnaście lat siedzieć i czekać. Ale ty byłaś mądrzejsza i przerwałaś to. I co straciłaś, Tan? Cnotę? Osiemnaście miesięcy? No i co z tego? Inne kobiety marnują po dziesięć lat z żonatymi mężczyznami... tracą serca, rozsądek, czas, życie. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że miałaś szczęście.

- Taa. - Gdzieś w głębi serca wiedziała, że miał rację, ale to nie dawało jej satysfakcji. Być może to się nigdy nie zmieni. Nadal nie wiedziała, czy bardziej za nim tęskni czy jest na niego zła. Na pewno nie był jej jeszcze obojętny, czego bardzo by chciała. Przyznała się do tego w końcu Harry'emu, kiedy pozwoliła się zaprosić na lunch.

- To przychodzi z czasem, Tan. Trochę wody musi jeszcze upłynąć. Ale powinnaś

spotykać się z ludźmi. Zajmij się innymi sprawami, a nie myśl tylko o nim. Nie możesz w kółko tylko pracować.

Uśmiechnął się do niej łagodnie. Kochał ją bardzo i wiedział, że tak będzie zawsze. To nie było takie uczucie, jakim darzył żonę. Tana była dla niego jak siostra. Pamiętał, jak bardzo był w niej zakochany przed laty, i teraz przypomniał jej o tym.

- I jakoś to przeżyłem.

- To nie to samo. Do cholery, Drew oświadczył mi się. Był jedynym facetem, za którego chciałam wyjść. Czy wiedziałeś o tym?

- Tak, wiedziałem. - Wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. - I okazał się idiotą. To już wiemy. A ty nie kwapisz się do tego. Ale jeszcze zechcesz wyjść za męża. Poznasz kogoś innego.

- Tylko tego mi potrzeba. - Ta myśl wywoływała w niej bunt. - Jestem za stara. Romanse nastolatków są już nie dla mnie, dziękuję bardzo.

- Dobra, to znajdź jakiegoś starego pierdziela, który uważa, że jesteś niezła i nie siedź tak bezczynnie, nie marnuj życia.

- Nie jest takie zupełnie zmarnowane, Harry. - Popatrzyła na niego smutno. - Mam przecież swoją pracę.

- To nie wszystko, na litość boską. Jesteś już nudna. - Spojrzał na nią, kręcąc głową ze zniecierpliwieniem.

Zaprosił ją na przyjęcie, które urządzali w następnym tygodniu, ale wcale się na nim nie pojawiła. Musiał z nią walczyć, żeby dała się wyciągnąć ze swojej szczelnie zamkniętej skorupki. Zachowywała się tak, jakby znowu została zgwałcona. I co gorsze, przegrała ważną sprawę, co przygnębiło ją jeszcze bardziej.

- No dobra, już dobra, nikt nie jest nieomylny. Każdemu to może się zdarzyć. Daj sobie z tym spokój, na litość boską. Nie możesz zająć się czymś innym, zamiast się zadręczać? Może byś przyjechała i spędziła z nami weekend w Tahoe? - Właśnie wynajęli tam dom i Harry uwielbiał wyjeżdżać tam z dziećmi. - My i tak nie możemy wyjechać na dłużej.

- Czemu nie? - Spojrzała na niego z uśmiechem, kiedy płacił rachunek. Miał z nią

wiele kłopotu przez kilka ostatnich miesięcy, ale zaczynała się z tego powoli otrząsać.

- Nie mogę wywozić już Averil na dłużej. Wiesz, ona jest znowu w ciąży.

Przez chwilę Tana była kompletnie zaskoczona, a on roześmiał się na ten widok, po czym splonął rumieńcem.

- No, wiesz w końcu to już się zdarzało... to nic nadzwyczajnego... - Ale oboje wiedzieli, że to nieprawda. I nagle Tana roześmiała się zupełnie inaczej. Poczula, że życie znowu nabiera barw, i nagle Drews Lands odpłynął gdzieś daleko, a ona miała ochotę krzyknąć i śpiewać. To tak, jakby przez rok bolał ją ząb, a ona ze zdziwieniem odkryła, że już go dawno nie ma.

- Do diabła. Czy wy nigdy nie przestaniecie?

- Nie. A po tym będziemy mieli czwarte. Tym razem chcę jeszcze jedną dziewczynkę, a Ave wolałaby chłopca.

Tana zaśmiewała się z niego i uściskała go radośnie, kiedy wychodzili z restauracji.

- Znowu będę ciotką.

- Idziesz na ławiznę, jeśli interesuje cię moje zdanie. To nie w porządku, Tan.

- Dla mnie w sam raz.

Wiedziała na pewno, że nie chce mieć dzieci, bez względu na to, jakiego faceta spotka w swoim życiu. Nie miała na to czasu, a poza tym i tak była już za stara. Podjęła tę decyzję dawno temu; jej dzieckiem było prawo. Mogła rozpieszczać dzieci Harry'ego, jeśli miała akurat ochotę, żeby jakiś maluch wdrapał się na jej kolana. Dwójka Harry'ego była cudowna i cieszyła się, że spodziewają się trzeciego. Averil za każdym razem miała łatwy poród, a Harry był taki dumny z siebie. Z pewnością stać ich było na tyle dzieci, ile tylko zapragnęli mieć. Tylko Jean miała odmienne zdanie, kiedy Tana wspomniała jej o tej nowinie.

- Dla mnie to zupełnie bez sensu.

Jean ostatnio w ogóle była przeciwna wszystkiemu; dzieciom, wyjazdom, nowym pracom, nowym domom. Tak jakby chciała resztę życia spędzić rozsądnie, w idealnym spokoju. Uważała, że to powinno dotyczyć wszystkich. To była jedna z oznak starzenia

się, ale Tanie wydawało się, że matka jest na to jeszcze za młoda. Od czasu ślubu z Arturem szybko się jednak posunęła. Jej sprawy nie ułożyły się tak dobrze jak myślała. Kiedy wreszcie osiągnęła to, czego tak długo bardzo pragnęła, okazało się, że to już nie to samo, co dawniej. Artur był chory i stary.

Tana cieszyła się szczęściem Harry'ego i Ave i kiedy dziecko przyszło na świat dwudziestego piątego listopada, spełniło się życzenie Averil. To był pełen życia, drący się w niebogłosa chłopczyk. Nazwali go po pradziadku, Andrew Harrison. Tana uśmiechała się do niego, kiedy leżał w ramionach matki i poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Nigdy przedtem nie wywoływało to u niej takiej reakcji, ale było coś słodkiego i wzruszającego w niewinności tej maleńkiej istotki, jego doskonale różowe ciało, duże, okrągłe oczy, maleńkie paluszki, tak delikatnie zaciśnięte w piąstkę. Tana nigdy nie widziała nic tak wspaniałego, i jednocześnie tak małego. Popatrzyli na siebie z Harrym i uśmiechnęli się, myśląc, jak połączyły się ich losy, a on wyglądał tak dumnie, jedną ręką ściskając dłoń żony, a drugą delikatnie głaskając swojego syna.

Averil wróciła do domu na drugi dzień po urodzeniu Andrew i sama przygotowała kolację na Święto Dziękczynienia, jak zwykle odmawiając przyjęcia jakiegokolwiek pomocy. Tana patrzyła na nią z podziwem, zachwycona tym, co zdołała przyrządzić:

- Po prostu zatkało mnie z wrażenia, wiesz? Ave karmiła maleństwo siedząc przy oknie i patrząc na zatokę. Tana patrzyła na nią, a Harry zachichotał.

- Ty także mogłabyś to zrobić, Tan, gdybyś tylko chciała.

- Nie licz na to. Z trudem potrafię ugotować sobie jajko, a potem zostawiam je, licząc na to, że coś się z niego wykluje. Dwa dni później piekę z tego indyka dla całej rodziny, udając, że nic lepszego nie miałam do roboty przez cały tydzień. Lepiej trzymaj się tej dziewczyny Harry i nie wykańczaj jej tymi ciężarami. - Roześmiała się. Wiedziała, że są bardzo szczęśliwi. Averil promieniała radością i on także.

- Postaram się. Przyjedziesz na chrzciny? Ave chce je urządzać w czasie Świąt Bożego Narodzenia, pod tym warunkiem, że przyjedziesz do nas.

- A dokąd mogłabym pojechać? - zaśmiała się.

- A skąd mam wiedzieć? Może pojedziesz do domu, do Nowego Jorku. Myślałem,

czy by nie zabrać dzieciaków do Gstaad, do ojca, ale on mówił, że jedzie do Tangeru z przyjaciółmi, więc nic z tego nie będzie.

- Łamiesz mi serce.

Roześmiała się. Nie widziała Harrisona już od lat, ale Harry mówił, że u niego wszystko w porządku. Wydawało się, że należy do tych mężczyzn, którzy przez całe życie będą przystojni i zdrowi. Fakt, że był już po sześćdziesiątce, a dokładnie miał sześćdziesiąt trzy lata, był nieco zaskakujący, on nie wyglądał nawet na połowę tego, jak twierdził Harry. Wspomnienie o tym, jak bardzo Harry kiedyś go nienawidził, było niesamowite, ale teraz należało to już do przeszłości. To Tana zmieniła wszystko i Harry nigdy tego nie zapomniał. Chciał znowu, żeby została matką chrzestną, a ona wzruszyła się.

- Nie masz innych przyjaciół? Twoje dzieci będą mną kompletnie znudzone, nim zdążą dorosnąć.

- To już ich sprawa. Jack Hawthorne jest ojcem chrzestnym Andrew. W końcu go wreszcie poznasz. On myśli, że go unikasz.

Przez te wszystkie lata, od kiedy byli współnikami, nigdy nie miała okazji, żeby go poznać. Teraz jednak była nawet ciekawa, jak on wygląda i jaki jest. Kiedy spotkali się w kościele St. Mary the Yirgin przy ulicy Union w dniu Bożego Narodzenia, stwierdziła że wygląda tak, jak się tego spodziewała. Wysoki blondyn, przystojny, jak amerykański futbolista w college'u, a przy tym miał wygląd człowieka inteligentnego i subtelnego. Był wysoki i barczysty, miał ogromne dłonie, w których trzymał dziecko tak delikatnie, że była tym niesłychanie przejęta. Gdy po ceremonii rozmawiał przed kościołem z Harrym, uśmiechnęła się do niego.

- Robisz to zadziwiająco dobrze, Jack.

- Dzięki. Trochę zardzewiałem, ale nadal mogę sobie z tym jeszcze poradzić.

- Masz dzieci? - Była to taka zwykła rozmowa przed kościołem. Mogli ze sobą jeszcze porozmawiać na temat prawa albo wspólnego przyjaciela, ale łatwiej i przyjemniej było pogadać o nowym, świeżo ochrzczonym maleństwie, które oboje nieśli.

- Mam jedno. Ma dziesięć lat.

- To niesamowite. - Dziesięć lat to było tak dużo... oczywiście Elizabeth miała trzynaście, ale Drew był znacznie starszy od tego faceta. Albo przynajmniej tak wyglądał. Tana wiedziała, że Jack dawno skończył trzydzieści lat, ale stwarzał wrażenie jakby ciągle był młodym chłopakiem. Później, na przyjęciu w domu Averil i Harry'ego opowiadał historyjki, dowcipy, z których wszyscy się zaśmiewali, łącznie z Taną. Uśmiechnęła się do Harry'ego, kiedy znalazła go w kuchni nalewającego komuś kolejnego drinka:

- Nic dziwnego, że tak bardzo go lubisz. To sympatyczny facet.

- Jack?

Harry nie wyglądał na zaskoczonego. Oprócz Tany i Averil, Jack Hawthorae był jego najlepszym przyjacielem i dobrze im się razem pracowało przez ostatnie lata. Stworzyli wygodną i dobrze funkcjonującą kancelarię. Pracowali w podobny sposób, nie tak intensywnie jak Tana, ale za to trochę rozsądniej. Obaj naprawdę świetnie się dobrali.

- Jest bardzo inteligentny, ale nie daje tego po sobie poznać.

- Zauważyłam.

Na początku wyglądał bardzo zwyczajnie, niczym się nie wyróżniał, ale Tana dostrzegła w nim coś więcej niż dowcip i błyskotliwość.

Wreszcie pod koniec dnia zaproponował, że ją odwiezie. Z wdzięcznością przystała na tę propozycję. Zostawiła swój samochód przy kościele w mieście.

- No, w końcu poznałem wreszcie słynną asystentkę okręgowego prokuratora.

Lubią o tobie pisać, prawda?

Zawstydziło ją to trochę, ale on powiedział to zupełnie obojętnie.

- No cóż, jeśli nie mają nic innego do roboty.

Uśmiechnął się do niej. Podobała mu się jej skromność. A poza tym długie, zgrabne nogi widoczne spod czarnej, aksamitnej spódnicy, którą miała na sobie. Kupiła tę garsonkę w I. Magnin specjalnie z okazji chrzcin.

- Harry jest z ciebie bardzo dumny, wiesz? Czuję się tak, jakbym cię znał bardzo dobrze. Mówi o tobie niemal bez przerwy.

- Ja nie jestem wcale lepsza. Nie mam dzieci, więc każdy musi wysłuchiwać historyjek o Harrym i o tym, jak razem chodziliśmy do szkoły. - Wy dwaj też musieliście

być nieźle zwariowani.

- Chyba tak. Dobrze się jednak razem bawimy. Od czasu do czasu jakaś potworna wpadka i tyle.

Uśmiechnęła się wspominając, a potem spojrzała z uśmiechem na Jacka. - Chyba się starzeję, ogarniają mnie wspomnienia i nostalgia....

- To ta pora roku.

- Prawda? Święta zawsze tak na mnie wpływają.

- Na mnie też.

Zastanawiała się, gdzie jest teraz jego córka i czy ona była powodem jego nostalgii.

- Ty jesteś z Nowego Jorku, prawda? Potwierdziła kiwnięciem' głowy. To także należało już do wspomnień.

- A ty?

- Ja jestem ze Środkowego Zachodu. Dokładnie z Detroit. Wspaniałe miejsce.

Uśmiechnął się, po czym oboje się roześmieli. Łatwo się z nim rozmawiało i jego propozycja wypicia wspólnego drinka wydała jej się niegroźna. Kiedy zaczęli rozglądać się za jakimś barem, okazało się, że wszędzie było pusto. W końcu była przecież noc Bożego Narodzenia. Skończyło się na tym, że zaprosiła go do siebie, a on zgodził się z ochotą. Tak bardzo się nie wyróżniał z otoczenia, że wcale go nie poznała, kiedy wpadła na niego w następnym tygodniu w ratuszu. Był jednym z tych wysokich blondynów, przystojnych facetów, którzy mogli uchodzić za kumpli z college'u, czyichś mężów, braci, narzeczonych, ale nagle, kiedy zorientowała się, kim on jest, zaczerwieniła się ze wstydu.

- Przepraszam, Jack... Jestem taka roztargniona...

- Masz prawo być.

Uśmiechnął się, a ją rozbawiło to, że jej praca robiła na nim takie wrażenie. Harry chyba znowu mu coś nakłamał. Wiedziała, że często przesadzał, mówiąc o gwałcicielach, których wsadzała do więzienia, chwytach judo, które znała, sprawach, przez które przebrnęła zwycięsko bez pomocy śledczych. Oczywiście, nic z tego nie było

prawdą. Ale Harry uwielbiał opowiadać historyjki, a zwłaszcza te bajeczki o jej perypetiach.

- ... i po co tak kłamiesz? - Pytała Harry'ego nieraz, ale nie okazywał skruchy.

- Część z tego jest prawdą.

- Akurat, jest. Wpadłam w zeszłym tygodniu na jednego z twoich znajomych, który myślał, że handlarz koki zadźgał mnie nożem w więziennej celi. Na litość boską, Harry, przestań już.

Pomyślała o tym teraz i wyglądało na to, że Harry nadal snuje swoje niestworzone historie. Uśmiechnęła się do Jacka. - Właściwie ostatnio jest dosyć spokojnie. A jak u ciebie?

- Nieźle. Mamy parę ciekawych spraw. Harry i Ave pojechali na parę tygodni do Tahoe, więc sam muszę pilnować naszej fortecy.

- On jest rzeczywiście typowym pracoholikiem.

Oboje roześmieli się, a on popatrzył na nią nieśmiało. Przez cały tydzień marzył o tym, żeby do niej zadzwonić, ale nie miał odwagi.

- Pewnie nie miałybyś czasu na wspólny lunch, prawda?

Ku jego zaskoczeniu przyjęła zaproszenie. Był zachwycony. Poszli do Bijou, małej francuskiej restauracji w Polk, która była bardziej pretensjonalna niż dobra, ale miło spędzili tam czas gawędząc przez ponad godzinę. Tana tyle się nasłuchiwała o przyjacielu Harry'ego w ciągu ostatnich lat, jednak nigdy przedtem nie udało im się spotkać.

Przyczyn było wiele: jej praca, trudne procesy, całe to zamieszanie z Drew.

- To idiotyczne, wiesz. Harry powinien był nas poznać już dawno temu.

Jack uśmiechnął się. - Zdaje się, że próbował. - Nie powiedział nic, co wskazywałoby na to, że wie o Drew, ale Tana mogła już o tym rozmawiać.

- Przez jakiś czas byłam trochę trudna do zniesienia. - Powiedziała z uśmiechem.

- A teraz? - Spojrzał na nią tym samym łagodnym wzrokiem, jakim patrzył na ich chrzestne dziecko.

- Pozbierałam się już do kupy.

- To dobrze.

- Właściwie, to tym razem Harry uratował mi życie.

- Wiem, że martwił się o ciebie swego czasu. Westchnęła. - Zrobiłam z siebie idiotkę... Chyba każdy ma coś takiego za sobą.

- Ja na pewno. - Uśmiechnął się do niej. - Dziesięć lat temu, kiedy pojechałem do domu na wakacje, zrobiłem dziecko najlepszej przyjaciółce mojej młodszej siostry. Nie wiem, co mi odbiło, chyba zgłupiałem. Ona była takim ślicznym, małym rudzielcem... dwadzieścia jeden lat... i bęc. Zaraz potem okazało się, że nagle się żenię. Nie podobało jej się tutaj. Cały czas płakała. Biedna, maleńka Barb przez pierwsze sześć miesięcy życia cierpiała na kolkę. Rok później Kate wróciła do domu i było po wszystkim. Teraz mam eks-żonę i córkę w Detroit i nie wiem o nich nic, poza tym co wiedziałem wtedy. To było największe głupstwo, jakie zrobiłem w życiu, i już nigdy tego nie powtórzę! -

Wyglądał na bardzo zdeterminowanego i łatwo było zauważyć, że naprawdę w to wierzy.

- Od tej pory nie piję czystego rumu. - Roześmiał się smutno, a Tana zaśmiała się razem z nim.

- Przynajmniej masz coś na pamiątkę tej historii. - Tyle tylko mogła powiedzieć, nie chciały mieć dziecka z Drew, nawet gdyby nie miał wasektomii. - Czy widzisz się czasem z córką?

Przyjeżdża tu raz do roku na miesiąc - westchnął ze słabym uśmiechem. - Trochę trudno stworzyć jakąś więź w taki sposób.

Zawsze uważał, że to było nieuczciwe w stosunku do niej, ale co jeszcze mógł zrobić? Nie mógł przecież udawać, że nie wie o jej istnieniu.

- Tak naprawdę jesteśmy sobie zupełnie obcy. Jestem tym facetem, który przysyła jej co roku urodzinowe kartki i zabiera na mecze baseballowe, kiedy tu do mnie przyjeżdża. Nie wiem, co mam z nią jeszcze robić. W zeszłym roku Ave świetnie sobie z nią radziła w ciągu dnia. Pożyczyli mi swój domek w Tahoe na tydzień. Bardzo jej się tam podobało - powiedział z uśmiechem do Tany - mnie także. To takie dziwne zaprzyjaźniać się z dziesięcioletnim dzieckiem.

- Z pewnością. Związek... mężczyzna, z którym się związałam, miał dwie córki. Tak dziwnie się przy nich czułam. Nie mam własnych dzieci, a one były zupełnie inne niż

gromadka Harry'ego. Nagle te dwie młode osoby zaczęły mi się badawczo przyglądać. Czułam się bardzo nieswojo.

- Przywiązałaś się do nich? - Był tym zaintrygowany, a ją zaskoczyło, z jaką łatwością może z nim o tym rozmawiać.

- Nie, zupełnie nie. Nie było na to czasu. Mieszkały na Wschodnim Wybrzeżu - przypomniała sobie całą resztę - przez jakiś czas.

Pokiwał głową uśmiechając się do niej. - Udało ci się ułożyć życie znacznie prościej niż większości z nas. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - Widocznie nie pijesz rumu.

Roześmiała się także. - Raczej nie, ale i tak udało mi się zmarnować parę lat. Nie mam tylko namacalnych dowodów, takich, jakimi są dzieci.

- Żałujesz tego?

- Nie. - Musiało upłynąć trzydzieści trzy i pół roku, żeby mogła powiedzieć to zupełnie szczerze. - Pewne rzeczy w życiu są po prostu nie dla mnie. Tak jest właśnie z dziećmi. Lepiej się czuję w roli matki chrzestnej.

- Ja też powinienem na tym poprzestać, choćby dla dobra Barb. Na szczęście jej matka ponownie wyszła za mąż, więc ma prawdziwego ojca, do którego może zwracać się przez jedenaście miesięcy w roku, kiedy ja jestem daleko.

- Czy to ci przeszkadza? - Zastanawiała się, czy odczuwa coś takiego, jak prawo własności do dziecka. Przecież Drew odczuwał to bardzo silnie, zwłaszcza w stosunku do Elizabeth.

Ale Jack pokręcił przecząco głową. - Prawie jej nie znam. To, co mówię, jest straszne, ale taka jest prawda. Co roku poznaję ją od nowa, potem wyjeżdża, a gdy znowu wraca, jest już o rok starsza i zupełnie inna. To bezowocne starania, ale może dla Barb to ma jakieś znaczenie. Nie wiem. Jestem jej to winien. Przypuszczam, że za parę lat powie mi, żebym poszedł sobie do diabła, że ma chłopaka w Detroit i nie ma zamiaru do mnie przyjechać.

- Może zabierze go ze sobą. - Roześmieli się oboje.

- Broń Boże. Tylko tego mi trzeba. Pod tym względem czuję to samo co ty. Są

pewne sprawy w życiu, których trzeba się wystrzegać... malaria... tyfus... małżeństwo... dzieci...

Roześmiała się słuchając jego szczerych wynurzeń. Z pewnością nie było to typowe nastawienie do życia, takie do którego można się przyznać w każdych okolicznościach. Czuł jednak, że z nią może o tym rozmawiać, ona czuła to samo w stosunku do niego.

- Zgadzam się z tobą. Jeśli chce się robić dobrze to, co się naprawdę lubi, to nie da się jednocześnie intensywnie angażować w tego rodzaju związki.

- To brzmi bardzo pięknie, moja droga, ale oboje wiemy, że nie o to chodzi. Szczerze mówiąc, jestem przerażony na samą myśl o tym, że mógłbym jeszcze kiedyś trafić na taką Kate z Detroit, narzekającą całe noce, że nie ma tu żadnych przyjaciół... albo jakąś inną kompletnie uzależnioną ode mnie kobietę, nudzącą się przez cały dzień i zamęczającą mnie w nocy, po to, żeby po dwóch latach małżeństwa stwierdzić, że połowa biznesu, który stworzyłem razem z Harrym, należy do niej. - Uśmiechnął się. - A ty czego się boisz, moja droga? Odmrożeń, porodu? Rezygnacji z kariery? Współzawodnictwa z mężczyznami?

Był zadziwiający. Uśmiechnęła się do niego z uznaniem dla jego przenikliwości.

- Brawo. Wszystkiego naraz. Może obawiam się zaprzepaścić to, co do tej pory osiągnęłam, albo boję się, że ktoś mnie zrani... nie wiem. Parę lat temu miałam wątpliwości co do małżeństwa. Moje zamążpójście było zawsze jedynym marzeniem mojej matki, a ja ciągle odpowiadałam „zaczekaj... jeszcze nie teraz... mam tyle innych rzeczy do zrobienia”. To tak, jakby dobrowolnie pójść na szafot - żadna chwila nie jest odpowiednia.

Śmiał się, a ona przypomniawszy sobie, jak Drew oświadczył jej się przy kominku, po czym szybko odrzuciła od siebie tę myśl. Nadal sprawiało jej to ból. Większość innych wspomnień o nim nie raniła jej już tak bardzo. Ale to należało do najbardziej bolesnych. Czuła się jakby wtedy z niej zakpił. Chciała właśnie dla niego uczynić wyjątek i przyjąć jego oświadczenia, a potem on wrócił do Eileen... Jack przyglądał się jej, a ona wzdrygnęła się.

- Nikt nie jest wart takiej smutnej miny, Tana. Uśmiechnęła się do niego. - To stare wspomnienia.

- Więc o nich zapomnij. Już więcej nie będą cię raniły.

Było w nim coś cudownie łatwego i mądrego. Zaczęła się z nim spotykać, specjalnie się nad tym nie zastanawiając. Kino, wczesna kolacja, spacer po ulicy Union, mecz futbolowy. Przychodził i odchodził, został jej przyjacielem i nie było w tym nic dziwnego, kiedy późną wiosną w końcu przespali się ze sobą. Znali się już wtedy od pięciu miesięcy i po tak długim czasie nie było to tak emocjonujące jak trzęsienie ziemi, ale odpowiadało jej. Był miły, inteligentny, doskonale ją rozumiał i respektował jej pracę. Mieli wspólnego najlepszego przyjaciela. Kiedy latem przyjechała do niego córka, z przyjemnością spędzali czas wszyscy razem. Była słodkim jedenastoletnim dzieckiem, przypominającym szczenię setera irlandzkiego. Zabrali ją parę razy do Stinson Beach, jeździli razem z nią na pikniki. Tana była bardzo zajęta - właśnie wtedy miała poważny proces na wokandzie - ale kiedy pojechali do Harry'ego, spędziła z nimi bardzo miłe chwile. Harry obserwował ich bardzo uważnie, żeby stwierdzić, czy to coś poważnego. Averil uznała, że raczej nie, a ona zwykle miała rację. Nie było w tym ognia, pasji, namiętności, ale nie było także cierpienia. Czuli się ze sobą swobodnie, mieli wspólne zainteresowania, świetnie się bawili i bardzo dobrze było im razem w łóżku. Tana z przyjemnością mogłaby spotykać się z Jackiem, nic nie zmieniając w ich życiu przez resztę życia. Małżeństwo nie miało dla nich żadnego znaczenia. Doprowadzali do irytacji wszystkich przyjaciół, którzy bez przerwy szarpali się po sądach ze swoimi kolejnymi rozwodami. Pary, podobne do nich, widywano w sobotnie wieczory na kolacjach, na wspólnych wakacjach, na przyjęciach z okazji Bożego Narodzenia i innych uroczystościach. Trzeba przyznać, że na ogół przyjemnie spędzali razem czas. Prędzej czy później łądowali w łóżku, a następnego dnia wracali do swoich domów, żeby znaleźć ręczniki dokładnie w tym samym miejscu, w którym być powinny, nie naruszone łóżko i ekspres do kawy w pełnej gotowości. Dla nich obojga był to najdoskonalszy układ, ale Harry'ego doprowadzało to do szału. Śmieli się z niego.

- O rany, popatrzcie tylko na siebie, jesteście tak cholernie z siebie zadowoleni, że

zaraz się rozplączę. - Cała trójka wybrała się razem na lunch. Ani Tana, ani Jack nie przejęli się jego gadaniem.

Spojrzała na Jacka z uśmiechem. - Kochanie, podaj mu, proszę, chusteczkę.

- Nieee, niech wytrze w rękaw. Zawsze tak robi.

- Czy wy nie wiecie, co to przyzwoitość? Co się z wami dzieje? Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. - Po prostu jesteśmy chyba dekadentami.

- Nie chcecie mieć dzieci?

- Nie słyszałeś nigdy o kontroli urodzeń? - Jack popatrzył na niego.

Harry wyglądał jakby miał ochotę go uderzyć. Tana roześmiała się.

- Daj spokój, wariacie. Nie uda ci się z nami tym razem. Jest nam dobrze, tak jak jest.

- Spotykacie się już od roku. Czy to dla was nic, do diabła, nie znaczy?

- Owszem, znaczy, że jesteśmy bardzo wytrwali. Wiem na przykład, że Jack jest gotów zabić, jeśli ktoś obrazi sekcję sportową w niedzielnej prasie, i nienawidzi muzyki klasycznej.

- I to wszystko? Jak możecie być tacy niewrażliwi?

- To jest bardzo naturalne. - Uśmiechnęła się słodko do swojego przyjaciela, a Jack zachichotał.

- Pogódź się z tym, Harry, mamy przewagę liczebną, przewyższamy cię o klasę, jesteś przelicytowany.

Ale w sześć miesięcy później, kiedy Tana skończyła trzydzieści pięć lat, udało im się jednak zaskoczyć Harry'ego.

- Pobieracie się?

Harry wstrzymał oddech, kiedy Jack powiedział mu, że rozglądają się za domem, ale Jack roześmiał się.

- Nie, do diabła, nie znasz swojej przyjaciółki, jeśli nadal uważasz, że istnieje na to choćby cień szansy. Myślimy o tym, żeby razem zamieszkać.

Harry obrócił swój fotel dookoła, patrząc na Jacka.

- To najbardziej obrzydliwa rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. Nie pozwolę,

żebyś jej to zrobił.

Jack odparował. - To był jej pomysł, a poza tym - ty i Ave w swoim czasie robiliście dokładnie to samo.

Jego córka wróciła już do domu, a jeżdżenie tam i z powrotem do siebie było bardzo uciążliwe.

- Jej mieszkanie jest za małe dla nas obojga. Moje także. Tak naprawdę, to chciałbym zamieszkać w Marin. Tana mówi, że też by tego chciała.

Harry wyglądał na zmartwionego. Pragnął szczęśliwego zakończenia, ryżu, płatków róży, dzieci, a żadne z nich nie chciało go usłuchać.

- Czy ty wiesz jak skomplikowane jest inwestowanie w nieruchomości, jeśli nie jesteście małżeństwem?

- Oczywiście, że wiem, i ona także. Dlatego najprawdopodobniej wynajmiemy coś, a nie kupimy.

I tak właśnie zrobili. Znaleźli dom w Tiburon, który bardzo im się spodobał. Miał cztery sypialnie i był zaskakująco tani w porównaniu z tym, co oglądali do tej pory. Każde z nich mogło w nim mieć swoje biuro, wspólną sypialnię i sypialnię dla Barb, kiedy będzie przyjeżdżała z Detroit, lub dla ewentualnych gości. Był tam piękny balkon, weranda i łazienka z cudownym widokiem. Oboje nie byli nigdy dotąd tak szczęśliwi. Harry i Averil przyjechali z dziećmi, żeby wszystko obejrzeć i musieli przyznać, że dom był niezły, ale Harry'emu nie na tym zależało. Tana śmiała się tylko. A co najgorsze, Jack trzymał jej stronę. Nie miał zamiaru znowu uwikłać się w małżeństwo. Miał trzydzieści osiem lat, a jego beztraska eskapada do Detroit dwanaście lat temu kosztowała go zbyt wiele.

Jack i Tana przygotowali w tym roku Święta Bożego Narodzenia u siebie. Było tak pięknie, pod nimi szumiały fale zatoki, a z oddali dochodził szmer miasta. - Zupełnie jak w bajce, prawda, kochanie? - wyszeptał do niej Jack, kiedy wszyscy weszli już do domu. Wiedli życie, które ich w pełni satysfakcjonowało. Ona w końcu zrezygnowała nawet ze swojego mieszkania w mieście. Przez jakiś czas chciała na wszelki wypadek je zatrzymać, ale potem jednak się rozmyśliła. Czuła się przy nim bezpiecznie. Dbał o nią.

Kiedy miała w tym roku zapalenie wyrostka robaczkowego, wziął dwa tygodnie urlopu, żeby się nią zajmować. Kiedy skończyła trzydzieści sześć lat, wydał na jej cześć przyjęcie w Trafalgar Room w Trader Vic's dla osiemdziesięciu siedmiu jej najbliższych znajomych, a następnego roku zaskoczył ją wycieczką do Grecji. Wróciła do domu wypoczęta i opalona, szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem w swoim życiu. Między nimi nigdy nie było żadnych rozmów o małżeństwie, chociaż od czasu do czasu mówili o wykupieniu domu, w którym mieszkali. Tana nie była do końca przekonana do tego pomysłu i w głębi duszy Jack też nie miał na to ochoty. Żadne z nich nie chciało rozbić o skałę tej doskonałej łodzi, w której tak cudownie dryfowali już od dłuższego czasu. Mieszkali razem prawie dwa lata i oboje byli z tego bardzo zadowoleni. Wszystko układało się dobrze aż do października, kiedy wrócili z Grecji. Tana miała przed sobą poważną sprawę i siedziała do późna w nocy przygotowując notatki i materiały, chwilami zasypiała na biurku, patrząc na wody zatoki w Tiburon. Zanim Jack zdążył, jak zwykle, obudzić ją filiżanką herbaty, odezwał się dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę.

- Tana? - Spoglądała nieprzytomnie, a Jack uśmiechnął się do niej. Po takich nocach rano była do niczego. Jakby odgadując jego myśli, przeniosła na niego spojrzenie. Nagle zobaczył, jak jej oczy robią się coraz większe ze zdziwienia i szeroko otwarte gapią się na niego z przerażeniem.

- Co? Zwariowałaś? Ja nie... o, Boże. Będę tam za godzinę.

Odłożyła słuchawkę i przyglądała się Jackowi jak stawiał filiżankę herbaty z wyrazem troski na twarzy.

- Czy coś nie tak? - To nie mógł być telefon z domu, jeśli obiecała, że będzie za godzinę. To coś w pracy... nie miało żadnego związku z nim.

- Co się stało, Tan? Nadal patrzyła na niego.

- Nie wiem... Muszę porozmawiać z Frye'em.

- Prokuratorem okręgowym?

- Nie. Z panem Bogiem. A myślisz, że z kim do diabła?

- O, rany, czym się tak przejmujesz?

Nadal nie mógł zrozumieć. Ona także. Przecież odwaliała kawał świetnej roboty.

To nie miało żadnego sensu. Była z nimi od lat... spojrzała na Jacka oczami pełnymi łez i wstała zza biurka, rozlewając herbatę na materiały zgromadzone na stole, ale teraz nie dbała o to.

- Powiedział, że jestem zwolniona. - Zaczęła płakać i usiadła znowu, a on patrzył na nią.

- To niemożliwe, Tan.

- Tak właśnie powiedział... Praca w prokuraturze okręgowej jest całym moim życiem... - I najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że oboje wiedzieli, że to prawda.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tana wzięła prysznic, ubrała się i w ciągu godziny dotarła do miasta, przygnębiona i niespokojna. To oczywiste, że sprawa była pilna. Wyglądała, jakby umarł jej ktoś bliski. Jack chciał z nią pojechać, ale wiedziała, że on ma dziś dużo własnych spraw do załatwienia. Harry był ostatnio często poza biurem, więc wszystko spadło na jego głowę.

- Jesteś pewna, że nie chcesz żebym cię odwiózł, Tan? Nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

Pocałowała go szybko w usta i zaprzeczyła ruchem głowy. To było takie dziwne. Żyli ze sobą już tak długo, a ich związek bardziej przypominał przyjaźń niż cokolwiek innego. To z nim mogła pogadać w nocy, podzielić się problemami, przedyskutować swoje sądowe rozprawy, poradzić się podczas przygotowań. On rozumiał jej styl życia, jej gry słów, był zadowolony z tego, co razem tworzyli i nie wymagał od niej za wiele. Harry twierdził, że to nie jest normalne i z pewnością różniło się zasadniczo od jego związku z Averil. Kiedy wyprowadzała samochód, czuła wyraźnie, jak bardzo zaniepokojony jest Jack. Stał i patrzył, jak wyjeżdża. Nadal nie mógł zrozumieć, co się właściwie stało, ale ona także tego nie rozumiała. Pół godziny później, zupełnie skołowana, weszła do biura i bez pukania wtargnęła do pokoju prokuratora okręgowego.

Nie mogła już powstrzymać łez spływających jej po policzkach. Podniosła na niego wzrok.

- Czym, do cholery, sobie na to zasłużyłam? - Wyglądała na kompletnie zdruzgotaną. W tym samym momencie jej szef pożałował tego, co zrobił. Pomyślał, że to byłby dobry dowcip, jeśli przekaże jej tę wiadomość w taki zabawny sposób, ale zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że tak ją to załamie. Zrobiło mu się jeszcze bardziej przykro, że ją utraci. A i tak było mu żal się z nią rozstawać.

- Jesteś za dobra na swoim stanowisku, Tan. Przestań płakać i usiądź. -

Uśmiechnął się do niej, a ona była coraz bardziej dezorientowana.

- I dlatego mnie wyrzucasz? - Nadal stała, patrząc na niego i nic nie rozumiejąc.

- Nie powiedziałem tego. Powiedziałem, że straciłaś to stanowisko.

Usiadła ciężko.

- No i co to ma niby, do cholery, znaczyć? - Sięgnęła do torebki po chusteczkę i wyczyściła nos. Nie wstydziła się swoich uczuć. Kochała swoją pracę, polubiła ją od pierwszego dnia. Pracowała w biurze prokuratora okręgowego już od dwunastu lat. Gdyby teraz miała to stracić, to tak jakby utraciła całe dotychczasowe życie. Wolałaby oddać za to cokolwiek innego. Wszystko, co posiadała. Prokurator okręgowy czuł się zakłopotany tą sytuacją i zbliżył się do niej, by objąć ją ramieniem.

- Daj spokój, Tan, nie przejmuj się tym tak bardzo. My też będziemy za tobą tęsknić, wiesz przecież.

Z jej oczu popłynęła kolejna fontanna łez, a on uśmiechnął się. W jego oczach także zalśniła łza. Jeśli usłyszy tę ofertę, to odejdzie bardzo szybko. Ale wystarczająco długo ją dręczył. Zmusił ją, żeby usiadła i spojrzał jej prosto w oczy.

- Zaproponowano ci miejsce na najwyższej ławie, kochanie. Sędzia Roberts, Sąd Miejski. No i jak to brzmi?

- Mnie? - Patrzyła na niego, nie mogąc w to uwierzyć. - Mnie? To znaczy, że nie jestem zwolniona? - Zaczęła znowu płakać, wytarła nos, i nagle roześmiała się. - To ja nie... żartowałam...

- Chciałbym, żeby to był żart.

Ale wyglądał na zadowolonego z jej sukcesu, a ona dała mu wycisk, kiedy zrozumiała, jak okrutnie sobie z niej zażartował.

- Och, ty sukinsynu... Myślałam, że mnie wyrzucasz. - Śmiała się.

- Przepraszam. Pomyślałem, że trochę cię rozerwę taką informacją.

- Cholera. - Patrzyła na niego z niedowierzaniem i znowu wyczyściła nos. Była zbyt wstrząśnięta tym wszystkim, żeby się na niego gniewać. - O, Boże... jak to się stało?

- To szykowało się już od dłuższego czasu, Tan. Wiedziałem, że kiedyś wreszcie nastąpi. Nie wiedziałem tylko, kiedy. I mogę się założyć, że od dziś za rok będziesz już w Sądzie Najwyższym. Będziesz świetna w tej roli po tym wszystkim, co tu pokazałaś.

- Och, Larry... mój Boże... nominacja na sędziego... sędzia Roberts... - słowa wydobywały się z niej bez żadnej kontroli. - Nie mogę w to uwierzyć. - Spojrzała na niego

znowu. - Mam trzydzieści siedem lat i nigdy o tym nie pomyślałam.

- Dzięki Bogu, że ktoś inny pomyślał. - Wyciągnął rękę i uściskał jej dłoń.

Rozpierała ją radość.

- Gratulacje, Tan, z całą pewnością zasłużyłaś na to. Chcieliby zapoznać cię z nowymi obowiązkami za trzy tygodnie.

- Tak szybko? A co z moją pracą... Chryste, mam sprawę, która wchodzi na wokandę dwudziestego trzeciego... - zmarszczyła brwi, a on roześmiał się i wielkodusznie machnął ręką.

- Zapomnij o tym, Tan. Może weźmiesz sobie trochę wolnego, żeby przygotować się do nowej pracy? Przerzuć te papiery na biurko kogoś innego. Wykorzystaj ten tydzień na to, żeby trochę ogarnąć to wszystko i uporządkować sprawy w domu.

- A co ja powinnam zrobić? - Nadal była zaskoczona. - Kupić sobie togę?

- Nie. - Roześmiał się. - Ale myślę, że możesz rozejrzeć się za domem. Nadal mieszkasz w Marin?

Wiedział, że mieszka z kimś od dwóch lat, ale nie był pewien, czy ma jakieś swoje lokum w mieście czy nie. Potwierdziła kiwnięciem głowy.

- Musisz mieć mieszkanie w mieście, Tan.

- Jak to?

- Taki jest warunek, żeby zostać sędzią w San Francisco. Możesz zatrzymać ten dom, w którym mieszkasz, ale twoja główna rezydencja musi być w mieście.

- Naprawdę muszę tego przestrzegać? - Ta wiadomość zasmuciła ją.

- Zdecydowanie tak. Przynajmniej w ciągu tygodnia pracy.

- Chryste. - Patrzyła przez chwilę w podłogę myśląc o Jacku. Nagle całe jej życie wywróciło się do góry nogami. - Będę musiała to jakoś załatwić.

- W ciągu najbliższych tygodni będziesz miała mnóstwo roboty, ale przede wszystkim musisz dać odpowiedź. - Zwrócił się do niej oficjalnym tonem. - Tano Roberts, czy akceptujesz stanowisko, które ci zaproponowano, i zgadzasz się służyć jako sędzia okręgu San Francisco?

Spojrzała na niego trochę zalekniona. - Tak.

Wstał i uśmiechnął się do niej, szczęśliwy, że los był dla niej łaskawy. Ona najbardziej zasłużyła sobie na to.

- Powodzenia, Tan. Będzie nam ciebie brakowało.

Z jej oczu znowu popłynęły łzy. Nadal była w szoku. Podeszła do swojego biurka i usiadła. Musiała zrobić jeszcze tysiące rzeczy. Opróżnić szuflady, przejrzeć papiery, wprowadzić kogoś w sprawy, które musi przekazać, zadzwonić do Harry'ego, powiedzieć Jackowi... Jack...! Nagle spojrzała na zegarek i chwyciła słuchawkę telefonu. Sekretarka powiedziała, że jest na zebraniu, ale Tana powiedziała, żeby go jednak poprosiła do telefonu.

- Cześć, kochanie, dobrze się czujesz?

- Tak. - Głos miała zmieniony, tak jakby zabrakło jej powietrza. Nie wiedziała, od czego zacząć. - Nie uwierzysz w to, co się stało, Jack.

- Cały czas się nad tym zastanawiam. O co chodzi, Tan? Zaczepnęła głęboko powietrza. - Właśnie zaproponowano mi fotel sędziego.

Po drugiej stronie zapadła kompletna cisza.

- W twoim wieku?

- Czy to nie jest niesamowite? - Promieniała radością. - Możesz w to w ogóle uwierzyć...? Nigdy bym nie pomyślała...

- Bardzo się cieszę, Tan.

Był jakiś cichy, ale zadowolony, a jej przypomniały się słowa prokuratora generalnego. Musi znaleźć sobie jakiś dom w mieście, ale nie chciała mówić mu o tym przez telefon.

- Dzięki, kochanie. Nadal jestem w szoku. Czy jest tam Harry?

- Nie, nie ma go dzisiaj.

- Ostatnio często go nie ma. Co się dzieje?

- Pojechał chyba z Ave i dziećmi do Tahoe na długi weekend. Możesz do niego tam zadzwonić.

- Zaczekam, aż wróci. Chcę zobaczyć jego minę- Nie chciała tylko widzieć miny Jacka, jak mu powie, że musi wyprowadzić się z Marin.

- Myślałem już o tym po twoim telefonie. - Był smutny, kiedy poruszyła tę sprawę tego wieczoru. Zmartwił się tak samo jak ona, ale ona była przede wszystkim podekscytowana tą propozycją. Zadzwoiła nawet do matki, a Jean była wstrząśnięta.

- Moja córka, sędzią?

Bardzo cieszyła się sukcesem Tany. W końcu nie wiodło się jej tak źle. Jack troszczył się o nią i oboje wyglądali na szczęśliwych. Miała nadzieję, że kiedyś się pobiorą, mimo że Tana była za stara, żeby myśleć o dzieciach. Ale skoro zostanie sędzią, może nie będzie to już takie ważne. Nawet Artur był przejęty, bo Jean ciągle ten temat poruszała w ich rozmowach.

Tana popatrzyła na Jacka. - Co byś powiedział na to, żebyśmy w ciągu tygodnia mieszkali w mieście?

- Nie jestem zachwycony tym pomysłem. - Był z nią szczery. - Tutaj jest nam tak cholernie wygodnie.

- Myślałam, że poszukam czegoś mniejszego, żebyśmy nie mieli żadnych kłopotów. Jakieś mieszkanie, kondominium czy studio, nawet... - Starła się udawać, że nic wielkiego się nie dzieje, ale zaprzeczył ruchem głowy.

- Zwariowalibyśmy, po tej przestrzeni, którą tu mamy. - Przez dwa lata mieszkali po królewsku, z olbrzymią sypialnią, osobnymi biurami, salonem, jadalnią, pokojem gościnnym dla Barb, zachwycającym widokiem na zatokę. W studio czuliby się po tym wszystkim jak w celi więziennej.

- Coś muszę z tym jednak zrobić, Jack, i mam na to tylko trzy tygodnie. - Popatrzyła na niego trochę zdenerwowana. Wcale jej tego nie ułatwiał i zastanawiała się, czy jej awans nie sprawił mu przykrości. Byłoby to zrozumiałe, przynajmniej na początku, ale nie miała czasu o tym myśleć przez następnych kilka tygodni. Przekazała swoje sprawy, opróżniła biurko i obejrzała wszystkie możliwe kondominia. Wreszcie jej agentka nieruchomościami zadzwoniła w połowie drugiego tygodnia. Powiedziała, że ma dla niej „coś specjalnego” do obejrzenia, w Pacific Heights.

- Nie jest to dokładnie to, o co pani chodziło, ale warto zobaczyć.

A kiedy Tana pojechała „to” obejrzeć, okazało się, że było nawet więcej niż warto.

Na widok tego domku dla lalek zaparło jej dech w piersiach. Wyglądał jak chatka z piernika, pomalowana na beżowo, z elementami cynamonu i kremu. Był bez zarzutu: mozaikowe parkiety, marmurowe kominki w każdym prawie pokoju, ogromne szafy, wspaniałe oświetlenie, podwójne, francuskie drzwi i piękny widok na zatokę. Tana nie szukała czegoś takiego, ale teraz, kiedy już go zobaczyła, nie mogła z niego zrezygnować.

- Ile wynosi czynsz? - Spodziewała się, że będzie bardzo wysoki. Dom wyglądał jak na zdjęciach w ekskluzywnych magazynach.

- On nie jest do wynajęcia. - Agentka uśmiechnęła się do niej. - Jest na sprzedaż. - Wymieniła cenę, a Tan była zaskoczona niewygórowaną sumą. Dom nie był tani, ale nie naruszyłby w znaczący sposób jej oszczędności, natomiast byłby z pewnością opłacalną inwestycją. Nie mogła sobie tego odmówić w żaden sposób. Był idealny, jakby specjalnie dla niej zbudowany. Jedna duża sypialnia na piętrze, garderoba cała w lustrach, mały pokój z kominkiem z cegły, na dole duży salon z maleńką, wiejską kuchnią, która przechodziła w patio otoczone drzewami. Podpisała umowę, zapłaciła depozyt i pojawiła się w biurze Jacka, zdenerwowana tym, co przed chwilą zrobiła. Wiedziała, że to nie był błąd, ale... to było takie niezależne posunięcie, takie samodzielne, takie dorosłe... i nie zapytała jego o zdanie.

- Wielki Boże, kto umarł? - Zapytał, kiedy wyszedł do poczekalni i zobaczył jej przerażoną twarz. Zaśmiała się nerwowo. - Teraz już lepiej. - Pocałował ją w szyję. - Ćwiczysz miny, zanim zostaniesz sędzią? Przestraszysz ludzi na śmierć, jak będziesz paradować z taką twarzą.

- Właśnie zrobiłam coś szalonego. - Beładnie wyrzucała z siebie słowa. Uśmiechnął się. Miał za sobą ciężki dzień, a nie było jeszcze drugiej po południu.

- No więc, co nowego? Wejdz i opowiedz mi wszystko od początku.

Tana zauważyła, że drzwi do biura Harry'ego są zamknięte, nie zapukała do nich. Weszła prosto do dużego, sympatycznego pokoju Jacka, urządzonego w stylu wiktoriańskim. Kupili to biuro pięć lat temu. Okazało się, że było dobrą inwestycją, może więc zrozumie dzięki temu jej decyzję. Uśmiechnął się do niej zza biurka.

- No więc, co takiego zrobiłaś?

- Wydaje mi się, że właśnie kupiłam dom. - Wyglądała jak przestraszony dzieciak, a on roześmiał się patrząc na nią.

- Wydaje ci się. Rozumiem. A dlaczego tak ci się wydaje? - Jego głos brzmiał tak samo jak zwykle, ale zmienił się wyraz jego oczu, a ona zastanawiała się, dlaczego.

- No, bo właściwie podpisałam umowę... och, Jack... mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.

- Podoba ci się?

- Ja się w nim zakochałam. - Był zaskoczony, żadne z nich do tej pory nie chciało mieć domu na własność. Rozmawiali o tym wiele razy. Nie potrzebowali nic na stałe i on nadal tak uważał. Ale najwidoczniej ona myślała inaczej. Zastanawiał się, dlaczego. Wyglądało na to, że wiele się zmieniło w ciągu ostatnich dziesięciu dni, zwłaszcza dla niej. Z jego strony nic nie uległo zmianie.

- Czy nie sprawi ci to za dużo kłopotu, Tan? Utrzymywanie go w przyzwoitym stanie, naprawianie cieknących dachów i te wszystkie sprawy, o których rozmawialiśmy i których chcieliśmy uniknąć.

- Nie wiem... chyba... - Popatrzyła na niego zdenerwowana. Nadszedł czas, żeby zadać to pytanie. - Ty też tam będziesz mieszkał, prawda?

Jej głos był nieśmiały i łagodny, a on uśmiechnął się do niej. Czasem była taka krucha i delikatna, a jednocześnie tak niesamowicie przebojowa. Właśnie to w niej kochał i zawsze będzie kochał, podobnie jak Harry. Przebojowość i jej lojalność, zapalczywość i bystry umysł. Była taką wspaniałą dziewczyną, bez względu na to, czy została sędzią, czy nie. Wyglądała jak nastolatka, kiedy tak siedziała przed nim i obserwowała go.

- A czy jest tam dla mnie miejsce? - Jego głos był niezdecydowany, a ona przytaknęła gwałtownie. Zapewniała go o tym tak żarliwie, że jej złote włosy rozsypały się na ramiona. Obcięła je parę tygodni przed otrzymaniem wiadomości o awansie. Wyglądała w tej fryzurze elegancko i sztywnie, z falą w kolorze złota sięgającą karku.

- Oczywiście, że jest. - Ale on nie był o tym przekonany, kiedy wieczorem zobaczył ten dom. Zgadzał się, że było to przepiękne miejsce, ale jak dla niego to atmosfera tego

domu była za bardzo kobieca.

- Jak możesz coś takiego mówić? Przecież nie ma tu nic oprócz ścian i podłóg.

- Nie wiem. Po prostu tak się tu czuję. Może dlatego, że wiem, że to twój dom. -

Odwrócił się do niej i nagle bardzo posmutniał. - Przepraszam cię, Tan, jest piękny... nie chciałem ci popsuć radości.

- Nie ma sprawy. Urządzą go tak, żeby nam obojgu było tu wygodnie. Obiecuję ci.

Tego wieczoru zabrał ją na kolację i godzinami rozmawiali o jej nowej pracy, o „szkole dla sędziów” w Oakland, do której będzie musiała uczęszczać przez trzy tygodnie, zamknięta w hotelu razem z innymi nowo mianowanymi sędziami. Nagle wszystko stało się dla niej takie nowe i fascynujące. Nie czuła się tak od lat.

- To tak, jakby zaczynać życie od nowa, prawda? Jej spojrzenie emanowało radością. Uśmiechnął się.

- Chyba tak.

Potem wrócili do domu i kochali się. Wszystko było tak, jakby nic ważnego nie zaszło. Następnego tygodnia kupowała nowe meble, sfinalizowała umowę i kupiła suknię na ceremonię inauguracyjną. Zaprosiła na nią nawet matkę. Niestety, Artur nie czuł się zbyt dobrze, a Jean nie chciała zostawić go samego. Ale przyjedzie Harry, Averil i Jack, wszyscy jej przyjaciele i znajomi, których nazbierała przez te wszystkie lata. W końcu na ceremonii pojawiło się dwieście osób i Harry wydał przyjęcie na jej cześć w Trader Vic's. To była najbardziej uroczysta chwila, jaka jej się przydarzyła w życiu. Tego popołudnia ciągle śmiała się, całując Jacka.

- To prawie tak jak nasze wesele, prawda? - Roześmiała się i wymienili spojrzenie, które oboje rozumieli.

- Dzięki Bogu coś znacznie lepszego. - Pośmiali się znowu i zatańczyli. Oboje byli trochę wstawieni, kiedy wrócili do domu tej nocy. W następnym tygodniu zaczynała „szkołę dla sędziów”.

Zamieszkała w hotelu, w pokoju, który jej przydzielono, ale zaplanowała, że weekendy będzie spędzała w Tiburon z Jackiem. Tak się jednak składało, że zawsze było coś do zrobienia w jej nowym domu: jakiś obraz do powieszenia, oświetlenie do

zamontowania, odbiór zamówionego łóżka, rozmowa z ogrodnikiem. Przez pierwsze dwa tygodnie, jeśli nie była akurat w „szkole”, spędzała noc w mieście.

- Dlaczego nie przyjedziesz spać ze mną? - W jej głosie był żal i irytacja. Nie widziała go od wielu dni, ale ostatnio to nie było nic nadzwyczajnego. Miała zbyt wiele innych zajęć.

- Mam mnóstwo pracy. - Odpowiadał lakonicznie.

- Możesz ją zabrać ze sobą, kochanie. Ugotuję zupę i przyrządzę sałatkę, możesz pracować w moim pokoju.

Zwrócił uwagę na sposób, w jaki mówiła o domu, podkreślając swoją własność. Tak jakby wszystko w tych dniach go drażniło, ale oprócz tego miał jeszcze wiele innych problemów.

- Nie wiesz, jak to jest, wlec do czyjegoś domu wszystkie te papierzyska?

- To nie jest czyjś dom, tylko mój. I ty też tu mieszkasz.

- Od kiedy?

Zranił ją tym tonem i wycofała się szybko. Nawet w Święto Dziękczynienia atmosfera była napięta. Spędzili je z Harrym, Averil i dziećmi.

- Jak tam nowy dom, Tan? - Harry cieszył się wszystkim, co się działo wokół niej, ale zauważyła, że był zmęczony i mizernie wyglądał. Averil także wydawała się napięta. To był trudny dzień dla wszystkich, nawet dzieci marudziły bardziej niż zwykle. Jack i dziecko chrzestne Tany byli przez cały dzień nie do zniesienia. Westchnęła ciężko, kiedy ruszyli w kierunku miasta. Jack przerwał ciszę, która zapadła w samochodzie.

- Nie cieszysz się teraz, że nie masz dzieci? - Powiedział patrząc na nią. Uśmiechnęła się do niego.

- W takie dni jak dzisiejszy, tak. Ale kiedy są tak pięknie ubrane i takie słodkie albo kiedy śpią, gdy patrzę, jak Harry patrzy na Ave... czasami wydaje mi się, że to musi być cudowne uczucie... - Westchnęła i spojrzała na niego. - Ale chyba nie mogłabym tego znieść...

- Wyglądałabyś nieźle w todzie z wianuszkami dzieci wokół. - Powiedział to sarkastycznie, a ona roześmiała się. Ostatnio był wobec niej szorstki i zauważyła, że

wiezie ją do miasta, a nie do Tiburon. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie jedziemy do domu, kochanie?

- Pewnie... Myślałem, że chcesz wrócić do siebie...

- Mogę wrócić... ale... - Wzięła głęboki oddech. Trzeba to w końcu powiedzieć. -

Jesteś na mnie wściekły za to, że kupiłam ten dom, prawda?

Wzruszył ramionami i jechał dalej, patrząc przed siebie na inne samochody. -

Pewnie musiałaś tak zrobić. Po prostu nie spodziewałem się, że możesz tak postąpić.

- Ja przecież tylko dlatego kupiłam ten mały domek, bo musiałam zamieszkać w mieście.

- Nie wiedziałem, że musiałaś zostać jego właścicielką, Tan.

- A co to za różnica, czy wynajmę czy kupię? Poza tym wiesz, że to dobra inwestycja. Rozmawialiśmy już kiedyś o tym.

- Tak, i zdecydowaliśmy, że lepiej nie kupować. Dlaczego musiałaś zamknąć się w czymś takim na stałe? - Na myśl o tym dostawał dreszczy. Był zadowolony z tego, że wynajmuje mieszkanie w Tiburon. - Nigdy przedtem nie myślałaś o tym.

- Czasami sprawy zmieniają obrót. W tym momencie miało to dla mnie sens, poza tym zakochałam się w nim.

- Wiem, że to prawda. Może właśnie to mi przeszkadza. On jest taki bardzo „twój”, a nie „nasz”.

- Wolałbyś kupić coś razem ze mną? - Ale znała go dobrze i wiedziała, co odpowie, a on zaprzeczył ruchem głowy.

- To by skomplikowało nam życie. Wiesz o tym.

- Nie da się tak prosto żyć przez cały czas. I tak wydaje mi się, że na razie nieźle sobie z tym wszystkim radzimy. Jesteśmy najbardziej niezależnymi i nie obciążonymi majątkowo ludźmi, jakich znam.

Robili to specjalnie. Nic nie było na stałe, żadnych podpisów i deklaracji do końca życia. Byli niezależni i mogli zmieniać swoje życiowe plany z godziny na godzinę, a przynajmniej tak im się wydawało. Tak sobie wmawiali przez ostatnie dwa lata.

Tana ciągnęła dalej: - Do diabła, przecież już miałam mieszkanie w mieście. Co w

tym takiego strasznego?

Tak naprawdę nie chodziło mu o dom, tylko o jej pracę. Zaczęła to podejrzewać już parę tygodni wcześniej. Przeszkadzało mu wszystko, to całe zamieszanie wokół jej osoby, prasa. Tolerował to do tej pory, ponieważ była tylko asystentką prokuratora okręgowego, a tu nagle została sędzią... Wysoki Sądzie... Sędzia Roberts, widziała zmianę w wyrazie jego twarzy, ilekroć ktoś zwrócił się do niej w ten sposób.

- Wiesz, Jack, to naprawdę niesprawiedliwe, że tak to odbierasz. Nie mogę przecież nic na to poradzić. Przydarzyło mi się coś wspaniałego, a teraz musimy tylko nauczyć się z tym żyć. To mogło równie dobrze przytrafić się tobie.

- Myślę, że ja bym to inaczej załatwił.

- Jak? - Jego słowa zraniły ją mocno.

- Właściwie... - patrzył na nią oskarżycielsko, a złość, jaka narastała między nimi znalazła wreszcie ujście w słowach, jak symfonia z chorałem. Z ulgą wyrzucali to z siebie. - Wydaje mi się, że nie przyjąłbym tej propozycji. To taki pompatyczny tytuł.

- Pompatyczny? To, co mówisz, jest okropne. Uważasz, że jestem snobką, dlatego że przyjąłem tę propozycję?

- Zależy, jak tym pokierujesz. - Odpowiedział enigmatycznie.

- To znaczy?

Zatrzymali się na światłach, a on spojrzał w jej kierunku. Nagle odwrócił się w przeciwną stronę. - Posłuchaj... to jest bez znaczenia... Po prostu nie chcę, żeby coś zmieniło się między nami. Nie podoba mi się to, że mieszkasz w mieście, nie podoba mi się twój cholerny dom i to wszystko razem.

- Więc masz zamiar mnie ukarać, o to chodzi, tak? Robię wszystko, co mogę, żeby załatwić to nie krzywdząc nikogo, tylko proszę cię daj mi szansę. Pozwól mi to jakoś rozwiązać. Dla mnie to także ogromna zmiana, wiesz o tym.

- Nie wiesz nawet, jak to po tobie widać. Wyglądasz na tak szczęśliwą jak nigdy w życiu.

- Jestem szczęśliwa. - Była z nim szczerą. - To cudowne, pochlebia mi i takie ciekawe. Cieszę się moją karierą. To mnie fascynuje, ale jednocześnie przeraża i jest

takie nowe. Nie za bardzo wiem, co z tym wszystkim zrobić. Nie chcę cię skrzywdzić...

- Nieważne...

- Jak to nieważne? Kocham cię, Jack. Nie chcę, żeby to nas zniszczyło.

- Wobec tego nie zniszczy. - Wzruszył ramionami i jechał dalej, ale żadne z nich nie było o tym przekonane. Przez następne tygodnie był nadal nie do wytrzymania. Kiedy tylko mogła, starała się spędzać noc w Tiburon i od razu zaczynała się do niego przymilać, ale on był na nią zły. Święta Bożego Narodzenia, które spędzili razem, były także przygnębiające. Stało się oczywiste, że nienawidził wszystkiego, co dotyczyło jej domu. Następnego dnia wyjechał o ósmej rano, mówiąc że ma jeszcze wiele do zrobienia. Przez następne kilka miesięcy bardzo utrudniał jej życie, ale za to wielką przyjemnością była dla niej nowa praca. Jedyne, co jej się nie podobało, to godziny pracy. Siedziała w kancelarii czasem nawet do północy, tyle musiała się jeszcze nauczyć, tyle paragrafów przeczytać i nawiązać do nich przy konkretnej sprawie. Tyle od niej zależało, że przestała zauważać wszystko inne, do tego stopnia, że nie zwróciła uwagi na to, jak źle wygląda Harry. Nie zdawała sobie sprawy, jak rzadko chodził do pracy, i wreszcie pod koniec kwietnia Jack brutalnie otworzył jej oczy.

- Czy ty jesteś ślepa? On umiera, na miłość boską. Umiera już od sześciu miesięcy, Tan. Czy tobie już na nikim nie zależy? Jego słowa zraniły ją do żywego, patrzyła na niego przerażona.

- To nieprawda... to niemożliwe... - Ale nagle przypomniała sobie jego bladą twarz, upiorne oczy i oto wszystko ułożyło się w tragiczną całość. Dlaczego nic jej nie powiedział? Spojrzała oskarżycielsko na Jacka. - Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Nie usłyszałybyś. Jesteś tak cholernie zajęta i ważna, że nie widzisz tego, co dzieje się wokół ciebie.

To były cierpkie słowa oskarżenia, wiele w nich było złości. Tego wieczoru bez słowa opuściła Tiburon i wróciła do swojego domu. Zadzwoiła do Harry'ego i zanim cokolwiek powiedziała, zaczęła płakać.

- Co się stało, Tan? - Jego głos brzmiał jak głos kogoś bardzo zmęczonego, a ona poczuła się tak, jakby za chwilę miało pęknąć jej serce.

- Nie mogę... Ja... O, Boże, Harry... - Wszystkie stresy ostatnich miesięcy nagle spiętrzyły się. Złość Jacka i to, co powiedział jej tego wieczoru o chorobie Harry'ego. Nie mogła uwierzyć, że on umiera, ale kiedy zobaczyła go następnego dnia podczas lunchu, patrzył na nią bardzo spokojnie i przyznał, że to prawda. Zamarło w niej serce, patrzyła na niego nadal nie wierząc w to, co usłyszała. - To nie może być prawda... to niesprawiedliwe... - Siedziała i szlochała jak małe dziecko, nie mogąc nic dla niego zrobić, wykraść go chorobie. Było w niej zbyt wiele bólu, by komukolwiek pomóc. Podjechał wózkiem do jej krzesła, by objąć ją ramionami. W jego oczach także lśniły łzy, ale był dziwnie spokojny. Wiedział o tym od prawie roku, powiedzieli mu już dawno temu: rany, jakie odniósł, mogły znacznie skrócić jego życie, i tak też się stało. Cierpiał na wodonercze, które trawiło jego ciało krok po kroku. Niewydolność nerek pogłębiała się coraz bardziej. Próbowali wszystkiego, ale jego ciało powoli poddawało się. Patrzyła na niego z przerażeniem w oczach.

- Nie potrafię bez ciebie żyć.

- Ależ potrafisz. - Bardziej martwił się o Averil i dzieciaki. Wiedział, że Tana sobie poradzi. Uratowała mu życie. Ona nigdy się nie poddaje.

- Chcę, żebyś zrobiła coś dla mnie. Zadbaj o Averil. Dzieci są zabezpieczone, a ona ma wszystko, czego potrzebuje, ale Ave nie jest taka przebojowa jak ty, Tan... zawsze była tak bardzo uzależniona ode mnie.

Popatrzyła na niego. - Czy twój ojciec wie?

Zaprzeczył głową. - Nikt nie wie oprócz Jacka i Ave, a teraz ciebie. - Był zły, że Jack jej to powiedział, a zwłaszcza, że zrobił to w wybuchu złości. Teraz chciał, żeby coś mu przyrzekła. - Obiecujesz mi, że zaopiekujesz się nią?

- Oczywiście, że to zrobię.

To było obrzydliwe, mówił tak, jakby wybierał się gdzieś w podróż. Gdy patrzyła na niego, dwadzieścia lat miłości przewinęło się przed jej oczami... pierwszy taniec, kiedy się poznali... lata w Harvardzie i BU... podróż na Zachód... Wietnam... szpital... studia prawnicze... ich wspólne mieszkanie... noc narodzin jego pierwszego dziecka... to było niesamowite, niemożliwe. Jego życie nie skończyło się jeszcze, nie mogło się skończyć.

Za bardzo go potrzebowała. Ale po chwili przypomniała sobie serię infekcji pęcherza i nagle zrozumiała, do czego to wszystko prowadziło - on umierał. Zaczęła znowu płakać, a on objął ją. Popatrzyła na niego i załkała.

- Dlaczego?... To niesprawiedliwe.

- W życiu jest cholernie mało sprawiedliwości. - Uśmiechnął się do niej, takim maleńkim, szarym, chłodnym uśmiechem. Nie myślał o sobie, tylko o żonie i dzieciach. Zamartwiał się ich losem już od miesięcy. Próbował nauczyć Averil załatwiać wszystko samodzielnie, ale próby okazały się bezskuteczne. Była kompletnie roztrzęsiona i nie chciała niczego się uczyć, tak jakby w ten sposób mogła powstrzymać nieuchronny, tragiczny finał. Ale nic nie mogło już temu zapobiec. Co dzień stawał się coraz słabszy i wiedział o tym. Przychodził teraz do biura tylko raz albo dwa razy w tygodniu. To dlatego nigdy nie mogła go zastać, kiedy od czasu do czasu wpadała do biura Jacka.

- Jack już zaczyna mnie nienawidzić. - Wyglądała tak ponuro, że zmartwił się tym. Nigdy nie widział jej w takim stanie. Każde z nich przeżywało trudne chwile. Nadal nie mógł uwierzyć w to, że umrze, ale wiedział, że to prawda. Czuł się jak szmaciana lalka, z której powoli wypadały trociny i któregoś dnia nie pozostanie już nic. I to wszystko. Obudzą się któregoś dnia, a jego już nie będzie. Odejdzie w ciszy. Nie z wrzaskiem i krzykiem, z którymi pojawia się na świecie, ale ze łzą w oku i ostatnim westchnieniem, z którymi przechodzi się do następnego życia, jeśli coś takiego istnieje. Nawet nie wiedział, czy w to wierzy i chyba nie zależało mu na tym. Za bardzo był przejęty i zmartwiony z powodu wszystkich ludzi, których musiał opuścić: partnera, żony, dzieci, przyjaciół. Wszyscy na niego liczyli, a dla niego ta myśl była nie do zniesienia. Jednak w pewien sposób trzymało go to przy życiu, tak jak w tej chwili spotkanie z Tan. Czuł, że zanim odejdzie, musi jej o czymś powiedzieć. Coś ważnego. Chciał, żeby zmieniła swe życie, zanim będzie za późno. I to samo powiedział Jackowi, ale on nie chciał słuchać.

- To nie jest nienawiść, Tan. Posłuchaj, on jest przerażony pracą, która na niego spadnie. Poza tym w ciągu ostatnich miesięcy martwi się mną.

- Mógł przynajmniej coś powiedzieć.

- Kazałem mu przysiąc, że nie powie, więc nie możesz go za to winić. I na dodatek, jesteś teraz ważną osobistością, Tan. Twoja praca jest ważniejsza od jego. Tak się sprawy ułożyły. To jest trudna sytuacja dla was obojga, ale on będzie musiał do tego przywyknąć.

- Powiedz mu to.

- Powiedziałem.

- On mnie obwinia za to, co się stało. Nienawidzi mojego domu, nie jest tym samym człowiekiem.

- Ależ jest.

Harry uważał, że nawet aż za bardzo. Był tak idiotycznie wierny swoim zasadom, żeby do nikogo się nie przywiązywać, żadnych zobowiązań i kontraktów na dłuższą metę. To było puste życie i Harry mówił mu o tym wiele razy, chyba nawet za często. Jack tylko wzruszał ramionami. Podobał mu się ten styl życia, przynajmniej do chwili, kiedy Tana zaczęła nową pracę. To najbardziej go mierziło i nie ukrywał tego przed Harrym. - Może jest o ciebie zazdrosny. To nie jest przyjemne, ale możliwe. W końcu jest tylko człowiekiem.

- A więc kiedy ma zamiar dorosnąć? A może mam zrezygnować?

Rozmowa o zwykłych sprawach przynosiła ulgę, tak jakby ten koszmar był tylko snem, jakby mogła mu zapobiec rozmawiając z nim o czym innym. Zupełnie jak kiedyś... było tak cudownie... łzy pojawiły się w jej oczach na wspomnienie tamtych chwil...

- Oczywiście, że nie musisz rezygnować. Daj mu tylko trochę czasu. - A potem spojrzał na Tanę, zamyślony. - Chcę ci coś powiedzieć Tan. Dwie rzeczy. - Patrzył na nią tak intensywnie, jakby całe jego ciało zamieniło się w płomień, niemal czuła jak jego słowa drażnią jej duszę. - Nie jestem pewien co przyniesie kolejny dzień i czy będziesz w pobliżu... czy... Mam ci dwie rzeczy do powiedzenia i to jest wszystko, co chcę ci pozostawić, moja przyjaciółko. Słuchaj uważnie. Po pierwsze, dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Te szesnaście lat mojego życia było prezentem od ciebie. Nie od lekarza czy kogokolwiek innego, tylko od ciebie. Zmusiłaś mnie, żebym wrócił do życia, szedł naprzód... gdyby nie ty, nigdy nie spotkałbym Averil i nie miałbym dzieci...

W jego oczach także błyszczały łzy, a teraz spłynęły po policzkach. Tana była wdzięczna, że spotkali się na lunchu w jej kancelarii. W tej chwili potrzebna im była samotność.

- I tak doszedłem do tej drugiej sprawy. Oszukujesz samą siebie, Tan. Nie wiesz, co tracisz, i nie dowiesz się, dopóki tego nie zasmakujesz. Pozbawiasz się małżeństwa, zobowiązań, prawdziwej miłości... a nie pożyczonej, wynajętej, czy tymczasowej, albo czegoś w tym rodzaju. Wiem, że ten wariat cię kocha, a ty kochasz jego, ale on uparł się, że będzie zawsze wolny, żeby nie popełnić więcej tego błędu. Ale to właśnie jest największy błąd, jaki można popełnić. Wyjdź za mąż, Tan... miej dzieci... tylko to w życiu ma sens... tylko na tym mi zależy... to jedyna ważna rzecz, jaką zostawiam po sobie... Bez względu na to kim jesteś, jeśli tego nie masz i tym nie jesteś i tego nie dajesz, jesteś nikim... żyjesz tylko w połowie... Tana, nie oszukuj siebie samej... proszę...

Płakał już otwarcie. Tak bardzo ją kochał i tak długo, że chciał, by poznała wreszcie takie uczucie, jakie łączyło jego i Averil. Kiedy do niej mówił, przypomniła sobie te niezliczone intymne i czułe spojrzenia, które tych dwoje wymieniało między sobą, spokojną radość, śmiech, który nigdy nie opuszczał ich domu... a teraz tak szybko się skończy i w głębi serca przyznawała mu rację, na swój sposób i ona tego pragnęła, a z drugiej strony była przerażona... mężczyźni w jej życiu zawsze byli nieodpowiedni... Yael McBee... Drew Lands... a teraz Jack... i ci wszyscy pozostali ludzie bez znaczenia. Nigdy nie spotkała kogoś, z kim mogłaby być aż tak blisko. Może ojciec Harry'ego byłby odpowiedni, ale to było tak dawno temu...

- Jeśli poznasz kogoś takiego, chwyć to szczęście, Tan. Rzuć wszystko, jeśli będziesz musiała. Ale jeśli to będzie to, nie będziesz musiała z niego rezygnować.

- Więc co proponujesz? Mam wyjść na ulicę z wywieszką? „Ożeń się ze mną. Zróbmy sobie dzieci”.

Roześmieli się oboje, i przez chwilę było jak za dawnych czasów.

- Och, ty głuptasie, dlaczego nie?

- Kocham cię, Harry. - Wyrzuciła z siebie te słowa i rozplakała się znowu. Objął ją mocno.

- Tak naprawdę to nigdy nie odejdę, Tan. Wiesz o tym. Ty i ja mieliśmy zawsze tyle do stracenia... zupełnie jak z Ave, tylko w inny sposób. Będę tutaj zawsze czuwał nad wszystkimi sprawami.

Oboje płakali otwarcie, a ona nie wyobrażała sobie życia bez niego. Nie mogła pojąć, jak czuła się Averil. To był najtrudniejszy okres w ich życiu. Przez następne trzy miesiące obserwowali, jak Harry słabnie coraz bardziej, aż pewnego letniego dnia, gdy słońce stało wysoko, zadzwonił telefon. To był Jack. Mówił przez łyżki, a Tanie wydawało się, że jej serce przestaje bić. Widziała Harry'ego poprzedniego wieczoru. Odwiedzała go teraz codziennie, bez względu na wszystko. W porze lunchu albo wieczorem, czasem przed pójściem do pracy. Nie wiedziała, jak źle to będzie wyglądać, ale tak sobie postanowiła. Jeszcze poprzedniego wieczoru uśmiechał się do niej i ścisnął jej dłoń. Z trudem mówił, ale pocałowała go w policzek i nagle pomyślała o szpitalu wiele lat temu. Chciała znowu przywrócić go życiu, zmusić go do walki, ale on już nie mógł walczyć i łatwiej było mu odejść.

- Przed chwilą umarł.

Głos Jacka łamał się, a Tana zaczęła płakać. Chciała go zobaczyć raz jeszcze... usłyszeć jego śmiech... zobaczyć jego oczy... Przez minutę nie mogła mówić, a potem pokiwała głową i wzięła oddech, żeby zwalczyć łkanie.

- Jak się czuje Ave?

- Wygląda normalnie. - Harrison przyjechał tydzień temu i zamieszkał z nimi. Tana spojrzała na zegarek.

- Pojadę tam od razu. I tak na popołudnie zarządziłam przerwę.

Poczuła jego napięcie po tych słowach, tak jakby uważał, że popisuje się przed nim. Ale taka była jej praca. Była sędzią sądu miejskiego i okręgowego.

- Gdzie jesteś?

- W pracy. Przed chwilą zadzwonił jego ojciec.

- Cieszę się, że on tam jest. Jedziesz teraz?

- Nie mogę jeszcze przez jakiś czas.

Pokiwała głową. Gdyby ona coś takiego powiedziała, skomentowałby to

nieprzyjemnie, mówiąc jaka jest teraz ważna. Nie mogła z nim wygrać, nawet Harry'emu nie udało się go zmiękczyć przed śmiercią, bez względu na to, jak bardzo próbował. Miał tyle do powiedzenia, dawał tyle tym, których kochał. A teraz było już po wszystkim. Tana jechała przez Bay Bridge, po jej twarzy płynęły łzy i nagle poczuła się tak, jakby Harry siedział w samochodzie obok niej. Uśmiechnęła się. Odszedł, ale był teraz wszędzie. Z nią, z Ave, ze swoim ojcem, dziećmiakami...

- Cześć mała.

Uśmiechnęła się w przestrzeń, a łzy nadal płynęły jej po policzkach. Kiedy dojechała do jego domu, już go nie było. Zabrali go, żeby przygotować wszystko do ceremonii pogrzebu. Harrison siedział w salonie, był nadal w szoku. Nagle wyglądał bardzo staro, a Tana zdała sobie sprawę, że ma już prawie siedemdziesiątkę. Cierpienie i smutek wryły na jego twarzy bruzdy, które jeszcze bardziej dodawały mu lat. Nie powiedziała nic, tylko podeszła do niego i uścisnęli się serdecznie. Z sypialni wyszła Averil, ubrana w prostą, czarną sukienkę. Blond włosy zaczesła do tyłu. Na palcu lewej dłoni błyszczała obrączka. Harry dawał jej od czasu do czasu piękne rzeczy, ale teraz nie dbała o to. Stojąc w ich wspólnym domu, otoczona życiem i dziećmi, nosiła w sobie żalobę, dumę i ich miłość. Była zadziwiająco piękna, kiedy stanęła przed nimi, i w niezrozumiały dla siebie sposób Tana poczuła zazdrość. Między nią a Harrym było coś bardzo specjalnego, uczucie, które chyba niewielu ludzi miało okazję przeżyć, i bez względu na to, jak długo to trwało, było dla nich bezcenne. I nagle po raz pierwszy w życiu poczuła się pusta. Żałowała, że nie wyszła za niego dawno temu albo za kogoś innego... małżeństwo, dzieci... Ten moment zostawił w niej bolesną ranę, która nie chciała się zagoić. W czasie pogrzebu na cmentarzu i potem, kiedy była znowu sama, czuła coś, czego nie potrafiła nikomu wytłumaczyć, a kiedy próbowała powiedzieć o tym Jackowi, pokręcił głową i popatrzył na nią.

- Nie wariuj teraz, Tan, tylko dlatego, że Harry umarł. Powiedziała mu, że nagle poczuła się tak, jakby zmarnowała życie, dlatego że nigdy nie wyszła za męża i nie miała dzieci.

- Ja zrobiłem jedno i drugie i, wierz mi, to nic nie zmienia. Nie oszukuj samej

siebie, nie każdemu zdarza się to, co było między nimi. A jak chcesz wyjść za mąż licząc na coś takiego, możesz się mocno rozczarować, bo to wcale nie jest takie proste.

- A skąd możesz to wiedzieć? Może jest. - Była zawiedziona słuchając jego wywodu.

- Uwierz mi na słowo.

- Nie mogę brać ciebie za wzór. Ożeniłeś się z dwudziestojednoletnią dziewczyną tylko dlatego, że była z tobą w ciąży. Musiałeś tak zrobić. To coś innego niż rozważny wybór faceta w twoim wieku.

- Czy ty mnie przyciskasz do muru, Tan? - Spojrzał na nią zdenerwowany i cały jego urok nagle zniknął. Był. teraz tylko zmęczony. Utrata Harry'ego wycisnęła na nim swoje piętno. - Nie rób mi tego teraz. To nie jest dobry czas.

- Mówię ci tylko, co czuję.

- Czujesz się fatalnie, bo umarł twój najlepszy przyjaciel. Ale nie wplataj w to wątku romantycznego i bajeczki o sekrecie życia, którym jest małżeństwo i dzieci. Wierz mi, to nieprawda.

- A skąd niby ty możesz o tym wiedzieć? Nie możesz decydować za nikogo, tylko za siebie. Nie narzucaj mi, do diabła, swojego zdania, Jack - jej uczucia zostały nagle pogwałcone - jesteś tak cholernie przerażony tym, że na kimś może ci zależeć, wrzeszczysz za każdym razem jak ktoś się do ciebie za bardzo zbliży. I wiesz co? Mam już po uszy twoich docinków, tylko dlatego, że zostałam w zeszłym roku sędzią!

- To ty w ten sposób to odbierasz? - Ta kłótnia przynosiła im ulgę, ale w jej słowach była prawda i w końcu doszło do tego, że wyszedł z jej domu trzasnąwszy drzwiami i nie odzywał się przez trzy tygodnie. To była najdłuższa dobrowolna przerwa, od kiedy byli ze sobą, ale ani ona nie zadzwoniła do niego, ani on do niej. Nie kontaktowali się aż do corocznego przyjazdu jego córki. Tana zaprosiła ją, żeby zamieszkała w jej domu. Barb bardzo spodobał się ten pomysł i kiedy przyjechała do jej małego domku następnego popołudnia, Tana była zaskoczona ogromną zmianą, jaka w niej zaszła. Właśnie skończyła piętnaście lat i nagle zaczęła wyglądać jak kobieta, o szczupłej sylwetce, zgrabnych biodrach, niebieskich oczach, z burzą rudych włosów

wokół twarzy.

- Wyglądasz świetnie, Barb.

- Dzięki, ty też. - Mieszkała u Tany przez pięć dni. Zabierała ją nawet do sądu i dopiero pod koniec tygodnia zaczęły wreszcie mówić o Jacku i o tym, co się zmieniło.

- Ciągłe teraz na mnie krzyczy. - Barbara także zauważyła, że przebywanie z nim nie należało do przyjemności. - Mama mówi, że zawsze był taki, ale nigdy nie zachowywał się tak, kiedy ty byłaś w pobliżu, Tan.

- Myślę, że po prostu ostatnio jest bardzo zdenerwowany.

Usprawiedliwiała go dla dobra Barb. Nie chciała, żeby mała myślała, że to jej wina. Tak naprawdę przyczyna była bardzo złożona: Tana, Harry, stresy w pracy. Nic mu nie wychodziło i kiedy Tana spróbowała umówić się z nim na kolację po wyjeździe

Barb do Detroit, skończyło się to znowu na złośliwych uwagach z jego strony. Sprzeczek o to, co Averil powinna była zrobić z domem. Uważał, że powinna go sprzedać i przenieść się do miasta, a Tana nie zgadzała się z nim. - Ten dom dla niej wiele znaczy, mieszkali tam od lat.

- Ona potrzebuje zmiany, Tan. Nie można tak bardzo przywiązywać się do przeszłości.

- Dlaczego, do cholery, tak obawiasz się przywiązania? Tak jakbyś bał się uczuć.

Ostatnio ciągle to u niego zauważała. Zawsze chciał być wolny i niezależny, nigdy z nikim się nie wiązał. To był cud, że ich związek wytrzymał w tej formie tyle czasu. Teraz zdecydowanie sprawy nie układały się pomyślnie. Los spletał im kolejnego figla. Tak jak przewidywał prokurator okręgowy, kiedy go opuszczała rok temu, teraz pojawił się wakat w Sądzie Najwyższym i dostała kolejny awans. Nie miała sumienia, żeby powiedzieć o tym Jackowi, ale nie chciała, żeby dowiedział się od kogoś innego. Zaciskając zęby wykręciła wieczorem numer jego telefonu. Siedziała w swoim małym, przytulnym domku, czytała prawnicze książki, które przyniosła, żeby znaleźć jakieś mało znane przepisy kodeksu karnego. Kiedy usłyszała jego głos w słuchawce, wstrzymała na chwilę oddech.

- Cześć, Tan, co słyhać?

Był chyba bardziej odprężony niż parę miesięcy temu i nie chciała psuć mu

dobrego nastroju, jednak wiedziała, że tak się stanie. I miała rację. Odezwał się tak, jakby ktoś kopnął go w jaja, kiedy usłyszał o jej awansie do Sądu Najwyższego.

- To miło. Kiedy? - Zareagował tak, jakby włożyła mu kobrę do buta.

- Za dwa tygodnie. Przyjdiesz na ceremonię zaprzysiężenia czy wolałbyś się tam nie pokazywać?

- To nie jest specjalnie miłe zaproszenie. Rozumiem, że wolisz żebym się nie pojawiał?

Był tak przewrażliwiony, że nie można było z nim rozmawiać.

- Nie powiedziałam tego. Ale wiem, jaki jesteś niemożliwy, jeśli chodzi o moją pracę.

- Dlaczego tak mówisz?

- Och, proszę, Jack... nie wracajmy do tego znowu...

Była bardzo zmęczona po długim dniu. Teraz, po śmierci

Harry'ego wszystko wydawało się trudniejsze, smutniejsze i bardziej skomplikowane. Związek z Jackiem przeżywał kryzys. Nie był to najszcześniejszy okres w jej życiu.

- Mam nadzieję, że przyjdiesz.

- Czy to znaczy, że nie zobaczę cię aż do tej chwili?

- Ależ nie. Możesz mnie zobaczyć, kiedy tylko zechcesz.

- A może jutro wieczorem? - Czuła się, jakby chciał ją sprawdzić.

- Świetnie. U ciebie czy u mnie? - Roześmiała się, ale on nie przyłączył się do niej.

- U ciebie dostaję klaustrofobii. Przyjadę po ciebie do ratusza o szóstej.

- Tak jest.

Przybrała oficjalny ton, ale on nie roześmiał się wcale i kiedy spotkali się następnego dnia, nastroje były nie nadzwyczajne. Oboje okropnie tęsknili za Harrym. Jediną różnicą było to, że Tana przyznawała się do tego, a on nie. Przyjął do spółki innego prawnika i chyba się polubili. Dużo o nim mówił, o tym, jakie ten człowiek odnosił sukcesy i ile chcieli zarobić pieniędzy. Było jasne, że nadal drażni go pozycja zawodowa

Tany. Kiedy następnego ranka odwiózł ją z powrotem do ratusza, odetchnęła z ulgą. Wybierał się na weekend do Pebble Beach, żeby grać w golfa z kumplami i nie zaprosił jej. Była mu za to wdzięczna. Z ciężkim westchnieniem wchodziła na schody urzędu. Z pewnością nie ułatwiał jej ostatnio życia. Od czasu do czasu wspominała słowa Harry'ego. Stały związek z Jackiem nie miał żadnych perspektyw. On nie był tego typu facetem. Tana przestała się już oszukiwać. Ona też nie była tego typu dziewczyną. Pewnie dlatego tak długo byli ze sobą. Ale tak już dłużej nie można. Tarcia między nimi były tak dokuczliwe, że nie dawała już sobie z tym rady i nawet była zadowolona, gdy dowiedziała się, że Jack wyjeżdża służbowo do Chicago, w tym samym czasie, kiedy ona zostanie zaprzysiężona do Sądu Najwyższego.

Tym razem była to krótka, skromna ceremonia, której przewodniczył sędzia główny Sądu Najwyższego. Uczestniczyło w niej sześciu innych sędziów, a między innymi jej stary przyjaciel, prokurator okręgowy, który z zadowoleniem powiedział „A nie mówiłem?”, kiedy rozmawiali o jej błyskawicznym awansie. Poza tym pojawiło się jeszcze parę innych, bliskich jej osób. Averil była w Europie z Harrisonem i dziećmi. Zdecydowała się spędzić zimę tego roku w Londynie, żeby na jakiś czas oderwać się od wspomnień. Dzieci chodziły tam do szkoły. Harrison namówił ją do tego i wyglądał na szczęśliwego, kiedy wyjeżdżał z gromadką wnuków na karku. Tana spędziła z nim rozdzierającą chwilę sam na sam. Ukrył twarz w dłoniach i płakał, zadręczając się wątpliwościami, czy Harry wiedział, jak bardzo go kochał. Ona zapewniała go, że tak właśnie było. Smutek i poczucie winy za dzieciństwo Harry'ego próbował złagodzić opieką nad synową i wnukami. Tanie brakowało ich wszystkich na ceremonii zaprzysiężenia, czuła się też dziwnie bez Jacka.

Zaprzysiężenia dokonał sędzia Sądu Apelacyjnego, mężczyzna którego Tana spotkała raz czy dwa, w ciągu tych lat pracy. Miał grube, czarne włosy i groźne spojrzenie ciemnych oczu, które mogłoby przestraszyć każdego, zwłaszcza kiedy tak patrzył na nich z góry odziany w czarną togę. Jednocześnie skory do śmiechu, był z natury entuzjastą i miał w sobie zaskakująco dużo łagodności. Znany był zwłaszcza z kilku kontrowersyjnych decyzji, które podjął, opisanych przez krajową prasę, a

szczególnie New York Times i Washington Post, oraz Chronicle. Tana wiele o nim czytała i zastanawiała się, czy naprawdę był taki groźny. Zaintrygowało ją to, że teraz bardziej przypominał owcę niż lwa, a przynajmniej tak się zachowywał podczas ceremonii. Pogadali chwilę o latach, jakie spędził w Sądzie Najwyższym. Wiedziała, że, zanim został sędzią, prowadził największą kancelarię adwokacką w mieście. Miał za sobą interesującą karierę, mimo że, jak podejrzewała, nie mógł mieć więcej niż czterdzieści osiem albo dziewięć lat. Przez długi czas był czymś w rodzaju „cudownego dziecka”. Z przyjemnością uścisnęła jego dłoń, kiedy gratulował jej przed wyjściem z imprezy.

- To naprawdę imponujące. - Jej stary przyjaciel, prokurator okręgowy uśmiechnął się do niej. - Pierwszy raz widzę Russella Carvera na zaprzysiężeniu. Stajesz się bardzo ważną osobistością, moja droga.

- Pewnie musi zapłacić na dole mandat za parkowanie i ktoś go tu zatrudnił.

Oboje roześmieli się. Tak naprawdę był bliskim przyjacielem sędziego, przewodniczącego zaprzysiężeniu i zgłosił się do tej roli na ochotnika. Bardzo do niej pasował z chmurą ciemnych włosów i poważnym wyrazem twarzy.

- Szkoda, że nie widziałeś go, jak przewodniczył tu kiedyś zaprzysiężeniu, Tan. Cholera, wsadził jednego z naszych prokuratorów do pudła na trzy tygodnie za obrazę sądu i nie mogłem biednego dupka stamtąd wyciągnąć.

Tana roześmiała się wyobrażając sobie tę sytuację. - Mam szczęście, że mnie się to nie przydarzyło.

- Nigdy nie był sędzią w twojej sprawie?

- Tylko dwa razy. Pracuje w Sądzie Apelacyjnym już od bardzo dawna.

- Chyba tak. Nie jest taki stary, jeśli dobrze pamiętam. Czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt, czy pięćdziesiąt jeden... coś koło tego...

- O kim mówisz?

Sędzia przewodniczący podszedł do nich i znowu uścisnął dłoń Tany. To był dla niej miły dzień i nagle ucieszyła się, że Jack nie przyszedł. Było jej znacznie łatwiej, nie musiała się krygować i przeproszać go za wszystko.

- Rozmawialiśmy o sędzim Carverze.

- Russ? Skończył czterdzieści dziewięć. Chodził ze mną do Stanford. - Sędzia przewodniczący uśmiechnął się, - Chociaż muszę przyznać, że był kilka lat niżej. - Tak naprawdę dopiero zaczynał, kiedy sędzia przewodniczący kończył już szkołę, ale ich rodziny przyjaźniły się. - To bardzo miły facet i nadzwyczajnie bystry.

- To niewątpliwie prawda. - Tana powiedziała z podziwem w głosie.

Następna poprzeczka do przeskoczenia. Sąd Apelacyjny. Co za myśl. Może za następną dekadę lub dwie. A tymczasem będzie się cieszyła tym, co ma. Sprawowanie funkcji sędziego Sądu Najwyższego miało być dla niej relaksem. Dawali jej do osądzenia sprawy kryminalne, w których była już rzeczywiście ekspertem.

- To miło z jego strony, że poprowadził dzisiaj moje zaprzysiężenie. - Uśmiechnęła się do wszystkich.

- To sympatyczny facet. - Wszyscy tak o nim mówili, a ona wysłała mu karteczkę z podziękowaniem za to, że poświęcił swój cenny czas by dokonać ceremonii zaprzysiężenia, w tak dla niej ważnej chwili.

Następnego dnia zadzwonił do niej ze śmiechem na ustach.

- Jesteś przesadnie grzeczna. Nie dostałem takiego listu dziękczynnego już chyba od co najmniej dwudziestu lat.

Śmiała się z zakłopotaniem i dziękowała mu za telefon. - To po prostu było bardzo miłe z pana strony. To tak, jakby papież poprowadził ceremonię składania moich ślubów zakonnych.

- O, mój Boże... co za myśl. To właśnie robiłaś cały zeszły tydzień? Odwołuję cię ze stanowiska...

Oboje roześmieli się i gadali jeszcze trochę. Zaprosiła go, żeby wpadł do jej kancelarii przy najbliższej okazji. Ogarnęło ją przyjemne uczucie, kiedy pomyślała, w jakim szacownym gronie przyszło jej pracować. Była teraz jego częścią. Sędziowie, wymierzanie sprawiedliwości i wszystko to razem wzięte. Czuła się tak, jakby wreszcie dotarła na szczyt Olimpu. W pewnym sensie było tu znacznie łatwiej w porównaniu z wnoszeniem do sądu spraw przeciwko gwałcicielom i mordercom, przygotowywaniem taktyki i wreszcie walki, jak na ringu, chociaż to także lubiła. Tutaj musiała mieć zawsze

jasny umysł, obiektywne spojrzenie i przeczytać tyle na temat prawa, ile jeszcze nigdy w życiu się jej nie udało. Właśnie siedziała zakopana w stosach książek w swojej kancelarii, kiedy dwa tygodnie później sędzia Carver dotrzymał słowa i wpadł do niej.

- I to ja cię na to skazałem?

Stał na progu drzwi do jej kancelarii i uśmiechał się. Jej asystentka już dawno poszła do domu, a ona marszcząc brwi ślęczała koncentrując się nad sześcioma książkami jednocześnie, porównując paragrafy i analogiczne przypadki w historii sądownictwa. W takiej pozie zastał ją, kiedy cicho wszedł do jej biura. Podniosła głowę z uśmiechem.

- Co za miła niespodzianka. - Szybko wstała i gestem zaprosiła go, żeby usiadł na dużym, wygodnym skórzanym fotelu. - Proszę usiądź. - Spojrzała na niego. Był przystojnym, spokojnym, męskim typem intelektualisty. Nie przypominał wcale przystojnego gracza futbolowego, jakim wydawał się jej Jack. Był znacznie spokojniejszy i silniejszy, w jakiś niezrozumiały sposób. - Wypijesz drinka? - Miała pod ręką ukryty barek na takie okazje jak dzisiejsza.

- Nie, dzięki. Mam za dużo pracy do zrobienia dziś wieczór w domu.

- Ty też? Jak ci się udaje przez to wszystko przebrnąć?

- Nie udaje mi się. Czasami mam ochotę usiąść i płakać, ale w końcu jakoś sobie daję radę. Nad czym pracujesz?

Opisała mu w skrócie sprawę, a on pokiwał zamyślony głową.

- To powinno być interesujące. Być może wyląduje nawet na moim biurku.

Roześmiała się. - Nie masz do mnie zbyt wielkiego zaufania, jeśli uważasz, że złożą apelację od mojego wyroku.

- Nie, nie - wyjaśnił szybko - jesteś po prostu nowa i bez względu na to, co zasądzisz, jeśli im się to nie spodoba, złożą apelację. Może nawet spróbują obalić twój wyrok. Bądź ostrożna i nie dawaj im powodów.

To była dobra rada. Pogadali jeszcze przez chwilę. Miał ciemne, zamyślane oczy, które dodawały mu zmysłowości, nie pasującej jednak do jego powagi. Było w nim wiele kontrastów i to ją właśnie intrygowało. W końcu odprowadził ją, pomagając zanieść sterty

książek do samochodu, a potem zawahał się. - Czy mógłbym namówić cię na hamburgera albo coś takiego?

Uśmiechnęła się do niego. Lubiła tego mężczyznę. Nie знаła nigdy dotąd kogoś takiego jak on.

- Mógłbyś, jeśli obiecasz mi, że będę w domu wystarczająco wcześnie, żeby jeszcze trochę popracować.

Wybrali BilTs Place w Clement. Było tam skromnie i czysto. W otoczeniu hamburgerów, frytek, mlecznych koktajli i dzieciaków nikt nie mógł podejrzewać kim byli, jak ważne były ich funkcje. Rozmawiali o sprawach, które w ciągu minionych lat przysporzyły im najwięcej kłopotu, porównywali Stanford do Boalt i w końcu Tana roześmiała się.

- No dobrze, już dobrze, poddaję się. Twoja szkoła jest lepsza od mojej.

- Tego nie powiedziałem. - Roześmiał się. - Powiedziałem, że mieliśmy lepszą drużynę futbolową.

- To przynajmniej nie jest moją winą. Nie miałam z tym nic wspólnego.

- Właśnie tak mi się jakoś wydawało.

Przebywanie z nim było bardzo odprężające. Mieli wspólne zainteresowania, wspólnych przyjaciół i czas przeleciał im błyskawicznie. Odwiózł ją do domu i miał zamiar się pożegnać, kiedy zaprosiła go na drinka. Był bardzo zaskoczony podziwiając jej piękny dom i zachwycał się, jak wspaniale go urządziła. To prawdziwy raj, który zachęcał każdego gościa do wygodnego usadowienia się na kanapie przed kominkiem i błogiego odpoczynku.

- Jestem tu szczęśliwa. - I naprawdę była szczęśliwa, zwłaszcza kiedy nikt jej nie przeszkadzał. Czuli się natomiast nieswojo, gdy odwiedzał ją tu Jack. Ale teraz, z Russem było jej cudownie. Rozpalił ogień w kominku, Tana nalała mu kieliszek czerwonego wina i rozmawiali o rodzinie i życiu. Dowiedziała się, że dziesięć lat temu stracił żonę i miał dwie córki, które wyszły już za mąż.

- Przynajmniej nie jestem jeszcze dziadkiem. - Russel Carver uśmiechnął się do niej. - Beth studiuje architekturę w Yale, a jej mąż prawo, natomiast Lee jest projektantką

mody w Nowym Jorku. Jest w tym naprawdę dobra. Jestem z nich dumny... ale wnuki... - niemal zajęczał, a ona uśmiechnęła się - nie jestem jeszcze gotowy.

- Masz zamiar powtórnie się ożenić? - Ciekawił ją ten mężczyzna. Był naprawdę interesujący.

- Nie. Chyba nie spotkałem nikogo, kto stałby się dla mnie tak ważny. - Rozejrzał się po domu, a potem znowu spojrzał na nią. - Wiesz jak to jest, przyzwyczajasz się do swojego stylu życia. Trudno to wszystko dla kogoś zmienić.

Uśmiechnęła się. - Chyba masz rację. Tak naprawdę chyba nigdy nie spróbowałam. To nie świadczy dobrze o mojej odwadze.

Czasami tego żałowała i gdyby Jack podjął decyzję, zanim wszystko zaczęło się między nimi psuć... Popatrzyła na Russa z uśmiechem.

- Małżeństwo zawsze mnie przerażało.

- I powinno. To nadzwyczaj skomplikowana i delikatna operacja. Ale kiedy jest udana, to może być cudownie. - Jego oczy rozbłysły ciepłym blaskiem i łatwo było się domyśleć, że musiał być szczęśliwy ze swoją żoną. - Ja mam wyłącznie dobre wspomnienia na ten temat.

Oboje rozumieli, że właśnie dlatego trudno mu ożenić się powtórnie.

- Moje dziewczyny są wspaniałe. Musisz je kiedyś poznać.

- Bardzo bym chciała. - Gawędzili jeszcze przez parę minut, po czym dokończył wino i wyszedł. Poszła na górę, do swojej kryjówki z książkami, które pomógł jej przynieść do domu, i pracowała do późna w nocy, a następnego dnia śmiała się, kiedy goniec sądowy pojawił się u niej z kopertą w ręku. Russ napisał do niej list z podziękowaniem, bardzo podobny do tego, który dostał od niej po uroczystości zaprzysiężenia. Zadzwoiła do niego i pośmieli się trochę razem. Z nim znacznie łatwiej jej się rozmawiało niż tego samego dnia później z Jackiem. Znowu wstąpił na ścieżkę wojenną, spierając się co do sposobu spędzenia weekendu tak ostro, że w końcu postanowiła w ogóle się z nim nie spotkać. W sobotę siedziała w domu sama, przeglądając stare fotografie, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. W drzwiach stał Russel Carver z przepaszającym uśmiechem i bukietem róż w ręku.

- To w okropnie złym stylu i przepraszam cię z góry. Wyglądał bardzo dobrze w tweedowej marynarce i swetrze w serek. Uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem.

- Nie słyszałam dotąd, żeby przychodzenie z bukietem róż było w złym stylu.

- To ma być rekompensata za najście bez zapowiedzenia, które jest w złym stylu, ale myślałam o tobie i nie miałem twojego numeru telefonu. Pomyślałem, że pewnie jest zastrzeżony, więc postanowiłem spróbować... - Uśmiechnął się nieśmiało, a ona zaprosiła go gestem ręki do środka.

- Nie mam zupełnie nic do roboty i to cudownie, że wpadłeś.

- Jestem zaskoczony, że zastałem cię w domu. Byłem pewien, że cię nie będzie.

Nalala mu kieliszek wina i usiedli na kanapie.

- Właściwie to miałam pewne plany, ale zrezygnowałam z nich.

Sprzeczek z Jackiem były nie do wytrzymania i nie wiedziała już, jak ma to rozegrać. Wcześniej czy później będą musieli albo dojść do porozumienia, albo skończyć, ale nie chciała robić tego teraz, a poza tym on wyjechał.

- W takim razie cieszę się. - Russ Carver uśmiechnął się do niej. - Czy pojechałabyś ze mną do Butterfield?

- Do tego domu aukcyjnego? - Spojrzała z zainteresowaniem. Pół godziny później, przechadzali się wśród dzieł sztuki orientalnej rozmawiając na przeróżne tematy. Tak łatwo się z nim gadało, dawało jej to jakieś odprężenie. Okazało się, że mają takie same opinie na niemal wszystkie tematy. Próbowała opowiedzieć mu historię swojej matki.

- Wydaje mi się, że może między innymi dlatego nigdy nie chciałam wyjść za mąż. Ciągle miałam przed oczami obraz matki wiecznie czekającej na telefon od niego...

Nienawidziła tego wspomnienia, nawet teraz.

- Wobec tego powinnaś właśnie wyjść za kogoś, kto dałby ci poczucie bezpieczeństwa.

- Poza tym wiedziałam, że on jednocześnie oszukuje swoją żonę. Nigdy nie chciałam być na miejscu żadnej z nich... ani mojej matki... ani oszukiwanej żony.

- To musiało być dla ciebie trudne, Tana.

Współczuł jej w wielu sprawach. Opowiedziała mu o Harrym tego popołudnia,

kiedy spacerowali na Union Street. Mówiła o ich przyjaźni, latach szkolnych, szpitalu, i o tym, jak samotna była po jego śmierci. Kiedy opowiadała, w jej oczach pojawiły się łzy, ale było też na jej twarzy coś łagodnego, kiedy znów spojrzała na Russa.

- On musiał być wspaniałym człowiekiem. - Jego głos był jak balsam.

Uśmiechnęła się.

- Był kimś więcej. Był moim najlepszym przyjacielem. To nadzwyczajne... nawet po śmierci każdemu coś zostawił, cząstkę siebie samego... jakąś część... - Popatrzyła znowu na Russa. - Szkoda, że go nie znałeś.

- Ja też żałuję. - Popatrzył na nią nieśmiało. - Kochałeś go?

Zaprzeczyła ruchem głowy i wspominała z uśmiechem. - Miał na mnie ochotę, kiedy byliśmy jeszcze bardzo młodzi. Ale Averil była dla niego wprost stworzona.

- A ty, Tano? - Russel Carver przyglądał się jej badawczo. - Kto był stworzony dla ciebie? Kto to był? Kto był miłością twojego życia?

To dziwne pytanie, ale miał wrażenie, że był ktoś taki. To niemożliwe, żeby dziewczyna taka jak ona nie była z kimś związana. Była w tym jakaś tajemnica, a on nie mógł jej rozszyfrować.

- Nikt. - Powiedziała z uśmiechem. - Od czasu do czasu jakieś znajomości... najczęściej niewłaściwi ludzie. Nie miałam czasu.

Pokiwał głową. To także rozumiał. - Płacisz cenę za to, że zaszłaś tak daleko. Czasami to oznacza samotność. - Zastanawiał się, czy to jej odpowiadało, ale wydawała się zadowolona. Ciekaw był, czy teraz jest ktoś w jej życiu, i zapytał ją o to.

- Jest ktoś, z kim spotykam się od kilku lat, a może nawet więcej niż spotykam. Przez jakiś czas nawet mieszkaliśmy razem. I nadal się widzimy - uśmiechnęła się smutno i popatrzyła w ciemne oczy Russa - ale ostatnio nie układa się między nami tak jak kiedyś. „To cena, którą płacę” jak mówiłeś. Od kiedy mnie awansowano i zostałam sędzią, sprawy się skomplikowały... a potem umarł Harry... to spowodowało wiele zgrzytów między nami.

- Czy to poważny związek? - Zależało mu na tej odpowiedzi, wyglądał jakby go to bardzo interesowało.

- Przez długi czas był, ale ostatnio wiele się zmieniło i raczej się rozlatuje. Wydaje mi się, że spotykamy się nadal tylko z czystej lojalności.

- Więc nadal się spotykacie? - Przyglądał się jej z uwagą.

Potwierdziła skinieniem głowy. Ani ona, ani Jack nie mówili nigdy o rozstaniu. Przynajmniej do tej pory, mimo że żadne z nich nie wiedziało co przyniesie im przyszłość.

- Na razie tak. Przez długi czas było nam razem dobrze. Wyznawaliśmy tę samą filozofię. Nie chcieliśmy ślubu i dzieci. I dopóki oboje z tym się zgadzaliśmy, wszystko było w porządku...

- A teraz?

Duże, ciemne oczy przyglądały się jej, a ona nagle poczuła wielką ochotę, żeby ją dotknąć, objąć, pocałował. Był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego spotkała, musiała to sobie przyznać. Nadal jednak należała do Jacka... chyba tak? Nie była już tego taka pewna.

- Nie wiem. Wszystko zmieniło się po śmierci Harry'ego. Niektóre rzeczy, o których mi powiedział, każą mi zastanowić się nad moim życiem. - Popatrzyła smutno na Russa. - No bo, czy to już wszystko? Czy tylko tyle mogę w życiu mieć? Stąd ruszam naprzód, do pracy... z nim albo bez niego - Russ domyślił się kogo ma na myśli - i to wszystko? Może chciałabym czegoś więcej od przyszłości. Nigdy przedtem tego tak bardzo nie odczuwałam, ale nagle coś mnie odmieniło. A przynajmniej od czasu do czasu zastanawiam się nad tym.

- Myślę, że jesteś na właściwym torze. - Zabrzmiało to mądrze i dojrzałe. W pewnym sensie przypominał jej Harrisona.

Uśmiechnęła się. - To samo powiedziałby Harry. - A potem westchnęła. - Kto wie, może to w ogóle nie ma znaczenia. Nagle jest już po wszystkim i wtedy co? Nikogo to nie obchodzi, ciebie już nie ma na tym świecie...

- To tym bardziej ma znaczenie, Tana. Ale rzeczywiście czułem się tak samo po śmierci mojej żony, dziesięć lat temu. Trudno przywyknąć do tej myśli, to zmusza do refleksji, że jesteśmy śmiertelni. Wszystko ma znaczenie, każdy rok, dzień, każdy związek, czy marnujesz się, czy jesteś nieszczęśliwa. Któregoś dnia obudzisz się i trzeba

będzie zapłacić rachunek. Więc może jednak byłoby lepiej, gdybyś była szczęśliwa. -
Odczekał moment i spojrzał na nią. - A jesteś?

- Szczęśliwa? - Wahala się przez długą chwilę i popatrzyła na niego. - W pracy
jestem szczęśliwa.

- A poza tym?

- Obecnie nie za bardzo. To trudny okres dla nas obojga.

- Czy ja się niepotrzebnie wtrącam? - Chciał wiedzieć wszystko, a jej nie zawsze
było łatwo znaleźć odpowiedzi na jego pytania.

Pokręciła przecząco głową i spojrzała w jego brązowe oczy, które zaczynała
poznawać coraz lepiej. - Nie, to nie tak.

- Nadal spotykasz się ze swoim przyjacielem... tym, z którym mieszkałaś przez
jakiś czas? - Uśmiechał się do niej i wyglądał tak niesamowicie dorosło i tak, jakby miał
wiele doświadczenia. Czula się przy nim niemal jak dziecko.

- Tak, nadal spotykam się z nim od czasu do czasu.

- Chciałem wiedzieć, jak przedstawiają się twoje sprawy.

Miała ochotę zapytać go, dlaczego, ale nie śmiała. Zamiast tego, zabrał ją do
swojego domu. Od pierwszej chwili była oszołomiona tym co zobaczyła. Sądząc po jego
wyglądzie i zachowaniu nie mogła spodziewać się, że mieszka w takim luksusie. Był
nieskomplikowany, łatwy w rozmowie, dobrze ubrany w sposób nie zwracający uwagi, ale
jak zobaczyła, gdzie i jak mieszka, zrozumiała, z kim miała do czynienia. Miał dom na
Broadwayu, w ostatnim bloku przed Presidio, z małym, bardzo dobrze utrzymanym
ogródkiem. Marmurowe wejście w kolorze ciemnozielonym i lśniąco białe, wysokie
marmurowe kolumny, popiersie Ludwika XV w białym marmurze, srebrna taca na
wizytówki, pozłacane lustra, parkiety, atlasowe zasłony sięgające podłogi... Na parterze
było kilka eleganckich salonów recepcyjnych. Pierwsze piętro było bardziej przytulne, z
obszernym pokojem pana domu, piękną, wyłożoną drewnem biblioteką, miłym pokoikiem
z marmurowym kominkiem, na górnym poziomie znajdowały się pokoje dzieciinne,
obecnie już nie używane.

- To nie ma sensu, żebym mieszkał tu sam, ale tak przywiązałem się do tego

miejsca, od tylu lat, że nie mam ochoty się wyprowadzać...

Nie pozostawało jej nic, tylko usiąść i roześmiać się patrząc na niego. - Myślę, że podpale swój dom po powrocie.

Ale była w nim przecież szczęśliwa. To było po prostu inne życie, inny świat. On tego potrzebował, a ona nie. Teraz przypomniało jej się to, co słyszała o nim, że miał duży osobisty majątek, że kilka lat temu prowadził dobrze prosperującą kancelarię adwokacką. Temu człowiekowi powiodło się w życiu, nie musiał się niczego obawiać z jej strony. Zresztą nie chciała od niego nic. Z dumą pokazywał jej pokój po pokoju, salę bilardową i gimnastyczną na dole, stojak na broń, której używał podczas polowań na kaczki. Był prawdziwym mężczyzną, mającym wiele zainteresowań i ciekawych zajęć w życiu. Kiedy wrócili na górę, zwrócił się do niej z łagodnym uśmiechem biorąc ją za rękę.

- Bardzo mi się podobasz, Tana.... Chciałbym spotykać się z tobą częściej, ale nie chcę ci w takiej sytuacji komplikować życia. Czy dasz mi znać, kiedy będziesz wolna?

Pokiwała twierdząco głową, kompletnie oszołomiona tym, co przed chwilą usłyszała. Jakiś czas później odwiózł ją do domu, a ona usiadła zamyślona przed kominkiem w dużym pokoju. Był typem mężczyzny, o jakim czyta się w książkach i ogląda w kolorowych magazynach. I nagle oto pojawił się w jej życiu, mówiąc że „bardzo mu się podoba”, przynosi jej róże, oprowadza ją po Butterfield. Nie wiedziała co ma o nim myśleć, ale jedno wiedziała na pewno: on także „bardzo się jej podobał”.

Sprawy z Jackiem skomplikowały się w następnych tygodniach jeszcze bardziej. Kilka nocy spędziła w Tiburon, z poczucia winy, ale myślała wyłącznie o Russie, zwłaszcza kiedy kochała się z Jackiem. Bywała tak samo rozdrażniona jak Jack, a gdy nadeszło kolejne Święto Dziękczynienia była już prawdziwym kłębkim nerwów. Russ wyjechał na Wschód zobaczyć się z córką Lee i zapraszał ją, żeby pojechała razem z nim, ale to byłoby nieuczciwe z jej strony. Musiała najpierw wyjaśnić sytuację z Jackiem, ale gdy zaczął się świąteczny okres, wpadła w kompletną histerię na samą myśl o nim. Chciała być z Russem, prowadzić z nim spokojne, interesujące rozmowy, spacerować po Presidio, odwiedzać sklepy z antykami, galerie sztuki, spotykać się na lunchu w przytulnych kafejkach i restauracjach. Wniósł do jej życia coś, czego nigdy przedtem nie

zaznała, a bardzo za tym tęskniła. Tana, jak tylko miała jakiś problem, zawsze dzwoniła do Russa, a nie do Jacka. Jack miał jej stale coś za złe. Cały czas starał się jej dokuczyć, a to już stawało się męczące. Nie czuła się na tyle winna, żeby to ciągle znosić.

- Dlaczego nadal utrzymujesz ten związek? - Russ zapytał któregoś dnia.

- Nie wiem. - Tana patrzyła z przygnębieniem na Russa podczas wspólnego lunchu, zanim zostały ogłoszone ferie sądowe.

- Może podświadomie zakodowałaś w sobie fakt, że on był związany z twoim przyjacielem.

To było dla niej coś nowego, ale pomyślała, że to jest całkiem możliwe.

- Czy ty go kochasz, Tan?

- To nie to... to dlatego, że byliśmy tak długo razem.

- To nie wystarczy. Z tego, co mówisz, wynika, że nie jesteś z nim szczęśliwa.

- Wiem. To jest właśnie ta sprzeczność. Może jestem z nim dlatego, że daje mi poczucie bezpieczeństwa.

- Dlaczego? - Czasami naciskał zbyt mocno, ale to było tylko dla jej dobra.

- Jack i ja zawsze chcieliśmy tego samego... żadnych zobowiązań, ślubu, dzieci...

- I właśnie dlatego się teraz boisz?

Wzięła głęboki oddech i popatrzyła na niego. - Tak... myślę, że tak.

- Tana - wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. - Czy ty się mnie boisz?

Wolno zaprzeczyła ruchem głowy. Potem powiedział to, czego obawiała się najbardziej, a jednocześnie bardzo pragnęła to usłyszeć. Chciała tego od chwili, kiedy się poznali, gdy po raz pierwszy spojrzała w jego oczy.

- Chcę się z tobą ożenić. Czy wiesz o tym? Zaprzeczyła ruchem głowy, potem zatrzymała się i pokiwała twierdząco, roześmieli się oboje, ona ze łzami w oczach.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała. A teraz powinnaś dla własnego dobra i spokoju wyjaśnić sprawę z tamtym mężczyzną, bez względu na to, co zdecydujesz w naszej sprawie.

- Czy twoje córki nie miałyby nic przeciwko temu?

- To moje życie, a nie ich, prawda? A poza tym to wspinała dziewczyny i nie ma powodu, żeby sprzeciwiały się mojemu szczęściu. Tana pokiwała głową. Czuła się tak jakby to był sen.

- Czy mówisz poważnie?

- Nigdy w życiu nie byłem poważniejszy. - Ich spojrzenia spotkały się. - Bardzo cię kocham.

Nawet jej jeszcze nie pocałował, ale czuła jak cała roztapia się pod jego spojrzeniem. Kiedy wyszli z restauracji delikatnie przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta, a ona poddała mu się z dużą przyjemnością.

- Kocham cię, Russ. - Powiedziała te słowa tak nagle, z taką łatwością. - Tak bardzo cię kocham. - Patrzyła na niego ze łzami w oczach, a on uśmiechnął się do niej.

- Ja też cię kocham. A teraz idź i wyprostuj sobie życie, jak grzeczna dziewczynka.

- To może trochę potrwać.

Szli powoli z powrotem do ratusza. Musiała wracać do pracy.

- Nie ma sprawy. Czy wystarczą dwa dni? - Roześmieli się oboje. - Moglibyśmy pojechać razem na wakacje do Meksyku.

Przestraszyła się. Obiecała już Jackowi, że pojedzie z nim na narty. Ale teraz musi coś z tym zrobić. - Daj mi czas do końca tego roku, a obiecuję, że wszystko się do tej pory wyjaśni.

- W takim razie pojedę do Meksyku sam. - Westchnął smutno, a ona popatrzyła z obawą.

- Czym się martwisz, maleńka?

- Że zakochasz się tymczasem w kimś innym.

- Więc pośpiesz się.

Roześmiał się i pocałował ją na pożegnanie, zanim wróciła do sądu. Przez całe popołudnie siedziała na sędziowskim fotelu z dziwnym wyrazem twarzy i uśmiechem na ustach. Nie mogła się na niczym skoncentrować, a kiedy spotkała się tego wieczoru z Jackiem, brakowało jej tchu za każdym razem, jak na niego spojrzała. Chciał wiedzieć,

czy zadbała o kondycję przed narciarskimi zjazdami. Wynajął już domek, do którego mieli pojechać razem z przyjaciółmi. Nagle w połowie wieczoru, wstała i popatrzyła na niego.

- Co się stało, Tan?

- Nic... a właściwie wszystko... - Zamknęła oczy. - Muszę iść.

- Teraz? - Był wściekły. - Wracasz do miasta?

- Nie.

Usiadła i zaczęła płakać. Jak miała zacząć? Co powiedzieć? Zniechęcił ją do siebie zupełnie. Swoim negatywnym stosunkiem do jej pracy i sukcesów, swoją zgorzkniałością i niechęcią do związania się z nią na stałe. Potrzebowała teraz czegoś, czego nie mógł jej dać, i wiedziała, że miała rację, ale to było takie trudne. Patrzyła na niego smutno, pewna już, że powinna to zrobić. Niemal czuła Russa siedzącego obok niej i Harry'ego z drugiej strony, zachęcających ją do działania.

- Nie mogę. - Spojrzała na Jacka, a on na nią.

- Czego nie możesz? - zapytał, nie rozumiejąc. Mówiła bez składu, to nie było do niej podobne.

- Już nie mogę tak dalej żyć.

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że ani mnie, ani tobie nie jest dobrze. Już od roku wściekasz się na mnie, a ja także nie jestem z tym szczęśliwa...

Wstała i przeszła przez pokój patrząc na znajome przedmioty, które ją otaczały. Była częścią tego domu przez dwa lata, a teraz wyglądał tak obco.

- Ja potrzebuję czegoś więcej, Jack.

- O, Chryste. - Usiadł z wściekłością. - Na przykład czego?

- Czegoś trwałego, jak Harry i Averil.

- Powiedziałem ci, że nigdy tego nie znajdziesz. To dotyczyło tylko ich. A ty nie jesteś taka jak Averil, Tan.

- To nie jest powód, żeby się poddawać. Mimo wszystko potrzebuję kogoś, kto będzie mój przez resztę życia i będzie gotów w obliczu Boga i ludzi pojąć mnie za żonę na dobre i na złe...

Patrzył na nią zupełnie przerażony. - Chcesz, żebym się z tobą ożenił? Wydawało mi się, że zgodziliśmy się... - Spoglądał na nią spłoszony, ale ona pokręciła przecząco głową i znowu usiadła.

- Nie denerwuj się, zgodziliśmy się i nie oczekuję tego od ciebie. Chcę odejść, Jack, myślę, że nadszedł już czas.

Milczał przez dłuższą chwilę, zdawał sobie sprawę z tego, że ona ma rację, ale to jednak bolało. I zniszczyła jego plany na wakacje. Spojrzał na nią.

- Dlatego właśnie wierzę w to, co robię. Prędzej czy później wszystko się kończy. I tak jest łatwiej. Spakuję walizki, ty spakujesz swoje, pożegnamy się, trochę pocierpimy, ale przynajmniej nie będziemy się oszukiwać i wciągać w to gromadki dzieci.

- Nie jestem pewna, czy to byłoby takie straszne. Przynajmniej wiedzielibyśmy, jak bardzo nam na sobie zależało. - Była smutna, tak jakby straciła kogoś bardzo bliskiego. Tak właśnie było.

- Zależało nam, Tan, i to bardzo. I było nam dobrze. - W jego oczach pojawiły się łzy. Podszedł i usiadł koło niej. - Gdybym uważał, że to słuszne, ożeniłbym się z tobą.

- To nie byłoby zgodne z twoją ideologią. - Popatrzyła na niego.

- I tak nie byłabyś szczęśliwa, Tan.

- Dlaczego nie? - Nie chciała, żeby powiedział jej teraz coś takiego. Nie teraz. Nie w chwili, kiedy Russ czekał w pełnej gotowości, by ją poślubić. To tak, jakby rzucił na nią przekleństwo. - Jak mogłeś coś takiego powiedzieć?

- Dlatego, że to do ciebie nie pasuje. Jesteś na to za mocna.

Była silniejsza od niego, wiedziała o tym. Ale zrozumiała to dopiero niedawno, zwłaszcza odkąd poznała Russa. Tak bardzo różnił się od Jacka. Był znacznie silniejszy od wszystkich, których знаła do tej pory. I silniejszy od niej. Nareszcie.

- I tak zresztą nie potrzebne ci małżeństwo - uśmiechnął się z goryczą - wzięłaś ślub z prawem. To dla ciebie romans na pełny etat.

- Nie można mieć jednego i drugiego?

- Niektórzy mogą. Ale nie ty.

- Czy ja tak bardzo Cię skrzywdziłam, Jack? - Spojrzała na niego z żalem, a on

uśmiechnął się, wstał, otworzył butelkę wina, podał jej kieliszek. Poczula się w tej chwili, jakby nigdy go nie знаła. Wszystko w nim było takie zgorzkniałe i płytkie. Ten facet niczego nie przeżywał głęboko. Zastanawiała się nawet, jak to się stało, że była z nim tak długo, ale wtedy to właśnie jej odpowiadało. Wtedy nie chciała się głęboko angażować. Chciała być wolna, tak jak on. Tylko że ona teraz dojrzała i mimo że wyzwanie, jakie zaproponował jej Russ, przerażało ją, to właśnie tego pragnęła bardziej niż czegokolwiek do tej pory w swoim życiu. Spojrzała Jackowi w oczy i uśmiechnęła się, gdy wzniósł toast.

- Twoje zdrowie, Tan. Powodzenia. - Wypiła i w chwilę później odstawiła kieliszek.

- Pójdę już.

- Tak. Zadzwoń do mnie od czasu do czasu. - Odwrócił się do niej tyłem, a ona poczuła się tak, jakby ktoś wbijał jej nóż w serce. Chciała jeszcze zbliżyć się do niego, ale było już za późno. Za późno dla nich obojga. Dotknęła jego pleców i szepnęła tylko jedno słowo.

- Żegnaj.

Wracając do domu pędziła jak najszybciej umiała, wzięła kąpiel, umyła włosy, tak jakby chciała zmyć z siebie rozczarowanie i łzy. Miała trzydzieści osiem lat i zaczynała wszystko od nowa, ale zupełnie inaczej niż do tej pory, z mężczyzną, który w niczym nie przypominał swych poprzedników. Miała zamiar zadzwonić do niego tego wieczoru, ale nie mogła przestać myśleć o Jacku i straciła nagle odwagę, aby zawiadomić Russa, że jest wolna. Nie powiedziała mu o niczym, dopóki nie spotkali się w czasie lunchu w dniu, kiedy miał wyjechać do Meksyku. Spojrzała na niego z tajemniczym uśmiechem.

- I z czego się tak cieszysz, Panno Śmieszko?

- Czy ja wiem, chyba po prostu z życia.

- I to cię tak bawi?

- Czasami. Ja... eeech... to znaczy...

Teraz on zaczął się z niej śmiać, a ona zarumieniła się na twarzy ze złości.

- O, cholera. Nie utrudniaj mi tego.

Wziął jej dłoń w swoją i uśmiechnął się do niej. - Co próbujesz mi powiedzieć? -

Nigdy nie widział jej tak onieśmiałej i zakłopotanej.

Wzięła głęboki oddech. - W tym tygodniu wyjaśniłam już swoje sprawy.

- Z Jackiem? - Był zaskoczony, a ona pokiwała głową z nieśmiałym uśmiechem. -

Tak szybko?

- Nie mogłam już tego wytrzymać.

- Bardzo był załamany? - Russ wyglądał na przejętego.

Pokiwała głową i posmutniała na chwilę. - Tak, ale nie przyznawał się do tego. On lubi, żeby wszystko było łatwe i układało się gładko, i żeby był wolny. - Westchnęła ciężko, i powiedziała: - „stwierdził, że nigdy nie będę szczęśliwa w małżeństwie”.

- To miłe. - Russ uśmiechnął się i zupełnie się tym nie przejął. - Kiedy się wyprowadzasz, pamiętaj, spal za sobą dom. To taki stary przesąd niektórych mężczyzn. Wierz mi, to nie ma żadnego znaczenia. Ja lubię ryzyko i sam podejmę tę decyzję. - Russ uśmiechnął się do niej radośnie.

- Czy nadal chcesz się ze mną ożenić? - Nie mogła uwierzyć w to co jej się przydarzyło, i przez chwilę... przez chwilę... miała ochotę wrócić do swojego starego życia, ale tego już przecież tak naprawdę wcale nie chciała. Ona pragnęła tego wszystkiego... chciała jego i małżeństwa, i kariery, bez względu na to, jak bardzo się bała. To było wyzwanie, które musiała podjąć. Była już gotowa. Dojście do tego punktu zajęło jej dużo, dużo czasu, ale udało się i była z tego dumna.

- A co ty sobie myślałaś? Oczywiście, że chcę. - Zapewnił ją natychmiast, a jego oczy śmiały się do niej.

- Jesteś pewien?

- A ty jesteś? To jest jeszcze ważniejsze.

- Może byśmy o tym porozmawiali jeszcze trochę? - Nagle zaczęła się denerwować, a on się roześmiał.

- Jak długo? Sześć miesięcy? Rok? Dziesięć lat?

- Może około pięciu... - Teraz i ona się śmiała, a potem nagle spojrzała na niego. - Ty nie chcesz mieć dzieci, prawda? - Tak daleko jeszcze nie dotarła. Była już za stara na to, ale on zaprzeczył ruchem głowy i parsknął śmiechem.

- Ty się strasznie wszystkim martwisz, prawda? Nie, nie chcę mieć dzieci. W przyszłym miesiącu skończę pięćdziesiątkę, mam już dwoje dzieci. Ale nie, nie zgodzę się na wasektomię. Poza tym zrobię wszystko, czego sobie życzysz, żebyś nie zaszła w ciążę. Dobrze? Chcesz, żebym podpisał to własną krwią?

- Tak. - Śmiali się oboje, on zapłacił rachunek i wyszli na zewnątrz. Objął ją w taki sposób, w jaki jeszcze nigdy żaden mężczyzna jej nie obejmował, a jej serce i duszę wypełniło szczęście. Nagle spojrzął na zegarek i pociągnął ją w pośpiechu do samochodu. - Co robisz?

- Musimy złapać samolot.

- Musimy? Ale ja nie mogę... ja nie jestem...

- Czy twoja kancelaria jest zamknięta na ferie sądowe?

- Tak, ale...

- Czy twój paszport jest w porządku?

- Ja... tak... myślę, że to...

- Sprawdzimy, jak zawiozę cię do domu... jedziesz ze mną... zaplanujemy ślub na miejscu... zadzwonię do dziewcząt... co powiesz na luty... powiedzmy za sześć tygodni?... Święto Walentynek?... czy to wystarczająco romantyczny dzień dla ciebie, Tan?

Był kompletnie zwariowany, a ona oszalała na jego punkcie. Złapali samolot do Meksyku jeszcze tego wieczoru, spędzili cudowny tydzień, rozkoszując się słońcem i upragnioną miłością. Czekał, aż naprawdę zakończy sprawy z Jackiem na zawsze. A kiedy wrócili, kupił jej zaręczynowy pierścionek i powiedzieli o tym wszystkim przyjaciółom. Jack zadzwonił do niej, gdy przeczytał nowinę w gazetach i to, co powiedział, ugodziło ją do żywego.

- To dlatego to wszystko? Dlaczego mi nie powiedziałaś, że puszczałaś się z innym? I w dodatku to też sędzia. To dla ciebie skok w górę.

- To, co mówisz, jest obrzydliwe... i wcale się z nim nie puszczałam.

- Powiedz to komu innemu, ale nie mnie. A właściwie - roześmiał się gorzko - powiedz to sędziemu.

- Wiesz, że jesteś tak przejęty tym, żeby przypadkiem z nikim się nie związać, że nie wiesz już, na jakim świecie żyjesz.

- Przynajmniej wiem, kiedy kogoś oszukuję, Tan.

- Nie oszukiwałam cię.

- No więc, co robiłaś? Pieprzyłaś się z nim podczas lunchu, bo przed szóstą to się nie liczy?

Rzuciła słuchawkę, zmartwiona, że musiało się to skończyć w ten sposób. Napisała też list do Barbary, wyjaśniając, że jej małżeństwo z Russem było niespodziewane, ale jest on wspaniałym człowiekiem i kiedy przyjedzie odwiedzić ojca w przyszłym roku, to drzwi Tany są zawsze dla niej otwarte, tak jak do tej pory. Nie chciała, żeby dziewczynka pomyślała, że ją odtrąca. I miała jeszcze tyle innych rzeczy do zrobienia. Napisała do Averil, do Londynu, a jej matka dostała niemal ataku serca, kiedy do niej zadzwoniła.

- Siedzisz?

- Och, Tano, coś ci się stało. - Głos matki zaczął się już łamać i czuła zbliżające się łzy. Miała tylko sześćdziesiąt lat, ale psychicznie była już o wiele starsza. Artur stał się zgrzybiałym starcem, mając zaledwie siedemdziesiąt cztery lata i to było dla niej bardzo trudne do zniesienia.

- To coś miłego mamó. Coś, na co czekałaś bardzo, bardzo długo.

Jean patrzyła tępo w ścianę naprzeciwko trzymając słuchawkę. - Nie mogę sobie wyobrazić, co to takiego.

- Za trzy tygodnie wychodzę za mąż.

- Robisz co? Za kogo? Za tego mężczyznę, z którym mieszkałaś przez te lata? - Nigdy nie myślała o nim poważnie, ale nadszedł już czas, żeby znaleźli swoje miejsce na świecie, zwłaszcza, że Tana była sędzią. Ale czekał ją jeszcze jeden szok.

- Nie. To ktoś zupełnie inny. Sędzia Sądu Apelacyjnego. Nazywa się Russell Carver, mamó. - I opowiedziała jej całą resztę, a Jean płakała i śmiała się na zmianę.

- Och, kochanie... Tak długo na to czekałam.

- Ja też. - Tana także śmiała się i płakała jednocześnie. - Ale warto było poczekać,

mamo. Niedługo go poznasz. Przyjedziesz na mój ślub? Pobieramy się czternastego lutego.

- Święto Walentynek... och jakie to cudowne... Tana nadal była trochę zażenowana tą datą, ale i jej, i Russowi wydawało się to zabawne.

- Nigdy bym nie przepuściła takiej okazji. Nie sądzę jednak, żeby Artur był w stanie przyjechać, więc nie zostanę długo.

Jean musiała uporządkować tysiące spraw i zorganizować opiekę nad Arturem i domem na czas swej nieobecności, więc nie mogła się już doczekać, żeby skończyć rozmowę i zacząć przygotowania. Ann właśnie po raz piąty wyszła za mąż, ale kogo to jeszcze obchodziło? Tana wychodzi za mąż! I to w dodatku za sędziego Sądu Apelacyjnego! Mówiła, że jest przystojny. Jean biegała roztrzęsiona po domu przez całe popołudnie w ogromnym podnieceniu. Jutro musi koniecznie wybrać się do Saksa po zakupy. Musi kupić sobie suknię... nie... a może kostium... nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Tej nocy odmawiała szeptem gorące modlitwy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wesele było po prostu wspaniałe. Odbywało się w domu Russa. Zaangażowano pianistę i dwóch skrzypków. Łagodna muzyka Brahmsa towarzyszyła Tanie, gdy powoli schodziła ze schodów w prostej sukni z kremowej krey. Długie, rozpuszczone swobodnie włosy nakryła kapeluszem z dużym rondem i krótkim welonem. Na nogach miała atłasowe pantofelki koloru kości słoniowej. Na uroczystość przybyło około stu osób. Jean stała w kącie i przez większość dnia płakała ze szczęścia. Kupiła sobie z tej okazji piękny beżowy kostium Givenchy. Wyglądała tak dystyngowanie i była taka dumna, że Tana, ilekroć na nią spojrziała, miała ochotę się rozplakać.

- Czy jesteś szczęśliwa, kochanie?

Russ spojrział na Tanę w taki sposób, że jej serce zadrżało ze wzruszenia. Wydawało się jej nieprawdopodobne, że dane jej było spotkać takiego człowieka jak on. Nigdy nie marzyła nawet o tym, że uda się jej przeżyć coś takiego. Czuła się, jakby była stworzona, by należeć do niego. Kiedy przechodziła między krzesłami, złapała się na tym, że myśli o Harrym. - No i jak czubku? Dobrze zrobiłam? - uśmiechnęła się przez łzy.

Zrobiłaś wspaniale! Wiedziała, że i Harry, i Rusa byliby sobą zachwyceni. Czuła obecność Harry'ego. Harrison i Averil przysłali telegram. Córki Russa przyjechały na uroczystość. Były to zgrabne, atrakcyjne i sympatyczne dziewczyny, podobnie zresztą jak ich mężowie. Tana polubiła całą rodzinę. Łatwo było ich pokochać, wszyscy byli dla niej tacy serdeczni. Zwłaszcza Lee bardzo ciepło przyjęła swoją nową macochę. W końcu była od niej tylko dwanaście lat młodsza.

- Dzięki Bogu, że zaczekał, aż dorośniemy, i dopiero się ożenił. - Lee roześmiała się. - Po pierwsze w domu jest teraz o niebo ciszej i spokojniej, a po drugie nie musisz nas znosić. Był samotny przez tyle lat. Beth i ja jesteśmy ci wdzięczne, jak diabli, że za niego wyszłaś. Z przykrością myślałam o tym, że mieszka sam w tym wielkim, pustym domu.

Błaznowała trochę, miała na sobie przepiękny strój własnego projektu. Niewątpliwie uwielbiała Russa, miała też bzika na punkcie swojego męża. Beth również nie widziała nikogo poza rodziną. Tworzyli idealnie zgraną grupę. Gdy Jean patrzyła na

nich, wdzięczna była losowi, że Tana miała dość rozumu, żeby nie zakochać się w Billym, kiedy sama ją do tego popychała. Jej córka wykazała wiele wyczucia. Całe życie czekała na tego jedyne, nadzwyczajnego mężczyznę. A teraz miała przed sobą wspaniałą przyszłość. Ten dom był najcudowniejszym miejscem, jakie kiedykolwiek widziała. A Tana z takim wdziękiem i swobodą kierowała lokajem i gosposią, którzy pracowali tu od lat. Krążyła między pokojami zabawiając gości i przyjaciół. Zwracali się do niej „Wysoki Sądzie”, a ktoś powiedział dowcipny wiersz o sędzinie i sędzim.

To było cudowne popołudnie. Wkrótce znowu wyjechali do Meksyku w podróż poślubną, wracając przez La Jolla i Los Angeles. Tana wzięła w pracy miesiąc urlopu, a w drodze powrotnej uśmiechała się powtarzając swoje nowe nazwisko. Sędzina Carver... Tana Carver... Tana Roberts Carver... Dodała jego nazwisko do swojego. Nie dla niej były feministyczne hasła. Czekala na niego trzydzieści osiem lat, prawie trzydzieści dziewięć. Długo opierała się małżeństwu, ale skoro zdecydowała się wreszcie na ten krok, to miała zamiar korzystać z wszystkich jego przywilejów. Wracała do domu co wieczór odprężona i szczęśliwa, że go widzi. Do tego stopnia emanowała z niej radość, że zapytał ją o to któregoś razu.

- Kiedy zaczniesz zachowywać się wreszcie jak prawdziwa żona i pogderasz trochę?

- Chyba zapomniałam.

Uśmiechnął się do niej i znowu rozmawiali o jej domu. Myślała o tym, żeby go wynająć. Był taki piękny, że nie chciała go sprzedać, mimo iż wiedziała, że nie będzie już nigdy w nim mieszkać.

- Może jednak powinnam go sprzedać.

- A może ja bym go od ciebie wynajął dla Beth i Johna, żeby mieli gdzie mieszkać, gdy przyjadą do nas z wizytą?

- To cudowny pomysł. - Uśmiechnęła się do niego- Niech pomyślę... możesz go mieć za dwa całusy i... wycieczkę do Meksyku...

Roześmiał się i w końcu zdecydowali się go zatrzymać i wynająć. Tana w całym swoim życiu nie zaznała więcej szczęścia niż teraz. Była to jedna z tych chwil, kiedy

czuła, że wszystko układa się pomyślnie, dokładnie tak, jakby sobie tego życzyła. Któregoś dnia wpadła na kogoś z impetem. Spieszyła się idąc z sądu na wspólny lunch z Russem, kiedy nagle stanęła oko w oko z Drew Landsem. Gdy uświadomił sobie, kim teraz była, poczuł się bardzo głupio i z początku nie wiedział, co powiedzieć. Stali przez chwilę rozmawiając uprzejmie. Trudno było uwierzyć, ile bólu jej kiedyś zadał. Patrząc na niego, nie mogła sobie tego wyobrazić. Jeszcze bardziej niesamowite było to, że Julie i Elizabeth miały już po osiemnaście i dwadzieścia dwa lata. - Mój Boże czy to naprawdę było już tak dawno?

- Chyba tak, Tan. - Jego głos był tak aksamitny, że nagle rozzłościł ją. Widziała w jego spojrzeniu, że traktował ją w sposób, który już dawno przestał być odpowiedni. - Eileen i ja rozwiedliśmy się sześć lat temu.

Jak on śmie mówić jej o tym... jak śmiał rozwieść się po tym, jak bardzo ją skrzywdził...

- Współczuję. - Jej głos był zimny, traciła zainteresowanie tym co mówił. Nie chciała spóźnić się na spotkanie z Russem. Wiedziała, że pracował nad ważną sprawą.

- Rany... zastanawiam się właśnie... może moglibyśmy się kiedyś spotkać. Mieszkam teraz w San Francisco...

Uśmiechnęła się do niego. - Z przyjemnością spotkamy się kiedyś z tobą. Ale w tej chwili mój mąż jest zupełnie pochłonięty dużą sprawą.

Zaśmiała się do niego niemal diabelsko, pomachała mu ze słowami pożegnania i pobiegła. Russ dostrzegł w jej oczach wyraz zwycięstwa, kiedy spotkali się na lunchu w Hayes Street Grill. To był jeden z ich ulubionych lokali i często się tam umawiali, żeby całować się przy stoliku w rogu sali i głaskać z czułością podczas lunchu, podczas gdy ludzie uśmiechali się do nich.

- No i z czego tak się cieszysz? - Znał ją zbyt dobrze.

- Z niczego... - Ale nie miała przed nim sekretów. - Właśnie wpadłam na Drew Landsa po raz pierwszy od prawie siedmiu lat. Co za sukinsyn. Chyba zawsze taki był, słaby, beznadziejny dupek.

- O rany, a co on ci zrobił, żeby zasłużyć na tyle epitetów?

- To on był tym żonatym facetem, o którym ci opowiadałam...

- Aha!

Russ wyglądał na rozbawionego, widząc, jakie ognie biją z jej oczu. Nie obawiał się, że może ją stracić z powodu innego mężczyzny, ale nie dlatego, że był tak zarozumiały. Po prostu wiedział, jak głębokie jest uczucie, które ich łączy. To zdarzało się w życiu niezwykle rzadko i był za to bardzo wdzięczny losowi. Nigdy nikogo do tej pory nie darzył taką miłością.

- I wiesz co? On w końcu rozwiódł się ze swoją żoną.

- To było do przewidzenia. - Russ uśmiechnął się. - I teraz chciał się znowu z tobą umówić, tak?

Roześmiała się. - Powiedziałam mu, że chętnie się z nim spotkamy któregoś razu i zwiłam.

- Jesteś małą czarownicą. Ale i tak cię kocham. A jak było dzisiaj w sądzie?

- Nieźle. Dostałam interesującą sprawę, dotyczy kwestii uszkodzenia ciała podczas wypadku przy pracy. Na pewno będzie z tym wiele zamieszania, ale wygląda na to, że jest w niej parę intrygujących wątków i zawiłości. A jak się posuwa twoja monstrualna sprawa?

Uśmiechnął się do niej. - Nareszcie zamykam ją do klatki.

I - przez moment popatrzył na nią dziwnie - dzwoniła do mnie Lee.

- Jak się miewa?

- Dobrze. - Spojrzał na żonę, a ona na niego. Coś dziwnego wisiało w powietrzu.

- Russ, co się stało? - Zaniepokoiła się o niego. Wyglądał nieswojo.

- Stało się. Zrobili mi to. Będę dziadkiem. - Natychmiast wyraz jego twarzy zmienił się na radosny i rozluźniony, a Tana roześmiała się.

- Och, nie! Jak ona mogła zrobić ci coś takiego?

- Dokładnie to samo jej powiedziałem! - Uśmiechnął się do Tany. - Możesz to sobie wyobrazić?

- Z trudem. Będziemy musieli ci kupić siwą perukę, żebyś mógł odegrać tę rolę. Kiedy ma się urodzić dziecko?

- W styczniu. Wygląda na to, że na moje urodziny. Albo w okolicy Sylwestra.

Dziecko urodziło się w pierwszy dzień Nowego Roku i Tana zdecydowała, że byłoby fajnie, gdyby polecili do Nowego Jorku w odwiedziny. On również pragnął zobaczyć swoją pierwszą wnuczkę, także dziewczynkę, jak jego własne córki.

Zarezerwował pokój w Sherry Netherland i polecili. Lee leżała skulona, ale szczęśliwa na sali poporodowej New York Hospital. Dostała najlepszy pokój jaki mieli na oddziale. Dziecko było słodkie i różowe, a Russel patrząc na nie wydawał z siebie wszystkie tradycyjne dźwięki. Kiedy wrócili do hotelu, kochali się namiętnie.

- Przynajmniej nie jestem jeszcze zupełnie do niczego. Jak to jest kochać się z dziadkiem, kochanie?

- Jeszcze lepiej niż dotychczas.

Dostrzegł jednak w jej spojrzeniu coś dziwnego. Podniósł się bardzo cicho i wziął ją w ramiona. Ich nagie ciała splotły się ze sobą, uwielbiał jej aksamitną skórę, ale martwił się o nią. Czasami, kiedy na czymś jej bardzo zależało, zamykała się w sobie i starała się to ukryć. Właśnie teraz zauważył coś takiego.

- Co się dzieje, kochanie? - szeptał jej do ucha, a ona odwróciła się do niego z tajemniczą miną.

- Dlaczego uważasz, że coś się dzieje?

- Znam cię dobrze. Nie możesz oszukać takiego starego lisa jak ja. A przynajmniej tak kochającego cię, jak ja.

- Już od dawna starała się sobie wmówić, że to nie może być prawda, a teraz nagle, ku jego zaskoczeniu, załamała się i rozplakała w jego ramionach. Miało to jakiś związek z wizytą u Lee i jej dziecka, która wywołała u niej taki straszny ból... pustkę... próżnię jeszcze straszniejszą od tych, które dotąd poznała. Usiadł i patrzył na nią, oszołomiony nagłym przyływem emocji. Ona była tym jeszcze bardziej przejęta od niego. Nigdy dotąd nie czuła czegoś takiego.

- Czy chciałabyś mieć dziecko Tan?

- Nie wiem... nigdy nie odczuwałam czegoś takiego... ale mam już prawie czterdzieści lat... jestem na to za stara... - Ale nagle pragnęła dziecka bardziej niż

czegokolwiek innego i znowu w jej uszach dźwięczały słowa Harry'ego.

- Może przemyśl to i jeszcze wrócimy do tej sprawy.

Przez następny miesiąc widok Lee i jej maleństwa nie dawał jej spokoju. Nagle, od czasu kiedy wrócili do domu, wszędzie widziała ciężarne kobiety i niemowlęta w wózkach na każdym rogu ulicy; czuła się tak, jakby każdy miał swoje dziecko oprócz niej... męczyły ją uczucia zazdrości i samotności, których nie potrafiłaby opisać. Russel czytał to w jej twarzy, ale nie rozmawiał z nią o tym, aż do rocznicy ich ślubu.

Zareagowała ostro, co nie było do niej podobne. Tak jakby za bardzo ją to bolało, by mogła o tym mówić.

- Mówiłeś, że jesteś już za stary. Zresztą ja też.

- To nie o to chodzi. Z początku czułbym się pewnie trochę głupio, ale mógłbym to przeżyć. Inni mężczyźni w moim wieku mają dzieci z drugiego małżeństwa, a nawet starsi... znacznie starsi - uśmiechnął się.

Sam był zaskoczony jak bardzo wzruszył go widok dziecka Lee w ramionach żony, a potem w jego własnych. Nie miałby nic przeciwko dziecku. A dziecko Tany byłoby dla niego cudem świata. Ale ona stawała się coraz bardziej przewrażliwiona na tym punkcie, aż wreszcie przestał z nią o tym rozmawiać. W marcu znów wybrali się do Meksyku i spędzili tam cudowne wakacje. Pływali, łowili ryby i leżeli na plaży. Tana tym razem niewiele zwiedzała, a po powrocie nie czuła się najlepiej.

- Myślę, że za dużo pracujesz.

Była bardzo przeziębiona prawie od trzech tygodni, ale mimo nalegań Russa nie poszła do lekarza.

- Nie mam na to czasu.

Ale była już tak zmęczona i słaba, tak często żołądek odmawiał jej posłuszeństwa, że w końcu uległa. I wtedy przeżyła zupełny szok. Tak bardzo tego pragnęła, ale teraz ta wiadomość kompletnie ją zaskoczyła. I przeraziła. Nie miała na to czasu. Miała ważną pracę. Będzie wyglądała idiotycznie... nigdy tego nie chciała... Russ się zmartwił... tak się tym przejęła, że wróciła do domu dopiero o siódmej wieczorem, a Russ spojrzawszy na nią od razu wiedział, że stało się coś strasznego. Pozwolił jej złapać oddech, zrobił jej

drinka, otworzył butelkę Chateau Latour do kolacji, ale ona nie wypła ani kropli. Kiedy tego wieczoru poszli na górę była nadal rozdrażniona, w jej oczach czaiło się coś dziwnego. Zaczynał się o nią poważnie martwić i gdy usiadła, przysunął sobie do niej krzesło.

- No dobrze, powiedz mi, co ci się dzisiaj przydarzyło. Albo straciłaś pracę, albo umarł twój najlepszy przyjaciel.

Uśmiechnęła się nieśmiało i wyraźnie rozluźniła, gdy ujął jej dłoń.

- Znasz mnie dobrze.

- Więc bądź tak dobra i zdradź mi tę tajemnicę.

- Nie mogę.

Już się zdecydowała. Nie urodzi tego dziecka. Ale Russ nie miał zamiaru ustąpić. Jego głos zaczął być niecierpliwy, a na twarzy pojawiło się słynne groźne spojrzenie. Gdyby go nie znała, pewnie trzęsłaby się ze strachu. Zamiast tego roześmiała się.

- Wiesz, wyglądasz w takich chwilach bardzo groźnie.

Zaśmiał się z rozdrażnieniem. - I o to właśnie chodzi. Ale mów, do diabła. Co u licha się z tobą dzieje?

Popatrzyła na niego przeciągle, spuściła wzrok i znowu podniosła na niego oczy. - Nie uwierzysz w to, kochanie.

- Chcesz rozwodu.

- Nie, oczywiście, że nie.

Uśmiechnęła się do niego. Przy nim wszystko stawało się mniej straszne. Przez cały dzień histeryzowała, a teraz dzięki niemu potrafiła nawet się śmiać.

- Masz romans?

- Znowu pudło.

- Wyrzucili cię z sądu.

- Jeszcze gorzej...

Przybrała znowu poważną minę, bo dla niej to było prawie to samo. Jak mogłaby nadal pracować w takiej sytuacji? I nagle w jej oczach pojawiły się łzy.

- Jestem w ciąży, Russ...

Przez chwilę wszystko wokół nich zatrzymało się, a potem nagle chwycił ją w ramiona, śmiał się i cieszył tak, jakby to był powód do radości, a nie do samobójstwa.

- Och, kochanie... tak się cieszę. - Był z niej taki dumny, a ona patrzyła na niego zaskoczona.

- Naprawdę? Myślałam, że nie chcesz mieć dzieci. - Była wstrząśnięta. - Uzgodniliśmy...

- Nie szkodzi. Nasze dziecko będzie takie piękne... maleńka dziewczynka dokładnie taka jak ty... - Nigdy nie widziała go bardziej szczęśliwym, tulił ją do siebie, a ona wzdychała ciężko. Pragnęła tego, ale teraz, kiedy już się stało, nie mogła sobie wyobrazić nic innego oprócz katastrofy.

- Ale to wszystko zburzy...

Znowu miała ochotę się rozplakać. Natychmiast zaczął ją pocieszać.

- Co zburzy?

- Moją pracę. Jak mogę być sędzią z niemowlęciem przy piersi?

Śmiał się z tej wizji. - Bądź praktyczna. Będziesz pracowała do ostatniej chwili, a potem weźmiesz sześć miesięcy urlopu. Wynajmiemy dobrą opiekunkę i wrócisz do pracy.

- Tak po prostu? - Była zaskoczona.

- Jeśli tylko zechcesz, to wszystko może być bardzo proste. Nie ma powodu, żebyś nie mogła mieć i rodziny, i kariery. Czasami wymaga to trochę zachodu, ale da się pogodzić przy odrobinie dobrych chęci.

Uśmiechnął się do niej i w jej oczach również powoli pojawił się uśmiech. Istniała szansa, że on rzeczywiście mógł mieć rację, a jeśli naprawdę tak będzie... jeśli naprawdę... przecież to byłoby to, czego pragnęła najbardziej, oboje tego chcieli. Przez długie lata mogła mieć tylko jedno... Ale ona potrzebowała czegoś jeszcze poza pracą... potrzebowała Russa... i pragnęła mieć z nim dziecko... chciała tego wszystkiego... i nagle pustka, którą odczuwała od miesięcy, ten ból i straszliwa samotność zniknęły na zawsze...

- Jestem z ciebie taki dumny, kochanie. Patrzyła na niego, a łzy toczyły się po jej

policzkach. Uśmiechnęła się do niego.

- Wszystko będzie dobrze, przekonasz się... i będzie ci z tym do twarzy, zobaczysz.

- Ha- Roześmiała się. - Już przytyłam sześć funtów.

- Gdzie? - Podszczypywał ją i żartował szukając na niej dodatkowych funtów.

Tana leżała w jego ramionach i śmiała się.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sędzina niezgrabnie podeszła do fotela i ostrożnie usiadła. Uderzyła dwa razy młotkiem i rozpoczęła poranne posiedzenia. Asystentka przyniosła jej o dziesiątej filiżankę herbaty, a kiedy w południe wstała, by udać się na przerwę, z trudem dotarła do swojej kancelarii. Dziecko powinno się urodzić już dziewięć dni temu. Miała zamiar przerwać pracę dwa tygodnie temu, ale ponieważ wszystko w domu było należycie zorganizowane, zdecydowała, że będzie pracować do ostatniej chwili. Tego popołudnia mąż odebrał ją spod ratusza. Czekał przy samochodzie, otworzył jej drzwi z uśmiechem.

- Jak ci dzisiaj poszło?

Trudno było ukryć, jaki był z niej dumny. Odpowiedziała mu uśmiechem. To były dla nich cudowne chwile, nawet te dodatkowe dni po terminie. Cieszyła się z tego, że może być z nim, mimo że zaczynała już z trudem znosić ciężę. O czwartej po południu miała tak opuchnięte kostki, że nie mogła długo wysiedzieć, ale i tak nie miała nic lepszego do roboty.

Westchnęła. - Werdykt już zapadł. Chyba poddam się pod koniec tygodnia bez względu na to, czy urodzę czy nie. Co o tym myślisz?

Uśmiechał się do niej odwożąc ją do domu nowym jaguarem, którego ostatnio kupił. - Myślę, że to bardzo dobry pomysł, Tan. Możesz jeszcze posiedzieć przez parę dni, ale chyba już wystarczy.

- Też tak sędzę.

Ale nie miała na to czasu. Tego wieczoru o ósmej odeszły jej wody i nagle z przerażeniem zawołała Russa. Wiedziała, że w końcu to się stanie, ale to działo się już. Miała ogromną ochotę uciec, ale nie miała dokąd. Nie mogła uciec od własnego ciała. Russ widział, co się z nią dzieje i starał się ją uspokoić.

- Wszystko będzie dobrze.

- Skąd możesz to wiedzieć? - Warknęła na niego. - A jeśli konieczne będzie cesarskie cięcie? Chryste, ja mam sto lat, na litość boską.

W rzeczywistości miała czterdzieści lat i cztery miesiące. Nagle spojrzała na Russa i zaczęła płakać. Była przerażona, a skurcze zaczęły się natychmiast po odejściu

wód.

- Czy chcesz jeszcze chwilę poleżeć, Tan, czy jedziemy od razu do szpitala?

- Chcę tu zostać. - Zadzwoił do doktora, przyniósł jej coś do picia, włączył telewizor, który stał naprzeciwko ich łóżka i uśmiechnął się do siebie. Przed nimi wielka noc i miał nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Był przekonany, że tak będzie, i ta myśl podniecała go. Nalegała, aby oboje przeszli szkołę rodzenia Lamaze'a i mimo, że nie był obecny przy narodzinach swoich córek wiele lat temu, tym razem zamierzał pozostać z Taną przy porodzie. Obiecał jej to i nie mógł się już doczekać. Zrobiono jej amniopunkcję pięć miesięcy temu, ale nie chcieli znać płci dziecka. Russ czuł narastające w nich obojgu uczucie podniecenia. Do północy Tana zdrzemnęła się jeszcze trochę, a potem znów czuwała i odzyskała kontrolę. Uśmiechnęła się do niego, a on mierzył przerwy między skurczami, o drugiej znowu zadzwonił do lekarza i tym razem powiedziano im, żeby przyjechali już do szpitala. Zabrał po drodze jej torbę, która stała w przedpokoju od trzech tygodni. Pomógł jej wsiąść do samochodu i wysiąść, kiedy dotarli do szpitala. Zaprowadził ją do wejścia. Szła z coraz większym trudem. Skurcze pochłaniały całą jej uwagę, a on był stale przy niej, starając się dodać jej odwagi. Ale to było jeszcze nic w porównaniu ze skurczami, które nastąpiły trzy godziny później, kiedy zaczął się następny etap porodu. Wiła się z bólu leżąc na łóżku, na sali przedporodowej. Gdy ścisła jego rękę, czuł, że napięcie w nim rośnie. Nie przypuszczał, że to będzie aż tak wyglądało. Tak bardzo cierpiała, a o ósmej rano dziecko nadal nie miało zamiaru się urodzić. Słońce wzeszło, a ona leżała dysząc straszliwie. Jej włosy przyklejały się do poduszki, miała dziki wyraz oczu, patrzyła na niego tak, jakby oczekiwała od niego pomocy. Ale on mógł tylko oddychać razem z nią i trzymać ją za rękę, powtarzając jak bardzo jest z niej dumny. Nagle około dziewiątej wszyscy zaczęli biegać. Zawieziono ją natychmiast na salę porodową, przywiązali jej rozłożone nogi, a ona krzyczała przez łyż w przyływie narastających skurczów. To był najgorszy ból, jakiego kiedykolwiek doznała. Miała wrażenie, że za chwilę utonie. Kurczowo ścisła jego ramię, doktor nakłaniał ją do parcia, Russel krzyczał, a Tana wiedziała tylko, że dłużej już tego nie zniesie. Chciała umrzeć... umrzeć...

- Widzę już główkę... o Boże... kochanie... już jest...

I nagle na zewnątrz wyskoczyła maleńka czerwona buzia. Russel rozplakał się ze wzruszenia. Tana patrząc na niego jeszcze raz zaparła się z nadludzką siłą i zmusiła dziecko do opuszczenia na zawsze jej łona. Doktor wziął je na ręce, a ono zakwiliło. Odcięto i zawiązano pępowinę, szybko je wymyto, oczyszczono nosek, zawinięto w ciepły kocyk i wręczono Russowi.

- To twój syn, Russ... - Doktor uśmiechnął się do nich obojga. Tak długo pracowali razem, po to, by Tana mogła teraz patrzeć na niego zwycięsko.

- Byłaś wspaniała, kochanie.

Jej głos był zachrypnięty, a twarz miała szarą z wysiłku, kiedy delikatnie ją pocałował.

- Ja byłam wspaniała?

Był pod głębokim wrażeniem tego, co zobaczył. To był największy cud, jaki mu się do tej pory zdarzył. A Tana w wieku czterdziestu lat osiągnęła wszystko, czego pragnęła. Popatrzyła na niego. Wszystko czego pragnęła... wszystko... jej oczy wypełniły się łzami i wyciągnęła do niego rękę. Russ ułożył delikatnie niemowlę w jej ramionach.

- Och, on jest taki śliczny...

- Nie. - Russ uśmiechnął się do niej przez łzy. - To ty jesteś śliczna, Tan. Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie. - Popatrzył na swojego syna. - Ale on też jest całkiem fajny.

Harrison Winslow Carver. Już dawno uzgodnili to imię. Przyszedł na świat, by czcić imię Harry'ego, życie i miłość.

Odwieziono ją do jej pokoju przed południem. Pomyślała, że nie chciałaby już nigdy przez to przejść. Cieszyła się jednak, że raz w życiu doznała tych uczuć. Russel został z nią, dopóki nie zasnęła. Dziecko spało obok niej w małym łóżeczku. Tana już odświeżona, była teraz bardzo śpiąca i bardzo zakochana. Jeszcze raz otworzyła oczy, półprzytomna po zastrzyku przeciwbólowym.

- Tak bardzo cię kocham, Russ...

Pokiwał głową z uśmiechem. Po dzisiejszej nocy jego serce już na zawsze będzie

należało do niej. - Ciii... śpij już... ja także cię Kocham...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy mały Harry ukończył sześć miesięcy, Tana z zaniepokojeniem śledziła kalendarz. W następnym tygodniu miała wrócić do pracy. Wiedziała, że nadszedł już czas powrotu, ale jej dzidzius był tak słodki, uwielbiała spędzać z nim popołudnia... Chodziła z nim na długie spacerunki i śmiała się, gdy on się do niej uśmiechał. Od czasu do czasu wpadali w odwiedziny do biura Russa. To był bardzo przyjemny i beztroski styl życia, którego nie знаła do tej pory i trudno jej było się z nim rozstać. Nie była jednak jeszcze gotowa, żeby porzucić swoją karierę.

I kiedy wróciła na ławę sądową, cieszyła się, że nie zrezygnowała z pracy na dobre. Czuli się swojsko z powrotem w kancelarii. Sprawy, wyroki, narady, decyzje, rutyna. Dni mijały nadszpodziejanie szybko, a ona każdego popołudnia wracała z utęsknieniem do domu, do Harry'ego i Russa. Czasami zastawała już w domu Russa turlającego się z małym na dywanie, bawiącego się z nim w przeróżne gry. Oboje byli zachwyceni maleństwem i czuli się jakby to było pierwsze dziecko, jakie urodziło się na planecie Ziemia. Lee podśmiewała się z nich, kiedy przyjechała do nich w odwiedziny z Francescą, jej małą córeczką. Oczekiwała już drugiego dziecka.

- A co z tobą, Tan?

- Słuchaj, w moim wieku to już Harry jest cudem. Nie prowokujmy losu. Dzięki, ale nie. - Mimo że ciąża niemal jej nie przeszkadzała, poród był bardziej bolesny niż przewidywała. Ale z upływem czasu nawet to wspomnienie nie wydawało się takie straszne. I w dodatku oboje byli tak szczęśliwi z powodu dziecka.

- Gdybym była w twoim wieku, Lee, kto wie, może jeszcze bym się zdecydowała, ale nawet wtedy... nie można mieć wszystkiego, kariery i tuzina dzieci.

Lee to nie przerażało. Nadal pracowała i mimo że drugie dziecko było w drodze, miała zamiar pracować do ostatniej chwili, a po kilku miesiącach znów wrócić do pracy.

Ostatnio wygrała nagrodę Coty i nie miała ochoty się poddawać. Nie widziała zresztą ku temu powodu. Mogła mieć jedno i drugie, dlaczego nie?

- Jak minął dzień kochanie? - Rzuciła teczkę na krzesło i pochyliła się, by pocałować Russa. On właśnie wziął dziecko w ramiona, a Tana zerknęła na zegarek.

Nadal karmiła je piersią trzy razy dziennie: rano, wieczorem i późno w nocy. Zastanawiała się właśnie, kiedy było ostatnie karmienie. Uwielbiała te chwile, kiedy była tak blisko z maleństwem, tę ciszę podczas karmienia o trzeciej nad ranem, gdy tylko Harry i ona nie spali. Miała uczucie, że sprawia mu przyjemność, co dawało jej wiele satysfakcji, a poza tym były też z tego inne korzyści. Powiedziano jej, że raczej nie zajdzie w ciążę w okresie karmienia. - Czy myślisz, że miałoby to znaczenie, gdybym karmiła go do dwunastego roku życia? - zapytała któregoś dnia Russa, a on roześmiał się. Wiedli teraz oboje tak wspaniałe życie. Warto było na to czekać, nie ważne jak długo. Przynajmniej teraz wreszcie mogła to głośno powiedzieć. Właśnie skończyła czterdzieści jeden lat, a on pięćdziesiąt dwa.

- Wiesz, wyglądasz na zmęczoną, Tan. - Russell przyglądał się jej uważnie. - Może to karmienie jest dla ciebie zbyt uciążliwe, teraz, kiedy wróciłaś do pracy.

Odrzucała tę myśl, ale jej ciało było najwidoczniej tego samego zdania. W ciągu następnych tygodni pokarm w jej piersiach zanikł. To tak, jakby jej ciało nie chciało już karmić Harry'ego. Kiedy poszła na kontrolną wizytę, lekarz zważył ją, zbadał, sprawdził jej piersi i powiedział, że chciałby zrobić jej badanie krwi.

- Czy coś jest nie w porządku? - Spojrzała na zegarek. Musiała być w sądzie przed drugą.

- Chciałbym tylko coś sprawdzić. Zadzwoń do pani po południu. - Ogólnie stwierdził, że nic jej nie dolega i nie musi się niczym martwić. Pobiegnęła do ratusza, a kiedy urzędnik wezwał ją o piątej do telefonu, zupełnie zapomniała, że miał do niej dzwonić doktor.

- Powiedział, że musi z panią rozmawiać.

- Dziękuję. - Sięgnęła po słuchawkę robiąc jednocześnie jakieś notatki i słuchając, co ma jej do powiedzenia. Nagle przestała pisać. To niemożliwe. Musiał się mylić.

Karmiła aż do zeszłego tygodnia... przecież... ciężko opadła na krzesło, podziękowała mu i rozłączyła się. Cholera. Znowu była w ciąży. Harry był taki cudowny, ale nie chciała mieć więcej dzieci. Była już na to za stara... pochłonięta swoją karierą... tym razem musi się tego pozbyć... to niemożliwe... nie wiedziała, co ma zrobić. Miała oczywiście wybór,

ale co powie Russowi? Powie mu, że usunęła jego dziecko? Nie mogła tego zrobić. Tej nocy ze zdenerwowania nie mogła zasnąć. Usilnie starała się uniknąć odpowiedzi na jego pytania, co ją dręczy. Tym razem nie może mu powiedzieć. Wszystko jest nie tak jak trzeba... jest za stara... kariera znaczy dla niej zbyt wiele... ale Lee kontynuowała pracę po urodzeniu drugiego dziecka... tylko czy to miało znaczenie? Czy mogłaby zrezygnować z sędziowskiej togi? Czy dzieci znaczyły dla niej więcej? Targały nią sprzeczne uczucia a kiedy obudziła się, wyglądała koszmarnie. Russ przyglądał się jej podczas śniadania i na początku nie powiedział nic. Potem, na chwilę przed wyjściem z domu zwrócił się do niej.

- Czy jesteś dziś zajęta podczas lunchu, Tan?

- Nie... przynajmniej na razie nic nie mam w planie... - Jednak nie chciała pójść z nim na lunch. Musiała to przemyśleć. - Mam trochę spraw, które muszę wypchnąć z biurka. - Unikała jego spojrzenia.

- Musisz coś zjeść. Przyniosę kanapki.

- Świetnie. - Czowała się jak zdrajca ukrywając to przed nim, a serce ciążyło jej jak ołów, gdy jechała do pracy. Miała szereg drobnych spraw do załatwienia w sądzie i poza nim, a kiedy o jedenastej podniosła wzrok, ujrzała mężczyznę o dzikim spojrzeniu, z czupryną kręconych, siwych włosów sterczących z jego głowy jak rozciągnięte sprężyny zegara. Podłożył bombę pod konsulatem jakiegoś państwa i sprawa miała pójść do sądu. Zaczęła rutynową procedurę, a kiedy ustaliła jego nazwisko, nagle zamarła. I z przyczyn, których nikt nie mógł zrozumieć, musiała zrezygnować z tej sprawy. Tym mężczyzną był Yael McBee, jej radykalny dzikooki kochanek z ostatniego roku w Boalt. Chłopak, który poszedł siedzieć za podłożenie bomby pod domem burmistrza. Widziała jego kartotekę i przeczytała, że od tamtego czasu siedział jeszcze dwa razy. Jakie dziwne jest życie. Tak dawno temu... to momentalnie skierowało jej myśli na wspomnienie o Harrym... ich śmiesznym małym domku, w którym razem mieszkali... i Averil taka młoda... i ta szalona hipisowska komuna, którą odwiedzała z Yaelem. Popatrzyła na niego ze swojego miejsca na sali sądowej. Zestarzał się. Miał teraz czterdzieści sześć lat. Mężczyzna. I nadal walczył o swe cele na swój nielegalny sposób. Jak daleko zaszli, oni wszyscy... ten

mężczyzna ze swymi szalonymi ideami. Jego dokumenty dowodziły, że jest terrorystą. Terrorysta. A ona była sędzią. Droga bez końca... a Harry'ego już nie było wśród nich... ich wszystkie błyskotliwe pomysły przyblakły, niektóre poszły całkiem w zapomnienie, tylu ludzi odeszło... Sharon... Harry... a w ich miejsce pojawiły się nowe istnienia... jej syn, mały Harry, nazwany imieniem jej przyjaciela, i teraz to dziecko w jej łonie... niesamowite było to, jak układało się życie, jak daleko oni wszyscy zaszli... Podniosła wzrok i zobaczyła męża, który stał i przyglądał się jej. Uśmiechnęła się do niego i wycofała sprawę Yaela McBee ze swojego rozkładu zajęć. Ogłosiła przerwę na lunch i razem przeszli do jej kancelarii.

- Kto to był? - Widok Yaela rozśmieszył Russa. Jej sprawy były z pewnością zabawniejsze od jego. Tana roześmiała się i usiadła.

- Nazywa się Yael McBee, ale to nic ci nie powie. Znałam go, kiedy chodziłam do Boalt.

- To twój znajomy? - Russ popatrzył na nią podejrzliwie, a ona zachichotała.

- Wierz lub nie, ale byłam z nim.

- Daleko zaszłaś od tamtej pory kochanie.

- Właśnie o tym myślałam. - I wtedy przypomniała sobie jeszcze o czymś.

Popatrzyła na niego nieśmiało zastanawiając się, jak by zareagował. - Muszę ci coś powiedzieć.

Uśmiechnął się do niej łagodnie. - Jesteś znowu w ciąży.

Spojrzała na niego, a on roześmiał się.

- Skąd o tym wiesz? Czy doktor zadzwonił także do ciebie?

- Nie. Jestem mądrzejszy niż myślisz. Wpadłem na to zeszłej nocy i przypuszczałem, że w końcu mi o tym powiesz. Oczywiście, wymyśliłaś już pewnie, że twoja kariera się skończyła, że będziemy musieli zrezygnować z domu, ja stracę pracę albo oboje ją stracimy...

Śmiała się, a kiedy on uśmiechnął się do niej, w jej oczach pojawiły się łzy.

- Mam rację?

- Tak.

- A czy przyszło ci do głowy, że jeśli możesz być sędzią z jednym dzieckiem, to możesz równie dobrze mieć ich dwoje? I być nadal dobrym sędzią.

- Tak właśnie pomyślałam, kiedy tu wszedłeś.

- Akurat. - Pochylił się, by ją pocałować. Wymienili porozumiewawcze spojrzenie, które oboje znali bardzo dobrze. - Co ty możesz o tym wiedzieć...?

Pocałował ją znowu. W tym momencie weszła jej asystentka i od razu wycofała się pospiesznie, uśmiechając się do siebie. Tana dziękowała w myślach swoim szczęśliwym gwiazdom za drogę życiową, którą przebyła, za mężczyznę, którego wreszcie spotkała... decyzje, które podjęła... począwszy od kariery a skończywszy na mężu, dziecku, pogodzeniu tego wszystkiego ze sobą: mężczyzny, kariery i syna. Zbierała jeden sukces za drugim, jak polne kwiaty do bukietu. A teraz stanęła dumnie z pełnym ich naręczem i sercem przepełnionym uczuciem szczęścia. Koło fortuny przyniosło jej wszystko, czego w życiu pragnęła.